

# MAXIME CHATTAM



THRILLER

## ZEW NICOŚCI

Ten thriller spędza sen z powiek i prześladowuje nawet za dnia.



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

MAXIME  
**CHATTAM**  
ZE W NICOŚCI

Z języka francuskiego przełożyła  
Elżbieta Janota



Tytuł oryginału: *L'Appel du néant*

© Editions Albin Michel – Paris 2017

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2019 for the Polish translation by Elżbieta Janota (under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-8110-945-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24

25  
26  
27  
28  
29  
30  
31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

Napisy końcowe

Słowniczek skrótów

Posłowie i podziękowania

Przypisy

Jak zwykle pisałem przy dźwiękach muzyki i radzę, by lekturze tej powieści towarzyszyły utwory z następujących albumów:

- *Mesrine* Marco Beltramiego i Marcusa Trumppa,
- ścieżka dźwiękowa z filmu *Seryjny zabójca nr 1* autorstwa Christophe’a La Pinty i Frédérica Telliera,
- *Passion* Petera Gabriela,
- ścieżka dźwiękowa z filmu *Wróg numer jeden* autorstwa Alexandre’a Desplata.

*Dedykuję tę powieść siłom porządkowym,  
nauczycielom i ofiarom.*



„Jeśli różnię się od ciebie, zamiast obrażać – uzupełniam cię”.

Antoine de Saint-Exupéry, *List do zakładnika*  
w przekładzie Anny Cierniakówny

„W jego czaszce było pęknięcie i przez nie dostała się odrobina światła ciemności, która pchała go ku śmierci”.

Rudyard Kipling, *Riksza widmo*

# 1

Ta dziewczyna miała wszystko, o czym można zamarzyć. Począwszy od wyglądu. W społeczeństwie, w którym liczą się przede wszystkim cechy fizyczne, mogła pochwalić się nieprzeciętną urodą. A nawet ponadprzeciętną, jeśli przyjrzeć się szczegółom. Figura stereotypowej blondynki, średni wzrost, półdługie włosy w niesfornych puklach zdradzających buntowniczą naturę, piękne jasnobłękitne oczy przywodzące na myśl drogocenne kamienie, wysokie kości policzkowe, wystarczająco wydatne, by wydłużyć twarz i utworzyć atrakcyjne wgłębienia w policzkach, nadające jej rysom szlachetny, niemal słowiański wygląd. Pełne wargi, różowe niczym dojrzwały grejpfrut, jakby miały odwracać uwagę od zarysów sylwetki ukształtowanej powoli kosztem niezliczonych godzin regularnego uprawiania sportu. Ubrania i dodatki dobierała, jak się zdawało, starannie, tak by przyciągać spojrzenia.

Ale poza wspaniałą powierzchownością z tłumu wyróżniała ją postawa, to, co od niej biło: miała w sobie coś, co powszechnie zwykło się nazywać nieodpartym urokiem. Jej sposób przyglądania się ludziom, z przechyloną głową, uśmiech bez śmiechu, dołeczki w policzkach zdradzające rozbawienie, płynne ruchy kobiety, która czuje się dobrze we własnym ciele, oraz zniewalająca intensywność spojrzenia składały się na swego rodzaju warstwę lakieru losowo przyznawaną niektórym ludziom przez naturę, coś jak nieujarzmiona aura. Prawdę mówiąc, nawet drobne niedoskonałości fizyczne dziewczyny tak idealnie wpisywały się w całość, że stawały się raczej ujmującymi cechami szczególnymi. Na przykład nieco krzywe kły, akurat na tyle, że czyniły jej buzię wyjątkową, albo brązowa plamka od słońca dawno minionego lata, którą można było wziąć za dużego piega w kąciu ust, przypominająca podpis artysty.

Nie ceniono jej wprawdzie za rozległą wiedzę, ale sporo czytała i charakteryzowała się dużą dozą ciekawości, co wystarczyło, aby zgromadziła bagaż pozwalający na przetrwanie w środowisku intelektualistów o silnej skłonności do przechwałek. We własnej opinii nie cechowała się ponadprzeciętną inteligencją, była za to bardzo dumna ze swej zdolności dedukcji. Wszyscy, którzy mieli z nią styczność w życiu zawodowym, zgodnie potwierdzali ten pogląd, a wręcz jeszcze usilniej podkreślali tę jej zaletę.

Dziewczyna miała też oczywiście wady. Po pierwsze, cierpiała na różne nadwyżki związane z młodością – przede wszystkim na nadmiar naiwności; po drugie, dramaty i traumy, którym musiała stawić czoła, stopniowo zepchnęły ją do okopu przesadnej samoobrony, do tego stopnia, że za pomocą sportu próbowała wykuć sobie fizyczną zbroję,

odciąć się od części emocji i zamknąć w murach swych lęków. Jednak ostatnio udało jej się przezwyciężyć niepokój i zaakceptować ewentualność, że będzie cierpiała. Teraz oddychała wonną mieszanką radości życia, wrażliwości i dogłębnej znajomości siebie. Wreszcie była gotowa zacząć żyć.

Miała niewiele ponad trzydzieści lat i nie zaznała jeszcze małżeństwa, nie doczekała się dzieci, ale brylowała w pracy, gdzie niektórzy uważali ją za geniusza, lecz przy tym za dziwną istotę o przerażających możliwościach w mglistych dla nich dziedzinach. Wiele z siebie dała, żeby to osiągnąć, a niedawno zyskała poczucie równowagi, które podpowiada człowiekowi, że jest gotowy na dalszy rozwój. Innymi słowy, pragnęła teraz ułożyć sobie życie osobiste, uczuciowe i rodzinne.

Ta dziewczyna miała zatem wszystko, o czym można zamarzyć.

Wszystko poza najważniejszym.

Uwięziona w ciemnej celi i za sprawą oparów chloroformu pozbawiona zdolności ruchowych, nie miała przed sobą przyszłości lepszej niż mucha szamocząca się w sieci wygłodniałego pająka.

## 2

Człowiek często błędnie zakładał, że ciemność stanowi odrębny byt, podczas gdy jest ona jedynie nieobecnością światła. Istnieje wyłącznie poprzez brak i jeśli już musimy uznać, że faktycznie coś uosabia, to tym czymś będzie nicość.

Tak przynajmniej uważała młoda kobieta zwinięta w kłębek w kącie wąskiej, cichej celi bez okien. Rękami przyciskała zgięte nogi do piersi, podbródek wsunęła między kolana. Choć nie było ani odrobiny światła, wiedziała, że twarz ma umorusaną, domyślała się, że jej policzki i czoło pokrywa zaschnięta ziemia, porcelanową skórę znaczą paski czarnego pyłu, jasne, ciężkie od brudu loki opadają na ramiona, a jej piękno rozwiewa się w próżni oczekiwania, w niepokoju i ciemności.

Przesunęła językiem po wargach i zauważyła drobne pęknięcia zwiastujące początki odwodnienia. Zadrzała, złożyła to na karb chłodu. Pod bawełnianą koszulką z długim rękawem pojawiła się gęsia skórka. O dziwo, nie czuła strachu. W każdym razie nie tego dogłębnego przerażenia, które kąsa człowieka od środka i paraliżuje, unieruchamia w najgorszym możliwym momencie, wysysa całą zdolność reakcji, wszelkie spójne myśli, i pozostawia go całkiem bezbronny w obliczu niebezpieczeństwa. Ona też prawie się nie ruszała, ale tylko dlatego, że chciała zachować siły i ciepło wytwarzane przez ciało, ogrzewające cienką warstewkę powietrza między skórą a ubraniem. Ta izolacja była jej najlepszym sojusznikiem, jeżeli miała tu wytrzymać. Czy długo to potrwa? Nie sądziła, by tak miało być, lecz musiała przygotować się na najgorsze. Bo czyż nie to ją czekało?

*Nie, nie, nie mów tak! – zgañła się natychmiast. – Nie możesz tego wiedzieć! Może to tylko... przypadek! Zbieg okoliczności. Tak, to prawdopodobne! Po prostu nieszczęśliwy traf, wszystko wkrótce się wyjaśni. Wszystko wkrótce się ułoży.*

Ale skoro była o tym tak bardzo przekonana, dlaczego w takim razie od początku robiła wszystko, by oszczędzać siły, jakby szykowała się do walki o życie?

Tak nakazywał jej instynkt. Gdy tylko obudziła się tu, w tej maleńkiej, ślepej klitce, zdała sobie sprawę, że znalazła się w złym położeniu, jeszcze zanim przypomniała sobie ostatnie chwile sprzed utraty świadomości, sam atak.

Czego od niej chcieli? Dlaczego ona? Pierwsze odpowiedzi, które przysły jej do głowy, zmroziły jej krew w żyłach, ale natychmiast je od siebie odegnała. To nie pora na snucie najbardziej katastroficznych scenariuszy, zakazała sobie tego. Postępowała etapami, zmuszała się do rozkładania własnych reakcji na czynniki pierwsze, aby utrzymać nerwy na wodzy, a przede wszystkim nie pozwolić, by wyobraźnia wymknęła jej się spod kontroli i by

zalał ją strach. Zbyt często miała z nim do czynienia, żeby teraz pozwolić mu sobą zawładnąć. W pewnym sensie była już kiedyś jego niewolnicą i przysięgła sobie, że nigdy więcej mu się nie podda. Teraz nadszedł najlepszy moment na udowodnienie, że jej się to uda. Miała niezbędną krzepę, potrzebne zasoby umysłowe i doświadczenie. To, co w życiu przetrwała, przygotowało ją na tę sytuację.

Najpierw oceniła swój stan fizyczny. Ogólnie rzecz biorąc – dobry. Żadnych ran, żadnej poważnej kontuzji, tylko przeszywający ból głowy, nieprzyjemne pulsowanie za oczami – to wina chloroformu, którego użyto, by ją uspić. Z wyjątkiem paru powierzchownych zadrapań nic jej nie było. Później pomyślała o gwałcie, ale zaraz uświadomiła sobie, że nie czuje bólu, a dzinsy i majtki idealnie przylegają do ciała. Nie wyobrażała sobie, by ktoś mógł rozebrać ją i tak starannie ubrać z powrotem. Nie, także pod tym względem nie spotkało jej nic złego.

Na razie.

*Przestań! Przestań natychmiast. Pasożytnicze myśli. Nic nie wiesz. Nie masz żadnego dowodu, żadnej wskazówki. Może to tylko zbieg okoliczności... Cholerny zbieg okoliczności...*

Poruszyła się, na tyle, na ile pozwalała ograniczona przestrzeń, aż strzeliły stawy. Dokuczał jej ból mięśni. Ile już tak czekała w mroku? Dziesięć godzin? Dwa razy tyle? Była głodna, lecz nie wygłodniała, oceniła, że minęła noc, ale niewiele więcej. Może poranek dobiegał właśnie końca. O ile zmysły nie płatają jej figli. Ile czasu trzeba, żeby ludzie z jej otoczenia zorientowali się w sytuacji i odkryli jej zniknięcie? Dwadzieścia cztery godziny. Mniej więcej.

*A później? Jak dotrą aż tutaj?*

Wykonała kilka ruchów szczęką, żeby ją rozewrzeć, i wyciągnęła rękę, aż wrzynające się w nadgarstki więzy wywołały grymas na jej twarzy. Szybko zrezygnowała z prób uwolnienia się z nich, były bowiem za mocno ściągnięte, zbyt solidne: dwie plastikowe opaski zaciskowe spinające jej dłonie razem. Otoczenie także nie napawało otuchą. Ani odrobinki światła, nigdzie. Albo zakopano ją głęboko pod ziemią, albo znajdowała się w piwnicy lub w jakimś doskonale uszczelnionym karcerze. Jakkolwiek było, wiedziała, że nie ma sensu krzyczeć, nikt jej nie usłyszy – nikt o dobrych zamiarach.

Co się z nią teraz stanie? Dlaczego tu jest? Tylko bardzo prostoduszna osoba mogłaby sądzić, że wszystko dobrze się skończy, a choć kobieta bez oporów przyznawała się do licznych wad, łatwowierność się do nich nie zaliczała, na pewno nie. Już nie.

Nikt nie podejmował takiego ryzyka, nie opracowywał tak drobiazgowego planu, jeśli nie był wyjątkowo zdeterminowany, jeżeli nie kierowały nim potężne, złowrogie popędy. Nie miała co się oszukiwać, prędzej czy później drzwi się otworzą, a ciąg dalszy nie będzie przyjemny.

Ludivine Vancker stłumiła szloch wzbierający w głębi gardła. Nie po to trzymała się dzielnie przez cały ten czas, żeby teraz się załamać. Nie pozwoli sobie na to. Pracowała

w wydziale śledczym paryskiej żandarmerii, zetknęła się z najgorszymi zbrojeńcami w całej Francji, a zdarzało się, że i poza nią, była mistrzynią w strzelaniu z broni krótkiej, w bliskim starciu regularnie nokoutowała gości dwukrotnie, a nawet trzykrotnie od siebie cięższych, kilka razy w tygodniu biegała, by zwiększyć wytrzymałość, psychikę miała ze stali hartowanej, odporną na wszystko, zwłaszcza po tym, co już przeszła. Nie, nie dopuszczała załamania. To nie był odpowiedni moment. Nie mogła sobie na to pozwolić.

A jednak łyż się pojawiły, mimo całej wściekłości, z jaką próbowała je powstrzymać. To było silniejsze od niej. Po długotrwałym kryciu się pod nieprzepuszczającą uczuć zbroją Ludivine postanowiła wreszcie zerwać z siebie tę drugą skórę, która była jedynie przebraniem, i otworzyć się na świat, doświadczać emocji. Krok po kroku wróciła do zachowań przystających kobiecie w jej wieku. Pozwalała, by ogarniała ją słodka euforia z powodu drobnych, prostych przyjemności, i zaczynała nawet kochać osobę, którą się stawiała. Trzydziestolatkę mającą wszystko, o czym można zamarzyć. To wszystko nie mogło teraz zniknąć.

Strach powoli torował sobie drogę, drążył pancerz jej odporności. Ludivine miała to sobie za złe. Kiedyś umiałaby go kontrolować, a może nawet przemienić w energię. Ale to było przedtem, kiedy była tylko niemającym nic do stracenia zwierzęciem bojowym z obsesją na punkcie wyników, oderwanym od tego, co czuje. Przeklęła więc ideę szczęścia, która otwierała drzwi lękowi. Skonfrontowała się ze swoimi demonami i odniosła tryumf, wszystkie widma, które przywiozła z Val-Segond, a następnie z ponurych podziemi kliniki w Saint-Martin-du-Tertre<sup>1</sup>, rozłożyła na łopatki, poddała sekcji, żeby na nowo się odnaleźć, by w wyniku przebytych prób zyskać siłę charakteru i pragnienie życia, jakich wcześniej nie znała. W ostatnim czasie żyła pełną piersią, jak nigdy dotąd.

A teraz, gdy ciemności otaczały ją od tak dawna, że niemal stały się podstawą jej nowej równowagi umysłowej, Ludivine pomyślała, że być może, jak wielu innych ludzi, myliła się w swoich przekonaniach. Ciemności nie są jedynie świadkami próżni, czymś ujawniającym nieobecność, nie, mają własną konsystencję, własną substancję. Całkiem realne ciało. To antymateria, ciemna materia tworząca kosmos, strach, który nadaje głębię naszej psychice. Co więcej, stanowią konkretny dowód na to, że świat jest zły, a brud zawsze czai się na skraju pola widzenia, za każdym rogiem, gotowy nas pożreć i szerzyć wszystko, co najgorsze.

Ludivine była w błędzie.

Mrok jak najbardziej istniał. I to nie tylko w głowach najstraszliwszych potworów. Schwycił ją i obecnie sama dryfowała w jego deprawujących trzewiach.

### 3

Kłamać, by dodać sobie otuchy. Zaprzeczać oczywistościom. Chronić się tak długo, jak to tylko możliwe. Ale do jakiego stopnia? Czy powinna posunąć się do ucieczki przed rzeczywistością? Założyć na oczy klapki, nieprzepuszczalne niczym mury, i pozwolić, by negacja wpędziła ją w szaleństwo?

Ludivine delikatnie potrząsnęła głową w ciemności.

To nie był zbieg okoliczności. Do tej dziury nie wtrącił jej przygodny psychopata. Nie mogło być mowy o przypadku, nie w tym momencie. Nie po tym, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach. Nie, biorąc pod uwagę więzy spinające jej nadgarstki oraz to, co zdążyła zauważyć na *jego* temat, zanim ją ogłuszył.

Zamknęła powieki, co nie zrobiło żadnej różnicy, odniosła tylko wrażenie, że zapada się nieco głębiej w siebie. Przynajmniej ta ciemność należała do niej.

Dlaczego nie przychodzi, żeby z nią porozmawiać? Czemu nie słyszała żadnego głosu, żadnego dźwięku, nawet odległego?

*Zostałam pogrzebana żywcem. Przykrywają mnie trzy metry ziemi i nikt mnie tutaj nie znajdzie, umrę z pragnienia, z zimna, z głodu, a przede wszystkim z braku powietrza.*

Śledcza wbiła paznokcie we wnętrza dłoni, aż skrzywiła się z bólu. W tej chwili wyzwolenie się z oków niezniszczalnej wojowniczkii nie przynosiło jej korzyści. Bez dwóch zdań, całkiem zgłupiała. Nie mogła tak rozumować. Nie mogła dać się pokonać, wyobrazić sobie najgorszego. Tkwiała w maleńkiej ziemnej celi, nie w grobie. I nawet jeśli znajdowała się głęboko pod powierzchnią, nie oznaczało to, że powietrze nie krąży. Upłynęło kilka godzin, odkąd się przebudziła, a nie miała problemów z oddychaniem. Mimo ciasnoty temperatura nie wzrastała, wręcz przeciwnie, a zatem istniał przepływ powietrza. Pierwsza dobra wiadomość.

Ludivine zaczęła rozumieć, jaka jest prawda.

*To ten typ. Nie mam przed sobą zbyt wiele czasu. A raczej mam go bardzo niewiele...*

Instynktownie zacisnęła uda na myśl o *nim*, o tym, co zostało z jego ofiar, które odkryła wraz z kolegami po fachu. Dobrze znała tę sprawę i nie bez powodu...

Pały ją nadgarstki, więzy zaczynały wżerać się w skórę.

Musiała się stąd wydostać. Za wszelką cenę, znaleźć rozwiązanie i uciec.

Ludivine odchyliła głowę w tył, a jej czaszka natrafiła na osypującą się ziemię. Kilka chłodnych drobinek oderwało się od ściany i wpadło jej za kołnierz, poleciało wzdłuż kręgosłupa, przyprowadzając ją o dreszcz.

To na pewno *on*. Teraz akceptowała ten fakt, odzyskała pełną jasność myślenia.

Nie mogła dalej tkwić w tej pułapce. Zbyt dużo wiedziała. Z wściekłości zacisnęła szczęki, wraz z wydechem wypuściła z siebie całą frustrację i powstrzymała napływające do oczu łzy.

Właśnie minął pierwszy szok. Etap zaprzeczania, ucieczki w bezsensowne rojenia. Od tej pory mogła koncentrować się na chwili obecnej, na okolicznościach, miejscach, własnych doznaniach. Musiała stawić czoła temu, co ją czeka, ponieważ wiedziała. Wiedziała, co nastąpi później, ale przede wszystkim – kto ją porwał. I najprawdopodobniej – dlaczego to zrobił.

Zboczeniec z gatunku tych najgroźniejszych. Bezlitosny. Pozbawiony jakichkolwiek hamulców. Dla niego była tylko narzędziem służącym zaspokajaniu własnych potrzeb, ledwie przedmiotem. Nie ujrzy w niej nawet namiastki człowieka. Żadnej ludzkiej cząstki, nie licząc może jej kobiecych atrybutów, bo to one mu się przydadzą. Jak reagować w obliczu takiego potwora?

*Musi istnieć odpowiedź. Nawet jeśli całkiem brakuje mu empatii, pozostaje ludzką istotą, złożoną z emocji, jakkolwiek ograniczonych, z mechanizmów obronnych, fantazji i wad. To tam trzeba uderzyć.*

Znaleźć dostęp do jego bunkra, do ostatnich obszarów człowieczeństwa skrytych daleko w głębi jego cierpienia i dewiacji – oto co musiała zrobić. Odkryć sposób na obejście jego zwykłych schematów działania, na wyrwanie go ze zdegenerowanej rutyny.

Ale co o nim wiedziała? Jak znaleźć szczelinę, przez którą można się wślizgnąć, nie wzbudzając jego czujności? I kiedy?

*On przyjdzie. Niedługo. Wyciągnie mnie stąd, żeby mnie wykorzystać. To stanie się szybko, będę miała tylko chwilę, by zadziałać. To nie pora na improwizację, muszę wiedzieć, co mówić, jak ugodzić w jego mechanizmy drapieżnika, żeby zepchnąć go z obranego toru, sprawić, że na powierzchnię wypłyną resztki człowieczeństwa. Tylko na tyle, by przyciągnąć jego uwagę, żeby moja mowa stała się słyszalna.*

A potem? Nie uda jej się utrzymać go na dystans wyłącznie za pomocą słów, a tym bardziej przekonać go, żeby ją uwolnił! Ten mężczyzna był nienasyconym drapieżcą, który wreszcie znalazł zwierzynę mogącą zaspokoić jego głód. Ludivine miała takie same szanse jak mysz usiłująca negocjować z wygłodniałym wężem.

*Przygotować się. Działać. Metodycznie. Oto co powinnam zrobić.*

Co dalej, to się okaże.

Należało zacząć od sporządzenia portretu psychologicznego psychopaty. Ponieważ dla Ludivine Vancker stanowiło to pasję, którą miała we krwi, wiedziała, że zabójstwo często okazuje się projekcją umysłu w konkretnym momencie. Szczególnie dotyczyło to seryjnych morderców działających zgodnie z ich wykołejoną psychiką. A ona umiała rozkładać zbrodnie na czynniki pierwsze, żeby odszyfrować język krwi. Tak, Ludivine potrafiła wiele



w tej dziedzinie osiągnąć.

Odnalazła w sobie iskierkę nadziei. Stygnący węgielek dający odrobinę ciepła i światła w ciemnościach.

Uczepiła się tego pomysłu.

*Co o nim wiem? O jego pierwszej zbrodni?*

*Nie tylko o całkiem pierwszej, ale też o tej, dzięki której się poznaliśmy. Od tego trzeba zacząć. Od dnia naszego pierwszego spotkania.*

To był piątek. Ludivine pamiętała go w najdrobniejszych szczegółach.

Nikt nie mógłby zapomnieć takiej chwili.

## 4

Jesień w swej pierwszej połowie ledwie dała się odczuć, postępując z determinacją leniwego anemika. Temperatury zmieniały się bez cienia logiki, jakby chłody czyhały za zatrzaśniętymi drzwiami i wynurzały się któregoś ranka, by w kolejny weekend znów ustąpić miejsca niemal wiosennej aurze. Przyroda, zagubiona w obliczu tej huśtawki, niechętnie zrzucała szaty. Ledwie raczyła dostosować się do wymogów mody zalecających brązy, chętniej strojąc się w ochrę, żółć i czerwień.

Po chaosie, w jakim kraj pogrążył się w maju<sup>2</sup>, we Francji powolutku zapanował spokój. Lato okazało się wyjątkowo łagodne, jakby pod wpływem szoku cały świat trwał w oszołomieniu. Ludivine, ze względu na odegraną przez nią rolę i niebezpieczeństwo, na które samowolnie się naraziła, na trzy miesiące odstawiono na boczny tor. Trzy długie miesiące bez pracy. Nie roztrwonila jednak tego czasu. Czerwiec i lipiec spędziła w górskim ustroniu w towarzystwie Richarda Mikelisa, swojego mentora, i jego rodziny. Zapalała sympatią do jego dzieci, Sachy i Louisa, a Ana przyjęła ją pod swój dach jak zgnębianą młodszą siostrę pilnie potrzebującą pocieszenia. Był to dziwny, lecz konstruktywny okres u boku Richarda Mikelisa uważanego za jednego z najlepszych profilerów, jacy kiedykolwiek praktykowali. Mężczyzna był wyjątkowym kryminologiem, zarówno pod względem kompetencji, jak i osobowości. Zbyt daleko zapuścił się jednak w krainę potworności, aż w końcu zrezygnował. Obecnie mieszkał w Alpach, na uboczu, i zajmował się najbliższymi, jakby potrzebował karmić się życiem, by zrekompensować sobie zbyt długie obcowanie ze śmiercią. W czasie swojego górskiego wypoczynku Ludivine często mu się przyglądała. W pamięć zapadła jej jego obsesja, by nie przegapić niczego, co dotyczy dzieci, miłość okazywana żonie, nieraz tkliwa jak w okresie pierwszego zauroczenia. Przez te dwa miesiące sto razy odtworzyła w głowie film z dwóch ostatnich lat i myślała o tym, kim się stała, poddała analizie własne neurozy. Większość dni spędziła na wędrówkach po alpejskich łąkach i kontemplacji wspaniałych, choć przyprawiających o zawroty głowy widoków, tymczasem w głębi duszy studiowała swoje niedoskonałości.

Mikelisowie mieli na nią świetny wpływ. Pomogli jej stopić zbroję, otworzyć się na życie. Nie był to świadomy wybór, tak się po prostu stało, jakby materiał, który ją chronił, a czasem wręcz dusił, odsłużył swoje i w zetknięciu z wolnym powietrzem i tą rodziną zaczął stopniowo się kruszyć. Miłość podziałała lepiej niż potężny cios w ten popękany pancerz.

Na początku lipca Ludivine wróciła na parę dni do Paryża, żeby spotkać się z Segnonem

i Laëtitią, która powoli wracała do zdrowia po odniesionych obrażeniach. Po traumie związanej z przeżytym atakiem najpierw toczyła z mężem wojnę, chcąc, żeby zmienił zawód albo przynajmniej odszedł z wydziału śledczego żandarmerii. Później, uświadomiwszy sobie, że sama ocalała życie ponad trzydzieścioro dzieci, w tym własnych, stopniowo wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zaczęła wspierać Segnona. Był naprawdę dobry w bronienu niewinnych i upewnianiu się, że różne sukinsyny nikomu już nie zaszkodzą, walczył w zbyt ważnej sprawie, żeby od niej uciec z powodu egoizmu czy strachu. Zajął to kilka tygodni, ale Laëtitia z pomocą dobrego terapeuty zaakceptowała ten fakt i przepracowała szok związany ze stresem pourazowym, dzięki czemu zaczęła postrzegać samą siebie już nie jako ofiarę, lecz bohaterkę. Sposób jak każdy inny, by przetrwać, wytrzymać. By nie myśleć o sobie jako o zwierzynie łownej, ale raczej jako o poturbowanej wojownicze. Ludivine urodziny świętowała z nimi i ze swoim wybawcą: Guilhemem Trinem, który przed kilkoma miesiącami wyciągnął ją z paskudnych tarapatów, w jakie wpakowała się w opuszczonym szpitalu.

Później spotkali się na jego ślubie z Maud. Wesele okazało się pamiętne, a Ludivine już od dawna tak często się nie śmiała. Świt zastał ją przycupniętą na niskim murku, z którego rozpościerał się widok na ciągnące się jak okiem sięgnąć pola lawendy, pomiędzy Magali, koleżanką z WŚ, a Segnonem. Laëtitia drzemała z głową na ramieniu męża, a troje żandarmów podawało sobie butelkę szampana i pociągało z gwinta. Na ich twarzach gościły zmęczone uśmiechy, eleganckie ubrania mieli wygniecione i poplamione. To był najpiękniejszy i najdłuższy dzień w ciągu całego lata.

Ludivine jeszcze na parę tygodni schroniła się wśród gór i Mikelisów. Czuła, że dokonuje się w niej jakaś przemiana, i niepokoiła ją wynikająca z tego kruchość. Nadal potrzebowała życzliwości przyjaciół, pragnęła otoczyć się tym, czym emanowali.

W tamtym okresie niewiele rozmawiali z Richardem o sprawie, chyba że Ludivine sama o niej wspomniała. Kryminolog zachowywał się jak psychoterapeuta, słuchał jej, nieznacznie sterował rozmową i pomagał jej wyrazić słowami to, co pogrzebała najgłębiej, strach, który czuła, i rzecz jeszcze gorszą: brak strachu. Żeby przetrwać wszystko, co spotkało ją w ciągu dwóch minionych lat, Ludivine znieczuliła się do tego stopnia, że przekształciła się w maszynę wojenną. Przerazała ją perspektywa ponownego nawiązania kontaktu z własnymi zmysłami, ze swoją wrażliwością, z pragnieniem, by żyć pełnią życia, ale teraz wiedziała, że to konieczne, jeśli chce dalej rozwijać się jako kobieta.

Powrót do Paryża zaplanowała na sierpień i postanowiła zainwestować odłożone pieniądze – w znacznej części pochodzące z majątku, który odziedziczyła – w dom stojący przy spokojnej ulicy w gminie Pantin. Kupiła go, zaciągawszy kredyt na dwadzieścia lat. To miało ją zmusić do zaangażowania się w życie, chociażby po to, by spłaciła długi. A przy tym stanowiło okazję do rozstania się ze służbowym mieszkaniem, zerwania z wojskową rutyną, złapania oddechu. Potrzebowała własnej przestrzeni.

Dom był za duży, ale tak oryginalny, że od razu zapalała do niego uczuciem z rodzaju tych, które nie sposób zignorować. Dawniej mieściła się w nim fabryka czekolady, ściany z czerwonej cegły kontrastowały z wysokimi schodami z kutego żelaza ulokowanymi na środku głównego pomieszczenia urządzonego w stylu loftu oraz z kolumnkami z brązowej stali, które wznosiły się pod sam sufit, by gładko wnikać w metalowe dźwigary. Wzdłuż całej elewacji biegła piękna weranda otwierająca się na wybujały ogród, gdzie róże, geranium, dalie i inne kwiaty ubarwiały okazałe klomby gnące się nad alejkami. Ludivine kochała bezładny ogród, trochę przypominający ją samą, i obiecała sobie, że nie pozwoli, by kwiaty pomały z powodu zaniedbania.

W trzecim tygodniu sierpnia pułkownik Jihan wezwał ją, by stopniowo wznowiła służbę. Obeszło się bez sankcji, restrykcji, a przede wszystkim: bez przeniesienia. Podjęła ryzyko, ale doprowadziła też do aresztowania nieprzeciętnego złoczyńcy. A zważywszy na wyjątkowy przebieg jej kariery, uzgodniono, że pozytywny wynik ewaluacji psychologicznej wystarczy, by odzyskała dawne stanowisko, obowiązki, stopień i broń.

Wrzesień i październik upływały dość spokojnie, niemal zbyt spokojnie. Przez jakiś czas zajmowała się oszustwem ubezpieczeniowym połączonym z podpaleniem, które spowodowało znaczne straty w siedemdziesiątym siódmym departamencie, pomagała też przy kilku drobnych sprawach prowadzonych przez kolegów. Wieczory spędzała z Magali i Franckiem, którzy byli ze sobą tak blisko, jak ona mogłaby być z Segnonem. Franck rozwodził się właśnie z żoną i kiepsko to znosił. Ludivine przeznaczała też wolne wieczory na chodzenie do kina, czytanie nieciekawych magazynów lub wegetowanie przed telewizorem, gdy dopadał ją leń. Z mniejszą gorliwością uczęszczała na zajęcia ze sztuk walki, coraz rzadziej pojawiała się na strzelnicy i na powrót stawała się bardziej kobietą niż wojowniczką. Postanowiła, że kilka razy w tygodniu będzie biegała, żeby utrzymać formę, a przede wszystkim by nie przybrać na wadze. Do tego właściwie ograniczała się dyscyplina, jaką sobie narzuciła.

Pierwszy tydzień listopada zbliżał się ku końcowi. Ludivine wróciła do domu około dziewiętnastej piętnaście, wdrapała się na piętro, rzuciła dzinsy na linoleum w łazience, wciągnęła wygodne bawełniane spodnie od piżamy, sweter i biustonosz przewiesiła przez brzeg wanny i wślizgnęła się w bluzę mięciutką jak skóra niemowlęcia, z czarnym napisem „Femme Fatale” na plecach. W jej przypadku nie był to wcale żart. Gdyby ludzie wiedzieli, co przeżyła przez ostatnie dwa lata...

Następnie zeszła do kuchni zbyt przestronnej dla singielki, przez chwilę zastanawiała się, co zrobić na kolację, a w końcu się poddała i zamówiła sushi.

Była dumna z wystroju na parterze. Dobrze wyposażona biblioteczka dodawała ciepła olbrzymiemu pomieszczeniu. Ponieważ brakowało jej czasu, a wieczorem po pracy także energii, nie stała się jak dotąd bardziej zapaloną czytelniczką niż wcześniej. Książki

Ludivine przypominały trofea wygrane w starciu z ignorancją, ale ku jej wielkiemu zawstydzeniu cały zbiór pachniał kurzem... Powinna do tego wrócić, znów zanurzyć się w przyjemnym zapomnieniu, jakiego dostarcza porywająca lektura.

Co do kominka, wystarczyła iskra, by polana zapłonęła, rozgrzewając atmosferę. Na gzymsie stały oprawione fotografie rodzinne, a także kilka zdjęć kolegów z WŚ. Na jednym z nich widniała Ludivine, Segnon i inny dość atrakcyjny trzydziestolatek. Alexis.

Miesiąc temu Ludivine zniosła na jego grób kwiaty z okazji drugiej rocznicy śmierci, a niedługo, w jego urodziny, znów się tam wybierze. Czuła, że to jej obowiązek. Powinność wobec dawnego partnera i kochanka. Który stał się ofiarą.

Na ścianach wielkiego loftu wisiały obrazy, których znalezienie zajęło jej sporo czasu. Przedstawiające Paryż dzieło Fazzina w stylu pop-art 3D, mieniące się kolorami i pełne dynamiki nadawanej przez trójwymiarową powierzchnię, stanowiło komplet z panoramą Manhattanu, którą posiadała już wcześniej. Ogromna amerykańska flaga – nadzarta przez dziesięciolecia wystawiania na niszczący piasek niesiony wiatrem Nowego Meksyku – zajmowała ogromną połąć ściany naprzeciwko. Ludivine zapłaciła za nią małą fortunę, ale flaga przypominała jej o podróży do Stanów Zjednoczonych, którą odbyła w wieku dwudziestu lat. Gdy tylko rzuciło się okiem na wyblakłe kolory i postrzępione na brzegach paski, w pomieszczeniu czuło się ducha tej zaczarowanej krainy z jej mitami o kowbojach. Czasem Ludivine niemal słyszała, jak flaga łopocze na wietrze do wtóru trąbek i okrzyków Indian.

Wystroju dopełniał parkiet o szerokich listwach z drewna wenge biegnących między kolumnami z kutego żelaza, tu i ówdzie przykrytych puchatymi dywanikami, oraz starannie przez Ludivine dobrane postarzone lub bielone meble. Pragnęła, by wewnątrz było kojące, bo w ostatnich miesiącach sama osiągnęła spokój ducha. Jej otoczenie powinno odzwierciedlać ten stan, jednakże na piętrze wciąż wały się kartony, w niektórych miejscach należało dokończyć malowanie i obmyślić dekoracje. Jakoś nie umiała też zabrać się za swoją sypialnię – wciąż skrajnie nieprzytulną – choć nie wiedziała, co ją powstrzymuje. Ale prace trwały, a ją przepęłniała wiara.

Na osłoniętej klombami i krzewami ulicy rozległo się pyrkanie motoroweru dostawcy sushi. Ludivine pochłonęła surową rybę, siedząc po turecku na rogowej kanapie.

Wegetowała bezrefleksyjnie, wygodnie umoszczona pod grubym polarowym kocem, nie zerkając nawet w stronę włączonego telewizora, zagubiona we własnych myślach, kiedy odezwała się komórka. Najpierw przyszło jej do głowy, by pozwolić jej dzwonić, ale potem przypomniała sobie, że w ten weekend pełni dyżur, więc dla spokoju sumienia sprawdziła, jaki numer wyświetla się na ekranie iPhone'a.

Żandarmeria. Westchnęła i odebrała.

– Przykro mi, że zatruwam ci wieczór – przywitał ją przyjazny głos Guilhema – ale jesteśmy potrzebni.

- Coś pilnego?
  - Na torach kolejki podmiejskiej linii D, niedaleko Évry, znaleziono jakiegoś faceta.
  - Czy to nie robota dla lokalnych gliniarzy albo naszej brygady?
  - Nie po tym, co właśnie usłyszałem. Wpadnę po ciebie za dziesięć minut. Akurat starczy ci czasu na włożenie dżinsów i puchowej kurtki, to będzie długa noc.
- I tak wszystko się zaczęło. Całkiem zwyczajnie.

## 5

Chłodny księżyc nieczułym okiem spoglądał na scenę rozgrywającą się gdzieś na południowym przedmieściu Paryża. Wyboista droga, dziury przyozdobione błotem, na poboczach zbrązowiła, anemiczna roślinność, z ugoru ciągnącego się wzdłuż jaru skrywającego tory kolejowe strzelało w górę kilka drzew. Jedyne szczyty paru wieżowców, poznaczone licznymi świetlnymi punkcikami, świadczyły o tym, że w położonych w znacznej odległości miejscowościach istnieje życie. Resztę stanowiły ekrany akustyczne, węzeł drogowy, opustoszały parking przy supermarkecie, a dalej już tylko nieużytki i niekończący się szereg dachów, domów zwróconych plecami do miejsca, w którym faktycznie nie było czego podziwiać.

Ludivine wysiadła z samochodu w towarzystwie Guilhema i prześlizgnęła się między furgonetkami żandarmerii oraz wozami strażackimi, których migające światła zabarwiały krajobraz niebieskimi i czerwonymi błyskami. Z oddali dochodził pomruk ruchu ulicznego, niezmordowanie, prawdziwy puls cywilizacji.

Dwoje żandarmów wspięło się na porośnięty wysoką trawą nasyp i znieruchomiało, by przyjrzeć się spektaklowi rozgrywającemu się piętnaście metrów niżej. Strome zbocze nie ułatwiło dostępu krzątającym się w dole osobom, w większości umundurowanym. Tory wkopano w ziemię, cztery równoległe szyny, nad którymi górował kabel wysokiego napięcia. W tym relatywnym mroku drgała bańka chirurgicznej jasności rozpięta pod żarówkami przenośnych reflektorów zamontowanych na stojakach. Wyznaczały one strefę długą na ponad dwadzieścia metrów i obejmującą całą szerokość nasypu. Ludivine odgadła, że nie sięgały dalej jedynie z braku wystarczającej ilości sprzętu, gdyż w pewnej odległości zaraz dostrzegła samotne sylwetki przeczesujące teren za pomocą promieni potężnych latarek. Później zauważyła tył kolejki RER, niedaleko miejsca, w którym sama stała. W wagonach wygaszono światła, jakby pociąg został tu porzucony – przypominał wydrążone truchło ogromnego stalowego robaka i tylko jego czerwone oczy płonęły w ciemności.

W dole, tuż u ich stóp, strażacy stali w tyle z rękami opartymi na biodrach albo skrzyżowanymi na piersi, podczas gdy żandarmi kończyli ogradzać strefę ochronną, z której przepędzili wszystkich, nawet dwóch mężczyzn w białych uniformach służb ratowniczych.

Ludivine wydało się nagle, że cofnęła się w czasie o dwa lata i znów jest na dworcu, gdzie tamten szaleniec zepchnął na tory tylu ludzi, ilu tylko zdołał. Był to punkt zwrotny w jej karierze, w jej życiu jako śledczej, ale też jako kobiety. Jednym mrugnięciem przegnała

wspomnienia. Była tutaj i teraz, chodziło o zupełnie inną sprawę.

Zeszła po skarpie, uważając, by się nie ześlizgnąć. Zjechała kawałek, a gdy dotarła na dół, wraz z Guilhemem wtopiła się w grupę strażaków i w końcu stanęła twarzą w twarz z żandarmem w randze porucznika. Nie była w nastroju do pogaduszek, więc niezwłocznie pokazała mu swoją legitymację – cywilny strój nie zdradzał ani stopnia, ani dokładnej funkcji – co zaoszczędziło jej konieczności przedstawiania się.

– Jesteście z antynarkotykowego wydziału śledczego? – spytał porucznik.

– U nas nazywa się to DCO, wydział do spraw przestępczości zorganizowanej, ale nie, byliśmy akurat na dyżurze, w razie potrzeby przekazemy im informację.

– Przejmujecie sprawę?

– To zależy, co tu właściwie mamy.

Zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem, a potem wskazał oświetlony obszar nieopodal.

– Trzy kostki haszyszu, a przede wszystkim wielką torbę z podejrzanymi saszetkami, nie jestem ekspertem. Wolałem od razu do was zadzwonić, na wypadek gdyby gość okazał się starym znajomym naszych kolegów z antynarkotykowego.

– Powiadomił pan CIC<sup>3</sup>? – zapytał Guilhem.

– Oczywiście, powinni tu być lada moment.

Mężczyzna, około trzydziestki, z pociągłą, nieco surową twarzą, wyróżniał się bystrym spojrzeniem. To dobry znak, pomyślała Ludivine, być może nie przyjechali na darmo.

– Poczekajmy na nich i nie zanieczyszczajmy niepotrzebnie miejsca zdarzenia – przypomniała śledcza. – Jak się pan nazywa?

– Porucznik Picard.

– Odwalił pan kawał dobrej roboty.

Wkrótce zjawiała się ciężarówka CIC i jeden z techników rozpoznał Ludivine, którą spotykał przy okazji wcześniejszych spraw. Postanowiła to wykorzystać.

– Znajdą się dla nas stroje? Wolałabym nie tracić czasu i od razu rzucić na to okiem.

Mężczyzna zawahał się, a następnie wskazał jeden z pojemników w tyle w pełni wyposażonej ciężarówce. Parę minut później Ludivine i jej kolega mieli na sobie białe kombinezony z kapturem w zestawie z maską, rękawiczkami i osłonami na buty.

Ludivine weszła w jasno oświetlony reflektorami prostokąt i natychmiast zauważyła ciemnoczerwone smugi ciągnące się wzdłuż podkładów, a potem fragmenty ciała. Występowały we wszystkich rozmiarach, z niektórych przebijała złamana kość, na innych widniały paski skóry, ale większość była jedynie purpurową masą. Lśniącymi pąkami śmierci. Ludivine zanotowała w pamięci, że jest ich coraz więcej, w miarę jak oddala się od pociągu. Powoli wypuściła powietrze przez nos. Nie miała ochoty oglądać więcej. Naprawdę. Zaczęła żałować spokojnego wieczoru na kanapie i przeklęła rządzące życiem przypadki, które sprawiły, że tego dnia pełni dyżur.

Jej wzrok powędrował wzdłuż szyn i natrafił na mężczyznę leżącego na boku zaledwie



kilka metrów dalej, pomiędzy dwoma torami. Stracił nogi poniżej kolan i wszystko powyżej szczęki. Ta wisiła luźno, upstrzona kropelkami krwi, groteskowa. Wówczas Ludivine dostrzegła samotny reflektor stojący dużo dalej i pojęła, że oświetla on inny kawałek. Wróciła do umundurowanego porucznika, który trzymał się na uboczu, żeby nikomu nie przeszkadzać, jego uwagi nie uchodziło jednak nic z tego, co się wokół działo, zwłaszcza poczynania techników do spraw identyfikacji kryminalnej, którzy zaczęli rozstawiać na ziemi znaczniki sygnalizujące umiejscowienie poszczególnych dowodów.

– Punkt zderzenia jest tam? – spytała, opuszczając papierową maskę.

– Tak sądzimy – potwierdził porucznik. – Tam też leży torba z narkotykami.

– I tam znajduje się głowa?

– To, co z niej zostało.

– A dolna część nóg?

– Nadal szukamy. Strażacy mówią, że mogą być gdzieś pod wagonami, rozsmarowane kołami na całej długości składu. To się czasem zdarza.

Ludivine uniosła brwi, już wykończona tą krwawą eskalacją. Podeszła do ciała i ostrożnie je okrążyła, a potem przykucnęła, by mu się przyjrzeć.

Ramiona były uniesione i znieruchomiałe powyżej torsu, dłonie otwarte, jakby nieboszczyk chciał się bronić przed uderzeniem. Brakowało kilku palców, bez wątpienia oderwanych, gdy walnęła w niego lokomotywa.

Zbliżył się Guilhem, który rozmawiał z innymi świadkami, jego kombinezon szeleścił przy każdym kroku.

– Maszynista nic nie widział? – zagadnęła.

– Jak możesz zauważyć, znajdujemy się na zakręcie, a on jechał z prędkością ponad siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, zwłoki leżały na torach, maszynista jest tego pewien, gdyby było inaczej, spostrzegłby, jak facet rzuca się pod pociąg. Na szczęście nie wiozł pasażerów, więc mógł bez żadnych konsekwencji pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa. Skład zatrzymał się tam, gdzie teraz stoi. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ciało tylko przemieściło się nieznacznie w stosunku do pierwotnego miejsca zderzenia. Pociąg powlókł za sobą kilka kawałków, ale korpus, równiutko odcięty, przeleciał ledwie kilka metrów i wylądował tutaj.

Spodnie do biegania zrolowały się wokół bladych ud zmarłego, odsłaniając kolorowe bokserki. Postrzępiona koszulka ukazywała dość umięśniony, lecz porozrywany męski brzuch, w wyniku kolizji skóra rozdarła się jak zwykła przepełniona torba, a jelita wypadły na nasyp.

Żandarm kontynuował przemowę:

– Obok lokomotywy stoi jeden z naszych kolegów z brygady z maszynistą i facetami od kolei państwowych. Mówią, że trzeba tu szybko posprzątać, bo kontrola ruchu chce korzystać z tej trasy od wczesnego rana, w godzinach szczytu. Wygląda na to, że nawet

kiedy mamy do czynienia z miejscem zbrodni, priorytetem jest przepustowość. – Ludivine burknęła coś na znak niezadowolenia, ale nie skomentowała. – Widziałas, jak zjechały mu gacie? – ciągnął Guilhem. – Dziwne, nie? Poza tym w górnych kończynach można zaobserwować stężenie pośmiertne, które nie pojawia się wcześniej niż po trzech czy czterech godzinach i maksymalny poziom osiąga mniej więcej po dziesięciu, a przecież do wypadku doszło półtorej godziny temu. Było już tak, kiedy zjawili się żandarmi, potwierdził mi to porucznik Picard. Facet nie żył od jakiegoś czasu, zanim przejechał go pociąg! To się nie trzyma kupy.

– Sam do tego wszystkiego doszedłeś? – zdumiała się Ludivine, która znała zakres kompetencji kolegi, ale również jego braki.

– Nie, przyznaję. Picard chyba się w tym orientuje. Ambitny gość. To on pokrótce objaśnił mi sytuację. Kiedy na dokładkę zobaczyli prochy, postanowił od razu do nas zadzwonić.

W okresie, gdy przesadzała ze wszystkim, Ludivine przeczytała i wykuła na pamięć dziesiątki podręczników kryminologii po francusku i po angielsku. Potrząsnęła głową, przypominając sobie, co wie na temat tego typu wypadków.

– Zderzenie z pociągiem jest tak gwałtowne, że może zerwać ofierze ubranie albo pozwijać je w ten sposób, a czasem nawet ją usztywnić, „uwięzić” w danej chwili, do tego stopnia, że stan ten można pomylić z klasycznym stężeniem pośmiertnym. Nie jestem lekarką sądową, ale poszarpana tkanka poniżej kolan wygląda dokładnie tak, jak należałoby się spodziewać po zetknięciu z kołami kolejki. Poza tym obok śladów cięcia widnieją smugi smaru, to potwierdza moją hipotezę.

– Zrobiłem szczegółowy obchód – nalegał Guilhem – i mogę cię zapewnić, że krew została rozprowadzona w wyniku zderzenia, ale nie ma dowodów na to, że później nadal tryskała, żadnych rozbryzgów wokół korpusu, jakby serce momentalnie przestało bić. Czy to możliwe?

Ludivine posłała mu krótkie zaciekawione spojrzenie.

– Picard obszukał zwłoki?

– Nie, przeprowadził tylko badanie wizualne, żeby na szybko wyrobić sobie zdanie, ale niczego nie zanieczyścił.

Mimo agresywnej jasności spływającej z reflektorów Ludivine wyjęła z kieszeni kurtki małą latarkę, skierowała ją w stronę fałd na zwłokach i przyjrzała się kilku upartym cieniom. Nie dostrzegła niczego szczególnego, ale na dłużej zatrzymała się nad gardłem. Powyżej z mężczyzny została już tylko zuchwa. To, co przeżył, co czuł, jego pamięć zmysłowa, historia, wszystko, co go definiowało, zostało porwane, raz na zawsze unicestwione wśród zgrzytu stali, w mgnieniu oka. Ludivine przesunęła się ku przedramionom, a później ku dłoniom. Brakowało dwóch palców, a trzy były kompletnie odłączone od ciała. Kilka złamanych paznokci sterczało niczym koniuszki kości. Kobieta pochyliła się jeszcze niżej

i trwała nieruchomo przez kilkanaście sekund, wachając z zaintrygowaną miną, a następnie przyjrzała się dłoniom, omiatając każdy ocalały palec promieniem latarki.

– Nie, to nie jest robota dla DCO – rzuciła, ledwie poruszając wargami.

Tym razem Guilhem zrobił krok w jej stronę.

– Mimo narkotyków? – dociekał.

Ludivine wskazała powykręcane dłonie.

– Ten człowiek albo nosił bransoletki, które w chwili zderzenia zacisnęły się wokół nadgarstków, a potem się zerwały i upadły gdzieś dalej, albo przed śmiercią miał związane ręce.

Guilhem również się nachylił.

– O cholera.

– A widzisz paznokcie? Nie są jego. Niektóre mają warstwę lakieru. Przyklejono je na jego własnych. Nie ten rozmiar, nie ten kształt.

– Myślisz, że to transwestyta?

– Nie, myślę, że to morderstwo.

## 6

Do parowu docierało echo ruchu ulicznego, tłumione przez odległość i ekrany akustyczne. Ludivine utrwałała sobie to miejsce w pamięci. Długi zakręt torów kolejowych, te piekielne szyny, niekończąca się gilotyna łącząca ludzi ze sobą. Jednak tym razem jednego z nich pocięła na kawałki.

Guilhem, wciśnięty w nieskazitelny kombinezon, który ledwie mieścił jego parkę i szalik, podszedł, żeby porozmawiać z koleżanką z dala od ciekawskich uszu.

– Lulu, nie daj się ponieść. Nie byłby to pierwszy samobójca, który przed śmiercią związał sobie ręce. Niektórzy, gdy dotrą do kresu wytrzymałości, potrafią zdziałać cuda, byle im się udało.

– Na nadgarstkach nie widać żadnych więzów.

– Sama wysnułaś hipotezę: zerwała je siła uderzenia. A jeśli to narkoman, który zwinął towar dilerowi i próbował tędy uciekać, wyjdziemy na idiotów. To, że paznokcie nie są jego, o niczym nie świadczy, stykaliśmy się już z popaprańcami tego gatunku. Może się puszczał, żeby zarobić na działkę, a po strzale w żyłę osunął się na tory.

– Brak śladów wkłuc na nadgarstkach.

– Może kłuł się w ramię, pod kolanem, w udo, bo ja wiem! Albo palił crack...

– Wąchałeś go?

– Co proszę?

– No dalej, nachyl się i przysuń nos do trupa.

– Nie, dziękuję, nie lubię smrodu mięcha.

– On cuchnie wybielaczem. Tak bardzo, że powinieneś to wyczuć, nawet stojąc prosto. Nie powiesz mi chyba, że przed wyjściem wykąpał się w wybielaczu, żeby się zdezynfekować?

Guilhem się zawahał. Uniósł do ust elektronicznego papierosa i łąpczywie zaciągnął się dymem, który pachniał cynamonem.

– Wiesz, że jest późno, jutro sobota, na dodatek święto – przypomniał – co oznacza, że trzeba będzie zakłócić spokój całej masie ludzi, przekonać prokuratora, który prawdopodobnie będzie w nie najlepszym humorze, poradzić sobie z presją wywieraną przez przedstawicieli kolei, którzy mają w dupie, ile normalnie zajmuje naszym ekipom zbadanie podobnego miejsca zdarzenia, chcą tylko pozbyć się nas przed świtem. No i oczywiście ze względu na statystyki lepiej by było, gdybyś nie otwierała śledztwa w sprawie zabójstwa, jeśli w rzeczywistości chodzi najpewniej o wypadek. Krótko mówiąc, czy jesteś gotowa

rozpętać wielką zadymę, która wszystkich wkurwi?

– Nie czuję tego, Guilhem, zaufaj mi. Facet leżał na torach, a porucznik Picard się nie myli: zauważył kilka anomalii, z których każdą można zapewne wytłumaczyć siłą kolizji, ale łącznie trochę tego za dużo. Wołałabym, żebyśmy przejęli sprawę. Przynajmniej do czasu, aż zidentyfikujemy gościa i dowiemy się więcej na jego temat. Pasuje ci to?

– To twoja odpowiedzialność, przedstawiłem ci swoje zdanie, ale zachowam się solidarnie.

– Tak czy siak, nie masz wyboru, jesteś moim aniołem stróżem, pamiętasz?

Ludivine nazywała go tak, odkąd pół roku temu Guilhem ocalił jej życie. Bała się, że ich relacja ulegnie zmianie, że zrobi się niezręcznie, ale po jego weselu, a przede wszystkim gdy znów zaczęli razem pracować, jej obawy się rozwiały. W ostatecznym rozrachunku ich poczucie współnictwa, niemal braterstwa, jedynie się umocniło.

Kobieta uniosła głowę i ruszyła wolnym krokiem, z zadumanym wyrazem twarzy.

– O czym myślisz? – zagadnął Guilhem.

– Nastąpiło stężenie, ciało ostygło. Nie jestem specjalistką, ale sądzę, że nie żyje już od dłuższego czasu. W ciągu dnia, a nawet wieczorem przejeżdża tędy pewnie całe mnóstwo pociągów...

– Chcesz powiedzieć, że miejsce znalezienia zwłok nie jest miejscem zbrodni?

– Takie mam wrażenie.

– Spytamy kontroli ruchu, kiedy przejeżdżał tędy poprzedni pociąg, to da nam dokładny przedział czasu, w którym podrzuciono trupa.

Ludivine wskazała zachodnie zbocze parowu, w którym się znajdowali.

– Ekran akustyczny ma z pięć metrów wysokości, nie mogli przejść tamtędy. Zostaje tylko skarpa, po której się tu dostaliśmy.

– Wszyscy korzystali z tej drogi, jeździły po niej auta, zdeptali ją ludzie, całkiem zniszczyliśmy wszelkie ewentualne ślady.

– Na to właśnie liczył winny lub winni.

– Och, zagalopowujesz się, Lulu! Trochę za daleko posuwamy się w tych spekulacjach. Wiesz równie dobrze jak ja, że mordercy rzadko bywają tak przebiegli.

Wyciągnęła ręce w stronę miejsca zdarzenia.

– Ofiara nie żyła, zanim ją tu położono. Po co zadawać sobie tyle trudu w celu jej przetransportowania? Po co ryzykować, że ktoś cię przyłapie? Wystarczyło porzucić zwłoki w pierwszym lepszym ustronnym zakątku, w lesie, na łące na odległym przedmieściu. Ale nie, autor tej zbrodni dotarł aż tutaj z trupem pod pachą. Musiał mieć dobry powód, żeby tak się wysilać. A może winnych jest kilku?

Guilhem wskazał górną krawędź zbocza, gdzie niewidoczne z dołu koguty migały hipnotyzującym stroboskopowym światłem.

– Może zabili go na górze i ot, cała tajemnica.

– A potem odczekali parę godzin, aż pojawi się stężenie pośmiertne, po czym ściągnęli go na dół między dwoma pociągami? Nie, coś tu się nie klei. Spójrz, jesteśmy na zakręcie. Wiedzieli, że maszynista nie zauważy go w porę i nie zdąży zahamować. Chcieli, żebyśmy go znaleźli, przy okazji, ku własnej wściekłości, zacierając wszelkie ślady.

– Mordercy zazwyczaj nie chcą, żebyśmy znajdowali ich ofiary, w tej twojej historii brakuje logiki.

– Jak myślisz, dlaczego tak dokładnie wymyli go wybielaczem? Żeby usunąć całe DNA. Chcą przekazać wiadomość. Może to jakieś wyrównanie rachunków między dwoma gangami handlarzy narkotyków?

Wargi Guilhema wygięły się w grymasie. Wiedział, że Ludivine głośno myśli, pomagało jej to w rozumowaniu. Sama nie była całkowicie przekonana do swoich teorii, jednak wyartykułowanie ich pozwalało jej wyciągnąć z nich to, co najlepsze, i wyłapać niedociągnięcia. Testowała je na głos, jak Flaubert. Flaubert z dochodzeniówki.

– Z czego się śmiejesz? – zdziwiła się kobieta.

– Z niczego. Powiedz, jeśli naprawdę w to wierzysz, to jak wytłumaczysz obecność narkotyków? Nie znam ani jednej siatki, która pozwoliłaby sobie na porzucenie towaru.

Ludivine przytaknęła nieznacznym ruchem głowy i odwróciła się w stronę samotnego reflektora. Później ruszyła przed siebie i pokonała dwadzieścia metrów dzielących ją od pęcherzyka jasności wśród mroku. Od razu zauważyła plamę obscenicznego szkarłatu, która niewątpliwie była głową, i postanowiła się przy niej nie zatrzymywać. W którymś momencie będzie musiała to zrobić, ale nie teraz. Dotarli do punktu zderzenia. Ludivine obróciła się plecami do fragmentu ciała i ujrzała, jak Guilhem przykuca obok czarnego plecaka. Dłońmi w jednorazowych rękawiczkach ostrożnie uniół klapę.

– Co tam mamy? Kokę? Herę? Duże ilości?

Zanim Guilhem przystąpił do delikatnego przeszukania, zważył plecak w rękach.

– Ciężki. Wyładowany. Widzę trzy bloki żywicy konopi indyjskich i... wielką paczkę... O cholera.

Wyjął przezroczystą plastikową torebkę z rysunkiem czarnej ośmiornicy, której cielsko przypominało trupa czaszkę. W środku, w ostrym świetle reflektora, połyskiwały drobne białe kryształki. Lśniły niczym diamenty należące do samej kostuchy – była to jej ulubiona, najskuteczniejsza ozdoba.

Ludivine natychmiast je rozpoznała i bezwiednie cofnęła się o krok.

Jej serce zaczęło bić szybko.

Bardzo szybko.

Polano płonęło w kominku, trzaskając cicho, co Ludivine zaraz skojarzyło się z odgłosami wydawanymi przez rozgrzewającą się fajkę do palenia cracku. Przekłęte skrzywienie zawodowe. Odłożyła książkę, którą kartkowała, by zająć myśli czymś innym – zabieg wyraźnie nie działał.

Zaparzyła żeńszeniową herbatę i dołąła mleka. Uruchomiła wieżę stereo i włączyła tkwiącą już w odtwarzaczu płytę Boba Dylana. Ludivine nie całkiem poddała się jeszcze cyfryzacji, która opanowywała planetę. Otaczanie się tym, co kochała, dodawało jej otuchy. Czy chodziło o książki, albumy muzyczne, czy o stare płyty DVD, które zbierały kurz na regałach w salonie. Niepokoiła ją ta ciągła digitalizacja, ludzkie pasje traciły cielesność, zostawała z nich tylko przechowywana cyfrowo dusza. Stopniowo zaczynamy otaczać się ledwie widmami przyjemności, myślała. Czy pozbawienie formy wszystkiego, co dostarcza człowiekowi rozrywki, stanowi pierwszy niezbędny krok, by któregoś dnia także on sam przeniósł się do niematerialnego wymiaru?

Gitara zagrała pierwsze akordy *Blowin' in the Wind* i legendarny głos wypełnił całe pomieszczenie, odbijając się od czerwonej cegły i zagłuszając trzaskanie ognia. Dźwięki były głośne, lecz Ludivine nie czuła potrzeby, żeby je ściszać. Popijała herbatę niesioną melodią, melancholią bijącą z piosenki, rozdarta między kojącym falowaniem muzyki a zatrwającymi dociekaniem jej pragmatycznego umysłu.

Gdy rozpoczynała jakieś śledztwo, miała problem z odpoczywaniem, z całkowitym odcięciem się.

Wróciła do domu późno w nocy, przespała kilka godzin i szykowała się na pracę przez cały weekend. Guilhem miał czekać na nią około południa w biurze wydziału śledczego, dla przyjaciół WŚ. Segnon zadzwonił, oferując wsparcie, i uzgodnili, że o jedenastej trzydzieści zjawi się u Ludivine. Kobieta dopiero co wyszła spod prysznic, włosy wciąż miała wilgotne, jasne loki, jeszcze bardziej niesforne niż zwykle, opadały na duże niebieskie oczy, które przenikliwie patrzyły na świat.

Olbrzym włożył obszerne spodnie z dresu, adidas i bluzę z kapturem ledwie mieszczącą jego muskulaturę. Ściszył grzmiącą wieżę, która w kółko odtwarzała płytę Dylana.

– Widzę, że się dziś wystroiłeś – zakpiła Ludivine.

– Wyciągasz mnie z łóżka w sobotę rano, na dodatek w święto, nie spodziewałaś się chyba, że przyjdę pod krawatem?

– Laëti źle to przyjęła?

– Nie sądzę, nie.

Ludivine, która знаła kolegę na wylot, odniosła wrażenie, że zabrzmiała w tym nutka cynizmu.

– Jak wam się teraz układa?

– Wszystko zależy od dnia.

– Nadal śnią jej się koszmary?

– Rzadko, przynajmniej pod tym względem jest lepiej. Za to ciągle bolą ją nerki i plecy. Nie chodzi już do psychologa, co moim zdaniem jest głupotą, ale ona mnie nie słucha. Jednego ranka jestem bohaterem, który ratuje ludziom życie i powinien całkowicie poświęcić się pracy, a nazajutrz egoistą, który za dużo ryzykuje, a za mało myśli o swojej rodzinie.

– Daj jej czas. Wiesz, dla niej to też trudne.

Oczy Segnona otwarły się szerzej i w półcieniu kaptura błyszcząły niczym dwa zaniepokojone księżycy.

– Jestem przy niej, gotów do pomocy, ale przyznaję, że trudno mi zrozumieć jej nagłe zmiany nastroju i radzić sobie z nimi.

– Bądź cierpliwy. Jest uparta, stopniowo pozbędzie się toksycznych wspomnień. Przeżyła w tym autobusie kurewsko dużą traumę. – Ludivine wiedziała, co mówi. Sama doświadczyła wielu dramatów, po których wciąż dochodziła do siebie. – Ale musisz ją skłonić, żeby dała sobie zbadać plecy – dodała.

Segnon skinął głową.

– Dobra, a my tej nocy zgarnęliśmy główną nagrodę na loterii, czy tak? – rzucił.

– Guilhem ci mówił?

– O dragach? Jesteście pewni, że to to?

– Tak, ten sam wygląd, te same torebki z ośmiornicą w kształcie czaszki. To zmodyfikowane sole kąpielowe.

Ów narkotyk, znany też jako „flakka”, zaczął masowo pojawiać się na początku roku, kiedy wydział śledczy tropił człowieka nazywanego przez niektórych Diabłem. Była to przerażająca mieszanka substancji chemicznych. Benzylopipezyna, LSD, ketamina i metamfetamina w ściśle odmierzonych dawkach powodowały przedłużoną, orgazmiczną euforię, ale również całkowitą utratę zahamowań, rosnący stres, kompletne zachwianie zdolności oceny moralnej, halucynacje oraz zdwojoną wrażliwość na doznania – zarówno te prawdziwe, jak i będące jedynie wytworem wyobraźni. Flakka przekształcał łagodnego baranka w zdolnego do wszystkiego satyra, później zaś następował spadek aktywności, tak obezwładniający, że zmieniał konsumentów w powolne, śliniące się zombie pozbawione kontaktu z rzeczywistością. Odkąd narkotyk zalał rynek amatorów silnych wrażeń, odnotowano liczne deliria powiązane ze wzrostem niesłychanej przemocy. Użytkownicy bagatelizowali skutki uboczne, twierdząc, że do brutalnych zrywów doszło tylko



w odosobnionych przypadkach, a stosunek jakości do ceny z niczym nie może się równać, co czyniło mieszankę wielce pożądanym artykułem na rynku narkotykowym. Pod jej wpływem noc rozciągała się w nieskończoność, a przyjmujące narkotyk osoby zyskiwały nieznaną dotąd energię, odczuwały pełnię radości życia i zwielokrotnioną rozkosz seksualną. Mogły świętować dwa dni bez przerwy, nie czując głodu ani pragnienia. Ale skoro sięgnęły szczytu, niechybnie następował upadek z wysoka. A wtedy zdarzały się regularne utraty pamięci, przebłyski delirium, a czasem zaburzenia osobowości prowadzące nawet do drastycznych samookaleczeń lub wyjątkowo brutalnych ataków. W repertuarze następstw zgłaszanych wielokrotnie od początku roku widniały samobójstwa, śmiertelne wypadki, zawały serca, autokastracja, a nawet kanibalizm.

Podobnie jak sejsmologowie czekają na The Big One, wielkie trzęsienie, które zetrze z powierzchni ziemi Kalifornię, a wirusologowie na odmianę H5N1, która wywoła pandemię, toksykologowie od dawna obawiają się, że pojawi się narkotyk równie uzależniający, co destrukcyjny dla psychiki. Spodziewana plaga nadeszła w postaci substancji flakka. W świecie narkotyków pandemiczne „Big One” już istniało i zataczając coraz szersze kręgi, docierało, co wyjątkowe, zarówno do ćpunów, jak i do środowisk ludzi nocy, do konsumentów okazjonalnych, a nawet do najmłodszych ciekawskich poddawanych presji społecznej na rozpasanych imprezach.

– Trzeba będzie współpracować z Yves'em i chłopakami z DCO – westchnął Segnon. – Skoro mamy prochy, to robota dla nich.

– Taki jest plan. My skoncentrujemy się na zmarłym i jego zabójcy lub zabójcach. Jeśli zidentyfikujemy siatkę narkotykową, pułkownik zdecyduje, kto dalej poprowadzi jej sprawę, ale sądzę, że oddamy to dzieciątko DCO. Niech każdy trzyma się swojej działki. My się zajmujemy morderstwem.

– Jakież tropy na dobry początek?

– Na razie wszystko jest mętne. Trzeba było pracować szybko, żeby nad ranem otworzyć linię dla ruchu pociągów, więc TK działali trochę po omacku na rozległym i skomplikowanym terenie. Zebrali co najmniej dziewięćset próbek, pety, gumę do żucia, różne odpadki, z których większość, o ile nie wszystkie, należały przypuszczalnie do tysięcy podróźnych codziennie mijających to miejsce i wyrzucających śmieci przez okno wagonu. Ale trzeba było to zrobić. Mało prawdopodobne, żebyśmy dostali budżet na ich analizę.

Odkąd Ludivine zaczęła wykonywać swój zawód, przyczynę jej największych frustracji stanowiła świadomość, że sprawiedliwość kosztuje. Prawdę trzeba kupić. Cena każdego badania DNA wynosiła kilkaset euro, a na przeciętnym miejscu zbrodni nierzadko pobierano z tysiąc próbek, czasem dużo więcej. Jeśli dodać do tego nadgodziny śledczych i ekspertów, koszty dojazdów oraz zwykłe wydatki związane z funkcjonowaniem wszystkich służb niezbędnych do przeprowadzenia śledztwa, najmniejsza sprawa generowała rachunki opiewające na co najmniej pięciocyfrową, a często sześciocyfrową kwotę, opłaty nierzadko

przekraczały nawet milion euro. Każdy sędzia patrzył na rosnącą stertę podań, a budżet Ministerstwa Sprawiedliwości topniał z tygodnia na tydzień, tak że nieraz odrzucano prośby śledczych o wykonanie prostego badania, uznanego wszak za „niekonieczne” ze względu na cenę.

– W sprawie ćpuna, który być może popełnił samobójstwo? – zadrwił Segnon. – Możesz zapomnieć o analizach DNA za ponad dwieście tysiaków! Co jeszcze mamy?

– Okoliczności i miejsce.

– To znaczy?

– Gadałam z IML i powiedzieli, że to nie priorytet, więc autopsję przeprowadzą najwcześniej w poniedziałek rano, ale jestem pewna, że facet nie żył już od dłuższego czasu, zanim porzucono go w tej dziurze.

– Co powiedział lekarz obecny na miejscu?

– To samo. Stężenie było zbyt zaawansowane nawet przy założeniu, że zderzenie z pociągiem usztywniło gościa. Potwierdzi to lekarz sądowy.

– Plamy opadowe zgadzały się z pozycją ciała?

– Od kiedy to interesujesz się plamami opadowymi?

– Moja partnerka operuje tylko żargonem kryminalistycznym, siłą rzeczy musiałem się przystosować.

Na ustach Ludivine pojawił się uśmieszek rozbawienia.

– W tej kwestii nie wiemy nic rozstrzygającego. Gościa pocięto na kawałki, część powłókł za sobą pociąg, zwłoki zostały wstrząśnięte, krew rozprowadzona wszędzie wokół, nic z tego nie będzie. Za to poprzedni maszynista mówi, że kiedy przejeżdżał tamtędy dziesięć minut wcześniej, niczego nie widział.

– Co oznacza, że trupa podrzucono o której?

– Między dwudziestą drugą pięćdziesiąt a dwudziestą trzecią. Zabójca lub zabójcy chcieli, abyśmy go znaleźli, w przeciwnym razie nie zadaliby sobie tyle trudu, żeby zaciągnąć go aż tam.

– To wiadomość dla innych dilerów? Porachunki gangów?

– Być może nazwisko zmarłego pozwoli nam to ustalić. To dość odludne miejsce, trudno dostępne. Prowadzi do niego tylko jedna droga i wszyscy przejechaliśmy nią, żeby się tam dostać. Nie wiem, czy to zaplanowali, ale tak czy siak, z punktu widzenia morderców korzystnie się złożyło. No więc od tej strony nie ma co liczyć na jakikolwiek ślad. Powinniśmy byli to przewidzieć. Niedaleko leży parę miasteczek, zobaczymy, czy tam uda się odkryć tożsamość naszego człowieka.

– Ale dlaczego zostawili cały towar? To idiotyczne... Nie, coś tu nie pasuje!

– Jest kilka elementów, które nie mają sensu. Cała sprawa już z daleka śmierdzi przekrętem i dlatego mnie interesuje.

Segnon wskazał dużą kuchnię.

– Zrobisz mi kawę?

Komórka Ludivine zadzwoniła, gdy kobieta kierowała się w stronę szafek. Zobaczyła, że na ekranie wyświetla się imię Guilhema, odebrała więc i włączyła głośnik.

– Hulk jest u ciebie? – spytał żandarm tytułem wstępu.

– Słyszę cię, ty wstrętny żółtku!

– Tobie również dzień dobry, Segnonie.

– Już jedziemy – rzuciła Ludivine.

– Lepiej tak zróbcie. Wcześniej przysiadłem do roboty i opłaciło się: mamy nazwisko naszego nieboszczyka. Żaden z niego nieznajomy.

## 8

Paryski wydział śledczy miał siedzibę w dziewiętnastowiecznym budynku dawnych koszar biura akcyzowego, niedaleko porte de Bagnolet. Była to pięciopoziomowa konstrukcja w kształcie litery U wzniesiona z szarego kamienia, z mnóstwem wysokich wąskich okien wychodzących na ulicę i mały dziedziniec, które niczym czujni strażnicy obserwowały miasto.

Ludivine, Segnon i Guilhem zajmowali pomieszczenie na pierwszym piętrze, które w całości skolonizowali, kierując się osobistymi gustami oraz obowiązującymi schematami, jakby wszyscy śledczy na świecie odczuwali instynktowną potrzebę, by otoczyć się totemami radości i dzięki nim móc stawiać czoło potwornościom swojego zawodu. Przestrzeń należąca do Guilhema zdawała się najbardziej karykaturalna, wisiały tam bowiem plakaty z filmów *Podejrzani* i *Siedem* rozdzielone proporczykiem klubu piłkarskiego Paris Saint-Germain. Segnon był zbieraczem. Z na wpół rozpakowanych paczek budował barierę między sobą a resztą świata. Płyty DVD, wciąż w celofanowych osłonkach, jeszcze nieczytane komiksy, wszystko, co kupował w Internecie i kazał przysyłać na biurowy adres, pachany kompulsywną gorączką tropiciela dobrych okazji. Ludivine przez długi czas miała doskonale uporządkowane biurko, wolne od wszelkich osobistych akcentów. Niedawno odczuła potrzebę zagospodarowania swojej przestrzeni, dlatego najpierw umieściła w niej kubek New York Giants należący do dawnego kolegi Alexisa oraz dużą świecę o pizmowym zapachu, a później zakryła ścianę za fotelem dwoma regałami z Ikei i poupychała na nich książki z zakresu kryminalistyki. Jedyne zagadka wiązała się z niewielką kolekcją, która powoli opanowywała jej półki: składała się z pstrokatych zabawek z jajek niespodzianek. Ludivine nie wiedziała, kto bawi się w przystrojanie jej biblioteczki, i gdy co tydzień odkrywała kilka nowych figurek, ogarniała ją szaleńcza frustracja. Ani Guilhem, ani Segnon nie jadal przy niej czekolady, autorem żartu mógł być ktokolwiek z WŚ. Najbardziej podejrzani wydawali się śledczy z zespołu Magali, pracujący po drugiej stronie korytarza. Ben i Franck zawsze byli spragnieni dobrych dowcipów. Jakkolwiek by było, to bezowocne śledztwo co tydzień służyło Ludivine za rozgrzewkę po krótkim odpoczynku, stanowiło też przypomnienie, że nie powinna traktować samej siebie zbyt poważnie, i wprowadzało nieco lekkości do pokoju, do którego w każdej chwili wtargnąć mogło to, co najmroczniejsze.

Owej soboty, jedenastego listopada, na piętrze panowała niemal niepokojąca cisza. Było tylko ich troje, po drodze nie spotkali nikogo.

Guilhem, ubrany w jedną z typowych dla siebie przesadnie kolorowych koszul, przyłożył

świeżo wydrukowaną kartkę do białej ścieralnej tablicy i przytrzymał ją magnesem w kształcie odznaki amerykańskiej policji.

Pod szopą ciemnych, kręconych włosów widniała nieprzystępna twarz zwrócona prosto w stronę obiektywu, mężczyzna miał spuszczone wzrok, podkrążone oczy, ciężkie powieki, duży spłaszczony nos, niedogolone policzki i rysy zgrubiałe w wyniku krótkiego życia przepełnionego smutkami. Był w okolicach trzydziestki, a na szczęce, podbródku i czole nosił kilka małych blizn.

– Laurent Brach – przedstawił go Guilhem. – Potwierdzenie jego tożsamości czekało w mojej skrzynce mailowej dziś rano, jego odciski widnieją w FAED.

Ludivine ubawiła się w duchu z tego wstępu. Rzeczywistości daleko było do scen z filmów i seriali, w których odciski palców błyskawicznie migają na ekranie, a w przypadku zgodności natychmiast podświetlały się na czerwono. Codziennosc śledczych ograniczała się do maila informującego, że odcisk odpowiada nazwisku z archiwum FAED. Żadnej syreny, żadnych pulsujących, pikających światełek wokół ogromnego ekranu, a nawet żadnego ekranu, na którym można by podziwiać cyfrowy skan. Tylko zwykły mail wśród wielu innych.

– Za co był notowany? – spytała Ludivine.

– Według TAJ lista jest długa. Zaczyna się od młodzieńczych wybryków: rozróby, niszczenie mienia, posiadanie substancji odurzających, a potem stopniowo robi się gorzej, aż dochodzi do kradzieży w magazynie sprzętu gospodarstwa domowego. Stamtąd trafił do Villepinte na krótki pobyt za kratkami i przez następne półtora roku nie broił, a przynajmniej nie dał się złapać. Później wjechał samochodem w bankomat i znów go przyskrzynili. Tym razem wysłano go do Fresnes, na dużo dłużej. Od tamtej pory cisza.

– Kiedy wyszedł? – chciał wiedzieć Segnon.

– Dwa lata temu.

– Później nie było już żadnych zgłoszeń? – upewniła się Ludivine.

– Zero. Znamie mnie, jestem z tych skrupulatnych. Podczas gdy wy próżnowaliście u Lulu, popijając kawkę, ja grzebałem w necie, żeby sprawdzić, czy wyskoczy coś na temat Laurenta Bracha. Wiem, że zawsze mieszkał w okolicach Corbeil, w dziewięćdziesiątym pierwszym departamencie, mam też datę urodzenia i zdjęcie, to oszałamiające, ile można znaleźć w sieci i w mediach społecznościowych!

– Odszukałeś go? – zdumiał się Segnon.

– Tak sądzę. A przede wszystkim, dzięki Facebookowi i pokrewnym serwisom, znalazłem dziewczynę, która twierdzi, że jest żoną niejakiego Laurenta Bracha, jedno z zamieszczonych przez nią zdjęć praktycznie rozwiewa wszelkie wątpliwości. A ponieważ jako miejsce zamieszkania podała Corbeil-Essonnes...

– Ożenił się? Mają dzieci?

– Na podstawie zdjęcia profilowego tej babki można tak przypuszczać, pozuje

z chłopczykiem na rękach.

– Więc znalazł miłość i wyszedł na prostą – podsumowała Ludivine. – Przynajmniej oficjalnie. Corbeil leży niedaleko miejsca, gdzie znaleźliśmy zwłoki. Mieszkał w pobliżu torów kolejowych?

Guilhem skinął głową.

– Kilka miesięcy temu zarejestrował samochód, podając adres na jednym z osiedli widocznych u góry nasypu.

– To jaki jest scenariusz? – spytał Segnon. – Wychodzi z kicia, żeni się, płodzi jedno lub dwoje dzieci, uświadamia sobie, że nie powinien już rozrabiać, a przynajmniej musi postępować ostrożniej, ale to silniejsze od niego, zadaje się z nieodpowiednimi osobami, miesza się w lokalny handel narkotykami i się stacza? Potrzebujemy Yves'a i jego chłopaków! Bez wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej stracimy mnóstwo czasu.

– Pozwoliłem sobie do niego zadzwonić – wyznał Guilhem. – Siedział z rodziną w domowym zaciszu, wkrótce do nas dołączy.

Ludivine pogroziła mu palcem.

– Uważaj sobie, jeśli będziesz taki wydajny, doczekasz się stopnia! Świetna robota, Guilhem. A więc oto i nasz trup. Typ z przeszłością, który po wyjściu z więzienia teoretycznie zszedł ze złej drogi. Żonaty, przynajmniej jeden syn. Dobrze byłoby się dowiedzieć, czy miał pracę, regularne dochody.

– Przed przeniesieniem do Paryża byłem audytorem finansowym w wydziale śledczym w Wersalu – przypomniał Guilhem. – Mogę zajrzeć do rejestru kont bankowych FICOBA. W ten sposób zdobędę wszystkie numery kont powiązane z ofiarą. Ale na szczegóły trzeba będzie poczekać do poniedziałku, kiedy zadzwonię do banków. W międzyczasie prześlę jego podatki, sprawdzę, co deklarował.

Ludivine wiedziała, że Guilhem wygrzebie wszystko, co się da, żeby mogli poznać osobowość Laurenta Bracha. Żandarmeria dysponowała ponad trzydziestoma rejestrami, które należało zbadać, by uzyskać pełny obraz podejrzanego. A ponieważ słynna CNIL – Narodowa Komisja Informatyki i Swobód Obywatelskich – czuwała nad tym, by nie istniały między nimi żadne automatyczne powiązania, trzeba je było sprawdzać kolejno, jeden po drugim.

– Kontynuuj, co zacząłeś. Trzeba też będzie poinformować wdowę – powiedziała kobieta z przygnębioną miną. – O ile to faktycznie właściwa osoba pod właściwym adresem. Jeżeli będzie w stanie odpowiadać na pytania, spróbuję dowiedzieć się więcej o ich życiu. Porównamy jej wersję z liczbami, które zgłaszali państwu. Guilhem, czy mogę ci powierzyć misję? Chciałabym, żebyś zlecił też badanie SALVAC.

– Tak szybko? Nie zapędzamy się trochę? I co niby mam wpisać jako cechy szczególne?

– Wszystko, co mamy. Porzucone w pobliżu narkotyki, ciało pozostawione na torach kolejowych, flakka, transwestyta, rozczłonkowanie, dodaj też, że zwłoki potraktowano

wybielaczem i porządnie wyczyszczono. Zarzuć sieci szeroko, nigdy nie wiadomo.

– A może poczekamy chociaż na wyniki autopsji?

– Nie przyjdą przed przyszłą sobotą, nie chcę tyle z tym zwlekać. Jeżeli pojawią się dodatkowe dane, rozszerzymy zakres poszukiwań przy drugim podejściu.

– Analitycy będą w siódmym niebie, że każesz im dwa razy odwalać robotę!

– Nie mój problem.

Segnon, który przyglądał się Ludivine z miną cwaniaka, nachylił się do niej.

– Znam cię na tyle, by wiedzieć, że nie wszczynasz afery wyłącznie na podstawie przecucia. Co ci chodzi po głowie?

– Miejsce znalezienia zwłok odbiega od normy. Jest w tym coś dziwnego, czego nie łąpię. Autorzy zbrodni chcieli, żebyśmy go znaleźli, w przeciwnym razie nie porzuciliby go na torach kolejowych, a jednak zostawili ciało na zakręcie, by mieć pewność, że pociąg je rozjedzie. To idiotyczne, domyślają się raczej, że nie przeszkodzi nam to w identyfikacji odcisków czy DNA zmarłego. Po co więc ta szopka? Poza tym zwłoki zostały wcześniej doskonale zdezynfekowane, gość miał doklejone nieswoje paznokcie, do tego prochy... To wszystko nie ma sensu, zupełnie inaczej, niż można by się spodziewać w przypadku zwykłej sprawy narkotykowej. Chodzi o coś innego. Jest w tym jakiś dodatkowy wymiar, coś wykraczającego poza wewnętrzne porachunki dilerów i ich przestępstwa. Chciałabym zyskać pewność, że nie mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą, która rozpanoszyła się w rejonie Paryża albo i dalej.

– Dobra. – Guilhem skinął głową. – Zajmę się tym.

Godzinę później, kiedy troje śledczych jadło dania z małej chińskiej restauracji położonej w porte de Bagnolet, każde usadowione przy własnym biurku, do pomieszczenia wsunął głowę Yves. Pracował w słynnym DCO, sekcji WŚ odpowiedzialnej między innymi za walkę z narkotykami, gdzie dowodził małą grupą uderzeniową, dobrze Ludivine znaną, gdyż wielokrotnie brała udział w jej akcjach, łącznie z tą mającą na celu przechwycenie transportu prochów, od której pół roku temu zaczęła się cała „diabelska sprawa”, jak ją teraz nazywano. Yves nie patrzył na swoich rozmówców, on świdrował ich wzrokiem. Miał proste, krótko przystrzyżone ciemne włosy, gdzieniegdzie poprzetykane siwizną. Jego usta otaczał czarny krzaczasty krąg, jakby obrys pułapki gotowej zatrzaskać się na pierwszym nieostrożnym człowieku, który zajdzie mu za skórę. Nawet kurze łapki, które zdawały się powiększać jego oczy, bardziej przypominały blizny niż zmarszczki. Jakby narkotyki w końcu wyłobiły mroczne koleiny w twarzy łowcy, który tropił je niczym nieustępliwa nemezis. A jednak z dala od terenowej presji Yves, pulchny i sympatyczny, stanowił raczej przeciwieństwo stwarzanego wizerunku. Trzykrotnie zapukał do drzwi, by dać znać o swojej obecności, i gestem zbył przeprosiny kolegów usprawiedliwiających się, że oderwali go od rodziny w sobotni poranek.

Guilhem powtórzył mu wszystko, co wiedzieli, i nagle Yves znalazł się w krzyżowym

ogniu spojrzeń trójki żandarmów, którzy wpatrywali się w niego tak, jakby dysponował kluczem do rozwiązania całej zagadki. Wzruszył ramionami.

– Już teraz mogę wam powiedzieć, że nie znamy się z waszym sztywniakiem. Jego twarz i nazwisko nic mi nie mówią. Jeszcze to sprawdzę, ale nie liczcie na wiele. Osiedle, na którym mieszkał, jest nam znane, kręcą się po nim różni handlarze, założyliśmy tam już parę kartotek, ale trzeba też będzie pogadać z moimi odpowiednikami wśród gliniarzy. Jeśli to pilne, mogę to zrobić w ciągu weekendu, dobrze się znamy, mam ich numery.

– Sposób działania nie przypomina niczego, z czym miałeś dotąd do czynienia? – spytała Ludivine.

– Nie. A dilerzy nie porzucają towaru ot, tak sobie, w każdym razie nie wtedy, kiedy chcą przekazać jakąś wiadomość.

– Może zapomnieli, sądzisz, że to możliwe? – podsunął Segnon. – Wpadli w panikę, było ciemno, podrzucili trupa i uciekli bez prochów.

– Masz ich za debili? Nie tracisz takiej ilości dragów w tak głupi sposób. Postaw się na ich miejscu, to najcenniejsza rzecz, jaką posiadasz, więc zawsze wiesz, gdzie i z kim jest, i nie spacerujesz z nią wzdłuż torów przy okazji podkładania trupa. Nie, ani przez chwilę w to nie wierzę.

– Masz jakąś hipotezę? – zachęciła go Ludivine, związując jasne pukle w nieporządną koński ogon.

– Jest tylko jeden powód, dla którego handlarze mogli zostawić torbę pełną prochów: zostali do tego zmuszeni. W ten czy inny sposób. Musieli błyskawicznie wiać i uznali, że lepiej nie mieć towaru przy sobie, na wypadek gdyby ich złapano.

Ludivine szybko zwróciła się ku Guilhemowi.

– Nie wpadliśmy na to, żeby skonsultować się z lokalną brygadą policyjną. Może przeszkodzili naszym zabójcom i rzucili się za nimi w pościg, nie zdając sobie sprawy, że w pobliżu leży trup.

– Ze wszystkich stron błyskały koguty, nadawano komunikaty przez radio – odparł żandarm w jaskrawej koszuli – sami by się z nami skontaktowali. Ale zadzwonię, nigdy nic nie wiadomo.

Yves przyglądał zarost wokół ust, zanim znów się odezwał:

– Jeśli porzucili narkotyki podczas ucieczki, prawdopodobnie wyślą gościa, żeby przeszukał teren, chociażby w celu upewnienia się, że już ich tam nie ma. Być może jest za późno, ale na waszym miejscu wyznaczyłbym kogoś do obserwacji.

Ludivine w duchu przeklęła się za to, że wcześniej o tym nie pomyślała, i rzuciła się do biurowego telefonu. Zadzwoiła do brygady żandarmerii, którą ubiegłej nocy przysłano na miejsce zdarzenia, i nalegała, by do aparatu podszedł znający teren porucznik Picard. Poprosiła go, żeby jak najszybciej wysłał tam dwóch ludzi.

– Nie róbcmy sobie żadnych nadziei – podsumowała, rozłączywszy się – ale przynajmniej



spróbowaliśmy.

Segnon podjął, zwracając się do Yves'a:

– Torebki ze zmodyfikowanymi solami kąpielowymi nie naprowadzą nas na trop jakiejś konkretnej bandy?

– Od tego lata już nie. Narkotyk dociera zewsząd. Przede wszystkim z Holandii i Niemiec. Jest niedrogi, za to superskuteczny, cieszy się ogromnym popytem, wszyscy dilerzy zaczęli go sprzedawać. Wystarczy, jak powiem, że w sektorze, gdzie znaleziono zmarłego, w dziewięćdziesiątym pierwszym, prawie każda dziura ma swoją małą siatkę. Kierują nimi grube ryby posiadające kasę i kontakty, ale sytuacja ciągle się zmienia w zależności od aresztowań, zgonów, tego, kto postanowi wynieść się ze swoją fortunką do ciepłych krajów, i tak dalej.

Ludivine wstała.

– Na razie nie wiemy nawet, czy Laurent Brach ma coś wspólnego z lokalnym handlem narkotykami. Yves, czy mogę cię prosić, żebyś podzwonił i zebrał wszystko, co wiadomo na temat osiedla, na którym mieszkał? A jeśli gliny miały go na celowniku, chciałabym się dowiedzieć dlaczego. Guilhem, tobie zostawiam wypełnienie i wysłanie kwestionariusza SALVEC.

– A my dokąd się wybieramy? – spytał Segnon, widząc, że koleżanka wkłada puchową kurtkę.

– Sprawdzić adres Laurenta Bracha i przekazać złe wieści wdowie, jeśli faktycznie istnieje. Zobaczymy, co uda nam się wyciągnąć z tej krótkiej wizyty.

Segnon westchnął. Nie znosił informować o śmierci.

Miał wrażenie, że staje się jej wysłannikiem.

*Jako mały chłopiec był tak lekki, że niemal odlatywał, gdy biegł wśród ciepłych podmuchów i kłusujących porywów zwiastującego nadejście wiosny chamsinu. Był też dzieckiem ziemi, wiecznie umorusanym, z cierniami powbijanymi w ubrania i paznokciami czarnymi od wspinania się na skały czy grzebania w norach w poszukiwaniu gryzonia, którego mógłby zabrać ze sobą, żeby się z nim pobawić. Przede wszystkim jednak był synem ognia, którego fascynował lubieżny, pożerający taniec płomieni. Już od maleńkości, matka opowiadała mu to setki razy, darzył zar i jego pióropusz niemal mistycznym uwielbieniem. Kiedy płakał bez końca, nic nie uspokajało go tak, jak spektakl złożony z ognia ogryzającego drewnianą kość, aż został z niej tylko szkielet, tylko pył popiołów. Taki się urodził.*

*Dziecko powietrza, ziemi i ognia.*

*Dziecko, jak twierdzili inni, nieraz słodkie, zdolne czuwać całą noc, by dodać otuchy synkowi pasterza przestraszonemu nocnym zawodzeniem karakala lub zatrwającą nawoływaniem sowy, gotowe oddać swój posiłek wygłodzonej dziewczynce, którą despotyczny ojciec ukarał zbyt surowo. Wyjątkowe dziecko będące blisko z matką, zdyscyplinowane i wierne swojemu ojcu.*

*Ale czasem wychodził z niego diaboliczny malec, który bez wahania potrafił utopić psa sąsiada, tylko dlatego, że ten ostatni obraził jego rodzinę, albo wrzucić potłuczone szkło do butelki klasowego kolegi, którego nie znosił bez powodu, tylko dlatego, że ów był zdolny, a to go złościło.*

*Przez wzgląd na to wszystko matka zaczęła nazywać go Dżinem.*

*Istota o ognistej duszy zrodzona z powietrza i piasku, raz dobry duch, a raz demon. Dżin taki właśnie był, co do joty.*

*„Płomienie cię uspokajają, ponieważ są matrycą, z której powstałeś, mój synu – powtarzała mu matka. – Mój brzuch był twoim schronieniem, moje ciało dostarczało ci pożywienia, byś mógł urosnąć, ale to płomienie cię ukształtowały. Bóg stworzył ludzi miękkimi i kruchymi, gdyż powstałi z gliny, ale ciebie, ciebie uformował bezdymny ogień. Tak napisano w Świętej Księdze, w taki sposób rodzą się dżiny, a ty jesteś moim własnym małym dżinem”.*

*Skoro matka była płótnem jego narodzin, a ogień pędzlem jego istnienia, Dżin zadawał sobie pytanie, jaką wobec tego rolę odegrał jego ojciec. Zawsze, gdy ją o to pytał – ponieważ uwielbiał słuchać, jak raz za razem opowiada mu o jego korzeniach – matka głaskała go po włosach i konfidencjonalnym tonem, z roześmianym spojrzeniem szeptała tę*

samą odpowiedź: „Twój ojciec wdmuchnął w ciebie całą twoją duszę, mój synu, taka jest rola ojca”.

I tak Dżin rósł z uwielbianym przez siebie sekretnym przydomkiem. Był to skarb jego dzieciństwa, który ochraniał, w miarę jak przybywało mu lat, kiedy się przeprowadzał, najpierw do Sajdy na południu kraju, później, jako nastolatek, do dzielnicy Haret Hreik w południowym Bejrucie. Za każdym razem, gdy musiał porzucić dom, przyjaciół i znajome miejsca, gdy trzeba było zbudować wszystko od nowa, Dżin wiedział, że zabiera ze sobą to, co najważniejsze: swoją historię, swoją wyjątkowość.

Kiedy był młodym dorosłym, w pełni zdał sobie sprawę, jakie są fakty. Dobrze wiedział, że tak naprawdę nie jest dżinem, ale napawał się myślą, że kryje w sobie jakąś odmienność, niezwykłą, unikalną siłę, której nie sposób doszukać się u innych.

Jednak choć te dojrzałe przekonania coraz bardziej się utrwalały, w duchu wciąż hołubił opowieść, którą tyle razy raczyła go matka, aby nie zapomnieć, skąd pochodzi. Lekki jak wiatr, solidny jak ziemia, niebezpieczny niczym ogień, dobry dla bliskich i nieugięty wobec tych, którzy zasłużyli sobie na jego gniew.

Dżin stał się mężczyzną, podczas gdy Haret Hreik podnosiła się z ruin, powstawała na fundamentach budynków zniszczonych przez Izrael, fasada po fasadzie, dach po dachu, dusza po duszy. To przedmieście było muszlą, która przez kilka lat go osłaniała, razem walczyli. Opuszczenie go przyszło mu z trudem, chociaż Dżin wiedział, że rozsądek znaczy dużo więcej niż uczucia. Od tamtej pory przekroczył wiele granic, odwiedził mnóstwo krajów, wtapiał się w dzielnice na obrzeżach miast, przyswajał sobie ich kulturę, by tym lepiej zniknąć. Aż nadszedł ten szczególny dzień. Jego dzień. Dzień wielkiego odejścia.

Plan podróży długo w nim dojrzywał, Dżin analizował wszystkie możliwe opcje, poczynając od tej zakładającej dostanie się do strefy Schengen najbardziej naturalną drogą, z paszportem i wizą. Nie brakowało wiarygodnych pretekstów, zwłaszcza jeśli zapukało się do drzwi Europy z odrobiną gotówki w kieszeni, a przy tym zgłosiło się gotowość wspomoczenia dogorywającej gospodarki Starego Kontynentu. Ale kiedy człowiek zjawia się na progu czyjegoś domu, nie powinien się dziwić, że gospodarz, wpuściwszy go do środka, chodzi za nim krok w krok, by sprawdzić, czy gość go nie okrada. A na to Dżin nie mógł sobie pozwolić.

Wiedział, jak dziurawa jest granica turecka. Mógł przejechać przez Syrię i z łatwością dotrzeć do Gaziantepu. Ale służby wywiadowcze coraz uważniej nadzorowały ten region, bojąc się powrotu synów nie do końca marnotrawnych o głowach wypchanych ideałami skutkującymi ostatecznie dekapitacją. W ten sposób dobrowolnie pchałby się w paszczę lwa. Nie najlepszy pomysł.

Dżin pamiętał, że w dzieciństwie, gdy trzeba było wygonić szczura z małego domku, który zajmował z rodziną, polowanie okazywało się krótkie i bezlitosne, gdyż zwierzę zawsze dawało się zapędzić w pułapkę pod jakimś meblem lub w rogu pokoju. Kiedy szczur już

zostanie zauważony, nie ma żadnych szans w starciu ze zdeterminowanym człowiekiem. A jednak pewnego razu Dżin nic nie mógł zrobić. Zdarzyło się to w przeddzień powodzi. W głównej izbie szczury powyłaziły całymi tuzinami. Biegały wszędzie, wspinały się na stół, wskakiwały na siedziska. Dżin i jego ojciec miotali się we wszystkie strony, żadnego nie zabijając, ponieważ rozproszyli wysiłki, ponieważ szkodników było zbyt wiele naraz, a oni, zamiast skupić się na konkretnym osobniku, chcieli dostać je wszystkie, w wyniku czego nie dopadli ani jednego.

Dżinowi podobała się ta strategia przesylenia.

Miał kontakty na południu, znał dobrze ustawionych ludzi. Pokonanie półwyspu Synaj nie stanowiło najmniejszego problemu, Egipt każdego dnia po trochu tracił nad nim kontrolę. Później, kiedy przekroczył już Kanał Sueski, dotarcie do Libii było dziecinną igraszką. Tereny po zabitym Kaddafim stanowiły nieprzebraną wylęgarnię potencjalnych uciekinierów, którzy wyrastali jak grzyby po deszczu w każdym zakątku kraju, przybywali też z Nigru, Czadu, Sudanu, Erytrei i jeszcze dalszych stron. Codziennie spuszczano na wodę przepelnione nielegalnymi uchodźcami łodzie, które parły na północ, w stronę nadziei.

Dżin pamiętał, że jeden szczur wśród tysięcy pozostaje całkowicie niezauważalny, wobec czego ryzyko złapania maleje niemal do zera. Europejskie media nie stroniły od rozpowszechniania obrazów barek niktających pod ludzką powodzią, dryfujących ku powolnej śmierci, ale nieco rzadziej pokazywały chmury ocalałych przemierzające wiejskie tereny w południowych Włoszech, by następnie rozsiać się po całej Europie. Na jedną łódkę przechwyconą przez władze przypadało co najmniej dziesięć, które prześlizgiwały się przez oka sieci. A Dżin postarał się, by los mu sprzyjał. Miał pieniądze, bez trudu znalazł więc najlepszych, najpewniejszych przewoźników. Lampedusa, Święty Graal przeciętnego uchodźcy, dla Dżina nie stanowiła wymarzonego punktu na trasie. Podobnie Sycylia: nie ufał wyspiarzom. Nie, jedynym akceptowalnym celem był stały ląd, kontynentalne Włochy.

Ostatnim wyzwaniem, wobec którego stawał nielegalny imigrant, gdy wreszcie dotarł do ziemi obiecanej, było pozostanie tam. W wyniku byle kontroli mógł trafić do prowizorycznego centrum zatrzymań, gdzie czekał na wydalenie z kraju.

Ale Dżin wszystko zaplanował.

Jego fałszywy paszport, podobnie jak widniejąca w nim wiza, z powodzeniem przeszedłby pobieżną weryfikację. I znowu, miał wystarczająco dużo pieniędzy, by wtopić się w tłum, pomagał w tym samochód, niewinny wygląd, okulary przeciwsłoneczne na nosie i swobodna poza. Nawet gdyby zatrzymała go policja, był niemal pewien, że wyszedłby z konfrontacji obronną ręką. Ale prawdopodobieństwo kontroli na drodze było niskie, a ryzyko, że funkcjonariusze zapragną sprawdzić autentyczność wizen – marginalne.

Gdy opuszczał afrykańską ziemię, by wejść na pokład niewielkiego kutra, nad którym powiewała maltańska bandera, po raz pierwszy od długiego czasu poczuł ukłucie wahania.

Szykował się do porzucenia tego, co najbliższe pyłowi, z którego powstał, by wyruszyć na

*podbój lądu, gdzie zupełnie nic nie znaczył.*

*Ale to się zmieni.*

*Dzin zrobił głęboki wdech i napełnił płuca czystym powietrzem, a jego wątpliwości się rozwiały.*

*Był to ostatni moment niezdecydowania w jego życiu.*

## 10

Deszcz stopniowo zamazywał ogród za wykuszowym oknem, tworząc mglistą szarą ścianę pomiędzy Ludivine a światem zewnętrznym, tymczasem kobieta kręciła się w kółko po swoim dużym salonie. Wszędzie pozapalała świece, żeby wnieść do domu trochę życia, przeciwstawić się ulewie, i zaparzyła sobie imbirową herbatę. Później, kiedy skończyła bez przekonania skakać po kanałach, włączyła muzykę. Aksamitny głos Diany Krall rozgrzewał ją. Ludivine, nie zdając sobie z tego sprawy, wylądowała przy długiej biblioteczce, gdzie gładziła grzbiety książek, jakby tytuły zapisano brajlem. Z wełnianym kocem na ramionach zatrzymała się przed kolekcją starych albumów o Tintinie, które w dzieciństwie czytywała pasjami, i zastanowiła się, czy krótka chwila zapomnienia i powrót do młodości lat nie zrobiłyby jej dobrze, zaraz uświadomiła sobie jednak, że tak naprawdę nie ma na to ochoty.

Dokuczała jej nuda. Nie była w stanie oderwać się od natłoku myśli i znaleźć przyjemności w prostych rozrywkach. Wobec braku tropów, które można by natychmiast zbadać, Ludivine niechętnie postanowiła spędzić niedzielę w domu, z dala od pracy, z dala od swojego trupa, z dala od prawdy.

Poprzedniego dnia wybrała się z Segnonem do wdowy po Laurencie Brachu. Powiadomienie jej o śmierci męża wzięła na siebie, a tymczasem jej partner rozglądał się po małym trzypokojowym mieszkaniu w podupadłej miejscowości Corbeil-Essonnes, począwszy od zabałaganionego salonu. Kobieta dużo płakała, niemal za dużo, co doprowadziło do łez także jej synka, rocznego malucha, który już człapał wszędzie wokół i deptał po piętach czarnoskóremu olbrzymowi spacerującemu wolno i przyglądającemu się nielicznym fotografiom na regałach i kredensie. Żandarm czy nie, Segnon wydał się dziecku podejrzany. Wymknął się z salonu, rzekomo po to, by zająć się małym, choć tak naprawdę chciał sprawdzić resztę lokalu. Tylko rzucił uważnym okiem.

Kiedy kobieta – imieniem Malika, zasłonięta od stóp do głów – wreszcie się uspokoiła, zgodziła się odpowiedzieć na pytania Ludivine. Na początek funkcjonariuszka poradziła jej, żeby zadzwoniła do rodziny i poprosiła o przyjazd i wsparcie, lecz Malika odmówiła. Szkoda. Choć w obecności rodziny wykonywanie zawodu staje się dla śledczego bardziej kłopotliwe, gdyż wszyscy próbują chronić świadka, to trudniej skrywać prawdę dotyczącą podejrzanego lub podejrzanej, bo każdy dorzuca swoje trzy grosze i uważnie słucha opowieści głównego zainteresowanego, co w znacznym stopniu uniemożliwia mu kłamstwo.

Malika, odpowiadając powoli, potwierdziła, że jej mąż nie dopuszczał się recydywy, że odsiadka dała mu do myślenia i że stał się odpowiedzialnym ojcem rodziny. Spotkali się po

jego wyjściu z więzienia, przedstawił ich sobie wspólny znajomy, to było jak grom z jasnego nieba, szybko wzięli ślub i doczekali się dziecka. Laurent zmarnował zbyt wiele czasu, strwonił najlepsze lata na nurzaniu się w przemoc i śpieszno mu było wszystko nadrobić. Przez całe przesłuchanie Malika wstrzymywała łzy, chociaż Ludivine starała się prowadzić je z ogromną delikatnością, jakiej wymagała podobna chwila.

Laurent Brach pracował w firmie sprzedającej klimatyzatory, montował urządzenia. Dostał tę robotę z uwagi na kurs ukończony po odsiedzeniu wyroku i dzięki temu, że ktoś trochę pociągnął dla niego za sznurki. Malika zaświadczyła, że ciężko harował, wychodził bladym świtem i nie narzekał z powodu nadgodzin, dodatkowe pieniądze bardzo się zresztą przydawały, bo ona nie pracowała, tylko zajmowała się małym.

Nieomal się uniosła, gdy Ludivine spytała, czy jej mąż miał jakiegokolwiek kontakty z osobami powiązanymi z handlem narkotykami. Laurent ich nie znał, nawet tych z osiedla. Trzymał się od wszystkich na dystans, wiedział, że otoczenie się niewłaściwymi ludźmi oznaczałoby powolny powrót do tego, co było. Zerwał z dawnymi przyjaciółmi, ryzykując, że wyjdzie na dupka lub egoistę. Stał się praworządnym, uczciwym człowiekiem, dobrym mężem, dobrym ojcem, dobrym muzułmaninem. Bo nawrócił się podczas ostatniego pobytu w więzieniu. Islam dał mu dyscyplinę, której mu brakowało, wyznaczył granice, których jego rodzice nie umieli ustanowić. Przede wszystkim zaś religia pozwoliła mu dostrzec sens życia i objawiła kodeks moralny, których istnienia nie mógł dłużej ignorować. Od tej pory odpowiadał za swoje czyny, nie przed społeczeństwem, którym gardził z powodu tego, czego nigdy dla niego nie zrobiło, lecz przed Bogiem we własnej osobie – i to przez wzgląd na niego miał obowiązek być dobrym człowiekiem.

Ludivine miała problem z okazywaniem oczekiwanego współczucia bez tracenia niezbędnego zawodowego dystansu, na dodatek jednocześnie wystukiwała sprawozdanie z całej rozmowy na trzymanym na kolanach laptopie. Jakby tego było mało, musiała jakoś wypełnić ciszę, która zapadła, gdy przenośna drukareczka wypluwała kartki wymagające podpisania przez wdowę.

Słuchając długiej litanii Maliki, śledcza odniosła wrażenie, że podążają fałszywym tropem. Laurent Brach naprawdę wyszedł na prostą, wiara go odmieniła, bardziej nawet niż miłość. A jednak, kiedy po opuszczeniu mieszkania Segnon zapytał ją, co o tym myśli, Ludivine pokonała trzy piętra, nim udało jej się sformułować odpowiedź. Wszystko było zbyt wygładzone. Pozbawiony zawahań wywód Maliki, mowa wygłoszona płynnie, mimo emocji, prawie jakby każde słowo zostało zawczasu przygotowane. Segnon się z nią zgodził. Mieszkanie wywarło na nim wrażenie przykrywki. Wszędzie nadmiar symboli religijnych, Koran, na ścianach oprawione w szkło cytaty ze Świętej Księgi, na każdej poduszce i kawałku tkaniny zielen islamu. Nawrócenie to jedno, ale to zakrawało na obsesję. Wszystko już z daleka wyglądało jak scenografia w starannie przećwiczonej sztuce, gotowej do wystawienia w momencie, gdy gliniarze przekroczą próg.

Laurent Brach coś ukrywał.

Ludivine nie wiedziała jednak, czy jego żona też była w to zamieszana, czy po prostu zamydlił jej oczy. Segnon roześmiał się i przypomniał sobie, że to ona zajmuje się utrzymaniem domu i że większość kobiet bierze na siebie również utrzymywanie poczynań męża w tajemnicy. Jeśli Laurent Brach pod maską łagodnego, świeżo nawróconego wyznawcy skrywał przestępcze oblicze, to jego żona nie mogła o tym nie wiedzieć, nie po takim przedstawieniu.

Dalsze śledztwo zakładało pogrzebanie w finansach rodziny Brachów, wykorzystanie danych telefonii komórkowej do ustalenia, gdzie każde z małżonków przebywało w piątek, w ciągu dnia i w nocy, odtworzenie grafiku zmarłego, począwszy od przepytania jego pracodawcy, sporządzenie listy przyjaciół, sprawdzenie, czy faktycznie chodził do meczetu, porozmawianie z personelem aresztu, w którym siedział, by więcej się o nim dowiedzieć, i tak dalej. Nic z tego nie byłoby łatwe w ustawowo wolny od pracy weekend, wobec czego Ludivine do poniedziałku odesłała Segnona i Guilhema do żon. Zasłużyli na krótką przerwę.

Gdy deszcz ustał, kobieta włożyła sportowy strój i przez ponad godzinę biegała po mokrym asfalcie. Gorąca kąpiel, w której się następnie zanurzyła, dopełniła dzieła i całkiem ją odprężyła. Dzień zakończyła w łóżku, z powieścią Alessandra Baricca w ręku. Była w niej mowa o człowieku, który malował morze morską wodą. Dobry początek.

Poniedziałkowy rano zastał Ludivine w sali konferencyjnej WŚ, gdzie jarzeniówki usiłowały dopomóc szarawemu światłu z trudem przebijającemu się przez powłokę chmur. Guilhem i Segnon zajmowali miejsca naprzeciwko niej. Do środka weszła Magali Capelle, seksowna z tą swoją ciemną grzywką i obcisłymi džinsami, a za nią Ben i Franck – cały jej zespół – czyli łysiejący czterdziestolatek palący papierosa za papierosem i pięćdziesięciolatek o wyglądzie wojskowego z idealnie uczesaną szczeciniastą czupryną oraz wąsem przyszczyżonym co do milimetra.

Pułkownik Jihan, który przyszedł poprowadzić spotkanie, zamknął za sobą drzwi. Szczupła sylwetka sportowca, postawa i gesty nadawały mu dość surowy wygląd. Jihan zatarł ręce, a następnie oddał głos Ludivine, by zdała skrótowy raport z dyżuru i nowego śledztwa. Gdy skończyła, pułkownik zapytał:

– A jak wam idzie z pedofilem z Draveil?

Chodziło o główną sprawę, nad którą pracowały Ludivine i jej ekipa, zanim natknęli się na zwłoki na torach kolejowych.

– Guilhem dalej zastawia sidła, udaje dwunastolatkę, i pisze z nim na forum – wyjaśnił Segnon, który dowodził śledztwem. – Facet się rozpędza, chce się z nią zobaczyć, namawia, żeby skłamała i poszła na wagary, wytłumaczył jej, jak ma to zrobić, umówili się na piątek rano, obiecał, że „się zabawią”.

– Świetnie. Capelle, a co u was na tapecie?

– Nadal zbiorowy gwałt popełniony na dwóch nastolatkach, pułkownik. I podpalenie



magazynów z ciuchami w Meaux.

– Jakież postępy?

– W sprawie podpalenia mam do przesłuchania nowego świadka, ale jeśli wyskoczy coś pilnego, mogę przekazać teczkę wydziałowi do spraw przestępczości przeciwko mieniu. Ludo się zgodzi, od początku pracujemy nad tym wspólnie, chociaż to ja kierowałam sprawą ze względu na tę ciężko poparzoną nielegalną imigrantkę. Co do gwałtu, będzie trudno, oskarżeni wszystkiemu zaprzeczają, dziewczyny zwlekały z wniesieniem skargi, stąd brak jakichkolwiek dowodów fizjologicznych. Krótko mówiąc, sytuacja jest napięta. Przemagujemy wszystkich jeszcze raz, zobaczymy, czy uda się kogoś złamać.

Jihan ani razu się nie wzdrygnął, bez mrugnięcia okiem przyjmując wieści o pedofilu, zbiorowym gwałcie, podpaleniu, a nawet morderstwie. Skinął głową, niemalże dumny ze swoich podwładnych.

– Dobrze, róbcie dalej swoje, zdacie mi szczegółowe sprawozdanie w połowie tygodnia. Dabo, niech pan jak najszybciej sfinalizuje sprawę pedofila i w pełni skoncentruje się na zabójstwie na torach. Vancker, pokieruje pani tym śledztwem.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparła Ludivine.

– Jeżeli będziecie potrzebowali posiłków, sprawdzę, na czym stoi zespół Capelle i czy mogę zwolnić Yves’a i jego chłopaków, żeby wam pomogli, ale niczego nie obiecuję.

– Powinniśmy dać radę we troje, szefie – zapewniła Ludivine. – Yves zbiera informacje na temat handlarzy narkotyków z okolicy, gdzie mieszkał Laurent Brach, i da nam znać. Jeśli będę potrzebowała czegoś jeszcze, powiem panu.

Ktoś zapukał do drzwi i do środka wsunęła się głowa sekretarki WŚ.

– Telefon, panie pułkowniku, dzwonią z Levallois, mówią, że to bardzo pilne.

Na tym skończyła się narada i wszyscy wrócili do swoich biur.

Ludivine weszła do gabinetu i ruszyła na swoje miejsce, ale nagle na półce regału, pośród innych, zauważyła nową zabawkę z jajka niespodzianki. Odwróciła się na pięcie w stronę Segnona i Guilhema.

– Który z was dwóch? Muszę wiedzieć, to mnie doprowadza do szału.

Segnon uniósł dłonie na znak niewinności.

– Jesteśmy z tobą, odkąd tu dotarliśmy – wykręcał się Guilhem.

Ludivine chciała wyjść na korytarz i zajrzeć do sąsiedniego pomieszczenia, żeby przepytac Magali i jej współpracowników, ale odbiła się od czyjejś potężnej piersi, aż poleciała w tył. Silna dłoń przytrzymała ją za ramię, żeby się nie przewróciła.

Mężczyzna stał w drzwiach, w otoczce światła, za plecami miał okno. Na początku Ludivine dostrzegła tylko górujący nad sobą cień, potem rozróżniła wprawnie nastroszone włosy, niezwykle kwadratową szczękę i dość postawną sylwetkę. Jeszcze później doleciał ją jego zapach, dziki. Nie była to zwykła woda kolońska, lecz bardziej złożona woń, jednocześnie piżmowa i wysublimowana.

– Pani to z pewnością porucznik Vancker – odezwał się nieco zachrypniętym, choć nie nieprzyjemnym głosem.

– Tak, tak – wybełkotała, odzyskując równowagę i wyswobadzając się z uchwytu, który uchronił ją przed upadkiem. – A pan to kto?

Zazwyczaj, kiedy ktoś zjawiał się w koszarach w związku z jakąś sprawą prowadzoną przez WŚ, żandarmi się go spodziewali. Nikt nie mógł tak po prostu wspiąć się na górę, niezapowiedziany i bez pozwolenia, a żeby dotrzeć do ich biura, należało pokonać kilkoro strzeżonych drzwi. Mężczyzna musiał zamachać jakąś ważną przepustką.

– Marc Tallec. – Powietrze zafalowało, gdy wszyscy przypatrywali się sobie nawzajem. Nieznajomy miał około trzydziestki, swoje ciemnobrązowe włosy pracowicie wystylizował, był niedogolony, a znad wąskiego nosa patrzyły oczy o intensywnym spojrzeniu. Włożył znoszoną parkę w kolorze khaki, koszulę ze stójką i dżinsy, które oblepiały go niczym druga skóra. Wyglądał niemal jak model jakiejś znanej marki odzieżowej, z tą tylko różnicą, że nie był szczególnie przystojny, raczej bardzo charyzmatyczny. Wszystko w nim zdawało się czarujące. Miał w sobie jakiś ujarzmiony zwierzęcy magnetyzm. – Nikt was nie uprzedził? – zapytał.

– Jeszcze nie... Co możemy dla pana zrobić?

Lekki uśmiech nadał twarzy Marca Talleca bardziej przyjazny wygląd.

– Raczej na odwrót.

Wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni parki i wyjął czarny skórzany portfel. Otworzył go i pokazał legitymację służbową.

– DGSI. To ja mam coś dla was w związku z Laurentem Brachem.

# 11

Segnon skrzyżował ręce na potężnej piersi, Guilhem zagłębił się w fotelu, a przywódczyni ich niewielkiej grupy wycofała się na swoje miejsce, z dala od przybysza.

Ludivine wciąż przetrawiała to, co usłyszała. DGSI, skrót budzący niemal trwogę. Synonim niejawności, bardzo swobodnego traktowania przepisów prawa. Odległy organizm stosujący nieznanne jej metody, źródło wszystkich najbardziej szalonych plotek i fantazji. Tajne służby.

– Nikt mnie nie poinformował – rzuciła w końcu Ludivine, usiadłszy. Nie umiała stwierdzić, czy silniej oddziałuje na nią fakt, że DGSI wtargnęło w te mury, czy szczególna aura jego reprezentanta.

– Ale moi zwierzchnicy informowali dziś rano waszego pułkownika. Proszę do niego zadzwonić.

– Skąd wiecie, że badamy sprawę Laurenta Bracha? – spytał Guilhem.

– Obserwowaliśmy go.

W małym pomieszczeniu zapadła cisza, jedynie dzwonek telefonu dobiegający z głębi piętra świadczył o tym, że czas dalej płynie.

– Śledziliście go, gdy został zamordowany? – dociekała Ludivine.

Marc Tallec pchnął drzwi, by je zatrzaskać, i z rękami w kieszeniach kurtki stanął na środku, pomiędzy trójką śledczych.

– A więc to pewne, to było morderstwo? Wykluczyliście możliwość samobójstwa?

Ludivine wykrzywiła twarz w grymasie. Jej krótko przycięte paznokcie nerwowo stuknęły o brzeg biurka. Wreszcie skinęła głową.

– Panie Tallec...

– Marc, proszę mi mówić Marc.

– Zjawia się pan i wypytuje o postępy w trwającym śledztwie, bez żadnych formalności, niczego nam nie wyjaśniewszy, przykro mi, ale nie sądzę, żebym mogła udzielić odpowiedzi.

Jego źrenice zdawały się topić ścianę, po której przesuwiał wzrok, aż jego oczy spoczęły na funkcjonariuszce. W jego spojrzeniu kryło się coś dziwnego. Coś wytrącającego z równowagi. Jakiś błysk, intensywność czy twardość, której kobieta nie potrafiła zidentyfikować.

Odezwał się telefon Ludivine. Przy każdym sygnale mrugała i Marc Tallec musiał gestem przynaglić ją, by odebrała, zanim w końcu to zrobiła. Pułkownik Jihan mówił zwięźle, autorytarnym tonem: w każdej chwili może zjawić się u nich niejaki Marc Tallec, powinni

potraktować go grzecznie i okazać mu posłuszeństwo. „I uległość?” – miała ochotę wtrącić Ludivine hardo, co odpowiadałoby jej obecnemu nastrojowi, ale powstrzymała się przez wzgląd na przełożonego. DGGN i Levallois, gdzie mieściła się siedziba DGSI, prosiły o pełną współpracę, a po głosie rozmówcy poznała, że właściwie jej zażądały. Powiadomiono nawet BLAT, podlegające żandarmerii Biuro do Walki z Terroryzmem. Gdy się rozłączyła, Marc Tallec zrobił głęboki wdech, a jego nieprzystępną twarz rozjaśnił nagle uprzejmy uśmiech.

– Przykro mi, że wszystko odbywa się bez należytych formalności i w takim pośpiechu, ale tego wymaga sytuacja. Zacznę od nowa: mam na imię Marc.

Tym razem uścisnął wszystkim obecnym dłonie, kończąc na Ludivine.

– Dlaczego DGSI interesuje się Laurentem Brachem? – rzuciła zamiast powitania.

Marc skinął głową.

– No dobrze, w takim razie ja zacznę. Mieliśmy go na oku od paru miesięcy. Brach przez krótki czas przebywał we Fresnes. Tam przeszedł na islam i to nie w jego najpowszechniejszej i najbardziej tolerancyjnej postaci, chodziło o bardziej radykalny odłam. Jesteście zaznajomieni z tą problematyką? – Ludivine zaprzeczyła ruchem głowy, a Segnon poszedł w jej ślady. – Upraszczać – podjął Marc Tallec – salafici to radykalni muzułmanie z grupy sunnitów, którzy pragną powrotu do pierwotnej wersji islamu, do wersji „surowej”, jak moglibyśmy ją określić według naszych zachodnich kryteriów. Większość salafitów to kwietyści, owszem, są rygorystyczni, bezkompromisowi i archaiczni, ale nie darzą sympatią ruchów opartych na przemocy. Nas interesują tacy, którzy szukają możliwości zaangażowania politycznego. Ci mogą nawiązać kontakty z największymi ekstremistami wśród salafitów: z rewolucjonistami lub dżihadystami, których my nazywamy terrorystami. We francuskich więzieniach pełno jest salafitów, a ich nauczanie zyskuje na popularności. Ujmuje rzeczywistość w konkretne ramy, narzuca reguły i oferuje drobiazgową wizję świata typom, którym tego wszystkiego brakuje. Zapewnia struktury, otuchę, przewodników. Nasze zadanie polega na ustaleniu, jaki rodzaj fundamentalizmu przyjmują więźniowie. Jeśli jest to kwietyzm, najbardziej rozpowszechniony, zwykle obserwujemy „nawróconych”, ale interesują nas oni w mniejszym stopniu. Są oczywiście konserwatywni, lecz „wychowano” ich w nienawiści do salafickiego rewolucjonizmu, którego przedstawiciele podejmują niesłuszne ich zdaniem działania. Ale jeżeli więzień zdecyduje się na bardziej upolitycznioną, a nawet stricte dżihadystyczną formę salafizmu, wówczas przyglądamy mu się o wiele uważniej. Trudność polega, ma się rozumieć, na tym, że najwięksi radykałowie zwykle kryją się pod maską powszechnie akceptowanego kwietyzmu, czekając na odpowiedni moment.

– I głoszenie takich integrystycznych poglądów nie jest zabronione? – zdumiał się Guilhem.

– Nie wprost. Większą wagę mają wolność słowa i wyznania. Przynajmniej dopóki dane

poglądy nie nawołują do nienawiści lub wzniesienia rebelii. Z tego co wiem, katolickim integrystom, którzy marzą o społeczeństwie bez aborcji, bez praw dla homoseksualistów, w którym kobieta zajmowałaby pośrednie miejsce między mężczyzną, a ludzikiem, a ludzie nie pochodziliby od małpy, tylko od Adama i Ewy, też nikt nie zabrania wygłaszania opinii. Około pięciu procent muzułmańskich miejsc kultu we Francji należy do nurtu salafickiego, to w istocie bardzo niewiele.

– Na ile meczetów łącznie?

– Szacujemy, że na terytorium kraju znajduje się około dwóch tysięcy pięciuset meczetów lub miejsc modlitwy. Kiedy zestawisz to z około pięćdziesięcioma tysiącami świątyń katolickich, człowiek może szybko zrelatywizować sobie głosy tych, którzy twierdzą, że religia we Francji zanika!

– Dobrze, a gdzie w tym wszystkim jest Laurent Brach? – spytała Ludivine.

– To klasyczna więzienna opowieść. Salaficy rekruterzy to cwane typy. Wypatrują najdelikatniejszych, osamotnionych gości i zazwyczaj fundują swojemu celowi kiepski okres. Kiedy facet znajdzie się na skraju wytrzymałości, zbliżają się do niego jak dobrzy samarytanie, biorą go pod swoje skrzydła, pocieszają, chronią i zaczynają wbijać mu do głowy własne idee. Krok po kroku zostaje jednym z nich. Kilka lat w więzieniu to długo, jeśli każdego dnia, każdej nocy, praktycznie bez ustanku, człowiek czuje się zagrożony. Najwrażliwsi nie przetrwają bez protektora, bez rodziny. Ale bracia salafici są tuż obok, gotowi nieść pomoc i pokazać, jak stać się podobnym do nich, jak być silnym dzięki religii. Czują się na gości z rozbitych rodzin, często pozbawionych męskiego wzorca, przykładu do naśladowania, a w każdym razie na tych, którym brakuje jasnych granic, prostych wskazówek, którzy nie widzą sensu życia. Wówczas uczą ich, że islam tłumaczy wszystko, wyznacza drogę, którą trzeba podążać, nakłada ograniczenia, określa, w co należy wierzyć, a w co nie, i tak religia wypełnia wszystkie luki. Gość „się nawraca”, bo wreszcie czuje, że żyje, że znalazł swoje miejsce, a pod wpływem nowej wiary świat stał się logiczny. I to się nie kończy po wyjściu z więzienia! Współwyznawcy znajdują mu pracę, a nawet żonę, jeśli jeszcze jej nie ma, więc facet ma poczucie, że wreszcie zyskał rodzinę, kodeks postępowania i cel w życiu, podczas gdy system nigdy nic dla niego nie zrobił, jedynie go zniszczył. I gotowe.

– Jak trafiliście na Bracha? – spytał Segnon.

– Przez jego powiązania. Jego nazwisko wypłynęło już wcześniej, widniało na liście stałych słuchaczy wpływowego imama, którego nadzorujemy. Ale ponieważ był zwykłą płótką, uznaliśmy, że nie warto nic więcej robić w jego sprawie. Tyle że trzy miesiące temu w końcu udało nam się zidentyfikować typa, który z zagranicy uprawia w sieci agresywny prozelityzm, i analizując komentarze pod jego nagraniami, dotarliśmy do posługującego się pseudonimem Laurenta Bracha. Krótko mówiąc, mieliśmy do czynienia z młodym człowiekiem nawróconym przez dość radykalne otoczenie, który jawnie odwiedzał imama

niesklaniającego się bynajmniej ku umiarkowaniu i zamieszczał pozytywne komentarze pod filmikami salafickiego rekrutera blisko związanego z dżihadystami. Z naszego punktu widzenia gość przekroczył granicę. Trafił więc pod obserwację.

– Dosłownie? – chciał wiedzieć Guilhem.

Marc potrząsnął głową.

– Nie, nie mamy tylu ludzi. Zgromadziliśmy ponad dwadzieścia tysięcy kartotek S<sup>4</sup>, z czego ponad połowa dotyczy osób związanych z radykalnym islamem, nie możemy każdemu podejrzanemu przyczepić ogona, ich liczba nas przerasta. Żeby stale śledzić jednego gościa, potrzeba około dwudziestu osób, więc sami sobie policzcie. W przypadku Laurenta Bracha zastosowaliśmy podstawową obserwację: nadzór cyfrowy, to znaczy regularna kontrola komórki i od czasu do czasu rzut oka do sieci, by sprawdzić, czy odwiedza radykalne strony, co pisze, co lubi, czasem jakieś małe dochodzenie terenowe, poza tym zbadaliśmy jego powiązania z innymi powracającymi nazwiskami i naszkicowaliśmy ogólny obraz jego otoczenia, uwzględniając go w siatce znanych nam salafitów. W skrócie wygląda to tak: nazwisko gościa widnieje w naszych bazach danych, jeżeli wypływa ponownie, zaczynamy się martwić, jeśli nie – zadowolamy się okazjonalnym zerknięciem w jego kierunku. To najlepsze, co możemy zrobić, biorąc pod uwagę dostępne zasoby.

Na to odezwała się Ludivine:

– Więc nie wiecie, gdzie Brach był w zeszły czwartek i piątek?

– Mogę zlecić dostarczenie danych o lokalizacji jego telefonu, ale pewnie już się tym zajęliście.

– I czekamy już tylko na to – westchnął Guilhem.

– Okej, czyli mieliście Laurenta Bracha w swojej kartotece – podsumowała Ludivine. – Jakim cudem tak szybko dotarliście do nas?

– Od piątkowego wieczoru skontaktowaliśmy się z całą masą ludzi, zaglądamy do wszystkich możliwych rejestrów, krótko mówiąc, uaktywniliśmy nasze alarmy. Stąd moja obecność tutaj. A teraz przejdźmy do sedna: czy Brach został zamordowany?

– Śledztwo jest w toku – odparła wymijająco Ludivine, która nie potrafiła w jego towarzystwie przybrać swobodnej pozy.

Nienawidziła myśli o zewnętrznej ingerencji w swoją pracę, zwłaszcza gdy nie była na nią przygotowana, i miała wrażenie, że sama znalazła się pod obserwacją.

Marc Tallec kiwnął głową, pełen sceptycyzmu.

– Proszę posłuchać – zaczął – nie chcę być niepotrzebnym ciężarem, który zwala się wam na głowy. Żeby wszystko było jasne: to pani śledztwo, to pani prowadzi w tym tańcu. Ja jestem tu tylko po to, by zrozumieć, co się przytrafiło Brachowi, dzięki pani. Gdy tylko uda mi się ustalić, że cała ta sprawa nie ma nic wspólnego z naszą agencją, zniknę i więcej pani o mnie nie usłyszy. Czy to pani odpowiada?

– Chce pan powiedzieć, że ta kurtuazyjna wizyta nie wystarczy? Zostanie pan z nami? – zdziwił się Segnon.

Taltec uśmiechnął się drapieżnie.

– Dzień i noc – odrzekł. – Będę waszym nowym najlepszym kolegą.

– Od jakiegoś czasu ciągle słyszę o Levallois, to siedziba DGSI, prawda? Skoro nasi szefowie się dogadali, to ja mogę się jedynie dostosować – stwierdziła Ludivine. – Ale pewnie pan zauważył, że pokój jest malutki i nie mamy tu wolnego biurka, trzeba będzie pokombinować i znaleźć panu miejsce.

Z twarzy Marca Talleca zniknęły ślady cynizmu, a jego uśmiech znacznie się poszerzył.

– Potrafię stać się całkiem malutki.

Ludivine jakoś w to wątpiła.

Poza nieprzyjemnym poczuciem, że nie zostawiono jej wyboru, złościło ją to, że bierze się ją za idiotkę. Czy DGSI naprawdę wysyła w teren agenta, gdy tylko zaginie człowiek z kartoteką S? Gdyby przyglądali się śledztwu z daleka, zażądali szczegółowego raportu, to co innego, ale Ludivine czuła, że jest coś, o czym Taltec jej nie mówi. Tajne służby, fanatyzm religijny i związane z nimi strefy cienia nie działały kojąco na jej skołatane nerwy.

Sprawa robiła się coraz bardziej śmierdząca.

## 12

Zgiełk ruchu ulicznego zanikał stopniowo, w miarę jak Ludivine zanurzała się głębiej w aleje parku Buttes-Chaumont. Flora przyoblekła się w brązy i pomarańcze, a pierwsze jesienne chłody zaczęły powoli docierać do stolicy. Większość mijanych przez Ludivine spacerowiczów stanowiły kobiety, samotne lub w grupkach, uczezione wózków dziecięcych, oprócz tego trafiło się kilku biegaczy i garstka młodzieży. W to listopadowe poniedziałkowe popołudnie park przypominał dziką wysepkę dryfującą w samym sercu cywilizacji, której szare fasady oddalały się z każdym krokiem.

A więc „nawrócenie” Laurenta Bracha nie było jedynie zmyłką zastosowaną w celu odsunięcia od siebie podejrzeń i ukrycia powrotu do działalności przestępczej. W tej kwestii wyjaśnienia Marca Talleca okazały się pouczające i Ludivine nie miała powodu, by podawać je w wątpliwość.

*Facet z DGSI!* narzekała w duchu. Doprawdy, wszystko, co mogło jej się przydarzyć w tym zawodzie, już jej się przydarzyło... Ponownie skupiła się na tym, co istotne.

Skoro Brach był muzulmaninem i fundamentalistą, jak wytłumaczyć fakt, że znalazł się w centrum afery narkotykowej? Nie wiedziała dokładnie, co mogli, a czego nie mogli radykałowie, ale handel narkotykami z pewnością nie wpisywał się w odgórnie narzucone standardy moralne. Czyżby przeciwstawił się dilerowi ze swojej dzielnicy? A może chodziło o dawnych znajomych, którzy nie zapomnieli tak łatwo o jego kryminalnej przeszłości? Wszystko było możliwe i śledcza pokładała dużą nadzieję w spodziewanych wieściach od Yves'a. Jeśli DCO nie miało żadnych informacji, to ona sama też ich nie zdobędzie w równie hermetycznym środowisku.

Pozostawała ewentualność związana z terroryzmem. DGSI nie bez powodu wtykało nos w tę sprawę. Brach ich interesował, a Ludivine mało wiedziała na ten temat poza tym, że pieniądze z narkotyków mogły służyć finansowaniu rozmaitych rzeczy, w tym operacji religijnych ekstremistów.

W ostatecznym rozrachunku niewiele posunęła się naprzód.

Spomiędzy listowia zaczęły przeziierać kanciaste sylwetki klifów, pojawiła się świątynka dominująca nad skalną iglicą wyspy Belvédère. Ludivine nie była w parku od wieków i teraz znieruchomiła w obliczu tego widoku. W samym sercu Paryża zdawało się to nieprawdopodobne. Te skalne ściany wystrzeliwujące z wody na niemal trzydzieści metrów w górę, pokryte roślinnością, zwieńczone altanką z białego kamienia przypominającą maleńką rzymską świątynię, która wylądowała tu w wyniku kaprysu lub błędu historii, do



tego długi wiszący most pozwalający dostać się na wyspę, a wszystko to w scenerii przywodzącej na myśl baśń.

Dziwne miejsce na spotkanie, niemal romantyczne...

– Lubi je pani?

Marc Tallec wynurzył się znikąd, tuż za plecami kobiety.

– Prawdę mówiąc, prawie nigdy tu nie przychodzę. A szkoda.

Marc podał jej kanapkę, a sam wgrzył się w drugą.

– Dziękuję – rzuciła. – Dlaczego chciał pan spotkać się tutaj?

– Żeby lepiej panią poznać w neutralnym środowisku.

– Proszę tego nie brać do siebie, ale sam pan powiedział, że gdy tylko się dowiemy, jak stracił życie Brach, to pan zniknie. A ja zamierzam zamknąć sprawę szybko, nie tracąc na nią trzech miesięcy, więc zapoznavanie się...

Marc Tallec nie odpowiedział, przeżuwał tylko i wbijał w nią wzrok. Był dużo wyższy od niej i Ludivine poczuła się nagle bardzo mała, co nieczęsto jej się zdarzało. Intensywność spojrzenia tego mężczyzny, jego sylwetka, miały w sobie coś onieśmiałającego.

– Chodźmy tędy – zarządził, wskazując kierunek.

Kobieta zdała sobie sprawę, że odkąd się zjawił, próbuje pokazać mu, gdzie jego miejsce, że nie robi nic poza tym. Własne zachowanie nie napawało jej szczególną dumą. Postanowiła mówić bez ogródek:

– No dobrze, przepraszam, jeżeli nie sprawiam wrażenia zbyt otwartej, po prostu... Przychodzi pan bez zapowiedzi, odgórnie narzuca się nam współpracę, całkiem odbiega to od sposobu, w jaki zwykle działamy.

– Doskonale to rozumiem. Dla nikogo nie jest to przyjemne. Zrobię, co się da, żeby moja obecność pani nie przeszkadzała.

– Będzie pan jedynie obserwatorem?

Tallec z namysłem poruszał głową.

– Powiedzmy, że... podporządkuję się pani decyzjom, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, w pewnych sprawach przejmę stery.

– Sądziłam, że to ja prowadzę w tym tańcu?

– Tak będzie, chyba że natkniemy się na delikatną kwestię z zakresu moich kompetencji.

– Nie jestem pewna, czy moi zwierzchnicy na to pozwolą. Z całym szacunkiem.

– Z całym szacunkiem, pani porucznik, DGGN i Levallois już doszły do porozumienia, to będzie tymczasowa, wyjątkowa kooperacja leżąca w interesie narodowym. Ale kooperacja implikuje, że obie strony muszą współpracować. – Ludivine w kilka sekund przełknęła trzy kęsy kanapki, żeby ukryć rosnące poirytowanie. Po paru gryzach Tallec przerwał przedłużające się milczenie: – Czytałem sprawozdania z przebiegu pani kariery. Imponujące.

– Ma pan szczęście, ja nic o panu nie wiem. Tallec to chociaż pana prawdziwe nazwisko?

– Dlaczego pani pyta? Oczywiście, że...

– Reprezentuje pan tajne służby, oto dlaczego.

Wydał z siebie krótki, suchy śmieszek.

– Nie należy wierzyć we wszystko, co pokazują w filmach. Naprawdę nazywam się Marc Tallec, jestem trochę od pani starszy, rozwodnik, bezdzietny, pochodzę z Rennes, zrobiłem magisterkę z prawa, wstąpiłem do policji, zdobyłem stopień oficerski, a potem dołączyłem do DGSI, gdzie jak z pewnością się pani domyśla, zajmuję się głównie sprawami związanymi z radykałami, krótko mówiąc, podążałem dość klasyczną ścieżką. Nie kryje się w tym żadna wielka tajemnica. No i proszę, teraz ma pani jakie takie pojęcie o tym, kim jestem.

– O ile to wszystko prawda...

Tallec znieruchomiał.

– Bardzo panią proszę, nie zaczynajmy w ten sposób – powiedział pełnym emocji głosem. – Wszystko, co pani ode mnie usłyszy, będzie prawdą. Zawsze. Prędzej postanowię o czymś pani nie mówić, niż panią okłamię. Taka sytuacja prawdopodobnie się zdarzy, a wtedy będzie leżała w obopólnym interesie lub zwyczajnie będzie podyktowana brakiem wyboru, ale zawsze będę z panią szczerzy. Nie jestem pani wrogiem.

Ludivine długo mu się przypatrywała. Potem powoli skinęła głową.

– Okej. Przysięgam sobie, że nigdy więcej nie zbuduję relacji z mężczyzną na bagnistym gruncie, sądzę, że mogę odnieść to postanowienie również do pana.

Tallec uśmiechnął się drwiąco.

– Przynajmniej jest pani bezpośrednia.

Ruszyli dalej.

– Co mamy dalej w planach? – chciała wiedzieć Ludivine.

– To pani śledztwo, niech pani mi powie.

– Zamierzam zbadać otoczenie Laurenta Bracha i jego żony. Może nam pan pomóc? Macie już na nich teczki, wydaje mi się też, że DGSI dysponuje specjalnym, niezwykle szczegółowym cyfrowym rejestrem...

Tallec energicznie potrząsnął głową.

– Nie. Mogę co najwyżej potwierdzić zebrane przez was informacje, trochę was nakierować, jeśli będę wiedział coś więcej, dzięki czemu zyskacie na czasie, ale nie dostaniecie dostępu do CRISTINY, to wyłącznie nasza kochanka.

– Do Cristiny?

– CRISTINA to skrót oznaczający scentralizowany system wywiadu wewnętrznego do spraw bezpieczeństwa państwa i interesów narodowych. Czyli naszą bazę danych.

– Dobra – rzuciła Ludivine, bardziej zrezygnowana niż rozczarowana. – Skoro tak, rozmawiałam już z prokuratorem, który zgodził się nadzorować dochodzenie...

– Ale sprawa nie trafi do prokuratury antyterrorystycznej, co do tego jesteśmy zgodni?

Nagłość i gwałtowność pytania nieco wybiły Ludivine z rytmu.

– Yyy... nie, w tej chwili nic nie wskazuje na to, żeby to była ich działka. Ma pan z nimi jakiś problem?

– Żadnego, ale chciałbym, żeby nasze poczynania nie pojawiały się na radarach, póki nie ma powodów do niepokoju. Dzięki temu będę miał wolną rękę.

Ludivine nie bardzo rozumiała, co chciał przez to powiedzieć, ciągnęła więc:

– Prokurator nie zezwolił na wykonanie badań DNA wszystkich próbek zebranych na terenie wokół ciała, nie ma na to budżetu. Zwłaszcza że jest przekonany, tak to przynajmniej wygląda, że chodzi o jakiegoś ćpuna. Zgodzi się na kilka analiz, jeśli dobrze uzasadnię prośbę, ale ponieważ nie mam zbyt wielu asów w rękawie, nie chcę ich głupio zmarnować, więc trochę z tym poczekam. Kiedy sprawa utraci status pilnej, kontrolę przejmie sędzia i to on zdecyduje, co robimy, a czego nie, jednak to dopiero za dwa tygodnie. A zainicjowanie całej procedury też trwa. Oczywiście nie będziemy w tym czasie siedzieć z założonymi rękami. Skoncentrujemy się na logowaniach komórek Brachów. Poprosiłam o sprawdzenie, czy w sektorze, w którym znaleziono zwłoki, albo chociaż w pobliżu dróg dojazdowych znajdują się kamery, ale nie robię sobie wielkich nadziei. Nie wiem, jak to u was działa, jednak gdyby mógł pan dać naszemu prokuratorowi do zrozumienia, że nie pogardzimy odrobiną dodatkowych funduszy...

– Chyba się nie zrozumieliśmy: z punktu widzenia prokuratora to pani sprawa, mnie tu w ogóle nie ma.

Ludivine wytrzeszczyła oczy.

– To znaczy? Pod względem prawnym...

– Jak przyjdzie co do czego, prokuratura się o mnie dowie, ale DGSI działa inaczej niż wy. Nie muszę legalizować swoich poczynañ, prosić urzędnika sądowego o pozwolenie, gdy natrafie na coś ciekawego. Ze względu na bezpieczeństwo narodowe sam o wszystkim decyduję. Dopóki nie uznam, że do akcji powinien wkroczyć wymiar sprawiedliwości, pracuję swobodnie we własnym kąci, nie odwołując się do sędziego. Operuję w ścisłej tajemnicy, tak jest szybciej i skuteczniej. Zdaję sprawę wyłącznie przed bezpośrednimi przełożonymi. To dlatego wolałbym, żeby prokurator nie wiedział o mojej obecności i nie musiał usprawiedliwiać jej w świetle prawa, chyba że w ostateczności, bo kiedy zostaną wmieszany w tę sprawę, wszystko się skomplikuje. Proszę zrozumieć, że DGSI zwykle odwała robotę samodzielnie, a urzędników informujemy tylko w przypadku, gdy trzeba zatwierdzić aresztowanie, a więc gdy rusza machina sądowa. Krótko mówiąc: gdy nasze sekretne dochodzenie wychodzi na jaw, sprawa już nas nie dotyczy, podlega systemowi sprawiedliwości, a my znikamy.

Ludivine wolno skinęła głową, jakby chciała ogarnąć rozumem wszystkie związane z tym implikacje.

– Przyjęłam do wiadomości. Ale ja muszę trzymać się ściśle określonych ram prawnych i odpowiadam za swoje poczynania przed urzędnikiem sądowym, więc niech się pan nie

spodziewa, że wykroczę poza nie, zgoda?

– Oczywiście.

Szli spacerem i posiłek skończyli w samym sercu uładzonego lasu rosnącego we wschodniej części stolicy, aż w końcu Marc oparł się łokciami o poręcz mostu zawieszzonego nad głębokim parowem, gdzie biegły stare tory kolejowe, obecnie porzucone na pastwę wysokiej trawy i bluszczu. Ludivine rozpoznała fragment Petite Ceinture, zabytkowej linii kolejowej okalającej Paryż, której większa część przestała być używana w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Wtedy zdała sobie sprawę, że Tallec od początku doskonale wiedział, dokąd ją prowadzi.

– Proszę udawać, że jesteśmy parą – rzucił teraz.

– Słucham?

– Niech pani stanie koło mnie. Spokojna głowa, nie musimy się silić na czułości, ale to będzie mniej podejrzane.

Ludivine, ostrożna, lecz zaciekawiona, usłuchała i również oparła się o barierkę, niemal przyklejona do boku agenta służb wywiadowczych.

– Od początku wiedział pan, gdzie wylądujemy, więc co takiego mam tu zobaczyć? – spytała cicho.

– Jesteśmy trochę przed czasem, ale wkrótce się zacznie.

Ludivine pojęła, że spektakl ma się rozegrać w parowie, wobec czego przeczesła go wzrokiem w poszukiwaniu najdrobniejszej anomalii. Miejsce przypominało tamto, w którym znaleziono trupa Laurenta Bracha, tyle że tutaj królowała tryumfująca roślinność. Tory kolejowe z dala od cywilizacji, tunel, w pobliżu żadnych albo prawie żadnych świadków... Czy powinna stwierdzić jakąś analogię?

Człowiek w szarej bluzie pojawił się pod mostem i ruszył dalej wzdłuż muru, zatrzymał się dopiero przed wlotem tunelu, skąd wynurzyły się trzy kolejne postacie w sportowych strojach. Mężczyźni mieli kaptury, które częściowo skrywały ich twarze, ale Ludivine bez trudu poznała, że są poniżej trzydziestki. Dwaj inni przeleźli przez pociętą siatkę ogrodzącą park i jakoś zeszli po stromym zboczu na dno wąwozu, by dołączyć do kolegów. Chwilę rozmawiali, a potem utworzyli krąg i zaczęli się rozgrzewać, wykonując serię ćwiczeń.

– Kto to? – spytała Ludivine.

– Młodzi ludzie z okolicy.

– Tego się domyśliłam. Ale co tu robią?

– Przygotowują się. Wszyscy mają u nas kartoteki. Wszyscy nawołują do powrotu do islamu przodków i stosowania zasad szariat. Działania prowadzone przez Państwo Islamskie uważają za walkę uciśnionych towarzyszy. Większość z nich chciałaby do nich dołączyć. I może to zrobią, jeśli im się uda.

– I pozostają na wolności?

– Uważają na to, co mówią publicznie. A dopóki coś się nie zmieni, spotkanie się w szóstkę w parku na małą sesję ćwiczeń fizycznych nie jest zabronione.

– Popieranie Państwa Islamskiego to niewystarczający powód do aresztowania?

– W ciągu ostatnich lat rozbito wiele podobnych komórek, przewinęło się przez nie paru znanych terrorystów. Ale ci chłopcy uczą się na błędach starszych kolegów. Pilnują się, kiedy publikują coś w Internecie, nie uprawiają nadmiernego prozelityzmu na ulicach, prawie o niczym nie piszą w SMS-ach, krótko mówiąc, wiedzą, że jesteśmy blisko... No właśnie, a skoro o tym mowa...

Mierzący ponad metr osiemdziesiąt czarnoskóry mężczyzna o wyglądzie przywódcy odwrócił głowę w stronę mostu i bacznie przyglądał się zamyślanej parze. Marc Tallec natychmiast otoczył Ludivine ramieniem i złożył pocałunek na jej czole.

– Proszę tego nie traktować osobiście – wymamrotał – chcę tylko dodać odrobiny autentyzmu naszej przykrywce.

– Więc niech pan będzie bardziej wiarygodny – odparła Ludivine, posyłając mu wystudiowany uśmiech, po czym pocałowała go prosto w usta.

Gdy odsunęła wargi, z twarzy Marca Talleca nie dało się nic wyczytać, ale po jego oczach poznała, że jest zaskoczony, może nawet zbity z tropu, i odczuła niejaką dumę, że zyskała nad nim drobną przewagę, choćby tymczasowo. *Każdy ma swoje sposoby* – pomyślała z nutką buntowniczości – *i akurat w tej grze, wierz mi, kolego, nie wiesz, z kim zadzierasza*. Nie należała do osób, które szybko wymiękają, wręcz przeciwnie, jeśli dzięki temu mogła pokazać swoją prawdziwą naturę. Niełatwo było zrobić wrażenie na Ludivine Vancker, a jeśli sama chciała nadawać ton, wiedziała, po jakie środki sięgnąć.

Wysoki czarnoskóry chłopak dalej prowadził trening, uczestnicy dobrali się w pary i wykonywali ćwiczenia z walki wręcz. Dźwignie, serie kopnięć i uderzeń, hartowanie ciała przez przyjmowanie licznych ciosów na przedramiona lub golenie i tak dalej...

– Nie mogę pojąć, że wiemy, kim oni są i jakie mają ambicje, i nie robimy nic, żeby ich powstrzymać – wyznała Ludivine, przyglądając się wyczynom tych zdeterminowanych mężczyzn.

– Niewiele na nich mamy. Z jakiej racji mielibyśmy ich wsadzić za kratki? Za nieumiarkowane przekonania? Mówiłem pani: ci tutaj są dużo ostrożniejsi niż ich poprzednicy. Zauważyliśmy ich, bo chodzą do znajdujących się pod nadzorem domów modlitwy, bo spotykają się na takich treningach, a dzięki wywiadowi terenowemu wiemy, że niektórzy przebakują o wyjeździe do Syrii, żeby tam walczyć u boku braci, ale to za mało, brakuje namacalnych dowodów.

– A jeśli jutro dwaj z nich postanowią w imię swojego fanatyzmu zarznąć paru przechodniów?

Marc wykrzywił twarz w grymasie.

– To jest ryzyko... Ale niech pani nie zapomina, że chronimy demokrację. Nasz wolny

kraj, gdzie każdy ma prawo wyrażać swoje poglądy religijne, nawet ekstremistyczne, dopóki bezpośrednio nie nawołuje do przemocy. Zapytam raz jeszcze, dlaczego mielibyśmy wsadzić do więzienia tych tutaj, a zwolenników najradykałniejszej odmiany chrześcijaństwa już nie? Takich, którzy chcą zakazać tabletek antykoncepcyjnych, aborcji, małżeństw homoseksualnych, a są nawet tacy, którzy półsłówkami wspominają o wyjeździe do Syrii, gdzie walczyliby przeciwko Państwu Islamskiemu... Ludzie, których uważamy za radykałów, mogą wywodzić się z każdej religii. Żyjemy w demokratycznym państwie i wolno nam posiadać własne przekonania, o ile tylko nie popychają nas ku nienawiści i przemocy.

– Ale obecne okoliczności sprawiają, że mamy wszelkie powody bać się tych sześciu bojowników.

– I właśnie dlatego mamy ich na oku, pilnujemy ich, jak możemy, choć z braku środków nie jest to nadzór doskonały. Może pani być pewna, że gdybyśmy aresztowali ich w ramach prewencji, przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku, bo zaraz zaczęliby głośno krzyczeć o dyktaturze i prześladowaniach religijnych, z oburzeniem wołaliby, że nic nie zrobili, że usunięto ich ze społeczeństwa wyłącznie z powodu wyznawanych poglądów, a ponieważ faktycznie brakuje nam rozstrzygających dowodów, nie całkiem byłiby w błędzie. Proszę sobie wyobrazić, jaki wpływ wywarłby ten przekaz na zagubioną młodzież balansującą na krawędzi radykalizmu... Tego typu sytuacja, jeśli umiejętnie ją wykorzystać, pozwoliłaby na indoktrynację dziesięciokrotnie większej liczby ludzi niż tych sześciu, których tu widzimy. Cwani rekruterzy posłużyliby się nią, by dowieść, że Francja to zdeprawowany kraj zamieszkały przez wrogi islamowi naród, który wtrąca do więzienia muzułmanów zdecydowanie kroczącą ścieżką wskazaną przez Proroka, i tak dalej... Nie, proszę mi wierzyć, idąc na łatwiznę, często narażamy się na ogromne straty.

– Więc pozwalamy im żyć na wolności pod niezadowolającym nadzorem?

Tallec wzruszył ramionami.

– Robimy, co w naszej mocy. Nikt nie mówił, że demokracja nie ma wad albo że nie wiążą się z nią żadne trudności. A nasi obecni wrogowie potrafią to wykorzystać. Ale postawmy sprawę jasno. Mamy tu sześciu facetów. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przynajmniej trzech lub czterech z nich to drobni kryminaliści, którzy w religii znaleźli duchową ucieczkę, rodzinę, ale nie zatracili się kompletnie, więc raczej nie posuną się dalej i nigdy nie będą stanowili realnego zagrożenia. Być może wiara uchroni ich nawet przed recydywą i w ostatecznym rozrachunku zyska na tym całe społeczeństwo. Istotne pytanie brzmi: gdzie w tym stadku kryją się prawdziwe wilki? Ci, którzy są gotowi przejść do działania i prędzej czy później to zrobią. Ale jeżeli zamkniemy wszystkich, stworzymy watahę złożoną z sześciu wilków.

– A jaki związek ma z tym wszystkim Laurent Brach?

– To pani mi to powie. Czy jego śmierć jakoś się z tym łączy? Z jego niegodziwymi

koleżkami?

– A jeśli tak, to po której stronie stał – domyśliła się natychmiast Ludivine. – Czy był zabłąkaną, lecz niegroźną owcą, czy bezlitosnym wilkiem?

Marc Tallec odwrócił się twarzą do niej.

– Chwyta pani w lot. Chcę wiedzieć, czy należał do jakiejś siatki i czy za jego śmiercią nie kryje się jakaś grubsza afera.

W dole bojownicy zakończyli trening, pogratulowali sobie wyników, a potem padli na kolana, by rozpocząć modlitwę.

## 13

W ciągu trzech dni grupie roboczej złożonej z Guilhema, Segnona i Ludivine udało się „zbadać otoczenie” Laurenta Bracha, co polegało na sporządzeniu schematu ilustrującego kontakty utrzymywane mniej lub bardziej regularnie przez ofiarę i jej rodzinę, a także na pobieżnym przyjrzeniu się ich wzajemnym relacjom. Ponieważ upłynęło niewiele czasu, graf pozostawał ogólnikowy i istniało ryzyko, że zawiera błędy lub nieścisłości, był to jednak jakiś punkt wyjścia.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Ludivine DCO nie dostarczyło im żadnych informacji na temat Bracha ani jego bliskich, co więcej, nikt w wydziale do spraw przestępczości zorganizowanej nie znał ofiary.

Lokalna brygada policji, której podlegał teren, gdzie znaleziono zwłoki, okazała się bezużyteczna, a okolicy nie monitorowała żadna kamera. Segnon zajął się pośpieszną analizą deklarowanych przez Bracha dochodów, porównał je z kartami wynagrodzeń dostarczonymi przez firmę, w której pracował zmarły, i wstępnie doszedł do wniosku, że wszystko się zgadza, rodzina faktycznie prowadziła skromne życie.

Najprzydatniejszym narzędziem służącym do znalezienia powiązań ofiary była analiza logowań telefonu. Każdy numer wprowadzano do programu Analyst Notebook, którym Guilhem posługiwał się w celu ustalenia powiązań między setkami, a nieraz tysiącami informacji zgromadzonych w trakcie danego śledztwa. Można było w ten sposób zarchiwizować wszystko, nazwy własne, numery telefonów, tablic rejestracyjnych i tak dalej, dzięki czemu powstawała baza danych dla konkretnej sprawy. Jeżeli istniał choćby najdrobniejszy związek pomiędzy dwoma elementami, program niechybnie go wykrywał, podczas gdy człowiek mógłby go przeoczyć, zwłaszcza gdy chodziło o dane z telefonów z kilku miesięcy uzyskane od paru podejrzanych, czyli o dziesiątki tysięcy cyfr.

Analiza połączeń przychodzących i wychodzących Laurenta Bracha, w zestawieniu z ich geolokalizacją oraz harmonogramem przekazanym przez pracodawcę, pozwoliła śledczym wyrobić sobie zdanie o tym, jakim człowiekiem był zmarły. Pracowitym, to nie ulegało wątpliwości. Punktualnym i pełnym szacunku. Wiadomości tekstowe wysyłał niemal wyłącznie do żony, szefa i klientów. Komórka dostarczyła natomiast bardzo niewiele informacji na temat jego życia osobistego. Żandarmi doszukali się ledwie kilku połączeń do garstki przyjaciół, nic nie wskazywało też, by wychodził gdzieś dla rozrywki.

Ludivine zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie miał drugiego telefonu z niezarejestrowaną kartą prepaid. Istniał tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć:



musieliby przeprowadzić drobiazgowe przeszukanie w jego domu, ryzykując przy tym, że wdowa całkiem się do nich zrazi, a ewentualni obserwatorzy wzmożą czujność, czego Ludivine wolała uniknąć, zwłaszcza jeśli mieliby niczego nie znaleźć.

– Mimo wszystko sprawdzę, czy nasi ludzie nie mają w tym sektorze IMSI Catchera, nigdy nie wiadomo – zaproponował Marc Tallec.

– IMSI czego? – spytał Segnon.

– To system przewożony w samochodzie, który pełni funkcję przekaźnika telefonii komórkowej i przechwytuje dane wszystkich telefonów z okolicy. Praktyczne rozwiązanie, gdy podążasz tropem podejrzanego z zarejestrowanym telefonem i chcesz mieć wszystko na bieżąco, łącznie z geolokalizacją. Ale analizując połączenia, można też zebrać sporo innych informacji, na przykład o użyciu karty prepaidowej niepowiązanej oficjalnie z podejrzanym.

Jednak po zbadaniu sprawy Marc Tallec oświadczył, że żadne tego typu urządzenie nie działało w okolicy, gdzie zamieszkiwała ofiara.

Choć nie zezwolono na wykonanie testów DNA próbek zebranych na miejscu zbrodni, Ludivine otrzymała zgodę na założenie podsłuchu u wdowy. Wszystkie podania w tej sprawie rozpatrywała PNIJ – Narodowa Platforma Sądowa do spraw Przechwytywania Rozmów – która pełniła następnie funkcję pośrednika między operatorem telefonicznym a śledczymi. Wśród żandarmów PNIJ bywała często obiektem kpin, choć nieraz budziła również niepokój. Od czasu jej powstania podsłuchy zakładano i zdejmowano, ale obawy rodziło co innego: wielu ludzi zastanawiało się, dlaczego krajowa centrala podsłuchów nie znajduje się bezpośrednio pod kuratelą administracji sądowej, lecz podlega prywatnej spółce Thales, jednej z największych francuskich firm handlujących bronią.

Szczęśliwie tym razem system działał i wystarczyło wsunąć służbową kartę do terminala, żeby się do niego podłączyć i móc obserwować wszystkie połączenia oraz wiadomości bezpośrednio na komputerze. Ale śledczy musieli przyznać, że na niewiele się to zdało. Malika Brach dużo rozmawiała przez telefon ze swoją rodziną. Nie rozumiała, dlaczego Laurent zginął. Zadzwoiła też do paru osób z sąsiedztwa, by zadać kilka pytań, spróbować się czegoś dowiedzieć, lecz nikt nie potrafił udzielić jej żadnej odpowiedzi poza tą, że taka była wola Allacha i należy ją uszanować. Większość spośród tych osób uczęszczała, jak się okazało, do tego samego meczetu co Laurent Brach, czyli do całkiem zwyczajnej świątyni. Brachowie żyli swoją religią i wyglądało na to, że nic ich nie łączy z handlem narkotykami lub samym towarem.

Żandarmi z łatwością odtworzyli kolejne zajęcia, którym Malika oddawała się w piątek, dzień znalezienia ciała jej męża, i wydawało się nieprawdopodobne, by w sensie fizycznym przyczyniła się do jego śmierci.

Kompletny raport z sekcji zwłok przyszedł w środę. Toksykologia niczego nie wykazała, żadnych anomalii, nie stwierdzono spożycia substancji odurzających. Za to wnioski z oględzin ciała okazały się ciekawsze. Na nadgarstkach i kostkach u nóg widniały wyraźne

ślady więzów, głębokie krwiaki, które nie pozostawiały żadnych wątpliwości: ofiarę spętano za życia. Ustalono, że zgon nastąpił po południu, a może nawet późnym rankiem.

Trupa znaleziono o dwudziestej trzeciej, gdy przejechał go pociąg, co znaczyło, że długo był gdzieś przetrzymywany. Maszyniści ze składów przejeżdżających przez jar w ciągu dnia i wczesnym wieczorem nie zauważyli na torach niczego podejrzanego, co więc zabójca lub zabójcy robili z ciałem przez cały ten czas? Po co je przechowywali? Nawet miejsce, w którym je porzucili, zdawało się nietypowe. Ludivine czuła, że kryje się za tym coś arcyważnego.

W raporcie z autopsji stwierdzono też, że do paznokci ofiary dokleiono fragmenty cudzych, pochodzących najprawdopodobniej od kilku osób, zważywszy na to, że poszczególne próbki znacznie różniły się między sobą, jedne były dłuższe, inne krótsze, a część powleczona lakierem. Ludivine zakreśliła tę uwagę na czerwono i na marginesie napisała dużymi literami: „DNA?” – mimo że wątpiła, by na podstawie tych lichych, najprawdopodobniej „wyczyszczonych” ścinków udało się ustalić jakikolwiek profil genetyczny.

Co więcej, lekarz sądowy znalazł w czuprynie nieboszczyka luźne, najpewniej ucięte kosmyki włosów. Wystarczyło proste badanie pod mikroskopem, by ustalić, że nie należą one do ofiary. Stwierdzono obecność kilku rodzajów włosów o zbliżonym odcieniu. Lekarz sądowy wyróżnił co najmniej sześć typów pochodzących zapewne od sześciu osób, nie było jednak żadnej cebulki, która pozwoliłaby na przeprowadzenie testu DNA.

Pociąg rozczłonkował zwłoki, lecz niektóre ich części przemieściły się tylko nieznacznie, a ich czystość w połączeniu z ciężką wonią wybielacza pozwalała przypuszczać, że przed porzuceniem na torach nieboszczyk został starannie zdezynfekowany.

Śmierć nastąpiła w wyniku uduszenia przez zadzierzgnięcie za pomocą kilku cienkich przedmiotów ściągniętych tak mocno, że wżarły się w ciało głęboko, do krwi. Lekarz dodał, że „prawdopodobnie chodzi o opaski zaciskowe, przypuszczalnie wykonane z plastiku”, a ich liczbę ustalił wstępnie na trzy – założono jedną obok drugiej, a następnie przecięto narzędziem przypominającym nożyczki, które pozostawiło ślady na tkance, tak mocno wpiły się w nią opaski.

Koniec raportu z sekcji zwłok.

Migawka z chwili śmierci. Plamy czarnego tuszu rozmieszczone na białym papierze, cienki plik kartek spięty w rogu zszywką. Ludivine widziała krew na skórze. Gesty i emocje. Oszołomienie... nadmiar bodźców... strach... Ale także drugą stronę medalu: ekscytację. Kontrolę. Zastrzyk adrenaliny. Władzę. Ujście dla emocji. Zorganizowanie. Obsesję.

Zwyrodnienie.

Oto jak Ludivine myślała o tym miejscu zbrodni.

Nie było w nim żadnej logiki, żadnego sensu. Stanowiło nieprawdopodobną mieszankę opanowania ze szczyptą niewytłumaczalnej fantazji.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym wyraźniej dostrzegła zbrodniczy rytuał. Nie chodziło tu o scenę wyreżyserowaną w celu zmylenia śledczych, a raczej o czyn wynikający z osobistych potrzeb. Wyczuwało się intymną relację z ciałem. W ten sposób Ludivine doszła do przekonania, że zabójca był tylko jeden. Przy większej liczbie osób nie można tak całkowicie przywłaszczyć sobie zmarłego ani puścić wodzy chorej fantazji.

Troje żandarmów siedziało wokół maleńkiego stolika kawowego na placu Porte-de-Bagnolet w towarzystwie Marca Talleca, który wsunął dłonie głęboko w kieszenie parki. Brak miejsca w biurze i chęć zażycia odrobiny świeżego powietrza skłoniły Ludivine do zorganizowania narady poza koszarami.

– Sprawa nie ma związku z narkotykami – zakończyła po krótkim podsumowaniu wszystkich informacji, jakimi dysponowali.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – zdumiał się Marc.

– To się nie trzyma kupy. Zbrodnię popełnił wykolejeniec, a nie diler.

– Proszę rozwinąć...

Ludivine oparła łokcie o blat i nachyliła się w stronę trzech mężczyzn.

– Morderca przechowywał zwłoki przez jakieś dziesięć godzin, zanim porzucił je na torach kolejowych.

– Ponieważ nie chciał ryzykować, że w świetle dnia ktoś go zobaczy – przerwał jej Segnon. – Czekał, aż zrobi się ciemno.

Ludivine uniosła palec.

– To oczywiście możliwe, tyle że w międzyczasie dokleił nieboszczykowi ścinki paznokci pozbierane nie wiadomo gdzie, a we włosy powtykał kosmyki należące do innych ludzi.

– Chcesz powiedzieć: do innych ofiar? – podsunął Guilhem, nadmiernie już przyzwyczajony do ponurych spraw, jakimi zajmowali się w paryskim WŚ.

– Mam nadzieję, że nie! Zdaniem lekarza sądowego włosy ucięto równo, jak u fryzjera.

– A więc nasz człowiek grzebie w śmietnikach salonów manikiuru i zakładów fryzjerskich – zakpił Segnon bez śladu rozbawienia.

– Skoro o tym mowa, spod prawdziwych paznokci zmarłego nie pobrano żadnych próbek? – dociekał Guilhem.

– Nie – odparła Ludivine. – Lekarz sądowy stwierdza jasno: starannie je wyczyszczono, podobnie jak całą resztę, którą potraktowano wybielaczem. Mierzymy się z maniakiem zważającym na każdy szczegół. Wszystko ma pod kontrolą.

Segnon, który dobrze znał koleżankę, przyjrzał się jej zamyślonej minie, a potem rzucił:

– Coś ci chodzi po głowie.

Ludivine przytaknęła ostrożnie.

– Miejsce znalezienia ciała – zaczęła – nie jest przypadkowe. Zabójca wybrał je, ponieważ jest spokojne, nie zamierzał ryzykować, że ktoś zobaczy go podczas podkładania zwłok, a jednocześnie chciał, żebyśmy je odkryli. Zależy mu, żeby jego dokonania nie pozostały

niezauważone. Tory kolejowe, ze wszystkim, co podróżni wyrzucają przez okna, co nanosi wiatr... to istne śmietnisko, z naszego punktu widzenia prawdziwy burdel, za dużo tam potencjalnych wskazówek i on o tym wie. Ma jakiś problem, rodzaj obsesji na punkcie poszlak, może nawet samego DNA.

– Odgaduje pani to wszystko wyłącznie na podstawie miejsca zbrodni i raportu z sekcji zwłok? – zdziwił się Marc Tallec.

– To nie jest zwykła zbrodnia, ale czyn skomplikowanego człowieka o złożonej psychice, to z tego powodu zabija. Jego zbrodnia mówi za niego. Z pewnymi zastrzeżeniami mogłabym jeszcze zrozumieć, że diler, który nie chce zostawić śladów DNA, myje ofiarę wybielaczem, choć większość zadowoliliby się spalaniem zwłok, to dużo prostsze i skuteczniejsze. Ale przypominam wam, że on najpierw dokładnie wyczyścił ofiarę, a potem z powrotem ją ubrał! Już to samo w sobie nie jest normalne. A na dokładkę mamy te paznokcie i włosy... Co więcej, miejsce pozostawienia zwłok zostało starannie wybrane. Powtórzę: on chce, żebyśmy dowiedzieli się o jego zbrodni. Diler działałby jak najszybciej albo jak najdyskretniej. Nie odstawiałby tej całej szopki, gdyby zamierzał jedynie wyeliminować przeciwnika albo wyrównać rachunki. To się nie klei.

– Więc po co te wszystkie prochy? – zapytał Tallec.

– Do głowy przychodzi mi tylko jedno wyjaśnienie: to zmyłka. Cała sprawa jest grubymi nićmi szyta. Morderca chce, żebyśmy uwierzyli, że to afera narkotykowa.

– A jednak twierdzisz też, że chce, byśmy wiedzieli, co zrobił, czemu więc kieruje nas na fałszywy trop? To bez sensu! – sprzeciwił się Segnon.

Ludivine pochyliła się jeszcze niżej.

– Faktycznie, jest coś, co mi umyka...

Marc Tallec dopił kawę, po czym wbił wzrok w szefową grupy.

– A zatem skłania się pani ku opinii, że mamy do czynienia ze zbrodnią zbroczeniową. Laurent Brach znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie, to wszystko.

– To się jeszcze okaże, ale na to wygląda. Co jednak nie znaczy, że nie znał swojego zabójcy...

Marc Tallec zabębnił palcami w brzeg filiżanki i westchnął.

– No cóż, dobrze, zdaje się, że nie będę wam długo siedział na głowie.

Odezwał się telefon Guilhema i żandarm odszedł na stronę, by odebrać. Wymiana zdań okazała się krótka, szybko więc wrócił do towarzyszy.

– To był Yves. Poprosiłem, żeby rzucił okiem na nazwiska rozmówców z billingu ofiary, na wypadek gdyby znalazła się wśród nich jedna czy dwie osoby związane z handlem narkotykami.

– I? – ponagliła go Ludivine nieco zbyt ostro.

– Właśnie kogoś takiego zidentyfikował. Kiedy Laurent Brach wykonywał ostatni telefon

w swoim życiu, dzwonił do dilerów...

## 14

Za oknami mżawka tworzyła rozmytą przesłonę, jakby chciała odgrodzić resztę świata od miejsca, gdzie studiowano przemoc i smutne prawdy z nią związane.

Ludivine, pochylona nad ekranem komputera, czytała plik z rejestru karnego TAJ dotyczący diler, do którego Laurent Brach dzwonił przed śmiercią. Ciężki przypadek. Wyrósł na toksycznej glebie, jego korzenie tkwiły głęboko w nienawiści i prochach. Yves wykonał parę telefonów do gliniarzy z sektora, w którym mieszkał przestępca, a oni podzielili się z nim podejrzeniem, że gość jest obecnie grubą rybą w swojej rodzimej dzielnicy Seine-Saint-Denis. Ów narkoman, podglądacz, paser oraz diler, wielokrotnie skazany za obrazę moralności, napaść i posiadanie broni, zdobył wszystkie możliwe odznaczenia, niczym generał, którego chowa się w glorii i chwale, gdyż bez wahania poświęcił wszystko w imię *swojej* wojny.

Yves w roztargnieniu gładził ciemnego wąsa.

– Nie obserwujemy go – wyznał. – Nie wiem, gdzie był w zeszły piątek, koledzy, do których dzwoniłem, też nie. Możemy spróbować uzyskać geolokalizację jego komórki, żeby wyrobić sobie jakiś pogląd, ale taki facet nie wybrałby się na podobną akcję z telefonem w kieszeni. Zwłaszcza prywatnym. Nie jest idiotą, wręcz przeciwnie!

– Mógł to komuś zlecić – podsunął Segnon.

Yves przytaknął.

– Jego nazwisko nie wyskakuje we FNOS-ie, czyli dobra nasza – rzucił z zadowoleniem.

– Dlaczego? – zdziwił się Marc Tallec.

– Kiedy nazwisko figuruje we FNOS-ie, nie wolno nam działać dalej bez porozumienia ze służbami, które wpisały je do systemu, żeby nie spaprać trwającej akcji. A nasi koledzy gliniarze mają irytujący zwyczaj umieszczania tam również nazwisk swoich informatorów w celu zapewnienia im ochrony, co w niektórych przypadkach nas paraliżuje.

– Wracamy więc do narkotyków – podkreślił Guilhem, zerkając na Ludivine.

– Kontaktowali się regularnie? – spytała kobieta, nie przerywając lektury.

Guilhem postukał w klawiaturę i potrząsnął głową.

– Nie, to była ich pierwsza i ostatnia rozmowa, przynajmniej z tego telefonu.

– Zdobędziemy wszystkie dane dotyczące telefonu diler – oznajmiła Ludivine. – Przustudujcie wszystkie jego połączenia. Jeśli Brach miał telefon na kartę, może w ten sposób go znajdziemy.

– Zaczekaj chwilkę – powstrzymał ją Guilhem. – Popełniłem błąd, nie zauważyłem, że

połączenie zaraz przerwano. Trwało zaledwie trzy sekundy.

– Pomyłka? – zasugerował Segnon, choć sam w to nie wierzył.

Ludivine się wyprostowała.

– Że niby przez przypadek dodzwonił się do diler mieszkającego niespełna piętnaście kilometrów od niego, a tymczasem my na miejscu zbrodni znajdujemy prochy? Nie, to się nie zdarza nawet w bajkach. Diler do niego nie oddzwonił?

– Tutaj nic nie ma, trzeba by sprawdzić jego komórkę, zobaczyć, z kim się kontaktował później, czy jest jakieś połączenie...

– Guilhem, zajmiesz się tym? Zidentyfikuj wszystkie telefony jakkolwiek powiązane z tym gościem, łącznie z tymi należącymi do dalszych krewnych. Jest ostrożny, widać, że nie używa własnej komórki do załatwiania interesów. Przeanalizuj wszystko.

Młody żandarm uniósł brwi, myśląc o rozmiarach zadania.

– Yves – odezwał się błagalnym tonem – powiedz, że już depczecie mu po piętach, że przynajmniej wyłoniście spośród wszystkich jego kontaktów jakiś krąg podejrzanych?

– Przykro mi, stary. Ale pomożemy ci z tym. Może uda się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu...

Ludivine wygodniej rozparła się w fotelu, a jej spojrzenie wędrowało od jednego współpracownika do drugiego. Marc Tallec przysiadł na skraju biurka Guilhema i z uwagą przysłuchiwał się, jak ten wraz z Yves'em opracowuje plan bitwy.

Poprzedniego dnia pułkownik Jihan wezwał Ludivine do siebie i z ożywieniem oznajmił jej, że kooperacja żandarmerii z DGSI to rzecz wyjątkowa, że powinna wszystkim przynieść korzyści, a on sam ma nadzieję, że okaże się krótka, lecz owocna. Jihan pełnił funkcję dowódcy ważnej jednostki, nie należał do ludzi, którzy okazują emocje, był inteligentnym, zdeterminowanym człowiekiem, wprawnym analitykiem. Wiedział, że jego ludzie stąpają po niepewnym gruncie, gdyż obecności DGSI, narzuconej przez jego własnych zwierzchników, nie wolno było lekceważyć. Biorąc pod uwagę ogólny klimat zagrożenia związany z akcjami terrorystycznymi, ta sytuacja nie zwiastowała nic dobrego. Jeśli trzeba pomóc w zapobieżeniu atakowi, żandarmeria da z siebie wszystko, mimo że działa na ślepo, ponieważ DGSI nie chce zdradzić, o co chodzi w całej sprawie. Aż dziw, że tajne służby nie próbowały przejąć kontroli i odebrać im śledztwa. Jihan, podobnie jak Ludivine, wnioskował z tego, że samo DGSI nie jest do końca pewne, czy afera wiąże się jakoś z zakresem jego kompetencji, lecz w obliczu wątpliwości wszyscy zachowywali czujność. Mimo że pułkownik nie dał nic po sobie poznać, Ludivine zgadywała, że czuje się nieswojo.

„Proszę w pełni współpracować – polecił jej. – Ale niech pani nie zapomina, że ramy prawne ograniczające pani działalność dochodzeniową różnią się od tych, w których porusza się Tallec. Proszę nie robić nic, co postawiłoby panią w trudnej sytuacji. Czy to jasne, Vancker?”. Ludivine przytaknęła, choć należała raczej do osób, które szarżują bez namysłu, w imię prawdy i przez wzgląd na ofiary, nie zawsze zaprzatając sobie głowę poszanowaniem

procedur. Jednak tym razem była tego samego zdania co dowódca. Tajne służby nie cieszyły się nieskalaną reputacją i kobieta nie miała złudzeń: gdyby w którymś momencie okazało się, że trzeba kogoś poświęcić, by reszta jakoś się wywinęła, to na nią, nie na Marca Talleca, posypią się gromy.

Ocknęła się z zamyślenia, czując, że telefon wibruje jej w kieszeni. Ze zdziwieniem stwierdziła, że ma dwa nieodebrane połączenia, wysłała więc SMS-a z pytaniem, czy to coś pilnego. Odpowiedź nadeszła natychmiast, a ona zerwała się na równe nogi.

– Jadę do Nanterre – ogłosiła. – Philippe Nicolas chce się ze mną spotkać, pisze, że być może ma coś dla mnie.

– W związku ze sprawą? – spytał Marc.

– To się okaże. Philippe Nicolas to koordynator operacji kryminalistycznych, z którym często pracuję. Mówiąc w skrócie, odgrywa rolę pośrednika między nami a wszystkimi ludźmi zajmującymi się naukowym aspektem śledztwa. Ma ogromny zakres kompetencji.

– A przede wszystkim ogromne ego – zażartował Segnon, ale zaraz dodał: – przyznaję, że na miarę tego, co potrafi nieraz wyszperać.

– Jadę z panią – oświadczył Marc, nie dając Ludivine czasu na protesty.

Po wyjściu z koszar Ludivine poprowadziła partnera na przylegający do budynku parking i wskazała audi TT RS.

– Ja prowadzę.

Marc Tallec gwizdnął z podziwem.

– No proszę, w WŚ nie brakuje środków!

– To przechwycony wóz. Należy nam się czasem jakaś korzyść w naturze.

– Lubi pani samochody!

– Przypadkiem zasmakowałam w sportowej jeździe podczas jednej dużej sprawy. Od tamtej pory pozbyłam się nawet części oszczędności, żeby kupić po okazyjnej cenie stare porsche boxer.

– No i dom – uzupełnił Marc, zapinając pasy.

Ludivine popatrzyła mu w twarz.

– To też znalazł pan w dokumentacji, którą dostał pan na mój temat? – rzuciła oschle. – Naprawdę musi pan wtrącać się w tak osobiste sprawy?

Tallec wytrzymał jej lodowate spojrzenie.

– Proszę nie brać tego do siebie, muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia. Jakie formy nacisku mogą wobec pani zastosować.

– Kto?

– Wszystko zależy od tego, kto stoi za śmiercią Laurenta Bracha.

– I sądzi pan, że można mi zrobić pranie mózgu, wściubiając nos w moje prywatne życie?

– Przykro mi, ale muszę wiedzieć, z kim pracuję.



– I co, zdałam test? Można mi zaufać, czy jestem tylko małą blondynką, którą warto się posłużyć, ale nie należy się z nią zbytnio spoufalać?

Z niewyrażającej emocji twarzy Marca Talleca nagle opadła maska. Wyglądał na szczerze dotkniętego.

– Wiem, że to nieprzyjemne. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

Ludivine westchnęła ciężko. Silnik zaczął mrużyć. Wyjechała za wojskowe ogrodzenie i włączyła się do ruchu. Ruszyli w stronę obwodnicy w przytłaczającym milczeniu.

Po kilku minutach spytała łagodniejszym tonem:

– No to jak można poddać mnie naciskom? Co jest moim problemem?

Tallec posłał jej rozbawione spojrzenie, po czym odpowiedział:

– WADA.

– Och, tylko jedna? Z pewnością mam ich więcej, choć wszystkie staram się kontrolować. Mężczyzna zachichotał.

– Nie, WADA to nazwa klasycznej metody stosowanej przez tajne służby, kiedy chcą kogoś zrekrutować albo przynajmniej wykorzystać. Akronim hasłowo opisuje cztery sposoby wywierania wpływu: wpadka, aktywa, doktryna i ambicja. Krótko mówiąc, rzecz w tym, by znaleźć furtkę, przez którą da się dotrzeć do danej osoby i ją pozyskać. Może ma coś na sumieniu i trzeba ją zaszantażować? A może wystarczy ją kupić? Albo jest patriotą i pomoże ze względu na wyznawane poglądy? I wreszcie pozostają piękne słówka, obietnice i odrobina władzy, które mile polectają ego kandydata. Wszyscy mamy jakieś słabostki... Ostatnią szansą jest zastawienie na delikwenta pułapki, co właściwie podpada pod „wpadkę”...

– A czego użyłby pan w moim przypadku?

– Całkiem szczerze?

– Proszę bardzo, sądzę, że to już nie zrobi wielkiej różnicy...

– Zaaplikowałbym pani sporą dawkę „doktryny” zaprawionej odrobiną „ambicji”. Ma pani ten zawód we krwi, to silniejsze od pani, z łatwością przekonałbym panią, że gra toczy się o olbrzymią stawkę, wyjaśniłbym, jak cenna, a nawet nieoceniona, może się okazać pani pomoc, że przysłuży się pani wszystkim, uratuje ludzkie życia.

– Trafne posunięcie. A z tą ambicją, to żeby mi nie było smutno?

– Żeby panią dowartościować. Jest pani wyjątkową kobietą osiągającą ponadprzeciętne rezultaty, która sama siebie nie docenia. Nie ośmielam się nawet myśleć, co można by z pani wycisnąć, gdyby była pani pewna siebie i niezachwianie wierzyła we własne siły.

– Wątpliwości, stare rany i ta kruchość relatywizują mój tok myślenia i to właśnie one czynią mnie tak wytrwałą. Jeśli mi pan to odbierze, zacznę partaczyć. I pan o tym wie. Odwołałby się pan do ambicji, by łatwiej mną manipulować. Żeby w całą relację wpleść element emocjonalny, bo ma pan świadomość, że jestem osobą uczuciową. – Tallec znów się uśmiechnął, ale nie odpowiedział. – Co nie zmienia faktu, że to bardzo nieprzyjemne, że tyle

pan o mnie wie. Czuję się, jakbym stała przed panem nago.

– Zapewniam panią, to wcale nie tak! Ale wróćmy do meritum: pani zdaniem śmierć Bracha łączy się jakoś z narkotykami czy nie?

Ludivine zdała sobie sprawę, że zirytowała ją jego reakcja, to, że nawiązał do spraw służbowych i nie powiedział już nic na jej temat, żadnego czułego słówka. Mógł chociaż skwitować jej wyznanie jakąś ripostą, przecież nie było całkiem niewinne, w ciasnej kabinie samochodu... Nagle zaczęła się zastanawiać, czy jakaś jej część nie próbuje go uwieść... *Dawne demony... uwodzić, by się sprawdzić... uwodzić, by dominować... żeby się wypełnić, ze strachu przed pustką, z obawy, że trzeba będzie stanąć twarzą w twarz z samą sobą...* Nie, zakończyła już ten etap. Pracowała nad sobą, dorosła, zmieniła się. Tutaj chodzi o coś zdrowszego, bardziej o jakąś... chemię, coś fizjologicznego... *O cholera! Nie, Lulu, tylko nie on!* Podobał jej się. Trzeba przyznać, że jego aparycja robiła wrażenie. *Żebym zakochała się od pierwszego wejrzenia, to niemożliwe!* Nie był klasycznie przystojny, ale roztaczał niezwykle urok. *To tylko... pożądanie. I co z tego? To ludzka rzecz, prawda? Nie mówię, że chętnie bym się z nim przespała, tylko że jest...* I w tej chwili nagłego roznamiętnienia znów poczuła jego zapach, tę zwierzęcą woń zmieszaną z aromatem jego skóry, przypominającą niestrudzoną falę, która chyłkiem zbliża się z boku, żeby cię zatopić...

– Ludivine?

Ile czasu minęło, odkąd miała faceta? Ta nieustająca samotność, puste noce, bez grama czułości, bez dzielenia się, wymiany, bliskości... To wszystko czyniło ją podatną na wdzięki pierwszego względnie atrakcyjnego mężczyzny, który się nawinął – wkurzająca sprawa. Beznadziejna. *Ale to przecież ludzkie... Naturalne zwłaszcza w przypadku kogoś, kto chce odbudować więź ze zmysłami, ze swoim wnętrzem, z tą prawdziwą, wrażliwą częścią...*

– Ludivine?

Zamrugła, żeby otrząsnąć się z zamyślenia.

– Yyy... tak, przepraszam. Zastanawiałam się nad...

Użyła wzmożonego ruchu na drodze jako wymówki, by skupić się na prowadzeniu auta. Ryk pięciu cylindrów wypełnił pustkę między nimi, gdy przyspieszyła gwałtownie, żeby wślizgnąć się między dwa inne pojazdy.

Odzyskała panowanie nad sobą i podjęła:

– Nie wiem już, co myśleć o tym zabójstwie. Wszystko wskazuje na skrupulatnego, obsesyjnego mordercę o ekstremalnie silnych popędach, przytłoczonego brzemieniem swoich fantazji. Krótko mówiąc, nie chodzi o pierwszego lepszego kryminalistę. A jednak te narkotyki, telefon do diler... Karty bez przerwy się przetasowują.

– Ja też potrafię analizować fakty. Ale chciałbym się dowiedzieć, co pani sądzi w głębi duszy. Co podpowiada pani instynkt?

– Że prochy to zmyłka. Ale zabójca musi mieć znaczące kontakty, skoro zdobył ich tyle. Jakoś mi się nie wydaje, że kupił taką ilość jako zwykły konsument. Podczas transakcji

mogłaby go przyskrzynić policja, a pozbawieni skrupułów dilerzy okantować... To do niego niepodobne, on uważa na wszystko, czyści, miesza, zaciera ślady... To ostrożny planista, który nie podejmuje żadnego ryzyka. Musi więc mieć koneksje.

– Jak miejscowy, człowiek z tamtej dzielnicy?

– Możliwe. Ale to nie tłumaczy wszystkiego. W tej zbrodni tkwi jakiś paradoks. Dlaczego chciał, żebyśmy tak szybko znaleźli ciało? Po co ten ogromny bluff z narkotykami? Nie ogarniam tego.

– A jeśli to wszystko zostało wyreżyserowane? Żebyśmy stracili jak najwięcej czasu?

Ludivine zabębniła palcami o kierownicę. Utknęli w popołudniowym korku.

– To by znaczyło, że ktoś nieźle się przy tym napocił – odparła. – Jaki w tym cel? Musiałby być porządnie szurnięty!

– Albo zmotywowany...

– Co pan ma myśli? – spytała, odwracając się do Marca.

Przyglądał jej się, jakby zamierzał zdradzić jej coś ważnego. W końcu wykonał subtelny ruch podbródkiem, na znak, że się poddaje.

– Okej, uważam, że nadeszła pora, by zyskała pani całościową wizję – rzucił – ale wszystko musi zostać między nami, to bardzo delikatne informacje. Od dłuższego czasu nadzoruję niejakiego Abdelmaleka Fissouma. To kluczowa postać w środowisku radykalnych islamistów, zna mnóstwo ludzi i przekazuje masę wiadomości.

– To radykał z gatunku... potencjalnych terrorystów? – zdumiała się Ludivine.

– W każdym razie otacza się ludźmi, których uznajemy za niepokojących, i naucza w podobnym tonie.

– I nie aresztowaliście go?

– Nie, to tak nie działa. Jeśli go zamknę, stracę punkt zaczepienia. Obserwując go, mamy dostęp do wielu nowych twarzy, odkrywamy kolejne ogniwa łańcucha. Mówiąc w skrócie, zanim go capniemy, opłaca nam się posługiwać nim tak długo, jak to możliwe. Tak czy inaczej, Fissoum to gruba ryba działająca w całym Île-de-France, przede wszystkim po stronie Argenteuil, w Val-d'Oise. Wykonywaliśmy więc swoją robotę, aż pewnego pięknego dnia u jego boku pojawił się ktoś nowy.

– Laurent Brach – odgadła Ludivine.

– Właśnie. Nie mamy pojęcia, jak się poznali, pewnie przez jakiegoś pośrednika z meczetu Bracha albo znajomego z osiedla, na którym mieszkał. W ciągu miesiąca Fissoum i Brach spotkali się mniej więcej dziesięć razy, choć wcześniej się nie znali, jesteśmy tego pewni.

– O czym rozmawiali? Co razem robili?

– Tego nie wiemy, Fissoum jest bardzo ostrożny. To ludzie z jego otoczenia popełniają błędy i to dzięki nim zdobyliśmy te okruchy wiedzy, którymi dysponujemy. Brach mógłby uchodzić za kolejnego nawróconego faceta, który postanowił po prostu nawiązać kontakt

z osobami bardziej radykalnymi od siebie, a wtedy zadowolilibyśmy się założeniem mu kartoteki, ale częstotliwość tych spotkań nas zaalarmowała. Na dodatek wielkie uszy zaczęły wychwytywać szmery. Całe mnóstwo.

– Co to znaczy?

– My i służby wywiadowcze sojusznicznych krajów prowadzimy ciągły nadzór nad wszystkimi środkami pośredniej i bezpośredniej komunikacji, którymi posługują się najradykalniejsi islamiści. Mowa o sieci, mniej lub bardziej utajnionych forach, telefonach, ale też o przeczesywaniu Darknetu, na tyle, na ile to możliwe...

– Darknet to równoległy Internet, który wymyka się wszelkiej kontroli?

– I prawie uniemożliwia śledzenie użytkowników, tak. Ale mamy też inne kryteria alarmowe: wzmagamy czujność na przykład wtedy, gdy ogólna ilość kontaktów, wliczając w to maile, SMS-y i połączenia głosowe, znacząco wzrasta, nawet jeśli ich treść pozostaje neutralna, mogą przecież posługiwać się szyfrem. Liczy się nagłe zwielokrotnienie liczby wiadomości. To znak, że coś się dzieje, że w społeczności radykalnych islamistów zapanowało poruszenie, a więc coś gdzieś rąbnie. Właśnie do takiej sytuacji doszło pięć miesięcy temu. Siedzieliśmy jak na szpilkach, ale nic się nie wydarzyło. Później Brach i Fissoum już więcej się nie spotkali i przestali się kontaktować.

– Pokłócili się? To się zdarza wśród tych typów?

– To jedna z opcji. Albo Fissoum zorientował się, że nasze służby zidentyfikowały Bracha...

– Albo wyczał, że sam wpadł!

– Otóż to. Tak czy siak, między nimi wszystko się urwało. I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, mniej więcej w tym samym czasie wrócił normalny szum tła przechwytywany zwykle przez wielkie uszy, wzrost aktywności minął. To wtedy postanowiliśmy zaznaczyć nazwisko Laurenta Bracha na czerwono w naszych rejestrach.

– Więc czemu w ostatnim czasie zrezygnowaliście z nadzoru? Zwłaszcza że trzy miesiące temu jego nazwisko znów wypłynęło w komentarzach pod propagandowym nagraniem.

– Ponieważ ogólna sytuacja bardzo szybko się zmienia, zewsząd rozlegają się alarmy, a nie jesteśmy w stanie ogarnąć wszystkiego. Postanowiliśmy przyglądać mu się z daleka, a całą energię skupić na bardziej priorytetowych celach. Brach nic nie robił, nie spotykał się już z nikim, kto by nas interesował. Jasne, jego komentarz pod tym filmem trochę nas zelektryzował, ale musimy badać zagrożenia konkretniejsze niż typ, który raz na pięć miesięcy daje wyraz swojemu ekstremizmowi. Szczególnie jeśli ma rodzinę, robotę... Nie możemy sobie pozwolić, by trwonić siły na faceta o niezbyt skrajnych poglądach, przeciwko któremu przemawia wyłącznie parę spotkań z Fissoumem w okresie, gdy coś się działo w świecie fanatycznych wyznawców Allacha. Niemniej jednak tłumaczy to, dlaczego nasze ekrany podświetliły się na czerwono, kiedy zaczęliście wypytywać o Bracha i zaglądać do baz danych.

– A co robił Fissoum przez cały ten czas?

– To ważna figura, więc trzymaliśmy rękę na pulsie. Dalej wiódł swoje skromne życie, utrzymywał znajomości, choć dyskretniej, jakby się uspokoił albo zrozumiał, że mamy go na celowniku.

– Dowiedzieliście się, co wywołało szum odbierany przez wielkie uszy?

– Nie. Istnieją tysiące wytłumaczeń, ale żadne nie zostało potwierdzone. Witamy w świecie frustracji.

– Podsumowując, mój nieboszczyk to były przestępca, który w więzieniu znalazł ratunek w wierze, a po wyjściu został praworządnym obywatelem, ożenił się, spłodził dzieciaka, znalazł stałą pracę i dobrze ją wykonywał. Pięć miesięcy przed śmiercią przez krótki czas, za to z dużą częstotliwością, widywał się z niebezpiecznym radykałem, a potem skończył rozjechany przez pociąg obok plecaka pełnego prochów. Co za burdel...

– Rozumie pani, dlaczego muszę wiedzieć, kto zabił Laurenta Bracha i z jakiego powodu?

– Zdaje pan sobie sprawę, ile trudu sobie zadali? Tylko po co?

– Żebyśmy przegapili istotę sprawy.

Audi wjechało do tunelu, a wbite w Ludivine spojrzenie Marca Talleca nabrało w półmroku bladego, lecz diabolicznie przenikliwego blasku.

## 15

Ludivine nie rozumiała, do czego Marc Tallec zmierza.

– Im bardziej złożona zbrodnia, tym większe ryzyko, że zabójca pozostawił gdzieś swój ślad – ogłosiła – a my go znajdziemy. Nawet jeśli zamiast trzech tygodni zajmie nam to dwa miesiące. Nie wiem, co...

– Istota sprawy, pani porucznik. Wciąż roztrząsa pani kwestie „kto” i „dlaczego”, a zważywszy na wygląd miejsca zbrodni, zdaje się to całkowicie uzasadnione, tego należało się spodziewać. W przypadku takiego czynu całą uwagę skupia się na jego autorze, wszystkie zasoby przeznacza się na złapanie go, ponieważ to patologia. I to sprawia, że wybór ofiary składa pani na karb przypadku. Laurent Brach znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie, natrafił na zboczeńca. A jeśli ten trop pani nie wystarczy, są jeszcze narkotyki.

Rozumowanie Marca Talleca wreszcie nabrało dla Ludivine sensu. Podsumowała więc:

– To wszystko odciąga nas od najprostszej hipotezy: że Laurent Brach został zamordowany za to, kim był, a jego zabójca nie chce, żebyśmy szybko podjęli pogłębione śledztwo w tym kierunku.

Marc pstryknął palcami na znak, że załapała.

– Zabiła go zorganizowana siatka – dodał – która chce utrzymać nas z dala od siebie, karmiąc nas pseudowskazówkami, żebyśmy ruszyli na poszukiwanie widmowego wykolejeńca. I to nie byle jaka siatka, lecz komórka islamistów.

– Bo Brach zamierzał ich wsypać?

– Być może. Coś wiedział, coś odkrył. W każdym razie sprawa była na tyle poważna, że podjęli ryzyko i go sprzątnęli.

Ludivine zastanawiała się chwilę, a na jej twarzy pojawił się grymas.

– No nie wiem. Dlaczego w takim razie nie zakopali ciała w jakimś lesie? Gdziekolwiek, bylebyśmy długo go nie znaleźli... Zgoda, żona zgłosiłaby zaginięcie, ale minęłoby cholernie dużo czasu, zanim służby porządkowe potraktowałyby sprawę poważnie, zważywszy na kartotekę kryminalną zaginionego! A tymczasem oni ściągnęli na siebie naszą uwagę. Nie sądzi pan, że z powodu skrzywienia zawodowego wszędzie widzi pan terroryzm?

– To możliwe. I właśnie po to mam panią. To pani musi mi powiedzieć, w co powinienem wierzyć.

W obliczu stawki w tej grze Ludivine poczuła nagle, jak przytłacza ją ciężar

odpowiedzialności.

– Dobrze, na razie pracujmy po mojemu z tym, co mamy – zakończyła, skręcając w ulicę, przy której stał budynek OCRVP w Nanterre.

Centralne Biuro do Zwalczenia Przemocy wobec Ludzi podlegało policji sądowej, lecz urzędowała w nim też grupa SALVAC, gdzie policjanci i wojskowi z żandarmerii wspólnie troszczyli się o sprawne funkcjonowanie systemu. Wewnątrz, na długich korytarzach i w rozlicznych gabinetach, panował zaskakujący spokój. Ludivine zapukała do uchylonych drzwi ciasnego pomieszczenia, z którego ze względu na działające komputery i drukarki bił zapach gorąca. Mężczyzna wyróżniający się na tle kolegów natychmiast podniósł się z miejsca. Włosy miał wypomadowane i starannie zaczesane do tyłu, skórę pokrywała opalenizna godna surfera, cokolwiek niestosowna w połowie listopada, nosił fiołkową koszulkę polo marki Lacoste i kardigan w kolorze królewskiego błękitu, emanowała od niego wierność wobec kultu młodości i wyglądu – a także woń perfumowanego kremu do pielęgnacji twarzy, którego zużywał chyba całe palety.

– Dobrze, że wpadłaś – przywitał Ludivine, ostentacyjnie żując gumę.

– Philippe Nicolas, nasz ulubiony koordynator. A to Marc Tallec, z którym obecnie współpracuję. Od kiedy zajmujesz się SALVAC-em?

Koordynator nachylił się i odparł konfidencjonalnym tonem:

– Jest tu w Biurze taka ślicznotka, to nic poważnego, ale pozwala mi się odprężyć. Więc często tutaj zaglądam... Kiedy zobaczyłem twoją prośbę o analizę, pozwoliłem sobie rzucić na nią okiem.

Ludivine uniosła brwi, rozbawiona, ale zamiast ciągnąć temat, wyjaśniła z myślą o Marcu Tallecu:

– Z uwagi na niezwykłość pewnych elementów naszego miejsca zbrodni od razu złożyłam wniosek o badanie systemem SALVAC. Mówiąc w uproszczeniu, chodzi o program gromadzący dokładne dane dotyczące wszystkich zabójstw, napaści seksualnych, przypadków tortur i aktów barbarzyństwa, otruc, uwięzień, zniknięć i tak dalej, łącznie z próbami popełnienia takich zbrodni. Wszystko zostaje zarejestrowane w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy jakiś śledczy gdziekolwiek na terytorium kraju zaczyna żywić wątpliwości i podejrzewać, że jego sprawa może być powiązana z innymi, wypełnia formularz SALVAC i prosi o zbadanie tej kwestii. Analitycy wprowadzają dane do programu, patrzą, co wyskoczy, po czym porównują informacje i przedstawiają wnioski.

– I rozpoczęła pani tę procedurę zaraz po znalezieniu zwłok? – zdumiał się Marc Tallec.

– Chwilę temu mówił pan o moim instynkcie. Podążam za nim od samego początku. W tej aferze kryje się coś dziwnego, cały zbiór drobnych osobliwości. Co znalazłeś, Philippe?

– Program wskazał dwie sprawy o uderzających punktach wspólnych, ale też znacznych różnicach. Może to lipa, ale jeśli nie, to... No cóż, ty mi powiedz.

Porwał z biurka dwie kolorowe teczki i otworzył je z roztargnieniem, bo niewątpliwie znał

już na pamięć każdy detal.

– Na samym początku rozdźwięk – zaczął – bo profile ofiar w ogóle do siebie nie pasują. W obu wspomnianych przypadkach chodziło o kobiety. Co jeszcze bardziej zaskakujące, zostały zgwałcone.

– Na miejscu zbrodni znaleziono narkotyki? – spytał Marc.

– Nie, nic z tych rzeczy. Badania krwi ofiar też nie wykazały ich obecności.

– Więc czemu SALVAC wypluł te sprawy? – dociekała Ludivine.

– Ciała dziewczyn porzucono na torach kolejowych, a przedtem dokładnie wyczyszczono i zdezynfekowano.

Ludivine wzięła teczki z rąk koordynatora.

– To on – oznajmiła po pobieżnym przejrzeniu dokumentacji. – Nie ma cienia wątpliwości, to ten sam podejrzany. Tropimy seryjnego mordercę.

Deszcz bębnił o deski werandy, dodatkowo rozrzedzając skąpy blask ulicznych latarni z trudem przebijający się przez gęstą roślinność ogrodu. Ludivine czuła się odizolowana, oddalona od wszystkiego. Zapaliła kilka lamp w salonie, by odepchnąć noc, chodziła boso po chłodnym parkiecie. Po powrocie do domu przestrzegwała kilku podstawowych rytuałów, tak żeby życie zawodowe nie pochłonęło całkiem kobiety, którą wszak w dalszym ciągu była. Dlatego też weszła na górę się przebrać, włożyła obszerne, miękkie spodnie od piżamy i wygodną bluzę, spięła włosy gumką, schowała broń do sejfu, a wreszcie wróciła na parter, by rozpalić w kominku.

Ogień trząskał za jej plecami, a przygotowana wcześniej filiżanka herbaty niemal całkiem ostygła i już nie panowała, gdy Ludivine odsunęła się, by podziwiać swoje dzieło. Zdjęła z haczyka trójwymiarową panoramę Paryża autorstwa Fazzina i oparła ją o ścianę tak, że widoczny był tylko tył obrazu, a w jej miejsce taśmą klejącą przyczepiła kilka ogromnych arkuszy tektury. Tak powstała olbrzymią tablicę podzieliła na trzy części.

Po jednej dla każdej z ofiar, od pierwszej do ostatniej.

Nazwisko, wiek, ogólny profil.

Przyczyna śmierci.

Podobieństwa i różnice między poszczególnymi zbrodniami.

Ludivine udało się dotrzeć do kierowników śledztwa z SRPJ – lokalnych oddziałów policji sądowej – zajmujących się dwoma pierwszymi zabójstwami i dowiedzieć się więcej na ich temat. Dwaj uprzejmi, chętni do współpracy gliniarze zawiedzeni faktem, że nie udało im się rozwiązać sprawy, zgodzili się nieoficjalnie podzielić z nią swoją wiedzę, a nawet przekazać jej akta, pod warunkiem że będzie na bieżąco informowała ich o postępach. Żle się czuła z tym, że żadnemu nie powiedziała o istnieniu tego drugiego, i przysięgła sobie, że naprawi to później, gdy dowie się więcej. Ale to ona dostrzegła związek.

Trzy przerwane życia. Zniszczone. Unicestwione raz na zawsze.



Ofiary zamordowano, następnie starannie wyczyszczono środkiem odkażającym, a wreszcie porzucono na torach kolejowych, na zakręcie. We wszystkich przypadkach zwłoki poćwiartował przejeżdżający pociąg.

Wystarczyłby już ten jeden aspekt sposobu działania sprawcy, aby Ludivine zaczęła podejrzewać, że mimo znaczących różnic zabójcą dwóch kobiet i Laurenta Bracha jest ta sama osoba, ale przyczyna śmierci ostatecznie ją o tym przekonała: we wszystkich przypadkach zgon nastąpił w wyniku uduszenia przez zadziergnięcie za pomocą trzech lub czterech cienkich wytrzymałych narzędzi zaciśniętych tak mocno, że wżarły się głęboko w ciało i morderca podczas rozcinania ich pozostawił na skórze ślady nożyczek. Prawie na pewno chodziło o plastikowe opaski zaciskowe z rodzaju tych coraz częściej używanych przez wyspecjalizowane służby bezpieczeństwa w charakterze kajdanek.

Powolna śmierć.

Paskudna.

Na szyi drugiej ofiary opaski zacisnęły się tak mocno, że przerwały żyły szyjne zewnętrzne.

*Utrata kontroli? Wszechogarniająca wściekłość? Frustracja?*

Ludivine analizowała dane.

Ten człowiek zabił już trzykrotnie.

*Co najmniej.*

Między pierwszym a drugim morderstwem doszło do eskalacji. Druga ofiara otrzymała liczne ciosy, z czego większość już po śmierci. Miała strzaskane żebra i niezliczone sińce, które nie zdążyły wybarwić się na skórze, lecz gdy lekarz sądowy wykonał nacięcia skalpelem, zauważył mnóstwo pękniętych naczyń krwionośnych.

Dlaczego morderca zmienił się po zabiciu dwóch kobiet? Czy to, że na drugiej z taką mocą wyładował swoją nienawiść, świadczyło o jego rosnącej frustracji?

*Musiał spróbować czegoś nowego, by uwolnić swoje fantazje?*

Obrażenia w okolicach pochwy i odbytu wskazywały na wyjątkowo brutalne gwałty, prawdopodobnie wielokrotne, choć tkanki, w większości zniszczone w wyniku „uporczywego czyszczenia wybielaczem”, nie pozwalały tego jednoznacznie stwierdzić. Zbrodnie popełnione na kobietach miały charakter seksualny, to nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości: penetracja nie była „przypadkowa”, nie nastąpiła też w wyniku niekontrolowanego wzrostu podniecenia, lecz stanowiła przyczynę ataków, podstawową motywację napastnika. Nic natomiast nie kazało przypuszczać, by Laurent Brach doświadczył jakiegokolwiek formy przemocy seksualnej.

*Dlaczego porwał się na mężczyznę? Potrzebował ofiary, która stawia ci większy opór?*

Nie, to się nie trzymało kupy. Gwałt stanowił sedno pierwszych zbrodni, Ludivine ani przez chwilę w to nie wątpiła. Morderstwa dzieliło osiem miesięcy, osiem miesięcy, podczas których zabójca z pewnością w kółko odtwarzał w głowie wspomnienie swojego pierwszego

razu. Osiem miesięcy coraz bardziej wybujałych fantazji, tłumionej frustracji. Czy to dlatego tak się wyżył na drugiej ofierze? Kazał jej płacić za tak długi czas oczekiwania?

*Ludivine potrząsnęła głową. Nie. Ma nieskomplikowany stosunek do swoich ofiar, wykorzystuje je do zaspokojenia żądz, ale nie przetrzymuje ich przez kilka dni.*

*Porwane, zgwałcone, zabite i porzucone w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin. Najgroźniejsi seksualni drapieżcy, którzy działają powodowani głównie chęcią osiągnięcia rozkoszy, a przy tym się kontrolują, czynią z ofiary niewolnicę seksualną. Uprawdają ją i więżą przez co najmniej parę dni, dopóki nie wyczerpią swoich fantazji, a w końcu zabijają, żeby się jej pozbyć.*

*A on woli natychmiastowość. Przypuszczalnie kilkukrotna penetracja w ciągu paru godzin, a potem śmierć. Nie pomieszkuje z przyszłą ofiarą, nie niewoli jej, a przynajmniej nie przez długi czas, ogranicza kontakt do minimum, nie próbował zapewnić sobie rozrywki, lecz reagował na nieodparte pragnienie. A mimo to wykazuje niewiarygodną ostrożność...*

*Te kobiety zostały skrajnie uprzedmiotowione. Przeznaczone do jednorazowego użytku.*

*W zamieszkiwanym przez ciemności umyśle Ludivine rozbłysło światełko. Małeńki punkcik, ale jaśniejący niczym latarnia morska wśród nocy.*

*Rzeczywistość przynosi mniejszą rozkosz niż fantazje. Jest sfrustrowany. Rozczarowany, co ostatecznie wywołuje u niego gniew. To dlatego szybko zabija. Po pierwszej zbrodni odczekał osiem miesięcy, ponieważ nie zapewniła mu takiej satysfakcji, jaką sobie wyobrażał. A kiedy żądze w końcu znów przerodziły się w obsesję, zrobił to ponownie, ale spotkał go jeszcze większy zawód, więc się wściekł. Długo bił drugą dziewczynę, żeby wyżyć się całej frustracji...*

*Potem powstrzymywał się przez prawie dwa lata, a wreszcie zaatakował mężczyznę, Laurenta Bracha.*

*Nie, seks to jego podstawowa motywacja – powtórzyła w głowie Ludivine – a Brach nie nosi śladów przemocy tego rodzaju. Kierowało nim coś innego.*

*Co więcej, dwa lata przerwy to długo jak na równie zdeterminowanego zbrojnego. Zazwyczaj działa się raczej odwrotnie, ten typ przestępcy w miarę, jak nabierał pewności siebie, coraz szybciej ulegał fantazjom, coraz częściej przechodził do czynu...*

*Czyżby spędził te dwa lata w więzieniu? Może siedział z Laurentem Brachem?*

*To było możliwe. A sposób działania mordercy wydawał się tak drobiazgowy, tak wyważony, że Ludivine nie potrafiła sobie wyobrazić, by w międzyczasie popełnił zbrodnię inną metodą. Nie złapano go za zabicie tych dwóch dziewczyn, nie miał więc powodu, żeby wprowadzać modyfikacje. Tak specyficzny model działania ujawniał niemal kształt samej fantazji, stanowił część jego zbrodniczego podpisu, nie mógł radykalnie go zmienić. Nie, nie doszło do innych zabójstw poza tymi trzema.*

*O ile innych ofiar nie uznano za samobójców, byle szybko odhaczyć sprawę, może nie zauważono nawet śladów napaści seksualnej, a akta odesłano do archiwum bez dalszego*

*śledztwa, bez sprawdzenia...*

Ludivine zanotowała w pamięci, że trzeba pod tym kątem pogrzebać w papierach, sporządzić listę samobójców, którzy zginęli na torach kolejowych, i bacznie przyjrzeć się każdemu zmarłemu oraz okolicznościom towarzyszącym.

Ale to wszystko wciąż nie tłumaczyło, dlaczego sprawca zamordował mężczyznę, zgodnie ze swoim *modus operandi*, rezygnując jednak z wymiaru seksualnego, który był kluczowy dla jego przestępczej dynamiki.

Czy to możliwe, że Marc Tallec ma rację? Zbrodni dokonała zorganizowana siatka?

*Nie, ten facet jest zbyt egocentryczny, on zabija sam. Robi to dla siebie, dla własnej przyjemności, żeby zaspokoić swoje potrzeby, nie może się tym dzielić z innymi.*

A zatem morderstwo na zlecenie?

Ludivine westchnęła. Seryjny morderca, który został płatnym zabójcą? Dość szalona myśl.

*To mogłoby się udać tylko w serialu. Prawdziwy wykolejeniec reaguje na bodźce zrodzone w swych najskrytszych głębiach, pozostaje niewolnikiem własnej perwersji, z całą pewnością nie jest w stanie tak jej ukierunkować, by przynosiła zysk materialny lub inne korzyści!*

Strasznie naciągane. Właśnie dlatego nie znośiła oglądać *Dextera* ani innych seriali w tym stylu. Były do bólu hollywoodzkie, zero wiarygodności, zdradzały całkowity brak zrozumienia dla mechanizmów psychicznych, które sprawiają, że istota ludzka staje się mordercą.

*Skąd więc ta zmiana w doborze ofiar? Dlaczego Laurent Brach? Chodziło konkretnie o niego czy o jakiegokolwiek mężczyznę?*

Ludivine postanowiła przejść do kolejnego zagadnienia i zaczęła spacerować po przestronnym salonie. Ogień w kominku powoli przygasał, poruszała więc pogrzebaczem wśród żaru, by na nowo go rozniecić. Jej twarz rozświetliła się jego czerwieniami, płomienie odbiły się w źrenicach.

*Ma obsesję na punkcie czystości.*

Gdyby spojrzeć na ten element w oderwaniu, mógłby nakierować Ludivine na bardzo specyficzny typ dewianta, a jednak nie mogła analizować go niezależnie od całej reszty. Zwłaszcza od kwestii włosów i paznokci.

We wszystkich trzech przypadkach do paznokci ofiar doklejono inne, o różnorodnych cechach i różnym pochodzeniu, podczas gdy ich własne zostały starannie wyszorowane, aż pokaleczono przy tym palce. Podobnie we włosy zmarłych systematycznie powtykano równo ucięte cudze kosmyki. Być może Segnon się nie mylił, gdy dla żartu stwierdził, że zabójca Laurenta Bracha grzebie w śmietnikach salonów fryzjerskich i kosmetycznych.

W gardle pierwszej ofiary znaleziono gumę do żucia zawierającą ślady nie jej własnego, lecz obcego DNA, a Ludivine mogłaby się założyć, że nie należało ono również do mordercy, tylko do przypadkowego pechowca, który wypluł gumę gdzieś, skąd sprawca

mógł ją zabrać.

*Lubi zacierać ślady. Tory kolejowe również temu służą. Bo pociąg jeszcze bardziej uszkadza zwłoki, bo to miejsca usiane odpadkami, gdzie można pobrać setki, jeśli nie tysiące próbek wymagających analizy DNA.*

Ludivine zaczynała wyrabiać sobie ogólny obraz zabójcy.

*Nie myje ich przed zabiciem. Ma to gdzieś. Robi to później, wyłącznie w celu wymazania własnych śladów. Ich czystość go nie obchodzi, po prostu nie chce zostawić żadnej wskazówki, która mogłaby do niego doprowadzić. Posuwa się nawet do tego, że napełnia pochwę i odbyt wybielaczem i szoruje...*

Potwór.

Krok po kroku, w miarę jak zapoznawała się ze szczegółowymi raportami, Ludivine nabierała pewnych przekonań. Im więcej czytała, tym więcej oczywistości rzucało jej się w oczy. Miała do tego talent. Richard Mikelis, wybitny kryminolog, który wziął ją pod swoje skrzydła, mógł być z niej dumny. Ciężko pracowała i przyswoiła sobie ogrom wiedzy teoretycznej. To były ramy jej działania, dobrze je znała. Jednak jej mocną stroną stanowiła umiejętność inteligentnego uzupełniania luk, potrafiła coś więcej, niż tylko wyczuwać fakty czy odgadywać sens czynów, zwyczajnie interpretować każdy gest. Umiała oczywiście wślizgnąć się w skórę wykolejeńców, zrozumieć ich, dostrzec dysfunkcyjną wewnętrzną logikę każdego z nich na podstawie śladów, które zostawiali w swoim kilwaterze, na swoich ofiarach, ale przede wszystkim potrafiła sprawić, żeby te ślady, te raporty i zdjęcia przemówiły.

Deszcz ustał, choć Ludivine tego nie zauważyła, nie przeszkadzało jej też, że stopy zmarły jej na kość na zimnym parkiecie.

Wyświetlacz na modemie informował, że wybiła północ. Młoda kobieta wciąż była na nogach, stała przed ścianą pokrytą notatkami, przekonana, że „kolejowy zabójca”, jak zaczęła go nazywać, kryje się na widoku, tuż obok, że jego nazwisko czeka w którymś z rejestrów jakby w ciepłym gniazdku.

I nagle, podobnie jak wystarczy zmienić perspektywę, by dostrzec motyw skrywany przez anamorfozę, Ludivine zanalizowała dane pod innym kątem i już wiedziała.

## 16

Jak utrzymać równowagę, gdy nie istnieją żadne punkty odniesienia, kiedy próżnia jest wszechobecna?

Ludivine bez przerwy zadawała sobie to pytanie, żeby zachować jasność myślenia, a przede wszystkim – by nie ulec strachowi, nie pozwolić, by wniknęły w nią bezlitosne macki przerażenia, które pozbawiają człowieka całej wytrwałości, zdolności logicznego rozumowania i podejmowania działań.

Wydawało jej się, że dryfuje w ciemnościach, odrętwiona przez upływające godziny, skulona w zimnie, straciwszy poczucie czasu, mając jedynie głód i pragnienie, które zaczynały nią targać.

Ćma nie przez przypadek kończy spopielona żywcem przez rozgrzaną żarówkę. Smaży się, bo zbyt długo krąży wokół, zafascynowana, przyciągana mimo niebezpieczeństwa, bo to silniejsze od niej. Ludivine była ćmą. Zbyt blisko się zbliżyła. Tyle że jej nie fascynowało światło, lecz ciemności. A on nie mógł tego znieść. Gdyż teraz nie ulegało już wątpliwości, że to on ją porwał. On, który czaił się gdzieś nad nią. Ludivine była o tym przekonana.

Wszystko zaczęło się przy torach kolejowych w pewien piątkowy wieczór wraz z trupem Laurenta Bracha.

Gdzie i jak się skończy?

*Stop. To nie pomaga. Wyłącznie użyteczne myśli. Muszę wszystko rozpatrzyć od nowa. Odtworzyć w pamięci. Przeanalizować. Zrozumieć. Wyciągnąć wnioski.*

Ludivine wiedziała, że kolejowy zabójca nie przetrzymuje swoich ofiar długo. Prawdę mówiąc, to cud, że ona wciąż żyje. Że jeszcze jej nie zgwałcił.

Zacisnęła pięści, a skrępowane nadgarstki wysłały wiązkę bólu, która sięgnęła ramion. Opaski zaciskowe spięto tak ciasno, że już poważnie pokaleczyły jej skórę.

To również stanowiło dowód, te opaski.

Ludivine natychmiast przegnała z głowy powracające obrazy tamtych dziewczyn uduszonych paskami plastiku.

*Myśl użytecznie!*

Kim on jest? Jakie ma fantazje, potrzeby, doświadczenia? Jaka psychiczna ścieżka zawiodła go do pierwszego zbrodniczego czynu? Na jakim etapie tej drogi znajduje się obecnie? Ludivine musiała skupić się na kwestiach zdolnych podsycić nadzieję, która z każdą sekundą płonęła nieco jaśniej, żeby utrzymać mrok z dala od swej duszy. Musiała znaleźć szczelinę, choćby najwęższą, lukę, przez którą wślizgnie się do jego głowy, by choć

przez chwilę dostrzegł w niej nie zwykłe odporne narzędzie, ale człowieka.

*Między jego empatią a resztą świata wyrosło zbyt wiele barier, to niezdobyty bunkier. Nie zdołam rozegrać tego w ten sposób. Nie uda mi się, nigdy nie ujrzy we mnie kobiety, czującej istoty, potrzebowałabym dużo więcej czasu, to z góry przegrana bitwa!*

Pozostawało jej tylko jedno: musiała stać się zwierciadłem. Zrozumieć go na tyle dobrze, by zatrzymał się w momencie, gdy podniesie na nią rękę, żeby jej wysłuchał i by jej słowa okazały się tak trafne, że w ciągu kilku chwil osiągną celu. Musiała mówić o nim. Nie mogła być kobietą, którą on obdarzy szacunkiem, to niemożliwe, ale mogła spróbować stać się jego odbiciem, fragmentem sumienia pogrzebanego głęboko pod warstwami cierpienia, obojętności i egoizmu. Zboczeniec taki jak on nie słuchał niczyjego głosu poza własnym.

*Tak, to jest rozwiązanie. W tym celu muszę znaleźć luki w jego sposobie myślenia, by skruszyć jego pancerz gwałciciela i zabójcy i wejść w niego.*

Ostatnie słowa przyprawiły ją o dreszcz.

Po wszystkim, co przeżyła, z czym się zmierzyła, i akurat gdy na powrót zaczynała stawać się kobietą w miejsce hermetycznie zamkniętej muszli, nie godziła się na taki koniec. Nie ma mowy, to niemożliwe.

Wiedziała jednak, że brakuje jej pewnych elementów. Choć usiłowała wszystko sobie przypomnieć, wciąż nie dostrzegała najdrobniejszej nawet rysy, przez którą mogłaby wcisnąć się do środka.

*Czas, potrzebuję jeszcze trochę czasu, o nic więcej nie proszę.*

Powinna podjąć wątek śledztwa. Na pewno było coś jeszcze, coś, co wyleciało jej z pamięci. Co pominęła?

Frustracja robiła się obezwładniająca. Ludivine zdążyła przywyknąć do pośpiechu, w jakim prowadziło się dochodzenie, przyzwyczało ją do tego to okropne poczucie, że każdy mijający dzień to dla przestępcy kolejna okazja, by uderzyć, każdy tydzień wlokącego się śledztwa może być ostatnim w życiu osoby, którą morderca wybierze na kolejną ofiarę. Ale tym razem to ona była ofiarą. Walczyła na wszystkich frontach i to ją paraliżowało. Ile czasu jej zostało? Kilka godzin? Ledwie parę minut?

Powoli wypuściła powietrze, zamknęła oczy. Ciemność spowita ciemnością. Ciało miała obolałe, pośladki dokuczały jej z powodu wymuszonej pozycji, w której trwała, trochę jakby kuciała, nadgarstki ją paliły, gardło powoli wysychało na wiór.

Próbowała właśnie na nowo skoncentrować się na dochodzeniu, kiedy usłyszała drapanie i niemal podskoczyła. Miarowe pocieranie, gdzieś nad nią, za ścianą.

Czy to możliwe, że nie jest tu sama? Czy to inna ofiara?

Wszelka nadzieja prysła w mgnieniu oka, gdy z oddali dobiegł ją głos, tłumiony przez gruby mur:

– Czuję... cię...

Z całą pewnością mężczyzna. Zdawało się, że znajduje się daleko, lecz Ludivine nie robiła

sobie złudzeń, wiedziała, o kogo chodzi, kto się do niej zwraca, a raczej: mówi do niej, ale po to, by wzmóc własne podniecenie.

Znów podrapał w zbitą ziemię i dodał, tym razem głośniej:

– Już nigdy nie będziesz sama... Ty i ja... Wypełnię cię... a wtedy będziesz... moja...

Mówił wysokim głosem, przesadnie artykułując każdą sylabę, co czyniło go jeszcze bardziej przerażającym.

Oddech Ludivine przyśpieszył. Wściekłość rozprzestrzeniła się po jej ciele, sprawiając, że dłonie zwinęły się w pięści. Gdyby tylko nie była spętana...

– Musisz być całkiem dojrzała... żebyś pękła pod naciskiem moich łędźwi...

Ludivine zacisnęła zęby, zarówno ze złości, jak i z rozpacz, i kilkakrotnie uderzyła tyłem głowy w kamień za plecami.

Potrzebowała sposobu, by wniknąć do jego umysłu – i to już.

Szum autostrady A115, która biegła nieopodal, choć skrywała się w zagłębieniu terenu, kontrastował ze złożonym z ugorów i zalesionego wzgórza krajobrazem, który rozciągał się wokół audi TT RS zaparkowanego na poboczu małej dróżki zagubionej na północny zachód od Paryża. Wiejska wysepka położona niespełna trzy kwadransy od stolicy.

Sedan o przyciemnianych szybach zwolnił, gdy znalazł się na wysokości Ludivine, i niemal przyłgnął do boku jej pojazdu. Za kierownicą siedział Marc Tallec, który otworzył okno.

– O co chodzi z tą identyfikacją? – spytał w ramach powitania.

– Nadal pokłada pan wiarę w moim instynkcie? Jestem przekonana, że morderca figuruje już w naszych rejestrach. Przeprowadzę dla pana krótkie podsumowanie. Z ofiarami łączy go relacja oparta wyłącznie na uprzedmiotowieniu. Stają się rzeczami, których używa dla własnej przyjemności. Nawet zabijanie ich go nie podnieca, stąd wykorzystanie opasek zaciskowych, nie jestem nawet pewna, czy zostaje przy nich, kiedy konają. Jego dewiacja ma naturę wyłącznie seksualną, on jednak nie potrafi osiągnąć wymarzonej rozkoszy.

– Więc to impotent?

– Nie do końca, nie, myślę, że jego fantazje niosą ze sobą olbrzymi ładunek emocjonalny i w porównaniu z nimi to, co odczuwa, zabawiając się ofiarą, okazuje się liche, nie dorównuje jego snom, wszystkim jego oczekiwaniom, wysiłkom. To dlatego pobił drugą ofiarę, tak długo o tym marzył, a tu taka frustracja. Ale jego obsesja na punkcie czyszczenia zwłok nie słabnie. Wiąże się z niezwykłą skrupulatnością. Właściwie nadmierną. Myje je wybielaczem, łącznie z... częściami intymnymi... szoruje paznokcie, dorzuca cudze włosy i paznokcie, już to zakrawa na przesadę, ale on dodatkowo upewnia się, że poszatkuje je pociąg... pośrodku wielkiego śmietniska... Krótko mówiąc, więcej trudu zadaje sobie przy usuwaniu śladów niż podczas porywania ofiar.

– To świr, pojąłem, dziękuję.

– Tak, ale robi to nieprzypadkowo. Raczej na skutek jakiegoś doświadczenia, w wyniku wywołanej czymś refleksji.

Marc Tallec zsunął okulary przeciwsłoneczne niżej na nos, czekając na ciąg dalszy.

– Już raz dał się przyskrzynieć! – podsumowała Ludivine, jakby chodziło o rzecz oczywistą. – To gwałciciel, którego złapano, prawdopodobnie dzięki śladom DNA, a także na podstawie zeznań ofiary lub ofiar. Trafiał do pierdła, a to z pewnością go nie uspokoiło. Podczas odsiadki zbroczeniec tego rodzaju nie podaje swoich czynów w wątpliwość, raczej



pielegnuje fantazje. To wtedy miał czas, żeby przygotować ciąg dalszy. Następnym razem nie pozwoli sobie na wpadkę z powodu świadka albo pozostawionych wskazówek. Ma bzika na punkcie zacierania śladów, bo wcześniej słono zapłacił za brak ostrożności!

Marc skinął lekko głową.

– Okej, na razie nadążam.

– A zatem jego nazwisko figuruje w naszych kartotekach. Poprosiłam Guilhema o listę wszystkich gwałcicieli poniżej czterdziestego piątego roku życia, którzy wyszli z więzienia na przestrzeni roku przed pierwszą zbrodnią. Myślę, że jego żądze są bardzo silne, nie byłby w stanie kontrolować ich całymi latami, zanim przeszedł do działania. Nawet jeśli odsiedział dziesięć lat, ma najwyżej czterdziestkę. Później sprawdzimy, którzy gwałciciele mieszkają obecnie w Île-de-France, czyj profil mógłby pasować. Zajmę się tym, jak tylko będę mogła.

Marc wskazał Segnona, skulonego na miejscu pasażera w ciasnym coupé.

– Więc czemu jesteście tutaj?

Ludivine zwróciła się w stronę niskiego porośniętego lasem wzgórza, ku któremu wiodła bardziej ścieżka niż droga.

– Pierwsze zabójstwo zawsze zdradza najwięcej. Morderca nie wybiera ofiary na chybił trafił. Na pewno możemy dokopać się do czegoś, co pozwoli nam lepiej go zrozumieć. Dziewczyna mieszkała tam, na wzgórzu Montarcy, w obozie Romów.

Marc Tallec zrobił niezadowoloną minę.

– Nie należą do ludzi, którzy chętnie otwierają się przed glinami.

– Właśnie dlatego jedziemy tam tylko we troje, bez wsparcia. Nie chciałabym z nimi zadrzeć, więc jeśli nie macie nic przeciwko, ja przeprowadzę rozmowę. Pan i Segnon będziecie ubezpieczać tyły, na wszelki wypadek...

Dziesięć minut później audi, podskakując, wjechało na polanę na szczycie wzgórza, pokonawszy uprzednio ścieżkę obwałowaną odpadkami, workami na śmieci, starym sprzętem gospodarstwa domowego, zepsutymi meblami i wybebeszonymi silnikami, w mniejszym lub większym stopniu zasłoniętymi przez krzaki jeżyn i zeschnięte liście.

Oczom gości ukazało się kilka maleńkich, prowizorycznych chałup skleconych z byle czego. W większości za okna służyły naciągnięte płachty gazet, a kominy zrobione z rur wentylacyjnych z odzysku wypluwały szare pióropusze dymu w ponurą aurę poranka. Między ruderami pranie powiewało na sznurach niczym duchy.

Nikogo w zasięgu wzroku.

Ludivine zaparkowała u wejścia do obozu, a gdy Segnon rozprostował swoje ogromne ciało, dała mu znak, by zaczekał. Marc Tallec zatrzymał samochód tuż za pierwszym pojazdem i również pozwolił, by kobieta ruszyła dalej sama.

Pomiędzy chatami i drzewami wiała się ścieżyna z ubitej ziemi. Ludivine trudno było uwierzyć, że mieszka tu ponad setka osób, łącznie z dziećmi.

Piłka spadła tuż przed nią, odbiła się i poleciała w stronę auta. Skądś bezgłośnie wyłoniły się trzy małe postacie i obrzuciły ją spojrzeniem, ale potem zauważyły sportowy wóz. Fascynacja przeważała nad nieufnością i dzieci otoczyły audi kołem, nie spuszczały jednak z oczu czarnoskórego olbrzyma i białego w wojskowej parce, którzy stali nieco z tyłu.

Ludivine odwróciła się, by kontynuować zwiedzanie, lecz znalazła się twarzą w twarz ze średniego wzrostu mężczyzną o zapadniętych policzkach, śniadej cerze, szarych wąsach i czarnych oczach. On też pojawił się znikąd, a teraz zagradzał jej drogę.

– Czego pani chce? – spytał piskliwym głosem ze wschodnim akcentem.

Kilka z jego siekaczy lśniło niczym złoto.

Ludivine, świadoma, że jej cywilny strój może wprowadzać w błąd, pokazała mu wojskową legitymację.

– Nie zamierzam się nikomu naprzykrzać, wręcz przeciwnie, chciałabym wam pomóc.

Mężczyzna cofnął się o krok z niezbyt przyjazną miną.

– U nas spokój, żadnych problemów.

– Przychodzę w sprawie Georgiany Nistor.

W spojrzeniu jej rozmówcy pojawił się przelotny błysk.

– Złapaliście drania?

– Nie. Ale chciałabym zadać panu kilka pyt...

– Wszystko powiedziałem.

– Wiem, mówił pan moim kolegom z SRPJ w Wersalu, ale ja jestem inną śledczą.

Rozumie pan? Chciałabym pana...

Mężczyzna wściekle potrząsnął głową i wskazał samochody.

– Nie, nie, już powiedziałem, zabierajcie się stąd.

– Ja...

– Dość! – szczerknął. – Zostawcie nas w spokoju.

– Zsik! – Nieopodal rozległ się kobiecy głos.

Jej szeroka sylwetka rysowała się w drzwiach niewielkiej budy, która groziła zawaleniem, funkcję dachu pełnił niebieski brezent. Romka zwróciła się do mężczyzny ostrym tonem, w języku, którego Ludivine nie rozumiała, a ten zaklął, splunął na ziemię i odszedł.

– Dziękuję pani – zaczęła Ludivine, zbliżając się do niej.

Kobieta była w nieokreślonym wieku, pewnie ledwie skończyła czterdziestkę, lecz wyglądała przynajmniej dziesięć lat starzej. Dość niska, miała długie, starannie uczesane kruczoczarne włosy i opatuliła się mocno znoszonym szlafrokiem narzuconym na ubranie.

– Zsikajo jest szorstki wobec policji. Jego dwaj synowie mają kłopoty...

Ona też mówiła z wyraźnym akcentem, ale wysławiała się z łatwością.

– Przykro mi. Przychodzę w sprawie Georgiany Nist...

– Słyszałam. To miła dziewczyna, chcę pomóc.

– Domyślam się, że ją pani znała – rzuciła Ludivine, czując się trochę głupio.

Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że obozowisko ciągnie się dużo głębiej w las, niż zakładała. Wszędzie jak okiem sięgnąć stały chaty. Niektóre wspierały się o pnie drzew, inne zbudowano ze zwykłych palet wzmocnionych kawałkami blachy, znalazło się też parę bardziej wyszukanych i większych... Między stertami kartonów i rozbitych drewnianych skrzynek tkwiły wózki sklepowe wypchane pościelą lub częściami urządzeń mechanicznych. Kilko czujnych nastolatków grzało się wokół beczki, w której płonęły polana, a przy długim stole, na ławach własnej roboty siedzieli ludzie, którzy przyglądali się Ludivine raczej nieprzychylnie.

– Wszyscy znają Georgianę.

– Nie jest pani przypadkiem jej krewną?

– Jestem ciotką.

W nadziei, że odrobina prywatności skłoni kobietę do zwierzeń, Ludivine wskazała drzwi budy, która służyła jej za dom.

– Może wejdziemy?

Kobieta bez wrogości potrząsnęła głową.

– Tu jest lepiej. Co chce pani usłyszeć?

Ludivine, nieco wytrącona z równowagi, wzięła się w garść, myśląc o swoim śledztwie.

– Człowiek, który skrzywdził Georgianę, zaatakował ponownie. Inną dziewczynę. Wiedziała pani o tym? – Kobieta uniosła dłoń, zasłaniając usta, w których brakowało kilku zębów. – Przykro mi, że przynoszę złe wieści – ciągnęła Ludivine. – Obawiam się, że Georgiana była pierwszą z kilku ofiar. Ale w związku z tym istnieje możliwość, że sprawca przez dłuższy czas ją obserwował, zanim uderzył. Wie pani, czy często opuszczała obóz?

– Tak, prawie codziennie.

– Dokąd się udawała?

– To zależy. Cergy, Paryż, skraj drogi krajowej do Éragny.

– I tam... pracowała?

Kobieta przytaknęła, a Ludivine zaczęła się zastanawiać, czy Georgiana zebrała, czy może poszła o krok dalej, nie ośmieliła się jednak wspomnieć o prostytutce z obawy, że zrazi do siebie jedną z nielicznych, jak podejrzewała, osób gotowych z nią gadać. Jeszcze nie teraz, poczeka z tym do końca rozmowy.

– Czy w okresie przed zniknięciem zdarzało jej się wspominać o jakimś mężczyźnie?

– Dlaczego?

Na twarzy Romki pojawił się wyraz nieufności. Ludivine postanowiła wyłożyć kawę na ławę:

– Sądzę, że zabójca mógł kręcić się wokół niej, zanim przystąpił do działania. To nic pewnego, ale istnieje taka możliwość.

– On znał Georgianę?

Śledcza niechętnie pokiwała głową.

– Być może. Ale proszę mnie źle nie zrozumieć: nie twierdzę, że to ktoś z obozu. Nikogo nie oskarżam.

W głębi duszy, odkąd postawiła tu stopę, Ludivine była wręcz przekonana, że morderca nie pochodzi stąd: miał samochód i własny zaciszny kąt, gdzie gwałcił ofiary. Tutejszy brak prywatności na to nie pozwalał, a mieszkańcy żyli w biedzie, więc pomyślał, że któryś z nich sprawił sobie auto, kupował opaski zaciskowe, znalazł spokojne miejsce daleko stąd, gdzie czyścił ofiary wybielaczem... Nie, to z całą pewnością niemożliwe.

Zauważywszy przejętą minę kobiety, Ludivine nalegała dalej:

– Coś pani przyszło do głowy?

Romka się zawahała. Szybko zerknęła w stronę tych, którzy ją obserwowali, i odparła ciszej:

– Mirko.

– Słucham?

– Proszę rozmawiać z Mirkiem.

– Kto to? Czy moi koledzy z SRPJ już go przesłuchali?

– Nie. Ale teraz Mirko jest już bardziej normalny.

Ludivine zapisała w pamięci tę informację.

– A gdzie mogę znaleźć tego Mirka?

Kobieta nieśmiało wskazała palcem w głąb obozowiska.

*Zapowiada się niełatwe zadanie* – pomyślała pani porucznik. Stało tu co najmniej pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt chałup zajmowanych przez dwa razy tyle mieszkańców kiepsko władających francuskim, na dodatek prawie wszyscy wzdragali się przed rozmową z parszywymi gliniarzami wtrącającymi się w ich sprawy, do których zaliczali także ją.

– Mogłaby mi pani pomóc go odszukać? – poprosiła.

Na te słowa jeden z młodych stojących przy beczce z ogniem zwrócił się do kobiety po rumuńsku i gestem kazał jej wracać do środka. Ludivine wkroczyła między nich, zbliżając się do oponenta o dość imponującej posturze.

Długo ćwiczyła sporty walki, umiałaby oddać cios i podporządkować sobie przeciwnika, gdyby zaszła taka potrzeba, ale miała nadzieję tego uniknąć. Coraz liczniej gromadzili się gapie ciekawi, co się dzieje. *By ugodzić kogoś nożem, wystarczy chwila...*

Nie włożyła kamizelki kuloodpornej, zabrała ze sobą tylko służbową broń. Zrobiła głęboki wdech.

– Im szybciej zdobędę to, czego potrzebuję, tym szybciej sobie pójdę – oznajmiła głośno, żeby usłyszało ją jak najwięcej osób. – Nie chcę nikomu robić problemów, jestem tu z powodu Georgiany. Mam nadzieję, że z waszą pomocą złapię człowieka, który ją zabił.

– Tamte psy mówiły to samo, czekamy już prawie trzy lata! – zaprotestował inny wyrostek.

– Moja obecność tutaj dowodzi, że nie porzuciliśmy sprawy. Ale potrzebna mi wasza

pomoc. Przez wzgląd na pamięć Georgiany wysłuchajcie mnie i porozmawiajcie ze mną. – Niektóre twarze pozostawały całkiem beznamietne i Ludivine czuła, że nawet gdyby miała więcej czasu, nie udałoby jej się zyskać zaufania tych ludzi, nie na tyle, by się przed nią otworzyli. Ale u garstki z nich zauważyła oznaki wątpliwości i niezdecydowania. Ciągnęła więc w tym samym duchu: – Nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale możliwe, że ktoś z was coś widział albo dysponuje jakąś informacją, z pozoru nawet nieistotną, która przyniesie przełom. Chcecie, żeby człowiek, który tak strasznie skrzywdził Georgianę, pozostał bezkarny? Nie wolelibyście ujrzeć go w sądzie, a potem za kratkami? Rozmawiając ze mną, nie pomagacie policji czy żandarmerii, lecz pamięci Georgiany.

Na te słowa pewien starzec rzucił w jej stronę:

– Mirko Matesco.

– Wstrętny kapuś! – odparował natychmiast jeden z młodych.

Inny mężczyzna, wyjątkowo postawny, wyciągnął rękę i z zaskakującą szybkością zdzielił młodzika w tył głowy, surowo go łając. Nie trzeba było znać rumuńskiego, by domyślić się, że chodziło o szacunek dla starszych.

– Gdzie mogę znaleźć Mirka? – spytała Ludivine.

– On nie ma z tym nic wspólnego – upierał się kolejny chłopak. Ale starzec gwizdnął, żeby go uciszyć. – Nie będzie się w to wtrącać jakaś gadzia – zdenerwował się młokos.

Dyskusja nabierała rumieńców, kilka osób wstało, by włączyć się w coraz ostrzejszą w tonie sprzeczkę.

Starzec wbijał w Ludivine zmęczone spojrzenie. Wskazał głową w głąb obozu. Nie zwlekając, funkcjonariuszka wślizgnęła się między dwa chybotliwe płoty i ruszyła dalej wśród ruder.

Ludivine odgadła, że Mirko to nastolatek, bo najzacieklej bronili go przedstawiciele tego właśnie pokolenia, przypuszczalnie jego przyjaciele. A ponieważ nie mogła wchodzić do małych chatynek, miała nadzieję, że rzeczony Mirko przebywa akurat na zewnątrz. Wyglądało na to, że większość mieszkańców prowadzi życie na wolnym powietrzu, co wydawało się całkiem zrozumiałe. Dzieci krzyczały, inni się śmiali. Kobiety rozmawiały, piorąc w baliach. Niemowlęta płakały. Zaczynały rozchodzić się zapachy mocno przyprawionych potraw, z którymi mieszała się czasem bardziej gryząca woń benzyny płonącej w połowie stalowej beczki o ściankach nadtopionych na całej wysokości. Między nogami Ludivine przemykały psy i koty, omal jej nie wywracając. Oczy kierowały się w jej stronę, słowa zamierały na wargach, gdy przechodziła obok. Zdeterminowana drobna ładna blondynka, która cięła powietrze badawczym spojrzeniem – taki widok nie należał w tym miejscu do częstych.

Nagle wyczuła z boku czyjąś obecność.

Jakiejś szybkiej postaci.

Zobaczyła go sekundę później, jak wślizguje się głębiej między dwie budy. Młody

mężczyzna. Zdązał na drugi koniec obozu.

*Idzie go ostrzec.*

Dostosowała tempo do rytmu jego kroków i starała się nie tracić go z oczu. Przeszła nad wiązkami chrustu, oponami przerobionymi na siedziska, workami na śmieci lub zepsutymi zabawkami walającymi się tu i ówdzie, schylała się, by uniknąć sznurów, na których suszyło się pranie, ale nie zostawała w tyle.

Chłopak skręcił nagle, zbliżając się do niej, a potem krzyknął coś po rumuńsku do kogoś znajdującego się nieco dalej. Ludivine wychwyciła w tym zdaniu imię Mirka.

Wyszła na niewielką pustą przestrzeń, gdzie dwaj nastolatki gadali, majstrując przy wypatroszonym skuterze. Ten wyższy i smuklejszy wstał i z zaniepokojoną miną słuchał uważnie czegoś, co opowiadał mu trzeci, ten, którego Ludivine śledziła.

Gdy tylko dostrzegł kobietę, jego spojrzenie stwardniało, rzucił śrubokręt, który trzymał w brudnej dłoni, i czmychnął szybciej niż zając na dźwięk strzelby myśliwskiej.

## 18

Liście stawiające opór jesieni smagały ją po twarzy. Ludivine nurkowała pod zwieszającymi się nisko gałęziami i przeskakiwała zdradzieckie korzenie, biegnąc śladem nastolatka, który umykał z ogromną zwinnością. Okrążył skarpe zwieńczoną olbrzymim kasztanowcem, a wtedy śledcza zdała sobie sprawę, że wraca do obozowiska od drugiej strony.

Śmignęli obok dwóch chałup, w ostatniej chwili pochylając głowy, by nie powiesić się na rozpiętym między nimi sznurze, przeskoczyli małe ognisko, nad którym gotowała się woda, po drodze potrącając kilka osób. Ludivine nie umiała go dogonić.

– Mirko! – zawołała między dwoma wdechami. – Stój! Chcę tylko porozmawiać!

Zauważyła cienie poruszające się wszędzie wokół. Inni młodzi zaczęli podążać ich tropem.

Nagle Mirko wpadł do niewielkiego baraku. Ludivine bez namysłu rzuciła się za nim i potknęła na podłodze z surowych desek. W półmroku krzyknęła kobieta, jakieś dziecko zrobiło to samo, a Mirko zniknął, unosząc plandekę służącą za tylne wyjście. Ludivine uwolniła stopę i prawie złapała chłopaka, zabrakło jej ledwie kilku centymetrów. Ten wywrócił parę misek z deszczówką, później strącił z prowizorycznych półek ich zawartość, żeby spowolnić ścigającą go kobietę, ale ta odepchnęła spadające przedmioty, przez chwilę obawiając się, że trafi na coś ciężkiego lub ostrego, zawadziła nogą o puszki konserw i zakłęta, straciwszy cenne sekundy.

Tym razem młokos wspiął się na biegnące w poprzek lasu zbocze.

Ludivine przyśpieszyła, dłonie rozpostarte, ręce blisko przy bokach, ciężar ciała przeniosła do przodu, by wybijać się ze śródstopi i biec jeszcze szybciej. Starła się wyrównać oddech, walczyła z kurczącym się polem widzenia, by móc przewidywać, jakie zagrożenia kryje otoczenie, jaką trasę obierze zbieg. Wszystkie lata treningów w biegach, w kontrolowaniu własnego ciała zwracały się jej w tej jednej chwili.

W dole dostrzegła kolczaste chaszczce, które Mirko musiał ominąć, i nieco zmieniła trajektorię, by zyskać kilka metrów. Przekroczyła powalony pień drzewa, pokonała kurtynę z szeleszczących czerwonych liści i skoczyła, wyciągając wszystkie kończyny jednocześnie. Jak lwica jednym susem dopadająca ofiarę.

Mirko, wybity z równowagi i pchany siłą rozpędu, przetoczył się po ziemi wraz ze śledczą. Kobieta wyprostowała się i usiadła mu okrakiem na piersi, mocno wciskając kolana w podłoże. Uniosła dłonie na znak, że ma pokojowe zamiary.

– Stój! – wydyszała. – Stój!

Spanikowany chłopak strzelał oczami we wszystkie strony w nadziei, że skądś nadejdzie pomoc, ale Ludivine wrzasnęła na niego z ustami tuż przy jego nosie. Na jego twarzy pojawił się strach przed tą równie zdeterminowaną, co rozwścieczoną kobietą.

– Już dobrze? – spytała bez tchu. – Uspokoileś się? Chcę tylko... porozmawiać – powiedziała, po czym podniosła się, z groźną miną celując w niego palcem. – Zostań tam... bo inaczej... następnym razem... założę ci bransoletki.

Rozchyliła dzinsową kurtkę, ukazując kajdanki w skórzanym pokrowcu przymocowanym do paska.

Mirko usiadł, wciąż oszołomiony, we włosach miał suche liście. Oboje przyglądali się sobie nieufnie, aż ich oddechy prawie wróciły do normy.

– Dlaczego uciekasz? – zaczęła Ludivine.

– Boję się.

– Wiesz, dlaczego tu jestem?

Zawahał się, po czym skinął głową.

– Dyl mi powiedział.

– O co chodziło z Georgianą?

Brązowe oczy Mirka błyskawicznie skierowały się na twarz funkcjonariuszki. Ludivine wyczytała w nich coś przypominającego raczej dezorientację niż lęk czy poczucie winy.

– Nic...

– Nie rób ze mnie kretynki, Mirko. Starsi wspominali o tobie. Wiedzą, że coś ukrywasz. Więc co się stało?

– Nie wiem.

Ludivine czuła, że nieprędko coś z niego wyciągnie, przynajmniej dopóki całkiem go nie uspokoi.

– Okej, powiem ci prawdę: nie sądzę, żebyś wyrządził jej krzywdę, dobra? Mogę nawet pomóc ci w udowodnieniu tego mieszkańcom obozu, którzy cię podejrzewają. Ale w tym celu musisz mnie trochę wesprzeć. Coś za coś. O co chodziło z Georgianą? Dlaczego niektórzy uważają, że zrobiłeś jej coś złego?

Mirko wyglądał na zbitego z tropu. Walczył z wrodzoną nieufnością do gadziów, nieznajomych, w dodatku gliniarzy.

– Powiedz mi – nalegała Ludivine – a ci pomogę. Starsi nie oskarżyliby cię bez powodu, na pewno coś ukrywasz. Podziel się tym ze mną, a ja dowiodę, że nic nie zrobiłeś. To proste. Możesz na tym tylko zyskać. I Georgiana też. Zgódź się przez wzgląd na jej pamięć. Żebym mogła aresztować człowieka, który ją zabił. Dobrze ją znałeś, prawda?

Po chwili Mirko skinął głową.

– No widzisz... wreszcie do czegoś dochodzimy. Przyjaźniliście się?

Kolejne skinięcie.

– Była twoją dziewczyną?



Młodzieniec utkwił spojrzenie w oczach śledczej.

– Nie wolno mówić o tym głośno – wyznał.

– Dlaczego? Bo była od ciebie starsza?

Mirko mógł mieć co najwyżej dziewiętnaście lat, a Georgiana zginęła przed prawie trzema laty. Sama skończyła dwadzieścia trzy, kiedy kolejny zabójca zacisnął na jej gardle plastikową opaskę, żeby powoli wydusić z niej życie.

– Nasze rodziny... – zaczął Mirko. – To skomplikowane.

– Dobra, rozumiem. Ty i Georgiana sypialiście ze sobą, choć wasze rodziny się nie cierpią. Co jeszcze? Mówiła ci o kimś, zanim umarła? O jakimś mężczyźnie, który się wokół niej kręcił?

Mirko potrząsnął głową.

– Powiedz mi, dlaczego niektórzy starsi cię podejrzewają.

Wzruszył ramionami, a po krótkim milczeniu wyznał:

– Kiedy zginęła, przestałem jeść, straciłem chęć do życia. Od tamtej pory nie jestem już taki jak dawniej.

Mówił prawie bez akcentu, ale wolno, starannie dobierając słowa.

– I to wszystko? Nic więcej?

– Mamy tu klany. Moja rodzina nie należy do najulubieńszych.

– I tylko dlatego, że ludzie was nie lubią, a ty po zaginięciu Georgiany przestałeś jeść, zaczęli cię podejrzewać? Mirko, bądź ze mną szczery, w przeciwnym razie nie będę mogła nic zdziałać.

Po kolejnym zawahaniu wyrzucił z siebie:

– W dzień jej zniknięcia nie było mnie w obozie. A parę osób wie, że miałem się z nią zobaczyć.

Ludivine pochyliła się w jego stronę.

– Zamierzaliście się spotkać? I... i coś wtedy widziałeś?

Wzrok mu się zamglił, jakby chłopak zatopił się we wspomnieniach.

– Nie – odparł, ledwie otwierając usta.

– Opowiedz mi, jak to przebiegło.

– Mieliśmy się spotkać poza obozem, u podnóża wzniesienia.

– W ciągu dnia?

– Wieczorem. Przed kolacją.

– Przyszła?

– Nie.

– Długo czekałeś?

– Ze dwie godziny. Właśnie w tym czasie zginęła. Jej brat widział, jak opuszcza obóz, ale już nie wróciła.

– A ty?

- Ja czekałem, a potem wlałem tu z powrotem zjeść posiłek z matką. To wszystko.
- Niczego nie widziałeś? Ani nikogo?
- Nie.
- I nic nie słyszałeś?
- Nie.
- Dwie godziny kryłeś się w zaroślach i nic się nie wydarzyło?
- Właśnie tak.
- Co robiłeś?
- Czekałem.
- Miałeś ze sobą komórkę?
- Nie, wtedy już w ogóle jej nie miałem, siostra mi zepsuła.
- Czy w ciągu tych dwóch godzin przysnąłeś?

Ludivine bombardowała Mirka pytaniami, by zmusić go do natychmiastowych odpowiedzi i przekonać się, czy sam sobie nie zaprzeczy.

- Nie. Nic nie robiłem i już.
- Skąd wiesz, że upłynęły dwie godziny?
- Mam zegarek – odparł, jakby śledcza była idiotką.
- Paliłeś papierosy, żeby zabić czas?
- Nie.
- Na miejscu nie zostało nic, dzięki czemu moglibyśmy dowieść, że długo tam czekałeś?
- No raczej nie. Tym bardziej po trzech latach...
- Wiesz, potrafimy dokonać niezwykłych rzeczy, nawet po trzech latach. Nikt cię w tym czasie nie widział?

– Nikt. I to dlatego. Są tacy, którzy twierdzą, że to, co ją spotkało, zdarzyło się z mojej winy. Jej brat mówi, że poszła w to samo miejsce co ja, a potem...

– A więc wyruszyła w drogę na spotkanie, ale nigdy tam nie dotarła. Jaka odległość dzieli obóz od waszej kryjówki?

- Nie wiem. To u podnóża wzniesienia. Niecałe dziesięć minut na nogach.
- Ścieżką?
- Tak, wąziutką, a potem trzeba wejść sto metrów w las.
- Mogło się zdarzyć tak, że przeszła obok, a ty jej nie zauważyłeś?
- Nie, to było nasze stałe miejsce.
- Nie chodzi mi o to, że się zgubiła, ale mogła po prostu cię minąć i się nie zatrzymać.
- Zobaczyłbym ją.

Mirko zmarszczył brwi.

- O czym myślisz? – zareagowała błyskawicznie Ludivine.
- O niczym... Tylko... Może mogła mnie minąć, kiedy patrzyłem na tego gadzia z psem.
- Mówiłeś, że w ciągu tych dwóch godzin nikogo nie widziałeś!

- No tak, ale jego owszem. To był tylko gadzio czekający na swojego kundla, nikt ważny.
- Gość z obozu?
- Nie, na pewno nie, mówię przecież, że gadzio, inaczej bym go rozpoznał, chociaż nie widziałem wyraźnie.
- Jak wyglądał?
- Nie wiem. Nie pamiętam już.
- Mirko! Włóż w to trochę wysiłku! Wysoki? Niski? Brunet? Blondyn? Jak był ubrany?
- Nie bardzo pamiętam. Średniego wzrostu, biały z normalnymi włosami, to znaczy z normalną fryzurą, włosy były czarne. Miał na sobie strój sportowy, tak mi się wydaje. A w ręce trzymał smycz i szukał psa.
- Sam?
- Tak.
- Rozpoznałbyś go, gdybym ci pokazała zdjęcia?
- Nie, widziałem go tylko przez moment, a poza tym minęło mnóstwo czasu. Nie bardzo cokolwiek pamiętam... To nie był nikt ważny, mówię pani!
- Rozmawiałeś z nim?
- Nie. On mnie nie widział.
- Przypominasz sobie, jak się wabił pies?
- Nie. Nie wołał go.
- No to skąd wiesz, że go szukał?
- Wyglądał, jakby szukał.
- Ile czasu tam spędził?
- Nie wiem. Może dziesięć minut, potem ruszył z powrotem w stronę drogi.
- Bez psa? Mimo że nikogo nie spotkał i nie wypowiedział ani słowa?
- Właśnie tak.
- Miał samochód?
- Nie widziałem. Z mojej kryjówki nie było widać drogi.
- Wypalił papierosa albo wypił jakiś napój z puszki?
- Nie.
- Nosił rękawiczki?

Mirko wykrzywił twarz w grymasie, jakby grzebanie tak głęboko w pamięci sprawiało mu ból.

- Tak, chyba tak. Była zima, dość mroźny dzień.

Ludivine zaczęła się zastanawiać, dlaczego wersalski SRPJ nie poszedł tym tropem, ale wtedy zdała sobie sprawę, że Mirko nigdy nie trafił w ich ręce. Ludzie z obozu zachowali swoje wątpliwości dla siebie, w każdym razie w okresie, gdy sprawa była jeszcze świeża.

Westchnęła, bo dotarło do niej, że prawie niczego się nie dowiedziała.

Z jej punktu widzenia Mirko nie był podejrzanym. Za młody, za mało pewności siebie,

niewystarczające zasoby, nieważne, że znał ofiarę.

– Mogę ci zadać wstydlive pytanie, Mirko? Potrzebuję szczerzej odpowiedzi, to bardzo ważne. Czy Georgiana sprzedawała swoje wdzięki na poboczu drogi?

Mirko znów się skrzywił, zirytowany.

– Georgiana dziwką?! Nie! Nie ona!

– W jaki sposób zdobywała pieniądze?

– Myła szyby samochodowe na światłach i trochę zebrała.

– W Paryżu?

– Czasami, ale głównie w Éragny, na drodze krajowej, między centrum handlowym a McDonalodem.

– Codziennie?

– Często.

Zabójca mógł ją tam wypatrzyć. Z pozoru łatwa zdobycz. Osamotniona, zatopiona w powodzi pojazdów. Wystarczyło, że raz tamtędy przejeżdżał, że umyła mu okna, że patrzył, jak pochyła się nad przednią szybą, to go podnieciło i klamka zapadła. Czy często wracał w to miejsce, żeby znów ją zobaczyć? Prawdopodobnie. Czy leżało na jego zwykłej trasie? Niewykluczone. Potem ją śledził, może pieszo albo na rowerze.

*To był tylko gadzio czekający na swojego kundla, nikt ważny.*

Zdanie wypowiedziane przez Mirka odbijało się echem w głowie Ludivine.

*Nikt ważny.*

Anonimowy typ, bez znaków szczególnych. Zwykły spacerowicz...

Ludivine wyciągnęła do chłopaka rękę, żeby pomóc mu wstać.

Odgłos suchych liści trzeszczących pod stopami sprawił, że okręciła się na pięcie.

Po zboczu schodziło pięciu nastolatków uzbrojonych w łomy, kije bejsbolowe i drągi. Bez wątpienia wrogo nastawieni, taksowali Ludivine wzrokiem ludzi, którzy zamierzają policzyć się z gliną.

Cofnęła się o krok, a jej ramię uniosło się powoli, aż poczuła pod palcami rękojęść służbowej broni.

Z wierzchołka wzgórza dobiegł donośny gwizd.

Imponująca sylwetka Segnona rzucała cień padający w kierunku młokosów, którzy odwrócili się w jego stronę.

– Na waszym miejscu nie robiłbym tego – ostrzegł zandarm grobowym głosem.

W jego dłoni zjawiała się pałka teleskopowa, którą zamachał w powietrzu, kolejno przeszywając nastolatków spojrzeniem.

Ojciec przekazuje religię.

Dżin urodził się więc szyitą, mimo że jego matka wyznawała sunnizm. Było to zaskakujące małżeństwo, małżeństwo z rozsądku. Dżin nigdy do końca nie zrozumiał, dlaczego ci dwoje się kochali – czy to ich rodziny miały w tym jakiś interes, a może należało w pośpiechu zalegalizować ponurą cielesną historię? Sam doszedł do wniosku, że poprzez ten związek przemawiał Bóg, zaś on, Dżin, stanowił konsekwencję Jego szeptu. Ledwie westchnienia.

Z wczesnego dzieciństwa pamiętał matczyną miłość i wonie oliwy, cytryn, miodu, kwiatów pomarańczy, chleba pieczonego w piecu na wolnym powietrzu i kóz. Później, w Bejrucie, dołączył do nich ostrzejszy zapach – prochu.

Zachował wspomnienie ojcowskiej surowości. Piekących uderzeń na skórze pośladków, kiedy Dżin dobry duch zmieniał się w Dżina demona.

Dzieciństwo było też dobiegającą z oddali melorecytacją. Chodziło, rzecz jasna, o muezina, który niezawodnie wzywał na modlitwę, jak metronom odmierzający dni i noce, symbol wieczności przypominający człowiekowi, gdzie jego miejsce na tym bożym świecie. Było także wiatrem. Dżin często słuchał, jak ten szmerze w listwach okiennic lub w szczelinach pod drzwiami, szepcząc swe podniebne inkantacje. Później pojawił się perfidny świst bomb, łoskot kul. Czasem krzyki.

Ale nieodmiennie towarzyszyła mu łagodność matki, pieśczoły, za pomocą których go uspokajała i pocieszała, nieraz w sekrecie. Zawsze potrafiła znaleźć właściwe słowa i Dżin dorastał, znając moc tych dobywających się z gardła akrobacji, piruetów ludzkiego oddechu i umysłowej ekwilibrystyki, mogących doprowadzić człowieka do strasznego upadku lub wywyższyć, jeśli ktoś umiał z gracją nimi operować.

Religia nie odgrywała ważnej roli w ich życiu. Dżin otrzymał w tej dziedzinie tylko podstawową edukację, ponieważ ani ojciec, ani matka nie byli szczególnie wierzący. Islam stanowił część rzeczywistości niczym studnia pośrodku wioski, która wciąż gromadzi wodę i poi, jest jednak studnią przodków i obecnie prawie nie poświęca się jej uwagi. Gdy rodzina przeniosła się do południowego Bejrutu, zrezygnowała nawet z ostatniej namiastki praktyk religijnych, zbyt pochłonięta prowadzeniem sklepiku spożywczego, utrzymaniem domu i próbami przetrwania wojny.

Uciekli z ukochanego południa, uciekli przed izraelską inwazją, szukając schronienia w stolicy, gdzie znaleźli tylko wszechobecne zniszczenie.

Państwo się rozpadło. Nikt nie gwarantował bezpieczeństwa. W dzielnicy Haret Hreik nie

zapewniano już opieki zdrowotnej, edukacji szkolnej, a nawet dostaw żywności. Wojna domowa siała spustoszenie. Stery przejął Hezbollah. To on załatwił handlarzom zaopatrzenie, to on zapłacił za budowę szkół powstających w miejsce tych zrównanych z ziemią, to wreszcie on otworzył szpital, gdzie przyjęto wszystkich potrzebujących leczenia. Dorastający Dżin nabrał przekonania, że prawdziwe państwo to Hezbollah. Tylko ta organizacja ich chroniła, oferowała rodzinom męczenników nowe domy i fundusze, by dzieci miały z czego żyć. Dżin wiele się nauczył w szkole założonej przez Partię Boga, zrozumiał kłamstwa i niesprawiedliwości tego świata. Ale za każdym razem, gdy wracał do domu, matka słuchała opowieści, które pośpiesznie, z dumą jej powtarzał, i wyjaśniała mu, że to może nie do końca tak, że najważniejsze to pozostać przy życiu, być razem.

Jego łagodna, czuła matka, którą rozerwał na strzępy spadający z nieba pocisk.

Szyicki pocisk w szyickiej dzielnicy. Ruch Amal walczył z Hezbollahem. Dwaj bracia rozszarpujący się pod jednym dachem, niezdolni dojść do porozumienia.

Po tym zdarzeniu Dżin nigdy nie był już taki sam. Podobnie jak ojciec, który spędzał odtąd większość czasu w tym, co zostało z jego osiedlowego sklepiku.

Kilka miesięcy później Dżin, wówczas ledwie podrostek, zaangażował się na rzecz Hezbollahu. Nie zaznał jeszcze miłości, nie umiał prowadzić samochodu, ale szybko nauczył się ładować broń i obchodzić się z materiałami wybuchowymi.

Hezbollah podarował mu drugie życie, pod uśmiechniętym obliczem Boga.

Dżin wspominał dzieciństwo, a tymczasem przed jego oczami niezmordowanie przesuwają się znaki drogowe. Zamrugnął i ponownie skupił uwagę na drodze. Musiał trzymać się swojego pasa, nie przekraczać dozwolonej prędkości, sprawiać wrażenie, że wie, dokąd jedzie, powinien tego pilnować, by nikt go nie zauważył i nie zatrzymał.

Odkąd wyruszył z Trypolisu, wszystko szło jak po maśle. Nawet lepiej, niż się spodziewał. Przeprowa przez Morze Śródziemne na maltańskim kutrze okazała się dziecinną igraszką, nikt nie zwrócił na niego uwagi, czego nie można było powiedzieć o dziesiątkach wypchanych imigrantami łodzi, na których koncentrowała się większość służb morskich oddelegowanych do patrolowania wód terytorialnych. Fałszywe dokumenty pozwoliły mu wynająć we Włoszech samochód, spał w hotelikach przy autostradzie i przekroczył namiastkę granicy z Francją bez jakiegokolwiek kontroli.

W radiu jakiś dziennikarz informował, że Państwo Islamskie poniosło poważne straty na zachodzie swojego terytorium, czego przyczyną były po części działania syryjskich sił zbrojnych wspieranych przez Hezbollah. Sunniccy ekstremiści z Państwa Islamskiego w starciu ze swoimi zajadłymi wrogami: syryjskimi alawitami i libańskimi szyitami. Ludzie, od których Dżin swego czasu wszystkiego się nauczył, toczyli teraz krwawe boje z samozwańczym kalifatem islamskim i jego czarną flagą.

Pozwolił sobie na krzywy uśmiech, po czym wyłączył radio.

Zjechał z obwodnicy na północne przedmieście Paryża, dokładnie tak, jak zanotował w swoim planie działania. Była to długa rozpiska, uzupełniana przez szczegółowy atlas drogowy, do którego zaglądał codziennie wieczorem i rano, zanim ponownie wsiadł do samochodu. Nie mógł sobie pozwolić na korzystanie z nawigacji, nie chciał wpisywać żadnych adresów, zostawiać jakiegokolwiek śladu, choćby wirtualnego, w wynajętym aucie, które z czasem ktoś może namierzyć. Spędził kilka wieczorów na hotelowych parkingach, badając karoserię, a następnie wnętrze silnika, aż znalazł nadajnik GPS umieszczony tam przez wypożyczalnię. Klasyka. Obecnie przedsiębiorcy nie ryzykowali i nie wypuszczali swojej własności z rąk bez systemu monitorującego... Dżin odczekał, aż znajdzie się bliżej Paryża, a wtedy usunął nadajnik i przykleił go do innego pojazdu. Teraz był niewidzialny.

Obmyślił niezawodny plan, nie przychodziło mu do głowy, jak ktokolwiek mógłby do niego dotrzeć, ale doświadczenie nauczyło go, że nie można okazać się zbyt ostrożnym.

Toczył się jeszcze przez prawie czterdzieści pięć minut, utykając w korkach, a później krążył po dzielnicy, żeby nie dotrzeć na miejsce przed czasem, przy okazji upewnił się też, że nikt go nie śledzi. W końcu wjechał w uliczkę, wzdłuż której stał długi rząd domów, i zgodnie z ustaleniami zaparkował przed magazynem o wejściu zasłoniętym czerwoną metalową roletą.

Do spotkania zostało jeszcze pięć minut, więc czekał cierpliwie w samochodzie.

Od kilku tygodni nie korzystał z komputera, dlatego nie wiedział, czy przyszły jakieś nowe wiadomości, ale odkąd znalazł się na europejskiej ziemi, wolał trzymać się z dala od wszelkiej technologii. Przynajmniej do czasu, aż się tu urządzi, zyska pewność siebie.

Na końcu ulicy pojawił się około trzydziestoletni mężczyzna w bluzie z logo amerykańskiego uniwersytetu. Pod pachą niośł zieloną torbę, a w jego włosach tkwiły okulary przeciwsłoneczne.

Dwa znaki.

Gdy zrównał się z pojazdem, zwolnił kroku i chyba uspokoił się na widok palców Dżina bębniących w boczne lusterko.

– Salam alejk...

– Żadnych muzułmańskich zwyczajów – przerwał brutalnie Dżin perfekcyjną francuszczyzną. – Masz, co trzeba?

Mężczyzna przełknął ślinę i skinął energicznie głową, wyciągając torbę w stronę Dżina, a ten natychmiast ją przejął.

– Doskonale, świetnie się spisałeś.

– Jestem człowiekiem akidy, oddałbym wszystk...

– Dość, mówiłem ci. Wyglądasz w porządku, ale język cię zdradza. Musisz się wtopić, stać się niewykrywalny, przecież wiesz.

– Pozwoliłem sobie przynieść panu coś, czego nie było na liście.

Mężczyzna pochylił się w stronę auta i rozpiął bluzę, odsłaniając rękojeść pistoletu.

*Wzburzony Dzin gwałtownie wypuścił powietrze przez nos.*

*– Może się panu przyd...*

*– Za kogo ty mnie masz? – spytał Dzin oschle. – Za mordercę?*

*– Nie, po prostu...*

*– Zatrzymaj to albo wyrzuć, ale mnie nie obrażaj. Nie potrzebuję tego.*

*– To do obrony...*

*Dzin potrząsnął głową, strapiiony. Gestem nakazał mężczyźnie, by jeszcze trochę się zbliżył.*

*– Czy wiesz, co jest najlepszą bronią, przyjacielu? – Rozmówca dał do zrozumienia, że nie ma pojęcia, więc Dzin ciągnął: – Symbolika. Oto najstraszliwsza broń. Ponieważ nie godzi w jednostkę ani nawet w dziesięć, sto czy tysiąc osób, nie... Ona godzi w nich wszystkich. Wszystkich. Czasem przekracza granice państw.*

*Mężczyzna nie rozumiał, do czego Dzin zmierza, pojął za to, że lepiej nie nalegać, zapiął więc bluzę.*

*– Ja nie zabijam pojedynczego człowieka – dodał Dzin, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Zabijam ich wszystkich.*



Marc Tallec stał przy otwartych drzwiach audi, nachylony nad fotelem kierowcy, w którym siedział może dziesięcioletni chłopiec, mocno ściskając kierownicę. Gdy ujrzał Ludivine i Segnona wracających z obozu Romów, kazał dziecku wyjść z auta i dał mu wyciągniętego z kieszeni cukierka, żeby szybko się zmyło.

– Jakież postępy? – zapytał.

– Powinien pan wiedzieć – odparła Ludivine – że puzzle układa się kawałek po kawałku.

– A co nam dała ta wizyta?

– Jeden mały kawałek. Kawałeczek.

Nie dodała nic więcej i pod badawczym spojrzeniem Marca Talleca wyjęła ze schowka na rękawiczki dużą mapę drogową. Rozłożyła ją na masce sedana DGSI. Paryż i szeroko pojęte okolice. Kobieta dźgnęła palcem zieloną strefę na północnym zachodzie.

– Jesteśmy tutaj. Tu mieszkała Georgiana Nistor i najczęściej pracowała nieopodal, w Éragny – oznajmiła, wskazując krótki odcinek drogi krajowej kilka centymetrów niżej. – Najprawdopodobniej porwano ją stąd, z obozu, albo gdzieś w pobliżu. Jej ciało znaleziono na trasie do Yvelines, ponad godzinę jazdy stąd. To ofiara numer jeden. Kolejną, Hélène Trissot, pociąg rozjechał w samym środku lasu koło Rouen, nad zabitym dechami dziurą o nazwie Orival.

Marc Tallec zauważył, że Ludivine nie zagląda w notatki.

– Wykuła to pani na pamięć?

– Oczywiście – odrzekła kobieta, jakby nie było innej możliwości. – Sprawą zajął się SRPJ z Rouen. Dziś rano, w drodze tutaj, ponownie rozmawiałam z prowadzącym śledztwo. Początkowo skupili się na jej chłopaku, ale nic to nie dało. Hélène Trissot mieszkała ponad sto kilometrów od tamtego miejsca, w Poissy. A pracowała w centrum handlowym Family Village w Aubergenville, przy autostradzie A13. Policjanci z Rouen przepytali gliniarzy z Poissy i Aubergenville, nigdy nie gadali za to ze swoimi odpowiednikami z wersalskiego SRPJ. To dlatego nie powiązano ze sobą ofiar, mimo podobnego sposobu działania sprawcy. Na miejscu nie znaleziono żadnego DNA, żadnych odcisków... Chociaż właściwie źle mówię: pobrano aż nadto próbek, w związku z czym, wobec braku środków na analizę wszystkiego, nie przebadano prawie nic, a tych kilka wykonanych testów nie przyniosło, ma się rozumieć, interesujących rezultatów.

– Nawet w przypadku tak ponurego morderstwa sędzia nie daje wam zielonego światła, żebyście wysłali wszystko do laboratorium? – zdziwił się Marc.

– Zazwyczaj dałoby się coś ugrać, biorąc pod uwagę profil dziewczyny. Tyle że, jak wyjaśnił mi rano śledczy z SRPJ, do zdarzenia doszło w kiepskim momencie. Uwagę prasy pochłaniał wyłącznie lokalny skandal polityczny, w eleganckiej dzielnicy Rouen popełniono podwójne zabójstwo, a do tego wszyscy siedzieli jak na szpilkach, bo jakiś samotny wilk postanowił w imię Allacha porwać się na kościół... Goście z roueńskiego SRPJ to nie superbohaterowie. Biedna Hélène Trissot szybko poszła w zapomnienie. Jej rodzina mieszka w górach Jura, to dzielni ludzie, którzy pokładają wiarę w system sprawiedliwości i nie wywierają na nikogo presji. Wystarczy, jak powiem, że jej akta wylądowały na samym spodzie sterty.

Segnon, który studiował mapę, popukał w punkt opisany jako Poissy.

– Ofiary mieszkały względnie niedaleko siebie – zauważył.

– To prawda. A pośrodku rozciąga się obszar, w którym „pracowała” pierwsza z nich. Czy zabójca tam właśnie mieszka? Pierwsza zbrodnia często okazuje się trudna, sprawca odczuwa potrzebę, by coś, na przykład znajome otoczenie, dodało mu otuchy.

– A potem nabrał pewności siebie? – zasugerował Segnon. – Powiększył swoją strefę komfortu?

– Możliwe. Po zestawieniu wszystkich danych policja z Rouen doszła do wniosku, że Hélène Trissot porwano wieczorem, gdy poszła pobiegać.

Marc skinął głową.

– Dobra, świetnie, i co teraz?

– Jedziemy na miejsce.

Tallec wykrzywił twarz w grymasie.

– Przepraszam, jeśli was to zbulwersuje, ale mam wrażenie, że do niczego się nie przydadę i tylko tracę czas.

– Prawda i fałsz – uznała Ludivine, błyskawicznie składając mapę. – Do niczego się pan nie przydadę, ale sam pan postanowił, że uczepi się mnie jak rzep psiego ogona. Co do tracenia czasu... Wszystko zależy od tego, czy naprawdę chce pan przyskrzynić typa, który zabił Laurenta Bracha. Czy jest terrorystą, czy nie.

Po tych słowach wskoczyła do swojego coupé i gwałtownie zatrasnęła drzwi.

Centrum handlowe, w którym pracowała druga ofiara, zostało zaprojektowane na modłę amerykańską, sklepy wzniesiono pod gołym niebem wokół ogromnego parkingu, a cały teren otoczono roślinnością.

Marc Tallec wskazał kamery przymocowane do kolorowych fasad.

– Podejrzewam, że gliniarze z Rouen zdobyli już nagrania z tamtego okresu, żeby sprawdzić, czy ktoś zaczepiał Hélène w dniu porwania lub wcześniej.

– Tak przypuszczam – zgodziła się Ludivine – choć w dokumentach, które czytałam, nie znalazłam żadnej wzmianki na ten temat. Ale niech pan nie liczy, że coś w tej kwestii

zdziałam, oficjalnie nie powinno mnie tu nawet być. Prowadzę śledztwo w pilnej sprawie zabójstwa Laurenta Bracha i żaden sędzia nie zatwierdził rozszerzenia zakresu poszukiwań na dwie pierwsze ofiary, więc zadowolam się absolutnym minimum: miejsca, ewentualni świadkowie, ale nic, co wymagałoby zalegalizowania.

– Prokurator nie wie o powiązaniach między obecną sprawą a tymi dwiema dziewczynami? – zdumiał się Segnon.

Ludivine pośpiesznie zrobiła unik:

– Nie. Najpierw na szybko powęszę, a kiedy zbierzemy więcej danych, zdecydujemy, co robić, i wtedy zwrócimy się do sędziego.

Segnon wydał z siebie jęk frustracji.

– Lulu...

Wtrącił się Marc:

– Tak czy siak, jeśli nagrań nie przejęto dwa lata temu, to już dawno zostały skasowane, więc żal na nic się nie zda. I co, jest pani zadowolona, zobaczyła pani, co chciała?

Ludivine znalazła sklep obuwniczy, w którym pracowała Hélène Trissot, a potem przez ponad dziesięć minut obserwowała otoczenie.

Z łatwością można tu było poznać czyjeś nawyki. Wystarczyło wygodnie usadowić się w aucie i czekać, zerkając przez okno. W dni, kiedy panował tłok, dało się nawet zbliżyć do ofiary, posłuchać jej, usiąść nieopodal, podczas gdy jadła kanapkę na ławce albo obiad w jednej z tanich restauracji. W takich okolicznościach obserwator bez trudu wyłapałby jej rozmowy z koleżanką, której się zwierzała, albo prowadzone przez nią przez telefon. Morderca poświęcił osiem miesięcy po swojej pierwszej zbrodni na wybranie i szpiegowanie kolejnej ofiary. Miał czas, by wszystkiego się o niej dowiedzieć. Mógł śledzić ją w drodze do domu, grzebać w jej śmieciach i czytać wyrzucaną korespondencję, może zdobył nawet hasło do Wi-Fi, by obserwować jej aktywność w sieci, poznać jej życie prywatne, wysondować, co jada, kiedy ma okres, czy jest chora i tak dalej... Z pewnością nie odmówił sobie tej przyjemności.

Ludivine w ciszy wróciła do samochodu. Jechali kolejne pół godziny, po drodze zatrzymali się w podejrzanym knajpie na poboczu, gdzie przekazali coś na stojąco, a potem przecięli Poissy i zaparkowali wzdłuż szarego muru otaczającego park Charmille. Miejsce górowało nad leżącą na skraju miasta dzielnicą, wciśniętą między olbrzymimi las Saint-Germain-en-Laye a ciągnące się w dół spokojne uliczki obstawione małymi domkami oraz kilka wieżowców.

Ludivine zauważyła, że do parku prowadzi parę dróg i łatwo się do niego dostać samochodem. Wedle informacji zebranych przez policjantów z Rouen Hélène Trissot miała zwyczaj przychodzić tu wieczorem, żeby pobiegać, czasem wypuszczała się nawet poza obręb parku. Wywiad terenowy pozwolił ustalić, że kilkoro świadków zauważyło ją, jak w stroju sportowym zmierza w jego stronę około godziny dwudziestej, gdy zrobiło się już

ciemno. Nikt później nie widział, by wracała. Następnego dnia nie przyszła do pracy, a policja podejrzewała, że zniknęła raczej podczas joggingu, nie zaś w ciągu nocy z własnego mieszkania. Dostępu do budynku broniło dwoje otwieranych kodem drzwi, w lokalu nie znaleziono żadnych śladów włamania, łóżko wciąż było zasłane, co więcej, zwłoki dziewczyny ubrano w strój sportowy opisany przez tych nielicznych świadków.

Najpierw uderzyła Ludivine rozległość parku. Rozpościerał się na lekko nachylonym, gęsto zalesionym terenie. Mnóstwo kryjówek dla drapieżnika. Choć było jasno, Ludivine nie dostrzegła żadnego systemu oświetlenia, co znaczyło, że skoro Hélène Trissot przychodziła tu biegać wieczorami, zwłaszcza w zimie, to odwagi jej nie brakowało. „Dziewczyna z temperamentem” – powiedział gliniarz z Rouen, z którym rozmawiała tego ranka. To się zgadzało.

Ludivine wiedziała, że zabójca, który ma czas, by poobserwować ofiarę, zaczyna się z reguły na kobietę wykazującą podobny stopień pewności siebie co on sam. Introwertyczni zbrodniecy, wątpiący we własne siły, brali na celownik łatwe ofiary, które nie stawiały oporu albo robiły to słabo. Egocentryczny, zarozumiały drapieżnik przeciwnie, mógł ośmielić się zaatakować ofiarę o zdecydowanym charakterze. Poza profilem dziewczyny, istotnych wskazówek dostarczały okoliczności. Gdyby morderca działał pod wpływem impulsu, z dala od ludzi, obierając łatwy cel, dowodziłoby to kruchości jego psychiki, natomiast porwanie w biały dzień lub w miejscu publicznym, na dodatek kobiety o mocnych nerwach, świadczyło o pewności siebie ocierającej się o prowokację. Były to domniemania, uogólnienia, miały jednak sens i w większości przypadków się sprawdzały.

*Nie boisz się zbliżyć do Romów, do ich obozu. Nie przeraża cię też myśl o napadnięciu na wysportowaną kobietę w parku... Jesteś panem samego siebie, wszystko skrupulatnie przygotowujesz, to podsyca twoją ekscytację. Tropienie sprawia, że ci staje, prawda? A jeśli ofiara na dodatek walczy?*

Ludivine zaczęła jednak wątpić w ten ostatni domysł. Nie, on nie lubił zabijać. Nie licząc gwałtów, nie torturował ich, nie objawił żadnych innych stricte sadystycznych zachowań. U niego wszystko kręciło się wokół aktu płciowego. Ponieważ nie mógł dojść inaczej, jak tylko brutalnie podporządkowując sobie drugą osobę, przewiercając ją...

*Błyskawicznie przystępujesz do działania. Rzecz musi przebiec sprawnie. Nie chcesz skandalu, żadnych krzyków, samo porwanie nie wiąże się z żadną fantazją, to niezbędnym etap, ale wykorzystujesz go, by rozgrzać się do czerwoności, czyż nie? Czekaając, podniecasz się, czujesz, że to się zbliża...*

Pragmatyk. Z pewnością zaparkował niedaleko, schował się blisko wejścia, żeby mieć oko na alejki i ewentualnych spacerowiczów.

Ludivine przyglądała się okolicy. Liczne ścieżki tworzyły siatkę na całej powierzchni parku, ale jedna była szersza niż pozostałe i zdawało się, że okrąża teren, ciągnąc się wzdłuż muru.

*To tu. Prawdopodobnie tędy biegła, żeby uniknąć wysokiej trawy i korzeni w półmroku, by się nie zgubić, trzymała się muru, a ty kryłeś się gdzieś tam, w krzakach, w pobliżu któregoś z wejść...*

Segnon, który został w tyle i sprawdzał coś na telefonie, wyłączył ekran i podszedł, by zdać sprawę ze swoich ekspresowych poszukiwań:

– Szesnaście hektarów, kilka wejść, nie da się go zamknąć, więc jest stale otwarty, odwiedzany przez rodziny z dziećmi, głównie w weekendy, w tygodniu panuje tu spokój, choć mieszkańcy skarżą się często, że w nocy staje się dogodną bazą dla handlarzy narkotyków, narzekają na squattersów, jakieś rozróbę, a czasem prochy lub strzykawki walające się w pobliżu placów zabaw.

– Uroczy zakątek – stwierdził Marc z ironią. – Czego właściwie szukamy?

– Już niczego – odparła Ludivine nieobecny tonem. – Znaleźliśmy. Kolejny kawałek układanki.

Wpatrywała się w dwie postacie widoczne w oddali. Jedna bawiła się z psem, rzucając mu piłkę, a druga, jakaś kobieta, przechadzała się ze skórzaną obrozą w ręku.

Kolejowy zabójca mógł uprowadzić Hélène z kilku lokalizacji, chociażby z podziemnego parkingu pod jej domem, ze ścieżki w parku, a nawet skądś nieopodal jej miejsca pracy, ale wybrał to rozwiązanie z jednego oczywistego powodu.

– Numer z gościem szukającym psa – oznajmiła Ludivine. Jej głos brzmiał, jakby myślami była gdzieś daleko. – To nie przypadek, to jego technika. Co sprawia bardziej niewinne wrażenie niż mężczyzna spacerujący ze smyczą w garści, rozglądający się wokół? Może nawet w ten sposób do nich zagaja, wzbudza ich zaufanie. Prosi, żeby pomogły mu szukać psa... A kiedy tracą czujność, uderza.

Kawałek po kawałku, powolutku puzzle układały się w całość.

Na razie na obrazku zaczynała rysować się niepokojąca sylwetka. Bez twarzy.

W cieniu błyskał tylko drapieżny uśmiech. Trzeszczenie skórzanej smyczy w dłoni, plastikowe opaski za plecami, gotowe zacisnąć się na ciele ofiary. Ząbek po ząbku, aż ulegnie.

Aż ogarnie ją nicość.

Całe naukowe zaplecze żandarmerii narodowej, jej najprzenikliwszych ekspertów oraz najbardziej doświadczonych i kompetentnych techników laboratoryjnych z biegiem lat zgromadzono w jednym miejscu, na terenie małego wojskowego fortu na północnym przedmieściu Paryża, w budynkach z prefabrykatów, które wraz z upływem czasu prezentowały się coraz nędzniej. Istniał więc niewiarygodny kontrast pomiędzy naukową precyzją specjalistów a środowiskiem, w którym obracali się na co dzień, znacząco różniącym się od wizji rozpowszechnianych przez literacką i filmową fikcję, gdzie podobni im ludzie pracowali w designerskich placówkach mieszczących się w nowoczesnych budynkach pełnych płaskich ekranów, które wyświetlały wyniki zautomatyzowanych analiz.

Ale niedawno wszystko się zmieniło. PJGN, w skład którego wchodziło Centralne Biuro Informacji Kryminalnych i sławny IRCGN, wkroczył w XXI wiek – a wraz z nim jego siedziba.

W drodze powrotnej Ludivine postanowiła zahaczyć o Pontoise i zatrzymała samochód przed nowiuiteńką budką strażniczą przy wjeździe na teren, na którym było teraz naukowe serce żandarmerii. Kilka hektarów lśniącej infrastruktury i rozległe, połączone szklanymi kładkami kompleksy z cynkowymi elewacjami połyskiwały w słońcu, mimo że w to późne listopadowe popołudnie świeciło ono raczej anemicznie. Po raz pierwszy rzeczywistość prześcignęła fikcję. Nareszcie wzniesiono ośrodek na miarę profesjonalistów, którzy w nim urzędowali. Mieli najnowocześniejszy sprzęt w przemyślnie zaprojektowanych wnętrzach, dzięki czemu mogli przestrzegać protokołów niezbędnych do osiągnięcia obiektywnych, użytecznych wyników. Jakże odległe zdawały się teraz budy z prefabrykatów w Rosny-sous-Bois!

Ludivine uczestniczyła w uroczystym otwarciu nowej siedziby, lecz teraz ze zdziwieniem stwierdziła, że znów czuje ogromne podekscytowanie, przechodząc przez służbę wejściową, po tym jak pokazali z Segnonem przepustki. Marc Tallec odrzucił ich zaproszenie i wrócił do Paryża. Ludivine podejrzewała, że chce jeszcze przed weekendem sporządzić raport dla swoich przełożonych, i choć tkwiącej w niej śledczej ulżyło, że nie czuje już na sobie jego uważnego spojrzenia, to zdała sobie sprawę, że jako kobieta jest niemal zawiedziona, że nie został troszkę dłużej. Ten paradoks ją irytował. Nie podobało jej się, że jej trzpiotowata strona objawia się w ten sposób, nie chciała jednak całkiem jej pogrzebać, co często czyniła w przeszłości. *Mam żyć swoimi emocjami, akceptować to, kim jestem, a więc zarówno bezwzględna profesjonalistką, jak i nedorzecznie wrażliwego podlotka, który rozplomienia*

*się, gdy tylko napatoczy się jakiś przystojny młodzian... Żalotne.*

Kapitan Forsnot wyszedł dwojgu żandarmom z WŚ na spotkanie i na jego widok Ludivine natychmiast złagodniała.

– Kapitanie – pozdrowiła go. – Dziękuję, że zgodził się pan nas przyjąć tak bez uprzedzenia.

Forsnot był wysokim chudzielcem o siwiejących skroniach, wargach niezmiennie wygiętych w uśmiechu i wytrącających z równowagi bladoniebieskich oczach przywodzących na myśl okruchy lodu.

– Z przyjemnością, zwłaszcza że przez telefon wspomniała pani, że ma jakiś niecierpiący zwłoki problem. Wie pani, że jestem diabelnie ciekawski! Nie mogę się oprzeć. To jakaś bieżąca sprawa?

– O statusie pilnej – odpowiedziała Ludivine, konstatując, że Segnon podziwia przestrzeń wokół siebie i nie bierze udziału w rozmowie.

Forsnot sprowadził ich po schodach i wskazał wielkie drewniane drzwi, za którymi znajdowała się ogromna półokrągła aula, obecnie całkiem pusta. Poleciał im zająć miejsca w pierwszym rzędzie, sam zaś pozostał w pozycji stojącej.

– Moje biuro jest na drugim końcu budynku, to niedogodność związana z tak dużym kompleksem, no ale nie można mieć wszystkiego! Poza tym przyda mi się zmiana otoczenia.

Kobieta wiedziała, że w tych murach działają najskuteczniejsze jednostki, będące w stanie odkryć każdą najdrobniejszą poszlakę, jaka istnieje, czy to za pomocą fizykochemii, toksykologii, balistyki czy mikroanalizy. Inżynierowie poddawali sekcji komputery, telefony i wszelkiego rodzaju urządzenia, inni zmuszali do mówienia pojazdy lub odszukiwali konkretny model samochodu na podstawie odprysku lakieru, szkła z rozbitego reflektora czy zwykłego śladu opon; byli też analitycy pisma odręcznego, ścieżek dźwiękowych i obrazów, nie wspominając nawet o znawcach flory i fauny, biologach, lekarzach sądowych i innych autorytetach z wydziału genetyki, antropologii, odontologii czy identyfikacji ludzkich szczątków. Ludivine wychowała się na powieściach Thomasa Harrisa, dzięki którym odkryła siedzibę FBI w Quantico z jej fantastycznymi laboratoriami. Teraz żyła swoim nastoletnim snem, znalazłszy się w świątyni godnej obecnych czasów oraz instytucji, której tu służyła. IRCGN w Pontoise powoli stawało się wyrocznią, o której zawsze marzyła, i wiedziała, że wielu kolegów po fachu podziela jej fascynację instytutem, a także jej dumę, choć wszyscy mieli pełną świadomość, że nie wolno im polegać wyłącznie na nauce. Niemniej poczucie, że wspiera ich taka potęga, jedynie dodawało otuchy.

– Czemu się pani uśmiecha? – zdumiał się kapitan Forsnot.

– Jestem jak mała dziewczynka – rzuciła żartobliwie Ludivine. – To miejsce jest trochę... Nie umiem znaleźć słowa. Powiedzmy, że gdybym teraz zaczynała szkolenie zawodowe, chciałabym wyłączyć właśnie tu. Jak w filmie.

Kapitan Forsnot był dla Ludivine cennym kontaktem w IRCGN, to jego dręczyła

pytaniem, aby poznać ich najnowsze metody działania i być stale na bieżąco z całym naukowym arsenałem, jakim mogła dysponować w swoich śledztwach.

Forsnot wybuchnął śmiechem, cały w skowronkach.

– A właśnie, chciałem to pani oznajmić osobiście: stało się, stworzyliśmy i opatentowaliśmy GendSAG-a! Koniec z pilnymi analizami DNA, na które trzeba czekać siedem czy osiem godzin. Z GendSAG-iem zajmie to niespełna dwie, na dodatek koszt zmaleje trzy- lub czterokrotnie. Kiedy do zbadania będzie rozległy teren, na przykład w przypadku katastrofy lotniczej, wyślemy tam mobilną ekipę działającą w nowym trybie, a jej członkowie na miejscu i w rekordowym czasie zidentyfikują ciała i ich fragmenty, żeby móc poskładać ofiary do kupy.

Segnon skinął głową, czując się trochę nieswojo z równie złowieszczą wizją i myślą o makabrycznej mrówczej pracy, która się z nią wiązała.

– Przydałoby nam się to do zbadania tych wszystkich próbek, które pobrano wokół zwłok Laurenta Bracha – podsunął, zwracając się do Ludivine.

– Zdziwiłabym się, gdyby prokurator zatwierdził taki wydatek, nawet po obniżonych kosztach. Czym się teraz zajmujecie?

– Och, pracy nie ma końca! – odparł Forsnot. – Dwie najbliższe istotne dla was rewolucje będą dotyczyły genetyki: potrafimy już pozyskać ludzkie DNA z komara znalezionego na miejscu zbrodni. Taka sprawa wydarzyła się niedawno we Włoszech. Na miejscu zabójstwa winnego ukąsił komar. Technicy odpowiedzialni za identyfikację kryminalną zauważyli owada w pobliżu zwłok, postanowili więc zabrać go do laboratorium i w ten sposób dowiedli, że sprawca przebywał w tej okolicy: dzięki jego niestrawionej krwi w organizmie komara!

– Cudownie!

– Ale prawdziwym przełomem będzie genetyczny portret pamięciowy. W tej chwili, jak wiecie, potrafimy sporządzić wiarygodną charakterystykę. Płeć, kolor oczu i włosów, a także ich specyfika – proste, kręcone, prawdopodobieństwo łysienia – no i kolor skóry. Im dalej posuniemy się w naszych badaniach, tym precyzyjniejsze staną się te domysły. Umiemy już określić kształt uszu, podbródka i nosa, choć trochę brakuje nam jeszcze wprawy, ale wkrótce będziemy w stanie podać też wzrost albo, przykładowo, genetyczną skłonność do takiej czy innej choroby, dającej widoczne objawy...

– Wyłącznie na podstawie odrobiny DNA? – upewnił się oszołomiony Segnon.

– Tak. Jednocześnie prowadzimy badania nad izotopami, a więc pracujemy na poziomie atomowym. Wystarczy, że dostaniemy kość, paznokiec lub kawałek włosa, a możemy zbadać zawarte w nich izotopy. Wiemy bowiem, że centymetr długości odpowiada mniej więcej miesiącowi życia właściciela. Każdy region świata jest inny: pod względem wdychanego przez nas powietrza, wpływu promieni UV na środowisko, wody, którą pijemy... Weźmy ten ostatni przykład. Każdy sektor posiada wodę odmienną od tej



występującej w sąsiednim rejonie, nawet jeśli chodzi o mikroskopijne szczegóły, zauważalne na poziomie atomowym. Ale nam one w zupełności wystarczą. Podobnie jest z pyłkami, całe ekosystemy różnią się między sobą, zależnie od obszaru. Jeśli uda nam się sporządzić dokładną mapę tych wszystkich różnic, sektor po sektorze – a tak się stanie – na podstawie pojedynczego włosa będziemy potrafili wam powiedzieć, na jakich terenach przebywała dana osoba, z dokładnością do dwóch tygodni. Wyobraźcie to sobie, mając piętnastocentymetrowy włos, a zatem taki, który rósł przez blisko półtora roku, będziemy mogli stworzyć listę wszystkich miejsc odwiedzonych w tym czasie przez jego właściciela, i to w kolejności chronologicznej. Już teraz uzyskujemy wyniki na tyle dokładne, że potrafimy stwierdzić, czy ktoś jest mięsożercą, wegetarianinem czy weganinem. Analizując wyłącznie włosy! Problem w tym, że to bardzo drogie. Zbyt drogie. Ale w przyszłości, kto wie? Dysponując odrobiną DNA, przygotujemy portret fizyczny, a potem do gry wkroczycie wy, wiedząc, jak poszukiwany wygląda, a przy tym gdzie i kiedy bywał.

– Niedługo trzeba będzie być cholernym geniuszem, żeby zostać przestępcą – zadrwił Segnon.

– Albo będziemy musieli zbudować większe więzienia – dodała Ludivine z ironią.

– Izotopy mogą oczywiście służyć wielu innym celom. Chociażby analizie materiałów wybuchowych albo narkotyków, odtworzeniu całego łańcucha dystrybucji, a nawet produkcji. A jeśli to zawiedzie, budujemy świetlaną przyszłość z...

– Tę technikę uznaje się w sądzie? – przerwała mu Ludivine.

– Nie ma jeszcze precedensu, jesteśmy dopiero na etapie badań, ale szybko posuwamy się naprzód.

– Gdybym przekazała panu włosy i paznokcie, mógłby mi pan powiedzieć, skąd pochodzą?

– Jak już mówiłem, wszystko rozbija się o koszty. Są niezwykle wysokie. Brakuje nam też szczegółowych map na poziomie lokalnym, nie mogę więc zagwarantować dużej precyzji, ale w bardziej ogólnej skali, owszem, to możliwe. Mogę już bez problemu stwierdzić, czy dana osoba podróżowała do tego czy owego kraju, a jeśli da mi pani więcej czasu, będę to w stanie zawęzić do konkretnych regionów, oczywiście w porządku chronologicznym.

Ludivine i Segnon wymienili krótkie spojrzenia. Oboje myśleli o włosach i paznokciach, które morderca pozostawił na ofiarach.

– Kapitanie, pora, żebym wyjaśniła panu powód naszej wizyty – oświadczyła kobieta.

Zrobiła głęboki wdech i opowiedziała wszystko, począwszy od znalezienia ciała Laurenta Bracha, a na własnych wnioskach dotyczących kolejowego zabójcy skończywszy, nie pominęła przy tym nawet najdrobniejszego detalu na temat dwóch zamordowanych dziewczyn. Segnon wtrącał się od czasu do czasu, żeby dodać jakąś informację lub zrelatywizować słowa partnerki, gdy pozwalała sobie snuć nieco zbyt osobiste przypuszczenia.

Kapitan Forsnot wysłuchał długiego sprawozdania, siedząc na skraju podium naprzeciwko śledczych. Kiedy Ludivine skończyła, skinął wolno głową.

– Proszę mi przesłać poszczególne raporty, zobaczę, czy coś mi w nich zazgrzyta, ale laboratoria policji sądowej wykonują dobrą robotę, nie widzę powodu, dla którego miałiby coś przeoczyć.

– Tyle że gliniarze nie wiedzieli, że to seryjny morderca. Ze względu na okoliczności obie sprawy zostały niemal natychmiast pogrzebane. Segnon i ja właśnie zbieramy wszystko do kupy i jako pierwsi mamy wizję całości. Czy mógłby pan poddać analizie znalezione przez nas włosy i paznokcie, przestudiować na przykład te słynne izotopy, o których wspominał pan przed chwilą?

– Jeśli prokurator lub sędzia zaakceptuje cenę... Ale nie wdrożyliśmy jeszcze protokołu postępowania, musicie się liczyć z kilkutygodniowym okresem oczekiwania, zanim dostaniecie pierwsze wyniki. Na razie DNA, wraz z odciskami palców, wciąż dostarcza najpewniejszych i najszybszych wskazówek.

– Kilka tygodni? Nie da się szybciej? – nalegał Segnon.

Forsnot zadumał się, jego intensywnie niebieskie oczy wpatrywały się w pustkę.

– Wyczyszczone wybielaczem? – rzucił po chwili namysłu.

– W całości – potwierdziła Ludivine.

– I ślady gwałtu...

– Tak, ale tam też wyszorował je wybielaczem.

Forsnot uniósł palec wskazujący.

– Kiedy przeprowadzono autopsje?

– Zaraz po znalezieniu zwłok. W przypadku pierwszej dziewczyny trzy lata temu, w przypadku drugiej dwa.

– Zabójca długo przetrzymywał ofiary?

– Najwyżej kilka godzin.

– Hmm... Powinno wystarczyć.

Kapitan skinął głową, jakby odpowiadał jakiemuś wewnętrznemu głosowi.

– Pracujący u nas lekarze sądowi zmodyfikowali swój protokół działania – wyjaśnił. – Od zeszłego roku, jeśli podejrzewają, że doszło do gwałtu, nie poprzestają na szukaniu śladów DNA w waginie i macicy, zagląдают też do jajowodów. Wyobraźcie sobie, że wchłaniają one plemniki, więc jeśli między gwałtem a śmiercią upłynęło nieco czasu, można tam nieraz znaleźć DNA gwałciiciela, jajowody znajdują się bowiem głębiej w ciele, a macica i własne niewielkie rozmiary chronią je przed uszkodzeniami. Istnieje duża szansa, że nawet po intensywnym „czyszczeniu” przetrwały w nienaruszonym stanie. Mało prawdopodobne, że lekarzom sądowym odpowiedzialnym za wasze sprawy przyszło do głowy, by rozciąć jajowody ofiar, ale jeżeli to zrobili, powinniście sprawdzić, czy pobrali jakieś próbki do analizy.

– Gdyby tak było, wspomnieliby o tym w raporcie – mruknęła Ludivine.

– Czy po tak długim czasie można jeszcze znaleźć nadający się do użytku materiał genetyczny w samych zwłokach? – zapytał Segnon.

Forsnot wbił wzrok w rozmówców.

– Tak między nami? Nie, to prawie niemożliwe. Prawdziwe pytanie brzmi: do czego jesteście gotowi się posunąć, by zbadać tak lichy trop?

– Nawet do ekshumacji dwóch ciał – odparła Ludivine sucho.

Noc zafiksowania.

Ta sama pozycja, te same obsesyjne myśli, ta sama plama na suficie. Noc spędzona na obserwacji umykających godzin, jakby dało się w ten sposób spowolnić ich bieg.

Ludivine kiepsko spała i nawet strumień wrzącej wody pod prysznicem nie był w stanie całkiem jej dobudzić. Przegryzła jakiś owoc i wychyliła dużą szklankę jogurtu pitnego, a potem pojechała do koszar, gdzie już czekał na nią Guilhem.

– Przed chwilą dzwonił Segnon – poinformowała. – Laëti wypadła jakaś sprawa rodzinna, więc to on musi odstawić chłopców do szkoły, trochę się spóźni.

– Szkoda, bo komendant Reynaut chce, żebyśmy dziś przyskrzynili pedofila z Draveil – oznajmił Guilhem. – Twierdzi, że za długo z tym zwlekamy. Mamy wszystko, co trzeba, żeby go aresztować, nie możemy pozwolić, by dłużej przebywał na wolności. Merrick się z nim zgadza.

Komendant Reynaut był drugą najważniejszą osobą w hierarchii WŚ. Ludivine go nie lubiła. Był brzuchatym karierowiczem, który nieustannie patrzył na wszystkich z ukosa przez grube szkła okularów i nigdy nie mówił szczerze. Ludivine nie mogła się doczekać, aż awansuje i zostanie przeniesiony gdzie indziej. Szanowała za to Merricka, kapitana wydziału do spraw przemocy wobec ludzi, który pełnił również funkcję ich dyrektora operacyjnego. Nadzorował śledztwa WŚ, a gdy któraś grupa w ogniu codziennych zmagania traciła z oczu cel, pomagał jej odzyskać należytą perspektywę. Ludivine miała do niego zaufanie. To problem z tym zawodem, pomyślała, kolidujące ze sobą sprawy. Kiedy pojawiała się nowa, zwłaszcza na początku, podczas śledztwa w trybie pilnym, trudno było skupić się na tych starszych, będących wciąż w toku. Poprzedniego dnia w drodze powrotnej z Pontoise, tkwiąc w korkach, Ludivine przedstawiła swój przypadek prokuratorowi, tak by zrozumiał, o jaką stawkę toczy się gra. Wiedziała, że niełatwo jest uzyskać zgodę na ekshumację, szczególnie jeśli do sprawy nie przypisano jeszcze konkretnego sędziego. Istniało ryzyko, że prokurator będzie się ociążał z podjęciem decyzji, by nie brać na siebie odpowiedzialności. Na szczęście tym razem trafiła na znanego sobie człowieka, z którym już wcześniej pracowała, z gatunku tych zdeterminowanych i niebojaźliwych. Sztywno trzymał się procedur, czasem wykorzystywał je jednak, by spróbować pokerowego zagrania lub żeby w razie potrzeby przyspieszyć postępowanie administracyjne, miał bowiem świadomość, że na początku śledztwa, gdy trop jest jeszcze gorący, liczy się szybkość działania. Obiecał, że przez weekend zapozna się z całą dokumentacją, a następnie podejmie decyzję.

Ludivine miała tyle na głowie, że całkiem zapomniała o pedofilu.

– Nadal jesteś z nim umówiony? Dziś, niedługo?

– Sophie nie może się doczekać, aż się z nim spotka i skosztuje lodów, które jej obiecał – odparł Guilhem głosem małej dziewczynki.

Ludivine skrzywiła się z odrazą.

Powiadomiła Marca Talleca, że nie ma dziś po co przyjeżdżać, na co ten zaprotestował, twierdząc, że czekają na nich pilniejsze sprawy, że nie powinna tracić czasu na cokolwiek innego. Ludivine rozłączyła się bez pożegnania.

Segnon zjawił się późnym rankiem w złym humorze.

– Złapiemy pedofila, to cię zrelaksuje! – oświadczyła jego partnerka, rzucając mu kamizelkę kuloodporną.

Trochę za szybko przemknęli nieoznakowanym samochodem przez paryskie przedmieście, Segnon siedział za kółkiem, a Guilhem po raz trzeci sprawdzał, czy na forum lub w prywatnej skrzynce, którą w imieniu małej Sophie utworzył specjalnie na tę okazję, nie pojawiła się nowa wiadomość od pedofila. Gdy już niewiele dzieliło ich od celu, Ludivine przez tylną szybę spostrzegła park rozrywki o nazwie „Dziecięce Królestwo” i poczuła ukłucie w sercu na myśl o potworze, który mieszkał tak niedaleko. Jednak dla własnego dobra, a także przez wzgląd na kolegów, zwłaszcza Segnona, który sam miał dwójkę dzieci, musiała powściągnąć emocje i pozostać profesjonalistką, nawet w przypadku prowokacji, do której uciekali się niektórzy pedofile – w ramach protestu, z głupoty, a czasem po to, by doprowadzić do uchybienia proceduralnego albo przynajmniej do zaprotokołowania, że podczas aresztowania zostali uderzeni. Ludivine widziała raz, jak zatrzymany „przypadkiem poślizgnął się” przy wychodzeniu z domu i rąbnął twarzą o skraj drzwi, ale do tego typu incydentów dochodziło niezmiernie rzadko.

Mężczyzna, którego zamierzali aresztować, nie był nowicjuszem, lecz recydywistą po długiej odsiadce za próbę skłonienia małego chłopca, by wsiadł do jego furgonetki. Prokuratura znalazła u niego całe tony materiałów z pornografią dziecięcą. Grupa dowodzona przez Segnona zastawiła na podejrzanego pułapkę na forum internetowym, gdzie Guilhem wcielił się w młodzieńca nastolatka. Mężczyzna sam zainicjował kontakt, posługując się pożałowania godną francuszczyzną bliską analfabetyzmowi. Najpierw słuchał dziewczynki i pomagał jej, potem zaproponował, że wyśle jej swoje rozebrane zdjęcia, a ona odwdzięczy się tym samym, wreszcie zaczął otwarcie mówić o seksie i wyznaczył datę spotkania. Zważywszy na przeszłość podejrzanego, nie trzeba było niczego więcej, by go pogrążyć, a Ludivine żywiła przekonanie, że na jego komputerze znajdą mnóstwo obciążających plików, jak to często bywa z tego typu przestępcami.

Zatrzymali się na parkingu przy McDonaldzie w Draveil, wciśniętym między dwa wielkopowierzchniowe sklepy, i zdecydowanym krokiem weszli do restauracji. Byli spóźnieni.

Mężczyzna już czekał. Tłusty, niedogolony czterdziestolatek o lubieżnym spojrzeniu i cofniętych wargach, karykatura we wszystkim różniąca się od pozornie szacownych głów rodziny, które czasem zdarzało im się aresztować w wyniku takiej samej procedury. Ten tutaj nie grzeszył inteligencją i nie zauważył, że się zbliżają.

Segnon szykował się, by dopaść gościa, ale Guilhem go powstrzymał.

– Miło z twojej strony, ale to ja całymi godzinami prowadziłem obrzydliwe rozmowy z tym zbokiem, więc daj mi chociaż tę drobną przyjemność!

Po czym usiadł naprzeciwko mężczyzny, który zmarszczył grube brwi.

– A ty to kto? Co chcesz? Spadaj, stem zajenty.

Żandarm rozpląnął się w szerokim uśmiechu.

– Jestem Sophie, mam dwanaście lat i chciałam ci powiedzieć, że to nieładnie proponować mi loda.

Mężczyzna próbował wstać, lecz olbrzymie ręce Segnona przytrzymały go od tyłu na ławce.

Guilhem podsunął mu pod nos legitymację żandarmerii.

– A teraz zrobimy sobie wycieczkę do ciebie i sprawdzimy, co tam chowasz dla dzieciaków.

Segnon zahamował przed bramą, by zagrozić drogę wjazdową.

Mężczyzna mieszkał nad brzegiem stawu, na terenie podarowanym mu przez gminne służby socjalne. Rozchwiany płot ze zmurszałego drewna, żwir wymieszany z odpadkami, kilka wraków samochodów i motorowerów, stara zardzewiała furgonetka zaparkowana przed źle utrzymaną przyczepą mieszkalną zajmującą centralne miejsce na placu. Właściwie to zdumiewające, że do takiego chlewu dociera Internet, pomyślała Ludivine, gdy się zbliżali.

Żeby uniknąć wszelkich nieporozumień, troje śledczych upewniło się, że ich czarne kamizelki kuloodporne z białym napisem „Żandarmeria” na plecach są dobrze widoczne.

Wchodzili właśnie na działkę, gdy z przyczepy wyłonił się jasnowłosy pryszczaty nastolatek o topornych rysach.

Ludivine zaklęła w duchu. Miała nadzieję, że dwaj synowie podejrzanego będą w szkole, tak jak powinni. Słyszeli z aktów przemocy, wymuszeń i gróźb.

Segnon pokazał legitymację.

– Żandarmeria, odsuń się.

– Hej, co chcecie od mojego starego? Wal się, dupku! – odkrzyknął chłopak, pokazując żandarmom środkowy palec. Ruszyli na niego.

Chciał chwycić leżący nieopodal lewarek samochodowy, ale Segnon okazał się szybszy, złapał go pod pachy, poderwał z ziemi i przyparł do cienkiej ściany przyczepy, a ta zatrzęsa się pod wpływem uderzenia. W starciu z potężnym czarnoskórym olbrzymem nastolatek nie

miął żadnych szans i wkrótce został unieszkodliwiony. Segnon skuł mu ręce za plecami, a tymczasem Guilhem wszedł do domku.

– Żandarmeria! – zawołał.

Wewnątrz zalatywało stęchlizną, dymem papierosowym i potem. Wąski korytarz, na podłodze porysowane linoleum, ściany pokryte zaschniętym jedzeniem, olejem silnikowym i innymi substancjami, których lepiej było nie identyfikować.

Nagle pojawił się drugi syn, wyszedł z pomieszczenia będącego najprawdopodobniej toaletą i rzucił się w kierunku drzwi po przeciwnej stronie. Za nimi rozległo się ujadanie psa. Guilhem pojął, że chłopak chce ich poszczuć psem, i szybko zablokował drzwi, napierając na nie całym ciałem. W szczelinę wcisnął się zaśliniony pysk szczekającego wściekle rottweilera, próbującego się wydostać.

Nastolatek usiłował odepchnąć Guilhema, więc Ludivine wbiegła do środka. Mniejsza z podejrzanym, którego właśnie puściła – miał założone kajdanki, daleko nie ucieknie, zwłaszcza że w pobliżu kręcił się Segnon. Priorytet to nie dać się pożreć. Prześlizgnęła się obok kolegi, chcąc złapać chłopaka, ten jednak wyrwał jej się z zaskakującą siłą. W jego prawej dłoni błysnęła broń, lecz Ludivine odepchnęła ją przedramieniem, a następnie dzieliła młokosa łokciem prosto w szczękę. Chłopak cofnął się, ogłuszony, co kobieta wykorzystała, by powalić go gwałtownym ciosem w tył kolana. Ledwie upadł, a poczuł, że coś wgniata mu twarz w linoleum, w ustach miał krew. Wrzeszczał, podczas gdy Ludivine całym ciężarem ciała naciskała na punkt między jego łopatkami i wyjmowała kajdanki.

– Wiej, tata! – ryknął chłopak.

Wówczas Ludivine usłyszała chrzęst żwiru – niski mężczyzna puścił się biegiem.

– Cholera! – zaklęła rozdarta.

Nie skończyła jeszcze unieruchamiać nastolatka, który usiłował się podnieść, a Guilhem przytrzymał drzwi, które w każdej chwili mogły ustąpić przed atakami psa.

Dostrzegła pedofila przez brudne okno.

– Ucieka tyłem! – zawołała. – Tyłem!

Prosto w zagłębienie terenu, w kierunku stawu, na którym kołysała się łódź motorowa. Jeśli nam się wymknie, to będzie totalna kłapa, pomyślała spanikowana, ale wtedy zauważyła ogromny szybki cień, który skoczył na zbiega i powalił go na ziemię przy wtórze pojedynczego okrzyku. Segnon doprowadził sprawę do końca.

Kiedy dwaj chłopcy zostali już opanowani i siłą posadzeni na ganku przyczepy mieszkalnej, a brytan zamknięty w swojej klitce do czasu przyjazdu oddziału zajmującego się psami, Ludivine okrążyła domek i ujrzała podejrzanego naprzeciw Segnona, który kończył właśnie informować go na temat bieżących kwestii proceduralnych.

– Rozumie pan? – nalegał.

Mężczyzna skinął głową, zrezygnowany. Był brudny, miał wory pod oczami, a na jego twarzy widniało kilka fioletowych śladów pozostawionych przez żwir, który wbił mu się

w policzki w chwili aresztowania. Segnon zachowywał całkowity spokój.

– Za moment przystąpimy do przeszukania pańskiego lokalu – rzucił. – Jeśli trzyma pan broń, narkotyki lub materiały zawierające pornografię dziecięcą, znajdziemy je, proszę więc zaoszczędzić nam czasu i wskazać, gdzie je pan ukrył.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Som w pokoju – odrzekł bez cienia wstydu. – I na kompie, co też tam jes. Tak młode też se mogom obglondać.

– Pokazuje pan to synom? – nie dowierzała Ludivine.

– No pewnie, muszom sie przez przyzwyczaić.

Westchnęła z odrazą.

Segnon chwycił typa za ramiona, żeby wprowadzić go do przyczepy.

– Już raz pan wpadł, a teraz znów robi pan dokładnie to samo. Więzienie niczego pana nie nauczyło? Po wszystkim, co robią tam facetom takim jak pan? Naprawdę chce pan tam wracać?

– Normalnie nie umim inaczej.

– Czego pan nie umie? Nie czuć pociągu do dzieci?

– No. Taki stem i już. Nie zmienię się. Nie umim. Co by nie było, to się nigdy nie skończy.

Ludivine pozwoliła, by kolega odprowadził podejrzanego, a ona stała tak, z rękami wspartymi na biodrach, podczas gdy na ulicy gapie podchodzili coraz bliżej, przyciągnięci awanturą.

Słowa pedofila rozbrzmiewały w jej głowie.

Niezmordowanie.

Ta nieodwołalna konkluzja kazała jej wrócić do drugiej sprawy, tej, która od tygodnia zaprzętała wszystkie jej myśli.

Coś zaskoczyło w sposób zupełnie naturalny, w ciągu sekundy.

Oczywista hipoteza.

A później pewność.



## 23

Głos Morrisseya wypełniał przestronny salon odurzającą słodyczą, odbijał się od kolumnienek z brązowej stali, bębnił o schody z kutego żelaza, ślizgał się po parkiecie, aż w końcu wsiąkał w grube dywany.

Ludivine rozsiadła się na wygodnej kanapie z *Pilgrimem* Timothy'ego Findleya w ręku. Łapczywie chłonęła słowa, ale o dziwo, myślami była daleko. Chociaż książka zdawała jej się niezmiernie pasjonująca, nie potrafiła się w niej zatracić. Czytelnik przypomina łódź, która płynie z prądem zdań i wpada w wiry stron. Lecz Ludivine czuła się zakotwiczona we własnym ciele, obrała kurs na rzeczywistość, a nieprzemakalna powłoka nie pozwalała jej zanurzyć się w świecie wyobraźni.

Ten dzień nie należał do leniwych, najpierw pojmanie pedofila, potem przesłuchanie w areszcie i zebranie zeznań od jego synów, a tymczasem Ludivine nękała tylko jedna obsesyjna myśl: znaleźć odrobinę czasu, by wrócić do szalonej hipotezy, która prześladowała ją od rana.

Gdy w końcu udało jej się połączyć z Philippe'em Nicolasem, koordynator wysłuchał jej wyjątkowo uważnie i, mimo że nie leżało to w zakresie jego obowiązków, zgodził się podjąć wyznaczonej mu misji. Nie ulegało wątpliwości, że zamierzał dokonać w Nanterre kolejnego podboju i każdy pretekst, by udać się tam z wizytą, był dobry.

Zaczynał się piątkowy wieczór, lecz Ludivine nie odczuwała wcale zmęczenia związanego z końcem tygodnia, wręcz przeciwnie, ogarnęła ją nadmierna ekscytacja, w mózgu wrzało, szukała pomysłów. Pedofila odesłano do zakładu penitencjarnego we Fleury-Mérogis, a Segnon chętnie wrócił do rodziny, jednak Guilhem wyczuł, że Ludivine nie jest usatysfakcjonowana: krążyła po pokoju jak dziki kot w klatce. Zrozumiał, że chodzi o kolejowego zabójcę, więc został z nią jeszcze przez godzinę i zapoznał się z najświeższymi plikami z podsłuchu telefonicznego u wdowy po Laurencie Brachu, nie odkrył jednak niczego ciekawego. Później wysłuchał tyrady partnerki o tym, że trzeba poprosić pułkownika Jihana, by utworzył komórkę badającą wyłącznie tę sprawę, a następnie przypomniał jej, że wciąż prowadzą pilne śledztwo, bez przypisanego sędziego, którego oficjalnie nie powiązano z morderstwami popełnionymi na dwóch dziewczynach.

Słowa Guilhema wywarły zamierzony efekt, Ludivine zdała sobie sprawę, że nie może bez reszty poświęcić się tej sprawie. Odesłała kolegę do domu i poleciła, żeby całą winę za pracowity tydzień i długą rozłąkę z młodą małżonką zwałił na nią. A sama wróciła do siebie, do Pantin.

Zdziwiła się, że nie dostała żadnej wiadomości od Marca Talleca, spodziewała się bowiem, że będzie chciał zrobić podsumowanie przed weekendem. Później przypomniała sobie, że potraktowała go paskudnie, rozłączając się bez słowa. Opadły ją wyrzuty sumienia. Dlaczego zawsze musi być wobec niego niemal agresywna? Zaczynał jej się zwierzać, a w każdym razie dzielić się z nią informacjami, nie mogła go oskarżyć o to, że pozuje na samotnego kowboja.

Westchnęła, zła na siebie. Przeczynała, na co się zanosi.

Chcąc uniknąć dalszego zagłębiania się w te refleksje, wzięła komórkę i zadzwoniła do niego.

– Wróciła pani do naszej sprawy? – odezwał się Marc nieco zachrypniętym głosem.

– Chciałam przeprosić za rano, nie było to zbyt eleganckie z mojej strony.

– Nic się nie stało. Złapaliście go chociaż?

– Siedzi w ciupie.

– Tyle dobrze. Po co pani dzwoni? Chyba nie tylko z przeprosinami?

– Owszem... – odparła Ludivine, trochę wytrącona z równowagi. Sama nie wiedziała, dokąd zmierza ta rozmowa. – Chociaż nie, miałam dziś przebłysk w związku z naszym człowiekiem...

– Przebłysk? W stylu medium, jak w filmach?

– Nie, jasne, że nie! W stylu „oczywisty fakt, który nagle rzuca się w oczy”. Kolejowy zabójca nie przestał. To niemożliwe. Zabił dwukrotnie w ciągu ośmiu miesięcy, z pewnością w tym zasmakował, nie wyobrażam sobie, żeby postanowił pójść po rozum do głowy i zmusić się do dwuletniej beczynności do czasu Laurenta Bracha.

– Zdaje się, że mówiła pani, że druga ofiara nosiła ślady jego frustracji, że „rzeczywistość przerosła wyobrażenia”, to pani własne słowa. Może to go na jakiś czas uspokoiło.

– Nie. Odczuwał frustrację, a jego fantazje były tak potężne, że już dwukrotnie pchnęły go do morderstwa, więc wręcz przeciwnie, chciał jak najszybciej przejść znów do czynu, aby wyeliminować niedociągnięcia, osiągnąć większą rozkosz, podnieść się po tej porażce. To człowiek ostrożny, trochę paranoik, i staranny dobór ofiary z całą pewnością stanowi część jego rytuału, musiał więc znaleźć odpowiednią, poobserwować ją, ale nie powstrzymywał się aż tak długo.

– Chyba że w międzyczasie siedział.

– To druga możliwość. Jakkolwiek było, te domniemania pomogą nam dopracować profil. Jego popędy są tak silne, że nie mógł ich kontrolować całymi latami, był więc dość młody, kiedy popełnił swoją pierwszą zbrodnię, mam na myśli pierwszy gwałt. Złapali go dzięki zeznaniu świadka albo na podstawie śladów DNA, jestem tego pewna, dlatego później zaczął zabijać. Zakładając, że spędził w więzieniu mniej niż dziesięć lat, co byłoby logiczne, biorąc pod uwagę możliwość skrócenia wyroku, szukamy mężczyzny mniej więcej między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, dla pewności rozszerzymy widełki

wiekowe do dwadzieścia dwa–czterdzieści pięć. Ma kartotekę policyjną. Siłą rzeczy musiał przebywać na wolności w chwili śmierci Georgiany Nistor i Hélène Trissot dwa lata temu, potem niewątpliwie znów siedział, prawie dwa lata, a gdy wyszedł, zaatakował Laurenta Bracha. Co więcej, przed mniej więcej trzema laty mieszkał w rejonie Éragny, podobnie jak Georgiana, która właśnie tam najczęściej pracowała. To było jego pierwsze morderstwo, potrzebował pokrzepienia w postaci znajomej okolicy. Zważywszy na jego sposób działania, sądzę, że publicznie sprawia wrażenie introwertyka, samotnika, który nigdy nie potrafi wyrazić swoich emocji inaczej niż poprzez wybuch, jednak w rzeczywistości ma o sobie wysokie mniemanie. Podczas tropienia ofiary jest pewny siebie. Łączy te dwa oblicza. Tak bardzo nienawidzi kobiet, że ma problem z nawiązywaniem zdrowych profesjonalnych relacji, dla własnego spokoju znalazł więc samotnicze zajęcie. Działa sprawnie, szybko i z łatwością podporządkowuje sobie ofiary, jest zręczny. Może wykonuje zawód techniczny.

– Rozpoczęła pani poszukiwania?

– To nasze następne zadanie, trzeba będzie przyjrzeć się wszystkim nazwiskom, które się wyłonią. Zleciłam też kolejną analizę SALVAC, na wypadek gdyby w tamtym okresie jednak nie przestał. – Marc wciąż zdawał się sceptyczny. – To ten pedofil z dzisiejszego rana – przekonywała Ludivine. – Powiedział, że to silniejsze od niego, że taki już jest i nie umie się powstrzymać. To samo dotyczy kolejowego zabójcy. Zboczeńcy jego gatunku nie potrafią się zmienić. Nie zdrowieją. To niemożliwe. Chcielibyśmy wierzyć, że jest inaczej, ale statystyki jasno dowodzą: jeżeli człowiek zbłądzi tak daleko w mrok, nie może już wrócić do naszego świata. Ci, którzy osunęli się w przepaść, nigdy nie wracają. Mówię panu: żądza i frustracja po zabójstwie Hélène Trissot na pewno skłoniły go do podjęcia kolejnej próby jeszcze przed Laurentem Brachem. A ponieważ to ostatnie morderstwo znacznie różni się od pozostałych, chociażby tym, że nie zawiera czynnika seksualnego, który do tej pory stanowił podstawową motywację zabójcy, podejrzewam, że jego fantazje ewoluowały. Może próbował czegoś nowego.

– Co wpisała pani w formularzu SALVAC?

– Podałam mniej restrykcyjne kryteria. Podejrzane samobójstwa na torach kolejowych, duże nagromadzenie poszlak fizycznych, śladów DNA i tak dalej. Program wypluje pewnie tonę spraw, ale nie chcę niczego pominąć.

– Im dalej się posuwamy, tym mniej skłania się pani ku hipotezie z dżihadystą, prawda?

– Nie wiem, co panu odpowiedzieć. To seryjny morderca, tylko tego jestem pewna, ale czy jego relacja z Laurentem Brachem jakoś wiąże się z terroryzmem... Szczerze? Mam pewne wątpliwości.

– W porządku. Dziękuję pani za telefon.

– Proszę poczekać, chyba nie zamierza pan tak po prostu się rozłączyć!

Tallec zamilkł na chwilę.

– Hm, cóż... O czymś zapomniałem?

Ludivine postarała się szybko wypełnić ciszę. Jeśli zatrzyma go przy telefonie, będzie miała wokół siebie odrobinę życia.

– Zrobił pan dziś jakieś postępy? – spytała zbyt dziarsko, by zabrzmiało to naturalnie.

– I tak, i nie. W każdym razie nie znalazłem nic rozstrzygającego. Pracuje pani jutro?

– Nie. Dopiero w poniedziałek.

– Dobrze. Ja mam robotę. Zajrzę do WŚ w poniedziałek rano.

Ludivine zaskoczyła samą siebie, gdy odważyła się spytać:

– Co pan robi dziś wieczorem?

– A co, mamy coś pilnego?

– Nie. No chyba że wyjście na piwo zalicza pan do tej kategorii.

Marc wydał z siebie szczery, suchy śmiech.

– Przełamujemy lody?

– Tak byłoby lepiej, nawet jeśli okaże się, że nie popracujemy razem długo.

– Proszę posłuchać, dzisiaj nie mogę. Ale jutro wieczorem, jeśli jest pani wolna, zapraszam na kolację.

Słyszając odmowę, Ludivine rozzłościła się jak mała dziewczynka. To teraz miała ochotę się z nim zobaczyć, nie chciała spędzać wieczoru samotnie. Jutro będzie nowy dzień, nowy nastrój.

– Zobaczę, czy uda mi się coś przełożyć – odparła poirytowana. – Zdzwonimy się jutro.

Przerwali połączenie. Ludivine miała Marcowi za złe, że był zajęty, akurat gdy ona ośmieliła się go zaprosić. Musiało minąć kilka minut, zanim zdołała przemówić sobie samej do rozsądku i uciszyć tę dziecinną i – jak doskonale o tym wiedziała – niedorzeczną frustrację. Otworzyła butelkę chilijskiego wina i kręciła się po salonie z kieliszkiem w ręku, choć wcale z niego nie piła. Nie chciała zawracać głowy Segnonowi i Laëtiti, potrzebowali trochę czasu dla siebie, podobnie jak Guilhem i Maud.

*Nie pozwolę, by wróciły moje dawne demony. Nie ma mowy, nie będę przesiadywać w barze i pić, nie zamierzam też zgarniać do domu pierwszego niebrzydkiego faceta, jaki się nawinie, tylko dlatego, że nie potrafię sobie poradzić z chandrą dopadającą zwykle trzydziestolatki.*

Nie była już tamtą dziewczyną.

Jednak czasem wciąż doskwierała jej samotność.

Odstawiła kieliszek na niski stolik, nawet nie umoczywszy w nim warg. Tego lekarstwa też się obawiała. To tylko inna forma ucieczki.

Stała zwrócona twarzą do regałów z książkami. Nagle wszystko – obrazy Fazzina, olbrzymia zniszczona amerykańska flaga, która zakrywała niemal całą ścianę, sofę, szeslong, dywany, kominek, długa weranda – wydało jej się płytkie, niestosowne. Po co stworzyła sobie ten przestronny, materialistyczny kokon?

*Żeby mieć bazę, azyl. Bezpieczne schronienie, gdzie mogę naładować akumulatory.*

Poczuła się nadmiernie uprzywilejowana, nie na swoim miejscu, i ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

Nie miała ochoty iść na górę do sypialni. Czuła się tam całkiem malutka. Potwornie samotna. A skoro uważała, że wystrój jest odbiciem ludzkiego wnętrza, powinna zacząć się zastanawiać, dlaczego zupełnie nie może się zabrać za urządzenie tego pokoju, w którym wciąż panuje chłód.

Czasem zadawała sobie pytanie, czy umiałaby rzucić wszystko i wyjechać gdzieś daleko, zacząć życie od nowa.

Później pomyślała o Mikelisie, który tak właśnie postąpił i uciekł z rodziną w góry.

Ten człowiek umiał słuchać bez osądzania jej. Czas był jego największym bogactwem, mógł więc podarować jej jakiś jego drobny ułamek. Może w swej hojności zgodzi się nawet, by nieco zboczyła z osobistych tematów i opowiedziała mu wszystko.

O zmarłych i o potworze, który snuł się wokół nich.

*W swoim siedemnastoletnim życiu Dżin dużo częściej całował śmierć niż dziewczęce wargi. Całował ją prosto w usta. Trzymając w dłoniach jej zapadniętą twarz. Dżin flirtował ze śmiercią, później przerodziło się to w poważny związek przypieczętowany uroczystą przysięgą w dniu krwawej śmierci jego czulej matki.*

*Za obrączkę służył mu karabin AK-47. Za świadków – kilka pistoletów maszynowych. Uroczystość uświetniły wybuchy.*

*Ale była to jednostronna relacja. Śmierć tak naprawdę go nie chciała i jak okrutna kochanka od zawsze mu siebie odmawiała, chociaż gdy ją prowokował, gdy spychał do okopów, zdarzało mu się poczuć jej zdradzieckie ukąszenie. Jej złowrogą obecność, kiedy kaleczyła go w ramię, innym razem w plecy albo raniła w poprzek uda. Oferowała mu ledwie przelotny uścisk, a potem odchodziła do innych, bardziej pociągających kochanków, którym oddawała się bez zobowiązań.*

*Po wojnie domowej zostały Dżinowi dwa ślady po kulach i kilka blizn po szrapnelach, które nie przyniosły jednak żadnych poważniejszych konsekwencji.*

*Ojciec tłumaczył mu, że zabicie człowieka nie uczyni z niego mężczyzny. Rybak nie zostaje rybakiem, kradnąc ryby złowione przez kogoś innego. Dżin jedynie odbiera życie – w ten sposób nikomu go nie zwróci ani nie przedłuży własnego, powtarzał i nieprzychylnym okiem spoglądał na samobójcze zaangażowanie syna w działalność Hezbollahu. Miał autorytarny charakter, wymuszał szacunek za pomocą ciosów, ale na skutek ciągłej nieobecności z biegiem lat stracił namacalność. Dżin nie zamierzał dłużej pozwalać, by to widmo – tak lodowate miał dłonie – decydowało o jego przyszłości, a raczej jej braku. Nie wybiegał myślami dalej niż bieżący dzień, dziękując Allahowi za to, że jeszcze trochę odroczył wyrok i dał mu czas na pełnienie misji, którą mu powierzył za pośrednictwem Partii Boga. W końcu zrozumiał, że śmierć unika go właśnie dlatego, że taka jest wola wiecznego władcy.*

*Ojciec chciał, by w wieku siedemnastu lat został prawdziwym mężczyzną, i któregoś ranka oznajmił, że zamierza go ożenić.*

*Ojcowskie widmo włożyło w to obwieszczenie tyle przekonania – tym razem bez użycia argumentów siłowych – że młodzieniec nie wiedział, jak się od tego wykryć ani czy w ogóle warto. Wobec tego nie tyle pogodził się z losem, ile po prostu czekał na to, co mu przyniesie.*

*Nurę poznał w dniu ślubu.*

*Nie wyróżniała się szczególną urodą, nie okazała mu też zbytnej czułości, była bowiem trochę przestraszona, ale kiedy Dżin ją zobaczył, od razu poznał, że patrzy na matkę swoich*

dzieci. Postępował tak niezdarnie, jak to tylko możliwe, i z całą pewnością nie spełnił jej oczekiwań, okazał jednak zaangażowanie i szacunek należne kobiecie, która miała odtąd być jego towarzyszką i strażniczką ich domowego ogniska. Nura i Dżin nauczyli się nawzajem odkrywać, rozmawiać ze sobą, dotykać się i rozumieć. Miłość tknęła się powolutku, dzień po dniu, a Dżin coraz bardziej lgnął do żony i oddalał się od śmierci.

Choć nie stracił motywacji, miejsce Dżina demona walczącego w szeregach Hezbollahu stopniowo zajmował spokojny Dżin i w ten sposób człowiek, którego szkolono do roli męczennika, prześlizgnął się na drugą stronę barykady. Nie znajdował się już wśród pewnych kandydatów do największego poświęcenia, teraz należał do tych, którzy przygotowywali im pole. Początkowo zajmował się kwestiami strategicznymi, później, kiedy był gotowy, również ideologią.

Przez te wszystkie lata Nura trwała u jego boku i działała niczym zbawienny balsam na jego umęczone serce. W przeciwieństwie do tego, co twierdził jego ojciec, nie była kamieniem milowym niezbędnym do tego, by stał się mężczyzną, lecz wyjątkowym zaklęciem, dzięki któremu Dżin, pustynny duch, na powrót stał się człowiekiem, i przestał być dziwaczną istotą, za którą się uważał od maleńkości. Z jej pomocą nauczył się, że ludzie nie zakochują się od pierwszego wejrzenia, że miłość to nieustannie ewoluujące uczucie, które powoli oswajamy dzięki małżeńskim więzom, z czasem, wśród codziennych wyzwań. Obecność Nury co wieczór dodawała mu otuchy. Jego żona była powodem, dla którego wracał do domu, nie robił głupstw. Swoje czary odprawiała między innymi w kuchni. W sferze kulinarnej dokonywała prawdziwych cudów. Jak jakaś bogini. Potrafiła zdziałać wiele, dysponując ledwie odrobiną. Przy piecu stawała się alchemiczką, posiadała zdolność przemieniania emocji męża wyłącznie za pomocą podawanych mu dań, on zaś prawie zawsze dokładał starań, by nie ominął go żaden domowy posiłek.

Dżin nie był materialistą, cenił jedynie stare radio należące niegdyś do matki. Nura nieco przemeblowała ich gniazdko, co dużo znaczyło w oczach młodzieńca, który potrafił wprawdzie cieszyć się wygodą ławy, lecz nie przywiązywał żadnej wagi do jej wyglądu, a tym bardziej umiejscowienia w maleńkiej głównej izbie służącej im za salon i kuchnię. W tych czterech ścianach jego żona była królową i potrafiła jasno dać to do zrozumienia. Dżin miał problem z odmówieniem jej czegokolwiek. Nawet gdy ta niepozorna magiczka go irytowała, w końcu zawsze zaczynał żałować, że ją zostawił, i wracał do domu, gdzie godzili się przy przygotowanym przez nią zaczarowanym posiłku.

Działo się to w tym samym bejruckim domu, w którym zżarła ją choroba i w którym umarła po raptem kilku tygodniach niedyspozycji. Nic z niej nie zostało. W ostatnich dniach przypominała żywy szkielet.

Dżin, który nie utrzymywał częstego kontaktu z ojcem, znalazł pociechę w tym, co umiał robić najlepiej: w niestrudzonej służbie Hezbollahowi.

To w ten sposób, krok po kroku, zyskał ważną pozycję w Partii Boga.

*Uciekając przed zmarłymi, których kochał.*

*Zielona torba przekazana przez chłopaka w bluzie z logo amerykańskiego uniwersytetu zawierała wszystko, czego Dżin potrzebował, by przeprowadzić kolejny etap planu i zniknąć raz na zawsze. Ale zanim to nastąpi, miał do wykonania jeszcze jedno zadanie.*

*Kupił komórkę, a także kartę prepaid i wybrał numer znaleziony w zielonej torbie, wśród innych rzeczy.*

*Gdy po drugiej stronie odezwał się męski głos, Dżin wymienił jedynie datę i miejsce spotkania oraz znak rozpoznawczy, a potem złamał kartę SIM i wrzucił telefon do kanału.*

*Umówili się na wieczór w głównej hali paryskiego dworca Saint-Lazare. Punktualnie przybyli we wskazane przez Dżina miejsce i krążyli w tłumie, rozmawiając przyciszonymi głosami. Dżin chował twarz pod daszkiem czapki, postawił kołnierz płaszcza, by nie zarejestrowały go kamery. Nie wykryją go nawet za pomocą programu do rozpoznawania twarzy, choć szczerze wątpił, czy w ogóle można by go użyć przeciwko niemu. Nie teraz. Jego obecni wrogowie nie działali w ten sposób, nie wypuszczali się tak daleko od bazy, zaś jego przyszli wrogowie nie wiedzieli jeszcze o jego istnieniu.*

*Dżin mówił zwięźle, oficjalnym tonem, a jego towarzysz znieruchomiał oszołomiony.*

*– Ale... Nie mogę tego zrobić... – wymamrotał, jego słowa okazały się ledwo słyszalne w ogólnym zgiełku.*

*– To jeden jedyny raz, kiedy się spotykamy, przyjacielu – oznajmił Dżin. – Nie wrócę, by ponownie cię o to prosić. Pozwól jednak, że wyjaśnię ci, dlaczego to zrobisz.*

*Nachylił się i przez kilka minut szeptał coś drugiemu mężczyźnie.*

*Gdy skończył, jego rozmówca przez chwilę stał jak skamieniały, przetrawiając to, co usłyszał, a setki śpieszących się postaci potrącały go, w ogóle się nim nie przejmując. Kręciło mu się w głowie.*

*Dżin zniknął.*

*Ale jego słowa zostały.*

*Wśród powszechnej obojętności rozbrzmiewały głośniejsze niż rozwścieczona armia bębnow.*



Gorączka życia.

Chęć, by robić wszystko. W tym samym czasie.

Ludivine obudziła się w szczytowej formie. Spała kamiennym snem i wbrew wszelkim oczekiwaniom dość długo. Poprzedniego wieczoru rozmawiała przez telefon z Mikelisem, który siedział u siebie w górach, jakby zwierzała się psychoterapeucie lub zdyscyplinowanemu i cierpliwemu przyjacielowi. Przez prawie dwie godziny dyskutowali o tym, co z definicji oznacza poczucie winy, jakim luksusem jest możliwość doświadczania go w świecie, gdzie ludzie dzielą się na tych, którzy mają za dużo, i tych, którzy nie mają dość, o wadach Ludivine, a wreszcie o jej potrzebie przeżywania życia. Ostatecznie nie wspomniała o śledztwie. Gdy dotarła do sypialni, otuliła się kołdrą wypchaną gęsim pierzem i w końcu zdołała się wciągnąć w lekturę.

Rozpoczęła sobotni poranek od porządków na przestronnym parterze, opróżniła nieruszoną butelkę wina do zlewu i pościarała kurze przy akompaniamencie Davida Bowiego, który wprawiał w drgania werandę. Później, ponieważ wciąż tryskała energią, przywdziała pełny rynsztunek biegaczki i przez półtorej godziny intensywnie śmigała po asfalcie, a następnie wzięła odprężającą kąpiel w pachnącej wodzie.

Marc Tallec zadzwonił wczesnym popołudniem, kiedy błędziła po ulicach Marais, wśród butików i galerii sztuki, zafascynowana dziełami, na które nigdy nie będzie mogła sobie pozwolić, i zirytowana zawyżonymi cenami koszul. Próbowwała na nowo się sfeminizować i choć w związku ze szczególnym charakterem swojej pracy rzadko miała ku temu okazję, ta nadarzała się nieraz podczas wieczornych spotkań ze znajomymi albo w trakcie weekendu. Ale czasem ochota, by dać temu wyraz, nachodziła ją bez powodu, chciała po prostu poczuć się piękna i kobieca we własnym domu. Marc zaproponował wspólną kolację, a ona nie kazała się prosić, od razu przyjęła zaproszenie. Wróciła wcześniej i trochę leniuchowała przed telewizorem, a potem zdecydowanie za długo szykowała się do wyjścia, jakby nie chodziło o zwykłe spotkanie.

Ludivine wiedziała, że flirt z facetem z DGSI to kiepski pomysł, tym bardziej że przez jakiś czas mieli razem pracować. Ale zmęczyła się już tym ciągłym kalkulowaniem, wzbranianiem się przed uczuciami.

Miała też dość celibatu.

Pragnęła czyjejś bliskiej obecności, skrawka skóry tuż przy swojej, co pozwoliłoby jej się odprężyć, dodałoby jej pewności siebie i otuchy. I mniejsza z tym, że miesza życie prywatne

z zawodowym. Przecież nie planowała się zakochać, chciała tylko spędzić miły wieczór, kilka godzin skradzionych samotności.

Przymierzyła dziesięć różnych kreacji, bez przerwy zmieniając zdanie – a gdy w końcu znalazła odpowiednią, problemem okazała się bielizna – aż wreszcie dobrała zestaw niemalże idealny. Nałożyła zbyt mocny makijaż, później zbyt lekki, rozżłościła się, że czas ucieka. Już była spóźniona.

Kiedy kierowca Ubera wysadził ją przed restauracją, w której Marc zarezerwował stół, poczuła drobne ukłucie zdenerwowania, ale zdołała nad nim zapanować. Straciła biegłość w tego rodzaju wyzwaniach.

Wybrał miejsce o relaksującym klimacie, w wystroju wnętrza dominującą rolę odgrywały aksamity, gra luster i przytłumione oświetlenie, przeważały bordowe akcenty uzupełnione egzotycznym ciemnobrązowym drewnem.

Marc siedział już we wnęce przyozdobionej fioletowymi frędzlami.

Ludivine wyczytała w jego spojrzeniu, że jest zaskoczony jej wyglądem. Zauważyła, że nieznacznie się ożywił, gdy zobaczył ją tak wystrojoną, jego wzrok prześlizgnął się po krągłościach opiętych czarną sukienką z cekinami, po kształtnych nogach podkreślonych rajstopami z tylnym szwem, po butach na obcasach, które dodawały jej werwy i zmysłowości kontrastujących z praktyczną efektywnością, jaką wykazywała się w WŚ. Włosy zebrane niedbale w kok odsłaniały delikatne rysy, a jeden zbuntowany kosmyk opadał na czoło. Narysowała nawet kreski eyelinerem, tak by optycznie powiększyć oczy.

– Wygląda pani przepięknie – powiedział Marc na powitanie.

– Dziękuję. Zdaje się, że życie po służbie jednak istnieje – zażartowała.

Talleg postawił na oszczędną klasykę: ubrał ciemną marynarkę i białą koszulę ze stójką. Jeśli dołożyć do tego kilkudniowy zarost, starannie wystylizowane włosy, mocno zarysowane brwi podkreślające prawie czarne tęczęwki oraz nieco zbyt kwadratową szczękę, wyglądał niemal karykaturalnie, nie brakowało mu jednak dobrego smaku, jak oceniła Ludivine, kiedy wstał, by ustąpić jej miejsca na ławie we wnęce.

– Pozwoliłem sobie zamówić dla pani kir – oznajmił, wskazując kieliszek. – Wahałem się co do smaku, ale wybrałem dojrzale.

– Bo taką właśnie jestem kobietą?

– Słucham? Och... okej. Przyznaję, że po ośmiu godzinach przed ekranem komputera i nad raportami przyda mi się odrobina prawdziwego życia, ale potrzebuję krótkiego okresu adaptacyjnego. Proszę dać mi chwilę na bezpieczne lądowanie, zanim nadmiernie obciążę pani moje neurony.

– Mówi pan, że powinnam psychicznie przygotować się na to, że to na mnie spadnie ciężar podtrzymywania rozmowy? – spytała z rozbawieniem Ludivine.

– Nie, potrafię dużo gadać, jak już się rozkręcę. Miałem długi, frustrujący dzień i nie odkryłem nic konkretnego, znalazłem za to czas, by jeszcze raz przemyśleć wszystkie pani

teorie.

– A może nie będziemy dziś rozmawiali o pracy? Tylko o panu, o mnie, o życiu w oderwaniu od psychopatów i terrorystów?

– Czy między jednymi a drugimi naprawdę istnieje różnica?

– Widzę, że pan nie odpuszcza.

Marc uśmiechnął się, po czym skinął głową na znak, że się poddaje.

– W porządku. Proszę mi wyjaśnić następującą kwestię: dlaczego taka piękna kobieta jeszcze nie ma męża?

Ludivine wytrzeszczyła oczy, udając zaszokowanie.

– Tak prosto z mostu? Przechodzimy od razu do meritum, do najważniejszych spraw w moim życiu?

– Sama pani zaproponowała, żebyśmy rozmawiali o nas, najlepiej więc zacząć od najistotniejszych zagadnień, dzięki temu zyskamy klucz do wzajemnego zrozumienia.

– Wszystkie dane znalazł pan pewnie w moich aktach, może nie? – rzuciła, tym razem bez agresji w głosie.

– No właśnie nie. Ta kwestia została omówiona jedynie w zarysie, przez kogoś, kto nie jest panią, nie potrafił więc należycie zinterpretować faktów. Wiem tylko, że jest pani wolna, nigdy nie miała pani męża ani dzieci. W archiwach DGSI nie ma nic więcej na temat pani życia uczuciowego. Choć podejrzewam, że jest o czym mówić.

Ludivine uniosła kieliszek do ust i wzruszyła ramionami.

– Jestem ucieleśnieniem niezamężnej trzydziestolatki nękaną bolączkami typowymi dla naszego pokolenia – przyznała, przełykając. – Ciężko przeżyłam dwa zawody miłosne, stałam się nieufna, a obracamy się w środowisku, gdzie mamy duży wybór, zbyt duży, co z kolei sprawia, że podświadomie robimy się nadmiernie wymagający. Gonimy za złudzeniem doskonałości. Gdy pryska czar pierwszego zauroczenia, nie potrafimy przezwyciężyć rozczarowania, budować na dzielących nas różnicach. Odchodziłam, gdy tylko w związku pojawiał się problem, zakładając, że gdzie indziej na pewno będzie mi lepiej. Prawdę mówiąc, nie ma w tym nic oryginalnego. Jestem przedstawicielką pokolenia, które pragnie, by wszystko było łatwe... i przez to komplikuje sobie życie.

Postanowiła przemilczeć epizod z Alexisem, kolegą z WŚ. Nie kochali się, w każdym razie w grę nie wchodziło żadne głębsze uczucie, była to jedynie krótka przygoda brutalnie przerwana przez śmierć i ta bańka należała wyłącznie do nich.

– Jest pani koczowniczką, nienawykłą do osiadłego trybu życia...

Ludivine nie wiedziała, czy to pytanie, czy stwierdzenie, jednak zdecydowała się odpowiedzieć:

– Mam serce, które chciałoby gdzieś osiąść, oraz koczowniczy umysł. Nie uważa pan, że nasze pokolenie, i następne pewnie też, zachowuje się jak rozpieszczone dziecko, przyzwyczajone, że dostaje wszystko, czego zapagnie? W obliczu najdrobniejszego

nieporozumienia wolimy się wymiksować, niż przewalczyć niezadowolenie i zostać, by budować coś z innymi, szukać rozwiązań, krótko mówiąc, zadać sobie trud.

– A nie jest tak, że po prostu częściej niż nasi rodzice słuchamy głosu serca? – spytał z rozbawieniem Marc. Na jego wargach błąkał się lekki uśmieszek. – Czy mężczyzna i kobieta naprawdę zostali stworzeni, by być razem aż po grób? Szuka pani mężczyzny swojego życia, ale coś tu zgrzyta, bo w rzeczywistości istnieje kilku mężczyzn pani życia. Nie?

– A zatem tak naprawdę powinnam odpowiedzieć sobie na pytanie, co wolę: parę płomiennych, acz nietrwałych romansów czy jeden długi związek, który na przestrzeni swojego istnienia będzie wymagał wprowadzania poprawek. Jakie to wszystko banalne...

– Mamy ten luksus, że możemy wybierać, sama pani mówiła.

Ludivine odstawiła opróżniony kieliszek i zdała sobie sprawę, że już trochę kręci jej się w głowie. Musiała uważać na to, co pije, jeżeli chciała dotrzeć do końca wieczoru z nienaruszoną godnością.

– No a pan? – spytała. – Bretończyk, studia prawnicze, potem nagły zwrot, wstąpienie do policji... no i rozwód! Tyle mi pan opowiedział. To był szybki ślub? W stylu Las Vegas?

– Nie całkiem. Ożeniłem się z moją pierwszą prawdziwą dziewczyną z liceum. Przed ślubem byliśmy razem osiem lat. Wytrzymaliśmy jeszcze dwa, zanim wszystko rozpadło się z hukiem.

– Widzi pan, jesteśmy pokoleniem, które nie umie stawić czoła związkowej codzienności!

– Moja praca w DGSI ponosi prawdopodobnie większą odpowiedzialność niż ja sam – choć nie chcę się chować za zmyślonymi wymówkami. Ciągłe nieobecności, myśli stale zaprzątnięte czymś innym, czasem bywałem nadmiernie poirytowany, niespokojny... Mówiąc w skrócie, w końcu zaczęła obawiać się dni, kiedy zostawałem w domu. Więc się wyniosła. Teraz mieszka z urzędnikiem prefektury, który wierzy w radość życia i pozytywne myślenie.

– Dokonał pan wyboru. Wolał pan pracę.

– Dobrze pani wie, jak to jest. Nie wykonujemy zwyczajnych zawodów. Gdy już raz się wciągniesz, ta robota wnika do twojego wnętrza, staje się drugą skórą, nie możesz się wycofać, a tym bardziej zaangażować na pół gwizdka.

– Czy DGSI naprawdę działa tak... – Ludivine szukała odpowiednich słów, nie chcąc, by się zjeżył – ...potajemnie i na granicy prawa, jak mówią?

– Sądziłem, że nie rozmawiamy dziś o pracy.

– Chcę tylko wiedzieć, z czego zrobiona jest ta pańska „druga skóra”, jak pan to ujął.

– Z materiału, który się nie drze i tak ściśle przylega do ciała, że nie można jej zdjąć ani tym bardziej nikomu pożyczyć.

– Ach, ten słynny kult tajemniczości. Wiecie wszystko o wszystkich? Istnieje gdzieś olbrzymi wydział z teczką na każdego, czy to tylko wymysł?

– Nie, to nie działa w ten sposób. Poza tym zdaje sobie pani sprawę, że odkąd żyjemy w cyfrowym świecie, z łatwością można dowiedzieć się wszystkiego na czyjś temat, jeśli zajdzie taka potrzeba. Większość osób jest na Facebooku, Twitterze, Instagramie i w innych mediach społecznościowych. Opowiadają o swoim życiu, wysyłają maile, SMS-y, ich urządzenia, a czasem nawet domy, są podłączone do sieci, ludzie używają Internetu do wszystkiego, do zamawiania jedzenia, kupowania ciuchów, robienia sprawunków, rezerwowania wakacji, szukania pracy, wynajdywania informacji o takim a takim człowieku lub tej czy tamtej sprawie, wypełniania wniosków urzędowych. Nawet samochody są podłączone! Powoli robi się tak, że wystarczy to wszystko obserwować, powiązać za pomocą superkomputerów, które sporządzą kompletny profil, i w ten sposób dowiedzieć się o danej osobie wszystkiego. Absolutnie wszystkiego.

– DGSI tak funkcjonuje? – zdumiała się Ludivine, której nigdy nie przyszło do głowy, że tajne służby posuwają się tak daleko.

Marc posłał jej szeroki uśmiech.

– Nie, my nie. Ale wywiad, który tylko marzył o takiej sytuacji, oczywiście.

– Proszę dać spokój, nabiera mnie pan! Przecież nie mają dostępu do tych wszystkich danych.

– Jest pani strasznie naiwna.

– Pamiętam, że nie tak dawno temu w jakiejś sprawie związanej z terroryzmem FBI albo CIA, teraz już nie wiem, poprosiło Apple'a o pomoc w zdobyciu danych z iPhone'a głównego podejrzanego, co dowodzi, że tajniacy nie wszystko mogą.

Marc potrząsnął głową z wyrazem rozbawienia i politowania na twarzy.

– Naprawdę sądzi pani, że najpotężniejsze służby wywiadowcze świata, które na dodatek współpracują z NSA, najbardziej zaawansowanym technologicznie organizmem naszej cywilizacji, nie potrafiły zhakować iPhone'a? Poważnie? A nawet gdyby faktycznie miały z tym problem, co zakrawałoby na kpinę, uważa pani, że publicznie prosiłyby o pomoc zwykłą firmę? Na oczach wszystkich? Ludivine, serio... To tylko reklama! Rozpowszechniana z myślą o ludziach takich jak pani, żeby was uspokoić, żebyście uznali, że wszystko jest w porządku, że ktoś chroni wasze życie prywatne i respektuje waszą wolność osobistą. To reklama dla firm, które odgrywają w tym dramacie pozytywną rolę, a także propaganda ze strony wywiadu, który mimochodem rozpuszcza wieści, że wcale nas nie kontroluje.

– Ale DGSI tego nie robi? – nalegała buntowniczo Ludivine.

– Nie, to się nie mieści w naszych prerogatywach, mówię tylko, że takie praktyki mają miejsce. Tajne służby zmieniły się w stosunku do powszechnych wyobrażeń na ich temat, działają w terenie, ale głównie w świecie wirtualnym. A to, że każdy człowiek jest dziś na wiele sposobów podłączony do sieci, to dla nich uśmiech losu. Niepotrzebne im już żadne teczki, obywatele sami wszystko scyfryzowali!

– No dobra, założmy, że faktycznie tak się to odbywa. DGSI zajmuje się wywiadem wewnętrznym, DGSE szpiegostwem, DRSD sprawami wojskowymi i tak dalej... Każda agencja stosuje własne przerażające metody. Ale na którymś etapie wymieniają się informacjami, przekazują sobie jakieś minimum danych, więc jak to możliwe, że nie udaje się wyłapać wszystkich terrorystów, zanim uderzą?

Talleg zrobił zmieszana minę.

– To dlatego, że są chytry. Na szczęście nie wszyscy, większość zatrzymujemy, zanim dojdzie do jakiegoś dramatu. Ale nie jesteśmy w stanie nadzorować całego świata. Czasem wykrywamy zagrożenie odrobinę za późno, co może przynieść tragiczne konsekwencje. Kompletne bezpieczeństwo w świecie funkcjonującym tak szybko jak nasz to mrzonka. I nie, nie wszystkie agencje dzielą się swoją wiedzą, to cecha charakterystyczna służb wywiadowczych: każdy chce się upewnić, że ma trochę więcej niż ten drugi, aby uzasadnić swoje istnienie, na wszelki wypadek, żeby zabłysnąć, i niestety te przepychanki trwają nieraz tak długo, że robi się za późno.

– Zważywszy na wysokość stawki, to oburzające.

– To ludzkie, Ludivine. Na szczeblu krajowym to przejaw małostkowości i niekompetencji, ale na szczeblu indywidualnym to zrozumiałe. Każdy chce dać z siebie wszystko. Każdy liczy, że coś zmieni. Każdy pracuje z nadzieją na awans, żeby zadowolić zwierzchników i tak dalej...

– Fakt, że nie stać nas na więcej, mimo że dysponujemy takim wachlarzem środków, i że czasem wynika to wyłącznie z nieumiejętności skoordynowania działań... dla wielu ludzi to rzecz niesłychana.

– Zgadzam się. Ale wie pani, duże komórki, które szykują potężne ataki, mają potrzebę komunikacji, muszą dokonywać ustaleń, organizować się, w wyniku czego się odsłaniają, a nasze służby mają je jak na widelcu. A zatem prawdziwe zagrożenie stanowią osoby działające w pojedynkę, które do zamachu przygotowują się w tak nikłym stopniu, że to aż śmiechu warte, dzięki czemu pozostają niewykrywalne aż do momentu przystąpienia do akcji...

– Nie ma już wielkich komórek, które mogłyby przeprowadzić zmasowany atak?

– Oczywiście, że są. Ale musiałyby wykazać się wyjątkowym sprytem i mieć sporo szczęścia, żebyśmy nie zidentyfikowali ich na czas. Widzi pani, mówiłem, że to silniejsze od nas, nie wytrzymałyśmy nawet pięciu minut bez gadania o pracy!

Kelner przerwał im, by przyjąć zamówienie, a gdy się oddalił, zaczęli nieco niezdarnie krążyć wokół siebie, poruszając jeden błahy temat za drugim, aż w końcu doszli do kwestii rodzinnych. Marc zwierzył się ze swoich pełnych rezerwy relacji z bliskimi, a kiedy Ludivine spytała go o dzieciństwo, opowiedział, jakim był nieznośnym chłopakiem, wspominał o swojej potrzebie ruchu, odkrywania, nowych doświadczeń. Wypytała go też o życie uczuciowe po rozwodzie – jak się okazało, dość chaotyczne – i sama otworzyła się

przed nim z podobną szczerością.

Śmiali się. Na zmianę słuchali swoich wynurzeń o brzemieniu związanym z wykonywanym zawodem i okropnymi sprawami, z którymi trzeba się nieraz mierzyć, i o swoim uzależnieniu od takiej codzienności. Nawiazali nić porozumienia.

Marc zaproponował, by dalszą część wieczoru spędzili w irlandzkim barze nieopodal. Wypili tam kilka piw w zupełnie innej, bo świątecznej i hałaśliwej atmosferze, przez co musieli zbliżyć się do siebie, żeby się słyszeć.

Ludivine kilkakrotnie musnęła Marca palcami, za trzecim razem przeszedł ją dreszcz. Alkohol dyskwalifikował wszelkie podszepty rozsądku.

Szukali się nawzajem.

I odnaleźli się. Gdy grupa pijanych studentów niechcący potrąciła Ludivine, Marc złapał ją w locie.

Delikatny pocałunek. Powolny. Pieszczota warg. Zalecające się do siebie języki. Chwytające się dłonie. Ciała, które się łączą. Powieki unoszą się delikatnie. Światło w barze zdaje się zbyt jasne. Dźwięki, tłumione jakby grubą warstwą waty, nagle powracają.

Zawstydzone uśmiechy, zaczepne spojrzenia, później porozumiewawcze uśmiechy.

Za drugim razem to Ludivine zainicjowała pocałunek. Spodziewała się gorączkowości, ekscytacji, balansowania na granicy utraty kontroli, ale podobała jej się ta czułość, czas, w którym usta odkrywały się dla samych siebie, którego nie traktowali wyłącznie jako gry wstępnej. Ten słodki, pachnący alkoholem pocałunek, który falami oddziaływał w jej ciele, za każdym razem nieco mocniej rozbudzając zmysły.

Nagle buzujący energią bar wydał im się nieodpowiedni, wyrwany z kontekstu, więc Marc położył dłoń na karku Ludivine i z wargami przy jej uchu szepnął:

– Mogę panią odwiedzić do domu?

Chwyliła go za ramię i wyciągnęła na zewnątrz.

Gdy dojechali na miejsce, wskazała mu, gdzie zaparkować, i bez słowa wprowadziła go do środka. Po tym, co już się między nimi wydarzyło, czuła się przy nim pewnie i doskonale wiedziała, dokąd ich to zaprowadzi.

Już na schodach wiodących na piętro spytała prowokacyjnie:

– Ta technika, której tajne służby używają do rekrutacji, na pewno nazywa się WADA, a nie SWADA, z „S” jak „seks” na początku?

– Jestem już po służbie – odparł Marc i pocałował ją.

Zaciągnęła go do sypialni, gdzie stopą zepchnęła z łóżka wszystkie ciuchy, które w pośpiechu porzuciła tam wcześniej, przygotowując się do wyjścia. Zapaliła dwie świece zapachowe i odwróciła się twarzą do niego.

Mężczyzna, zwykle czarujący, w bursztynowym półmroku był po prostu piękny. Zwierzęcym pięknem. Seksualnym.

Ludivine powstrzymała się przed zerwaniem z niego koszuli, pragnęła jeszcze trochę tej

słodkiej czułości, tej cielesnej tkliwości, więc znów pocałowali się delikatnie.

Płynnymi ruchami ściągnęli z siebie ubrania, przesuając językami po skórze, bez pośpiechu, jak dwoje uważnych, nieraz pełnych wahania kochanków.

Ludivine na długo zatrzymała go na wysokości swojego biustu, zaciskając palce na jego włosach, zapominając, kim jest, zapominając o całym świecie, z rzeczywistością wiązały ją jedynie te łączące usta, które pieściły jej piersi. Później zamienili się rolami i teraz to ona delectowała się wysportowaną sylwetką kochanka, jego umięśnionym torsem, ukształtowanym pewnie w wyniku uprawiania boksu, a także biegania. Wbiła paznokcie w nieznaczące wypukłości jego boków, by przytrzymać go mocno przy sobie, i otarła się o niego, wyczuwając podniecenie partnera prężące się między ich ciałami.

Przyjęła go ostrożnie, później zaczęło się falowanie spokojnego morza, poruszanego niewidzialnymi, lecz potężnymi prądami. Stawało się coraz intensywniejsze, aż w końcu ustało – jednak dopóki trwało, rozkoszowała się każdą chwilą. Marc miał cudowne pośladki i nie mogła się powstrzymać przed ich ściskaniem, a ich biodra szepiły się z zatrwającą łatwością.

Ludivine kołysała się na styku dwóch oceanów – oceanu swojego ciała i jego euforycznych doznań oraz tego dziwniejszego, oceanu zapomnienia, ekscytującego uniesienia. Chciała pochłonąć Marca w całości, by sięgał głębiej, mocniej, dłużej, żeby stopili się w jedno do tego stopnia, że nie będzie już wiadomo, co do kogo należy, wszystkie kończyny splecione w rozkoszy.

Tej nocy nie osiągnęła orgazmu, ale czuła się przyjemnie spełniona, zasypiając w ramionach Marca.

W słabym świetle świec ta pozbawiona ozdób sypialnia wreszcie wydała jej się przytulna.



W pomieszczeniu unosił się zapach kawy.

Marc siedział na stołku barowym, pochylony nad kuchenną wyspą, a Ludivine zajęła miejsce naprzeciwko niego i kroїła owoce wielkim nożem do mięsa.

– To mrożonki – zaznaczyła. – Nie mam czasu kupować świeżych, a kiedy już zdarzy mi się o tym pamiętać, często gniją, zanim je zjem...

– Mrożonki są w porządku.

Skończyła siekać i przełożyła mieszankę do dwóch misek, na wierzch wsypała po garści musli.

– Może nie jak w pałacu, ale lepsze to niż nic. – Upiła łyk kawy i spytała: – Czy wszystko, co opowiedziałeś mi wczoraj o swoim życiu, to prawda?

Marc ruchem głowy wskazał nóż leżący na blacie koło niej.

– Nie sądzisz chyba, że pogrywałbym sobie z tobą, kiedy masz w zasięgu ręki taką broń – zażartował. – Mówiłem ci wtedy w samochodzie: nie okłamię cię.

Ludivine wzruszyła ramionami, po czym znów schowała nos w filizance.

– Chodzi o mit tajnego agenta, niełatwo o nim zapomnieć – wyznała.

Zachichotał.

– Pracuję dla DGSI, dla wywiadu wewnętrznego, tak naprawdę nie jestem tajnym agentem. I jak wiesz, moją specjalnością są dżihadysty. Daleko mi do Jamesa Bonda...

Jego komórka zaczęła wibrować, a gdy spojrzał na wyświetlacz, natychmiast spochmurniał. Z zawstydzeniem zerknął na Ludivine, która wykonała gest w stronę werandy i ogrodu.

– No dalej, odbierz.

Tak zrobił i szybko wyszedł.

Ludivine obserwowała go przez wykuszowe okna. Słuchał z poważną miną, mówił niewiele.

Do jakiego stopnia był z nią szczery? Czy prowadził podwójne życie i gdzieś tam czekała na niego zaniepokojona żona?

*Nie, przestań, koniec z tym, teraz darzysz zaufaniem.*

Stanowiło to podstawę jej nowego układu z samą sobą. Nie mogła dłużej zamykać się jak ostryga. Ani wkładać pancerza. Musiała wierzyć w drugiego człowieka. A jeśli ostatecznie przysporzy jej to bólu, trzeba będzie jakoś go przetrwać. Na tym polega życie, takie prawdziwe. Obfituje w radości, trudy, zachwyty, rozstania, zdrady, tajemnice, cierpienia.

Trudno było się jednak wyzbyć dawnych odruchów.

Nie wiedziała, czy ona i Marc jeszcze się spotkają, nie miała ochoty poruszać tego tematu, wolała nacieszyć się porankiem, zobaczyć, czy mężczyzna zostanie do lunchu, może nawet do popołudnia, a dopiero potem na spokojnie zorientować się w sytuacji.

Ale kiedy zamknął za sobą przesuwne drzwi, spojrzął na nią z nietęgą miną.

– Co się dzieje?

– Muszę lecieć, nagły wypadek.

Ludivine skinęła głową. W milczeniu przetrwała cios, podczas gdy on kończył zapinać koszulę i szukał butów.

Złapał marynarkę, pogrążony w myślach, i odwrócił się do niej.

– Wiem, że nie jesteś na służbie, ale prawdę mówiąc, dobrze by było, gdybyś wybrała się ze mną – oznajmił neutralnym tonem.

– W związku z pracą?

Nawet nie mrugnął.

Ludivine rzuciła okiem na adidasy walające się w kącie.

– Dokąd jedziemy?

– Postaramy się zrozumieć, jak to możliwe, że jeden z najniebezpieczniejszych ludzi we Francji prześlizgnął nam się między palcami.

Marc wciskał gaz do dechy, na dachu jego nieoznakowanego samochodu błyskał kogut. Przemknęli obwodnicą jak rakietą. Pośpiesznie zaparkowali w uliczce w miejscowości Gennevilliers, gdzie czekał na nich człowiek w uniformie opatrzonym logo firmy wynajmującej ambulans. Nie padły żadne słowa powitania. Mężczyzna nie pytał Ludivine, kim jest, sam również się nie przedstawił, po prostu kazał im wsiąść do karetki i zajął miejsce za kierownicą.

– Kiedy do tego doszło? – spytał Marc.

– Wczoraj, podczas wieczornej modlitwy, tej ostatniej.

– Kurwa... Jak to możliwe?

– Wykołował nas, zmienił zwyczaje...

Ludivine, całkiem zagubiona, wtrąciła:

– O kim mowa? Mogę wiedzieć?

Kierowca zmarszczył brwi i spojrzął na nią, na chwilę zdejmując stopę z pedału gazu. Marc zajął się udzieleniem odpowiedzi:

– Pamiętasz Abdelmaleka Fissouma?

– To gruba ryba, wokół której skupiają się radykałowie. Facet, z którym przez krótki czas spotykał się Laurent Brach.

– Imam, którego mieliśmy pod ścisłym nadzorem...

– A mimo to wam się wymknął... – pojęła śledcza.

– Codziennie chodził do meczetu – kontynuował kierowca. – I codziennie wychodził z niego po ostatniej wieczornej modlitwie, po czym przeważnie wracał do domu. Stale sprawdzamy geolokalizację jego telefonu, jest pod całodobową obserwacją.

– Więc jakim cudem się ulotnił? – nalegał Marc.

– Nasi chłopcy czekali na niego przed budynkiem, ale od modlitwy minęły dwie godziny, a jego wciąż nie było. Skontaktowali się z naszym źródłem, gość potwierdził, że podczas modlitwy imam przebywał w meczecie, ale potem już go nie widział.

– Spali w tym aucie czy co? – zdenerwował się Marc.

– Nie, znam ich, są w porządku. Uważamy, że wyslizgnął się wraz z wiernymi. Stawiam wszystko, że się przebrał, żeby nie rozpoznali go w tłumie. Co poradzisz w takiej sytuacji? Celowo ich zgubił, co do tego nie ma wątpliwości, zostawił komórkę w meczecie, nasza ekipa znalazła ją, gdy weszła do środka.

– A u niego w domu?

– Rozstawiliśmy czujki. Nic.

– Konta bankowe?

– Od tamtej pory zero aktywności, wcześniej też nie wypłacił żadnej dużej sumy, w przeciwnym razie uderzylibyśmy na alarm.

– Czemu dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– Rzecz musiała przejść przez DW.

– Dyrektora wydziału – wyjaśnił Marc z myślą o Ludivine. – Nadal nadzorujecie wszystkie kontakty Fissouma?

– Tak, nikt nie zniknął, w każdym razie nikt ze znanych nam ludzi.

– Nie wierzę w to... Fissoum! – złorzeczył Marc. – Że też spośród wszystkich podejrzanych musieliśmy stracić z oczu akurat jego! Centralną postać!

Kierowca ciągnął:

– Wszyscy dwoją się i troją, prowadzimy poszukiwania na szeroką skalę, ale ostrożnie, nie możemy dać się zauważyć. Zrobiłem tak, jak prosiłeś, nasze źródło czeka, wie, że chcesz z nim pogadać. Tylko... nie przeszarżuj, okej? Nie możemy pozwolić, żeby się na nas wypiął, ma twarde poglądy, ale rozsądny z niego gość.

Karetka cięła szary krajobraz złożony z niekończących się bloków mieszkalnych, które zasłaniały słońce. Trawę na skraju drogi zastąpiły pasma gołej ziemi usiane petami, każdy skrawek muru pokrywało graffiti. Od czasu do czasu pojawiało się auto bez opon tkwiące na podpórkach, tu i ówdzie gromadziły się grupki młodych, z których połowa kryła twarze pod daszkami czapek lub w kapturach bluz. Ze wszystkich stron otaczała ich kolosalna masa dzielnicy Dalle d'Argenteuil. Przybrudzony, depresyjny smutek. Jakieś dzieci grały w piłkę na jezdni, zmuszając kierowcę, żeby zwolnił, podczas gdy na równoległej ulicy ścigały się dwa rozpędzone skutery.

Zaparkowali przed budynkiem o zniszczonej elewacji, a mężczyzna chwycił dwie bluzy

identyczne jak ta, którą miał na sobie, i wręczył pasażerom, żeby je włożyli.

– Poczekasz tu na nas – Marc zwrócił się do Ludivine. – To nie potrwa długo.

Nie pozostawił jej czasu na odpowiedź, zaklęła więc cicho, a tymczasem jej towarzysze zniknęli za drzwiami prowadzącymi do klatki schodowej, odprowadzani nieufnym spojrzeniem garstki nastolatków. Po co brał ją ze sobą, skoro miała jedynie pilnować auta?

Dwaj stróże prawa prędko wyłonili się z powrotem w towarzystwie około dwudziestoletniego chłopaka, który wspierał się na kuli, Marc dodatkowo przytrzymał go za ramię. Wpakowali go na tył pojazdu jak zwykłego pacjenta i ambulans odjechał tak szybko, jak się pojawił.

Kiedy od Dalle dzieliła ich już spora odległość, zatrzymali się na poboczu, Marc i Ludivine przesiedli się na tył, po czym karetka ruszyła w dalszą drogę.

Młody mężczyzna siedział na ławeczce, był podenerwowany. Nosił rzadką bródkę – widocznie włosy nie rosły mu zbyt bujnie – a spocone dłonie zostawiały wilgotne ślady na dresowych spodniach, na których bez ustanku je kładł.

– Hicham, powiem wprost – zaczął Marc. – Cała ta sprawa śmierdzi i wszyscy jesteśmy w nią uwikłani, ty również.

Chłopak potrząsnął głową, na jego twarzy pojawiły się pierwsze oznaki strachu.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego, robiłem, co mi kazaliście. Imam to nie moja wina!

Marc wskazał chłopaka palcem i nachylił się ku Ludivine.

– Hicham, którego tutaj widzisz, to nasze źródło. Chodzi do meczetu Fissouma i zna wielu niebezpiecznych kumpli imama. Jak dotąd zawsze był z nami szczery, dlatego tak dobrze mu się układa.

– Przysięgam! O niczym nie wiedziałem!

– Hicham, ja wiem, że ześlizgiwałeś się po stromym zboczu, i wiem też, że wróciłeś na dobrą stronę. Ale jeśli jakiś sędzia natknie się na materiały, które wygrzebaliśmy na twój temat...

– Skończyłem z tym, dobrze pan wie! Nie jestem już taki. Kocham moją religię, mojego Boga, ale wiem, że pobłądziłem.

– W obecnych czasach, Hicham, niewielu sędziów pozwoliłoby ci przebywać na wolności, za duże ryzyko. A wiesz, co twoi bracia robią w pierdlu gościom takim jak ty, którzy grają na dwa fronty...

Hicham pokręcił głową, przytłoczony.

– Przecież mówię panu...

Marc nagle podniósł głos:

– Przestań! Przestań nas robić w wała, do kurwy nędzy! Do takiej akcji musiał się przygotować! Nie mów, że niczego nie przeczuwałeś! Co robił? Mówił coś? Z kim go ostatnio widywałeś?

– Z nikim! Przysięgam! Nie zauważyłem nic dziwnego, zachowywał się jak zwykle! Klnę

się na życie mojej matki, nic nie wiem!

- Był tam podczas wieczornej modlitwy?
- Tak, mówię panu: postępował normalnie!
- Kto podszedł na koniec, żeby z nim pogadać?
- Wierni, to się często zdarza. Wysłuchał ich, coś doradził i wszyscy się rozeszli.
- On też? Widziałeś, jak wychodzi z meczetu?

Hicham z zawstyżeniem uniósł ramiona.

- Nie zwróciłem uwagi.

Marc walnął dłonią o ławkę, raczej w przypiływie frustracji niż gniewu.

- Niech to szlag... Każemy ci go śledzić, a ty nie zwracasz uwagi?
- Nie mogę cały czas deptać mu po piętach, bo mnie przyłapie! To ostrożny imam, wszystkich bywalców meczetu zna z imienia, nie widuje się wokół niego obcych twarzy! Wszystko uważnie śledzi tymi swoimi oczkami. Modlitwa dobiegła końca, wyszedłem, no i...

Marc westchnął.

- Z kim w tej chwili trzyma?
  - Pfff... Ciągłe z tą samą bandą.
  - Byli tam wczoraj wieczorem?
  - Tak.
  - Rozmawiali z nim przed albo po?
  - Nie, raczej nie.
  - Myśl, Hicham! Rusz głową! Jesteś pewien?
  - No... W sumie zastanawiam się, czy wręcz ich nie unikał.
  - Czemu tak sądzisz?
  - Nie wiem, takie odniosłem wrażenie. Teraz, gdy o tym myślę, powiedziałbym, że nie bardzo chciał się wczoraj z nimi widzieć.
  - Wydał ci się nerwowy?
  - Może trochę... W każdym razie nie wyglądał na mocno skoncentrowanego. Jakby myślał o czymś innym.
  - A dziś rano byłeś w meczecie na modlitwie o świcie?
  - Oczywiście. Oni też tam byli, jego banda... Ale ponieważ imam się nie zjawił, dużo czasu zajęły dyskusje, kto powinien poprowadzić modlitwę w jego zastępstwie.
  - Wyglądali na zaskoczonych, że go nie ma?
  - Tak. Nie byli zadowoleni. Myślę, że obwiniali policję. – Marc w zadumie oparł głowę o ścianę pojazdu. – Wszystko okej, odwieziecie mnie? – spytał Hicham z niepokojem.
- Głos Marca zabrzmiał dużo spokojniej, niemal chłodno, kiedy odpowiadał:
- Że niby karetka zabiera cię i niemal natychmiast odstawia z powrotem? I co jeszcze? To musi wyglądać wiarygodnie. Potrzymamy cię jeszcze z godzinę, a potem puścimy.

– Nikt mnie nie obserwuje.

– Taaa... Tak ci się zdaje. Wierz mi, ci goście to paranoicy pierwszej wody, już od jakiegoś czasu mają cię na oku, jeżeli nabiorą jakichkolwiek podejrzeń... Nie podejmę takiego ryzyka. Może będziesz nam jeszcze potrzebny.

– A właśnie, skoro o tym mowa, orientował się pan w sprawie karty pobytu dla mojego szwagra?

– Hej, myślisz, że wolno ci drażnić ten temat po tym, co się właśnie stało? Znajdź mi Fissouma, a zobaczę, co da się zrobić.

– Ale...

Marc wykorzystał postój na światłach, by otworzyć tylne drzwi karetki i przesiąść się z Ludivine do szoferki.

– Fissoum szykuje jakiś porąbany numer – oświadczył, upewniwszy się, że szyba za ich plecami jest podniesiona i Hicham ich nie słyszy. – Jeśli jego najwierniejsi akolici sądzą, że go aresztowaliśmy, to znaczy, że nikogo nie poinformował.

– Uważasz, że przejdzie do działania? – zaniepokoiła się Ludivine. – Przeprowadzi zamach?

– Nie, nie on. Niczego takiego nie robi, a przynajmniej nie dopuści się ataku na wielką skalę, który pozostawiłby mu tylko jedną drogę wyjścia. Do czegoś takiego nie dojdzie, bo nie wysłał do akcji swoich pomagierów. Fissoum to ideolog: rekrutuje, indoktrynuje, organizuje i tka sieć kontaktów, ale sam nie bierze udziału w operacjach, właśnie dlatego coś tu nie gra. Jego zniknięcie na pewno coś znaczy. To ważna figura dżihadystycznej propagandy we Francji, nie pozwoliliby sobie na jego utratę bez ważnego powodu.

– Jak wyjazd do Państwa Islamskiego? – podsunął kierowca.

– Po co? Nie rezygnowaliby z tak cennego atutu na miejscu. Nie, jest w tym coś, czego nie czają.

Marc zerknął na Ludivine.

– Myślisz o Laurencie Brachu? – odgadła.

– To zbyt nieprawdopodobne jak na zbieg okoliczności. On i Brach przez miesiąc spotykają się regularnie, w tym samym czasie w świecie radykałów zaczyna wrzeć, a później cisza na morzu, zrywają kontakt. Brach pada ofiarą morderstwa, a Fissoum znika ledwie dziesięć dni później. Nieprawdopodobne, mówię ci.

– Moim zadaniem jest znalezienie zabójcy Laurenta Bracha, przechodzącego przez ściany imama chętnie zostawię tobie.

Marc Tallec nerwowo zabębnił palcami o deskę rozdzielczą. Potrząsnął głową, podjąwszy jakąś decyzję.

– Jeśli Fissoum zniknął z taką łatwością, to znaczy, że miał świetnie opracowany plan. Domyślił się, że trzymamy go na muszce. Poczynił przygotowania. A zatem nie tylko ma nad nami przewagę czasową, ale też doskonale wie, jak unikać naszych radarów. Więc jeśli

nie zechce ponownie się pokazać, nie złapiemy go, chyba że wyjątkowo nam się poszczęści. To koniec. Cokolwiek szykuje, zyskał swobodę działania.

– Więc porzucasz sprawę Fissouma?

Marc intensywnie się w nią wpatrywał. W tej chwili nie miał w sobie nic z czułego i uważnego kochanka, niemalże ją przerażał.

– Skupimy się na jedynym człowieku, którego jesteśmy w stanie przyskrzynić: na kolejowym zabójcy. Bo mówię ci, z pewnością istnieje między nimi jakiś związek, chociaż na razie nie wiem jaki.

Brzemie odpowiedzialności okazało się ogromne.

Funkcjonariusze z WŚ byli przyzwyczajeni do radzenia sobie z presją w trakcie ważnych śledztw, wliczając w to dochodzenia szeroko komentowane przez wszechobecne media, tak natrętne, że trzeba było przenieść gabinet pułkownika na drugą stronę korytarza, by okna nie wychodziły na ulicę, skąd operatorzy kamer za pomocą zoomu próbowali czasem przez szybę dostrzec, co jest napisane na ściennej tablicy.

Ale tym razem zmagali się z presją innego rodzaju.

Pracowali ze świadomością, że każdy mijający dzień może być tym jednym dniem za dużo. Bali się włączyć telewizor czy radio, a nawet zajrzeć do Internetu, by nie zobaczyć wielkich liter układających się w słowa „zamach”, „terroryzm” czy „ofiary”.

To, ile mają czasu, stanęło nagle pod znakiem zapytania.

Podczas rozwikływania najbardziej ponurych spraw Ludivine mierzyła się z fantazjami seryjnych morderców, których należało zidentyfikować, zanim uderzą ponownie, ale tego rodzaju dewianci rzadko kiedy zabijali jedną osobę za drugą – między zbrodniami musiało upłynąć nieco czasu, żeby odczuli brak i znów wyruszyli na łowy. Miesiące, w najgorszym razie tygodnie.

Tym razem odczuwali ciężar każdej upływającej godziny.

Nie wiedzieli, jakie konkretnie zagraża im niebezpieczeństwo, i to było najgorsze. A może to tylko zasłona dymna, niewypał? Jednak w głębi duszy lękali się potwornej bomby.

Za namową koordynatora operacji kryminalistycznych Philippe'a Nicolasa żandarmi i policjanci zajmujący się w Nanterre programem SALVAC zgodzili się nadać wnioskowi Ludivine priorytet, a także wysłać śledczej kopie wszystkich akt, które analitycy mieli dopiero przejrzeć, żeby jej zespół mógł pracować nad nimi równolegle. Kobieta chciała, by działali szybko, ale niczego przy tym nie pominęli, nie przeoczyli żadnej, jakkolwiek nikłej, poszlaki, a doświadczenie nauczyło ją, że w takich sytuacjach liczba par oczu ma znaczenie.

W poniedziałek rano poszła do sali konferencyjnej po krzesło, umieściła je naprzeciwko własnego, po czym uprzątnęła biurko, by zrobić miejsce dla Marca. Gdy zauważyła, że na półce pojawiła się nowa zabawka z jajka niespodzianki, prawie się udławiła, ale w obecności kochanka wolała nie mówić nic na ten temat, zgromiła jedynie wzrokiem Segnona i Guilhema, którzy nie zrozumieli, o co jej chodzi.

Pliki spływały do skrzynki mailowej przez cały dzień.

Segnon, Guilhem, Marc i Ludivine rozdzielali każdy nowy pakiet między siebie. Kobieta



wielkimi literami wypisała na ściennej tablicy interesujące ich słowa kluczowe, każdy nietypowy szczegół składający się na podpis kolejowego zabójcy. Tym razem nie starali się znaleźć wszystkich charakterystycznych cech w pojedynczej teczce, lecz wyłuskać te zawierające choć jeden podejrzany detal. Wówczas uważnie studiowali cały opis zbrodni, by stwierdzić, czy można ją przypisać poszukiwanemu przez nich człowiekowi – jeśli uznawali, że tak, akta lądowały na stole Ludivine, uzdolnionej analityczki kryminalnej, a ona zagłębiała się w nie, rozkładała każdy element na czynniki pierwsze i podejmowała ostateczną decyzję.

Torturowane, okaleczone kobiety. Rozczłonkowani mężczyźni. Nieraz ledwie nastolatki. Gwałty pośmiertne. Wypatroszenia. Wymyślne przypadki duszenia za pomocą absurdalnie perwersyjnych przyrządów lub technik. Wszystko, co w jakiś sposób wiązało się z paznokciami, obciętymi włosami, czyszczeniem zwłok, obecnością detergentu, bliskością torów kolejowych, podejrzanym i pozbawionym naocznych świadków samobójstwem przez rzucenie się pod pociąg, okrutnym gwałtem w połączeniu z duszeniem... Lista była długa, lecz Ludivine nie chciała ryzykować. W nastawieniu Guilhema wyczuwała, że kolega pozostaje sceptyczny. Nawet Marc skłaniał się raczej ku hipotezie odsiadki, która tłumaczyłaby nazbyt długi okres nieaktywności w karierze zabójcy. Jednak nie wolno im było niczego pominąć. Musieli zbadać wszystko. A jeżeli nic nie znajdą, to samo w sobie będzie stanowiło ceną wskazówkę.

Podczas popołudniowej przerwy Segnon wykorzystał fakt, że znalazł się z Ludivine sam na sam w małym pomieszczeniu służącym im za kuchnię, gdzie koleżanka nalewała sobie kawy, i zagadnął:

– No to co się dzieje między tobą a Markiem?

Ludivine przez cały dzień obawiała się tego pytania. Segnon za dobrze ją znał, nie mógł tego przeoczyć.

– W jakim sensie? – naiwnie próbowała uniknąć odpowiedzi.

– Sadzasz go przy swoim biurku, mówicie sobie per „ty”. Nie wciskaj mi kitu, widziałem, jak rzucacie sobie te spłoszone spojrzenia! Cholera, Ludivine, spałaś z nim?

– Ciiiiii... Nie tak głośno! Bardzo cię proszę, nie praw mi morałów, jestem dużą dziewczynką.

– Tak, ale żeby z typem z DGSI... który na dodatek z nami pracuje? Masz talent do komplikowania sobie życia, nie powiem!

– Uspokój się, przecież się nie chajtamy, tylko spędziliśmy razem noc.

Segnon uniósł brwi.

– Już od miesięcy czekamy z Laëti, aż w końcu przygruchasz sobie faceta, wieki temu ustaliliśmy, że w tym wielkim dniu otworzymy szampana, ale kiedy w końcu do tego doszło, ty znalazłaś sposób, żeby mnie zestresować.

– Och, daj spokój, moja sytuacja nie jest aż tak beznadziejna. I proszę, nie mów o tym

Laëtiti, bo każe ci mnie porwać i przywieźć do was na kolację, żebym mogła wszystko jej opowiedzieć.

– Hej, znasz mnie, nie potrafię nic przed nią ukryć, a ona jest jak wykrywacz kłamstw, od razu się domyśli, nawet jeśli nic nie powiem. Masz przerąbane, biedactwo moje. Kurka wodna... Gość z DGSI! Popelnisz w życiu każde możliwe głupstwo!

Segnon chichotał.

Tego samego wieczoru do Ludivine zadzwoniła Laëtitia, która chciała wiedzieć wszystko, w najdrobniejszych szczegółach, nalegała więc zawzięcie, by Ludivine wpadła do nich na kolację. Żona Segnona nie miała sobie równych, gdy chodziło o wyciąganie z ludzi informacji, stało się to nawet tematem żartów w ekipie: jeśli podczas przesłuchania jakiś podejrzany uparcie milczał, wszyscy prosili Segnona, by zadzwonił po małżonkę. Ludivine została więc przemaglowana i – ponieważ między nią a dwojgiem przyjaciół nic nie było już tematem tabu ani powodem do zawstydenia – w detalach opisała swój upojny wieczór, co dobrze jej zrobiło. Laëtitia odczekała, aż Segnon pójdzie zanieść naczynia do kuchni, by zażądać bardziej intymnych szczegółów. Ludivine wróciła do domu w poczuciu błogości, co od dawna jej się nie zdarzyło. Nareszcie miała zrównoważone, kwitnące życie osobiste.

Tymczasem w życiu zawodowym prowadziła wyścig z czasem i stawiała czoło horrorom.

Tego wieczoru wahała się, czy nie wrócić do koszar i nie kontynuować analizy, ale zakazała sobie tego. Wszyscy pozostali śledczy potrafili znaleźć złoty środek, w biurze z pełnym oddaniem angażowali się w swoje obowiązki, lecz odczuwali tylko lekki niepokój, gdy na powrót wcielali się w rolę głowy rodziny lub kochającej matki. Na wszystko była odpowiednia pora, Ludivine nie mogła dłużej pozwalać, by praca pochłaniała ją do tego stopnia, że przestawała istnieć jako osoba. Nie mogła cały czas myśleć o potencjalnych ofiarach.

Jej własne życie również się liczyło.

Wieczorem następnego dnia Marc zaproponował, że wpadnie do niej i coś razem ugotują, a ona zgodziła się z szerokim uśmiechem na ustach. Kochali się jeszcze przed deserem, po czym Marc został na noc i spał u jej boku.

W środę Ludivine promieniała.

Mimo twarzy wykrzywionych cierpieniem, oczu znieruchomiałych w momencie śmierci, mimo krwi.

Przeglądali teczkę za teczką, lecz nie znajdowali niczego rozstrzygającego.

Aż do późnego popołudnia, kiedy Guilhem podniósł rękę, jeszcze doczytując informacje zawarte na leżących przed nim kartkach.

– Myślę, że coś mam – oznajmił.

Na te słowa wszyscy wyprostowali się na krzesłach, a ich spojrzenia pomknęły w jego stronę.

– Anne Tourberie, trzydzieści dwa lata – streszczał Guilhem – znaleziona martwa

w stawie de Saint-Quentin przed zaledwie rokiem. Prawdopodobnie została zgwałcona.

– Czemu zwróciła twoją uwagę? – chciała wiedzieć Ludivine.

– Tuż obok, w Trappes, mieści się centrala techniczna kolei państwowych – przypomniał sobie Segnon.

– Nie, ta sprawa nie ma nic wspólnego z torami, żadnych machlojek z włosami czy paznokciami, nic z tych rzeczy... Uderzyła mnie jednak przyczyna śmierci: uduszenie za pomocą plastikowej opaski zaciskowej, którą pozostawiono na zwłokach. Sprawca wrzucił ofiarę do wody, jeszcze zanim skonała, miała wodę w płucach.

Ludivine odchyliła się w tył na fotelu, z namysłem gryząc długopis.

– Czas mógłby się zgadzać – przyznała. – Oraz fakt, że motywem ataku był gwałt, no i opaska zaciskowa jako narzędzie zbrodni. Ale cała reszta dość mocno odbiega od podpisu naszego zabójcy.

– Sektor geograficzny – rzucił Segnon. – To na południowy zachód od Paryża, a jednak wciąż na zachód, nie tak daleko stamtąd do miejsc, gdzie mieszkały dwie pierwsze ofiary. Jeśli to typ o zapędach terytorialnych, miałyby to jeszcze więcej sensu.

Ludivine zgodziła się z nim.

– Ściągnę kompletne akta, a na razie kontynuujemy. Może trafimy na inne przypadki. Skoncentrujmy się na wszystkich gwałtach powiązanych z duszeniem, nawet gołymi rękami, nigdy nie wiadomo, może chciał przetestować, jak zadziała na niego bezpośredni kontakt fizyczny w chwili uśmiercania ofiary, czy mu się to spodoba. Choć sama wątpię w taką ewentualność.

Nazajutrz rano Ludivine za pomocą magnesów przyczepiała właśnie zdjęcia z miejsca zbrodni do ścieralnej tablicy, kiedy do ciasnego pomieszczenia pachnącego piżmową świecą wszedł Marc.

– Myślisz, że to jego dzieło? – spytał, podchodząc, by ją pocałować.

Ten spontaniczny buziak zaskoczył Ludivine, ale chętnie go przyjęła.

– Nie mogę się zdecydować – wyznała, odyskując koncentrację. – Śledztwo wykazało, że to oportunistyczna zbrodnia. Anne Tourberie wybrała się na wieczorny spacer nad stawem, w okolicy nie było prawie żywej duszy. To ogromny zalesiony teren, gdzie łatwo pozostać niezauważonym. Tam została napadnięta, z całą pewnością zgwałcona, mimo że długi pobyt w wodzie nie pozwolił kategorycznie tego stwierdzić, po czym sprawca zacisnął na jej szyi plastikową opaskę i wepchnął ją do wody, tak że jednocześnie dusiła się i topiła. Okrzemki odkryte w jej płucach są identyczne z tymi żyjącymi w stawie, z którego ją wyłowiono, co dowodzi, że to tam nastąpił atak.

– Sporo zmian w stosunku do dwóch poprzednich morderstw.

– Tak. Nie porwał jej, nie odprawił żadnego „rytuału ochronnego”, jak je nazywam, mam na myśli to, że nie starał się zmyć ewentualnych śladów, miejsce znalezienia ciała okazało się też miejscem zbrodni, krótko mówiąc, nic tu się nie zgadza ze sposobem działania

kolejowego zabójcy. Poza opaską zaciskową. Ale tym razem zostawił ją na szyi ofiary, czego nigdy nie robi!

– Śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów?

– To najzwyczajsza opaska, można je kupić wszędzie, w tym sprowadzić przez Internet z zagranicy, więc ten trop nic nam nie dał. Brak też nadających się do użytku odcisków czy śladów na ziemi – w nocy przed jej znalezieniem mocno padało. Oczywiście żadnego DNA, to znaczy, owszem, gliniarze pobrali jedną próbkę z kawałka sznura, ale nie odpowiadała nikomu w bazie. Nad staw można się dostać z płatnego parkingu, więc policjanci uważnie przyjrzelili się wszystkim autom wjeżdżającym na jego teren i wyjeżdżającym z niego w dniu śmierci Anne, a także dzień wcześniej i nazajutrz po niej. Pokusili się nawet o porównanie nazwisk, na które zarejestrowano pojazdy, z listą przestępców seksualnych. Nic, zero.

Marc zbliżył się do tablicy, by przestudiować zdjęcia.

Anne Tourberie, już po wyłowieniu ze stawu, leżała na plecach wśród trawy, na mokrej koszulce widniała ogromna biała kotwica, dolna połowa ciała została całkiem obnażona. Wyglądała nienaturalnie blado. Brutalność śmierci pozbawiła ją wszelkiego piękna. Nie była już kobietą, a jedynie trupem, z całym przerażającym ładunkiem, jaki niósł ze sobą ten fakt. Wargi miała rozchylone, powieki częściowo uniesione, jakby znieruchomiła w pół słowa. Ciemna wąska linia na jej gardle tak głęboko wżarła się w ciało, że nie sposób było stwierdzić, na co się właściwie patrzy. Inne zdjęcia, zbliżenia, pozwalały dostrzec plastikową opaskę zaciskową, która rozerwała skórę i zagłębiła się w tkankę.

Otaczały ją dziesiątki zadrapań, niektóre całkiem pokaźne.

– Wyrwała sobie kilka paznokci, próbując wsunąć palce pod spód – wyjaśniła Ludivine z ponurą miną. – Te cholerstwa są straszne: jeśli ściągniesz na tyle, że zaskoczy pierwszy ząbek, nie ma już odwrotu, trzeba przeciąć plastik, to jedyny sposób, żeby się ich pozbyć. Są też wytrzymałe. Bez nożyczek i odrobiny siły nie ma co marzyć.

– A ten śmieć zaciska najmocniej, jak się da.

– Żeby to osiągnąć, musi się zaprzeć o plecy ofiary, końcówka pętli znajduje się na karku dziewczyny, to też się zgadza z naszym mordercą. Łapie je jak zwierzęta na lasso, a kiedy zapięcie zaskoczy, ciągnie z całych sił, wbijając kolano między ich łopatki.

Ludivine zacisnęła szczęki, wyobrażając sobie męczarnie, którym poddano te kobiety.

– Więc jakie jest twoje zdanie? – zapytał Marc. – On czy nie on?

– Chronologia pasuje, to się stało rok po Hélène Trissot i rok przed Laurentem Brachem, czyli stanowiłoby brakujące ogniwo świadczące o tym, że nie przestał zabijać, choć i tak dziwi mnie, że zwlekał tak długo. Guilhem ma rację co do metody, która mimo wszystko dziwnie przypomina jego sposób działania. No i jest gwałt jako motyw popełniania zbrodni. Ale cała reszta... Nie więził jej, a sądziłam, że to część jego fantazji: posiadanie ofiary na własność, w spokojnym, odludnym miejscu, możliwość robienia z nią, co mu się żywnie podoba, najpewniej liczne gwałty w krótkim przedziale czasowym, aż się nasyci, a wtedy

zabija. Tu zaś mamy błyskawiczny atak. Widzi, gwałci, zabija, zostawia ciało. Zaskakujące jak na kogoś tak ostrożnego. Gdzie się podziały te wszystkie rytuały ochronne?

– Woda?

– Tak, pewnie uważał, że zmyje ślady, ale to by oznaczało przeobrażenie z obsesjonata w dość beztróskiego gościa. Wcześniej zadawał sobie tyle trudu i nagle mu się odechciało? Dziwne. Zwłaszcza fakt, że tym razem zostawił swoje DNA...

– Ach tak, na sznurze... To też odbiega od jego zwyczajów. Zwykle krępował je tylko opaskami. Czemu zmienił i to? Zobaczmy.

Marc chwycił akta i szybko przekartkował je w poszukiwaniu interesującego go sprawozdania.

– Czytałaś raport na temat tego kawałka sznura? – zapytał.

– Nie, jeszcze nie, widziałam tylko, że nie pomógł pchnąć sprawy do przodu.

Mężczyzna zamachał kartkami przed twarzą Ludivine.

– Znaleźli na nim psią sierść!

Śledcza się wyprostowała.

– Bo wcale nie użył go do związania ofiary... To smycz, którą ze sobą nosi! Miałam rację! To jego metoda, by się do nich zbliżyć!

Marc w skupieniu mnożył hipotezy:

– Czy mógł ją sobie upatrzeć już wcześniej? Mówiłaś, że to łowca, może śledził Anne przez kilka dni lub tygodni, żeby wyrobić sobie pojęcie o jej zwyczajach.

– Możliwe. Gliniarze twierdzą, że często tam spacerowała, zwykle po pracy.

– Czym się zajmowała?

– Była asystentką dyrektora w niedużej firmie sprzedającej akcesoria samochodowe. Żadnego związku z poprzednimi dziewczynami.

Ludivine i Marc wbijali wzrok w fotografie, zawieszeni gdzieś między przerażeniem a zadumą. Segnona miało nie być przez cały ranek, pochłaniały go dalsze procedury prawne związane z aresztowaniem pedofila, a Guilhem na prośbę Ludivine wybrał się do prokuratora z misją przekonania go, aby przyśpieszył ekshumację dwóch pierwszych ofiar, powołując się na list od kapitana Forsnota, który potwierdzał, że w medycynie sądowej dokonał się postęp, wobec czego istnieje szansa na znalezienie śladów DNA gwałciciela.

– W sposobie działania zaszła tak wielka zmiana – powtórzyła Ludivine – że trudno mi zrozumieć, jakimi odrażającymi ścieżkami podążały jego fantazje, że w ciągu zaledwie roku uległy tak znaczącej modyfikacji. A jeśli było więcej ofiar? I ewolucja następowała stopniowo?

– Wszystko przegrzebaliśmy, wiesz, że nie było innych. Nie pochował ich też na tyłach ogródka, on tak nie postępuje, on się ich pozbywa... Ktoś by je znalazł.

– Więc czemu przez rok nie zabijał, a potem radykalnie się zmienił? – rzuciła ze złością Ludivine, która nie znosiła czuć się do tego stopnia zagubiona.

Na te słowa Marc zrobił krok w tył i przechylił głowę, by lepiej widzieć zdjęcia, szczególnie to, na którym ciało Anne uwieczniono w całości.

Ponownie się zbliżył.

– O kurde – wymamrotał pod nosem.

– Co? Co zobaczyłeś?

Wskazał koszulkę ofiary i widniejącą na niej ogromną kotwicę.

– A jeśli nie upatrzył jej sobie wcześniej? – odezwał się cicho. – Jeśli wziął ją na cel pod wpływem impulsu, bo ujrzał coś, co skłoniło go do działania?

– Co na przykład?

Marc położył palec na dolnej części kotwicy, tak że wystawały spod niego jedynie centralna pionowa linia przecięta u góry prostopadłą kreską, trzon i poprzeczka.

– Jeżeli założyła ręce na piersi, zakrywając fragment, który teraz zasłaniam, to co było widać?

– No cóż... krzyż – odparła Ludivine.

Marc skinął głową.

– Przed chwilą użyłaś właściwego słowa. Zabójca się zmienił, ponieważ się *zradyzalizował* – oznajmił grobowym głosem.

Marc krążył nerwowo po gabinecie.

– To dlatego przez rok nie zabijał! – tryumfował. – Przechodził psychologiczną przemianę. Powstrzymywała go siła ważniejsza niż jego fantazje, a mianowicie religia.

– Nie jestem pewna, czy nawrócenie wystarczy, by taki człowiek wrócił na dobrą drogę – sprzeciwiła się Ludivine. – To, co popycha go do zabijania, jest potwornie potężne, silniejsze od niego, ta żądza tkwi w centrum jego systemu myślowego, a kiedy wybucha, on nie może się powstrzymać, to wykracza poza pojęcia dobra i zła czy jakiegokolwiek prawa.

– Mniejsza z tym, czy się nawrócił, czy doznał objawienia i zaczął gorliwiej traktować dawno wpojone wierzenia, w każdym razie postanowił poświęcić swoje życie Allachowi. Jasne, że musiał ze sobą walczyć, może nawet gdzieś się zamknął i ogłupiał tabletkami albo okaleczał, żeby się uspokoić, jakoś się jednak trzymał. Przez rok. Podążał ścieżką Boga, prawdopodobnie posuwając się do ekstremum, tak jak przy popełnianiu zbrodni. To człowiek dręczony obsesją, masz rację, a gdy jest o czymś święcie przekonany, jego zachowań nie ogranicza zdrowy rozsądek. Odkrył islam i wiara pomogła mu się pohamować.

Ludivine przysiadła na rogu biurka.

– I wszystko to z powodu kotwicy, którą przypadkiem można wziąć za chrześcijański krzyż?

– Nie tylko z tego powodu, lecz z wielu powodów razem wziętych. To ma sens! Spójrz: oddaje się Bogu, nieważne jak i dlaczego, to się zdarza codziennie, i wtedy pojmuje, że rządzi nim siła wyższa, która zabrania mu gwałcić i zabijać, co robił do tej pory, próbuje więc się podporządkować. Tyle że poświęca się temu z taką samą pasją, jaką wcześniej wkładał w morderstwa. Jego skrzywienie się przemieściło, nie koncentruje się już na gwałcie, ale na służbie Bogu.

– Jego skrzywienie jest wynikiem błędnie skonstruowanej, wypaczonej osobowości, on jest swoim skrzywieniem, które uosabia to, co źle w nim funkcjonuje, nie może go kształtować według własnego widzimisię, to tak nie działa.

– W rzeczy samej, nadal pozostaje tym samym zbrodniarzem, którym był wcześniej, tyle że całą tę złowieszczą energię, którą normalnie przeznaczał na odtwarzanie w głowie swoich fantazji, zużywa teraz na pobożne oddanie. To czyni go coraz bardziej radykalnym, także w kwestiach wiary! Oczywiście nie wyleczył się ze swoich seksualnych żądz i przypadek Anne dowodzi tej dwoistości! Z pewnością nie zamierzał jej zabić, ale nagle natyka się na

nią, widzi ją z rękami założonymi na piersi, bierze kotwicę za chrześcijański symbol, a wtedy dwa aspekty jego radykalizmu zderzają się ze sobą: fanatyk widzi niewierną zasługującą na najsurowszą karę, zboczeniec dostrzega znak zesłany mu przez Boga, by obaj mogli na tym skorzystać. Dlatego gwałci dla siebie i zabija dla Boga.

– Miał przy sobie opaskę zaciskową?

– Czemu nie? Żądza musiała dręczyć go już od dawna, stopniowo narastała, nękała go, w głębi duszy czuł, że wkrótce ulegnie, pozwalał sobie na coraz więcej swobody. Najpierw tylko błdził, wypatrując ofiar. Potem chował do kieszeni opaskę, ot tak, nadal zabraniał sobie robić z niej użytek, ale sam fakt go podniecał. Czuł, że niedługo nawali. Wystarczy jakiś znak. Coś, co sam uzna za znak.

Ludivine przyglądała się Marcowi z fascynacją.

– Byłby z ciebie niezły profiler.

– Mój zawód też opiera się na umiejętności wejścia w buty radykałów, dzięki czemu mogę zrozumieć ich sposób myślenia i, w miarę możliwości, zyskać nad nimi drobną przewagę.

– Więc gwałci ją, zdaje sobie sprawę, że posunął się za daleko, i panikuje? To nie w jego stylu...

– Nie, zabija ją i bierze za to pełną odpowiedzialność. Ale oddał się w opiekę Bogu. Ufa mu. Nie musi już więc czyścić zwłok ani zacierać śladów za pomocą tych swoich sztuczek. A czy wiesz, co w tradycji muzułmańskiej oznacza woda? Oczyszczenie. Oczyszcza swoją ofiarę, przez co sam również się oczyszcza. Po dokonaniu zbrodni z pewnością się modli, tam, na miejscu.

Ludivine kiwnęła głową. Teraz to ona nieśmiało wkraczała na teren swojego rozmówcy.

– Radykalizuje się – przyznała – i w ten sposób zaczyna spotykać ludzi, którzy znają Laurenta Bracha. Ale dlaczego w jego przypadku odprawia rytuały ochronne? Po co wraca do starych metod, skoro przeszedł ewolucję?

– Ponieważ po morderstwie Anne Tourberie gliny prawie go dopadły. Bóg go ochronił, ale w pewnym momencie paliło mu się pod dupą i dobrze o tym wie. Więc jeśli znów ma popełnić zbrodnię, to tylko wtedy, gdy Bóg da mu znak. Co więcej, powinien wówczas zachować ostrożność, tak jak wcześniej. Nie znalazł się na tej ziemi przypadkiem, nie na darmo zyskał wiarę, w jego oczach wszystko ma jakiś sens.

Ludivine zgodziła się i podjęła wątek, głośno myśląc:

– Poznaje fanatyków swojego pokroju, a pewnego dnia... Laurent Brach to zlecenie. To dlatego zabił męczycznę, dlatego gwałt nie był motywem. Jego nowi przyjaciele kazali mu to zrobić.

– Handel narkotykami służy nieraz finansowaniu terroryzmu, wiemy o wielu małych komórkach, które w ten sposób zdobywają fundusze. Jeśli tak było także w tym przypadku, nie mieliby żadnego problemu z dostarczeniem mu znalezionej na miejscu plecaka z prochami, jedynie po to, by skierować nas na fałszywy trop.



Ludivine powoli wypuściła powietrze, dłonie złączyła za głową.

– A więc wszystko wiązałoby się z terroryzmem – rzuciła, ledwie otwierając usta.

– Psychopata, który zaczął pracować dla fanatyków religijnych – podsumował Marc.

Nagle do Ludivine dotarło, co to oznacza dla niej.

– Nie ma mowy, żebyś wysłał mnie na ławkę rezerwowych. DGSI nie odbierze mi tej sprawy. Brach to *mój* trup i to *ja* powiązałam go z tymi dwiema dziewczynami. Nie dam się odsunąć. WŚ zostaje u steru!

Marc kiwnął głową.

– Z waszą pomocą będę pracował szybciej i wydajniej, ale w tej chwili zachowaj te wnioski dla siebie. W przeciwnym razie wmiesza się w to C1, sekcja antyterrorystyczna paryskiej prokuratury, a SDAT przejmie sprawę.

Ludivine uświadomiła sobie, jak skomplikowana sieć rozmaitych służb oplata ich kraj – DGSI, SDAT, sekcja antyterrorystyczna prefektury paryskiej, wojskowe DRSD, BLAT, nie wspominając nawet o DGSE – i zadała sobie pytanie, jak można działać przy tylu drobiazgowych rozgraniczeniach, z tyloma pomniejszymi sporami i zatargami dotyczącymi terytorium oraz zakresu obowiązków. W teorii współpracę koordynowano na poziomie ministerialnym, ale wiedziała, że w praktyce, w terenie, kooperacja wcale nie jest całkowita. Zdała sobie sprawę, że w tej chwili sama stanowi tego przykład. Czy była najbardziej kompetentną osobą do dalszego zarządzania śledztwem? Osobiście tak właśnie uważała. Przyczyniała się do tego świetna znajomość całej dokumentacji oraz to, jak sprawnie szło jej współdziałanie z Markiem.

– Myślisz, że coś szykuje? – spytała cichym głosem, w którym pobrzmiewała niepewność.

Marc wbił w nią spojrzenie.

– Mam nadzieję, że nie, ale zniknięcie Fissouma nie jest normalne. Powinniśmy jak najszybciej dowiedzieć się na ten temat więcej – dodał i przełknął ślinę.

Ludivine dostrzegła, że jego też przepełniają wątpliwości.

Ośrodek Nauk Sądowych Żandarmerii Narodowej, Pontoise.

Ludivine pozdrowiła mężczyznę, który wszedł do długiej sali. Generał de Juillast był podniesioną do potęgi kopią kapitana Forsnota: jeszcze wyższy, bardziej wysuszony, o niemal przezroczystych oczach, jeszcze szerszym uśmiechu i śpiewnym akcencie z południowego zachodu Francji. Sprawował obowiązki szefa PJGN, ale Ludivine szanowała go niezależnie od pełnionej funkcji, ze względu na jego reputację. Kształcił się w słynnym instytucie kryminologii w Lozannie, urzędował kolejno w niemal wszystkich wydziałach IRCGN i należał do tych niezwykle kompetentnych zwierzchników, którzy znali pracę w terenie, w przeciwieństwie do swych licznych poprzedników, karierowiczów, którzy wydawali rozkazy, choć sami nigdy nie ubrudzili sobie rąk. Poważano go i ceniono.

Jego legendarna jowialność dodała nieco onieśmiałej Ludivine pewności siebie.

– Forsnot uprzedził mnie, że się zjawicie, witam serdecznie! Uważnie śledzę pani karierę, pani porucznik, i muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem.

Kobieta poczuła, że rumieni się po same uszy.

– Panie generale...

– Tak, tak, mówię poważnie. Znalazłoby się dla pani miejsce na trzecim piętrze, w Centralnym Biurze Informacji Kryminalnych, dział nauk behawioralnych. Nigdy pani o tym nie myślała? Pracują w dwuosobowych zespołach, funkcjonariusz policji sądowej z psychologiem, mają zasięg ogólnokrajowy. Proszę się nad tym zastanowić na przyszłość!

Gdy de Juillast mówił, prawie się śmiał, jego akcent okraszał każde wypowiedziane zdanie nutką dobrego humoru. Kontrast między okazywaną przez niego radością życia a ciężącymi na nim obowiązkami zdawał się ogromny. Bezpośrednia propozycja dołączenia do jego oddziałów na chwilę oszołomiła Ludivine, która zaskoczyła samą siebie, naprawdę ją rozważając. Czyżby któregoś dnia miała budować swoją przyszłość tu, w tych murach? Ta myśl nawet jej się spodobała.

Wszędzie wokół najróżniejsi agenci stukali w klawiatury i przechwytywali dane w miękkiej ciszy wytłumionych obudów komputerowych. Wnętrza były nowoczesne, niemal futurystyczne.

Generał zwrócił się ku olbrzemiemu telewizorowi, do którego podłączono laptopa.

– W oczekiwaniu na przybycie prokuratora odpowiedzialnego za waszą sprawę chciałbym wam zaprezentować nasze nowe narzędzie – ogłosił z dumą. – Analiza Decyzyjna, tak się nazywa.

Gestem polecił umundurowanemu żandarmowi, który klepał w klawisze komputera, by przejął pałeczkę. Na ekranie przed Ludivine i Segnonem wyświetliła się mapa Francji. Na niej pojawiły się zielone, niebieskie, żółte i czerwone plamy.

– Zebraliśmy wszystkie informacje na temat przestępstw popełnionych w ostatnich sześciu latach i umieściliśmy w bazie danych programu. Sklasyfikowaliśmy je ze względu na typ: włamanie, napaść seksualna, kradzież pojazdu i tak dalej. Na tej podstawie i za pomocą algorytmów stworzonych specjalnie w tym celu nasza Analiza Decyzyjna opracowuje krzywą zdarzeń w czasie, co więcej, przygotowuje prognozę wszelkich potencjalnych incydentów dla poszczególnych sektorów.

– Program przewiduje? – upewnił się Segnon.

– Jak najbardziej! – potwierdził z entuzjazmem generał. – Analizuje przestępczą dynamikę i sporządza mapę, na której zaznacza prawdopodobieństwo konkretnych zająć w danej strefie. W przypadku przestępstw sezonowych jest to dość oczywiste, ale wyniki niezwykle przydają się w bieżącym zarządzaniu personelem brygad. Jeśli dowódcy zauważą na przykład, że program przewiduje wzrost włamań w takim a takim sektorze, w tym czy tantym okresie roku, mogą prewencyjnie zwiększyć liczbę patroli.

Żandarm przybliżył mapę, na której ukazało się kilka wiejskich gmin. Niektóre nazwy otoczone były zielonymi aureolami, lecz w jednym miejscu żółty kleks świadczył o zwiększonej aktywności przestępczej.

– Wkrótce dorzucimy dane meteorologiczne, ponieważ wiadomo, że na działalność kryminalną wpływają na przykład fale upałów, podobnie jak godzina, o której zachodzi słońce, i będziemy stopniowo dodawać coraz więcej kryteriów, by zwiększyć precyzję narzędzia.

– To jakieś science fiction – wymamrotał Segnon.

De Juillast odsłonił w uśmiechu wszystkie zęby, dumny z dzieła swoich podwładnych.

– Nie, to żandarmeria dwudziestego pierwszego wieku!

Ludivine rozmyślała o tym, co właśnie zobaczyli, a także o wcześniejszych rewelacjach kapitana Forsnota dotyczących kolejnych etapów rozwoju nauk śledczych, genetycznego portretu pamięciowego, izotopów... W ciągu zaledwie dekady ich zawód przejdzie błyskawiczną ewolucję. Wkrótce obudzą się w świecie, w którym komputery będą dysponowały tyloma parametrami, że z wyprzedzeniem zdołają ustalić, gdzie dojdzie do części wykroczeń, w świecie, w którym przestępcy będą musieli golić całe ciało, żeby nie zostawić po sobie choćby włoska, i w którym ledwie kropla potu czy śliny wystarczy, by dowiedzieć się o sprawcy wszystkiego, a nawet zrekonstruować jego twarz na ekranie komputera. Gdzie w tym wszystkim miejsce dla śledczych? Ogarnęły ją sprzeczne uczucia, bo z jednej strony bała się, że staną się zbędni na najważniejszym etapie całego procesu, z drugiej zaś zdawała sobie sprawę, że zmniejszenie wskaźnika przestępczości stanowi w ich fachu nadrzędny cel.

Zjawiła się sekretarka, która oznajmiła przybycie prokuratora. Ludivine, Segnon i Forsnot przeprosili generała i przeszkloną kładką przedostali się do sąsiedniego budynku, siedziby IRCGN, po czym zeszli na najniższy poziom. Po drodze minęli trzech robotników ściągających podwieszany sufit, u którego dyndały kable.

– Przepraszam za ten bałagan – usprawiedliwił się kapitan. – Nowoczesność ma to do siebie, że stale trzeba coś dostosowywać, właśnie dokładamy okablowanie informatyczne.

Jeden z mężczyzn przesunął się, by ich przepuścić, i przywitał się uprzejmie.

*Czaszka ogolona jak u zabójców z przyszłości*, pomyślała Ludivine na jego widok. No proszę, zaczęło się: już opiera się na swoich wcześniejszych refleksjach. Czy nie w tym właśnie przejawiają się ograniczenia nauki? Człowieka nie można skazać wyłącznie na podstawie niekwestionowanych cech charakterystycznych, liczą się też fakty. To zawsze pozostanie w gestii śledczego – nurzanie się w tym, co ludzkie.

– Uczestniczyliście już u nas w autopsji? – zagadnął kapitan.

– Nie, u was nie – odparła Ludivine.

– Spodoba wam się.

– Nie byłbym tego taki pewien... – mruknął Segnon, idąc korytarzem wystarczająco szerokim, by mogły nim przejechać nosze na kółkach.

Drzwi otwierały się automatycznie, niemal bezszelestnie, gdy tylko oficer przytykał do czytnika swoją kartę dostępu. Mijali kolejne laboratoria z wyposażeniem najnowszej generacji. Budynek zaprojektowano tak, by pracownicy mogli na miejscu poradzić sobie z sytuacją awaryjną każdego rodzaju, łącznie z najgorszymi kataklizmami.

– W razie potrzeby zmieścimy tu nawet sześćset ciał – oznajmił Forsnot. – Dysponujemy pojemnikami chłodzącymi. Kierowaliśmy się rozmiarami Airbusa A380. Uznaliśmy, że musimy być gotowi, by stawić czoło dramatycznym skutkom katastrofy największego pasażerskiego środka transportu na świecie.

– Będę o tym pamiętał podczas następnego lotu – rzucił Segnon ironicznie.

Dotarli do sali, w której centralne miejsce zajmował duży owalny stół otoczony imponującymi fotelami. Pośrodku migotały dwie konsole usiane przyciskami i pokrętłami, a na ścianach zamiast okien zamontowano ekrany.

Drugimi drzwiami wszedł do środka niski człowiek w okularach i skromnym garniturze, z włosami zaczesanymi starannie na bok. Prokurator Bellocq.

– Niech się państwo nie spodziewają podziękowań za ściągnięcie mnie tutaj – odezwał się, a śledczy nie potrafili stwierdzić, czy to prawdziwy wyrzut, czy przyjacielski docinek.

– Dziękuję, że zgodził się pan na ekshumację – odrzekła Ludivine.

– Nie pozostawiła mi pani wielkiego wyboru! Tak czy siak, dziś wieczorem sprawa utraci status pilnej i od tej pory wszelkie decyzje będzie podejmował sędzia pomocniczy. Mnie przez większość czasu trzymali państwo w niewiedzy. Tak, tak, nie jestem głupi. Przebieg pani służby, pani porucznik, skłonił mnie do zaakceptowania pani prośby, ale jeśli mogę

sobie pozwolić na udzielenie pewnej rady: proszę więcej tego nie robić i znać swoje miejsce, bo jeśli będzie pani odcinać sędziego od informacji, sprawy mogą przybrać nieciekawy obrót.

Ludivine, mimo niezadowolenia, posłała mu uprzejmy uśmiech, a gdy spojrzenia jej i Segnona się spotkały, zauważyła, że kolega podziela zdanie prokuratora. Nie podobał mu się sposób, w jaki się to wszystko odbywało.

Kapitan Forsnot zajął miejsce przy konsoli, zaprosił pozostałych, by usiedli, i rozdał zestawy słuchawkowe z wbudowanym mikrofonem, które wszyscy włożyli.

– To... nie bierzemy udziału w autopsji? – zdziwiła się Ludivine, której głos docierał teraz do każdego z obecnych przez słuchawki.

Ekran rozświetliły się, jakby ktoś odsłonił żaluzje. Wszystkie pokazywały to samo pomieszczenie, tyle że pod różnymi kątami: w wykończonej na biało sali stal nierdzewna połyskiwała w jasnym świetle lamp bezcieniowych. Tuż obok siebie stały dwa stoły sekcyjne.

– Owszem, stąd – wyjaśnił kapitan. – W pokoju znajduje się kilka kamer, które mogą kontrolować. Mamy oczywiście zoom i mikrofony. Lekarz sądowy będzie na bieżąco zdawał sprawę z tego, co robi, i wszystko zostanie nagrane. Dostaniecie płytę CD z przebiegiem całej operacji, łącznie ze zdjęciami.

Ludivine wytrzeszczyła oczy.

– W życiu czegoś takiego nie widziałam.

– Jako jedyni we Francji dysponujemy takim sprzętem. Uwaga: gdy raz się tego zakosztuje, trudno potem zgodzić się na mniej!

Na wizji pojawił się lekarz w towarzystwie asystenta. Ten drugi zniknął w sąsiednim pomieszczeniu i wytoczył z niego na wózkach dwa ciała, po czym przeniósł je na stoły sekcyjne.

– Oba poddano całościowemu prześwietleniu – poinformował Forsnot. – To również część procedury, którą często tu stosujemy. Sami wiecie, że pod koniec sekcji zostajemy nieraz z krwawą miazgą, no cóż, skany pozwalają z wyprzedzeniem stwierdzić, co nas czeka. Na przykład gdy usiłujemy znaleźć fragmenty pocisków w organach. Dzięki zdjęciom lekarz sądowy wie przynajmniej, gdzie ich szukać, i nie musi niepotrzebnie krajać wszystkiego na kawałki.

Zaświecił się jeden z bocznych monitorów, ukazując wyniki prześwietlenia zwłok. Różowe ciało na czarnym tle. Obrazy pojawiały się jeden po drugim, coraz bardziej precyzyjne, coraz dogłębsze, aż w końcu ujrzeli szkielet. Przypominało to negatywy prac Francisca Bacona. Tomograf okorował istotę, pozbawiając ją skóry, a następnie kolejnych warstw ciała, sukcesywnie zerwał organy niczym liście, aż wreszcie odsłonił sam pień, który zdawał się bardziej nagi niż zwykła nagość. Jak zamrożony substrat śmierci.

– Sądzę, że czeka nas miła niespodzianka – odezwał się głos w słuchawkach.

Lekarz sądowy pozdrowił ich, odwracając się do kamery.

– Widzieli państwo skany? – zapytał.

– Dzień dobry, panie doktorze – przywitała go Ludivine. – Czy mógłby pan nam je objaśnić?

– Mam pewne wątpliwości – odparł jedynie lekarz. – Otworzymy je, ale mam pewne wątpliwości.

Zdjęto już pokrowce i ich oczom ukazały się dwie kobiety leżące na stołach ze stali nierdzewnej. Ludivine nagle ucieszyła się, że oddziela ją od nich ekran. Smród musiał być nieznośny. Jedna z nich zwiędła, skurczyła się, niemal zapadła się w sobie, miała wysuszone, wystające ścięgna, cała wyschła, przywodziła na myśl mumię o otwartych ustach na wieki zastygłą w niemym krzyku wśród niewzruszonej ciszy śmierci. Druga przeciwnie, niezłe się trzymała, nogi wciąż miała różowe, choć górna część ciała poczerniała od rozkładu, białe, przypominające pianę kręgi na wysokości klatki piersiowej wskazywały, gdzie porósł ją grzyb, wyraźnie też rysował się ślad cięcia z pierwszej sekcji, na podobieństwo makabrycznego zamka błyskawicznego.

– Ach, nie wszyscy jesteśmy równi w obliczu procesów gnilnych – podsumował lekarz sądowy. – Teraz przystąpię do otwarcia ciał – dodał.

W ostrym świetle lamp bezcieniowych jego słowa zabrzmiały okrutnie. A jednak skalpel torował sobie drogę delikatnie, lekarz postępował z precyzją godną malarza starannie ważącego każde pociągnięcie pędzla, aby jego dzieło zbliżyło się do ideału. Postanowił zacząć od zwłok w odcieniach różu i czerni, tych pokrytych grzybem. Hélène Trissot. Były „świeższe”, przez co istniały większe szanse na pozyskanie zewnętrznego materiału biologicznego, nawet mimo początkowego ostrzeżenia, że nie należy liczyć na cud.

Prokurator zerknął na Ludivine.

Zmarła nie krwawiła.

Już dawno pozbyła się większości płynów ustrojowych, część zniknęła w stalowym odpływie podczas pierwszej autopsji, resztę wypięła ziemia.

Lekarz sądowy pochylił się nad jej podbrzuszem, z którego z namaszczeniem wyjął kilka małych brązowych narządów wraz z gąszczem włókien, wciąż kleistych, pomimo lat spędzonych w grobie. W świetle połyskiwały słabo karminowymi refleksami. Matryca świata, uświadomiła sobie Ludivine. *Tak delikatna, tak wątła, tak... odrażająca.* Lekarz w ciężkiej ciszy, zakłócanej jedynie szumem wentylatorów, umieścił tę ofiarę dla nauki na lśniącej tacce obok siebie.

– To nie organy płciowe – zaznaczył. – Ułatwiam sobie dostęp. Po poprzedniej operacji wnętrzości pozostawiono w... nieporządnym stanie, a z czasem wszystko jeszcze się poprzesuwało. Ale...

Jedną ręką trzymał kleszcze, a drugą grzebał w ciele, odsuwając wszystko, co mu przeszkadzało.

Potrząsnął głową.

– Brak układu rozrodczego – oznajmił. – Tak też mi się zdawało na podstawie skanów.

– Co to znaczy? – spytała Ludivine.

– Pobrano od niej wszystkie narządy płciowe. Coraz częściej robi się tak w przypadku napaści seksualnej, głównie z myślą o kontreksperytyzach – poinformował głos lekarza przez mikrofon.

– Więc gdzie one są?

– Jeśli wszystko poszło dobrze, oczywiście leżą gdzieś zapieczętowane!

Serce Ludivine się uspokoiło. Spyta prokuratora, czy da radę przyspieszyć proces pozyskania tych zaplombowanych próbek – jednak w tej właśnie chwili poczuła na sobie jego ciężkie spojrzenie. Zlecił podwójną ekshumację w celu przeprowadzenia niepotrzebnego badania. I to on będzie musiał powiadomić o tym rodziny.

Ludivine na zawsze zraziła do siebie prokuratora, którego uważała za jednego z najbardziej kompetentnych urzędników. Fatalna decyzja. Zbyt szybko się pośpieszyła. Miała sobie za złe. Nie to, że wpakowała cały zespół w tę kabałę, lecz to, że wciągnęła w nią dwie nieboszczki, które leżały teraz pod czujnym okiem kamer.

– Niezła fuszerka – skomentował z emfazą Bellocq.

Ludivine zamknęła oczy. Na szczęście sprawa miała wkrótce trafić w ręce sędziego. Jeszcze nie wszystko stracone.

– Skupmy się teraz na tym, by godnie pozszywać tę biedną kobietę – rzekł lekarz.

Segnon zdał sobie sprawę, że dla spokoju sumienia trzeba jeszcze otworzyć drugie ciało, westchnął i ze znużeniem oparł się głową o głowę koleżanki.

– Ty i te twoje postrzelone pomysły – szepnęła z wyrzutem. – Co za ponura historia...

Po przyjacielsku poklepała jego dłoń.

Lekarz sądowy wykonywał nacięcie, gdy telefon Ludivine zaczął wibrować. Szybko rzuciła okiem na wyświetlacz, by sprawdzić, kto dzwoni, a widząc imię Marca, odebrała.

– Znaleźliśmy Fissouma – oświadczył bez wstępow.

– Nareszcie jakaś dobra wiadomość...

– Nie, nie bardzo. Gość nie żyje, Ludivine. Został zamordowany.

Fascynacja makabrą.

Starania, by dojrzeć jak najwięcej, nie przeoczyć najbardziej drastycznych szczegółów. Jakby w ten sposób można było zaznać pokrzepienia.

Gapie cisnęli się do łóż z najlepszym widokiem, brakowało jedynie wózka sprzedawcy lodów i prażonej kukurydzy, który dopełniłby groteskowości tej sceny.

Ludivine utorowała sobie przejście łokciami, później machnęła służbową legitymacją, żeby przedostać się przez taśmę policyjną, między strażakami, karetką i pojazdami przedstawicieli lokalnych władz, którzy protestowali, gdyż trzymano ich na uboczu.

Zbliżyła się do rzeki i minęła drugą barierę z taśmy ostrzegawczej, aby następnie przeciąć zamkniętą ulicę i zejść po wąskim, porośniętym trawą zboczem na brzeg rzeki.

Na szczycie wzniesienia z ożywieniem dyskutowało czterech mężczyzn i kobieta, bez wątplenia gliny, ale chyba nie mogli dojść do porozumienia, bo jeden z nich blokował wszystkim drogę.

Marc stał niżej, prawie w wodzie, w epicentrum, które wkrótce miało zostać starannie zbadane przez wyspecjalizowanych funkcjonariuszy policji naukowo-technicznej ubranych w białe fartuchy. Trzymał się prosto, ręce wbił w kieszenie swojej parki w kolorze khaki i wyglądał na pogrążonego w kontemplacyjnej zadumie nad rozciągniętą na ziemi sylwetką przykrytą złotawym kocem ratunkowym. Gdy ujrzał Ludivine, dał jej znak, by podeszła, a wówczas mężczyzna pełniący funkcję cerbera w końcu ją przepuścił.

– To Lucien, pracuje z nami – wyjaśnił Marc matowym głosem. – Reszta to gliniarze, którzy przeprowadzą śledztwo.

– Nie wyglądają na zachwyconych waszą obecnością

– Za dziesięć minut się stąd zwijamy, wtedy przejmą stery.

Wskazał niewielki złoty wzgórek szeleszczący na wietrze.

– Fissouma zauważyli w południe jacyś spacerowicze – rozpoczął relację. – Leżał tam, twarzą w wodzie, w pozycji jak do modlitwy, częściowo zasłaniały go zarośla, co tłumaczy, dlaczego nikt nie dostrzegł go wcześniej. Świadców zaalarmował smród. Najprawdopodobniej nie żyje już od jakiegoś czasu, może nawet od momentu, gdy zaginął.

– Jak go zidentyfikowano?

– Miał przy sobie dokumenty. Strażacy zadzwonili do gliniarzy, którzy wpisali nazwisko do rejestrów, na co u nas zawyły syreny. Tyle że w międzyczasie zleciały się miejscowe dzieciaki, a jeden z nich, który chodził do meczetu Fissouma, go rozpoznał. Wszyscy już



wiedzą. Ten tłum, który się tam zbiera, w połowie składa się z wiernych.

– Powinniśmy obawiać się rozruchów?

– Przede wszystkim nie zabawimy tu długo, już i tak niedobrze, że widzieli moją twarz.

Ciąg dalszy to zmartwienie gliniarzy, nie nasze.

Ludivine nie widziała ciała zmarłego, jedynie mokrą dłoń wystającą spod koca ratunkowego – i to w zupełności jej wystarczało. Zaczynała czuć, że ma dość oglądanych z bliska trupów jak na jeden dzień. Ale jej instynkt mrowił, nakazując, by rzuciła okiem.

– Przyjrzałeś mu się? To na pewno on?

– Bez cienia wątpliwości.

– Skąd wiesz, że to morderstwo, a nie samobójstwo?

– Miał głowę w wodzie, ale wokół szyi dwie opaski zaciskowe, ściągnięte od tyłu tak mocno, jak się da. Jeszcze trochę, a skończyłoby się dekapitacją.

– Cholera...

– Otóż to. Zwariować można. Dla kogo pracuje szaleniec, który to zrobił? Najpierw ukatrupia Bracha, a później Fissouma? Sądziłem, że grupa aspirujących dżihadystów wysługuje się nim, żeby odwałał za nich brudną robotę, że przygotowują jakiś plan, ale teraz nic już nie rozumiem.

Ludivine niechętnie zbliżyła się do ciała, uważając, by nie stąpać po ewentualnych śladach, zauważyła jednak, że ziemię całkiem rozdeptały już hordy tłoczących się tu kolejno ludzi – spacerowicze, strażacy, gliniarze, lekarz... Wyjęła z kieszeni skórzanej kurtki długopis i ostrożnie uniosła folię.

Abdelmalek Fissoum wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażała, tyle że powlekała go błądźliwość świadcząca o tym, ile krwi stracił. Czarna broda, lekka nadwaga, biała dżelaba i gardło rozcięte aż do kości. Jego policzki, wargi i powieki zostały częściowo wyjedzone, skóra zdarta, tkanka rozdrobniona: pobyt w Sekwanie sprawił, że dosłownie stracił twarz. Ludivine skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Przepytałem parę, która go znalazła, są pewni co do ułożenia ciała – rzekł Marc.

– To ważne?

– Leżał zwrócony w tym kierunku. W stronę Mekki. Modlił się, mówię ci.

Na górze dżelaby widniały ślady krwi, ale nie w dużych ilościach – gdyby stał lub siedział w chwili, kiedy opaska zaciskowa przecięła tętnicę szyjną, byłoby jej więcej. A zatem wykrwawił się pochylony w przód, być może prosto do wody.

– Modlił się, konając – zgodziła się śledcza.

Czy zabójca zmusił go, by wyciągnął się w ten sposób na ziemi? Zbadała nadgarstki, ale nie znalazła niczego podejrzanego.

– Żadnych więzów – oświadczyła.

– Wiem, to dziwne.

Kobieta się wyprostowała. Niebo było szare, słońce zdawało się rozmyte za zasłoną

groźnych chmur. Wczesne popołudnie przypominało raczej zmierzch.

*Lub apokalipsę.*

Jej mózg tkął sieć powiązań między poszczególnymi elementami sprawy, wszystkim, co usłyszała, wyczytała i zobaczyła. Najbardziej pomagało jej głośne myślenie, zaczęła więc:

– Fissoum wymknął wam się z własnej inicjatywy. Nie został porwany, to byście zauważyli. A wasz informator, Hicham, powiedział, że podczas wieczornej modlitwy wydawał się nieobecny i unikał bliskich przyjaciół. Szykował się. – Skinęła energicznie głową i odwróciła się do Marca. – Chciał umrzeć – oznajmiła z naciskiem. – Sam oddał się w ręce zabójcy.

– Po co się poświęcił? Był ważnym trybikiem w ideologicznej i rekrutacyjnej maszynie Państwa Islamskiego na naszym terytorium!

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Ale nie stoi to w sprzeczności z naszą hipotezą o mordercy. To fanatyk. Nie zabił Laurenta Bracha, ani też Abdelmaleka Fissouma, by spełnić własne fantazje, absolutnie nie. Wyeliminował ich na czyjąś prośbę. A biorąc pod uwagę jego nową obsesję, działał w imię Allacha.

– Jak obłąkaniec, który słyszy głosy? – rzucił Marc sceptycznie.

– Nie, jak oddany wierny chcący uszczęśliwić duchowych zwierzchników.

– U sunnitów nie ma religijnej hierarchii w ścisłym tego słowa znaczeniu.

– Wiesz, o co mi chodzi. Robi, co mu każą. Co każe mu ktoś, kogo uważa za głos Boga lub za jego rzecznika.

– Gość, który odgrywał tę rolę, leży u twoich stóp.

– Kto znajduje się na szczycie drabiny w organizacjach tego typu?

– We Francji? Nikt... To mgławica, przeważnie każda grupa pracuje oddzielnie, łączy je tylko wspólna ekstremistyczna ideologia oraz Daesz działający w „krajnie Chama”, jak sami ją nazywają. Ich jedynym panem jest Bóg.

– Nie istnieje żadna hierarchia w kształcie piramidy, z prawdziwymi przywódcami?

– Owszem, tam, w Iraku i Syrii, mają kalifa, zarządców i całą masę decydentów operacyjnych, ale tutaj te tytuły nic nie znaczą. A tych kilku ambasadorów Daeszu, którzy z dumą pokazują się w Internecie, nie mogłoby ot, tak sobie przyjechać do Francji.

– Nie ma takiej możliwości?

– Nie, może i udałoby im się prześlizgnąć między oczkami sieci, ale bądźmy realistami: ci faceci nadają się do głoszenia, do rekrutowania zbłąkanych dzieciaków, którym robią wodę z mózgu, ale na pewno nie do prowadzenia u nas potajemnej wojny.

– Trzeba więc założyć, że jest coś jeszcze. Ktoś, kto potrafi narzucić swoją wolę, szara eminencja, która skutecznie kryje się przed waszymi ludźmi, ale cieszy się posłuchem. – Marc pokręcił głową, nieprzekonany. – Co dalej? – spytała Ludivine.

– Muszę pędzić do Levallois, moi przełożeni czekają na kompletny raport. I nie rozczarują się... Wracaj do Paryża, zadzwonię do ciebie w weekend.

Marc miał posępną minę. Omiatał wszystko nieprzychylnym spojrzeniem.

Gdy Ludivine wysiadła z auta na parkingu za koszarami, zerwał się wiatr. Światło dzienne sprawiało tu jeszcze bardziej anemiczne wrażenie niż nad brzegiem Sekwany.

*Nadchodzi burza.*

Nie podzielała zniechęcenia Marca. On stracił właśnie jednego z liderów, dzięki któremu mógłby rozpracować całą siatkę, a złożoność psychiki zabójcy sprawiała, że czuł się zdezorientowany, ale Ludivine uważała, że to wszystko ma sens. Nie była pewna jaki, lecz teraz wątpliwości nie pozostawiał już fakt, że mordercą ktoś steruje. Stanowiło to jedyne racjonalne wytłumaczenie jego postępowania, a Ludivine z doświadczenia wiedziała, że nawet seryjni mordercy kierują się pewną logiką.

Złapie tego drania. Tego gwałciciela. Fanatyka. Taki wyznaczyła sobie cel. Resztą niech się zajmie DGSI.

Jedyna dobra wiadomość tego dnia nadeszła, wbrew wszelkim oczekiwaniom, ze strony prokuratora Bellocq'a. Zadzwoił do niej z informacją, że uzyskał dostęp do zapieczętowanych pojemników z narządami płciowymi, które faktycznie przez cały ten czas przechowywano w odpowiednich warunkach, ponieważ sprawy nie zostały zamknięte. Jednakże, przez wzgląd na sędziów decyzyjnych w przypadku obu morderstw, a także w trosce o spójność sposobu prowadzenia badań i interpretacji wyników przez eksperta, Bellocq wysłał próbki do tych samych laboratoriów, które poprzednio zajmowały się ich analizą. Były to prywatne ośrodki, kompetentne, działające jednak dużo wolniej niż wojskowe, nawet mimo usilnych próśb o pośpiech. Ale nie można mieć wszystkiego, Ludivine wylewnie podziękowała więc Bellocq'owi, a przy okazji pokornie go przeprosiła.

Gdy znalazła się na terenie koszar, dostrzegła mężczyznę na skuterze, który w kasku na głowie przyglądał jej się z ulicy, przystanęła więc na ganku. Dzieliło ich ogrodzenie z siatki. Zastanawiała się, czy gdzieś go już widziała, jego twarz wydała jej się znajoma.

Mężczyzna opuścił wizjer i przyspieszył, po czym zniknął w rzece pojazdów.

Pomyślała, że to może dziennikarz albo inny żandarm, który zajrzał w jakiejś sprawie do WŚ, ale nie potrafiła dopasować do twarzy żadnego nazwiska.

Nie był to dawny kochanek, przynajmniej co do tego miała pewność.

Z bliżej nieokreślonych powodów jej żołądek ścisnął się z lekkiego niepokoju, który szybko stłumiła.

To idiotyczne przejmować się czyjąś gębą.

*Ale to jego spojrzenie... Takie... twarde. Niemal puste.*

Zachowywała się, jakby była częścią filmu. Miała za sobą trudny dzień, a ponadto dwa tygodnie intensywnego dochodzenia. Pora trochę odetchnąć, weekendowy odpoczynek dobrze jej zrobi.

Nad Paryżem przetoczył się grzmot.

*Nadchodzi burza, powtórzyła w myślach, wchodząc do budynku.*  
Burza rozpętała się wczesnym wieczorem.

Skrobanie i głos ucichły. Pozostawiając Ludivine jedynie w towarzystwie ciemności. Co wcale nie było lepsze.

Gdzie on się podziewał? Ile czasu minie, zanim znów ujawni swą obecność? Czy to będzie ostatni raz? Moment, gdy ją złapie. Kilka porażen paralizatorem, żeby stała się spolegliwa. Pierwsza opaska zaciskowa w mgnieniu oka otoczy jej szyję. Podczas gwałtu będzie czuła, jak z każdym pchnięciem zaciska się coraz mocniej i mocniej. Później dołączy do niej druga, żeby nie miała żadnych szans. Trzeciej nawet nie poczuje, a ten śmieć skończy z nieludzką brutalnością, po czym wyjdzie, zostawiając ją, by skończyła samotnie w tym parszywym miejscu.

Ludivine żałowała, że posiadała tak szczegółową wiedzę z zakresu medycyny sądowej. Wiedziała, że człowiek może dusić się długo. Kilka minut. Wszystko zależy od siły nacisku na gardło. Jeśli zabójca odwali dobrą robotę, umrze szybko. W przeciwnym razie może to zająć nawet kwadrans. Niemal tysiąc niekończących się sekund, podczas których będzie czuła, jak osuwa się w nicość. Bez żadnej alternatywy. Nic poza nieuchronnością śmierci. Niemal tysiąc sekund przerażenia, żalów, niespełnionych nadziei.

Wiedziała, że zachowa się jak pozostałe dziewczyny, wyrwie sobie paznokcie, próbując przedrzeć się przez własne ciało, byle tylko chwycić opaski zaciskowe. Tylko co dalej? I tak nie udałoby jej się rozerwać ich gołymi rękami. Wiedziała to wszystko, a jednak nie zdołała się powstrzymać. To będzie silniejsze niż zdrowy rozsądek. Pragnienie życia przewyższa wszystko, nawet jeśli ceną jest cierpienie.

Strumień kwasu podszedł jej do gardła, a skurcze żołądka uderzyły z taką siłą, że zgięła się w pół.

*Tylko nie wrzód, nie teraz!*

Musiała wiele rzeczy przemyśleć, lecz stres wpływał na jej organizm, zżerał ją od środka.

Spróbowała zmienić pozycję w tej ciasnej celi i nie udało jej się stłumić jęku. Nie mogła znieść zamknięcia, ograniczenia swobody ruchu i zbyt mocno ściśniętych więzów na nadgarstkach, gdzie perliły się już pierwsze krople krwi.

*Mówił do mnie.*

Nagle jego słowa znów rozbrzmiały w jej głowie. Ludivine uczepiła się tej myśli. Tak, mówił do niej.

*Jak do istoty ludzkiej. Kontakt jest możliwy.*

Nie, w rzeczywistości nie zwracał się wcale do kobiety, ale do czegoś, co miało dzięki

niemu dojrzyć, aby przynieść mu rozkosz. Zasiewał w niej strach i w ten sposób się podniecał.

W istocie mówił sam do siebie.

*Rozkosz.*

Oto furka. Zapewnić mu rozkosz. Za pomocą odpowiednich słów. Dotknąć stref erogennych jego chorego mózgu, tak by nie chciał zabijać jej od razu, by pragnął przedłużyć działanie bodźca...

Ludivine przypomniała sobie wszystkie zsyntezowane przed chwilą informacje na jego temat, o zachowaniach, obsesjach, nowo odkrytej wierze i potencjalnych sprzecznościach mogących wynikać z zestawienia poszczególnych elementów.

Musiała zagrać w tę grę. Uderzyć w odpowiedni ton. Czowała się jak linoskoczek spacerujący nad przepaścią. Jeśli się potknie, na jej gardle zaciśnie się plastikowa opaska.

Kolejne minuty przeznaczyła na analizę różnych strategii, wyobrażała sobie tę rozmowę, szykowała się do unikania pułapek, podtrzymywania i przedłużania dialogu, zanim stopniowo uświadomiła sobie, że to wszystko na nic się nie zda. Istniało tyle możliwości. Będzie musiała improwizować. Zaufać sobie.

Przede wszystkim nie wolno jej popełnić najdrobniejszego błędu.

Odgłos skrobania o chłodną kamienną ścianę sprawił, że podskoczyła.

*Już wrócił!*

– Jesteś sucha? – zapytał wysoki, złowrogi głos. – Suchuteńka? Ja cię zatopię, ty mała dupo do ruchania!

Żołądek skurczył jej się boleśnie, gardło ją paliło.

Powoli wypuściła powietrze, żeby się opanować, nie dopuścić, by zawładnął nią strach. Znow do niej mówił. To pierwsza dobra wiadomość. Nie zjawił się, żeby ją wykończyć, nie dając jej żadnych szans – musiała pochwycić tę szansę.

Dlaczego ją więził, zamiast od razu zgwałcić?

*Może wątpi? Nie... Chce osiąść ofiarę. Podgrzać atmosferę. Fazy poszukiwań, obserwacji i uprowadzenia dobiegły końca. Teraz rozpoczął się kolejny etap przyjemności.*

Ludivine przypomniała sobie własne wnioski na temat ciała Hélène Trissot, drugiej ofiary. Pobił ją, już po śmierci.

*Akt nie spełnił jego oczekiwań. Rozkosz okazała się mniej upojna, niż to sobie wyobrażał, więc zasypał dziewczynę gradem ciosów, z frustracji, ze złości...*

Dużo fantazjował. Niezmiernie dużo. Jednak gdy przechodził do czynu, nic nie przebiegało tak, jak sobie wymarzył.

*To dlatego mnie przetrzymuje. Wie, że w każdej chwili może mnie zgwałcić, ale nakazuje sobie cierpliwość. To ostatnie momenty euforii, skoro samo doświadczenie może się okazać nie tak zniewalające, jak na to liczy. A zatem cieszy się tą perspektywą: weźmie mnie, chce, żeby było niesamowicie, jak w jego fantazjach, wciąż jeszcze w to wierzy i czerpie z tej chwili*

*pewności przyjemność niemal intensywniejszą, niż będzie czerpał z tego, co nastąpi później.*

– Zgwałci mnie pan? – spytała Ludivine, umyślnie sprawiając, że głos jej zadrzał. – Skrzywdzi? – Brak odpowiedzi. – Wiem, że mnie pan... *wypełni* – nalegała. – Sam pan powiedział. Że mnie pan weźmie.

Czekała na reakcję, przerażona myślą, że być może jedynie przyspiesza swój koniec.

Cisza.

Zaczęła się obawiać, że już odszedł, ale odgłos szurania przekonał ją, że jest inaczej. Właśnie się poruszył. Przywarł do ściany, żeby lepiej słyszeć? Nie mogła pozwolić, by podniecił się do tego stopnia, że nie będzie w stanie dłużej się kontrolować. Musiała znaleźć złoty środek. Z trudem przełknęła więc ślinę i spróbowała przybrać odpowiedni ton, nutka buntowniczości w morzu lęku. Pragnęła pokazać, że nadal jest gotowa stawiać opór, lecz jego metoda działa, a ona zaczyna kapitulować.

– Będę walczyła, wie pan? Nie poddam się tak łatwo.

Chciała wpłynąć na jego fantazje, sprawić, że wyobrazi sobie alternatywną wersję wydarzeń, skażoną jej podprogowymi sugestiami, i że to go skłoni, by odczekał jeszcze trochę, aż ona całkiem się podporządkuje, żeby przypadkiem wszystkiego mu nie zepsuła.

– Powiedz to jeszcze raz! – rozkazał nieprzyjemny głos. – Powiedz, że cię wypełnię.

Ludivine musiała w mgnieniu oka ocenić stan swojego porywacza. Powinna usłuchać i otworzyć wrota szaleństwu, które skończy się jej śmiercią, czy też rozwścieczyć go odmową, ryzykując, że się na niej wyładuje? Potrzebowała więcej informacji. Spróbowała, z emfazą podkreślając kluczowe słowa:

– Wiem, że mnie pan *wypełni*. To dlatego czeka pan, żebym całkiem wyschła. Żeby mnie *zatopić*.

Aby skuteczniej nim manipulować, musiała stosować jego słownictwo, zanurzyć się w jego fantazje.

– Jeszcze – poleciał jak dziecko.

Ludivine zacisnęła zęby. Niczego jej nie zdradzał. Gruby mur częściowo pochłaniał jego głos. Ale za nic nie chciała, żeby ją stąd wyciągnął. Jeśli ją zobaczy, dotknie jej, jeśli znikną wszystkie dzielące ich bariery, to koniec, przestanie się powstrzymywać.

– Jeszcze! – warknął, tym razem z wściekłością.

– Ja... ja... jestem dupą do ruchania – wybełkotała natychmiast, byle podtrzymać dialog. – *Pańską* dupą. Małą kurwą. Którą przebiję pan pchnięciami lędźwi. – Teraz usiłowała sprawiać wrażenie poskromionej, a jednocześnie nie mogła pozwolić, by doszedł do jednoznacznych wniosków. Dodała więc, pilnując, by głos kilkakrotnie jej się zatrząsł: – Ale nie pozwolę, żeby mnie pan zabił. Może nie będę już miała sił, żeby krzyczeć, ale będę walczyła jak prawdziwa lwica!

Dzięki temu miał wyczuć, że jeszcze nie dojrzała, nie jest całkiem wycieńczona, ale już słabnie, tak by zapragnął jeszcze trochę potrzymać ją w tej dziurze, aż się zmęczy i stanie się

łatwiejsza. Nie był nekrofilem, nie chciał gwałcić martwego ciała, co znaczyło, że ceni sobie życie, upaja się swoją kontrolą nad drugim człowiekiem, własną brutalnością i tym, co wywołuje ona w jego ofierze. Chciał ją zdominować, kompletnie, pragnął, by poprzez uległość i przerażenie przekazała mu całą swoją energię.

– Jeszcze, powiedz te słowa, powiedz, że cię wypełnię, jeszcze! – krzyknął ze zdenerwowaniem.

Ludivine odbierała tylko część sygnałów, wyczuła jednak jego rozgorączkowanie, poza tym... jego oddech przyśpieszył.

*Ogarnia go podniecenie.*

Czy powinna to ciągnąć?

Znów rozbrzmiało szuranie, czyżby wstawał?

– Wiem, że moja cipa stanie się dla pana zbiornikiem – odezwała się śpiesznie, przerażona wizją, że mężczyzna przystąpi do działania, sfrustrowany, że nie dostał tego, czego chciał. – Zmiażdży mi pan piersi, wbije palce w brzuch i weźmie mnie jak sukę.

Jakaś część jej mózgu analizowała ryzyko, podejmowała decyzje odnośnie do tonu głosu, podczas gdy inna czerpała ze studni wcześniejszych doświadczeń z największymi zboczeńcami, by dobrać odpowiednie słowa. Przypomniła sobie te wszystkie przesłuchania, wszystkie wiadomości, które ci dewianci wymieniali w sieci lub wysyłali do kobiet, do dziewczynek... Tego rodzaju chorzy ludzie posługiwali się konkretnym, brutalnym słownictwem mającym swe źródło w ich seksualnym skrzywieniu.

– Dalej – rozkazał już spokojniej.

Do gardła podeszła jej zółć, którą z trudem zepchnęła z powrotem.

– Wiem, że mnie pan zmasakruje, rozchyli mi uda, żeby wejść jeszcze głębiej, a ja będę płakać. Domyśliłam się tego.

Powieki miała zamknięte. Pięści zaciśnięte.

– Tak, jeszcze.

– Opluje mnie pan, napierając na mnie całym swoim ciężarem, moje piersi będą podskakiwać przy każdym pchnięciu, sprawi mi pan ból, sięgając do samego końca mojej cipy... Na początku będę sucha, całkiem sucha, ale pan mnie *zatopi*, z każdym ruchem bardziej, sprawi pan, że pęknę, siłą otworzy mi pan usta, przeniknie mnie...

Zamierzała gwałtownie zmienić nastawienie i przypomnieć mu, że nie jest gotowa, że tkwiąca w niej buntowniczką zniweczy jego marzenie o całkowitym podporządkowaniu, gdy nagle usłyszała jego chrapliwy oddech i zrozumiała.

*On się brandzluje. Ten pojeb się dotyka!*

Jeżeli uda jej się doprowadzić go do orgazmu, zyska trochę czasu, zanim znów zaczną go dręczyć odrazające popędy.

Nagle uderzyła ją obrzydliwość całej tej sceny: zamknięta w ciemności, obolała i pokrzywiona, z żołądkiem ściśniętym z niepokoju, próbowała nieco odwlec chwilę swojej



śmierci, grając w grę tego popaprańca.

Ale jej życie było tego warte. Nawet jeśli zyska ledwie godzinę.

– Będzie mnie pan pieprzył od przodu i od tyłu – podjęła – wsunie się pan głęboko, aż zaczniesz mnie boleć, okropnie boleć, a pan chwyci mnie za pośladki, będę jęczała pod pana dłońmi, w moich oczach zobaczy pan strach, ale moje ciało będzie uległe...

Wzbraniała się przed wyobrażaniem sobie tego, o czym mówiła, skupiła się na doborze słów. Czasowniki „wypełniać” i „zatapiać” powracały często, odkąd zdała sobie sprawę, jakie są ważne. Wywnioskowała z tego, że on chciałby rozbryznąć się szeroko, zalać ją swoją spermą, a zatem swoją obecnością, swoją władzą. Żonglowała więc tymi pojęciami, wynajdywała synonimy, starała się opisywać ich oboje, siebie zawsze na jego łasce. Naszpikowała swoją wypowiedź obelgami, wedle których była zwykłą lafiryndą. On nienawidził kobiet. Kreśliła więc upokarzające sytuacje. Ohydne. Była jedynie żywą lalką o uległym, wystraszonej spojrzeniu, wydającą z siebie bolesne jęki.

Brzuch straszliwie ją męczył, spazmy stawały się coraz gwałtowniejsze.

On nadal ruszał się po drugiej stronie. Wciąż i wciąż.

Chrapliwe stęknienie uświadomiło Ludivine, że to koniec.

Zamilkła, z niepokojem czekając na ciąg dalszy.

Westchnął i wymamrotał coś pod nosem.

Potem odszedł.

Ludivine ponownie wsparła się czołem o kolana.

Właśnie zapewniła sobie krótkie odroczenie wyroku.

Nad Paryżem rozciągał się popielaty całun, w każdej chwili grożąc wylaniem zgromadzonych zawczasu strumieni łez.

Segnon, Guilhem i Ludivine siedzieli w biurze i domykali ostatnie raporty przed powrotem do domu na weekend, gdy nagły hałas sprawił, że podskoczyli w fotelach. Był to głuchy, metaliczny odgłos, który z perspektywy czasu utożsamili z dźwiękiem wydawanym przez maksymalnie dociśnięty silnik tuż przed zderzeniem.

Pognali do okna od strony ulicy.

W bramę wjazdową prowadzącą na dziedziniec wbił się peugeot 208, jego przód wisiał w powietrzu na częściowo obalonych słupkach, spod maski wydobywał się dym.

Otworzyły się drzwi i kierowca z niejakim trudem wygramolił się spomiędzy poduszek powietrznych, w rękę trzymał podłużny przedmiot, wolną dłonią chwycił pręty i przedostał się przez niemal całkiem przewróconą bramę.

Zanim do Ludivine dotarło, co się dzieje, w ich stronę, na fasadę budynku, posypał się grad kul. Wszyscy troje rzucili się w tył.

Mężczyzna wrzasnął coś, lecz w zgiełku strzałów śledcza nie rozróżniła słów.

Nagle przed oczami wykwitła jej twarz napastnika.

Człowiek na skuterze, którego widziała wcześniej tego popołudnia. Twarde, niemal puste spojrzenie. Stres pomógł jej pobudzonemu umysłowi dokonać powiązania: widziała go w tłumie zgromadzonym nieopodal ciała Abdelmaleka Fissouma.

*Wierny z meczetu imama!*

Przechodzili do działania. Komórka terrorystyczna odebrała jego śmierć jako sygnał. A może *miała* być sygnałem?

Suchy odgłos wystrzałów z karabinu rozległ się w powietrzu niczym czkawka. Charakterystyczne terkotanie AK-47, pojęła Ludivine, który trzymał w rękę, wysiadając z auta.

Paryski WŚ nie dysponował specjalistycznym systemem ochrony z uwagi na mało adaptowalny układ siedziby mieszczącej się w dawnych koszarach biura akcyzowego, co nie pozwalało na wprowadzanie żadnych znaczących zmian. Mieli jedynie bramę przy wjeździe na dziedziniec oraz aktywowane kodem drzwi na każdym piętrze. Bezpieczeństwo zapewniali sami żandarmi, którzy – mimo że w większości ubierali się po cywilnemu – na służbie zawsze nosili przy sobie broń.

Segnon mierzył już ze swojego sig sauera, osłonięty ścianą przy krawędzi okna. Ludivine

również wyciągnęła pistolet i ustawiła się po drugiej stronie ramy. Gdy Segnon zobaczył, że Guilhem czołga się w ich stronę, pokręcił głową.

– Idź na korytarz, pomóż innym zabezpieczyć wejście!

Kafelki rozprysły się w bukiety ostrych odłamków, sufit osypywał się pod wpływem trafień.

Segnon i Ludivine schowali głowy w ramionach.

– Ilu ich jest? – spytał mężczyzna, kiedy z góry przestał spadać gips.

– Widziałam tylko jednego. Ale jest ciężko uzbrojony.

– Kierowca? – Przytaknęła. – Kamizelka kuloodporna – dorzucił.

– Są w szafie, ale nie zamierzam się podnosić!

– Nie, on! Chyba ma ją na sobie. Jego ramiona wydają się nienaturalnie szerokie. Jakby włożył ciężką kamizelkę taktyczną!

Kiedy Ludivine spostrzegła, że Segnon prostuje się, by rzucić okiem przez okno, zalała ją fala paniki. Wyobraziła sobie, jak jego czoło eksploduje w purpurowym rozbryzgu. Pomyślała o Laëtiti, o bliźniakach, i złapała partnera za kołnierz, ściągając go z powrotem do ich kryjówki.

Trzy kule zabębniły o elewację bardzo blisko nich, ale ściana wzniesiona w dawnych czasach z grubego kamienia niezawodnie zatrzymała pociski kalibru 7,62 milimetra.

Ludivine popatrzyła na Segnona i ruchem głowy zabroniła mu działać.

– Ten skurwysyn wejdzie do środka! – zaprotestował.

– Nie ma karty dostępu, a drzwi są solidne.

– Nie wytrzymają!

Ludivine zakłęta. Segnon miał rację. Urzędujący na parterze koledzy z DCO nie należeli do ludzi, których łatwo wystraszyć, ale wszyscy byli niewątpliwie pod wpływem szoku. Miała nadzieję, że schowali się w bezpiecznym miejscu. Stawali bez osłony przeciwko karabinowi szturmowemu – logika nakazywała, by znaleźli dobrą kryjówkę, zanim zaczną zgrywać bohaterów. Zwłaszcza jeśli napastnik miał na sobie ciężką kamizelkę zdolną zatrzymać dziewięćmilimetrowe pociski z ich służbowych pistoletów. Sam posługiwał się bronią straszliwego kalibru, która dziurawiła ściany z płyty gipsowej w ogromnym tempie. Mógłby wybić cały personel bez zmiany trzydziestonabojowego magazynka.

Jeśli uda mu się wejść, urządzi tu rzeź.

Kobieta zrobiła trzy krótkie wydechy, żeby dodać sobie odwagi, po czym stanęła w oknie, sig sauer SP 2022 stanowił przedłużenie jej spojrzenia, palec wskazujący spoczywał na spuście, zarówno jej ciało, jak i umysł gotowe były na zadanie śmierci.

Odziana w czern postać zbliżała się do drzwi wiodących na wyższe piętra.

Ale tuż za nią, na linii strzału Ludivine, znajdowały się okna wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej. Jeśli chybi, zabłąkana kula może trafić któregoś z kolegów.

Zawahała się przez chwilę, a wtedy mężczyzna uniósł głowę i zauważył ją.

Zdążyła jedynie przykleknąć, we włosach poczuła kamienne odpryski, wszędzie wokół śmigwały kule.

Otworzyła oczy w chmurze pyłu i wypluła kawałek szkła, który wylądował na jej wargach.

– Wejdzcie do środka! – ostrzegła.

Suchy huk wystrzału. Wypalił tylko raz.

*Zamek. Chce go przestrzelić!*

To był odpowiedni moment.

Zerwała się jednym susem, wypatrzyła go w dole, dostosowała trajektorię i wyczuła na sobie jego spojrzenie, które powędrowało w jej stronę równocześnie z lufą karabinu szturmowego. Zanim zdążył odpowiedzieć tym samym, otworzyła ogień. Trzy strzały.

Od czasu fali islamistycznych zamachów, które wstrząsnęły Francją, mentalność wielu grup społecznych uległa zmianie, przystosowała się do nowych warunków. Pierwszym tego przykładem była żandarmeria. Musieli stać się skuteczniejsi. Kwestia przetrwania. Ów przeskok dało się zauważyć w wielu dziedzinach, także – co najbardziej zaniepokoiło starszych stażem funkcjonariuszy – w sferze treningu strzeleckiego. Całe pokolenia żandarmów uczyły się celować w miednicę. Paralizujący postrzał. Tylko w kiepskich filmach widywało się, jak prują do przeciwnika, mierząc w serce albo w głowę. Do obowiązków żandarmerii należały zbrojna odpowiedź w przypadku ataku, neutralizacja napastników, ale na pewno nie zadawanie śmierci. Od czasu zamachów wiele się zmieniło: odtąd po każdym treningu strzeleckim w głowach kartonowych postaci widniały dziury po kulach. Nowi wrogowie mogli założyć pas z materiałami wybuchowymi albo zasłonić się zakładnikiem, dlatego każdy stróż prawa działający w terenie musiał umieć zareagować, nawet za cenę tragedii, byle tylko uniknąć jeszcze straszliwszego dramatu.

Żandarmi uczyli się zabijać.

Ludivine nie wahała się ani sekundy. Zauważyła to, na co wcześniej zwrócił uwagę Segnon, ogólną pękatość w okolicach torsu napastnika. Ciężka kamizelka kuloodporna. Przesunęła więc lufę, celując w jego ciemną czuprynę.

Łącznie trzy naboje. Pierwszy zastukał o bruk, drugi wbił się w ceramiczną płytę chroniącą najważniejsze organy, a ostatni utkwiał w kołnierzu kamizelki, pośrodku piersi. Mężczyzna nie zachwiał się jednak i w tej samej chwili wypuścił serię z karabinu, pstrząc fasadę budynku dziurami, jeden pocisk drasnął Ludivine w ucho i uwiązał w ościeżnicy niespełna pięć centymetrów od niej.

Wówczas w obramowaniu okien na parterze ukazały się dwie sylwetki, padły strzały. Chłopaki z DCO odpowiadały ogniem. Z furją. Niemal w tym samym momencie drugą stronę dziedzińca spowił huk i płomienie, kiedy do ataku przyłączyły się zespoły z wydziału do spraw niszczenia mienia. Później chaos rozpętał się też na piętrach.

Z powodu stresu, pośpiechu i tego, że terrorysta nieustannie się przemieszczał, ponad połowa kul przemknęła obok niego. Pozostałe odbiły się od AK-47, zagłębiły w płycie

ceramicznej, trafiły go w pachwinę, kolano, ramiona, gardło, oderwały mu palce, a trzy z nich przedziurawiły czaszkę.

W ciągu dziesięciu sekund powietrze przestało się nadawać do oddychania, przesycała je bowiem woń prochu.

Ludivine dyszała.

Żywa. Nietknięta.

Przywarta do podłogi obok Segnona.

Spojrzeni po sobie, oszołomieni.

– W porządku? – spytał mężczyzna.

Skinęła głową.

Podnieśli się, a Ludivine chciała natychmiast zejść na dół, by pomóc kolegom. Segnon powstrzymał ją i wskazał szafę.

– Kamizelki, tym razem je włożymy, na wypadek gdyby zjawili się kolejni kandydaci do samobójstwa! Może to jeszcze nie koniec.

Segnon miał rację, zachował zimną krew. Należało myśleć perspektywicznie. Pilnie zabezpieczyć budynek, w razie gdyby ktoś inny postanowił wykorzystać zamieszanie i po cichu wtargnąć do środka.

Guilhem już zbiegał po schodach.

– Marco zarobił dwie kule w nogę! – krzyknął poblady. – A Louis oberwał w ramię, najprawdopodobniej rykoszetem.

– Wszyscy inni cali? – upewniła się Ludivine, która spodziewała się najgorszego.

– Tak sędzę.

– Na gorze czysto! – zawołał męski głos.

– Na pierwszym piętrze też! – odpowiedziała Magali, która pojawiła się nagle, złana potem, z bronią w garści.

Wszyscy myśleli to samo: w WŚ jest już bezpiecznie.

Na stopniach ganku leżało ciało mężczyzny zwrócone twarzą do nieba, z otwartymi ustami. Nagle zaczął padać deszcz, lawina wielkich ciężkich kropli, które mieszały się z krwią. Ich rytm przyśpieszył, ulewa nabrała wściekłego tempa, jakby przyświecała jej obsesyjna myśl, by raz na zawsze wymazać tę czerwień.

Personel WŚ utworzył nieprzepuszczalną bryłę. Zwartą masę złożoną z ludzkich cząstek, scementowaną niezłomną solidarnością.

Ponieważ większość pracowników mieszkała po sąsiedzku, w budynkach przylegających do koszar, wszyscy ruszyli spotkać się z bliskimi, żeby uspokoić zarówno ich, jak i siebie. Ludzie ściskali się na progach, wączali włosy dzieci, płakali po cichu wraz z żoną czy mężem, pocieszali się, śmiali, mówiąc, uwalniali się od lęku – rzadko kiedy w tych dwóch blokach można było uświadczyc tyle przejawów życia naraz.

Otoczono całą dzielnicę, wszędzie roіło się od policjantów, wojskowych, strażaków, polityków, dziennikarzy, ciekawskich, którzy przemykali się niezauważeni, i zwykłych oszołomionych mieszkańców.

Ludivine towarzyszyła Segnonowi, Laëtiti i bliźniakom, którzy kleili się do ojca. Gdy w holu wejściowym zjawił się Marc Tallec o zaniepokojonym spojrzeniu, kobieta kiwnęła mu głową na znak, że wszystko w porządku. Ku jej wielkiemu zdumieniu podszedł bez słowa, wziął ją w ramiona i długo przyciskał do siebie. Ludivine, początkowo nieco sztywna, powoli poddała się temu ciepłu. Dobrze jej to zrobiło. Wcześniej tulił ją Segnon, a także Laëtitia, ale w tej chwili ogarnęło ją zupełnie inne uczucie. Miała wrażenie, że może całkiem się odprężyć, podładować się, jakby czerpała z akumulatora. Nagle zdała sobie sprawę, że dotąd czuła wewnętrzną pustkę, że potrzebowała tej bliskości, tego wsparcia.

Wczepiła się w niego mocno.

Nazajutrz pułkownik Jihan zebrał swoje oddziały w wielkiej sali koszar żandarmerii w Maisons-Alfort, ponieważ WŚ pozostawał zamknięty do czasu dokonania niezbędnych ustaleń. Zrobił wszystko, czego należało oczekiwać od oficera dowodzącego w takiej chwili: zaczął od zapewnienia, że dwaj hospitalizowani koledzy są w dobrym stanie, przedstawił ogólny obraz sytuacji, zjednoczył podwładnych i wyjaśnił, co się stanie dalej. Drzwi koszar z pewnością niedługo zostaną odplombowane, a żandarmi wrócą do własnej siedziby. Trzeba będzie przeprowadzić prace remontowe i zmierzyć się z demonami, które dla jednych okażą się bardziej uciążliwe niż dla drugich, oraz z odrobiną stresu pourazowego, któremu należy wspólnie stawić czoła. Ale WŚ musi kontynuować pracę. Każdy powinien złożyć zeznanie, odpowiedzieć na pytania IGGN – Inspekcji Generalnej Żandarmerii Narodowej – i myśleć trzeźwo. Przede wszystkim zaś pułkownik pogratulował im doskonałej reakcji i tego, że podczas ataku zachowali zimną krew.

– Śmierć od zawsze wpisana jest w nasz zawód – mówił prosto, ze szczerością w głosie. –

Tym razem musieliście ją zadać, żeby ochronić samych siebie, ocalić kolegów i oddalić ją od waszych rodzin. W ujęciu zbiorowym, podjęliście jedyne możliwe działanie w tak niecodziennych okolicznościach, w ujęciu jednostkowym – owszem, każdy z was ponosi częściową odpowiedzialność, jednak rozkłada się ona na całą grupę. Nie obwiniajcie się, nie obciążajcie swoich sumień, nie zapominajcie, że ten człowiek zmusił was do otworzenia ognia. To była jego decyzja, jego samobójstwo, a ponieważ stanowił olbrzymie zagrożenie, musieliście podjąć obronę konieczną. Nie pozostawił wam wyboru, a wy, jako kompetentni żandarmi, zareagowaliście jak należy. Nie chcę słyszeć o nieuzasadnionym poczuciu winy. Pogódźcie się z tym, co zaszło, i postrzegajcie ten czyn we właściwym świetle: jako słuszny, usprawiedliwiony i niezbędny. Przysługuje wam dostęp do opieki psychologa, zachęcam wszystkich, którzy tego potrzebują, do skorzystania z niej. Nie pozwólcie, by gnębiła was decyzja ekstremisty.

Jihan słusznie kładzie nacisk na tę kwestię, uznała Ludivine. Uśmiercenie człowieka nie było w oczach przedstawicieli służb porządkowych rzeczą błahą, zwłaszcza że większość z nich utożsamiała swój zawód z powołaniem do ochrony życia, nie do odbierania go. Ten wczesny wieczór – związane z nim obrazy, dźwięki i zapachy – na zawsze wyryje się w ich pamięci jako jeden z wyjątkowo dramatycznych momentów w ich karierze.

Pułkownik nagle zmienił ton, odzyskując charakterystyczne dla siebie werwę, determinację i autorytet:

– Napastnik to islamista, który zradykalizował się rok temu – poinformował. – DGSI sądzi, że był jednym z protegowanych imama Abdelmaleka Fissouma, a gdy dowiedział się o jego śmierci, o zabójstwo obwinił państwo francuskie. Śledził jednego z naszych od miejsca znalezienia zwłok aż do koszar i postanowił, że powinniśmy zapłacić za nasze grzechy.

Na te słowa Ludivine spuściła wzrok. Wiedziała, że nie ponosi żadnej winy, ale to za nią podążał zamachowiec. To ona doprowadziła go do WŚ, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Przełknęła ślinę.

– DGSI rozpoczęło przesłuchania wszystkich osób z otoczenia imama, które figurują w kartotekach – ciągnął Jihan.

Nareszcie, pomyślała Ludivine. Znowu to samo, jeden lub kilku żandarmów nieomal straciło życie tylko dlatego, że tajne służby czekały na odpowiedni moment. Rozumiała, o jaką stawkę toczy się gra, rozumiała konieczność utrzymania najważniejszych figur na szachownicy – na wolności i pod nadzorem – w nadziei na to, że doprowadzą śledczych jeszcze dalej, jeszcze wyżej, była to jednak niezwykle niebezpieczna zabawa.

Jihan zakończył raport:

– Nie odnotowano żadnego innego zamachu, mieliśmy do czynienia z odosobnionym przypadkiem. Być może dzięki aresztowaniom reszta grupy nie zdąży się zorganizować. Wygląda na to, że człowiek, który nas zaatakował, podjął decyzję impulsywnie, w chwili

złości, sam. Ze względów bezpieczeństwa w naszych koszarach będzie odtąd stacjonowało kilka oddziałów wojsk lądowych, które zapewnią nam należytą ochronę. Uprzedźcie o tym swoje rodziny.

Dorzucił kilka zaleceń na weekend – wszyscy mieli być pod telefonem, w okolicy i do dyspozycji IGGN – a później ich odprawił.

Następnie podszedł do Ludivine, Segnona i Guilhema, którzy siedzieli ramię w ramię, i dał Magali znak, żeby zebrała członków swojego zespołu. Odczekał, aż sala opustoszeje wystarczająco, by mieli trochę spokoju, po czym odwrócił się przodem do siedmiu wpatrzonych w niego wojskowych. Operatywna Ludivine, olbrzym Segnon, geekowaty Guilhem, Magali ze swoją brązową grzywką, wysoki Franck z siwym wąsem, Benjamin, łysiejący czterdziestolatek, i kapitan Merrick, dowódca ich sekcji.

– Właśnie rozmawiałem z dyрекcją. Poinformowali mnie, że poprowadzimy śledztwo do spółki z DGSI.

Obecni wymienili spojrzenia. Nie zdarzało się to często. Tego rodzaju sprawy odbierano zwykle żandarmom, a kontrolę nad nimi przejmowało przeważnie SDAT lub policja, którymi sterowała z kolei C1, sekcja antyterrorystyczna paryskiej prokuratury, a więc wyspecjalizowane służby.

– To prezent w ramach zadośćuczynienia? – zgadywała Magali.

– Nie, ktoś w DGSI uznał, że dobrze znamy sprawę, nie warto więc marnować czasu i waszych cennych umiejętności.

Ludivine pomyślała o Marcu. Do jakiego stopnia wpłynął na tę decyzję? Czy naprawdę kierowało nim szczere przekonanie, czy też uczucia?

*Zagalopowujesz się, moja droga... Nie jest kretynem. Jeśli w jakikolwiek sposób się do tego przyczynił, to tylko w wyniku przeświadczenia, że takie rozwiązanie okaże się najefektywniejsze. Twoje piękne oczy nie mają tu nic do rzeczy.*

– Będziemy pracowali z BLAT-em? – zapytał Franck.

– Nie, odpowiadacie wyłącznie przede mną. Ale nie ma co się oszukiwać, DGSI dźwży stery, my tylko zapewniamy wsparcie. To oni dyrygują śledztwem. Zdaje się, że większość z was poznała już komisarza Talleca, który posłuży za łącznika. Ponieważ porucznik Vancker siedzi w temacie, zostanie kierowniczką śledztwa.

Ludivine podziękowała pułkownikowi skinieniem głowy.

– A gdzie rozłożymy się z robotą, panie pułkowniku? – zagadnął Merrick.

– Mam nadzieję, że we wtorek lub w środę wrócimy do siebie, lecz jeśli okaże się to niemożliwe, zostaniemy tu do czasu, aż wszystko się wyjaśni. Oczywiście nikt nie był przygotowany na tę sytuację, więc na razie będziemy improwizować.

– A co z przesłuchaniami aresztantów? – dociekał dalej Merrick.

– Decyzja należy do DGSI. Jeżeli będą chcieli się tym z wami podzielić, świetnie, jeżeli nie, obejdziecie się bez nich.



– Krótko mówiąc, tańczymy, jak nam zagrają – podsumował Franck z niezadowoloną miną. – Będziemy musieli zadowolić się ochłapami.

– I tak macie szczęście, że po prostu was nie odsunęli – skarcił go Jihan. – Kapitanie, proszę o codzienny raport.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Merrick.

Jihan już zmierzał w stronę innych funkcjonariuszy WŚ, którzy czekali na niego kawałek dalej.

Merrick był postawnym, dość atrakcyjnym mężczyzną, biła od niego charyzma typowa raczej dla jakiegoś filuta niż dla wojskowego, a z powodu nazwiska większość personelu za plecami przezywała go Człowiekiem Słoniem. Przez jakiś czas działał w słynnej GOS, grupie obserwacji i nadzoru, elitarnej jednostce zajmującej się najbardziej spektakularnymi przypadkami infiltracji. W rysach jego twarzy dało się wyczytać, jak olbrzymie doświadczenie zawodowe zgromadził. Teraz zwrócił się do Ludivine:

– Pani jest już w kontakcie z komisarzem Tallekiem, proszę więc do niego zadzwonić i zorientować się, co możemy dostać. W międzyczasie ja i reszta spróbujemy rozwiązać problemy lokalowo-sprzętowe. Rozlokujemy się w pomieszczeniach wspólnych naszych koszar, w pustej sali na parterze budynku A, tam, gdzie odbywają się wszystkie uroczystości. Przypominam, że jesteście na służbie. Ze względu na niezwykle okoliczności możecie dzwonić z prywatnych telefonów, ale ściśle przestrzegajcie procedur. Przed powrotem do koszar wystaram się tu o trochę różnych przyborów. Poruczniku Dabo, porucznik Capelle, pójdziecie ze mną. Trinh i reszta, zorganizujcie jakieś meble, z których sklecimy biuro.

Nie było czasu na powolne dochodzenie do siebie.

Ludivine dodzwoniła się do Marca dopiero w sobotę wieczorem. Na pytania, co dzieje się obecnie w DGSI, udzielał lakonicznych odpowiedzi, bardziej interesowało go jej samopoczucie.

– Daj nam coś do roboty – zaklinała go. – Udało nam się ustalić tożsamość napastnika, Karima. Analizujemy jego profil, dane z telefonu i badamy jego otoczenie. Nie mamy więcej materiałów, sprawdzenie każdej najdrobniejszej rzeczy zajmuje wieki, rwiemy sobie włosy z głów, a wykonywanie tej samej pracy dwa razy niczemu nie służy!

– Później porównamy wyniki, nigdy nic nie wiadomo, nieraz zdarza się, że coś przeoczmy. Działajcie dalej tak jak do tej pory.

– Aresztowani mówią?

– Nie, nie są raczej zbyt rozmowni.

– Zdołaliście ustalić, czy to robota samotnego wilka, czy może szykują się do grupowego ataku?

– W islamizmie nie istnieją samotne wilki, to dziennikarskie uproszczenie. Samotny wilk

ma własną ideologię, w przeciwieństwie do dżihadystów, którzy wyznają jedną, wspólną. Ponieważ przedstawiciele tej pierwszej kategorii działają w pojedynkę, nazywamy ich „odizolowanymi bojownikami”.

– Świetnie, ale czy on jest jednym z nich, czy tylko się pośpieszył i zostawił kumpli w tyle? Złapaliście wszystkich?

– Na razie trudno powiedzieć. Ze strony osób z otoczenia Fissouma, które już wcześniej mieliśmy na oku, nic nam nie grozi, to pewne. Pozostaje tylko ustalić, jak daleko sięga ten ich krąg i czy na pewno zidentyfikowaliśmy wszystkie zbłąkane owieczki. Przeszukania trwają, zobaczymy, co to da, czy mieli jakikolwiek wspólny plan.

– Chcesz, żeby nasz wydział skupił się na jakimś konkretnym celu?

– Nie, niech twoje wsparcie nadal pracuje nad Karimem. Ale chciałbym, żeby twój zespół nie odrywał się od sprawy zabójcy Laurenta Bracha i Fissouma. Powinna pozostać waszym priorytetem.

Marc miał rację. Okoliczności sprawiły, że ich kompasy oszalały, w ogólnym zamieszaniu co innego stało się ich obsesją, nie należało jednak zapominać o najważniejszym: seryjny morderca wciąż był na wolności.

– Myślisz, że może znajdować się w areszcie, wśród podejrzanych? – spytała Ludivine.

– Wątpię. W tym, co zrobił Brachowi i Fissoumowi, jest pewna logika, jakiej nie sposób dopatrzeć się w postępowaniu naszych miłych gości.

– Na tym się skupię.

Marc milczał chwilę. W głośniku słyszała jego oddech.

– Ludivine? Coś mi tu nie gra. To wszystko jest jakieś pokręcone. Dajemy się wodzić za nos.

– Znajdziemy go, wierz mi.

Marc westchnął do telefonu, sprawiał wrażenie wykończonego.

– Mam nadzieję. Czuję jakby ucisk w żołądku. Coś mi mówi, że musimy działać szybko.

*Dżin potrafił stać się niezbędnym.*

*Nikt nigdy taki nie jest. Nikt poza Dżinem.*

*Dwie kobiety, które kochał ponad wszystko, umarły. Jego dwa punkty orientacyjne, jedyne mosty łączące go z człowieczeństwem, z miłością. Gdy te powiązania zniknęły, Dżina nic już nie powstrzymywało. Nic nie wydawało mu się zbyt surowe, zbyt bezlitosne, zbyt brutalne. Ponieważ w głębi duszy wiedział, że jeśli śmierć uderza, to choćby czyniła to z wielkim okrucieństwem, jej ingerencja stanowi część boskiego planu wobec nich wszystkich. Część boskiego planu, który wykracza daleko poza ramy ludzkiego pojmowania. Należało ufać, a nie wątpić, i każdego dnia dokonywać wyborów ze świadomością, że ostatecznie wydarzy się jedynie to, czego naprawdę pragnie Bóg.*

*Inszallah.*

*Jego wiara, początkowo przypominająca ledwie płomyczek, powoli, acz pewnie nabierała intensywności. Pomogła mu przebrnąć przez ten rozpaczliwy etap ziemskiej wędrówki. Przekonał się, że nie potrafi tak po prostu zaakceptować tego, co wydawało mu się niesprawiedliwe, przypadkowe, nie do zniesienia. Próby okazały się zbyt bolesne. Lecz gdy zaczął myśleć, że jego czuła matka i Nura umarły, bo Bóg uwzględnił je w swoim planie, zdołał się z tym pogodzić. Z bólem, ale jednak. To znaczyło, że wiecznością nie rządzi chaos. Że jest w tym wszystkim jakiś sens, nawet jeśli w swej ludzkiej głupocie go nie dostrzegamy. I że pewnego dnia Dżin, chroniony boską miłością, znów się z nimi spotka.*

*Nie należał do radykałów, daleki był od tego, ekstremistów uważał za niepożądane towarzystwo. On po prostu wierzył, z żarliwością człowieka wewnątrznie rozpalonego, pozbawionego za to wiedzy teoretycznej. Bóg był wszędzie, ta świadomość w zupełności mu wystarczała.*

*W tym czasie przywódcy Hezbollahu zrozumieli, że w ich rekrucie zaszła zmiana. Zrobili z niego wojownika, zręcznego artystę do spraw uzbrojenia – którego sprytnie wykorzystywali – kreatywnego nawet w słabo oświetlonych piwnicach, gdzie przeprowadzał wymagające delikatności reakcje chemiczne, produkując bomby tak, jak inni malują obrazy. Dżin powinien był skończyć pod gradem kul w ulicznym starciu, ocalał dzięki Bożej łasce. Przyjdzie jeszcze odpowiedni moment, aby dołączył do panteonu męczenników, którzy wysadzają się w powietrze wśród tłumu wrogów, a tymczasem jego zwierzchnicy, widząc jego inteligencję i umiejętność szybkiego przystosowywania się do rozmaitych środowisk, wpadli na kilka nowych pomysłów.*

*W ramach sprawdzianu zaczęli go uczyć angielskiego.*

*Nigdy się nie dowiedział, że o jego dalszych losach zdecydowano w ciągu kilku tygodni. Gdyby Dżin nie przyswajał języka Szekspira z prawdziwą łatwością, zostałby włączony do programu warunkowania umysłowego dla „ochotników” do samobójstwa.*

*Ale on uczył się szybko.*

*Tak szybko, że przywódcy Hezbollahu zastosowali wobec niego nową formę szkolenia, opartą na zdobywaniu wiedzy. O świecie. O jego kulturze, geografii, geopolityce. O jego pułapkach. Wadach. I o tym, jak się ich wystrzegać. Później zapragnęli sprawdzić, czy Dżin jest dobrym kłamcą – okazał się prawdziwym mistrzem. Właściwie wcale nie łągał, lecz stawał się swoją opowieścią. Kiedy w pełni ją sobie przyswoił, nie szukał jej w obszarach mózgu odpowiedzialnych za kreatywne myślenie, a więc tam, gdzie powstają kłamstwa, ale w tych zajmujących się wspomnieniami, jakby faktycznie przeżył te zmyślane doświadczenia. Zgłębił tajniki NLP, programowania neurolingwistycznego. Wiedział, jakie emocje w naturalny sposób zdradza jego ciało za pomocą przyjmowanej postawy lub pozycji, przeprogramował więc całą swą płytę główną, tak że każdy gest stał się wystudiowany i nic już nie ujawniało jego myśli, jeśli sobie tego nie życzył. Kiedy z kimś dyskutował, studiował ruchy gałek ocznych rozmówcy i sprawdzał, czy zgadzają się z tym, co ten deklaruje, czy podświadomie czerpie z obszarów kreatywnego myślenia, czy z tych odpowiadających za pamięć, i w ten sposób został niezrównanym synergologiem. Niczego nie przyjmował za dobrą monetę, lecz odszyfrowywał wszystko, co dana osoba sobą reprezentowała, postawę, dobór słów, każdy najdrobniejszy gest i spojrzenie, zauważał, czy jest prawo- czy leworęczna, i dzięki temu określał dominującą u niej półkulę, nadając strukturę swojej analizie. Okłamanie Dżina graniczyło z cudem. A jeszcze więcej trudności nastręczało stwierdzenie, czy on sam mówi prawdę.*

*Kiedy decydenci z Hezbollahu uznali, że jest w stanie oszukać słynne amerykańskie poligrafy, należące do CIA i FBI „wykrywacze kłamstw”, wysłali go na zagraniczną misję.*

*Hezbollah przez wiele lat pracował na to, by obsadzić kluczowe stanowiska w służbie celnej oddanymi sprawie szyitami, dzięki czemu kontrolował dużą część libańskiej granicy. Sfabrykowanie autentycznych-fałszywych dokumentów stało się wobec tego łatwizną.*

*W ten sposób Dżin przez kilka lat podróżował po świecie pod różnymi nazwiskami, a wszystkie te tożsamości były jak najbardziej prawdziwe, przynajmniej gdy sam o nich opowiadał. Wykorzystał ten okres, by nauczyć się francuskiego i perfekcyjnie opanować literacki arabski. On, dziecko wywodzące się ze skromnego środowiska, z wprawą eksperta wtapiał się w tło w kręgach międzynarodowej gospodarki.*

*Z biegiem lat stał się niezbędnym trybikiem w maszynie Partii Boga.*

*Hezbollah żył z irańskich pieniędzy. Jedni szyici pomagali drugim w świecie mocno zdominowanym przez sunnitów. Był to niemalże strategiczny obowiązek gwarantujący przetrwanie. Iran marzył o utworzeniu na terenach Bliskiego Wschodu szyickiego*

półksiężycu, więc od zawsze finansował Hezbollah. Lecz organizacja, zaniepokojona, że to podstawowe źródło utrzymania może któregoś dnia wyschnąć, niezadowolona ze swojego uzależnienia od Syrii, sąsiada i pośrednika w kontaktach z Iranem, przez którego przechodziła spora część dotacji oraz uzbrojenia, wykształciła obsesję na punkcie zdywersyfikowania źródeł dochodu w szalonej nadziei na prawdziwą niezależność finansową. Robiła więc, co mogła, wykorzystując to, co miała. Pojawiła się pokusa łatwego zarobku.

Dolina Bekaa, znana już z tego, że mieściło się w niej kilka obozów szkoleniowych Hezbollahu, stała się jednym z największych terenów rodzących marihuanę. Umowa była prosta: rolnicy uprawiali rośliny bez ustanku, na własną rękę i – w razie nalotu policyjnego – na własne ryzyko, ale odsprzedaż zajmował się Hezbollah. Jego członkowie kontrolowali celników, nie mieli więc żadnych problemów z eksportowaniem olbrzymich ilości narkotyku, który każdego roku zalewał Europę. Największe zło nadeszło jednak z Ameryki Południowej. Hezbollah szybko dogadał się z kolumbijskimi i meksykańskimi kartelami, i te zaczęły wysyłać kokainę do Afryki, dużo łatwiej dostępnej niż Stany Zjednoczone czy Europa. Tu nadzoru nie sprawowała ani DEA, ani nawet armia amerykańska. Przez kontynent można było dotrzeć aż do Libanu, gdzie dziurawe granice kontrolowane przez Hezbollah otwierały się jak za sprawą magii, co więcej, Partia Boga wywierała znaczny wpływ na logistykę portową – albo zwyczajnie nią zarządzała. Dzięki temu towar bez przeszkód trafiał do Europy.

Uzależnieni niewierni co roku przysparzali Hezbollahowi setek milionów dolarów.

A Dżin służył za pośrednika w rozmowach ze wszystkimi głównymi graczami. Znał każdego z nich, z każdej strony. W jego paszportach czerniły się pieczętki wszystkich afrykańskich i południowoamerykańskich krajów, a ponadto Francji, Włoch i Niemiec, gdzie spotykał się z sympatyzującą z Hezbollahem szyicką diasporą, gotową oddać mu przysługę, a przy okazji nieco się wzbogacić, zaopatrując lokalne rynki zbytu.

Ale nikczemnym zwierzchnikom Dżina nie brakowało sprytu. Wiedzieli, że na dłuższą metę pojedyncze źródło dochodu nie wystarczy, by zagwarantować przetrwanie. Zadbali więc o dywersyfikację, tworząc w Afryce sieci, które wprowadzały do obrotu towary – głównie diamenty – równoległe do oficjalnie działających kanałów. Także w tym przypadku Dżin nawiązywał kontakty i troszczył się o ich utrzymanie. Tak świetnie kłamał, uspokajał rozmówców z tak niepokojącą łatwością, a do tego tak szybko, niemal na pierwszy rzut oka, rozpoznawał kretów, że wkrótce wszyscy chcieli negocjować wyłącznie z nim.

Tak więc Dżin sporą część życia spędził w anonimowych hotelach oraz w kabinach samolotów. Przemierzał glob, podążając szlakiem „meczetów Hezbollahu”, jak nazywano szyckie miejsca kultu częściowo finansowane przez Partię Boga lub ulegające jej wpływom, położone w krajach, w których organizacja prowadziła handel narkotykami. Pozostałe chwile dzielił między ojczysty Liban a Sierra Leone, strategiczną bazę dla wszystkich swoich

poczynań.

*Dżin bywał niegdyś dobrym duchem lub demonem, teraz stał się widmem.*

*Lodowatym i niewykrywalnym.*

*Jak wszystkie zjawy, krążył między dwoma światami, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Z jednego z nich pochodził, było to uniwersum arabskiej kultury ukształtowanej przez nauczanie Hezballahu, wedle którego świat jest pułapką. Ten drugi charakteryzował się brakiem umiaru propagowanym przez kulturę Zachodu: narkotyki, seks, przepych, chaos, a u władzy wszechpotężny bóg dolar. Wykorzeniony, miotany samotnością, zżerany paranoją związaną z potajemnym życiem, poddany nieustannej presji Dżin składał się wyłącznie z cierpienia, na które przywdziewał coraz grubszą zbroję.*

*Mijały lata, a on stał się istotą, na którą nikt i nic nie miało wpływu. Wszystkie przejawy empatii ściekały po nim tak, jak woda przecieka przez palce.*

*Szkolono go na maszynę do zabijania, on zaś przepoczwarzył się w nieuchwytnego, niewzruszonego szpiega. W przerażające stworzenie, któremu brakowało jedynie ideologii, by stało się najstraszliwszym zagrożeniem, jakie kiedykolwiek poznał świat Zachodu.*

*Ta ideologia krążyła wokół niego niczym ogień otaczający kręgiem kałużę benzyny, trzeszczący, niebezpieczny, fascynujący.*

*W końcu przybrała formę spotkania.*

*Spotkania, które miało odmienić losy jednego człowieka.*

*I wielu innych, wcale o to nie proszących.*

Długie, pozbawione okien pomieszczenie, niemal piwnicę, wypełniał zapach kawy. Komputery, lampy biurkowe i drukarki, w pogardzie dla zasad BHP, podłączono za pomocą opadających kaskadą listew wielogniazdkowych i przedłużaczy, do ścian przyklejono wielkie płachty grubego papieru pokryte setkami notatek, które otaczały żandarmów niemal pełnym kołem. Całe śledztwo przed ich oczami.

Począwszy od profilu sporządzonego przez Ludivine.

„Mężczyzna. 22–45 lat (najpewniej 25–40). Z pozoru introwertyk, ale w głębi duszy pewny siebie, olbrzymie ego. Zawód techniczny lub samotniczy. Kartoteka kryminalna za gwałt/ob. moralności. Na wolności w czasie popełnienia czterech powiązanych morderstw: Georgiany, Héléne, Anne, Laurenta. Stał się dogłębnie religijny (muzułmanin). Trzy lata temu mieszkał w rejonie Éragny”.

Ich mały zespół podzielił się na dwie grupy robocze. Magali, Franck i Ben dalej eksploatowali trop Karima, człowieka, który zaatakował WŚ, mimo że, biorąc pod uwagę okoliczności, jego inicjatywa skazana była na porażkę. DGSI niczego im nie przekazało. Ani wyników rewizji, ani ewentualnych informacji na temat otoczenia sprawcy. Żandarmi musieli pracować samodzielnie tylko po to, by tajne służby mogły się upewnić, że niczego nie pominięto, że ustalenia obu jednostek będą się zazębiały. Druga grupa, złożona z Ludivine, Segnona i Guilhema, podążała tropem kolejowego zabójcy. Kapitan Merrick nadzorował pracę wszystkich. Przez większość czasu przebywał poza kwaterą główną albo siedział z telefonem przy uchu i powołując się na swoje kontakty, usiłował przyspieszyć procedury na rzecz obu ekip. Pozwalał przy tym, by Ludivine swobodnie wykonywała obowiązki kierowniczkę śledztwa.

Lokalowa prowizorka nie ułatwiała im zadania, wciąż tracili mnóstwo czasu przez błahostki, z powodu braku podstawowych udogodnień, na przykład gdy potrzebowali dostępu do rejestrów, pozostawionych w głównym budynku danych kontaktowych lub ważnego sprawozdania, w którym chcieli odszukać konkretny szczegół czy nazwisko... Wszystko było bardziej uciążliwe niż zwykle.

A jednak wraz z upływem godzin zapanowała dziwna atmosfera, pełna skupienia, lecz niemal rodzinna. Sala znajdowała się na terenie jednostki wojskowej, na dolnym poziomie budynku mieszczącego służbowe mieszkania, więc małżonkowie śledczych zaglądali do nich kolejno, przynosili tartę, placek albo ciastka i nieustannie zaopatrywali ich w gorącą kawę. Dyskretni mężowie i żony przeważnie zostawiali zapasy na stole przy wejściu, po

czym znikali bez słowa, domyślając się, ile zaangażowania wymaga praca zespołu, ale gdy tylko któryś z żandarmów odwrócił głowę i ujrzał stertę ofiar, wokół rozchodziła się fala ciepła, pojawiały się rozczulone uśmiechy, czasem padał jakiś żart, żeby na krótką chwilę rozładować napięcie.

Na biurkach Ludivine, Segnona i Guilhema piętrzyły się listy gwałcicieli. Musieli uważnie rozpatrzeć każdą ze spraw, jedna po drugiej. I zachować jedynie te akta, które spełniały kryteria. Była to żmudna praca, na którą poświęcili całą niedzielę, aż do późnych godzin nocnych, po czym spotkali się ponownie z samego rana w poniedziałek.

Mieli w pamięci atak na WŚ i gdy gdzieś w oddali strzelił tłumik, prawie wszyscy poderwali głowy, gotowi skoczyć na równe nogi z bronią w rękę. Wiedzieli, że ze względów bezpieczeństwa cały teren koszar patrolują teraz wojska lądowe, ale to był odruch, serca waliły im jak szalone. W ich głowach wciąż krążyły obrazy, dźwięki i zapachy zapamiętane podczas zamachu, pasożytując na ich zdolności koncentracji.

Późnym rankiem kapitan z IRCGN zadzwonił osobiście, by powiadomić Ludivine, że właśnie przyszły wyniki analizy próbek. Mimo że nie badał ich instytut naukowy żandarmerii, a sprawa utraciła status pilnej, wobec czego prokurator Bellocq już się nią nie zajmował, rezultaty przesłano właśnie do niego, on zaś kazał przekazać je do IRCGN.

Były pozytywne. W jajowodach obu ofiar znaleziono męskie DNA. Okazało się, że w starciu z nauką szorowanie zwłok ma jedynie ograniczoną skuteczność.

– Niech mi pan powie, że DNA odpowiada komuś w bazie FNAEG... Mamy go?

Forsnot westchnął do słuchawki, zanim odpowiedział, starannie dobierając słowa:

– Obawiam się, że panią zaskoczę. Niestety, brak trafień, ale za to mogę pani powiedzieć, że pozyskano dwa różne DNA.

– Słucham?

– Tak, materiał znaleziony w ofierze numer jeden różni się od próbki pobranej od ofiary numer dwa.

– Jest pan pewien?

– Właśnie patrzę na raport z laboratorium.

– Nie mogli się pomylić?

– To godna zaufania prywatna placówka, współpracujemy z nimi od lat, mają jeden z najwyższych wskaźników jakości.

Ludivine była w szoku.

Dwa męskie kody genetyczne. Dwóch gwałcicieli.

Cała jej teoria rozsypała się w proch. Cały profil, na którym opierali się od wielu godzin, stał się bezużyteczny w czasie potrzebnym na wypowiedzenie jednego zdania.

To niepojęte.

Choć właściwie, aby to pojąć, wystarczyło uznać jedną rzecz: człowiek popełnił błąd. *Ona* go popełniła. Zmyliły ją pozory i nie potrafiła sięgnąć dalej, poza nie. Była oszołomiona.



Zdruzgotana.

Rozłączyła się bez słowa i ukryła twarz w dłoniach.

Nie mieli nic.

Żadne z pobranych DNA nie figurowało w bazie – jak znaleźć dwóch mężczyzn w kraju o ponad sześćdziesięciu milionach mieszkańców?

Ludivine przez jakiś czas przetrawiała wiadomość, zanim podzieliła się nią z kolegami.

Guilhem wskazał stos kartek przed sobą.

– Czyli odpuszczamy sobie to wszystko? Jeżeli tak, to oznacza klępkę na całej linii. Wracamy do punktu wyjścia.

– Nie – sprzeciwił się Segnon. – Nie wszystkie założenia są fałszywe. Coś nam oczywiście umknęło, ale reszta, w ogólnym zarysie, nadal pasuje. Lulu, myślę, że masz rację: to jeden gwałciciel, który już kiedyś dał się złapać.

– *Dwóch* gwałcicieli – poprawiła z naciskiem Ludivine, wciąż otumaniona odkryciem, jak bardzo się pomyliła.

– O takim samym modus operandi w przypadku Georgiany Nistor i Hélène Trissot? Co do najdrobniejszego szczegółu?

– Działają razem.

– Sądziłaś, że to samotnik, introwertyk, więc czy to by nie było troszeczkę dziwne?

– Duety seryjnych morderców zwykle składają się z osoby dominującej i zdominowanej – wyjaśniła Ludivine bez przekonania.

– Każdy gwałcił, kiedy przyszła jego kolej... – zgadywał Guilhem. – I może potem zdominowany zaczął wywierać wpływ na tego drugiego i zainicjował ewolucję, stąd różnica w sposobie działania między dwiema pierwszymi a Anne Tourberie.

– Wówczas upadłaby hipoteza nawróconego zabójcy, który nabrał żarliwości religijnej... – zauważyła Ludivine.

Guilhem wrzucił ramionami. Segnon gryzł wargi, pełen wątpliwości.

– W tej teorii o morderczym duecie jest mnóstwo elementów, które mi nie pasują – wyznał. – Po pierwsze, zgadzam się z Lulu, ten typ przestępcy, o tak rozwiniętych i skonkretyzowanych fantazjach, uderza sam. Tak spersonalizowanej zbrodni nie dzieli się z nikim innym.

– Chyba że zdominowany nie robi nic albo prawie nic – zaproponował Guilhem. – Jest całkowicie uległy, zgwałcił jedną z dziewczyn, ale miał marginalny wpływ na kształtowanie sposobu działania.

– Wręcz przeciwnie – powiedziała Ludivine. – Wszystko w tych zbrodniach wskazuje na chłopaka, który podczas ataku wykazuje pewność siebie, choć w codziennym życiu to prawdopodobnie introwertyk. Nie jest ani dominującym, ani zdominowanym, ale nimi oboma, zależnie od okoliczności. Nie wyobrażam sobie, by miał z kimś współpracować. To nie pasuje.

– No to dlaczego mamy dwa męskie DNA?

Nagle w umyśle Ludivine zapaliło się światełko.

– Ale ze mnie kretynka!

Skupiła się na zabójcy. Od dwóch dni taśmowo selekcjonowała profile, zamknęła się w tym świecie i dostrzegała jedynie to, czego szukała, nie pomyślała natomiast o najoczywistszym, najprostszym rozwiązaniu. Oto dowód na to, jak bardzo zaślepilo ją śledztwo, a także jak ją wymęczyło.

– Kto mówi, że obie próbki należą do morderców? – tłumaczyła swój wybuch. – Być może, choć wcale nie na pewno, jedna z nich faktycznie pochodzi od gwałciciela. Druga to DNA kochanka.

Przez chwilę patrzyli po sobie w milczeniu, zawstydzeni, świadomi, że to podstawowa hipoteza robocza, od której powinni wyjść w każdej tego typu sprawie. Nikt o niej nie pomyślał. Kręcili się w kółko, wycieńczeni, dostrzegając w pierwszej kolejności zło, a nie życie.

– Hélène miała faceta – podjęła Ludivine. – Bez trudu pozyskamy od niego próbkę, żeby przeprowadzić porównanie. Podobnie w przypadku Mirka, który spotykał się z Georgianą.

– Jeśli okaże się, że to oni, prokurator strasznie się wścieknie, że zezwolił na ekshumację – jęknął Guilhem.

– To oni – uciał Segnon z ponurą miną. – W przeciwnym razie któreś DNA przyniosłoby trafienie we FNAEG-u. W stu procentach popieram hipotezę o gwałcicielu, który już kiedyś wpadł.

– A jeśli to obcokrajowiec? – podsunęła nagle Ludivine. – Nie ma go w naszych bazach. Był karany, ale my nic o tym nie wiemy.

– Roześlę prośbę o sprawdzenie w europejskich rejestrach genetycznych – przyklasnął jej Guilhem. – Możemy tylko mieć nadzieję, że popełniał te swoje obrzydlistwa w jednym z krajów, z którymi współpracujemy, inaczej klops.

– Kiedy dostaniemy odpowiedź? – spytała Ludivine.

– W przypadku większości sąsiednich krajów procedura została częściowo zautomatyzowana, więc pójdzie szybko. Kompletny raport otrzymamy w ciągu tygodnia.

– Wyjaśnij, że sprawa jest pilna, przyspiesz to jakoś. Człowiek Słoń cię wesprze, zna mnóstwo ludzi. Ja zadzwonię do kierowników śledztwa z obu SRPJ, poinformuję ich o naszych bieżących ustaleniach i poproszę, żeby pilnie pobrali próbki DNA od Mirka z obozu Romów i od byłego chłopaka Hélène Trissot.

Pod koniec dnia Ludivine posłała wszystkich do domów. Czuli przesyty. Do tego stopnia, że mogli przegapić coś ważnego albo całkiem zejść na manowce, czego ledwie uniknęli rano.

Ruszyła w swoją stronę, w ciągu dwóch minut dwukrotnie zerkając na telefon. Żadnych wieści od Marca.

DGSI poprosiło, by WŚ dalej zajmował się sprawą, ale samo nie paliło się do współpracy. Ludivine wyobrażała sobie, że siedzą tam jak na szpilkach, przeprowadzają rewizję za rewizją, w pośpiechu analizują wszystko, co znaleźli, przesłuchują aresztantów, których niełatwo skłonić do puszczenia farby – wyobrażała sobie buzujący energią ul, gdzie nie ma miejsca na nic innego.

Brakowało jej Marca. Marzyła o jakiejś wiadomości. Wystarczyłby SMS z zapewnieniem, że wszystko w porządku, jakiś przejaw uwagi, dowód, że o niej myśli.

*Jest cholernie zajęty i nie ma czasu na pierdoły! Przestań być taka cikliwa...*

Od razu pożałowała, że była względem niego taka surowa. W ich dziwnej relacji wyczuwała coś wyjątkowego. Na jego widok, kiedy jego imię wyświetlało się na ekranie komórki albo gdy budziła się u jego boku, ogarniało ją szczęście. Nie chodziło, rzecz jasna, o miłość, lecz o tę szczyptę błogości, która czyni człowieka lekkim, a każdy dzień bardziej kolorowym. I nie było w tym jej winy. Ona o nic nie prosiła, o nic nie zabiegała, to Marc od razu do niej wrócił. Już pierwszej nocy zachowywał się tak, jakby rozpoczynali prawdziwy związek. Jakby to było coś *poważnego*.

Gość taki jak on. Który snuł plany z jej udziałem.

Wydawał się zdrowy. W każdym razie w kontekście tego, co w dzisiejszych czasach kryło się jeszcze za wyrażeniem: „o zdrowej psychice”, choć był facetem poturbowanym przez życie, ze swoimi wadami i skazami... Krótko mówiąc, mieścił się w szerokim spektrum normalności. Rzadki przypadek. Ludivine miała też wrażenie, że każde z nich w jakiś sposób nadrabia niedostatki drugiego. Oto klucz do relacji mogącej przetrwać na dłuższą metę.

*Odpręż się. To jeszcze nie pora.*

Ale gdzieś tam pobłyskiwała iskierka nadziei. Małeńka, lecz rzeczywista. A jej obecność, choć ledwie dostrzegalna, miała na Ludivine zbawienny wpływ, kobieta chciała ją więc podtrzymać, strzec jej, żeby nie zgasła. Kto wie, co z biegiem czasu może wzniecić iskierka? Ognisko nieskończonej radości?

Albo dramatyczny w skutkach pożar.

Kiedy dotarła do domu, zaczęła pomstować na osobę, która zaparkowała furgonetkę na jej bramie wjazdowej. Nie zamierzała dziś wieczorem wyprowadzać samochodu, ale gdyby zaistniała taka konieczność, musiałaby, trąbiąc, postawić na nogi całą dzielnicę.

Weszła do ogrodu, który w zimie wydawał jej się smutny. Na wiosnę, gdy znajdzie czas, powinna nad nim popracować, znaleźć krzewy i inne rośliny, które w martwym sezonie przydadzą temu miejscu nieco życia. Obecnie miała wrażenie, że brnie przez cementarzysko, otoczona wychodzącymi z grobów szkieletami roślin.

O tym właśnie myślała, bez reszty pochłonięta drobnymi troskami, kiedy zza ściany domu, od strony schodów wiodących do piwnicy, wyłoniła się postać. Zaskoczona Ludivine dostrzegła jedynie smycz, którą mężczyzna trzymał przed sobą.

– Przepraszam, zgubił mi się pies – oznajmił, zanim zdążyła zareagować.

Gdy tylko usłyszała te słowa, mimo że nie mogła dojrzeć twarzy skrytej pod daszkiem czapki, wiedziała.

Jej dłoń pomknęła do boku, w kierunku sig sauera.

Smycz wystrzeliła niczym bicz i trzasnęła Ludivine w nadgarstek, odwracając jej uwagę od drugiej dłoni mężczyzny.

Porażenie paralizatorem.

Wszystkie mięśnie Ludivine skurczyły się, jej układ nerwowy drgnął konwulsyjnie, a głowę wypełnił biały rozbłysk.

Później coś upadło, silnie pachnąca szmata zakryła jej usta i otoczenie zakołysało się gwałtownie.

Woń wniknęła jej głęboko do gardła. Ludivine chciała wstrzymać oddech, ale się dławiała. Chciała walczyć, lecz kończyny miała sztywne, jakby uwięzione w gipsie. A zatem, wiedzona instynktem przetrwania, zaczerpnęła pełne płuca powietrza.

Wszystkie jej przekonania zachwiały się nagle, a ją połknęły ciemności.

Segnon, pochylony nad umywalką w łazience, spryskał twarz wodą i patrzył, jak jej krople ściekają po skórze. Oczy miał zaczerwienione. Kiepska noc.

Laëtitia nie ułatwiała mu życia.

Po ataku na koszary żona błagała go, by odszedł z żandarmerii. By rzucił wszystko i wyjechał z rodziną na południe, do słońca. „I co tam będę robił? – zapytał. – Zostanę ochroniarzem w supermarkecie? U jubilera? Żeby skończyć z kulką w brzuchu, bo jakiś durny dzieciak naogląda się gangsterskich filmów i ubzdura sobie, że jest Robertem De Niro? Serio, zastanów się, Laëti, naprawdę chcesz, żebym zostawił moje życie tutaj, moją karierę, moją pasję...?”

Taką samą rozmowę przeprowadzili już pół roku wcześniej, po tym, jak Laëtitia przeżyła koszmar w autobusie. Tym razem Segnon obawiał się, że na jego rodzinę spadł o jeden dramat za dużo.

Uderzył się o szafkę na lekarstwa i zdenerwował się na tę łazienkę, za ciasną dla człowieka jego postury.

Laëtitia czekała na niego w przedpokoju, w wyciągniętych rękach trzymała szarą melanzową bluzę z wielkim napisem „WSTREŃNY ŁOBUZIAK”.

– Masz, ta, którą włożyłeś, nie pasuje ci do spodni.

Chciała zawrzeć pokój. Segnon znał ją lepiej niż ktokolwiek, to był jej sposób, by powiedzieć: „Zobacz, wychodzę ci naprzeciw, troszczę się o ciebie, więc nie miej mi za złe i też uczyni jakiś wysiłek” albo coś przynajmniej równie długiego. Laëtitia nigdy nie wykonywała szybkich ruchów, nie w sferze pojednań.

– A coś mi mówiło, że czerwony gryzie się z zielonym – przyznał Segnon niezwykle łagodnym, miał nadzieję, tonem.

Jego żona pokręciła głową.

– Masz rację, zostań już lepiej śledczym, przynajmniej w tej dziedzinie brylujesz.

Patrzyli na siebie w półmroku przedpokoju, Segnon pogładził jej twarz swoją wielką dłonią. Wzięła go w ramiona.

Tak bardzo kochał żonę, że z całego serca pragnął, by więcej nie nalegała, ponieważ wiedział, że ostatecznie zrobi wszystko, co trzeba, żeby przedłużyć ich szczęście.

Segnon przyszedł jako ostatni, jak to się często zdarzało, odkąd zaczął co drugi dzień odstawiać bliźniaków do szkoły. Tak mu się przynajmniej zdawało, dopóki nie spostrzegł, że brakuje Ludivine.

– Lulunatora jeszcze nie ma? – rzucił ze zdziwieniem.

Tym przezwiskiem – w którym Terminator splatał się ze zdrobnieniem jej imienia – określali szefową pod jej nieobecność. Nie znosiła go, uważając, że kreuje fałszywy obraz jej osoby, i błagała ich, żeby wymyślili inne, przynajmniej bardziej kobiece.

– *Nope*. Myszy mogą harcować... – odparł Guilhem, który z elektronicznym papierosem w dłoni surfował po Internecie.

– Skończyłeś sortować swoje profile?

– Nie, przygotowuję się psychicznie na następnych dziesięć godzin. Już jestem padnięty.

– Ilu na razie masz?

– Około dziesięciu, wszyscy mniej więcej pasują. W każdym razie w chwili popełnienia pierwszej zbrodni mieszkali w regionie paryskim, w Vexin albo Eure, a nie na drugim końcu kraju. A ty?

– Podobnie, dwunastu albo trzynastu, ale jeszcze nie skończyłem.

Segnon rzucił okiem w stronę biurka koleżanki i stwierdził, że wyselekcjonowała zaledwie ośmiu mężczyzn, a na blacie wciąż piętrzy się pokaźny stos dokumentów. Wolno posuwała się do przodu, bo panicznie się bała, że przeoczy jakiś ważny szczegół.

Kwadrans później zjawił się Marc Tallec, trochę zagubiony w ich prowizorycznym biurze.

– Niełatwo was znaleźć – stwierdził, rzucając Segnonowi torbę pełną rogalików, którą ten złapał w locie.

– Dziś po południu się przenosimy – poinformował go Guilhem, pochylając się i częstując słodkim wypiekiem. – Miły gest, dzięki.

– Pozostali są w koszarach, mają ocenić stan lokalu – dodał Segnon.

Marc sprawiał wrażenie człowieka, który znalazł się u kresu sił. Pod zaczerwienionymi oczami rysowały się dwa czarne półksiężyce, a stylowy kilkudniowy zarost przekształcił się w nierówno przystrzyżone załączki brody.

– Pomyślałem, że dzięki temu wybaczyście mi, że nie odezwałem się wcześniej. Po drodze zajrzałem do domu i po raz pierwszy od soboty rano wzięłem prysznic i zmieniłem ciuchy. Ludivine jest w koszarach?

– Jeszcze nie przyszła.

– Nie odbiera telefonu. Obraziła się o coś?

Segnon potrząsnął głową.

– Pewnie zasnęła. Jak wam idzie w Levallois?

– Zaraza wypełza zewsząd, ale niewiele mówi. Za to zmusiliśmy do gadania kilka komórek i laptopów. Obecnie łączymy Karima z trzema podejrzanymi, niezbyt groźnymi płótkami. Krążyli wokół Fissouma i wszystko wskazuje na to, że zamierzali przekroczyć żółtą linię.

– Zostać radykałami?

– To już dawno mieli za sobą! Nie, mówię o przystąpieniu do akcji. Dowiadywali się, jak

zrobić bombę.

– Nie wykryliście ich wcześniej? – zdumiał się Guilhem.

– Owszem, mieliśmy ich na oku z powodu ich związków z Fissoumem, należeli do jego najbliższego otoczenia, dlatego znaleźli się pod wzmożonym nadzorem. Wypada uznać, że poszczęściło nam się, kiedy Karim postanowił sam zabawić się w żołnierza.

– Wystawił ich? – spytał Segnon.

– Najwyraźniej. To największy paranoik w bandzie, jej najbardziej porywczy, ale też najbardziej zdeterminowany członek. Nie mógł znieść śmierci ukochanego imama, oskarżał państwo o popełnienie zamachu. Z tego, co dotąd udało nam się ustalić, jako jedyny dysponował bronią. Zwędził ją starszemu bratu zamieszanemu w handel narkotykami w Val d'Argenteuil.

– Więc rozbiliście całą komórkę? Jesteśmy... bezpieczni? – upewnił się Segnon, myśląc o żonie.

Marc ściągnął wargi i z zatroskaną miną spojrzał najpierw na Segnona, a później na Guilhema.

– Ci goście to kretyni – rzucił w końcu.

– Kretyni, którzy mogli urządzić rzeź – odparł Guilhem z ustami pełnymi rogała.

– Tak, ale jest w tym coś dziwnego. Przechwyciliśmy kilka wymian SMS-ów i wygląda na to, że Fissoum się nimi bawił. Głosił skrajnie ekstremistyczne salafickie poglądy, a jednocześnie powtarzał im, żeby absolutnie nic nie robili, żeby się nie wychylali.

– Czy takie wodzenie za nos nie było świetną techniką manipulacyjną?

– Nie w tym przypadku. Zgodnie z tym, co właśnie wywlekamy na światło dzienne, Fissoum zdawał się niemal zażenowany ich istnieniem. Mężczyzna pełniący funkcję lidera ich małej grupki przekonywał nawet, że nie powinni informować go o swoich zamiarach, żeby nie próbował ich od nich odwieść.

– Fissoum był wizjonerem, organizatorem, prawda? – przypomniał sobie Segnon. – Może czekał na odpowiedni moment, odpowiedni cel? A oni byli jak wściekłe psy... Nie dało się ich kontrolować.

Marc rozłożył ręce na znak swojej niepewności.

– To właśnie musimy ustalić. Dobra. Przekażcie Ludivine, że wpadłem i że ją całuję. Wracam do czyścica.

– Tallec! – zawołał Segnon, zanim ten doszedł do wyjścia. – Obawia się pan kolejnego ataku?

Marc zrobił głęboki wdech i uniósł brwi.

– Nie dorwaliśmy wszystkich, o tym jestem przekonany. Fissoum nie był prawdziwym mózgiem, a tym kretynom daleko do poziomu agentów godnych naszego imama. Jest w tym coś jeszcze, ale nie umiem stwierdzić co takiego i to mnie doprowadza do szaleństwa. Jestem pewien, że morderca, którego tropicie, jakoś wiąże ze sobą to wszystko, że mogłby

nam wyjaśnić, o co biega.

Po tych słowach zniknął.

Ale piętnaście minut później jego nazwisko wyświetliło się na ekranie należącej do Segnona komórki.

– Nie odbiera telefonu i nie ma jej w domu – ogłosił Tallec. – Czy ma w zwyczaju zostawiać otwartą furtkę?

Segnon, zaskoczony poważnym tonem Marca, wybełkotał:

– Yyy... Nic mi o tym nie wiadomo. Na pewno jej nie ma?

– Jestem na miejscu. Pusto.

Serce Segnona przyspieszyło. Z natury był raczej opanowany, nie należał do osób, które łatwo coś sobie roją, ale okoliczności sprawiły, że od czterech dni wszystkim doskwierała lekka paranoja. Zastanawiał się, co zrobić, co odpowiedzieć, a tymczasem instynkt przemówił za niego:

– Okej, niech pan się stamtąd nie rusza, już jadę.



Obawiała się tej chwili. Odwlekała ją najdłużej, jak się dało, gotowa na wszelkie ustępstwa, byle już więcej nie wrócił, choć doskonale wiedziała, że to nieuniknione.

Czuła się jak zwierzę w drodze na rzeź, marzące o tym, by podróż nigdy nie dobiegła końca.

Ale ciężarówka już parkowała, bramy hangaru się rozwierały, a ona słyszała rzeźników wkładających fartuchy i ostrzających noże.

Jej grób otworzył się od góry.

– Wyłaż – rozkazał pozbawiony życia głos.

Na skutek zamknięcia i różnych niedostatków Ludivine była w połowie ogłuszona, oślepił ją nagły rozbłysk zbyt jaskrawego światła, umysł miała ociężały. Rozprostowała się z wielkim trudem, nogi ledwie utrzymywały jej ciężar, bolały ją kolana, pośladki jej ścierpły, plecy dokuczały. Próbowwała podnieść się powoli, lecz więzy na nadgarstkach dodatkowo utrudniały to zadanie.

Mężczyzna chwycił ją za ramiona i bezceremonialnie wyciągnął z celi, demonstrując sporą siłę fizyczną.

Chwilę pełzła, po czym zwała się na zimną betonową podłogę.

Nie znajdowała się już w grobie, a jednak nigdy wcześniej nie była tak bliska śmierci.

Bóle żołądka przebudziły się z taką mocą, jakby ktoś wiercił jej w brzuchu rozżarzonym prętem, przyniosło to jednak tę korzyść, że całkiem otrzeźwiała.

Piwnica. Leżała w śmierdzącej wilgocią piwnicy.

Jej zmysły w mgnieniu oka przystosowały się do zmiany warunków. Zaczynała już coś widzieć, mimo że światło raziło ją po tak długim okresie spędzonym w mroku. Ile godzin tam wegetowała? Piętnaście? Dwadzieścia?

Ujrzała małe pomieszczenie o usianych czarnymi plamami ścianach, z których łuszczyła się farba, okienko zasłonięte szmatami i grubą warstwą wełny skalnej.

*Żeby wytłumić dźwięki... krzyki.*

Żadnego mebla. Jej więzienie było zaledwie ciasnym dołem wykopanym pod płytą podłogową, dostępu do niego bronił wzmacniany właz. Ile można przetrwać w podobnej dziurze?

Wtedy Ludivine odwróciła głowę i w przeciwległym kącie dostrzegła brudny materac leżący na gołej ziemi. Przykryty płachtą przezroczystego plastiku.

Jej serce zaczęło bić jak szalone. Wiedziała, że to tutaj. Płachta wyglądała na nową.

*To dla mnie...*

Do oczu napłynęły jej łzy.

Gardło ścisnęło jej się, gdy zobaczyła plastikową skrzynkę podobną do tych, których używają wędkarze, stojącą obok trzech butelek wybielacza.

Kwaśny, palący strumień podszedł jej do gardła.

Właśnie dojrzała opaski zaciskowe zaczepione na gwoździu wbitym w ścianę nad materacem – tworzyły obszerne pętle, gotowe do użytku.

Mężczyzna uskoczył przed strugą żółci i wydał z siebie pełen obrzydzenia okrzyk. Ludivine przetoczyła się na bok, pokonana, walcząc o zachowanie przytomności.

Postać w całości obleczona w skórę górowała nad nią, szukając odpowiedniej pozycji. Jest nagi, zrozumiała Ludivine, co wywołało kolejny kwaśny skurcz wrażliwych ścian żołądka, dobywając z niej jęk.

– Wczołgaj się tam – polecił oprawca, wskazując materac.

Ludivine potrząsnęła głową, jak pies, który okazuje nieposłuszeństwo swojemu panu, bardziej przerażony tym, czego się od niego wymaga, niż wizją razów, które na niego spadną.

Mężczyzna pokazał jej paralizator i zamachał nim.

– Właż albo przysmażę ci cipę.

Już same te słowa podziały na nią jak kopnięcie prądem. Wyobrażając sobie, a raczej antycypując cierpienia, które zamierzał jej zadać, zbliżający się gwałt i opaski, które brutalnie zacisną się wokół jej szyi, żeby ją udusić, sprawić, że umrze w konwulsjach, Ludivine odzyskała kontrolę i odsunęła na bok wycieńczenie oraz strach.

*Zdobądź jak najwięcej informacji.*

Tylko tyle mogła zrobić.

By zyskać kilka sekund, ponownie przetoczyła się w bok i z olbrzymim trudem podniosła się na kolana. Nie musiała symulować osłabienia. Choć zaczynała już odzyskiwać czucie, kończyny ją mrowiły.

Ta kłitka była pierwszym z trzech przechodnich pomieszczeń.

W sąsiednim stała ławka do ćwiczeń, a z ostatniego dobiegało buczenie bojlera.

*Wyjście na parter na pewno jest tam, na końcu.*

Zdawało jej się, że to kraniec wszechświata. Cała wieczność pełzania, turlania się, kuśtykania w nadziei, że w końcu dostrzeże schody. Nie ma szans. Dopadłby ją, jeszcze zanim dotarłaby do ławki treningowej. Wszystkie lata ćwiczenia się w sztukach walki na nic by się nie zdały. Ledwie mogła wstać, nie była nawet pewna, czy zdoła utrzymać się na nogach, podczas gdy on, napięty, przypominał dzikiego kota szykującego się do skoku na ofiarę.

Podniosła na niego wzrok, na to ciało z jego przerażającą nagością.

Szok sprawił, że niemal zwymiotowała kolejny strumień żółci.

Znała tego typu.

Albo raczej gdzieś już widziała jego twarz, lecz nie potrafiła przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach.

Był wysuszony. Zapadnięte policzki, grube ciemne brwi podkreślające bezlitosne jak u sokoła oczy. Ogolona czaszka. Wargi bezkrwiste, prawie niewidoczne. Surowa powierzchowność sprawiała, że wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, choć Ludivine sądziła, że jest odrobinę młodszy. Miał długie, nerwowe ramiona, cały jego szkielet oplatały wąskie wstążki naprężonych mięśni przypominające mocne gumki recepturki. Właściwie nie był potężnie zbudowany, raczej uzbroił się w pancerz, który pomagał mu w pełnieniu misji, w uniform rzeźbiony niezmordowanie na ławce do ćwiczeń w sąsiednim pomieszczeniu po to, by mógł przejąć kontrolę, pokonać, zdominować.

Maszyna do zabijania.

– Dalej! – warknął. – Wdrapuj się tam! Powtórzysz dla mnie to, co mówiłaś tej nocy. Chcę znów usłyszeć te słowa.

*Tej nocy.*

Przez szpary między wełną skalną a okienkiem wpadało światło, z czego wnioskowała, że nastał już dzień. Nie spędziła tu ponad dwudziestu czterech godzin, co do tego nie miała wątpliwości, a to znaczyło, że zaczęła grać o swoje życie w noc bezpośrednio po porwaniu.

*Chciał zająć się mną prawie od razu... Podniecenie okazało się zbyt silne, by mu się opierać, mimo zmęczenia... Ale dzięki temu, co powiedziałam... To mu wystarczyło... Aż do teraz.*

Ranek po uprowadzeniu. Co najwyżej południe, oceniła.

Nie minęło wystarczająco dużo czasu, by mogła liczyć na jakąkolwiek pomoc z zewnątrz. Przyjaciele pewnie nie zdążyli nawet zaniepokoić się jej zniknięciem.

Znikąd nadziei.

Umrze w tej obskurnej piwnicy.

Chyba że zacznie działać. Sama była swoją jedyną nadzieją.

– Powtórzę... je... dla pana – zdołała wykrztusić, mimo że gardło wyschło jej na wiór z pragnienia i stresu.

– Zamknij mordę! Dopiero kiedy ci każę! Na razie włącz na materac.

Ludivine wiedziała, że w chwili, gdy oprze na nim kolana, jej los będzie przesądzony. Mężczyzna znajdzie się w swojej strefie komfortu, jego fantazja się rozpocznie, a zważywszy na jej intensywność, Ludivine zostanie porwana i wchłonięta niczym żdźbłomiotane przez tsunami, cokolwiek spróbuje zrobić.

*Graj na zwłokę!*

Udała przystęp słabości i rozpląszczyła się na zimnym betonie.

*Furtka. Znajdź furtkę, przez którą dostaniesz się do jego głowy! Nawiąż komunikację.*

Nie mogli rozmawiać o jego żądzach: teraz, kiedy ją widział, zginęłaby, gdyby ponownie

sięgnęła po strategię z ubiegłej nocy.

*Jego inne wady! Gdzie się kryją? Jeszcze raz przeanalizuj wszystko, co wiesz! Znajdź jakąś furtkę, do kurwy nędzy!*

Kopnął ją w zębra. Ludivine zdusiła krzyk. Nie zamierzała dać mu tej satysfakcji.

– No już! – wściekł się mężczyzna.

Powoli wsparła się na łokciu, później na drugim. Każdy ruch zapewniał jej chwilę odroczenia, dawał dodatkową szansę na zlokalizowanie szczeliny, której potrzebowała.

– Chcę po raz ostatni się pomodlić – oznajmiła nagle. – Tylko o to... – Zacmokał kilkakrotnie, by dać jej do zrozumienia, że nie ma takiej opcji, po czym wskazał stopą materac. – Błagam pana... niech mi pan powie... gdzie jest południowy wschód. Chcę się pomodlić...

Zapanowała głucha cisza. Absolutna nieobecność dźwięku. Oboje wstrzymali oddech.

– Jesteś muzułmanką? – zapytał.

Ton jego głosu nieco się zmienił. Wkradła się w niego nutka niepewności.

Ludivine nie odpowiedziała.

Jego słaby punkt tkwił właśnie tu, gdzie niedawno nabyte przekonania religijne stykały się z ponurymi, zakazanymi fantazjami.

– Chcę się tylko pomodlić... Później zrobisz, co zechcesz, Bóg będzie nade mną czuwał.

Zwróciła się do niego przez „ty”, by zatrzeć wszelki dystans między nimi.

Nie reagował. Usiłuje przeciągnąć Boga z powrotem na swoją stronę, odgadła Ludivine. Żeby usprawiedliwić swój czyn.

W następnej chwili pomyślała o porwaniu. To nie był przypadek. Zaczaił się na nią, bo wiedział, że podąża jego tropem.

*Gdzie ja widziałam tę twarz?*

Nie podczas sortowania akt skazanych gwałcicieli, wydrukowane przez nich dokumenty nie zawierały fotografii.

*Skoro się na mnie zasadził, to znaczy, że deptałam mu po piętach.*

Skąd o tym wiedział?

*Nie zabija już, by zaspokoić własne żądze! Teraz traktuje to jako służbę...*

Służył jakiejś sprawie, Brach i Fissoum stanowili tego dowód. Nie zaangażował się w żadną wojnę religijną, nie był chrześcijańskim ekstremistą zwalczającym radykalnych muzułmanów, nie, Fissoum poszedł z nim dobrowolnie, a morderca pozwolił mu zwrócić się w stronę Mekki i umrzeć z modlitwą na ustach. Inaczej było z Brachem, którego śmierć wyreżyserowano po to, by zmylić śledczych. Zabójca podzielał wiarę swych ofiar.

Widząc plastikową płachtę, która czekała na nią trzy metry dalej, Ludivine nie robiła sobie złudzeń. Popępiał zbrodnie w imię Boże, lecz przy tym korzystał z okazji, by rozlać się na świat, zaspokoić swoje perwersyjne fantazje... To w dalszym ciągu one leżały u podstaw tego, czym się stał. W jaki sposób usprawiedliwi gwałt i egzekucję na niej, tak żeby wydały

się czymś koniecznym? Nie miał żadnego powodu... poza tym, że chciał się przed nią uchronić. Ale to nie był przejaw oddania, lecz egoizmu, podyktowany chęcią przetrwania. Znalazł się więc w niejednoznacznej sytuacji.

– Przestań gadać i idź tam! – odezwał się znów napastnik, tym razem bez złości.

Odkąd zyskał głęboką wiarę, zabijał, by okazać posłuszeństwo. Pośrodku była Anne Tourberie, swego rodzaju etap przechodni, jego ostatni niekontrolowany wybryk. Ale od tamtej pory służył większej sprawie.

*Jest posłuszny, bo odpowiada to zarówno jego religijnym poglądom, jak i osobistym potrzebom.*

Czy Ludivine została wskazana przez jego zleceniodawcę, czy też porwał ją, bo zbyt blisko się do niego zbliżyła? W tym pierwszym przypadku – zmiażdży ją. Jeśli zbrodnię uzasadnia jakiś wyższy porządek, nie będzie miał wyboru. Ale jeżeli to własna inicjatywa...

Gdzieś nad nią zatrzeszczał elektryczny łuk paralizatora.

– Sfajczę ci cipę! – zagroził ze zdenerwowaniem.

*Niecierpliwi się, przyszedł po mnie, bo podniecenie wróciło, a ja mu wszystko rozpierdalam.*

Pojęła, że on wkrótce się wykolei. Ciosy, wściekłość i jeden z dwóch wyników: albo da się ponieść i zakończy sprawę, albo w końcu się zmęczy i nie chcąc psuć sobie tej wielkiej chwili, wsadzi ją z powrotem do grobu na kilka dodatkowych godzin.

*Za duże ryzyko.*

Musiała skierować go na inne tereny, zasiał w nim ziarno wątpliwości. Ukazać sprzeczność między tkwiącymi w nim fanatykiem i zabójcą. Utopić go w jego własnych wewnętrznych zmaganiach, gdzie dobro ściera się ze złem, żeby ta kwestia zajęła w jego głowie więcej miejsca niż żądza gwałtu.

– Bóg mnie obroni, przyjmie moją duszę – oświadczyła straszliwie kleistym głosem.

– Morda w kubek.

– Otworzy przede mną bramy swojego królestwa, bo wie, że jestem ofiarą zła. – Grzebiąc w pobudzonej przez stres pamięci, Ludivine znalazła słowo, którego używał dawny kolega muzułmanin, by opisać postępowanie zabronione w islamie. – Zabicie mnie jest haram – dodała. – Odpowiesz przed nim za swoje czyny.

– Cicho!

– Jeśli zgwałcisz i zabijesz wierzącą, ściągniesz na siebie jego gniew i...

Przytknął paralizator do jej ramienia i raził ją prądem. Ludivine spięła się cała, przez jej ciało przemknęła błyskawica, zęby zacisnęła tak mocno, że prawie popękały.

– Zamknij pierdoloną gębę! – ryknął mężczyzna.

Ludivine dyszała, przykucnięta. Sprowokowała go, a on zareagował, co znaczyło, że dotknęła czułej struny, dzięki niej wypadł z utartych kolein swoich fantazji. Była na dobrej, lecz niebezpiecznej drodze, gdzie jeden fałszywy krok zostanie ukarany plastikową opaską

zaciskającą się na gardle...

– Jeśli we mnie wejdiesz – udało jej się wymamrotać – to tak, jakbyś gwałcił Boga.

Kolejna fala brutalnych kopniaków prosto w zębra.

– On jest wszędzie – stęknęła. – Wie wszystko, widzi wsz...

– Na materac, cholerna suko!

Obcas mężczyzny trafił Ludivine w wargi, aż poleciała w tył. Huknęła czaszką o podłogę i przez chwilę sądziła, że straci przytomność. Walczyła. Z całych sił, z uporem osoby, która zdaje sobie sprawę, że jeśli przegra, zginie. Smak krwi w ustach pomógł jej utrzymać świadomość.

– Wiem, co się dzieje w twoim wnętrzu – rzuciła, krzywiąc się. – Odrażające żądze toczą bitwę z twoją wiarą. Wiem wszystko. Bóg mi pokazuje.

Paralizator znów przyprawił ją o konwulsje. Niekończące się wyładowanie.

Później mężczyzna wyprostował się i oddalił, żeby wrzasnąć. Ryk dzikiej bestii, coś między furią a agonią.

Ludivine, na wpół zamroczona po zaznanych katuszach, zebrała każdą cząsteczkę energii, jaką jeszcze w sobie miała, by utrzymać powieki uniesione, przynajmniej półotwarte... Z jej ust wydobywała się krwawa ślina, paznokcie wbiła we wnętrza dłoni. Ale jej wargi wykrzywił okrutny uśmiech.

Wytrąciła go z równowagi. Wyrwała ze stanu podniecenia. Teraz albo od razu ją zabije, albo odczeka, aż złość opadnie i znów poczuje ekscytujący posmak kontroli, dominacji... i jego seksualna żądza przeważy nad wątpliwościami, nad poczuciem winy względem Boga.

Kiedy ponownie się zbliżył, chwycił ją za kostki i brutalnie przeciągnął po podłodze, aż wpadła z powrotem do ciemnej dziury.

– Wielki džihad, muszę prowadzić wielki džihad! – mówił do siebie, jakby próbował do czegoś się przekonać. – Tak, tak, żeby dojść do małego džihadu. Powiedział, że dogmat trzeba wprowadzić w życie! Kazał zabrać ze sobą tyłu, ilu się tylko da! A ta kafir to jedna z nich! Jedna z nich!

Zamknął właz na klucz, a Ludivine skuliła się w ciemnościach, z których teraz czerpała otuchę.

Właśnie ugrała kilka godzin.

Przy następnej okazji porywacz znajdzie sposób, by raz na zawsze nałożyć jej kaganiec.

Zrobiła głęboki wdech, żeby odzyskać kontrolę nad ciałem. Żyła. Owszem, tymczasowo, ale to i tak drobne zwycięstwo nad upływającymi minutami.

*Nie panikuj...*

Musiała skupić myśli na czymś innym, by uciec przed strachem.

*Ten człowiek... Gdzie ja go wcześniej widziałam?*

Wszystko ją bolało, trzęsa się, płakała, choć nie chciała się do tego przyznać, nie zamierzała jednak ugiąć się przed tym potworem.

Pogrzała się więc we własnym wnętrzu, najgłębiej, jak się dało, nurkując w poszukiwaniu twarzy.

Stare porsche boxer należące do Ludivine spało spokojnie w garażu.

Segnon odkleił nos od zakurzonej szyby. Prawie nigdy nie widywał jej za kierownicą. Po co sprawiać sobie taką zabawkę, jeśli tylko od czasu do czasu rusza się ją spod domu?

– I co? – rzucił Marc Tallec z góry nachylonego podjazdu.

– Nic, auto stoi.

Segnon dołączył do niego i w kilku krokach przemierzyli ogród, obserwując dom.

– Często to robi? Znika bez uprzedzenia...? – zapytał Marc.

– Zdarza jej się ulotnić, kiedy wpadnie na jakiś pomysł, ale zawsze nas informuje, a po ostatniej dużej sprawie, którą razem prowadziliśmy, już by się na to nie poważyła, nie.

– Może jeszcze spać?

Segnon zerknął na zegarek.

– Po jedenastej? Nie ona.

– Nagła sprawa rodzinna?

– Nie, w biurze mamy nerwówkę, nie zostawiłaby nas w samym środku tak ważnego śledztwa bez naprawdę dobrego powodu, a przynajmniej by zadzwoniła.

– Może zgubiła komórkę albo jej się rozładowała... – Marc usiłował przekonać samego siebie.

– Potrafi pan wejść? – spytał go Segnon.

– Niby jak?

– W stylu DGSI, za pomocą urządzenia otwierającego wszystkie zamki?

Marc westchnął.

– Nie, oczywiście, że nie. Pora skończyć z tymi gównie wartymi przesądami. Nie zostawiła komuś drugiego kompletu kluczy?

– Są chyba w koszarach, w szufladzie.

Marc przyjrzał się żandarmowi uważnie.

– Dobrze rozumiem, że pana też to niepokoi?

– W normalnych okolicznościach jeszcze bym się zastanawiał, ale po tym, co wydarzyło się w piątek wieczorem...

– Dobrze by było pójść po te klucze.

Segnon potrząsnął głową.

– Jeśli ma kłopoty, to nie zamierzam tracić kolejnej półgodziny – oznajmił, kierując się w stronę długiej werandy.



Wyjął z kieszeni dzinsów składany nóż i wsunął ostrze w dziurkę od klucza w przesuwnych drzwiach – zamek ustąpił od razu.

– Mówiłem jej, żeby założyła coś jeszcze – pomstował. – A przynajmniej alarm!

Weszli, by zbadać dom, i po pięciu minutach spotkali się ponownie u stóp wielkich schodów z kutego żelaza.

– Nie wróciła na noc – oświadczył Segnon, poblądły.

– Skąd pan wie?

– Nie znalazłem ciuchów, które wczoraj miała na sobie, w koszu na pranie, nigdzie w sypialni ani w łazience.

Marc zmarszczył brwi.

– Segnon, spytam wprost: czy to możliwe, że ona ma faceta? – Olbrzym przełknął ślinę, więc Marc ciągnął: – Okej, nawet jeśli dotąd panu nie powiedziała, zdążył się pan domyślić: spaliśmy ze sobą, ale nie podpisaliśmy żadnej umowy na wierność, a ja jestem dużym chłopcem, zniosę wiadomość, że spotyka się z kilkoma amantami jednocześnie!

– Teraz już nie. Nie zrobiłaby tego. Miała szalony okres w życiu, ale to już przeszłość. Obecnie należy raczej do tych słynących z umiaru. I od kilku miesięcy nie miała żadnego faceta.

Marc przeczesał włosy dłonią i zacisnął zęby.

– Niemal wolałbym usłyszeć coś innego – wyznał. – Dobra, dokąd mogła się udać wczoraj po pracy?

– Tutaj. Zamierzała wrócić do domu. Wychodząc, oznajmiła, że na pewno pójdzie pobiegać.

– Czego nie zrobiła, bo mówi pan, że nie znalazł jej ciuchów. Jest zapisana do jakiegoś klubu sportowego?

– Nie, wraca do siebie, przebiera się i wyrusza stąd. Dziewczyna trzyma się swoich przyzwyczajień.

– Kurwa...

Segnon zadzwonił do Guilhema, by zapytać, czy miał jakieś wieści od Ludivine albo czy ktoś widział ją od wczorajszego wieczora. Na próżno.

– Przepytam sąsiadów i sprzedawców w sklepach na trasie stąd do koszar, idzie pan ze mną? – zaproponował.

Marc nie dał się prosić.

Na początku dzwonili do sąsiadów. Jeśli tylko zastali kogoś w domu, pytali, czy zna Ludivine i czy widział ją ostatnio, a Segnona za każdym razem ogarniały wątpliwości. Czy nie posuwają się za daleko? Przecież ona w każdej chwili może zjawić się z doskonałym wytłumaczeniem...

Nikt w najbliższym otoczeniu nie dostarczył im żadnej informacji i Segnon myślał już, że jeśli przyjdzie im przebyć w ten sposób całą drogę do koszar, strawią na tym cały dzień, ale

wtedy pewna nastolatka przysłuchująca się rozmowie swojej matki z Markiem rzuciła:

– Mówicie o tej ładnej sąsiadce? Tak, o tej, którą na wiosnę pokazywali w wiadomościach! Tej policjantce, która nie pamiętam, co tam zrobiła, od tej całej sprawy... Czasem widuję ją na ulicy albo w ogrodzie.

– Nie zauważyłaś jej wczoraj wieczorem? – naciskał Segnon.

– Nie pamiętam już, ale widziałam w jej ogrodzie jakiegoś gościa, biedak chyba zgubił psa...

Na te słowa Segnon chwycił Marca za ramię i ścisnął mocno. Z całych sił.

Wszystkie sekcje paryskiego WŚ udzielały Segnonowi i Guilhemowi wsparcia przy poszukiwaniach Ludivine. Magali, Franck i Ben podzielili się ostatnimi aktami gwałcicieli, żeby wyselekcjonować tych, którzy najlepiej odpowiadali ustalonemu profilowi. Yves i DCO zajęli się danymi z telefonu koleżanki, próbując ją zlokalizować. Członkowie wydziałów do spraw niszczenia mienia oraz przestępstw gospodarczych działali w terenie, przesłuchując wszystkich na trasie, którą zaginiona pokonała poprzedniego dnia, w nadziei na zdobycie jakichś informacji. Nastolatka, która widziała mężczyznę kręcącego się po ogrodzie Ludivine, nie potrafiła pomóc w sporządzeniu portretu pamięciowego, z trudem przypomniała sobie, że osobnik był średniego wzrostu, ubrany na ciemno, na jego głowie tkwiła czapka z daszkiem, włosy nosił prawdopodobnie krótko obcięte albo nie miał ich wcale, a w ręku trzymał smycz. Zdawało się, że czegoś szuka, rozglądał się wokół, a następnie pchnął furtkę, jakby wcześniej widział, że jego pies wbiega do ogrodu funkcjonariuszki.

Segnon nie miał żadnych wątpliwości, to *on*. Działał w sposób bardzo zbliżony do swojego zwyczajowego. Zagrywka z zagubionym psem sprawdzała się doskonale, dzięki niej pozostawał niezauważony, a przynajmniej nie wzbudzał podejrzeń, gdy przeczesywał wzrokiem okolicę, upewniając się, że nikt go nie widzi – tak mu się przynajmniej zdawało – a wtedy mógł zakraść się praktycznie wszędzie.

Nikt nie wspominał o niebezpieczeństwie, jakie grozi Ludivine, jeśli faktycznie padła jego ofiarą. Nikt ani przez chwilę nie chciał myśleć, przez co być może przechodzi. A żeby uniknąć takich rozważań, musieli zdwoić wysiłki, poprawić koncentrację i skuteczność. Od czasu do czasu spotykały się zaniepokojone spojrzenia, ktoś klepał kogoś po plecach, by dodać mu otuchy, pito kawę, a Franck brał Magali w ramiona, kiedy kobietę opadało nagle zmęczenie lub rozpacz na myśl o przyjaciółce. Na wieść o jej porwaniu WŚ spowiła łożowiana kurtyna, tak gęsta, że okryła cały personel, otumaniając wszystkich zdumieniem i strachem, które wnikały w serca.

Marc pożegnał się z Segnonem i pojechał do Levallois, by sprawdzić, jak sam może pomóc. Nie mieli od niego żadnych wiadomości aż do późnego popołudnia, gdy zadzwonił, by spytać, czy robią postępy.

W międzyczasie nadeszły wyniki przyspieszonej analizy porównawczej DNA: ani były chłopak Hélène Trissot, ani Mirko nie pasowali do próbek znalezionych w organach płciowych ofiar.

– Niemożliwe! – oburzył się Segnon. – Choć jeden z nich musi się zgadzać!

– Nie – odparł Guilhem. – Wyniki negatywne.

– Wszyscy świadkowie twierdzą, że Hélène Trissot nie należała do frywolnych dziewczyn. A gdyby Georgiana Nistor miała wśród Romów kogoś poza Mirkiem, społeczność by o tym wiedziała!

– Wracamy do hipotezy o dwóch gwałcicielach – podsumował kolega.

– A skąd, już ją obaliliśmy...! – zdenerwował się Segnon, waląc pięścią w stół.

Nic nie widzieli, jak podczas nocnej podróży przez niekończącego się pecha, tak gęstego, że tłumy światła reflektorów i wsysa wszelką nadzieję na przyszłość. W tym konkretnym przypadku chodziło o przeszłość Ludivine.

Z uciskiem w sercach wrócili do swojej historycznej siedziby. Elewacja uszkodzona przez kule, okna w trakcie wymiany, nawet na suficie biura, w którym pracowali, widniały jeszcze stygmaty niedawnego ataku, kilka wyraźnie dostrzegalnych skaz. Bramę na dziedzińcu przykrywała niebieska plandeka, pilnowało jej stale dwóch umundurowanych żołnierzy.

Kapitan Merrick był z nimi w pomieszczeniu, studiował wyniki badań z przejęciem na twarzy.

– A może popełniono błąd w momencie pobierania próbek? – podsunął. – Albo w laboratorium? Nie byłby to pierwszy raz.

Segnon rzucił się do telefonu, by zadzwonić do IRCGN. Po chwili udało mu się połączyć z Forsnotem. Oznajmił mu:

– Kapitanie, potrzebuję kolejnych testów DNA.

– Zatwierdził je prokurator?

– Zrobi to, ale sprawa jest niecierpiąca zwłoki.

– Dobrze, oczywiście, jeśli wszystko mi pan wyjaśni, będziemy chyba mogli załatwić to dla was szybko, jutro przed wieczorem.

– Nie, dzisiaj, właściwie natychmiast.

– Ależ to niemoż...

– Ta opracowana przez was metoda, dzięki której można zbadać DNA w niespełna dwie godziny, ta, o której opowiadał nam pan ostatnio, mówił pan, że już działa?

– GendSAG? Tak, ale korzystamy z niej tylko w ściśle określonych przypadkach, kiedy mamy do posortowania całe mnóstwo próbek, na przykład w razie katastrofy lotniczej albo...

– Zaginięcia koleżanki. Żeby ocalić skórę funkcjonariuszce żandarmerii, kapitanie. Potrzebuję tych wyników na już.

Forsnot westchnął w słuchawkę.

– Niech mi pan powie, co mogę zrobić, a zajmę się tym od ręki – obiecał.

– Nadal macie te zapieczętowane pojemniki z układami rozrodczymi? Chcę dostać kontreksperytyzę.

Segnon wolał nie wspominać, że chodzi o Ludivine, z obawy, że przyprawi kapitana o wstrząs, ale przede wszystkim dlatego, że nie miał odwagi ponownie wypowiedzieć tych słów na głos. Coś by w nim pękło. Nie mógł wyobrazić sobie, z czym ona się w tej chwili mierzy, inaczej by oszalał.

Dochodzenie terenowe na nic się nie zdało. Nie natrafiono na żadnych świadków poza nastolatka, która niewiele wiedziała, w pobliżu nie było kamer bezpieczeństwa, wysłani na miejsce eksperci z CIC nie znaleźli żadnej znaczącej wskazówki, nawet komórka Ludivine przestała logować się do sieci wczesnym wieczorem, niedługo po jej wyjściu z koszar.

Segnon czuł się jak dziki kot w klatce. Ledwie dawał radę czytać akta gwałcicieli, które kolejno umieszczał przed oczami. Czy to możliwe, że jeden z nich porwał jego partnerkę i przyjaciółkę?

Mijały godziny, ciężkie, przerażające. Z każdym ruchem wskazówki na tarczy zegara ściennego Segnon czuł, że jakiś jego kawałek obumiera. Wahał się, czy zadzwonić do żony, żeby z nią porozmawiać, zwierzyć się, otworzyć wentyle, tylko na krótki moment...

Popołudnie stopniowo się rozwiewało.

Wyodrębnili grupę dwudziestu czterech przestępców pozostających na wolności w dniach popełnienia morderstw, mieszczących się w rozszerzonym przedziale wiekowym i w początkowym okresie mieszkających najwyżej godzinę drogi od obozu Romów.

Pułkownik Jihan kursował między grupą Magali a Segnonem i Guilhemem. Pracowali w dwóch oddzielnych pomieszczeniach, studiując teczki podejrzanych.

– Dwudziestu czterech! – narzekał. – Zawężcie to jeszcze! GIGN i PSIG mogą pojmać wszystkich w tym samym momencie, ale my nie poradzimy sobie z tyłoma naraz. Nie przeprowadzimy dwudziestu czterech przesłuchań jednocześnie, a jeśli ten porywacz przetrzymuje porucznik Vancker, nie mamy czasu na wzywianie posiłków i wtajemniczanie nowych ludzi w całą sprawę... Nie podejmę takiego ryzyka. Jeszcze nie. Musi ich być mniej. Załatwcie to jakoś!

Segnon i Guilhem ponownie zabrali się więc za profile podejrzanych i kolejno porównywali je z informacjami ze wszystkich elektronicznych rejestrów, jakimi dysponował WŚ. To oznaczało zajrzenie do ponad trzydziestu wykazów, a za każdym razem należało wprowadzić kompletne dane osobowe podejrzanego.

Mijały minuty, które zmieniały się w godziny.

Czy Ludivine jeszcze żyje?

Segnon wolał się nad tym nie zastanawiać. W żadnym razie.

Najbardziej złowieszczą hipoteza była nie do zniesienia.

Po zacieśnieniu poszukiwań wyłonili w końcu sześciu mężczyzn, którzy mieszkali

w pobliżu pierwszej ofiary. Wszyscy mieli między dwadzieścia pięć a czterdzieści lat, mieścili się więc w priorytetowym przedziale wiekowym. Wykonywali też techniczne lub samotnicze zawody.

Segnon bał się, że pominęli kogoś ważnego, gdy do tego stopnia odchudzili stertę akt. Profilowanie psychologiczne wcale nie należało do niezawodnych metod, a kryteria, którymi kierowali się pod koniec, stały się nadmiernie restrykcyjne, nie wspominając już o tym, że opieranie się na rejestrach elektronicznych wiązało się z ryzykiem, gdyż nie wszystkie były uaktualnione i mogły zawierać nieprawdziwe dane.

– Błędzimy jak dzieci we mgle – wymamrotał do siebie, pełen niepokoju.

Guilhem pomachał mu przed nosem kartką papieru.

– Ten mi się podoba, jest bezrobotny, więc ma dużo czasu, a tego właśnie potrzeba naszemu typkowi.

– Przedstawiciel handlowy od sprzętu kuchennego może rozporządzać czasem wedle własnej woli – zauważył Segnon. – Tak samo hydraulik i niezależny informatyk, nawet śmieciarz kończy pracę na tyle wcześniej, że później zdążyłby uderzyć.

Pułkownik Jihan wsunął głowę do biura.

– Robicie postępy? Zmobilizowałem już GIGN. Są w Satory, gotowi do interwencji na nasz sygnał.

– Robimy postępy, robimy – zapewnił podenerwowany Segnon.

– Nie czekałbym, aż upłynie kolejna noc, zważywszy na to, co wiemy o tym popaprańcu. Trzeba podjąć jakąś próbę. Dajcie mi znać, gdy będziecie gotowi. Chcę nazwiska i adresy oraz szybki raport, co skłoniło was do wskazania akurat tych gości.

Gramy w niebezpieczną grę, uznał Segnon. Jeśli podążą fałszywym tropem i zmarnują siły oraz tę odrobinę czasu, którą dysponują, by uratować Ludivine, nigdy sobie tego nie wybaczą. Cała ta przypadkowość i fakt, że ryzykują życie przyjaciółki, opierając się na domysłach, bez żadnego znaczącego dowodu, bez nawet najdrobniejszego namacalnego śladu, sprawiły, że czuł się chory. Nakazał sobie powrót do konkretów, aby przeć naprzód i nie myśleć o najgorszym.

W dłoniach trzymał teczkę trzydziestoletniego aktora, ale ją odłożył. Czuł, że to nie to. Choć nie był w stanie wytłumaczyć dlaczego. Instynkt podpowiadał mu, że to nie on. Dwukrotnie rozwiedziony, dwójka dzieci, miał na koncie poważne przestępstwa, wykroczenia przeciwko obyczajności publicznej, później gwałt, lecz jego przeszłość rodzinna dowodziła, że potrafi ustatkować się z kobietą. Niemniej jednak mieszkał w Grisylles-Plâtres, niespełna piętnaście minut drogi od obozowiska Romów. Segnon wahał się przed wykreśleniem go z listy.

– Kurczę – rzucił Guilhem sprzed ekranu komputera. – Sprawdź pocztę, właśnie dostaliśmy wyniki od Forsnota z IRCGN. Zrobił wszystko sam, na miejscu, z pomocą tego czegoś, o czym gadaliście, tego GendSAG-u.

Segnon uczeplił się tych kilku słów jak akrobata czepia się liny, gdy omsknie mu się stopa i zsuwa się w objęcia próżni. Słuchał, nie będąc w stanie zapytać o ciąg dalszy, skamieniały ze strachu, że badanie nic nie dało.

– Pisze, że otrzymane przez niego rezultaty różnią się od tych uzyskanych w prywatnym laboratorium – dodał Guilhem. – Jego zdaniem w obu przypadkach chodzi o to samo DNA! Słyszysz? To samo! Merrick miał rację, w laboratorium popełnili błąd...

Rozdzwonił się telefon. Numer IRCGN. To pewnie Forsnot z wiadomością, że właśnie wysłał im mail, że ma dla nich nie lada nowinę.

Ignorując aparat, Segnon gorączkowo zamachał ręką.

– No dalej!

To wszystko zdawało mu się grubymi nićmi szyte. Pomyłka laboratorium specjalizującego się w ekspertyzach? Przy obu próbkach? Segnonowi trudno było w to uwierzyć.

Guilhem znowu pogрузzył się w lekturze wiadomości, telefon wciąż dzwonił.

– Kazał przeszukać bazę FNAEG-u i... mamy trafienie! System identyfikacji genetycznej wypuł nazwisko! – Guilhem pochylił się, by lepiej widzieć ekran, kiedy ponownie czytał mail. Pokiwał energicznie głową i zaczął grzebać w stercie papierów na biurku, z której wydobył pojedynczą kartkę. – Facet widnieje na naszej liście! Mamy go, Segnon, mamy go!

Tym razem olbrzym musiał uwierzyć i błyskawicznie zerwał się na nogi.

Świat przyspieszył. Krajobraz znikał szybciej, niż się pojawiał, nienamacalny, rozmyty, światła innych samochodów, latarnie i fasady budynków rozmazywały się i spływały na skraj pola widzenia wyznaczonego ramą przedniej szyby furgonetki żandarmerii, w której siedział Segnon.

Włączyli koguty i syreny, by odblokować drogę, i pędzili przez zapchane ulice, przebijali się przez monotonię korków powstałych po tym, jak ludzie wyszli z pracy. Gdy tylko otwierała się jakaś szczelina, silnik wydawał z siebie ryk, przed autem mknęły jednoślady z brygady motocyklowej, a tuż za nim przejazd znów się zamykał.

– Stawiamy wszystko na jedną kartę – odezwał się pułkownik Jihan z tylnej części wozu. – Jesteście tego pewni?

– Stuprocentowo, panie pułkowniku – odparł Segnon. – Anthony Brisson ma kartotekę, jakiej szukaliśmy, i mieszka w tym samym sektorze, co dwie pierwsze ofiary. To informatyk.

– I dzięki temu wykiwał nas, pozorując tę pomyłkę z DNA? Nie mówcie, że udało mu się zhakować FNAEG, to niezdojta twierdza!

– Nie, panie pułkowniku, tego faktycznie nie mogliśmy dokonać. Ale niech pan tylko posłucha, Guilhem właśnie przesłał mi swoje najnowsze odkrycia: Anthony Brisson pracował dla firmy informatycznej, z której usług korzystało IRCGN podczas przenosin do nowej siedziby w Pontoise. Ta firma konfigurowała część sieci. Brisson został w międzyczasie zwolniony, ale możliwe, że właśnie wtedy udało mu się pozyskać nazwy prywatnych laboratoriów uprawnionych do przeprowadzania analiz DNA. Forsnot mówi, że w czasie przeprowadzki panował niewyobrażalny chaos, wszędzie walały się kartony, łatwo dostępne dokumenty, więc pewnie nietrudno było znaleźć listę laboratoriów.

– A potem? Przecież chyba nie zatrudnił się we wszystkich naraz?

– Nie, ale Guilhem sądzi, że to je zhakował. Ich serwery nie posiadają takich zabezpieczeń jak nasze, to tylko laboratoria, a nie instytucje wojskowe czy policyjne, współpraca z nami na polu badań genetycznych stanowi w istocie drugorzędny aspekt ich działalności, w związku z czym nie potrzebują żadnej szczególnej wirtualnej ochrony. Wszystko przechodzi przez sekretariaty, które gromadzą dane przekazywane przez techników, a następnie raz w tygodniu, rzadziej na bieżąco, wysyłają je do FNAEG-u. Guilhem pobeżnie rzucił na to okiem, sam nie jest hakerem, ale się na tym zna. Uważa, że rzecz jest do zrobienia, wystarczy umieścić odpowiedni program w komputerach, z których korzysta

się w sekretariatach, i pozamiatane.

– We wszystkich laboratoriach? – rzucił Jihan, gwizdząc przez zęby.

– We Francji znajduje się tylko pięć dużych. Brisson zhakował je i zainstalował miniprogram własnego pomysłu, który kontroluje sieć wewnętrzną i automatycznie wysyła mu ostrzeżenie, jeśli gdzieś wypłynie profil genetyczny o takiej samej sekwencji alleli jak jego własny – musiałyby go znać, ale nietrudno to załatwić. W takiej sytuacji szybko interweniuje, wchodzi do bazy danych i modyfikuje cztery allele, zanim wyniki zostaną przekazane FNAEG-owi, dzięki czemu nie da się powiązać jego DNA z jego zbrodniami.

– Może dostać się nawet do nas, do IRCGN?

– Nie, absolutnie, być może próbował, ale dysponujemy w tym względzie wojskową ochroną. Problem polega na tym, że nie przeprowadziliśmy tych badań samodzielnie, decyzją prokuratora próbki trafiły do prywatnych placówek, które wykonały wcześniejsze badania w tych sprawach, w celu zachowania ciągłości. Sektor prywatny opracowuje trzy czwarte naszych profili genetycznych.

– Brisson może mieć taką skuteczność?

– Guilhem twierdzi, że jeśli stworzył własny *backdoor*, albo tajne wejście, jeśli pan woli, to dostanie się do systemu informatycznego danego laboratorium jest dla niego dziecinną igraszką, może tego dokonać w ciągu kilku minut nawet ze swojego smartfona.

Pułkownik Jihan pokręcił głową.

– Gość jest do tego stopnia makiaweliczny?

– Ten Brisson to niezwykle przewrotny zbrojeniec, zapewniam pana. Potrafi zadać sobie jeszcze więcej trudu, by móc podglądać, śledzić i porywać swoje ofiary. A nie wspomnę nawet, do czego posuwa się później, żeby nas zmylić. Ten typ wykształcił prawdziwą obsesję na punkcie DNA. To on, panie pułkowniku, bez cienia wątpliwości.

Segnon znów pomyślał o doczepianych paznokciach, cudzych włosach, woni wybielacza i opaskach zaciskowych wżartych w ciało.

Przed oczami wykwitł mu obraz konającej Ludivine.

Odsunął go od siebie, nabiorając powietrza.

– GIGN jest w drodze? – upewnił się, nękany mdłościami.

– Powinniśmy dotrzeć w tym samym czasie. Ale nie chcę w terenie żadnego durnego chojractwa: Ludivine czy nie, trzymamy się z tyłu, a GIGN odwała robotę, jasne?

Segnon przytaknął, wyglądając przez okno.

Krajobraz za szybą nie migał wystarczająco szybko jak na jego gust.

Zapadła noc i oddział ciężko uzbrojonych, odzianych na czarno mężczyzn wparował do holu małego budynku na zachodnim przedmieściu w pomarańczowawej poświacie ulicznych latarni. Drzwi na parterze wyważono siłownikiem hydraulicznym i grupka rozproszyła się w kilka sekund – pistolety maszynowe HK MP5 A5 złożone do strzału, strzelby Remington



typu pump action u boku – podczas gdy frontu strzegło od zewnątrz dwóch snajperów wyposażonych w FR-F1 z lunetami Schmidt & Bender.

Segnon stał nieco dalej z innymi żandarmami, którzy odgradzili ulicę, czekając na wieści nadane przez walkie-talkie spoczywające w ręku pułkownika Jihana.

Nie rozległ się ani jeden strzał. Nie było nawet oślepiającego błysku i grzmotu granatów ogłuszających. Nic, tylko nieznośna cisza.

Później nagle zatrzeszczała krótkofalówka:

– Wynik negatywny, nikogo tu nie ma.

Serce Segnona fiknęło bolesnego koziołka.

Zbytńio się pośpieszyli. Ponieważ Ludivine zostało ledwie kilka godzin życia, weszli bez wstępnego rekonesansu, nie wypyтали nawet sąsiadów. Popędzili prosto do mieszkania podejrzanego, zaślepieni koniecznością wyratowania koleżanki z tego piekła.

Jeżeli zabójca przestrzegał swoich zwyczajów, Ludivine była już martwa, Segnon dobrze o tym wiedział. Ale nie zamierzał tego przyznać.

Naciskał na ekran telefonu dużo mocniej, niż trzeba.

– Guilhem? To ja.

– Macie go?

– Nie, pusto. Jak ci idzie?

– Ciągłe do przodu, Mag i pozostali są ze mną, przekopujemy wszystko, co nam wpadnie w ręce, grzebiemy w całym jego życiu, sprawdzamy krewnych i znajomych, nie wynajmuje nigdzie garażu, nie ma domku letniskowego, nie zauważyłem żadnych regularnych wypłat gotówki, które mogłyby świadczyć o płatnościach na czarno, jego...

– Brak innego adresu, jesteś pewien?

– Nic na ten temat nie znalazłem.

– Pracuje na własny rachunek, nie ma gdzieś lokalu?

– Jak się domyślasz, już to sprawdziliśmy, firmę zarejestrował pod adresem domowym.

Segnon nie zdołał powstrzymać rozpaczliwego jęku.

– Sprawdzamy jego otoczenie, badamy, czy może korzystać z czyjejś szopy albo schowka, ale sprawa wygląda kiepsko – wyznał Guilhem. – Spotyka się z niewieloma osobami, to raczej typ samotnika...

Segnon przytknął telefon do czoła. Ogarniało go poczucie beznadziei.

Dwadzieścia cztery godziny, odkąd zniknęła.

– Nigdy nie trzyma ich przy życiu tak długo – wymamrotał.

– Co? Co tam mówisz?

Segnon wziął się w garść.

– Nic, szukajcie dalej, bez was jesteśmy bandą ślepców – powiedział z naciskiem i zakończył rozmowę.

Członkowie GIGN wyszli z budynku, śledzeni spojrzeniami mieszkańców, którzy wychylali się z okien i balkonów, coraz bardziej zaalarmowani.

– Przesłuchamy wszystkich! – zarządził Jihan. – Poczynając od najbliższych sąsiadów. Przeszukajcie piwnicę. Segnon, zajmie się pan mieszkaniem, zjawi się tam ekipa CIC

i przetrząśnie lokal. Chcę wiedzieć o wszystkim!

Segnon bał się, że ktoś pomoże mordercy. Niekoniecznie wspólnik, raczej jakaś dobra dusza z wiadomością w stylu: „Na pohybel gliniarzom, nie wiem, co przeskrobałeś, stary, ale chciałem cię ostrzec, że pod twoim domem się od nich roi”. Zadzwoił telefon. Marc Tallec. Żandarm nie chciał z nim rozmawiać, nie teraz, kiedy nie miał mu nic nowego do powiedzenia. Samochody podjechały bliżej, włączone koguty migająłymi miriadą niebieskich refleksów, które odbijały się w źrenicach ciekawskich. Należący do GIGN mężczyźni w kominiarkach zniknęli już w minivanach z przyciemnianymi szybami, a po terenie rozpięchła się chmara żandarmów w cywilnych strojach.

Komórka Segnona znów zaczęła wibrować.

– Tallec, to nie jest dobry moment... – zirytował się, zanim odczytał imię na wyświetlaczu.

– Cztery lata temu zmarła mu matka – informował Guilhem śpiesznie, nie robiąc przerw na zaczerpnięcie oddechu. – Nie ma śladu sprzedaży domu, obecnie nikt tam nie mieszka, to trzy kilometry od was, w dość odludnej okolicy, zaraz wyślę ci adres SMS-em.

Segnon gwizdnął tak głośno, jak tylko potrafił.

Rozchwierutane, zakurzone muzeum wzniesione na chwałę dawno minionych czasów. Od stołu z blatem z formiki po lodówkę wyprodukowaną w latach osiemdziesiątych, od kineskopowego telewizora po dzierganą serwetkę, od porysowanego linoleum po niemodną tapetę – w kamiennym domu na końcu ślepej uliczki ogrodzonej lasem od wieków nic się nie zmieniło.

Lufy karabinów GIGN omiotły każdy zakątek, dwie grupy przemieszczały się szybko, eksplorując niewielki budynek z wprawą świetnie wyszkolonych komandosów.

Członkowie idącej przodem ekipy zeszli po stopniach wiodących do piwnicy i wtedy go ujrzeli: nagiego mężczyznę oświetlonego zwieszającą się z sufitu żarówką.

On zauważył ich w tej samej chwili.

U jego stóp spoczywało ciało. Ciało, któremu pozwolił przez kilka dodatkowych godzin kisić się w grobie, zarówno po to, by odzyskać kontrolę oraz pewność siebie, poczekać na powrót pożądania, jak i po to, by zmęczyć ofiarę, żeby nie mogła już stawić mu zdecydowanego oporu. Ale gdy jednym szarpnięciem i bez ostrzeżenia otworzył właz, mimo wszystko krzyknęła.

Ludivine wrzeszczała tak, jak wrzeszczy człowiek, który rozumie, że stanął twarzą w twarz ze śmiercią, że wybiła jego ostania godzina, a koniec będzie straszny. Paralizator zatrzeszczał, niebieski łuk elektryczny kilkakrotnie rozświetlił dziurę w ziemi, aż kobieta przestała się ruszać. Wówczas diabeł siedzący w jej gardle zamilkł raz na zawsze. Będzie mógł ją złamać. Ostatecznie.

Z trudem wydzwignął ją z dołu i ułożył na betonie.

Zaplamiony materac przykrywała płachta plastiku. Żaden dźwięk nie działał na nagiego mężczyznę bardziej pobudzająco niż szeleszczenie plandeki uginającej się pod ciężarem ciała, przy każdym ruchu bioder, przy każdym pchnięciu. Łamliwy odgłos, suchy, o pustym brzmieniu, dźwięk sztuczności zderzającej się z tym, co naturalne, plastiku z powietrzem, podmiotu dominującego z podmiotem dominowanym, dźwięk kojarzący się z wilgotnymi, zwierającymi się ciałami, wypływającą cieczą, klaskaniem skóry o skórę, jego chrapliwym oddechem, ich pełnymi skargi jękami. Odgłos wypełniania. Zatapania. Posiadania w sposób ostateczny.

Wszystko to zamierzał zrobić z Ludivine.

Gdy nagi mężczyzna dostrzegł przerażające czarne sylwetki, rzucił się ku skrzynce wędkarskiej stojącej obok butli wybielacza.

Z HK MP5 padły zaledwie trzy strzały. Dwie kule wniknęły w jego wnętrzności, druzgocząc miednicę i dziurawiąc jelita. Upadł na kolana z ręką w pudełku, zaśnił chrom rewolweru. Ból stanowił raczej wiadomość niż doznanie, wciąż zbyt mocno zaprzętały go własne fantazje, musi minąć jeszcze kilka sekund, zanim poczuje straszliwe rwanie zmiądzonych kości, przebitych boków. Nagi mężczyzna nie zmarnował tych cennych chwil. Mocniej zacisnął palce na rękojeści.

Skierował lufę w stronę ciała u swych stóp.

Urzeczywistni dogmat, zabierze tę kafir ze sobą, zanim...

Twarz mężczyzny eksplodowała, podczas gdy osunął się na Ludivine, jego mózg wraz z ostatnimi myślami rozbryznął się po ścianach, rysując na nich purpurowe arabeski śmierci.

Ludivine dwukrotnie podjęła walkę, by zyskać więcej czasu.

Zaledwie parę godzin.

Parę godzin, które oznaczały, że przeżyła dłużej niż wszystkie pozostałe. Parę godzin, które pozwoliły członkom GIGN wejść do piwnicy niespełna pięć minut po tym, jak nagi mężczyzna zjawił się ponownie i przed wyciągnięciem jej z grobu długo raził ją paralizatorem.

Wszystko rozegrało się niezwykle szybko.

Seria wyładowań elektrycznych niemal wyłączyła jej serce, lecz Ludivine była wysportowaną twardzielką, zahartowaną w wielu próbach. Przetrwiała również tę, niewątpliwie najtrudniejszą ze wszystkich. Prawie straciła przytomność, odgłosy ataku docierały do niej z oddali, jakby ze zbyt głośno grającego telewizora u sąsiadów, nie zdawała sobie nawet sprawy, że to się dzieje naprawdę, że to dla niej.

Kiedy nagi mężczyzna dobył broni i wycelował w Ludivine, funkcjonariusze GIGN otworzyli ogień, tym razem mierząc w głowę – nie mogli już liczyć na to, że wezmą go żywcem. W grę wchodziło życie ich koleżanki.

Z czaszki nagiego mężczyzny wyciekło wszystko, czym wcześniej był, jego ciałem szarpnęło do tyłu, lecz później, za sprawą dziwnych reakcji biomechanicznych, zachwiało się i upadł w przód, na swoją ofiarę.

Za późno, to już się stało. Ostatni impuls nerwowy. Palec naciskający spust. Pożegnalny odruch ciała, które dokonało tego, czego nagi mężczyzna nie był już w stanie pragnąć.

Chromowany rewolwer kilkakrotnie odbił się od podłogi, a potem z dymiącą lufą przejechał ślizgiem kawałek dalej.

Wielki kaliber.

Czerwona ciecz zaplamiła jasne włosy Ludivine, płynąc obficie. Czoło strzaskane. Oczy zwęglone i rozgniecione na betonie wśród krwawych strzępków substancji szarej.

Miłość dwojga ludzi, maleńki noworodek na oddziale położniczym, gaworzące niemowlę, urocza dziewczynka z warkoczykami, temperamentna, lecz śliczna nastolatka, młoda kobieta – asertywna, zakochana, zdradzona, pełna pasji, profesjonalna, wątpiąca, kochająca... Każda minuta jej trzydziestoletniego życia rozwiała się za sprawą kuli przeszywającej głowę. Osoba, którą była – choć trwało to tak długo – odtąd istniała wyłącznie we wspomnieniach, resztę stanowiło bezwładne, już stygnące ciało. Wkrótce pożre je natura, wchłonie je i rozpuści w odwiecznym ziemskim cyklu. Ledwie straciła

życie, a już rozkładała się od środka.

Mężczyźni z GIGN, brodząc w jej krwi, upewnili się, że porywacz zginął, i przepuścili nadbiegającego lekarza. Ten przyklęknął w kałuży cieczy skapującej do dołu.

Ludivine Vancker.

Nie żyje.

Wystarczył rzut oka, by się o tym przekonać. Żadnej nadziei. Umarła w chwili, gdy padł strzał. Ani sekundy zwłoki więcej. Dostała już swoje kilka godzin, a to i tak sporo w starciu z takim zbrojcem. Tylko tyle zyskała.

Ani sekundy więcej.

Ani. Sekundy. Więcej.

Ludivine.

Jej czoło strzaskane. Oczy zwęglone i rozgniecione na betonie.

Ale na ustach uśmiech.

Martwa, lecz uśmiechnięta. Cios zadany grozie.

Albo ostatnia wiadomość dla tych, których kochała.

Ani. Sekundy. Więcej.

Ludivine.

Martwa.

Leżąca w odrażającej brei.

Z uśmiechem na ustach.

Segnon podskoczył.

Aseptyczny korytarz. Półmrok. Przytłumiona, kliniczna atmosfera. Ledwie echo szeptanych rozmów prowadzonych gdzieś w pobliżu. Woń środków czyszczących. Odległe pikanie aparatury.

Usiadł. Wcześniej ułożył się, skulony, na dwóch krzesłach, by trochę się przespać.

Okropny koszmar.

Drzwi sali były otwarte, naprzeciw okno ukazujące noc, a pośrodku szpitalne łóżko.

Na nim leżała Ludivine, powieki miała opuszczone.

Pod nimi kryły się oczy w nienaruszonym stanie, czoło nie nosiło żadnej skazy, jasnych pukli nie skalała krew.

Koszmar. To był tylko cholernie zły sen.

Dotarli na czas. Ludivine walczyła z nagim mężczyzną nie tylko przez tych kilka ugranych godzin, lecz przez całe swoje życie. O wszystkim przesądziły sekundy. Członkowie GIGN zastrzelili seryjnego mordercę w chwili, gdy ten pociągał za spust, pocisk odbił się od podłogi dziesięć centymetrów od ciała Ludivine. A teraz leżała tu, cała i zdrowa. Przynajmniej w sensie fizycznym.

Segnon potarł twarz, by odegnać od siebie te ohydne obrazy, przepędzić pozostałości trwogi, szybko znów zakotwiczyć się w rzeczywistości. Ten jeden raz jawa okazała się słodsza i wspanialsza niż sen.

Wstał i położył dłoń na policzku przyjaciółki.

Tym razem to on się uśmiechał.

A jednocześnie płakał.

Pokój wypełniało życie, radość. Segnon, Laëtitia, Guilhem, Magali, a nawet Marc wpadali na siebie w tej niewielkiej przestrzeni. Przed chwilą wyszli pułkownik Jihan, komendant Reynaut i kapitan Merrick, uspokojeni dobrym stanem pacjentki.

Wstrząs mózgu, dwa pęknięte żebra, liczne siniaki, kilka zadrapań, nic, czemu nie dałoby się zaradzić. Od strony psychologicznej zdawało się, że Ludivine nie całkiem uświadamia sobie, co się stało. Najpierw, tuż po przebudzeniu, wybuchła płaczem i przyciągnęła do siebie Segnona, podobnie zachowała się poprzedniego wieczoru w wozie strażackim, którym ją ewakuowano. Ale gdy wylała już wszystkie łzy, odzyskała dziwnie niepokojącą werwę.

Guilhem opowiedział jej o tym, jak dotarli do Anthony'ego Brissona w ciągu zaledwie kilku godzin.



Tych kilku godzin, które wywalczyła.

Laëtitia oznajmiła, że pokombinują z sypialnią bliźniaków, by Ludivine mogła przez tydzień u nich pomieszkać, do czasu, aż dojdzie do siebie, bez względu na jej protesty.

Wszyscy coś do niej mówili, chcieli dodać jej otuchy, jakoś ją pocieszyć.

Segnon wykorzystał fakt, że jego żona ściągnęła na siebie uwagę pozostałych, przynosząc placek z jabłkami, i pochylił się do partnerki:

– Jak się czujesz?

– Jakoś się wylizę.

– Mam na myśli psychicznie.

Wzruszyła ramionami i wykrzywiła twarz w grymasie.

– Już się na niego natknęliśmy – oznajmiła.

– Na kogo?

– Na Anthony’ego Brissona, mordercę. Gdzieś wcześniej widziałam jego twarz. Potrzebowałam czasu, żeby sobie przypomnieć. Był jednym z robotników kładących kable w IRCGN, pamiętasz? Przesunął się, żebyśmy mogli przejść, spojrzałam mu wtedy prosto w oczy.

– Wygląda na to, że faktycznie świadczył usługi w tym zakresie, między innymi dla nas. Był uzdolnionym informatykiem, zwłaszcza w dziedzinie nielegalnych dziedzin. Jak hakerstwo. Guilhem znalazł program jego autorstwa zakamuflowany w systemach pięciu prywatnych laboratoriów zajmujących się analizą genetyczną, pięciu największych, można by dodać. W ten sposób kontrolował dwie trzecie profili DNA przesyłanych do FNAEG-u. Za każdym razem, kiedy program informował go, że jego DNA powiązано z którąś ze zbrodni, korzystał z niego, by minimalnie zmodyfikować kod genetyczny, na tyle, żeby nie zgadzał się z jego własnym. Gdy po raz pierwszy zleciliśmy badanie jajowodów, program go ostrzegł i to dlatego nie znaleziono nic, poza dwoma różnymi DNA, które do nikogo nie pasowały. Ale kiedy zwróciłem się do kapitana Forsnota, IRCGN samodzielnie przeprowadziło analizę, więc drań nie miał jak interweniować i jego nazwisko wypłynęło.

– Figurował w bazie FNAEG-u za gwałt?

– Popełniony dziesięć lat temu, miałaś rację. Zdaje się, że pilnie wypatrywał okazji do wykonania zleceń dla instytucji sądowych i innych placówek związanych z wymierzaniem sprawiedliwości, żeby móc umieścić w nich swój program. To chore, że udało mu się przejść proces weryfikacyjny, podczas którego sprawdza się przecież kartoteki policyjne...

– Wiesz, jak to jest z administracją, ta cała papierologia, tony dokumentów. Łatwo przeoczyć fałszerstwo, a może ktoś zwyczajnie popełnił błąd. Powrót do IRCGN, choćby po to, by położyć kabel, musiał przysporzyć temu świrowi sporo radości. Facet obsesyjnie wszystko kontrolował, na pewno ucieszył go fakt, że znalazł się tak blisko pościgu.

Segnon niepokoił się o przyjaciółkę.

– Tylko nie zamykaj się w sobie.

– Nie martw się – odparła z uśmiechem.

– Ja nie żartuję. Przypomnij sobie, co już przeżyłaś, jak w odruchu obronnym skryłaś się pod pancernikiem, jak trudno było ci się z niego wydostać...

– Nie powtórzę tego błędu. Jak myślisz, dlaczego szlochałam w twoich ramionach jak mała dziewczynka? I zrobię to jeszcze nieraz, spokojna głowa...

– Jestem tu dla ciebie, zawsze. Masz mnóstwo powodów, by czuć się źle. Powinnaś wiedzieć, że wszyscy to rozumiemy. I nikt się nie zdziwi, jeśli weźmiesz kilka tygodni wolnego, żeby...

– Segnon, możesz dać sobie spokój, zażądałam, żeby w południe mnie wypisali, bo zamierzam podjąć służbę. Poinformowałam już pułkownika, wysłuchał moich racji i jeśli będę grzeczna i odpowiem na pytania IGGN tak jak należy, to mnie wesprze. Jestem zbyt zaangażowana w tę sprawę, muszę skończyć to, co zaczęłam, przeprowadzić weryfikację, odwalić papierkową robotę, zapiąć wszystko na ostatni guzik. To mi pomoże. Nie zamknę się w żadnym bunkrze, obiecuję.

– Przynajmniej spotkaj się z psychologiem.

– Przrzekam.

Segnon wziął ją za rękę.

– Kurka wodna, Lulu... Ty chyba ich przyciągasz...

Kobieta posłała mu zmęczony uśmiech.

– No właśnie, zaczynam już nabywać pewnego doświadczenia. Myślisz, że ci popaprańcy wystawiają dziewczynom takim jak ja, które za każdym razem ledwie im się wymykają, kartę stałego klienta?

Segnon pozwolił sobie na śmiech.

Gdy wszyscy zaczęli wychodzić z sali, żeby Ludivine mogła się ubrać, pacjentka dała Marcowi znak, by został.

– Nie masz nic przeciwko, żeby odwieźć mnie do domu?

– Po to tu jestem.

– Miło, że pomyślałaś, by przynieść mi czyste ciuchy. Jak wszedłeś do środka?

– Tę kwestię musisz rozstrzygnąć z olbrzymem w korytarzu...

Ludivine gestem nakazała, by odwrócił się na czas, gdy będzie zdejmowała szpitalną koszulę i wkładała własne ubranie.

– Mówił do mnie – oznajmiła plecami Marc. – Ten sukinsyn, zanim spróbował mnie zabić. Udało mi się sprawić, że na chwilę zapomniał o żądach gwałciciela.

– Co ci powiedział? – spytał z zainteresowaniem Marc, powściągnąwszy chęć, by się odwrócić.

– Mówił o „wielkim dżihadzie”, dzięki któremu dojdzie do „małego dżihadu”. Jakiś pomysł, co to może oznaczać?

– Wielki dżihad to wewnętrzna walka, którą człowiek prowadzi ze swoimi przywarami,

duchowy bój toczony po to, by się oczyścić, podążać – że tak to ujmę – dobrą drogą i zyskać gotowość do małego dżihadu, który wszyscy znamy z mediów: do świętej wojny przeciwko niewiernym. Większość dżihadystów musi przebrnąć przez ten etap, pokonać własne demony, by móc należycie służyć sprawie.

– Zaczynam rozumieć. Skonfrontowałam go ze sprzecznościami wynikającymi ze zderzenia jego natury z jego wiarą, to dlatego wrzucił mnie z powrotem do dołu, żeby powalczyć ze sobą...

– Mówił coś jeszcze?

– Myślę... Myślę, że o kimś wspominał.

– O kim? – dopytywał Marc, pilnie nadstawiając uszu.

– Używał rodzaju męskiego, jakby mówił o Bogu, który kazał mu urzeczywistnić dogmat, tyle że brzmiało to raczej, jakby chodziło o człowieka.

– Ofiara z samego siebie.

– Samobójstwo?

– Nie. W dialektach krajów położonych nad Zatoką dogmat znaczy „guzik”. Jak ten, który wciska się, by wysadzić w powietrze pas z materiałami wybuchowymi albo samochód pułapkę. Dżihadyści przejęli to słowo i stosują je w odniesieniu do ofiary z własnego życia, do sytuacji, gdy ktoś bawi się w kamikaze, a przy okazji zabija jak najwięcej kuffar.

– Ach, tak, nazwał mnie podobnym określeniem...

– Kafir? To liczba pojedyncza. Oznacza „niewiernego” lub „niewierną”. W ich rozumieniu każdy kafir zasługuje na śmierć.

– Dobrze nam się wydawało, Marc. Przeszedł na surową odmianę islamu.

Tym razem Marc nie zdołał się powstrzymać i okręcił się na pięcie, stając twarzą do Ludivine ubranej w dżinsy i biustonosz.

– Zacząłem dochodzenie w sprawie tego Anthony’ego Brissona – oświadczył, zniżając głos. – Jesteśmy prawie pewni, że odwiedzał Fissouma. Jeszcze za wcześnie, by tego dowieść, ale zlokalizowaliśmy meczet, do którego chadzał. Wedle naszych organigramów jest on powiązany z tym, w którym nauczał Abdelmalek Fissoum.

– W jaki sposób?

– Przez pośrednika, który figuruje w naszej bazie jako radykał, to salaficki kwietysta, z gatunku tych pokojowo nastawionych, podejrzewamy jednak, że przeszedł na alternatywną, rewolucyjną wersję islamu, która zaleca stosowanie broni. Widywano go w wielu meczetach, między innymi tam, gdzie głosił Fissoum, i tam, gdzie uczył Brisson. Być może ich sobie przedstawił. Obecnie studiujemy dane z telefonu Brissona, sprawdzamy, dokąd się wypuszczał, i próbujemy cofnąć się w czasie najdalej, jak się da. Zobaczymy, czy jakieś jego wycieczki pokryją się z geolokalizacjami komórki Fissouma.

Ludivine wciągnęła moherowy sweter, który przyniósł jej Marc.

– Czyli jak przedstawia się pełny obraz sytuacji? – dociekała. – Pośrodku Fissoum, miał

wiedzę i charyzmę, fascynował, rekrutował, formował delikatne umysły. Poznał Anthony'ego Brissona, z zawodu seryjnego mordercę, wyraźnie w kiepskim stanie. Czy Brisson zwierzył mu się, jakie demony go dręczą? Błagał o boską pomoc? A może Fissoum sam się domyślił, że wierny ma mroczne fantazje? Jakkolwiek było, imam odkrył jego prawdziwą naturę. Udało mu się go ukierunkować i zradykalizować. Później zaczął się spotykać z Laurentem Brachem, w tym samym czasie w świecie islamistów wzrosło natężenie przesyłanych wiadomości, po czym ci dwaj na dobre zerwali kontakt. Nie wiemy dlaczego. Następnie Brisson zabił Bracha i Fissouma. Czyżby seryjnemu mordercy odbiło i zwrócił się przeciwko swojej nowej rodzinie?

Marc spoglądał na nią ponuro. Potrząsnął głową.

– Nie. Śmierć Bracha zainscenizowano przecież tak, by nasze podejrzenia skierowały się ku handlarzom narkotyków, a wszystko po to, żebyśmy nie węszyli wokół ofiary. Rzecz w tym, że seryjny morderca nie zmienia swoich metod z dnia na dzień, zabił więc tak, jak potrafił. Fissoum dzięki swoim kontaktom załatwił pewnie prochy i przekazał je Anthony'emu Brissonowi, żeby nas wywiódł w pole. Brach odegrał w czymś ważną rolę, a oni nie chcieli, żebyśmy się dowiedzieli, w czym.

Ludivine przytaknęła, przypominając sobie wspólnie wyciągnięte wnioski. Marc kontynuował:

– Fissoum dobrowolnie oddał się w ręce kata, nie bronił się, a Brisson pozwolił mu się pomodlić przed śmiercią, szanował go. Imam poświęcił życie, by zabrać ze sobą do grobu jakiś arcyważny sekret. I założył się, że to o nim mówił Anthony. To on kazał mu wprowadzić dogmat w życie. Podjął się samobójczej misji, żeby nie zostawić już żadnego śladu. Jeszcze nie rozumiesz?

– Chronią kogoś.

– Tak, kogoś, kto szykuje się, by dokonać ich zdaniem wielkich czynów. To nie przypadek, że wymiana informacji między dżihadystami zintensyfikowała się w okresie, gdy Brach i Fissoum się spotykali. Imam powierzył mu jakąś misję, a kiedy została wypełniona, zlecił jego zabójstwo, po czym zaaranżował własną śmierć i zobligował oprawcę, by również się poświęcił. Jaką funkcję pełnił każdy z nich?

– Fissoum to rekruter, Brisson morderca, a Brach... – Ludivine wykonała gest oznaczający, że brak jej pomysłów.

– Pośrednik! – uzupełnił Marc. – Fissoum miał do dyspozycji mnóstwo ludzi, ale cierpiał na paranoję i wykazywał chorobliwą ostrożność albo też zorientował się, że mamy go na oku, nie mógł więc zbliżyć się do swoich najlepszych agentów, bo byśmy ich zidentyfikowali. A zatem, żeby przekazywać im wiadomości, posługiwał się pośrednikiem: Laurentem Brachem.

– Och, by to szlag... – zaklęła na wydechu kobieta, dostrzegając zarysowujący się czarny scenariusz.

– To komórka, Ludivine. Stworzyli komórkę, a później przecięli wszystkie nitki, żebyśmy nie doszli po nich do kłębka. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Że weszli w ostatnią fazę planu.

Marc z posępną miną skinął głową.

– Wkrótce przejdą do działania.

*Abdallah Awad al-Qasim.*

*To nazwisko samo w sobie było poezją.*

*O ile ojciec Dżina nauczył go myślenia, a matka zaszczepiła w nim miłość, o tyle Abdallah Awad al-Qasim wpoił mu nienawiść.*

*Poznali się w madrasie, szkole koranicznej, w Egipcie, gdzie Dżin udał się na spotkanie służbowe. Al-Qasim od razu dostrzegł inteligencję tego dziwnego podróżnika o podejrzanych znajomościach oraz drzemiący w nim potencjał, zaprosił go więc na herbatę i ciasteczka w salce na tyłach. Był ulemem, teologiem, ukończył studia na prestiżowym muzułmańskim uniwersytecie al-Azhar w Kairze. Mówił wolno, długimi, złożonymi, lecz przy tym odurzającymi zdaniem, dźwięcznymi frazami, które powolutku owijały się wokół rozmówcy niczym pierścienie węża boa, aż biedak znalazł się na łasce jego słów. Jego broda wymuszała szacunek, a szczere, przesywające na wskroś spojrzenie zza małych, okrągłych okularów – uległość.*

*Dżina już w pierwszych minutach spotkania ogarnęła fascynacja. Tym człowiekiem, jego poglądami. Al-Qasim, stary ulem, znał świat oraz Koran i nikt nie objaśniał tego pierwszego w świetle tego drugiego lepiej niż on. W tym czasie Dżina zaczęła męczyć włóczęga, rutyna, pragnął zmian. Jego ciało miało zajęcie, umysł podążał utartymi koleinami, lecz serce i miejsce, gdzie rodzi się pasja, dotknęła atrofii. Al-Qasim obudził je już podczas paru pierwszych spotkań. Przemawiał wprost do tworzących go włókien. Do osoby, którą Dżin był w głębi duszy, niezależnie od tego, jakim stał się człowiekiem, bez względu na wyznawane przekonania. Zwracał się do czegoś, co definiowało całą jego życiową drogę, całe jego jestestwo: do jego arabsko-muzułmańskich korzeni.*

*W oczach al-Qasima żadnej wątpliwości nie pozostawiał fakt, że choć ojciec Dżina uczynił z niego szyitę, jego sunnicka matka wywarła dużo większy wpływ na jego umysł i ducha. Zamiast pozwolić, by ta dwoistość wywołała w nim poczucie destabilizacji, powinien korzystać z jej bogactwa i czerpać z niej dumę. Początkowo Dżin uczeplił się idei istnienia Boga, aby pogodzić się ze śmiercią swojej czulej matki, a później żony, lecz al-Qasim sprawił, że Stwórca stał się sensem jego życia. Starszy mężczyzna z niepokojącą łatwością skłaniał go do mówienia, a każdą dyskusję kończył przypowieściami zaczerpniętymi z Koranu i hadisami – przez nie Dżin stawał w obliczu pytań o swoją duchową ścieżkę.*

*W kolejnych miesiącach mnożył preteksty, by zatrzymać się w Egipcie i pójść posłuchać starca, któremu następnie się zwierzał, ten zaś odpowiadał mu zawsze wyważonym tonem.*

*Krok po kroku al-Qasim przeobraził się w duchowego ojca.*

*I nawet nie zdając sobie z tego sprawy, Dżin wkroczył na drogę ku nawróceniu. Wyrzekł się ojcowskiej wiary, tej kojarzącej mu się z człowiekiem oziębłym i surowym, by zbliżyć się do wiary matki, pod wpływem ulema zjednoczył duszę z sercem.*

*Niemal bezwiednie stał się sunnitą.*

*W tym samym rytmie postępował ideologiczny rozdźwięk między nim a szyicką Partią Boga, choć Dżin z niczym się nie zdradzał. Dalej działał na rzecz Hezbollahu, ale już bez wcześniejszego oddania. Zdystansował się od tej walki tak, jak porzuca się kobietę, z którą od zbyt długiego czasu nie uprawiało się miłości.*

*Przy każdej wizycie Dżina Abdallah Awad al-Qasim subtelnym, prawie niezauważalnym gestem zasiewał w nim kilka ziaren nienawiści – wystarczyła ledwie wzmianka o Zachodzie, dekadencji czy herezji – po czym podlewał je słodkim religijnym deszczem, nieraz odwołując się do historii. Dzięki tym staraniom korzenie jego teorii sięgały coraz głębiej, a nauczyciel już przygotowywał pole na przyszłe żniwa zła.*

*Stary człowiek celował w głęboko ukryty rdzeń istoty Dżina: była nim jego arabsko-islamska natura, duma dum, geneza jego krwi, kwintesencja jego kultury. Długo opowiadał mu o złotym wieku i o ummie, muzułmańskiej wspólnocie wiążącej silniej niż tożsamość narodowa, która w tamtym czasie krzewiła się wszędzie wokół. Z przyjemnością powtarzał ten sam wniosek: wielkie tysiącletnie imperium muzułmańskie podupadło w XIX wieku, kiedy kolonizacyjne zapędy Zachodu osiągnęły swoje apogeum, a tę obcą hegemonię umożliwiła degradacja fundamentalnych wartości muzułmańskiego świata. Dopóki to surowe arabsko-muzułmańskie imperium opierało się na czystych (by nie powiedzieć: twardych) islamskich zasadach, pozostawało potęgą. Wszystko posypało się, gdy muzułmanie oddalili się od tradycyjnych wartości, umma osłabła, a Zachód mógł ją sobie podporządkować.*

*Al-Qasim kończył przemowę, niezmiennie głosząc pogląd o konieczności powrotu do islamu tradycji, islamizacji myśli muzułmańskiej, utworzenia systemu polityczno-społecznego zbudowanego wyłącznie na zasadach szariat. W ten sposób umma społaby się, zjednoczyła pod sztandarem wspólnej religii dającej jasne wytyczne, rządzącej się ścisłymi regułami, a świat arabski znów stałby się silny dzięki ogromnej liczbie wyznawców i ideologicznej jednorodności, podniósłby się z kolan i ponownie wziął los w swoje ręce, gotów szerzyć wiarę i eliminować niewiernych, zanim ci do reszty zrujną planetę.*

*Z biegiem czasu Dżin zaczął podzielać wszystkie przekonania al-Qasima, a nawet żywić te same nadzieje. Pragnął przywrócenia twardego porządku, w imię Boga, z myślą o swoim ciemionym, manipulowanym, upodlonym ludzie.*

*Machina wojenna dorobiła się ideologii.*

*Po dwóch latach wypełnionych podróżami do Egiptu Dżin zaznał duchowej pełni, jakiej dotąd nigdy nie doświadczył. Zaczął wierzyć, by jakoś przeboleć śmierć bliskich, teraz wielbił Boga, by lepiej rozumieć życie, przez co śmierć stała się w jego oczach jeszcze*

bardziej godna szacunku, jeszcze cudowniejsza. Na całym świecie widywał cierpiących członków swojej wspólnoty, lud arabski zniewolony przez nowoczesne zachodnie wartości, przez tamtejsze zepsucie i przywary, uzależniony od zagranicznych pieniędzy, ograbiony ze swych bogactw, a często też z niepodległości, widział muzułmanów eksterminowanych na terenie byłej Jugosławii, podczas wojny na Kaukazie, poniżanych w Zatoce przez Europejczyków i Amerykanów.

I w miarę jak wzrastała w nim miłość do Boga, zwiększał się też jego gniew. Przypominał poczwarkę, która musi przejść metamorfozę, aby przetrwać, rozłożyć skrzydła nienawiści.

Za każdym razem, gdy Dżin czuł się źle, potajemnie organizował odwiedziny u swojego mentora. Bez końca dyskutowali o Bożej miłości, słabości muzułmanów, z której ci koniecznie muszą się otrząsnąć, metodach, jakimi można ich obudzić, liberalizującym wpływie Zachodu działającym tak, jak telewizja oddziałuje na dziecko, poprzez hipnotyzowanie naiwnych umysłów stężonymi dawkami przesłań, zniekształcanie ich prawdziwej natury, ogłupianie, by z większą łatwością sprzedać im swą deprawację i swoje produkty, podporządkowywanie ich raczej konsumpcjonizmowi niż wspólnocie Bożej.

Dżina ostatecznie uformowały dwa wstrząsające wydarzenia.

Na świętej ziemi Mekki i Medyny wylądowali Amerykanie, na dodatek członkowie sił zbrojnych, krzyżowcy, którzy od Arabii Saudyjskiej otrzymali pozwolenie, by założyć bazę wojskową na ziemi Proroka. Świętokradztwo. Fakt, że rozlokowali się tak blisko islamskich miejsc kultu, nie bacząc na cześć i szacunek, został zinterpretowany jako jawne wypowiedzenie wojny. Wówczas Dżin poczuł, że nagromadzone życiowe doświadczenia nabierają sensu. Wydarzenia, które tak go zahartowały, szkolenie na bojownika, partyzanta – Bóg pragnął tego wszystkiego w ściśle określonym celu. Nie był to żaden przypadek – od tej pory Dżin musiał prowadzić bezlitosną walkę z niewiernymi, którzy kalali święte imię Allacha, zmienić się w nieubłaganego żołnierza, rozpocząć dżihad.

Dzięki al-Qasimowi odbył wielki dżihad, dowiedział się, kim jest, zawarł pokój z samym sobą i nauczył się postrzegać życie jako ścieżkę wiodącą ku rajskiej śmierci, która czekała go, kiedy zażyczy sobie tego Bóg. Inszallah.

Był już gotowy na mały dżihad, ten związany z ciałami, bombami oraz strachem.

Lecz al-Qasim raz jeszcze nakazał mu cierpliwość. Dżin mógł przyczynić się do ich sprawy inaczej niż tylko poprzez swoją krwawą śmierć w terenie. Każdy mudżahedin, bojownik o wiarę, powinien służyć Bogu najlepiej, jak potrafi, wedle swoich kompetencji. A Dżin kompetencje miał olbrzymie.

Mógł wykorzystać swoje kontakty, by stworzyć mgławicę sympatyków, rekrutować, organizować. Dla wroga był niewidzialny, co stanowiło wyjątkowy atut. Pewnego dnia, kiedy poczuje, że nadszedł czas, uruchomi pułapkę i ujawni swoje istnienie, ale wtedy będzie już za późno, żeby go powstrzymać.

Dżin się z nim zgodził. Dalej grał w drużynie Hezbollahu, żeby mieć przykrywkę,



a tymczasem wzrastał wewnątrz, knuł swój plan, tkął pajęczynę, ustanawiał bazę – czyli po arabsku: al-kaide.

11 września 2001 roku stał się dla niego przykładem.

Po tym dniu podwoił wysiłki i zaangażowanie wkładane w tworzenie siatki. Nie kontaktował się bezpośrednio z innymi dżihadystycznymi organizacjami, nie, nie zamierzał spalić swojej przykrywki. Czekał, obserwował ich akcje, w ramach inspiracji wyłuskiwał ich mocne strony, uczył się na ich błędach, ale się nie odkrywał. Bin Laden, az-Zawahiri, az-Zarkawi, później jeszcze al-Baghdadi, wszystkie te postaci budziły jego szacunek, lecz nigdy nie zbliżał się do nich z obawy, że zdemaskuje go wróg. W dziczy żaden drapieżnik nie zdradza się ze swoją obecnością przed ofiarą.

Mijały lata, a determinacja Dżina nie słabła, wręcz przeciwnie. Wzmacniały ją wieści o Amerykanach okupujących muzułmańskie terytoria, takie jak Afganistan czy Irak, o wpływach, jakie obywatele Stanów Zjednoczonych wywierali w innych miejscach, usiłując podporządkować sobie wiernych Allacha.

Śledził wszystko, co się działo, studiował każdą pozycję zajmowaną przez wroga, doszukując się w niej wady. Nie takiej, która pozwoliłaby wysadzić w powietrze wojskowy konwój krzyżowców albo ambasadę, lecz takiej sięgającej głębiej, umożliwiającej zadanie ciosu prosto w serce świata niewiernych. Zamiarem Dżina nie było doprowadzenie do drobnego spięcia lub ugodzenie w ego przeciwnika, on pragnął wielkiego tryumfu. Chciał wywołać symboliczny wstrząs, który zapisze się w ludzkiej pamięci, przyniesie trwałe konsekwencje. 11 września zapoczątkował na całym świecie XXI wiek i erę terrorizmu, a Dżin miał ambicje, by zadać cios o podobnej sile rażenia, o którym później będzie się mówiło, że stanowił punkt zwrotny w tej religijnej wojnie. Ale to wymagało czasu. Mnóstwa czasu. Zwłaszcza że wraz z pojawieniem się Daeszu stracił część swojej siatki. Niektórzy spośród jego współpracowników zostali namierzeni, aresztowani lub zabici przez CIA i inne zagraniczne tajne służby, jednak Dżin wciąż dysponował solidną bazą, kontaktami w wielu krajach.

Drugim szokującym wydarzeniem, które stało się dla Dżina sygnałem do startu, była śmierć Abdallaha Awada al-Qasima. Ulem wyjechał do kalifatu Państwa Islamskiego, by tam kontynuować swoją misję w charakterze duchowego przewodnika. W bombardowaniu budynku, który Francuzi wzięli za magazyn amunicji, zginęło sześcioro dzieci, dwie kobiety i al-Qasim.

Wyrywając mu serce z piersi, Allah palcem wskazał Dżinowi cel. Francuzi. Wiadomość od Boga była jasna. Niewierny naród nękany wątpliwościami, zamieszkujący kraj w samym sercu Europy, z liczną populacją muzułmańską. Mówił w ich języku. A zatem na nich postanowił skupić swoją uwagę.

Z biegiem lat zgromadził małą fortunę – opłaty za świadczone usługi, bakszysze, wynagrodzenie za jego służbę – a ponieważ żył skromnie, większość pieniędzy zdołał

zaoszczędzić. Z pomocą tego łupu wojennego zamierzał wprowadzić w życie swoją strategię.

Zaczął analizować każde dokonanie i posunięcie adwersarza na arenie międzynarodowej, każdą reakcję, deklarację, nawet jego plany na przyszłość.

I powoli, lecz nieubłaganie odsłonił się przed nim jego słaby punkt. Taki, który pozwoli mu dokonać bezprecedensowego czynu.

Który na zawsze odmieni ludzką mentalność.

Musiał już tylko obudzić swą bazę, by tam, na miejscu, znaleźć odpowiednie narzędzie, sposób na dostanie się do środka.

Kluczowy element planu.

*Wróg, na podobieństwo szejtana, czyli diabła, mógł wiedzieć wszystko.*

*Słyszeć wszystko. I wszystko widzieć.*

*Dzin znał ich możliwości, po to go szkolono. Telefony łatwo dało się namierzyć, nawet komputery stanowiły realne zagrożenie, gdyż bez trudu można było zhakować połączenie z Internetem, przez co przepływ danych – strony, hasła i, rzecz jasna, otrzymywane i wysyłane maile – stawał się widoczny dla służb wywiadowczych.*

*Dla tych, którzy pragnęli prześlizgnąć się między oczkami sieci, komunikacja na odległość przerodziła się w łamigłówkę. Korzystanie z usług posłańca niosło ze sobą ryzyko, ponieważ ten ustanawiał fizyczne połączenie między dwiema osobami. Jeżeli ktoś go śledził, wysłannik doprowadzał szpiegów prosto do swojego kontaktu. Był to zresztą, w zależności od dystansu, sposób dość powolny, wymagający nie lada logistyki w celu umówienia się na byle spotkanie.*

*Istniał oczywiście darknet, równoległa sieć niepodlegająca kontroli, ale jej wykorzystanie, jeśli je wykryto, samo w sobie dowodziło, że użytkownik chce pozostać niezauważony, co mogło ściągnąć na niego dodatkową uwagę. Wymagało ponadto zdolności informatycznych, których część współników Dżina nie posiadała.*

*W miejsce tych wszystkich rozwiązań Dzin stosował prostą i skuteczną metodę wersji roboczych.*

*Logował się do wskazanej z wyprzedzeniem skrzynki pocztowej, odcinał połączenie z Internetem, aby się upewnić, że nikt się do niego nie włamie, po czym redagował maila, którego nigdzie nie wysyłał, tylko zapisywał w wersjach roboczych, a następnie ponownie łączył się z Internetem i wylogowywał. W ten sposób z jego komputera nie wychodziły żadne komunikaty. Wystarczyło, że jego współpracownik zaloguje się do tej samej poczty, kliknie w wersje robocze i rozłączy się z siecią, żeby nikt nie mógł czytać równocześnie z nim. Wiadomość czekała na niego, choć w żaden sposób nie przekazano jej z jednej skrzynki do drugiej. Zwykła kopia robocza, przycupnięta cierpliwie na uboczu, z dala od nadzorowanego przepływu danych. Dwaj użytkownicy dysponowali jedną skrzynką mailową i gotowe – piłka była w grze. Wrodzy agenci, którzy analizowali wszystkie wysyłane i odbierane listy elektroniczne, niczego się nie domyślali.*

*A w najświeższej wiadomości Dzin pisał jasno: znowu chciał osobiście spotkać się ze swoim kontaktem. Nieznacznie naruszało to jego własne zasady – nigdy nie widywał się z tą samą osobą dwukrotnie, na wypadek gdyby w międzyczasie zaczęto ją śledzić. Ale tym razem*

uznał, że ryzyko jest bardzo niewielkie. Tak naprawdę operacja jeszcze nie wystartowała, a rzeczonygo wspólnika zrekrutował pośrednik, dzięki czemu między głównymi graczami utrzymano możliwie największy dystans.

Nastał moment zbyt ważny, by Dżin mógł się zadowolić wersją roboczą w „martwej” skrzynce. Chciał, żeby kontakt wziął sobie każde jego słowo do serca. Chciał go też ocenić. Wybadać jego determinację.

Zaparkował samochód na podziemnym parkingu centrum handlowego, na najniższym, najgłębiej położonym poziomie, gdzie żadna komórka nie łapała zasięgu. Postanowił trzymać się z daleka od technologii. Na wszelki wypadek. Amerykanie potrafili podsłuchiwać rozmowy przez telefon podejrzanego, nawet po jego wyłączeniu. Zdalnie przejmowali nad nim kontrolę, a ich ingerencja pozostawała niewykrywalna. Dżin przypuszczał, że Francuzi również są do tego zdolni. Nikt go nie śledził, co do tego miał pewność, jednak takie zachowanie było częścią jego dawnych przyzwyczajęń. Nadmierna ostrożność utrzymywała go przy życiu i przez tak długi czas zapewniała mu niewidzialność.

Kontakt pojawił się na końcu alejki, tocząc się wolno na swoim skuterze, dopóki Dżin nie dał mu znaku ręką przez otwarte okno wozu. Przy okazji zdał sobie sprawę, że czas go już wymienić. Tym bardziej po dwóch spotkaniach z tą samą osobą. Obiecał sobie, że zajmie się tym jeszcze tego dnia.

Człowiek na skuterze zatrzymał się na wysokości auta i zgasił silnik. Podniósł wizjer.

Przywitali się ledwie skinieniem głowy, mężczyzna pamiętał, że Dżin nie pozwala na nic, dzięki czemu można by ich powiązać z religią, nawet na zwykłe pozdrowienie po arabsku.

– Są gotowi? – spytał Dżin.

– Tak, i w pełni formy.

– Świetnie. Pojedziesz do jakiejś robotniczej dzielnicy Paryża i kupisz telefony komórkowe. Wybierz sklep z polecenia, taki, gdzie wolą gotówkę i nie prowadzą na bieżąco dokumentacji, rozumiesz? Jeśli nie będziesz mógł się od tego wykręcić, użyj fałszywego dowodu.

– Jasne, łatwizna.

– Kup dla każdego po komórce z kartą prepaid, nie zostawiaj po sobie żadnego śladu.

– Stare modele z minimum bajerów?

– Nie, weź nowe, ale opłać usunięcie simlocków, żebyśmy mogli zrobić z nimi, co nam się spodoba. Zainstaluj na wszystkich aplikację SnoopSnitch.

– Co to?

– Pozwala ocenić bezpieczeństwo przekazników, z którymi łączy się urządzenie. Jeśli w pobliżu znajdzie się fałszywa stacja bazowa, jakimi posługują się służby wywiadowcze, żeby przechwytywać dane, wyświetli im się informacja na ten temat, a wtedy mają zakaz korzystania z telefonu!

– Kapuję.

– Przekażesz mi ich numery za pomocą wersji roboczej, a później rozdasz im aparaty, ale mogą ich użyć dopiero w ostatniej chwili, nie wolno im przez nie załatwiać własnych spraw, jasne?

Spojrzenie Dżina było tak intensywne, że mężczyzna nie potrafił zdobyć się na odpowiedź, skinął jedynie głową na znak zgody.

– Czy to już czas? – zapytał, przełknąwszy ślinę.

Dżin hipnotyzował go swoimi ogromnymi źrenicami.

– Tak.

Człowiek na skuterze zaczerpnął długi haust powietrza. Wyglądał tej chwili z niecierpliwością, a równocześnie z pewną obawą.

– Przekaż im komórki – ciągnął Dżin – wraz z instrukcjami i poleć, żeby zamelinowali się w wybranych kryjówkach. Potem masz zerwać z nimi kontakt, nie wolno ci za nimi iść, nie możesz wiedzieć, dokąd się udają.

– A więc zaczęło się... – powiedział do siebie jego rozmówca.

– Pozbądź się śladów po telefonach, nawet numerów, nie będą ci potrzebne. Wszelkie powiązania między nimi a tobą muszą zniknąć.

– Kiedy to się stanie?

– Jestem prawie gotowy, sam dam im sygnał.

– A ja? Skąd będę wiedział? Co mam robić, kiedy się zacznie?

Dżin położył odzianą w rękawiczkę dłoń na ramieniu towarzysza.

– Twoja misja już prawie dobiegła końca. Niemniej jednak, zanim przystąpimy do dzieła, będziesz musiał raz jeszcze nam pomóc.

– Oczywiście. W jaki sposób?

– Nadal masz tę spluwę, którą mi oferowałeś?

Mężczyzna zawahał się, zanim wyznał z pewnym zawstyżeniem:

– Jeszcze się jej nie pozbyłem...

– W takim razie zachowaj ją i słuchaj, co ci powiem.

Dżin nachylił się nieco bliżej i szeptem udzielił instrukcji. Jego rozmówca wyglądał na coraz bardziej rozgorączkowanego. Trochę się trząsnął, a serce waliło mu jak młotem.

Ale powoli wypuścił powietrze i w końcu skinął głową.

– Obiecuję – rzekł.

Zaczął się pocić.

Kieliszki z szampanem zadźwięczały, ludzie przechylili je, rozległ się kryształowy szmer świętowania.

Grupa przedsiębiorców w szytych na miarę garniturach i jedwabnych krawatach wznosiła radosne toasty i piła, dalej kilkoro kobiet i mężczyzn spokojnie rozmawiało. Wielu rozglądało się wokół, napawając się własną obecnością w tym luksusowym kokonie, jakim był taras hotelu Barrière Le Fouquet's na ulicy George V. Oświetlony miękkim blaskiem stylowych lamp lokal cały w kamieniu i szkłe stanowił połączenie starego i nowego świata. Sam w sobie był pieśczętą dla zmysłów, kuszącą, by zanurzyć się w tym przepychu. I większość gości faktycznie się w nim pławiła.

Targowisko miłości w pełnej krasie. Piękne stroje, uwodzicielskie spojrzenia, „tak” lub „nie” i kochankowie już czmychali gdzieś, ku nocnej frustracji lub płochliwemu orgazmowi, który niełatwo przywabić.

Ten rewiowy spektakl kłuł Ludivine w oczy. Czowała się nie na miejscu wśród dziewcząt wyszykowanych jak na wystawny bal lub do tandetnej knajpy, w zależności od gustu. Odnosiła wrażenie, że gdy tylko się podnosi, oceniają ją, analizują jej krągłości, jej potencjał, a na koniec wystawiają jej notę. To było nie do zniesienia.

- Dlaczego tutaj? – zapytała Marca.
- Pomyślałem, że odrobina życia dobrze ci zrobi.
- Życia czy jego parodii?

Za całą odpowiedź posłużył jej krzywy uśmiech Marca, jego przenikliwe spojrzenie.

Popołudnie przyniosło Ludivine same rozczarowania. Chciała natychmiast wrócić w teren, ale zatrzymano ją w IGGN – przedstawiciele organu pragnęli dowiedzieć się wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach. Zgodnie z procedurą Inspekcja Generalna Żandarmerii Narodowej musiała zebrać jej zeznania, ale w tym wypadku miały one również posłużyć do przeprowadzenia wewnętrznej ewaluacji określającej, czy Ludivine jest w stanie kontynuować pracę na dotychczasowym stanowisku. W wyniku nacisków ze strony DGSI, by jak najszybciej – a najlepiej od razu – podjęła obowiązki, grupa śledcza już mogła świętować zwycięstwo, gdyż zrezygnowano ze zwykłych środków ostrożności, a panią porucznik poinformowano, że może wznowić służbę nazajutrz rano.

W międzyczasie Segnon powiadomił ją o najnowszym odkryciu dokonanym u Anthony'ego Brissona. W ogrodzie przylegającym do domu jego zmarłej matki.

Trup.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że zakopano go najdalej dwa tygodnie temu, być może nie dawniej niż przed tygodniem.

Zabójca zadał sobie spory trud, by zdeformować zwłoki. Naprędce przeprowadzona autopsja ujawniła, że w czaszce widnieją liczne pokaźne wgniecenia. Co więcej – nieboszczyka zasypano wapnem. Większość morderców stosowała je, żeby szybko rozpuścić tkanki i zniwelować smród rozkładu, który mógłby zwrócić czyjąś uwagę. Zdarzało się jednak, że wapna używano do zatarcia rysów, tak by ofiary nie dało się rozpoznać, i wyglądało na to, że tak jest też w tym przypadku, zważywszy na fakt, że wszelkie obrażenia koncentrowały się głównie na twarzy denata.

– Jakiś pomysł, kto to może być? – spytała Ludivine przez telefon.

– Nie, był nagi, w stanie, który pozostawię twojej wyobraźni. Horror. Skóra zniknęła, zostało tylko napuchnięte mięso.

– Mężczyzna?

– Tak, przynajmniej to nie pozostawia wątpliwości.

– W domu nie znaleziono żadnej wskazówki, dowodu tożsamości, prawa jazdy...?

– Przeszukanie jeszcze trwa, ale szybko się dowiemy. Ludzie z DGSI zapewniają wsparcie. Patrzą nam na ręce, ale nie odpowiadają na żadne pytania, niezbyt to przyjemne.

– Wieczorem spotykam się z Markiem, zapytam go, czy coś mają.

A teraz siedziała naprzeciwko niego w tym zbyt jak na jej gust wyrefinowanym miejscu.

– Widzisz tego grubego wścicza u szczytu stołu za mną, dokładnie na linii twojego wzroku? – spytał Marc. – Szary garniak. To Zineb Razaf. Nie wpatruj się w niego, bywa nerwowy. To tunezyjski biznesmen, blisko związany z obecną władzą w Tunisie, kamień węgielny rodzącej się tam obecnie demokracji. Zna wszystkich, i mówię to bez przesady, zarówno wśród większości prezydenckiej, jak i w kręgach najbardziej upolitycznionych i najbardziej awanturniczych salafitów. Jeśli Razaf zniknie, zerwie się oficjalny dialog pomiędzy tymi wszystkimi stronami. Nawet w kraju, który dał początek arabskiej wiosnie, panuje widoczna chwiejność, trzeba zważać na tyle drażliwych kwestii, że wszyscy stąpają jak po kruchym lodzie.

– Okej, czyli ten Zineb jest ważny. Czemu mi o nim mówisz?

– Ponieważ dzięki naszym przyjacielom z DGSE wiemy, że Zineb Razaf wspiera również pewną „libijską szajkę”, po cichu finansując rynek fałszywych dokumentów i wiz, na którym jego kraj handluje ze swoim niestabilnym sąsiadem. Zaopatruje uchodźców z Libii w tunezyjskie paszporty, bo Europa nieco mniej uważnie przygląda się Tunezyjczykom niż Libijczykom czy Irakijczykom, ale przede wszystkim dostarcza broń rewolucyjnym islamistycznym frakcjom z okolic Bengazi, służąc za pośrednika w kontaktach z pozbawionymi skrupułów handlarzami i opłacając dostawy. To dlatego cieszy się takim posłuchem u tunezyjskich salafitów – mają świadomość, że po kryjomu wspiera ich sprawę.

– Skoro wiecie to wszystko, to czemu go nie aresztujecie?

– Z powodu pierwszego punktu, który ci wyłożyłem. Zineb to ważna figura na tunezyjskiej szachownicy. Bez niego demokracja stałaby się mniej stabilna. Czasem lepiej znać swoich wrogów i skupić się na obrazie całości, niż zbić jednego pionka i wywołać konsekwencje, które ostatecznie mogą wymknąć się spod kontroli. Tak czy inaczej, DGSE uważnie przyjrzy się niedawnym poczynaniom Zineba, prawdopodobnie mają kreta w jego organizacji, wolę nic na ten temat nie wiedzieć. Chodzi przede wszystkim o to, żeby ustalić, czy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy ułatwił jednej lub kilku osobom wjazd na teren Europy. Czy jakaś ważna postać światowego terroryzmu zwróciła się do niego z prośbą o dyskretną przeprawę dla siebie albo swoich ludzi. Takich Zinebów Razafów jest cała masa. Wszyscy, których można po cichu poddać obserwacji, znajdą się pod nadzorem. Nie bardzo wierzę w ich udział, ale trzeba się upewnić.

– To znaczy, że ten śmieć wręcza spluwy terrorystom, być może przemycą ich na terytorium naszego kraju, a my nic z tym nie robimy? Facet będzie nadal rozbijał się po luksusowych hotelach?

– To wszystko kwestia globalnej oceny sytuacji. Właśnie dlatego cię tu dziś zabrałem. Żebyś zdała sobie sprawę, że – jak już mówiłem – wkraczasz w złożone uniwersum. Czasem trzeba iść na kompromis, mieć przed oczami ów obraz całości. Umieć rozkoszować się drinkiem, siedząc obok człowieka, o którym wiemy, że ma na sumieniu wiele ofiar, i zaakceptować fakt, że nic mu nie zrobimy, przynajmniej na razie.

– Muszę szczerze wyznać, że umiejętność osiągnięcia kompromisu nie należy do moich mocnych stron.

– No cóż, musisz się przystosować. Jeśli zamierzasz mi towarzyszyć, chcę wiedzieć, że mogą na ciebie liczyć. Że będziesz miała na uwadze nasz cel. Musimy działać skutecznie, więc nie cofniemy się przed niczym, nie wolno nam zawracać sobie głowy detalami.

– Takimi jak przepisy prawa? O to ci chodzi?

Kolejny uśmiezek.

– Nie. Mówię o zadawaniu się z ludźmi, którzy nie przypadną ci do gustu.

Ludivine rozumiała, do czego Marc zmierza. Nie zapuszczają wszystkich, z którymi się zetkną. Nie wszystkie z zastosowanych metod jej się spodobają. Krótko mówiąc: cel uświęca środki.

Skinęła głową.

– Jakoś przeżyję, biorąc pod uwagę stawkę w grze.

– Znasz podstawowe pojęcia? Jak tłumaczyłem przy naszym pierwszym spotkaniu, salafizm to „ścieżka przodków”. Salafici to fundamentalistyczni muzułmanie, którzy promują powrót do islamu tradycji w jego surowej postaci. Większość z nich to kwietyści, a więc ludzie dość bezkompromisowi, lecz pokojowo nastawieni, którzy nie mieszają religii z polityką. Jednak część z nich nadaje swoim sądom polityczny wydźwięk, z tymi sprawa jest już nieco bardziej skomplikowana, zwykle niewiele im brakuje do przekroczenia żółtej



linii, przynajmniej w słowach, na przykład gdy usprawiedliwiają taką czy inną akcję. I wreszcie ostatnia, najmniej liczna grupa, a więc ci, którzy swoje publiczne deklaracje przekuwają w czyn: dżihadysty. Nasz główny cel.

– Przynajmniej to wszystko.

– Doskonale. Słowa kluczowe są proste: nie myl przymiotników „islamski” oraz „islamistyczny”. Tym pierwszym określamy wszystko, co wiąże się z cywilizacją islamu, na przykład sztukę islamską, podczas gdy drugi odnosi się wyłącznie do religijnego radykalizmu. Pierwszy jest w porządku, drugi raczej drażliwy. I na koniec „islamizm”: to pojęcie oznacza wzrost potęgi islamskiego fundamentalizmu.

– Rozumiem.

Ta skrócona wersja *Terroryzmu dla początkujących* zaserwowana w zbyt kłopotliwym otoczeniu, w obecności jednego ze sponsorów omawianego zjawiska, wytrąciła Ludivine z równowagi. Przypuszczała, że był to zamierzony efekt, sposób na poddanie sprawdzianowi jej motywacji oraz zdolności, dlatego skoncentrowała się najlepiej, jak potrafiła.

– Wśród naszych agentów znajdują się też wulkanolodzy.

– Słucham?

– Przeprowadzamy coś w rodzaju analizy sejsmicznej, szukamy niewielkich ruchów i przyspieszeń sejsmicznych, żeby przewidzieć, gdzie w przyszłości dojdzie do wybuchu. Kiedy opowiadałem ci o wielkich uszach, wyjaśniłem, że chodzi o powszechny system kontroli. W skrócie, mowa o nadzorze sprawowanym w sieci: podejrzane lub jawnie propagandowe fora ulokowane na zagranicznych serwerach, portale społecznościowe, skrzynki pocztowe ludzi, których mamy stale na oku, ich maile i rozmowy głosowe... Ale odnotowujemy też osobiste spotkania osób, które podejrzewamy o radykalizację. W istocie posuwamy się jeszcze dalej. Interesuje nas nawet działalność fałszerzy, a także innych kryminalistów z pozoru specjalizujących się w bardziej tradycyjnych dziedzinach. Jeśli na przykład fałszerze zaczynają poszukiwać czystych paszportów, może to być sygnał dla nas: czyżby planowali przeszmygłować tu szajkę nielegalnych imigrantów? Potencjalnych terrorystów? Jeśli następuje wzrost liczby napadów na furgonetki pancerne, to czy przypadkiem nie znaczy to, że jakaś komórka gromadzi łupy z zamiarem przeprowadzenia ataku terrorystycznego? Ktoś kupuje broń ciężką – czy to komórka kompletuje arsenał, żeby uderzyć? Na tym polega w tym zawodzie cały szkopuł: trzeba ustalić, co podpada pod zwykłą przestępczość, a co sygnalizuje zbliżający się wybuch. I tym zajmują się nasi wulkanolodzy. Szukają nagłych skoków w natężeniu hałasu tła. Zestawiają ze sobą to wszystko: fora i profile facebookowe nagle zalewane niezrozumiałymi wiadomościami, zaszyfrowane maile, SMS-y i połączenia, które mnożą się jak szalony, choć my nie widzimy w tym żadnej logiki. W skrócie, gdy następuje wzrost aktywności, mówimy o „wstrząsach” albo „ożywieniu”. A w naszym świecie ożywienie to zawsze zły znak.

– To właśnie nastąpiło w okresie, kiedy Fissoum i Brach się spotykali.

– Tak jest. Tyle że od tamtej pory panuje niesłychany spokój.

– Cisza przed burzą?

Marc uniósł dłoń, przyznając jej rację.

– Dobry powód do niepokoju. Naprawdę. – Umoczył wargi w szklance z whisky, siedemnastoletniej Hibiki, którą przestał się delektować, nazbyt pogrążony w rozmyślaniach. – Największe zagrożenie stanowi terroryzm międzynarodowy – ciągnął. – Tacy terroryści mają nad nami tę przewagę, że nie ograniczają się do terytorium jednego państwa. Kiedy ktoś z zagranicy aktywuje komórkę, która wyrusza, by przeprowadzić atak w sąsiednim kraju, wówczas tkwimy po uszy w gównie. Powolne procedury administracyjne zaangażowanych w sprawę służb mogą nas załatwić. Jeśli przykładowo z Syrii nadchodzi rozkaz o aktywowaniu grupy w Niemczech, to nawet jeśli Amerykanie go przechwycą, zanim przekażą informację Niemcom, biorąc pod uwagę różne opóźnienia, wykręty i wahania związane z prywatną strategią – byle nie ujawnić, że dysponują takim a takim urządzeniem podsłuchowym albo nie wsypać tajnego informatora – może się okazać, że wiadomość dotrze do celu zbyt późno. Co gorsza, jeżeli rozkaz dotyczyłby ataku na Francję, to istnieje ryzyko, że zanim amerykańskie lub niemieckie agencje nas ostrzegą i podzielą się wszystkim, co wiedzą, dżihadysty znajdą się na naszym terytorium, niemożliwi do namierzenia, albo atak zdąży już dojść do skutku. Często wystarczy kilka godzin. Jeśli chodzi o nas, w przypadku terroryzmu międzynarodowego procedury mogą trwać szalenie długo, bo musimy przeprowadzić weryfikacje, zdobyć pozwolenia i poczekać, aż w zamian otrzymamy potrzebne dane.

– Skoro nie znacie tożsamości agentów operacyjnych, to czy nie można by zacząć od czubka piramidy i próbować zejść niżej? Zakładam, że identyfikacja rozkazodawców to niełatwe zadanie, ale chyba nie niewykonalne?

– Jeżeli nikt nie przyzna się do ataku, to jak błędzenie po labiryncie, a jak się pewnie domyślasz, niczego nie wiadomo z wyprzedzeniem. Nie bez przyczyny mówi się o mgławicy terrorystycznej. Nie mamy do czynienia ze ściśle zdefiniowaną organizacją, nie, to byłoby zbyt proste. Istnieją całe dziesiątki grup, czasem zupełnie od siebie niezależnych, które łączy jedynie wspólny cel: zniewolić nas lub zniszczyć w imię wyznawanej wiary. Niektóre są wrogo do siebie nastawione ze względu na polityczną rywalizację lub tworzone stronnictwa. Zdarza się, że szybko powstają i szybko się rozpadają, a ich członkowie dołączają do innych bractw. Sprzymierzają się, rozdzielają, stają przeciwko sobie i dochodzą do porozumienia, zależnie od różnych okoliczności. Krótko mówiąc, to skomplikowany wir. Na przykład Al-Kaida i Daesz, by wymienić tylko dwie największe i najbardziej znane organizacje, bardzo różnią się między sobą strukturą, ambicjami, stosowanymi środkami i metodami, mimo że w chwili obecnej przyświeca im niemalże taki sam cel: walka z niewiernymi. Ale gdyby jutro osiągnęły to, co planują, mogę ci zagwarantować, że w końcu z pewnością wszczęłyby wojnę między sobą. A mowa o dwóch gigantach tej

mgławicy, wokół nich krąży tyle satelitów, że zdarza im się wchodzić ze sobą w kolizję, więc dla nas to prawdziwe piekło. Jeżeli poszukiwani przez nas ludzie wywodzą się z jednego z tych mniej lub bardziej odległych satelitów, będzie ciężko, bo im mniejsza grupa, tym mniej furtek, przez które wyciekają informacje.

– Skoro w świecie islamistów zawrzało, a wasi wulkanolodzy zarejestrowali ożywienie, to z pewnością nie chodzi o małego satelitę...

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Wystarczy, że jedna lub dwie osoby znikają, że inne się organizują, a wszyscy zaczynają wymieniać się informacjami, szmer przybiera na sile – to taki głuchy telefon, jeśli wolisz – po czym cichnie bez żadnych konsekwencji, a to dlatego, że tak naprawdę nikt nie ma nic ważnego do powiedzenia, albo dlatego, że ktoś zmusza wszystkich do milczenia.

– No ale my wiemy, że coś się dzieje.

Marc skinął głową.

– Zagłębiaamy się w świat islamistów. Daleko temu do łatwego i przyjemnego zadania, tu nic nie jest całkiem czarne ani całkiem białe, trzeba się przystosować, zachować elastyczność, a czasem tolerować wstrętnych ludzi, żeby osiągnąć tych stojących wyżej, których absolutnie nie możemy znośić.

– Jestem gotowa.

Następnie Marc podzielił się z nią kilkoma spostrzeżeniami geopolitycznymi, które uznał za istotne dla zrozumienia muzułmańskiego świata, szczególnie zaś ostrego sporu między sunnitami a szyitami, i stopniowo przedstawił dokładną strukturę demograficzną poszczególnych państw nad Zatoką, aby Ludivine pojęła wysokość stawki, o jaką toczyła się gra, i złożoność problemu, który Europejczykom wydawał się tak odległy. Po jednej stronie stoją sunnici, tłumaczył, a po drugiej szyici w towarzystwie alawitów, którzy siłą przejęli władzę w Syrii, wspierani przez irańskich ajatollahów. W Iraku, długo rządzonym przez sunnicką mniejszość Saddama Husajna, doszło do buntu szyickiej większości, w wyniku czego sunnicka wspólnota z sąsiednich państw, stanowiąca marginalny odsetek ich społeczeństw, zapragnęła sięgnąć po broń i chronić braci, którzy stali się ofiarami. Marc mówił też o delikatnym położeniu Arabii Saudyjskiej, najbardziej wpływowego kraju w regionie, na którego terytorium leżała święta ziemia Mekki i Medyny – ten gospodarczy i strategiczny sprzymierzeniec Amerykanów był jednocześnie ojczyzną wahabizmu, jednego z najbardziej konserwatywnych islamskich ruchów fundamentalistycznych, co w opinii wielu czyniło wspomniany sojusz iście schizofrenicznym. Wspomniał o Państwie Islamskim Daesz, rozkraczonym nad Irakiem i Syrią. O prześladowanych Kurdach, pozbawionym ziemi narodzie liczącym od trzydziestu do czterdziestu milionów członków, którzy próbują wykorzystać sytuację i zdobyć należne im ich zdaniem terytoria, jednak ich wysiłki spotykają się z niechęcią lub zacięłym sprzeciwem zainteresowanych krajów. A w samym środku tej beczki prochu leżą niestabilny kosmopolityczny Liban oraz Palestyna i Izrael.

Wszystko to na wycinku globu nie większym niż sama Europa, oddalonym od Paryża o niespełna trzy godziny lotu. Beczka prochu? Nie, raczej cały wojskowy arsenał mogący w każdej chwili eksplodować i unicestwić przy tym pół planety. Jeśli tak na to spojrzeć, mieszanie się w ten chaos leży w najlepszym interesie Europejczyków, zrozumiała Ludivine. Kwestia przetrwania.

Stłumiła ziewnięcie. Otaczający ją ludzie za nic by nie uwierzyli, że dwadzieścia cztery godziny temu tkwiła zamknięta w dziurze w ziemi, czekając na śmierć. Nawet jej zdawało się, że od tamtego czasu minęły wieki. Nie próbowała dystansować się od własnych przeżyć, po prostu tak to postrzegała. Ciąg lęków zamglonych w pamięci.

Gęsia skórka na ramionach udowodniła jednak, że dla jej ciała, przeciwnie, te wszystkie wydarzenia pozostają całkiem świeże. Wzrok nagle jej się zaćmił, usłyszała odległe echo krzyków i strzałów, a strach ponownie sprawił, że coś przewróciło jej się w żołądku. Pomyślała, że zaraz zwróci swoją skromną kolację na środku tego luksusowego tarasu, ale wzięła się w garść i nie dała po sobie poznać tej przelotnej niedyspozycji.

Skupiła się na chwili obecnej. Marc kończył swoje wyjaśnienia. Przełknęła resztkę letniej herbaty, by splukać kwaśny posmak, który czuła w głębi gardła.

– Wszystko bardzo pięknie, rozumiem, że ta lekcja była niezbędna, i dziękuję ci za nią – rzekła, nachylając się do niego. – Ale najpierw pokazujesz mi islamistów trenujących w parku, teraz zabierasz mnie na spotkanie z jednym z ich sponsorów... Kiedy wybierzemy się w teren, żeby zrobić jakieś konkretne postępy? Mam po dziurki w nosie teorii.

Marc po przyjacielsku poklepał jej dłoń.

– Właśnie dlatego odbywamy tę rozmowę dzisiaj – odparł. – Jutro czeka nas ostra jazda.

Funkcjonariusze kierujący przeszukaniem byli ekspertami w dziedzinie „dupojebstwa”, jak nazywali sztukę zacierania śladów w taki sposób, by niczego nie dało się znaleźć, by w razie potrzeby „wyruchać” służby porządkowe tak, jak należy – od tyłu.

Tyle że agenci DGSI doskonale znali kamasutrę stosowaną przez swojego ulubionego wroga.

Mieszkanie imama Fissouma przewrócono do góry nogami. Przypominało łóżko po burzliwych igraszkach. Jednak dojście do tego stanu wymagało pokonania kilku etapów.

Zaczynają zawsze czule, od gry wstępnej. Przyglądają się, pieszczą, podnoszą tylko odrobinę, snują domysły, pomału wpadają w podniecenie, stawiają się na miejscu tego drugiego, macają, ciągną powoli to tu, to tam, na stojąco, na kolanach, a czasem stając na głowie. Robią też zdjęcia, na początku, kiedy model wciąż dobrze się prezentuje, zawsze lepiej tak niż ze zmęczoną twarzą i rozczochranymi włosami.

Później wszystko przyśpiesza, nieraz dlatego, że frustracja coraz bardziej daje im się we znaki. Wnikają głębiej, poruszają się coraz szybciej. Odwracają, stają się porywczy.

I wreszcie nadchodzi wielki finał, wszystko lata i się rwie. Miażdżą, tłuką, zachowują się jak dzikusy.

Ale prawdziwe dupojebstwo jest wtedy, gdy rzecz nie kończy się orgazmem.

Jednak tym razem funkcjonariusze odpowiedzialni za przeszukanie osiągnęli nirwanę. Dzięki nie całkiem prostej listwie przypodłogowej. Kilka rys na parkiecie świadczyło o tym, że w tym miejscu, na tym poziomie coś regularnie przesuwano. Za listwą we wnęce znaleźli czarny zeszyt.

Całe linijki cyfr. Rachunki. Kilka rozsiaanych notatek.

Dwie ostatnie strony wyrwano.

– Założymy się, że ważne informacje znajdowały się właśnie tam? – mruknął jeden z obecnych, wyciągając notes w stronę kolegi.

Ten rzucił okiem na tylną okładkę, sprawdzając, czy nie odcisnął się na niej tekst.

– Wyrwał dwie dla bezpieczeństwa, myślę, że tylko pierwsza była w użyciu. Dzięki temu nie dowiemy się, co na niej napisano.

Zeszyt zniknął więc w opatrzonej numerem torebce.

Białe, wykafelkowane laboratorium, jaskrawe oświetlenie.

Obleczona w rękawiczkę dłoń położyła notes na blacie roboczym i starannie rozcięła tylną okładkę nożem do papieru. Technik chwycił uzyskaną w ten sposób kartkę pęsetą i umieścił

ją na porowatej, wykonanej z brązu płytce urządzenia ESDA, niewiele większego od elektrycznego grilla i nieszczęśliwie różniącego się od niego pod względem estetycznym. Pieczołowicie przykrył okładkę poliestrową płachtą grubości zaledwie kilku mikrometrów, a następnie uruchomił pompę.

W pomieszczeniu rozległ się szum wentylacji, który odbijał się echem od kafelków.

Kartka i warstewka plastiku zostały przyssane, przywarły do brązu.

Technik wprawna ręką zaczął przesuwać nad maszyną lampą wyładowań koronowych, żeby zarówno papier, jak i poliestr naładować elektrostatycznie, później oprószył je drobnym, szarym proszkiem, spolaryzowanym tonerem do drukarki, i jego cząsteczki potoczyły się po całym dokumencie, wnikając w ledwie widoczne zagłębienia w kartce.

Wśród bieli pojawiły się szare linie i zawijasy.

Technik był dość pewny siebie, z doświadczenia wiedział, że metodą wytłaczania można odtworzyć zapisane przez kogoś informacje nawet na kartce znajdującej się początkowo trzy lub cztery strony pod tą, która została użyta, a to dzięki zwykłym odciskom, dzięki temu, że czubek długopisu naznaczył, czasem niezauważalnie, materiał pod spodem.

Pompa zatrzymała się i technik uniósł pokrywę, żeby przyjrzeć się rezultatom w jaskrawym świetle.

To, czego jeszcze chwilę wcześniej nie dało się dostrzec gołym okiem, rysowało się teraz czarno na białym.

Pismo było szerokie. Litery łatwe do odcyfrowania.

Nazwisko i suma pieniędzy.

Aubervilliers. Trójkąt ulic blankowanych fasadami sklepów, prawdziwy handlowy kanion, wypełniony rozległymi hangarami przesłaniającymi kilka kwartałów domów mieszkalnych. Świat hurtowników, którym rządili głównie Chińczycy, gdzie ruch tamował niekończący się balet ciężarówek i furgonetek, hordy pracowników rozładunkowych pakowały towary i wypakowywały je z różnego typu wózków ręcznych, a nawet wózków widłowych, bez ostrzeżenia wyłaniających się tyłem z magazynów, ledwo widocznych, z widłami sterczącymi do przodu.

Marc ostrzegał: trzeba będzie kawałek podejść, nie ma co marzyć o zaparkowaniu w tym sektorze.

Ludivine zrobiła unik przed stertą kartonów niesionych przez chwiejną postać i dalej kluczyła wśród porannego tłumu, uważając na wciąż obolałe zębra. Lwia część witryn oferowała klientom ubrania prêt-à-porter, ciuchy dla mas, sprzedawane przez agentów pośredniczących między Chinami a handlarzami we Francji, ale jeśli tylko poświęciło się nieco czasu na obserwację, można tu było znaleźć wszystko. Ludivine zauważyła kilka hurtowni peruk, kosmetyków do makijażu, artykułów dekoracyjnych i wyrobów skórzanych. Niektóre uliczki kończyły się ślepyimi zaułkami, gdzie mieściły się podejrzane zakłady, widniały szyldy firm importowo-eksportowych o tajemniczych nazwach – odrębny wszechświat niedostępny dla przeciętnego przechodnia. Ludivine wątpiła, by chętnie otwierano tu drzwi nawet przed osobami uzbrojonymi w legitymację żandarmerii.

Marc wprowadził ją do przedsionka, stamtąd powiódł na podwórze zavalone górami palet oznakowanych chińskimi ideogramami, a później pod zadaszeniem osłaniającym baterię mocno wypchanych płóciennych worków. Maszerowali wzdłuż hangaru, aż weszli do środka. Przez cały ten czas Ludivine nie dostrzegła nigdzie żadnej tablicy informującej, co tam zastała.

Wnętrze było dużo ciemniejsze i spokojniejsze niż podwórze. Przestronne i przesycone silną wonią.

Światło wpadało jedynie przez rząd brudnych dachowych okien ciągnących się wzdłuż głównej krokwi wysoko nad nimi. Ukośne promienie padające od sufitu podkreślały wysokie regały wyładowane pachnącymi skrzyniami, kuframi i tobołkami. Przestrzeń pośrodku była nieco mniej zagracona, choć stały tam w rzędach setki worków tworzących równoległe alejki i ukazujących swoją zawartość: daktyle, orzeszki ziemne, pistacje, suszone morele, a dalej wielobarwne przyprawy, które znacznie przyczyniały się do panującej tu orientalnej

atmosfery. Cała jedna strona służyła składowaniu tysięcy pantofli, torebek z wielbłądziej skóry – one również wydzielają silny zapach – i gór dywanów.

Kiedy wchodzili, przyglądał im się młody Maghrebczyk, ale Marc zignorował go, jakby doskonale znał to miejsce. Ludivine trzymała się tuż za nim i razem przeszli przez zasłonę z koralików do jeszcze mroczniejszej klitki, gdzie wisiały rolki lepu na muchy – ponad tuzin – oznaczone czarnymi, znieruchomiałymi gronami, pewnie już od dawna powiewały tak w przeciągu. Podłogę przykrywały dwa wielkie dywany, zaś na umeblowanie składały się krzesło, ustawiony w kącie telewizorek z przenośną anteną oraz kuchenka gazowa.

W niewielkich drzwiach zjawił się wąsaty, nieco przysadzisty pięćdziesięciolatek wykazujący silne podobieństwo do młodzika z głównej hali magazynu. Gdy rozpoznał Marca, sposepniał i wymamrotał coś pod nosem.

– Dzień dobry, Faridzie, dawno żeśmy się nie widzieli, co? – zaczął Marc.

– Czego chcesz?

– Życzyć ci miłego dnia.

– Nie, przychodzisz tylko wtedy, kiedy zamierzasz mnie o coś prosić, już ja cię znam.

Marc wskazał Ludivine.

– Daj spokój, Farid, nie będziesz chyba zachowywał się nieuprzejmie przy mojej nowej partnerce?

Handlarz przestąpił z nogi na nogę, a później, po chwili wahania, wyrzucił z siebie kilka słów po arabsku i zaprosił ich, by usiedli.

– Faridzie, zechcesz wyjaśnić mojej koleżance, która niewiele na ten temat wie, czym jest hawala?

Ludivine zauważyła, że Marc poprawnie wymówił arabskie słowo, nie był to zresztą pierwszy raz, kiedy czyniła podobną obserwację, zastanawiała się więc, czy agent mówi w tym języku.

Farid głośno wypuścił powietrze przez nos, posyłając Marcowi nieprzychylnie spojrzenie.

– Nie tylko my to praktykujemy! – wytknął z oburzeniem. – Ci Chinole z magazynu obok też się tym parają, u nich nazywa się to chop!

– Nie mnie, Farid, tylko jej. Tłumacz.

Importer przełknął ślinę i po kolejnej długiej chwili wahania zwrócił się w stronę funkcjonariuszki w cywilnym stroju:

– Słowo „hawala” znaczy „obiecuję”. To sposób na przekazanie pieniędzy z kraju do kraju bez konieczności robienia przelewu.

– Jak to możliwe? – zdumiała się Ludivine.

– Potrzeba do tego dwóch współpracujących ze sobą handlarzy. Na przykład ja będę działał tutaj, a ktoś inny w Algierze.

– Albo w Bagdadzie – wtrącił Marc sarkastycznie pod coraz bardziej zirytowanym spojrzeniem Farida.



– Wyobraźmy sobie, że jakiś chłopak z Algieru chce przekazać tysiąc euro chorej matce tu, we Francji, ale wolałby nie korzystać z usług banków, bo to za drogo kosztuje, chciałby też zaoszczędzić matce płacenia we Francji podatku. Idzie więc na spotkanie z jednym z zaopatrujących mnie producentów pomarańczy i prosi, by za drobną opłatą wyświadczył mu przysługę. Daje mu te tysiąc euro, a wtedy dostawca dzwoni do mnie i oznajmia, że na następnej fakturze obniży kwotę należną do zapłaty o tysiąc euro, ja zaś wręczę te pieniądze osobie, która zjawi się u mnie z ustalonym hasłem. Dla producenta pomarańczy to żaden problem, tak czy siak otrzyma swoje tysiąc euro, tyle że nie ode mnie, a od tamtego chłopaka, na dodatek zgarnie opłatę za usługę. Mnie też nie robi różnicy, czy wypłacę należność kontrahentowi, czy komuś tu na miejscu. Na tym polega hawala. Na wyświadczeniu sobie przysług.

– Innymi słowy – podjął Marc – to praktyczne rozwiązanie, dzięki któremu kupa kasy krąży sobie poza naszą kontrolą. Wszystko odbywa się w cieniu, z dala od banków i alarmów informatycznych. Nie jesteśmy w stanie sprawdzić, czy do kraju dotarły jakieś pieniądze ani ile ich było. I nie trzeba chyba dodawać, że system ten działa na korzyść terrorystów, którzy muszą niepostrzeżenie zdobywać środki finansowe.

Młody mężczyzna wniósł do pokoju tacę z miętową herbatą, którą zaserwował obecnym, po czym znowu zniknął.

– Domyślasz się już, dlaczego tu jesteśmy? – zapytał Marc wysoce nieprzyjaznym tonem.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – odparł Farid równie oschle.

Marc odstawił szklanę, nie tknąwszy naparu. Nachylił się do handlarza i rzekł cicho, z groźną miną:

– Jeśli postanowię cię udupić, ściągnę ci na głowę fiskusa i całe stado księgowych, którzy tak cię przemaglują, że się nie pozbierasz. Za niespełna pół roku będziesz razem z żoną i piątką bachorów żarł gówno w rynsztoku. Tego chcesz?

Farid nienawidził agenta DGSI. To uczucie emanowało z każdego najmniejszego pora w jego skórze. Przesunął językiem po wargach i spuścił wzrok, chwytając wciąż dymiącą szklanę.

– Co chcesz wiedzieć?

– Poinformujesz mnie o każdej hawali, której podjąłeś się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Nie chodzi mi o drobne machlojki na rzecz twojej szwagierki albo kuzyna siostrzenicy, to mam w dupie. Chcę wiedzieć o transakcjach z nieznanymi, takich, o których nic nie wiesz, o których nie chciałeś nic wiedzieć. Znam cię, Farid, masz nosa, wyczujesz przekręt na kilometr. Tego właśnie chcę. Masz dwie opcje: podać kilka nazwisk, których już nigdy więcej nie usłyszysz, albo zirytować mnie, nie dostarczając żadnych interesujących informacji. I wierz mi, nos powinien ci podpowiadać, kto naprawdę może ci zaszkodzić.

– Nie zrobiłem nic złego...

– Farid.

Marc uniósł brodę, wpatrując się surowo w rozmówcę.

– Nie mogę ci dać tego, czego chcesz, przysięgam. Wyniuchałem tylko kasę na narkotyki.

– Dilerzy?

– Pewnie.

– Tak czy siak, podasz mi ich nazwiska, daty i kwoty, a także dane dostawcy, który poprosił cię o tę przysługę.

– Ale...

– Jeśli sam nie przekazywałeś forsy typom spod ciemnej gwiazdy, być może robili to twoi koledzy z Houilles albo Mantes-la-Jolie. Chcę, żebyś się podowiadawał.

– Wpakuję się w niezłe g...

– Już teraz siedzisz w gównie, Farid. Na razie możesz oddychać, bo sięga ci tylko po szyję, ale jeśli nie przestaniesz rznąć głupa, wciągniesz za sobą całą rodzinę i pochłonie was gnojówka.

Farid upuścił szklankę i gorąca herbata utworzyła przed nim kałużę.

Marc wstał.

– Chcę mieć te nazwiska przed końcem tygodnia. Po tym terminie nie będę mógł zrobić nic, żeby powstrzymać fiskusa.

Szli pod szarym późnolistopadowym niebem, by dostać się z powrotem do samochodu. Ludivine trochę się wstydziła. Przed końcem rozmowy z Faridem musiała pobiec do toalety, gdzie zwróciła skromny posiłek zjedzony po przebudzeniu. Zimny pot. Uczucie paniki. Wrażenie, że się dusi, że stopniowo okrywa ją dławiący całun śmierci. Wspierała się o ściany, żeby nie upaść, i dyszała ciężko. Powoli odzyskała kontrolę nad ciałem, a wtedy osunęła się, przysiadła na klapie od sedesu i ukryła twarz w dłoniach. Wszystko mieszało się ze sobą. Przerazenie wywołane wspomnieniem nagiego mężczyzny, euforia związana z tym, że przetrwała porwanie, niezbędne ustępstwa moralne, na które musiała się zdobyć. Miała wrażenie, że to, co zrobiła, żeby przeżyć, zakrawało niemal na prostytutkę. I choć przez większość czasu jakoś sobie z tym radziła, zdarzały jej się napady poczucia winy. Kiedy zmieszanie ustąpiło, Ludivine osuszyła oczy, podejrzewała jednak, że są zaczerwienione, więc po powrocie uciekała spojrzeniem w bok.

Marc nie dał się nabrać, przyjrzał jej się i przez krótką chwilę trwał w zdumieniu, a potem wsunął się między nią a Farida, dając sygnał do wymarszu. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, nic nie powiedział, jakby nie chciał wikłać się w rozważania na temat słabości albo jakby uważał, że lepiej pozwolić, by Ludivine zatraciła się w działaniu, że nic poza działaniem jej nie pomoże.

– Forsa jest siłą napędową wojny, nawet wśród terrorystów – wyjaśnił. – Samotny agent nie potrzebuje specjalnych środków, żeby uderzyć, wystarczy, że w pięć minut załatwi sobie

chwilówkę, a będzie miał dość kasy na całą logistykę, nam zaś trudno go namierzyć. Za to wielka operacja wymaga odpowiednio wysokich nakładów finansowych. Zakup fałszywych papierów, broni ciężkiej, materiałów do wytwarzania bomb, sprzętu niezbędnego do przeprowadzenia rekonesansu, do tego dochodzi wynajem kryjówek, wozów i tak dalej. W takim wypadku nie mogą improwizować, potrzebują okrągłej sumki, a istnieje niewiele sposobów na jej zdobycie. Może dostarczyć ją uprzejmy posłaniec, który ryzykuje jednak, że celnicy capną go z niemałą ilością gotówki. Wiąże się to z koniecznością odbycia podróży, co nie zawsze jest łatwe. Istnieje też inna opcja: bandytyzm na wielką skalę, często stanowiący źródło samofinansowania komórki terrorystycznej. Ale również ta metoda niesie ze sobą wiele zagrożeń, więc rzadko kiedy się ją preferuje, mimo że okradzenie niewiernego nie jest grzechem, ponieważ służy islamowi. Ogłoszono nawet kilka fatw na ten temat, a w nich zawarto miłe, praktyczne rozwiązania kwestii dogmatycznych. Za to jeżeli dżihadyści utrzymują kontakt z organizacją w rodzaju Daeszu, która dysponuje całymi miliardami, to znacznie ułatwia sprawę. Wystarczy, że ich pośrednik skontaktuje się z lokalnym eksporterem w Iraku, Syrii czy Turcji, tych nie brakuje, a resztę załatwi hawala.

– Nie wiedziałam. To się wydaje takie proste...

– I takie właśnie jest. Staramy się pozyskiwać źródła takie jak Farid, żeby śledzić te transakcje, ale to próżny trud. I nawet jeśli wykryjemy podejrzane ruchy u nas, pieniądze wciąż mogą napływać z innych stron. To stała praktyka choćby wśród Pakistańczyków, ich społeczność w Londynie korzysta z metody, którą nazywają hundi, chodzi jednak o to samo. Nieustannie, przez cały tydzień, zewsząd przychodzą pieniądze, a władze nie potrafią nad tym zjawiskiem zapanować ani poddać go kontroli. A kiedy kasa trafi już w czyjeś ręce, w mgnieniu oka może dotrzeć tu Eurostarem. Wydaje nam się, że takie z nas bystrzaki, mamy swoje komputery, alarmy uruchamiane przez przelewy bankowe i wszystkie te nowoczesne narzędzia podatkowe i nadzorujące, tyle że tamci goście tysiące lat temu wynaleźli handel, to ich kultura, zawsze znajdą sposób, żeby nas przechytrzyć. Mają nas za bandę błaznów. Ale musieliśmy tam zajrzeć. Farid to prawdziwa podpora tej branży.

– Musiałeś tak na niego wsiąść?

– Tylko presja skłania kmiotków takich jak Farid do współpracy.

– A próbowałeś już grzecznie poprosić? Choć raz, na próbę?

Marc zatrzymał się przed samochodem, stanął twarzą do Ludivine.

– Przed dwoma laty dwaj kretyni planowali wysadzić żłobek działający przy wielkiej amerykańskiej korporacji. Zgarnięto ich przy zakupie materiałów wybuchowych. Wiesz, skąd wzięli pieniądze?

– Od Farida? No dobra, ale on nie wie, na co tak naprawdę idzie kasa, którą wypłaca, wyświadcza tylko przysługę, tak jak powiedział, to część jego kultury. Jego jedyną zbrodnią jest bierność.

– Nie bierz go za idiotę. Kiedy turecki dostawca prosi go, by przekazał osiem czy dziesięć

tysięcy euro dwóm gówniarzom z długimi brodami, którzy nigdy się nie uśmiechają, Farid doskonale zdaje sobie sprawę, że forsa nie posłuży wyłącznie do kupienia babuni nowej sztucznej szczęki.

– Nie postawiono mu żadnych zarzutów?

Marc wzruszył ramionami.

– Czasami sprawiedliwość nie sięga tak daleko.

– Ale przecież ty wiedziałeś... Och, okej! Zapomniałeś wspomnieć o Faridzie w swoich raportach i teraz trzymasz go za jaja.

Agent DGSI posłał jej szeroki uśmiech.

– Szybko łapiesz. – Zawahał się przez moment. Spojrzał Ludivine głęboko w oczy. – Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Ale tak szczerze. Nie pytam jako facet z DGSI, ale jako ten, który wieczorem bierze cię w ramiona. Jak się masz?

Ludivine zrobiła głęboki wdech i zdobyła się na sztuczny uśmiech.

– Są momenty, kiedy się łamię, sam dobrze to widzisz, ale zapewniam cię, że jakoś dam radę.

Odpowiadała wyprostowana niczym ajatollah, a Marc bez namysłu objął ją i przycisnął do siebie, wsunął dłoń w jej włosy. Miała problem, by się temu poddać, ale po kilku chwilach wewnętrznych zmagani odprężyła się i oparła czołem o jego ramię.

– Bałam się – wyznała cichutko.

– Wiem.

– Przepraszam za to, co się dziś stało... Dałam się zaskoczyć. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. W każdym razie nie podczas misji w terenie.

Przez jakiś czas obsypywał ją czułościami, dopóki delikatnie go nie odepchnęła. Jej postawa uległa zmianie. Odzyskała werwę. W jej oczach błyszczała determinacja.

– Co teraz?

Marc przyjrzał jej się badawczo, a w końcu skinął głową.

– Utniemy sobie pogawędkę z prawdziwym łajdakiem.

Telefon Marca bez przerwy wibrował. Po odebraniu słuchał uważnie i rozłączał się niemal bez słowa. Trwało to od wczesnych godzin porannych.

Poprzedniego wieczoru odwiózł Ludivine do domu, ona wolała jednak spać sama, rozdarta między pragnieniem jego pocieszającej obecności a poczuciem, że od tej pory powinna stawiać czoła traumie, nie kryjąc się w ramionach faceta, którego w gruncie rzeczy ledwo znała. Gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, z półmroku wyłoniła się brudna twarz nagiego mężczyzny. On i jego obsceniczne słowa. Za każdym razem, kiedy Ludivine podejmowała wysiłek, by skierować myśli w inną stronę, słyszała bicie swojego serca i to na powrót skłaniało ją do rozważań o życiu, a także o śmierci, o którą się otarła.

*Najgorsze myśli zawsze przychodzą nocą, kiedy nie możemy dalej się chować, gdy nie możemy dłużej przed nimi uciekać* – pomstowała w duchu, a później połknęła końską dawkę lexitanu. Oto jak stawiała czoła traumie.

Nazajutrz rano, kiedy Marc przyjechał po nią swoim sedanem, znieruchomiła na chwilę z nosem wtulonym w jego szyję, by zaciągnąć się jego dzikim zapachem, i zdała sobie sprawę, że tęskniła za jego skórą.

– Lepiej nie będę pytał, czy miałaś kiepską noc, co? – rzucił.

– Nie, oszczędź sobie trudu.

– Powinienem był się wczoraj uprzeć i zostać.

– Często spałam z kim popadnie, byle tylko nie stanąć twarzą w twarz ze sobą – wyznała wprost. – Muszę sobie udowodnić, że ten etap mam już za sobą, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło.

– Mogę co wieczór przebierać się za innego gościa, jeżeli chcesz. – Ludivine się roześmiała. Głębokim, szczerym śmiechem. – Nie śpiesz się, masz tyle czasu, ile potrzebujesz, a kiedy najdzie cię ochota na moje towarzystwo, choćby tylko po to, żebym czuwał nad twoimi koszmarami, zagwiżdż.

– To miłe...

– To normalne.

– „Nie śpiesz się”. Chłopcy rzadko to mówią.

– Czas to język Boga we wszechświecie. Niekończąca się wypowiedź rozbrzmiewająca poza ludzkim zasięgiem. Oddech stworzenia.

– Sama nie wiem, czy to piękne, bardzo prawdziwe czy kompletnie zblizowane. Jesteś wierzący?

- Mógłbym być.
- Przegapiłeś swoją szansę?
- Coś w tym stylu. To moja była żona wygłaszała tę myśl o czasie. Prawie udało jej się mnie nawrócić, ale ostatecznie zabrakło mi najważniejszego.
- Wiary?
- Zdolności tracenia.
- To znaczy?
- Tracenia wątpliwości. Zatracenia się w absolutnym przekonaniu, w Nim. Jeśli istnieje... Ach, widzisz... Ledwie zaczynam mówić o Bogu, a już wątpię.
- Twoja żona była bardzo pobożna?
- U niej wynikało to z podłoża kulturowego. Ma francusko-marokańskie korzenie. Jest muzułmanką. Wychowała się w rodzinie, gdzie tradycja i wiara były ze sobą silnie splecione.
- Ach tak?
- Cóż za niespodziewana rewelacja. Czasem Ludivine wyobrażała sobie Marca jako gliniarza nieco zgorzkniałego z racji wykonywanego zawodu i konieczności tropienia terrorystów, z gatunku tych, którzy powoli staczają się po zboczu cynizmu i łatwych uogólnień, wobec czego towarzyszy im rodzaj permanentnej nieufności w stosunku do wszystkich zdradzających obce, szczególnie maghrebskie pochodzenie. Ten domysł rozprysł się w pył. To upewniło ją co do niego, co do otwartości jego umysłu.
- Tak, to dlatego wyspecjalizowałem się w islamistycznym terroryzmie, przez dziesięć lat obcowałem z kulturą muzułmańską, nauczyłem się podstaw arabskiego, powiedzmy, że DGSI pozostało tylko przeszkolić mnie z fundamentalizmu, ale zainteresowali się mną już wcześniej.
- To was rozdzieliło, ciebie i ją? Twoja praca związana z radykałami wyznającymi jej religię?
- Nie, na tym etapie robak już toczył owoc. Początkowo nawet przychylnym okiem spoglądała na to, że robię „porządek z jej wiarą”, jak mawiała. Że szukam tych, którzy kalają islam. Ale to prawda, że w praktyce nie zawsze okazywało się to proste. Tak czy inaczej, mieliśmy już niewiele wspólnego z tą dwójką nastolatków, którymi byliśmy w chwili naszego pierwszego spotkania. Na dłuższą metę ten związek nie mógł przetrwać.
- Sądzisz, że oni całkowicie się w Nim zatracają, ci, których tropimy?
- W Bogu? Tak. Myślę, że niektórym łatwiej przychodzi życie w ten sposób, w stanie totalnego poddaństwa, dzięki temu zrzucają z siebie wszelką odpowiedzialność, bo wszystko jest *Jego* wolą. Inni zatracają się w Nim, bo nie mogą znieść tego, kim są, więc staje się to dla nich metodą, by wyrzec się samego siebie. Niektórzy robią to, bo się boją, bo życie ich przeraża, a wiara nadaje sens śmierci, którą zaczynają wielbić. Część to zwykli durnie, którzy postępują tak, jak się im każe. I tak dalej...

– Nie ma ani jednego terrorysty, który zetraca się w Bogu z miłości?

– A następnie wysadza w powietrze piętnaście osób, z czystej miłości? Nie. Ci, którzy tylko kochają, ograniczają się – a i to z pewnymi zastrzeżeniami – do apolitycznego fundamentalizmu, który nie pociąga za sobą działania. Jeśli spotkasz dżihadystę rozprawiającego o swojej miłości do Boga, to tak naprawdę masz przed sobą wariata, który usiłuje sobie wmówić, że wciąż kocha żonę, która wyrządziła mu tyle złego, podczas gdy w rzeczywistości nienawidzi jej bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ci, którzy epatują miłością, to w istocie ślepcy trawieni nienawiścią. Ludzie, których odarto z życia, dlatego zostali wielbicielami śmierci.

W tym momencie samochód zwolnił. Ludivine zrozumiała, że dotarli do celu. Nieobecna, pogrążona we wspomnieniach z wczesnego ranka, nie zwracała uwagi na trasę i nie miała pojęcia, gdzie się znajdują, wiedziała jedynie, że gdzieś na nieodległym przedmieściu Paryża: szara ruchliwa ulica otoczona wąskimi sklepikami, dwu- lub trzypiętrowymi budynkami w różnych stylach architektonicznych, za to jednorodnych pod względem swojej brzydoty.

Marc popchnął ją w stronę baru z kebabem o fasadzie w krzykliwych odcieniach zieleni i żółci. Zaczynała odczuwać głód, jednak posiłek w tym śmierdzącym tłuszczem miejscu wcale jej nie kusił i zamierzała właśnie powiedzieć coś na ten temat, kiedy Marc zatrzymał się na prowadzących do lokalu schodkach i ostrzegł:

– Wspomniałem, że spotkamy się z prawdziwym łajdakiem. Obaj właściciele parali się kiedyś rozbojem. Starszy jest podejrzany o spalenie żywcem, w ich własnym domu, bliskich konwojenta furgonetki pancерnej, który odmówił otwarcia pojazdu jego współnikom. Z powodu zaniedbań proceduralnych i braku dowodów uniknął dożywotniej odsiadki. W więzieniu Fresnes odnalazł Boga. Wyszedł przed rokiem. Ten drugi nie jest lepszy, stręczycielstwo, handel narkotykami, ciężkie pobicia i napad z bronią w rękę. Krótko mówiąc, jeżeli nie okażesz im szacunku, poćwiartują cię i nakarmią tobą swoich klientów.

– Znasz ich?

– Nigdy ich nie spotkałem, ale przed chwilą dostałem cynk.

– Wiedzą, że przyjdziemy?

– Nie.

– A są tu chociaż?

– Tak, po drodze otrzymałem potwierdzenie.

– No to świetnie. Dlaczego tu jesteśmy?

Marc poszukał wzrokiem czegoś w głębi ulicy, na jego twarzy pojawił się wyraz usatysfakcjonowania.

– Zobaczysz, pozwól mi poprowadzić ten taniec, wtrąć się, jeśli poczujesz, że powinnaś, ale lepiej trzymaj się na uboczu, w ten sposób nie będziesz miała sobie nic do zarzucenia.

– Nic do...? Przerażasz mnie. Dlaczego my...

Marc już odwrócił się do niej plecami i pchnął drzwi knajpy.

Trzech klientów dzieliło się porcją frytek i pieczonej jagnięciny, siedząc w boksie obok lady, o którą opierał się krępy trzydziestolatek z ogoloną czaszką i gęstą czarną brodą. Jego hebanowe tęczęwki błysnęły, mknąc w stronę Ludivine i Marca, gdy tylko weszli. Mężczyzna otaksował ich spojrzeniem od stóp do głów, jego szczęki poruszyły się pod cienką skórą policzków. Najwyraźniej po ich aparycji poznał, że reprezentują służby porządkowe.

Marc zatrzymał się przed nim.

– Chcielibyśmy zobaczyć się z Selimem.

– Nie ma.

– Jest na zapleczu, jego samochód stoi na tyłach.

– Poszedł na zakupy. Pieszko.

– W takim razie zaczekamy, aż wróci, staniemy sobie zaraz przy wejściu z legitymacją służbową na widoku, to się dopiero spodoba waszej klienteli.

– Czego od niego chcecie?

– Zamienić kilka słów, to wszystko.

Mężczyzna nie krył rozdrażnienia. Ospale okrążył ladę, by zniknąć za niewielkimi drzwiami. Kucharz, wysoki chudzielec o pustym spojrzeniu, obserwował ich z długim nożem w ręku.

– A jeśli wymknie się chyłkiem? – spytała Ludivine, ledwie otwierając usta.

– Nie robi tego.

Marc zdawał się pewny swego.

Potem zjawił się olbrzym. Wyznawał ten sam brodaty styl co jego wspólnik, nosił jednak biały kamiz, a na głowie dzierganą kufi. Stał twarzą w twarz z Markiem, ignorując Ludivine.

– Czego pan ode mnie chce?

Marc wskazał najbardziej oddalony boks.

– Chodź. – Ponieważ mężczyzna ani drgnął, wyciągnął legitymację DGSI. – Dasz nam pięć minut czy od razu załatwiamy sprawę na poważnie? – dodał groźniejszym tonem.

– Chcę zobaczyć też jej legitymację – zażądał Selim, nie zaszczycając Ludivine spojrzeniem.

– Może mnie pan poprosić bezpośrednio – odparła, pokazując dokument.

– DGSI i żandarmeria? Zgubiliście się czy co?

– Z faktu, że współpracujemy, powinieneś wywnioskować, że wpadłeś w gówno. Chodź.

Marc pociągnął go ku ławce nieco na uboczu, Ludivine zajęła miejsce obok partnera.

Nawet na siedząco Selim spoglądał na nich z góry, mierzył bowiem prawie dwa metry. Pod ubraniem można było domyślić się zarysu szerokich ramion i ciała uformowanego ćwiczeniami, a Ludivine zauważyła, że jego pokryte odciskami dłonie są ogromne. Jeśli się



wkurzy, to aby go powstrzymać, będą się musieli wykazać niezwykle szybkością reakcji.

– Jakie masz powiązania z Abdelmalekiem Fissoumem? – zaczął Marc.

– Nie znam człowieka.

Patrzył funkcjonariuszowi prosto w oczy, bez wahania, niemal wyzywająco.

– Nie pogrywaj sobie ze mną.

– Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.

– Imam Fissoum, dobrze wiem, że się znaliście.

– Nic mi to nie mówi.

– Dlaczego więc zapisał twoje nazwisko w swoim cennym notesiku, a potem wyrwał tę kartkę?

– Nie wiem, trzeba było go zapytać, póki jeszcze żył, pokój i błogosławieństwo Allacha niech będą z nim.

– Jak to, nie znasz gościa, ale wiesz, że nie żyje?

– Piszą o tym we wszystkich gazetach.

Marc westchnął i oparł się łokciami o blat dzielącego ich stołu.

– Powiem ci, jak się sprawy mają: Fissoum ukrył swój notes, ale miał pecha, bo mimo wszystko wpadł nam w ręce podczas przeszukania jego mieszkania. W środku znajdowały się osobiste rachunki imama, to znaczy te prowadzone równoległe do oficjalnej księgowości meczetu. Wiedziałeś, że defraudował część składanych ofiar? Nie brał ich dla siebie, nie, nic na to nie wskazuje, najprawdopodobniej finansował mniej... chwalebne akcje. I twoje nazwisko jakoś się z tymi pieniędzmi wiąże.

Selim pokręcił głową.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– No cóż, to świetna okazja, żeby to udowodnić. Zanim będzie za późno. Jak zauważyłeś, przyszliśmy do ciebie po dobroci, żadnego rozpiżdzielu w lokalu, nie założyliśmy ci bransoletek i nie wepchnęliśmy cię do wozu na oczach wszystkich. Dajemy ci szansę, żebyś się wytłumaczył, tylko przed nami, dzięki temu wszyscy zaoszczędzimy czas. Ale jeśli wolisz, żebyśmy przeszli do metod siłowych, dla mnie to łatwizna, a ta śliczna blondynka, która siedzi tu sobie, mimo że od początku starasz się jej nie zauważać, z przyjemnością upokorzy cię w obecności kolegów, wykręcając ci ramię, żebyś ruszył dupę. – Selim nie próbował już ukryć odrazy, jaką budził w nim rozmówca, z wściekłości zacisnął pięści. – Imam wyrwał stronę z twoim nazwiskiem i kwotą, którą zamierzał ci zaproponować: pięćset euro. To dowód, że bardzo zależało mu na tym, żebyśmy do ciebie nie dotarli. Ale nie pofarciło mu się, bo umiemy odczytać nawet to, co niewidzialne. Twoje nazwisko i wspomniana suma widnieją wśród bazgrołów Fissouma. Masz przesrane, Selim! – Olbrzym przetrwał jego słowa. Marc kontynuował zawzięcie: – Jeżeli zmusisz mnie, żebym cię wsadził do aresztu, twoje nazwisko trafi do akt, a biorąc pod uwagę twoją przeszłość i obecne wyroki, wyobrażasz sobie chyba, co cię wtedy czeka. Dobrze wiesz, co

się dziś dzieje, gdy nazwisko salafity, choćby i kwietysty, z kartoteką kryminalną taką jak twoja wypływa w sprawie związanej z terroryzmem. Sędzia ci nie przepuści.

– Darzę szacunkiem tych braci, ale nie ich metody.

– Jeśli w sądzie zamierzasz stosować podobną linię obrony, to nie mogę się doczekać, aż usłyszę, na ile cię wsadzą.

– Nie mam nic wspólnego z imamem Fissoumem. Przyszedł ze mną pogadać, ale mu odmówiłem.

– Kiedy to było?

– Jakies dwa miesiące temu.

– O co cię prosił?

– Żebym kogoś znalazł.

– Kogo?

– Nie powiedział.

– Prosił cię, żebyś kogoś znalazł, ale nie powiedział, jak się ten ktoś nazywa? Jaja sobie robisz?

– Mówiłem panu: nie przyjąłem propozycji. Wiem tylko, że chodziło o konkretnego człowieka. Zaczął opisywać jego wzrost i wygląd, zamierzał pokazać mi zdjęcie, ale się nie zgodziłem. Nie chciałem być w to zamieszany. Dobrze tu wiemy, z kim się imam zadawał. Poważałem go, ale niepotrzebne mi tego rodzaju kłopoty.

– Czy taką postawą nie zepsujesz sobie reputacji? – rzucił Marc ironicznie.

– Chcesz wiedzieć? Dobrze – zdenerwował się Selim. – Gdyby przyszedł do mnie jak brat do brata i poprosił o wyświadczenie przysługi w imię ummy, zrobiłbym to. Ale nie, on zjawił się z plikiem banknotów, które podetknął mi pod nos, dyktując, co mam robić. Ja już tak nie działałem. Nie można mnie kupić, a już zwłaszcza nie z zakatu zebranego na potrzeby meczetu.

– Co robił facet, którego imam chciał znaleźć?

– Nie mam pojęcia. Gadał coś o gościu, który jest samotny albo stroni od ludzi, ale już go nie słuchałem.

– Jakiś zbieg? – wtrąciła Ludivine.

Selim ją zignorował. Marc wskazał partnerkę.

– Co jest? Nie odpowiesz damie?

Selim niechętnie usłuchał, nie odrywając oczu od Marca:

– Nie wiem.

– Czyli właściwie nie wiesz nic? – wściekł się Marc.

– Nie mam żadnych innych powiązań z imamem Fissoumem.

– Do kogo zwrócił się po tobie?

– Pojęcia nie mam, już go więcej nie widziałem.

– *Na pewno* masz jakiś pomysł, znasz wszystkich w tym regionie. Rzuć mi jakieś ochłapy

do poskubania, bo nie będę miał innego wyjścia, jak wpakować cię do ciupy, żebyś dojrzał i nadawał się do pożarcia.

– Nie wiem tego na sto procent, ale gdybym miał zgadywać, obstawiałbym gości z dzielnicy Val, obok meczetu. Szumowin jest tam w bród, wystarczy się schylić, a można ich nazbierać dziesięć. Imam znał wszystkich, syna tego, brata owego, ostatecznie pewnie musiał się do nich zwrócić.

– Więc dlaczego najpierw przyszedł do ciebie?

– Bo jestem znany.

– Taka z ciebie gwiazda?

– Był czas, kiedy potrafiłem każdego wywęszyć.

– I wszystkich ich puszczałeś z dymem?

Błysk nienawiści w czarnych tęczówkach.

Marc wstał.

– Koniec rozmowy. Jeśli chcesz coś dodać, póki jeszcze jest czas, pora to zrobić teraz.

Selim odezwał się hardo po arabsku. Marc natychmiast odpowiedział mu w tym samym tonie, a Ludivine po raz pierwszy ujrzała, jak zbroja olbrzymiego twardziela pęka pod wpływem zaskoczenia.

Ledwie wyszli z restauracji, zapytała Marca:

– Coście sobie powiedzieli?

– Parę czułych słów. Zaczynał tracić cierpliwość. Myślę, że jeszcze trochę, a z pomocą kolegów wywaliłby nas za drzwi.

– Byłoby miło, gdybyś poinformował mnie, co znaleźliście podczas przeszukania u Fissouma.

– Przepraszam, Ludivine. Co chwila dostaję jakieś info, jest tego całe mnóstwo, a większość bez znaczenia, wszystko dzieje się tak szybko. Ale masz rację. Obiecuję, że przy obiedzie zdam ci pełne sprawozdanie.

Dwa auta toczące się po jezdni przyspieszyły nagle, zmierzając w ich stronę. Ludivine szykowała się, by wyciągnąć broń, lecz Marc położył jej dłoń na przedramieniu i ją powstrzymał.

Pojazdy zahamowały tuż przed nimi i wysypało się z nich pięcioro ludzi z pomarańczowymi opaskami oznaczonymi napisem „Policja” na rękawach. Wpadli do baru z kebabem.

– Twój koledzy? – domyśliła się Ludivine.

– Tak.

– Okłamałeś Selima?

– Jak najbardziej. Tym razem to zbyt poważna sprawa, żebyśmy mogli przymknąć oko. Czeka go krótki pobyt w sanatorium. Ale zyskaliśmy na czasie, wyciągając z niego wszystko, co wie, w niespełna pięć minut. Kolegom zostawiam dopełnienie formalności.

Chodź.

Wrócili do sedana, Marc ułożył dłonie na kierownicy i zabębnił w nią nerwowo palcami.

– Musimy dowiedzieć się więcej o gościu, którego szukał Fissoum. Skoro z jego powodu był gotowy zdefraudować pieniądze z ofiar na meczet, to facet nas interesuje. Imam doskonale wiedział, kogo chce dopaść, uściślił, że chodzi o samotnika, outsidera. Czyżby się ukrywał? Zdrajca, który mógłby ich wsypać? To częsty problem z młodymi radykałami, nawet gdy zdadzą sobie sprawę, że towarzysze posuwają się za daleko, nie wiedzą, jak zrobić w tył zwrot, z kim się skontaktować, raz wpadli w ten wir i nie mają pojęcia, jak się z niego wydostać. Może ten, o którym mowa, po prostu nawiał.

– Może już go znaleźliśmy.

– Jak to? – rzucił Marc ze zdziwieniem.

– Co, jeśli Fissoum i jego banda w międzyczasie go dorwali?

– O kim myślisz?

– O niezidentyfikowanych zwłokach, na których z czyjegoś rozkazu wyżył się Brisson.

W końcu to on robił za pachołka imama.

– Trzymajmy więc kciuki, by okazało się, że instynkt cię zawodzi, w przeciwnym razie stracimy nasz jedyny poważny trop.

Marc wrzucił pierwszy bieg i wcisnął gaz do dechy.

Kanapka popita butelką coli zero na przednim siedzeniu samochodu i nieustanne zerkanie w stronę parkingu przy minimarkecie, oto jaki obiad zafundował jej Marc. Na szczęście raport na temat przeszukania u Fissouma okazał się obfitszy. DGSI rozpoczęło wielkie porządki. Marc znalazł odpowiednie słowa, by wzbudzić czujność dyrekcji, i wszyscy bardzo poważnie traktowali wykryte zagrożenie. Masowe aresztowania, chaotyczne przesłuchania, niekończące się rewizje, góry dokumentów wymagających szczegółowej analizy, co więcej, rozmach podjętych działań korespondował z ilością niezbędnej papierkowej roboty.

A zatem imam Fissoum ukrył za listwą przypodłogową w swojej sypialni czarny notes, swoje potajemne rachunki, które podawały kompletną kwotę zakatu – ofiar otrzymanych od wyznawców. Część pieniędzy została chyłkiem przekazana na nieznane cele. Kilka rozproszonych notatek, garść nazwisk – w sprawie wszystkich wymienionych osób przeprowadzono pogłębione dochodzenie, które jednak nie przyniosło rezultatów – a ostatniej strony brakowało. Pozostałe kartki były zasmucająco puste, jak gdyby imam, ogarnięty wątpliwościami, poczuł przymus, by żadnych więcej informacji nie powierzać papierowi. Nie był jednak w stanie zniszczyć już istniejących zapisków. Marc uważał, że ostatnią stroną – gdzie widniało nazwisko Selima i kwota w wysokości pięciuset euro opatrzona znakiem zapytania, jakby imam wahał się, ile mu zaproponować – Fissoum zniszczył w przypływie złości.

DGSI nie miało w tej chwili więcej konkretów, ale Marc obiecał Ludivine, że odtąd będzie na bieżąco informował ją o docierających do niego wieściach.

Już wcześniej zauważyła u niego tę dwoistość. Potrafił rozsyłać wokół piękne, czarujące uśmiechy, a minutę później był surowy i groził ludziom, którzy mu się sprzeciwiali. Ta jego zdolność, by z taką łatwością i wrodzonym animuszem przechodzić od jednego do drugiego stanu, dość mocno wytrącała obserwatora z równowagi.

Służbowe drzwi, które obserwowali, w końcu się otwały, więc Ludivine odłożyła resztkę swojej kanapki. Hicham, wtyka DGSI w meczecie Fissouma, wyszedł na zewnątrz i odpiął łańcuch zabezpieczający rower.

– Szybko wraca do zdrowia – rzucił Marc z ironią.

– Słucham?

– Nie nosi już ze sobą kuli. Kretyńsko, to było dla nas praktyczne rozwiązanie.

Ludivine chciała wysiąść, lecz Marc ją powstrzymał.

– Nie, poczekaj. Chciałbym się upewnić, że jesteśmy jedynymi, którzy siedzą mu na ogonie.

– O kim myślisz? O terrorystach?

– Raczej w to wątpię, biorąc pod uwagę wszystkie środki ostrożności, jakie podjęli, by przeciąć więzi łączące ich ze światem, ale może oddelegowali do tego zadania jakiegoś pośrednika, nigdy nie wiadomo. Może Hicham jest już spalony.

Widząc, że chłopak oddała się na rowerze przez nikogo niesledzony, Marc przekreślił kluczyk w stacyjce i ruszył za nim.

Hicham zauważył ich niemal od razu, odwrócił się kilkakrotnie, żeby się upewnić.

– No dalej, widzisz, że to my, zatrzymaj się już – mruknął Marc, przyśpieszając z zamiarem zrównania się z rowerzystą.

Ten jednak odbił nagle w lewo i zaczął pedałowac jak szalony, przemknął między dwoma betonowymi słupkami, by wjechać na deptak niedostępny dla samochodów.

– Cholera, co za dureń!

Marc dał po hamulcach, a Ludivine wystrzeliła z sedana i puściła się w pogoń. Hicham o mały włos uniknął zderzenia z wózkiem dziecięcym i znów nabrał prędkości, zmierzając ku drugiemu końcowi alei. Ludivine zawahała się chwilę, wiedziała bowiem, że w tego typu dzielnicach standardowe wytyczne nakazują pozwolić zbiegowi uciec i nie podejmować ryzyka, że przypadkiem się zabije, co doprowadzi do dziesięciodniowych zamieszek, uznała jednak, że rower to nie motor, a gra toczy się o zbyt wysoką stawkę.

Na równoległej ulicy zapiszczały opony – to Marc pędził z powrotem w kierunku głównej arterii.

Ludivine pobiegła w stronę śmieciarki, wskoczyła na nią i z tego podwyższenia podciągnęła się na płaskie dachy sklepów, wydając okrzyk bólu z powodu posiniaczonych boków. Niczym strzała przecięła dach w poprzek, zeskoczyła po drugiej stronie i pomknęła ku nasypowi. Gdy uciekający Hicham dotrze na drugi koniec deptaka, będzie miał tylko dwie możliwości: zawrócić w stronę parkingu, gdzie natknie się na Marca, albo skrócić w tym kierunku.

Rower pojawił się kawałek dalej. Informator zwolnił, by obejrzeć się przez ramię, co Ludivine wykorzystała, by natychmiast wyrwać w jego stronę.

Gdy tylko ją dostrzegł, stanął na pedałach, żeby się rozpędzić, po czym zbczył w gruntową dróżkę.

Ludivine wkładała wiele świadomego wysiłku w każdy ruch, wybijała się ze śródstopi, kontrolowała oddech, machała ramionami w rytm susów, podążała jego tropem z kocią sprężystością. Z początku miała problemy, jej ciało wciąż nosiło stygmaty ataku, ale w miarę jak się rozgrzewała, wszystko zdawało się upłynniać, a ona tak bardzo przyzwyczała się do bólu, że przestała go zauważać.

Hicham odwrócił się, a gdy ujrzął za sobą pogoń, spanikował i maksymalnie przyśpieszył.

Ale lwica świetnie sobie radziła.

Z każdą sekundą dzielący ich dystans nieco się zwiększał, jednakże śledcza z dużym wyprzedzeniem przewidywała swoją trasę, dzięki czemu mogła odpowiednio dostosować każdy krok, Hicham zaś tego nie robił, pedałowal jak wariat, skręcał na chybił trafił, w ostatniej chwili wyminął jakąś przeszkodę, zwolnił z powodu grupy nastolatków wracających ze szkoły i poślizgnął się w kałuży błota.

Ludivine wciąż podążała za nim. Została trochę w tyle, ale kontynuowała pościg, niepowstrzymana, oddychała głęboko, równomiernie.

Tutaj nie było żadnej równoległej ulicy i Ludivine zastanawiała się właśnie, czy Marcowi uda się ich znaleźć, gdy Hicham zboczył nagle, wjeżdżając na inny wąski parking, który ciągnął się wzdłuż długiego, wysokiego budynku przypominającego magazyn. Otworzyły się drzwi, wypuszczając na zewnątrz grupę złożoną z dziesięciu osób, a Hicham ślizgiem zatrzymał się tuż obok nich, tak że aż podskoczyły, prawie spadł z roweru i przytrzymał się nieznanym. Później roztrącił ich i wpadł do budynku bez okien.

Ludivine przecisnęła się przez tłumek i trafiła na słabo oświetloną klatkę schodową. W półmroku dostrzegła Hichama u góry schodów, brakowało mu tchu.

Słyszała szaleńcze bicie swojego serca. Powietrze zaczynało ją palić. Kłuło ją w falujących bokach.

*Nie odpuszczaj. Ból to tylko wiadomość, którą wystarczy zignorować.*

Krzywiąc się i pocąc, wpadła do przestronnego pomieszczenia o przytłumionym oświetleniu. Znalazła się w sali kinowej. Akurat wyświetlano napisy końcowe i połowa publiczności, na szczęście niezbyt licznej, wstała, kierując się w stronę wyjścia – w jej stronę.

Hicham przeskakiwał po cztery stopnie naraz.

Znów zyskał pewną przewagę.

Ludivine ponownie rzuciła się do przodu, koncentrując się na swoich ruchach. Wszystko funkcjonowało w jednym rytmie, wiedziała o tym, gwałtownym, ale stałym, w harmonii z oddechem. Jesteś wysportowana, dasz radę pokonać dzielący was dystans, zapewniła się w duchu.

Na górze stał pracownik kina z workiem na śmieci. Zasygnalizował Hichamowi, że nie wolno mu tędy przejść, lecz zbieg odepchnął go jednym ruchem i zniknął za drzwiami przeciwpożarowymi.

Ludivine wypadła na główny korytarz kompleksu, bordowa wykładzina, plakaty filmowe, a w oddali zlewające się w jedno numery sal. Wysięk ograniczył jej pole widzenia, wpływając zwłaszcza na widzenie peryferyjne, które niemal zanikło, więc Ludivine szybko kręciła głową. Prawo. Lewo.

Drzwi do sali tuż obok, oznaczonej ogromną szóstką, powoli zamykały się na zawiasach hydraulicznych.

*Tam. Musi tam być.*

Popędziła, by znaleźć się w kolejnym olbrzymim pomieszczeniu, w samym środku projekcji.

W półmroku ledwie rozróżniała siedzące sylwetki, doskonale nieruchome, jak stado manekinów.

Na schodach nikogo. Nie mógł tak szybko dobiec na drugi koniec sali ani wyjść u dołu ekranu.

Czyżby krył się w jakimś kącie?

Ludivine wahała się, czy nie krzyknąć, żeby zapalono światła, czy nie poprosić o pomoc widzów, nie spytać, czy ktoś zauważył, jak na miejsce obok niego wślizguje się intruz, ale zaraz się rozmyśliła – za nic nie chciała wywołać podszytego paniką poruszenia.

Schodziła powoli po schodach, sondując ciemność w poszukiwaniu znajomych zarysów. Jak on właściwie wygląda?

Siedzącym najbliższemu widzom bardziej niż sama obecność uciekiniera przeszkadzał jego przyspieszony oddech, śledcza słyszała ich skargi.

Nagle wpadła na pewien pomysł – na kilka sekund wstrzymała oddech, nadstawiając ucha.

Nic.

Kawałek dalej powtórzyła ten wybieg.

Serce waliło jej w uszach.

Nagle, gdy już miała odblokować płuca i wciągnąć potężny haust powietrza, pochwyciła urywane, przytłumione dyszenie w głębi któregoś z rzędów.

Pewnie ukrył dół twarzy w bluzie, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

Zbliżyła się, próbując zidentyfikować go wyłącznie po odgłosach.

Samotna sylwetka, jeszcze trochę niżej, usadowiona twarzą do ekranu. Widz?

Ruszyła przejściem powyżej.

Zerwał się jednym skokiem i dał susa na oparcia foteli w kolejnym rzędzie. I zupełnie jakby wykonywał jakiś niezwykły numer ekwilibrystyczny, zaczął przesadzać rząd za rzędem, kierując się w dół, ku wyjściom ewakuacyjnym.

Ludivine poszła w jego ślady, skupiając wzrok na uskokach podłogi, by mieć pewność, że żadnego nie przeoczy i się nie wywróci. Był na wyciągnięcie ręki, trzy rzędy przed nią.

Już tylko dwa.

Nagle potknął się i zniknął, runął jak długi głową naprzód.

Ludivine skoczyła i wylądowała na zwalistym ciele, a ono usiłowało ją z siebie zepchnąć.

Duży błąd.

Chwyciła wyciągnięte ramię, wzmocniła uścisk i jednym wprawnym ruchem wykręciła mężczyźnie stawy, zmuszając go do posłuszeństwa, jeżeli nie chciał, by popękały mu wszystkie kości od łokcia po obojczyk.



Trzy sekundy później definitywnie tkwił w pułapce.

W sali rozbrzmiewały obelgi i okrzyki.

– Koniec! – ogłosiła Ludivine bez tchu. – To była nasza nowa atrakcja, spektakl odbywający się *na żywo* w sali kinowej. Mam nadzieję, że się państwu podobało...

U jej stóp Hicham jęczał z bólu i wściekłości.

W zimowe noce ogród Ludivine przypominał chiński teatr cieni.

Złowieszcze widowisko. Wystawiane przez zakrzywione palce i szkieletowe kończyny tańczące w nocnych podmuchach wiatru na tle mizernej lampy księżyca. Przez istoty pozbawione głów. Bezduszne. Zniewolone przez własne obsesje.

*Jak ci religijni fanatycy.*

Kobieta siedziała po ciemku w skórzanym fotelu z kocem podciągniętym aż do piersi. Zdawała sobie sprawę, że to trochę zbyt daleko idąca metafora. *Biedny ogród...*

Hicham bał się o swoje życie.

Nie podczas starcia z Ludivine, ale dwa dni wcześniej, gdy wizytę złożyli mu trzej salafici, którzy oznajmili, że nie wolno gadać z policją, że nikt nie powinien pomagać glinom. To z ich winy zginął imam, wyjaśnili. Po krótkim dochodzeniu okazało się, że wspomniane trio znajduje się obecnie wśród „gości” DGSI przebywających w siedzibie agencji w Levallois. Radykałowie. Choć dotąd nie uznawano ich za niebezpiecznych, z pewnością nie należeli do przyjaciół państwa francuskiego. Marc wątpił, by mieli cokolwiek wspólnego z interesującymi ich ludźmi, bo z tą samą zastraszającą gadką obeszlili wszystkich wiernych z meczetu martwego imama. Ale przesłuchania trwały.

Hicham uciekał, ponieważ się bał. Wszystkiego i wszystkich.

Marc bez trudu skłonił go do mówienia. Chciał poznać nazwiska osób, które w przeszłości odwiedzały Fissouma, a potem zniknęły, nawet jeśli doszło do tego całkiem niedawno.

Hicham podał te, które udało mu się wyszperać w niezbyt pojemnej pamięci, czyli około dziesięciu – wszystkie należały do stałych gości imama, surowych radykałów, którzy jednak wraz z upływem czasu oddalili się od niego.

Zbliżał się wieczór. Marc odstawił Ludivine do koszar, jednocześnie przekazując listę kolegom w Levallois. To był dziwny dzień. Ludivine miała nieprzyjemne wrażenie, że do niczego się nie przydała, że jedynie asystowała w śledztwie Marcowi, który ciągał ją za sobą, bezsilną, aż do momentu ucieczki Hichama, gdy w końcu odegrała aktywną rolę. Podobał jej się ten pościg. Adrenalina. Zero strachu. Tylko działanie. Każda sekunda wyrwała się w jej pamięci. Czy powinna się tym niepokoić? Nie, raczej nie. Zawsze była dziewczyną kochającą pracę w terenie...

Marc wywoływał w niej sprzeczne emocje. Wciąż dostrzegała w nim ową dwoistość. Podobała jej się jego troska o nią, to, że zachowywał się, jakby tworzyli poważny związek, podczas gdy w rzeczywistości dopiero się nawzajem odkrywali. Ale czasem jego zwierzęca

natura ujawniała się z taką mocą, że nieomal ją to przerażało, a przynajmniej przyprawiało o wstrząs. Uroczy miś w jednej chwili ustępował miejsca gadowi, zimnemu i wyrachowanemu. Człowiek domyślał się wtedy, że drapieznik czai się w pobliżu, gotowy pokazać pazury i przy pierwszej nadarzającej się okazji przegryźć gardło, jeżeli tylko zajdzie taka potrzeba. Czy to skrzywienie zawodowe? Praktyka, którą rozwinął, by podnieść swoją skuteczność? Nie wiedziała, nie miała też pojęcia, co o tym myśleć na przyszłość.

Ludivine złożyła raport pułkownikowi Jihanowi, upiększając większość niezbyt ortodoksyjnych metod Marca, a później wsunęła głowę do biura, by przeprowadzić krótkie podsumowanie z Segnonem i Guilhemem.

Nowa zabawka z jajka niespodzianki stała tym razem na jej biurku.

– Przysięgam, że jeśli złapię winnego, zanim sam się przyzna, do końca roku będę mu uprzykrzać życie! – zagrzmiała w udawanej złości.

Ostatecznie zaczęło ją to bawić. Doskonale wiedziała, że obaj koledzy współuczestniczą w tej dziecinadzie.

Związłe sprawozdanie z przebiegu dnia, obietnica, że wkrótce wybiorą się razem na obiad, po czym Ludivine wróciła do domu, zapewniając, że wszystko gra, że woli pobyć trochę sama, żeby dalej przetrwać doznaną napaść – nie chciała posługiwać się innymi w celu ucieczki przed swoim złym samopoczuciem.

Mówiła o tym z dziwnym opanowaniem. Minęły zaledwie dwie noce, odkąd ją uwolnili, a jednak dobrze znosiła tę sytuację. Żadnego nieutulonego płaczu. Żadnych niekończących się napadów paranoi ani nocnych lęków. Czasem, rzadko, zwidywał jej się nagi mężczyzna, roniła kilka okazjonalnych łez i doświadczała nawracającego stresu, nie działo się jednak nic anormalnego, musiała jakoś z tym żyć, dopóki całkiem się nie przystosuje.

*Wszystko w porządku. Tak. Właśnie dlatego siedzisz sama w ciemności, zwrócona twarzą do werandy, żeby mieć oko na ogród... ale wszystko jest w najlepszym porządku.*

Myślenie o śledztwie zajmowało umysł i zapewniało to, czego najbardziej potrzebowała: chwile wolne od zżerających ją traumatycznych wspomnień.

Kim był trup w ogrodzie Anthony'ego Brissona? Początkowo Ludivine sądziła, że to ktoś bliski kolejowemu zabójcy. Że tę zbrodnię morderca popełnił z pobudek osobistych. Skoro już rozpoczął krwawe łowy, postanowił wyrównać też własne rachunki. Teraz jednak przestała wierzyć w tę teorię. W ciągu dnia, podczas gdy ona spacerowała z Markiem po mieście, przeprowadzono autopsję. Raport wpłynął do skrzynki mailowej agenta i przeczytali go razem w aucie, zetknięci głowami nad telefonem. Nic szczególnie ciekawego. Uwagę Ludivine przykuły włókna, które znaleziono wśród tkanki pozostałej z roztrzaskanej twarzy nieboszczyka. Zabójca zmasakrował ofiarę, zniekształcił jej rysy za pomocą ciosów tępym narzędziem, najprawdopodobniej ciężkim młotem, a zrobił to, przykrywszy jej twarz jakąś szmatą. Włókna wniknęły w ciało, zanim morderca ściągnął materiał, by przysypać zwłoki wapnem, a następnie zakopać.

*Twarz ofiary zasłaniają zabójcy, którzy nie potrafią się pogodzić z popełnionym czynem. A także ci, którzy znają mordowaną osobę i nie mają odwagi patrzeć, jak umiera. Anthony Brisson nie lubił zabijać. Robił to, bo musiał, żeby nikt go nie wsypał, żeby się chronić. Kiedy jego nowi religijni przyjaciele wykorzystali go i zrobili z niego swojego pacholka, wskazywali mu ofiary, ale on nie lubił ich eliminować. Dotyczy to też niezidentyfikowanego trupa, pana X. Faktycznie zrobił to Brisson. Zabił, bo go o to poproszono, zadanie dręczyło go jednak, więc zakrył facetowi twarz. Popełnił ten czyn, ponieważ był oddany. W odpowiedzi na wezwanie siły wyższej.*

Podobnie było z Laurentem Brachem, pośrednikiem, i Fissoumem, głównym koordynatorem. Tyle że w przypadku pana X Brisson zrobił wszystko, żeby ofiary nie dało się rozpoznać.

*Czy to dlatego, że jej tożsamość doprowadziłaby nas prosto do komórki terrorystycznej?*

*Jeśli martwy mężczyzna miał kartotekę, przemówi jego DNA.*

*Nie, żadnej kartoteki nie będzie. Skoro zastosowali tyle środków ostrożności, nie popełniliby tak rażącego błędu.*

*Musiało chodzić o coś innego.*

*Jej uwagę zwrócił jakiś ruch na ulicy, przed domem. Cień. W ludzkim kształcie.*

*Tuż przed bramą.*

*Jej serce przyśpieszyło. Służbowa broń?*

*Nie w sejfie, nie, jest tutaj, pod udem.*

*Prawdę mówiąc, wcale nie trzymała się tak świetnie.*

*Rozdzwoniła się komórka. Marc.*

*– Halo?*

*– Jestem przed domem.*

*– Ach.*

*Ludivine odetchnęła, uspokojona, lecz jednocześnie niezdolna, by się ucieszyć.*

*– Jeden z gości wymienionych przez Hichama nie stawiał się na apel.*

*– To znaczy?*

*– Nie ma go wśród naszych aresztantów, nie da się go namierzyć. Rozumiesz?*

*– Hm... tak, myślę, że tak.*

*– To nasz terrorysta numer jeden, Ludivine. Mogę wejść?*

Abel Frémont.

Lat dwadzieścia pięć. Ojciec Pikardyjczyk, matka Algierka. Dziecko miasta, mdła kariera szkolna, brak kartoteki kryminalnej, niepowiązany z lokalną przestępczością, niewyróżniający się chłopak, niemal przezroczystry. Zauważono go w Internecie, na tematycznych forach, gdzie zadawał pytania o kwestie religijne, coraz bardziej wnikliwe, bez cienia wstydu pisał też o terroryzmie jako formie aktywności, za którą nie może grozić potępienie. Na skutek znajomości, jakie zawarł w Paryżu, założono mu kartotekę S, później jednak zniknął agentom z oczu, bo nie udzielał się już w sieci, przestał też odwiedzać swoich przyjaciół salafitów z osiemnastej dzielnicy. Nie bez powodu – w międzyczasie niedaleko własnego domu poznał imama Fissouma i rozpoczął bardziej dyskretną działalność, co DGSI wykryło dopiero teraz. Szybko odgrzebano jedną z dwudziestu tysięcy kartotek S założonych podejrzanym, których nie sposób śledzić na okrągło.

– Właśnie dostałem świeżo zniesiony raport – wyjaśnił Marc, machając cienkim plikiem kartek i kładąc na stole zdjęcie.

Pili herbatę w kuchni Ludivine, przycupnięci przy blacie na wysokich taboretach. Kobieta się nachyliła, by przyjrzeć się grubo ciosanym rysom młodego mężczyzny o tak pospolitym wyglądzie, że bez trudu wyobraziła sobie, jak wtapia się w tłum studentów. Istota będąca wiecznym tłem, wymazana przez życie niczym gumką, dopóki religia nie nadała jej barw, o jakich zawsze marzyła.

– Rodzice byli raczej na luzie – opowiadał Marc. – Z rodzaju tych tak bardzo na luzie, że zakrawa to na „tumiwisizm”. W szkole Abel nie radził sobie zbyt dobrze, ale nie było też katastrofy, nie przejawiał wielkiego talentu w sportach, lecz ich sobie nie odpuszczał, próbował członkostwa w różnych grupach, ale w żadną szczególnie się nie angażował, miał w okolicy kilku kolegów, jednak żadnych prawdziwych przyjaciół, krótko mówiąc, robił wszystko na pół gwizdka i czekał, aż życie przeminie. Tyle że w pewnym momencie, dzięki jakiejś dyskusji toczonej w sąsiedztwie, odkrył islam. To religia jego matki, dziadków, których bardzo kochał, przysłuchiwał się więc uważnie. I argumenty trafiły mu do przekonania. On, który nie wiedział, co począć z życiem, przekonał się nagle, że islam mówi mu, co robić, dostarcza receptę na prawie każdy problem codzienności. Wszystko stało się dla niego łatwiejsze. Co więcej, im bardziej się wciągał, tym większym poważaniem się cieszył, poznawał podobnych sobie ludzi, dla których nie był zaledwie widmem. Jak mógłby się temu oprzeć, hm? Szybko porwał go prąd ściśle określonych, rygorystycznych praktyk

opartych na świętych tekstach – kumple zdołali zrobić z niego prawdziwego salafitę.

– Ale żeby od tego przejść do działań terrorystycznych? – zdumiała się Ludivine.

Marc bawił się filizanką. Taksował kobietę swoim szczerym spojrzeniem. Pojęła, że zaraz dotrą do sedna sprawy.

– Sądziś, że terroryści postrzegają samych siebie jako potwory? – zapytał mężczyzna. – Akceptują termin „terrorysta”, bo im go narzuciliśmy, ale we własnym przekonaniu są prawdziwymi bohaterami. Dam ci przykład: znasz *Gwiezdne wojny*, prawda?

– Te filmy? Nie na pamięć, ale tak...

– To historia dobrych rebeliantów walczących z Imperium, które przejęło władzę nad całą galaktyką i zamierza zuniformizować świat. Nasi terroryści identyfikują się z rebeliantami, natomiast Imperium to cywilizacja Zachodu, która deprawuje człowieka i usiłuje go sobie podporządkować, posługując się systemem opartym na wyzyskiwaniu ludzkich wad. Pamiętasz moment w filmie, kiedy buntownicy wysadzają olbrzymią Gwiazdę Śmierci, sekretną bazę złych, wielką niczym planeta? Terroryści nieraz stosują tę analogię podczas rekrutacji, bo wiedzą, że *Gwiezdne wojny* są wśród młodych popularne. Zauważ przy okazji, że nie wahają się korzystać z naszej „bezbożnej” kultury, kiedy jest im to na rękę... Twierdzą, że w tak ogromnej bazie, gdzie prace konstrukcyjne szły pełną parą, z pewnością żyły i harowały tysiące cywilów, mieszkających prawdopodobnie z rodzinami, to jednak nie powstrzymało rebeliantów przed wysadzeniem wszystkiego w powietrze. W filmowej sadze stanowi to wielki powód do radości. Ponieważ sprawa, o którą walczą protagoniści, znaczy więcej niż cała reszta. Straty uboczne są nieuniknione. Terroryści stosują tę samą argumentację. Albo umierasz, bo jesteś brudnym niewiernym, który na to zasługuje, albo jesteś niewinną ofiarą, ale w takim wypadku czeka na ciebie raj, a Allah już wiecznie będzie obsypywał cię łaskami. – Upił łyk herbaty i ciągnął: – Z ich punktu widzenia to oni są tymi dobrymi, oświeconymi prawdą, my zaś jesteśmy ciemżycielami. Stawiają opór imperializmowi naszych wartości, których nigdy nie podzielali albo już nie dzielają. Kiedy zwierzchnicy mówią o tym w ten sposób, całkiem spory odsetek młodych z entuzjazmem przyjmuje myśl o byciu bohaterem broniącym słusznej sprawy. Dostaną broń, odbędą potajemne szkolenie. Robi się ekscytująco. Rekruterzy bardzo się starają, by mówić do nich ich językiem, wykorzystują po trosze gry komputerowe, filmy, wojenny ludyzm, epicką symbolikę związaną z walecznością, a wszystko to przyprószają sporą dawką prawd religijnych, dzięki czemu ostatecznie ich indoktrynują, bo – i to jest wisienka na torcie – wszystko, co muszą zrobić, to tylko przejściowy etap, w wyniku którego szybciej trafią do wieczności wypełnionej boskimi rozkoszami.

– Cholerne pranie mózgu – westchnęła Ludivine.

– W przypadku jednych tak, w przypadku innych nie, takie mają przekonania i już. Są one ekstremistyczne, pewnie, ale nie wszyscy zostali zmanipulowani.

– Ale Abel owszem, z tego, co mówisz.

– W każdym razie początkowo do tego się to sprowadzało. Rekruterzy znajdują się na rzeczy, zamiast apelować do rozsądku, grają na emocjach, żeby ich cel reagował raczej instynktownie, na podstawie uczuć, a nie tego, co podpowiada głowa. Nie ma analizować, lecz odczuwać, to przynosi bardziej bezpośrednie, dogłębsze efekty, co więcej, w ten sposób ogranicza mu się możliwość odwrotu, przynajmniej z początku, a dla niektórych szybko robi się za późno. Zwierzchnicy opowiadają o potwornościach, których bracia muzułmanie doświadczają w Syrii czy Iraku, pokazują świetnie zmontowane filmy propagandowe, które bombardują zmysły ogromem bodźców, cierpiące kobiety i dzieci, męczone przez łajdaków z władz koalicyjnych, krótko mówiąc, klasyka połączona z lekturą Koranu mającą udowodnić, że dla ludzi podążających ścieżką Allacha istnieją rozwiązania.

– Pamiętam, że kiedy po różnych zamachach oglądałam wiadomości, szokowało mnie między innymi to, że część sprawców była Francuzami. Ale dla niektórych francuskie obywatelstwo nic nie znaczy, są przede wszystkim muzułmanami, religia przeważa nad narodowością. To porażka naszego kraju, który nie potrafi przydać sobie znaczenia, stworzyć prawdziwej, uniwersalnej tożsamości, zjednoczyć wokół swoich wartości ludzi, co stanowi dowód, że nasz naród, jak wiele innych, zatracił istotę tego, z czego niegdyś rodził się patriotyzm.

– Jest nawet gorzej. Ci ekstremiści nienawidzą kraju, w którym się wychowali, a choć ultranacjoniści nie chcą o tym słyszeć, to gdy człowiek odczuwa taką nienawiść w stosunku do własnej ojczyzny, nie może to być wyłącznie jego wina, z pewnością jest coś, co państwo zrobiło źle. Nasze rządy też ponoszą odpowiedzialność. To prawda, że młodzi opryszkowie widzą w islamie odpowiedź na swoje potrzeby, ale abstrahując od tego, władze zbyt długo traktowały ludzi jak kretynów. Te kłamstwa powtarzane przez Stany Zjednoczone, by usprawiedliwić interwencję w Iraku, by zataić okropieństwa toczącej się tam wojny, te niejasności... A Anglicy i pozostałe europejskie kraje wspierają Amerykanów, Francja zaangażowała się w konflikty w Libii, w Mali, krótko mówiąc, na ziemiach muzułmańskich. Na dłuższą metę okazuje się więc, że ci młodzi czują się schwytni w pułapkę, uwięzieni między islamistyczną propagandą, własnym niezadowoleniem a ojczystym krajem, którego nie kochają. Walczą za islam, żeby ocalić muzułmanów, przeciwko kłamstwom, w celu zbudowania lepszego świata.

Ludivine czuła się przytłoczona. Bezradna wobec bezmiaru tej dysfunkcjonalności. Wolą ponownie skupić się na tym, co miała do zrobienia.

– Jak wygląda dalszy plan działania? – spytała.

– Nasi ludzie przeświatłają właśnie wszystkie osoby powiązane z Fissoumem, starają się dotrzeć do jak najszerzego kręgu i sięgnąć jak najdalej wstecz. Chciałbym zlecić obserwację jego dawnych uczniów, którzy się od niego odwrócili, takich, którzy odrzucili salafizm, przyjęli bardziej „zachodni” styl życia, zwłaszcza tych, którzy piją alkohol, imprezują...

– Nie bardzo wpisuje się to w stereotypowy obraz islamskiego terrorysty.

– Jeżeli chodzi o samotnych bojowników, masz rację, oni faktycznie żyją swoją religią. Ale komórka terrorystyczna z jasno określonym celem działa inaczej, zwłaszcza jeśli utworzono ją z dużym wyprzedzeniem. Będzie stopniowo wprowadzała w życie swój plan, przygotowywała się do uderzenia. Nieraz trwa to całymi latami, a żeby nie rzucić się w oczy, jej członkowie stosują takję, będącą początkowo sztuką ukrywania swej wiary w celu uniknięcia prześladowań, a więc strategię wojenną pozwalającą zinfiltrować wroga, nawet jeśli ceną miałyby być pogwałcenie wszystkich reguł rządzących islamem. Ważne jest tylko osiągnięcie ostatecznego celu. Na mocy takiej terroryści mogą palić, pić alkohol, zabawiać się z kobietami i tak dalej, do czasu, aż sami postanowią zwrócić na siebie uwagę, przyczyniając się do wielkiej sprawy. Jestem pewien, że to właśnie robią, by zniknąć z naszych radarów, a w niektórych przypadkach – by nigdy się na nich nie pojawić.

– Myślisz, że żaden z waszych aresztantów nie należy do komórki?

– Wątpię. Ci goście od dawna mają wszystko świetnie zaplanowane. Są gdzieś tam, na wolności, czekają na sygnał.

– Jakiś pomysł, co mogą wziąć na cel?

– Nie mam pojęcia. Za niespełna miesiąc Boże Narodzenie, to byłby bardzo symboliczny okres, ale wydaje mi się, że to za daleko, odliczanie rozpoczęli w chwili śmierci Laurenta Bracha, od tamtej pory minęły już trzy tygodnie. Obawiam się, że nie mamy aż tyle czasu.

Ludivine położyła dłoń na dłoni mężczyzny.

Tego wieczoru dom wydawał jej się dziwnie chłodny. Miała ochotę na towarzystwo Marca. Mogła sobie na to pozwolić, to nie była forma ucieczki, teraz już nie, zyskałaby za to solidną bazę, na której mogłaby się wesprzeć.

– Chcesz zostać na noc?

Jego twarz, taka surowa, kiedy poruszał poważne tematy, zmieniła się w jednej chwili. Przemknął po niej cień uśmiechu, zmarszczki wygładziły się, oczy znów rozbliły, a zaciśnięte wargi się rozluźniły.

Skinął głową, a potem pogładził ją po policzku.

*Odliczanie.*

Ludivine odegnała od siebie to słowo. Czuła potrzebę, by przez pozostałą część nocy istnieć wyłącznie dla siebie, a nie dla tych, którzy mieli umrzeć.

Widma przyszłości będą miały całą wieczność, żeby ją nękać.



Podłużny wiejski dom stał pośrodku ogromnej połaci nieużytków. Z żadnej strony nic nie zasłaniało widoku, który rozciągał się stąd na kilkaset metrów. Nie można było zbliżyć się niepostrzeżenie, nie ryzykując przy tym, że zostanie się żywą tarczą, w którą trafiłby nawet przeciętny strzelec, niezdarny i kiepsko przeszkolony.

Dżin nie miał żadnych kłopotów ze znalezieniem idealnego domu. Na francuskiej wsi nie brakowało małych posiadłości na wynajem. Zajął się tym osobiście, nie mógł powierzyć tak delikatnego zadania pośrednikowi, nikt bowiem nie powinien znać lokalizacji jego bazy. Nikt. Nawet bojownicy wyczekujący jego rozkazów.

Wybór miejsca był sprawą kluczową.

Poza bezpieczną okolicą Dżinowi zależało na tym, by znaleźć się z dala od miasta, z dala od spojrzeń. Agencja nieruchomości nie robiła problemów, pracownicy cieszyli się, że zainkasowali półroczny czynsz z góry. Dżin potrafił wślizgnąć się w cudzą skórę, kłamać, wzbudzać zaufanie, do tego go szkolono, a praktyki nabywał przez tyle lat... Nikt nie zdołał odgadnąć, kim naprawdę jest i jakie ma zamiary. Takija w pełnej krasie. Podał się za menadżera zespołu rockowego, którego członkowie pragnęli mieć sześć miesięcy spokoju, by skomponować swój kolejny album.

Ale fundamentalny element planu stanowiły rozpościerające się wszędzie wokół tereny uprawne, dzięki którym dostawy nie wzbudzą podejrzeń.

Zamówienia złożył przez Internet, zupełnie bezproblemowo. Nawóz, azotniak o dużym stężeniu azotu, całkiem niewinny zakup, biorąc pod uwagę, ile milionów ton tego produktu zużywano we Francji. Co najważniejsze, należało sprowadzać nie więcej niż tysiąc dwieście pięćdziesiąt kilogramów za jednym zamachem, w przeciwnym razie trzeba było zgłosić transakcję w merostwie, ale Dżin zaopatrzył się u różnych detalistów i przez cały tydzień robił porządki w stodole za domem, tak żeby z zewnątrz nie dało się dostrzec, co knuje. Nawet gdyby lokalne władze zdołały kiedyś pododawać wszystkie wartości na formularzach zamówień, zanim ich przedstawiciele zjawią się na miejscu, jego już dawno tu nie będzie.

Potem, zgodnie z ustaleniami, dotarła dostawa paliwa i Dżin kazał maksymalnie napełnić zbiornik, „żeby mieć spokój na całą zimę”, jak powiedział kierowcy.

Również przez Internet nabył poidła dla krów, które rozstawił w stodole, by tam wymieszać składniki.

Przeprowadzenie tej operacji leżało w granicach możliwości każdego aspirującego chemika. Cały trik polegał na dobraniu odpowiednich proporcji, żeby nasączyć, a nie

*utopić: kule nawozu należało rozmoczyć w paliwie tak, by całość utworzyła gładką masę.*

*Tylko tyle, żadnych dodatkowych komplikacji.*

*Rezultatem był materiał o sile wybuchu przewyższającej moc trotylu o dwadzieścia pięć procent, dużo stabilniejszy niż nitrogliceryna i relatywnie tani w produkcji.*

*Cały świat zdążył już poznać tę mieszankę, czy przyczyną było celowe działanie, czy jedynie wypadek. W 1947 roku francuski frachtowiec wyleciał w powietrze w porcie Texas City, pięćset siedemdziesiąt sześć ofiar śmiertelnych i cztery tysiące rannych. W 1995 roku przeprowadzono atak na budynek federalny w Oklahoma City. We francuskiej fabryce AZF doszło do przypadkowej eksplozji. I można by wyliczać dalej...*

*Była to najłatwiej dostępna i najniebezpieczniejsza rzemieślnicza bomba.*

*Kiedy wybuchnie, rozszarpie ciała i wyrzuci fragmenty kończyn na kilkaset metrów w górę. Dosięgnie mężczyzn, kobiety i dzieci, jeśli będzie trzeba, nie czyniąc żadnych rozróżnień, bez cienia wahania. Ogień nie znał litości. Właśnie dlatego fascynował Dżina. Dobrego ducha lub demona.*

*On też nie odczuwał już żadnej litości. Żadnego współczucia. Żadnego wahania. Niczym śmiertelny ogień.*

*Ci wszyscy kuffar, ci niewierni.*

*Wyniszczają świat, wypaczają wartości, nie mają żadnego poważania dla boskiego stworzenia, dla ludzkości. Dominująca cywilizacja propagująca brak szacunku, pornografię, nieuczciwość, nieumiarkowanie, bałagan... W przeszłości muzułmanie dzierżyli władzę nad światem, powtarzał al-Qasim, póki żył. Tak mu się przysłużyli, tylu odkryć dokonali za sprawą Allacha. Ale odsuwając się od swoich zasad, odstępując od szariatu, umma z własnej woli osłabła, podzieliła się, co w końcu doprowadziło do tego, że mieszkańcy Zachodu podporządkowali ją sobie i przejęli kontrolę, za jedyne bożka mając pieniądź. I w ciągu zaledwie wieku swoją dekadencją zdeprawowali cały glob. Wszechświat balansował na krawędzi i w każdej chwili mógł zapanować chaos.*

*Słowa al-Qasima wyryły się w pamięci Dżina na zawsze. Wiedział, dlaczego to wszystko robi.*

*Aby zapanowało islamskie prawo. By przywrócić wielkość swojemu ludowi.*

*Przede wszystkim zaś – bo tak mu kazał Bóg.*

*Objawił mu to al-Qasim, tak zostało napisane, takie działanie stanowiło święty obowiązek człowieka wiernego Bogu!*

*Jako muzułmanin Dżin miał za zadanie walczyć o wprowadzenie islamskiego prawa, to nie kwestia wyboru, lecz powinności. W islamie istniała tylko jedna droga, można było nią podążać albo z niej zbroczyć. Fundamentalizm nie był opcjonalny, należało go zaakceptować. Można wierzyć w Boga lub w niego nie wierzyć. A jeśli jest w tobie wiara, musisz słuchać Bożego słowa jako integralnej całości, nie wolno wybierać tylko tych fragmentów, które ci odpowiadają. Boże słowo to nie karta w restauracji. Umiarkowani muzułmanie nie mieli*

*prawa istnieć, mylili się w swoich przekonaniach i zasługiwali na taką samą karę jak wszyscy pozostali niewierni. Na śmierć.*

*Z tej świadomości Dżin każdego dnia czerpał nowe siły. Wiedział, że Bóg go prowadzi. Teraz wszystko w jego życiu miało sens, nawet najgorsze doświadczenia kształtowały go po to, by stał się tym, kim był obecnie.*

*Mudżahedinem.*

*Który długo opracowywał swój plan tak, żeby nikt nie zdołał go powstrzymać.*

*Dżin zdjął maskę ochronną, którą osłonił twarz, by nie nawdychać się toksycznych oparów. Pozostało mu sfabrykować detonatory z prymitywnych telefonów komórkowych, silniczki wibracyjne wywołają brzemienne w skutki impuls elektryczny. Nic skomplikowanego. Potrzeba jedynie odrobiny koncentracji.*

*Kontemplował wnętrze stodoły i wszystkie te poidła wypełnione niebezpieczną masą. Dreszcz satysfakcji sprawił, że się uśmiechnął.*

*Pięć do dziesięciu kilogramów wystarczyło, by wysadzić budynek. On właśnie wyprodukował ponad dwie tony.*

Aula szybko pustoszała, studenci wylewali się przez drzwi na dole niczym woda znikająca w odpływie zlewozmywaka, unosząc ze sobą całą wiedzę tego poranka.

Pod ekranem projekcyjnym profesor Hassan uporządkował swoje rzeczy na biurku, po czym odłączył komputer.

Marc i Ludivine przedstawili się i poprosili, żeby poświęcił im kilka minut. Dziś rano Marc otrzymał od DGSI nową wiadomość w związku ze zgłoszonym zapytaniem. Podano mu trzy nazwiska należące do dawnych towarzyszy Fissouma znanych z radykalizmu i bardzo surowej wizji islamu, którzy jednak z czasem zdystansowali się od imama. Pierwszy mężczyzna przebywał w więzieniu, gdzie miał pozostać jeszcze przez kilka miesięcy. Drugi, odkąd poznał pewną kobietę, wykazywał wszelkie oznaki deradykalizacji. Rekonstruował teraz swoje życie w harmonii z religią i ojczyzną. Mieszkał na wyspie Reunion, a gdyby wsiadł w samolot do Francji metropolitalnej, znalazłby się pod wzmożonym nadzorem. Ostatni był dość interesującym trzydziestoletnim chłopaczkiem, który w szkole dobrze się uczył, pograżył się jednak w mrokach salafizmu, gdyż był on ideologią jego czasów – na podobnej zasadzie w latach siedemdziesiątych odnotowano wysyp skrajnie lewicowych rewolucjonistów. Śledczym, którzy przesłuchiwali go półtora roku wcześniej, powiedział, że zerwał z ekstremizmem dzięki kulturze. Rozpoczął studia na uniwersytecie w Cergy-Pontoise i korzystając z niewielkiej fortunki odziedziczonej po zmarłych rodzicach, robił magisterkę z europeistyki i stosunków międzynarodowych.

Samochód DGSI wyruszył, by niepostrzeżenie ustawić się pod budynkiem, w którym mieszkał podejrzany, natomiast Marc wziął na siebie przesłuchanie jego otoczenia. Szybko przekonał się, że chłopak spotyka się z niewieloma osobami, nawet na uczelni, tu i ówdzie miał kilku znajomych, ale żadnych prawdziwych przyjaciół. Wyglądało na to, że jedynym człowiekiem, który trochę go znał, był jego profesor języka arabskiego, pan Hassan.

– Mówi panu coś nazwisko Moussa Bakrani? – zapytał Marc.

Profesor skinął głową, nieco zaniepokojony.

– Oczywiście. Świetny student. Wpakował się w jakieś tarapaty?

– Uważa pan, że można by go uznać za „radykalnego” w swoich przekonaniach?

– Jego? – zdumiał się Hassan i niemal się uśmiechnął, tak nieprawdopodobna wydała mu się ta sugestia. – Nie. To polemista, owszem, człowiek o zdecydowanych poglądach, oczywiście, ale nie radykał. Za każdym razem, gdy nadarza się okazja, by obalić jakiś stereotyp, włącza się w dyskusję, tym chętniej, im bardziej zbaczamy w stronę wszelkich

pojęć związanych z fundamentalizmem. Prowadzę też kurs na temat cywilizacji Bliskiego Wschodu w krajach położonych nad Zatoką, na niego również uczęszcza. To chłopak, którego przepięknie pasja, lecz umiarkowany, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Wspomina na zajęciach o religii? – spytała Ludivine.

– Tak, to się zdarza. Ten temat go interesuje, nigdy jednak nie wygłasza definitywnych sądów.

– Więc trudno byłoby panu sobie wyobrazić, że pan Bakrani przeszedł na drugą stronę ideologicznej barykady?

– Proszę posłuchać...

Wtem chmura niechcianych myśli zamglila spojrzenie profesora i nagle wydał się on mniej pewny siebie.

– Co panu przyszło do głowy? – zagadnęła Ludivine.

– No cóż... Nie, to nic takiego, tylko wspomnienie...

– Dotyczące Bakraniego? – nalegał Marc.

– Tak. Kilka miesięcy temu rozmawialiśmy na zajęciach o zamachach, islamie i tak dalej.

– I? Wtrącił się?

– To był, jak sądzę, jedyny raz, kiedy sprawiał wrażenie bardziej... jak by to ująć? Zamkniętego w sobie. Tak, to właściwe określenie.

– Może nam pan nakreślić kontekst? – poprosiła Ludivine.

– Nie pamiętam już zbyt dobrze, to była długa dygresja w związku z niedawnymi zamachami. Mówiłem, że wyznawcy islamu nie mogą odżegnywać się od bałaganu na własnym podwórku i zrzekać wszelkiej odpowiedzialności, twierdząc, że te ataki nie mają nic wspólnego z ich religią, i argumentując, że bycie muzułmaninem oznacza coś innego.

Marc oparł się o biurko, słuchając z najwyższą uwagą.

– Bakrani się z tym nie zgodził? – zapytał.

– Początkowo nic nie mówił. Tłumaczyłem dalej. Terrorysty powołują się na wiarę muzułmańską, zanim zabiją, deklarują miłość do Allacha i posłuszeństwo względem Niego, nie można też zapomnieć o Daeszu i wielu innych organizacjach, Al-Kaidzie, AQIM i tak dalej, które opierają swoje działania wyłącznie na Koranie, usprawiedliwiając je za pomocą poszatkowanych sur... Niemożliwością zdawało mi się, by społeczność muzułmańska w dalszym ciągu odmawiała uznania, iż jest to problem islamu, stwierdziłem, że potrzebny nam w świecie muzułmańskim znaczny wzrost świadomości, by wierni zaakceptowali ten fakt i wspólnie zaproponowali rozwiązanie. O ile dobrze pamiętam, Moussa zachowywał milczenie przez cały czas trwania dyskusji. On, który zwykle zawzięcie angażuje się w każdą debatę, teraz nagle powstrzymywał się przed zabraniem głosu. W jego przypadku wydało mi się to zdumiewające.

– Sądzi pan, że chodziło o temat związany z odpowiedzialnością społeczności muzułmańskiej w obliczu zamachów i galopującego islamizmu?

– Wyraźnie w tym właśnie tkwił problem. Ale proszę powiedzieć, dlaczego mnie państwo o to wszystko pytają? Proszę chociaż zdradzić, czy nie przytrafiło mu się nic złego.

– Ma dobre oceny? – chciała wiedzieć Ludivine.

– Tak, doskonale. Zaczynam się niepokoić. Jest jakiś problem? O to chodzi?

Ludivine drgnęła. Pochyliła się w stronę profesora.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Tydzień temu.

Marc się wyprostował.

– Zdarza mu się opuszczać zajęcia?

– W ciągu ostatniego roku nie zdarzyło się to ani razu.

Marc i Ludivine wymienili spojrzenia, myśląc o tym samym.

W głębi duszy byli o tym przekonani: właśnie dopasowali twarz i nazwisko do terrorysty numer dwa.

Studenci krążyli po korytarzach uniwersytetu, połowa z oczami utkwionymi w telefonach, jakby te stanowiły przedłużenie ich samych, co – jak uświadomiła sobie Ludivine – było właściwie prawdą. Narzędzia komunikacji. Wszystko, czego nie trzeba powiedzieć komuś w twarz, wydaje się łatwiejsze, a od momentu powstania mediów społecznościowych komunikacja stała się też bardziej natychmiastowa. Lajk, komentarz, retweet, zdjęcie... Tyle codziennych rytuałów, za pomocą których równoległy język przekładał się na rzeczywistość. Ludivine zastanawiała się, ilu z tych młodych ludzi woli swoje życie w sieci od tego, które wiedzie naprawdę, w ciele i za pośrednictwem zmysłów.

– Dobra, nie zagalopowujmy się, sprawdźmy najpierw, czy nie pojechał w odwiedziny do chorej babci albo gdzieś indziej – odezwał się idący obok niej Marc.

– A jednak taka zbieżność w czasie byłaby zaskakująca – odparła Ludivine.

– Zgadzam się. Jego też weźmiemy pod obserwację, coś mi tu nie gra.

– Może podsumuję: Fissoum rekrutuje, formatuje mózgi, a kiedy dorobi się solidnych pomocników, oddala ich od siebie. Tak wyglądał początkowy etap planu, który imam zaczął wprowadzać w życie już jakiś czas temu, zanim go przyuważyliście. Później, przed pięcioma miesiącami, sprawy nabrały tempa, kiedy Fissoumowi przedstawiono Laurenta Bracha, pośrednika, człowieka, o którym wiadomo było, że nie wpadniecie na jego trop, bo nie dał się poznać jako osoba niebezpieczna. W tym samym czasie imam spotkał Anthony'ego Brissona, który psychicznie kiepsko sobie radził, i postanowił wykorzystać go jako faceta od brudnej roboty. Ktoś prawdopodobnie przyprowadził go do duchownego, bo zaczynało mu odbijać, był rozdarty między swoją religijnością a pragnieniem zadawania śmierci. Poprowadzili go więc, znaleźli dla niego zadanie. I tak został czyścicielem. Dwa miesiące temu Fissoum chciał odnaleźć kogoś konkretnego, zamierzał zatrudnić dyskretnego detektywa. Czy udało mu się dorwać tego gościa? Trup w ogrodzie Brissona może skłaniać

do takich przypuszczeń. Później została im ostatnia prosta: odcięcie wszystkich powiązań. Fissoum kazał zamordować Bracha – który wypełnił już swoją misję, na czymkolwiek polegała – a później poświęcił się dla sprawy, żeby nikt nie zmusił go do puszczenia farby, nawet jeśli do niego dotrze.

– A my wstępnie zidentyfikowaliśmy dwóch członków komórki, Abła Frémonta i Mousse Bakraniego, mężczyzn, którzy zradykalizowali się przy Fissoumie, a potem, przynajmniej z pozoru, obrali bardziej akceptowalną ideologię, natomiast w ostatnim czasie rozpłynęli się w powietrzu.

– Masz inne źródła, które można by przycisnąć?

– Objechaliśmy już wszystkie – odparł Marc, zanim dotarło do niego, jakiego słowa i tonu użyła Ludivine. – Uważasz, że posuwam się za daleko?

– Rozumiem okoliczności, wiem, o jaką stawkę toczy się gra. Ale... Selim w barze z kebabem, Hicham, twoja wtyka, a nawet ten hurtownik z Aubervilliers, wobec wszystkich stosowałeś wyłącznie groźby. Nie boisz się, że w ten sposób dodajesz wiarygodności oskarżeniom o prześladowanie, którymi rzucają islamiści, by wabić swoje owieczki?

– To ryzyko, które pojawia się, gdy pracujemy w trybie pilnym. Wierz mi, gdybym znał inną metodę dającą równie szybkie efekty, sięgałbym po nią, ale to nie towarzyskie spotkanie przy herbatce, żebyśmy mogli spokojnie sobie gawędzić.

– No właśnie, może powinieneś mówić do nich po arabsku, może to pozwoliłoby trochę zniuansować twoją postawę...

– Żeby pomyśleli, że jestem rasistą? Że wykształciłem obsesję na punkcie muzułmanów? To moja praca, Ludivine. Tropię *muzułmańskich* integrystów. Nie faszystów wielbiących Hitlera. Nie lewicowców z Czerwonych Brygad. Nie tych pajaców z tak zwanej „Brygady Żydowskiej” czy innych ekstremistycznych ruchów. Nie! Moje zadanie polega wyłącznie na łapaniu islamistów, którzy mają zamiar zabijać w imię Allacha. Nie moja wina, że ludzie posługujący się koranicznymi surami, by uzasadnić swoje barbarzyństwo, to muzułmanie. Jeżeli za dwadzieścia lat nasz kraj zaleją terroryści mordujący w imię Buddy, wówczas będę ścigał buddyjskich rewolucjonistów i nieważne, czy uznają, że jestem rasistą albo robię z tego sprawę osobistą. To nieprawda, choć istotnie, nie zawsze postępuję łagodnie. To kwestia rezultatów. Ale nie będę przecież zaczynał każdego przesłuchania od usprawiedliwiania się i zastrzeżeń, że przez dziesięć lat żyłem z muzułmanką, dzięki czemu poznałem jej kulturę, którą w dalszym ciągu kocham i podziwiam! To by było niedorzeczne...

Ludivine nie nalegała. Rozumiała jego racje, mimo że czasem w wyniku jego postępowania czuła się nieswojo. Wszystko, co wiązało się z religią, bywało problematyczne. Temat islamu niełatwo poruszyć w odpowiedni sposób, biorąc pod uwagę liczną społeczność muzułmańską zamieszkującą Francję, kolonialny kontekst historyczny, kiepsko wynegocjowane przez państwo warunki integracji oraz przepaść ziejącą między

członkami młodego pokolenia żyjącymi tu i w ich macierzystym kraju, fakt, że brakuje im zaufania i punktów odniesienia. Czy byli Francuzami, ponieważ tu się urodzili i wychowali, czy też więcej łączyło ich z kulturą dominującą w krajach ich rodziców, mimo że sami nigdy nie mieszkali poza granicami Francji? Czy powinni przyznać pierwszeństwo tej ojczyźnie, która stwarzała wrażenie, że nie uważa ich za prawdziwych obywateli, czy może tej drugiej, którą poznali jedynie za pośrednictwem tradycji? Tylu młodych zadawało sobie dzisiaj te pytania. Poczucie wykorzenienia sprzyjało identyfikowaniu się za pomocą religii. W ogóle nie czuli, że są takiej czy innej narodowości, za to niezależnie od tego, dokąd w życiu zawędrują i skąd pochodzą, pozostaną muzułmanami. Przede wszystkim muzułmanami. Była to drażliwa i złożona kwestia, wywołująca u osób innego wyznania wrażenie, że na początku powinny przeprosić i dziesięciokrotnie podkreślić, że kieruje nimi wyłącznie ciekawość i szacunek, zanim odważą się zadać choćby załączki pytań związanych z tym tematem, zanim się ośmielą cokolwiek zakwestionować. Aby nie wyjść na nietolerancyjnego rasistę, należało nieustannie stąpać jak po kruchym lodzie. Śledczy, zwłaszcza ci, którzy musieli działać szybko, nieodmiennie stawali wobec podobnej trudności.

Z każdym kolejnym zamachem islamscy terroryści głębiej wnikali w tę szczelinę, powiększając ją, drążąc rozpadlinę zdolną wchłonąć w końcu cały świat. Oto świetnie opracowany plan, dzięki któremu ludzie o mniej lotnych umysłach zaczną wytykać islam palcami, po każdym ataku nieco chętniej, przez co utworzą się stronnictwa, dwie frakcje społeczeństwa zostaną nastawione przeciwko sobie, aż muzułmanie zaczną czuć się coraz bardziej izolowani i stygmatyzowani, a wreszcie odniosą wrażenie, że nie mogą już swobodnie wyznawać swojej wiary. Aż wybiorą exodus albo świętą wojnę. Tak wyglądał plan islamistów. W głębi duszy wiedzieli, że nigdy nie wygrają wojny w Iraku czy Syrii, że bastion opanowany przez Daesz nie da rady utrzymać się wiecznie, ale jeśli w innych krajach spontanicznie dojdzie do wewnętrznego rozłamu, wówczas umma ponownie się zjednoczy i o ile ktoś odpowiednio nią pokieruje, chwyci za broń i wprowadzi kalifat we wszystkich zakątkach świata.

Każdy ponosił odpowiedzialność. Zarówno muzułmanie, którzy powinni piętnować ekstremizm podpierający się ich religią, jak i pozostali, którzy najlepiej by zrobili, gdyby stanęli murem za islamem pełnym szacunku i szanowanym przez innych.

*Piękna utopia, gdzie wszyscy żyją w harmonii...* – pomyślała Ludivine z gorzką ironią.

Wtedy zauważyła, że Marc rozmawia przez telefon. Szybkim ruchem zakończył połączenie i złapał ją za ramię. Ścisnął mocno. Za mocno.

Jego źrenice błyszczały w blasku świetlówek w korytarzu.

– Mamy dowódcę – oznajmił cicho.



Sala konferencyjna w siedzibie DGSI w Levallois niczym nie różniła się od tych, które można było znaleźć w sąsiednich budynkach firmowych: długi stół, na ścianach kilka ekranów, chłodne oświetlenie i brak jakichkolwiek dekoracji.

Ludivine zajęła miejsce obok Marca, naprzeciwko dwóch mężczyzn w koszulach, ale bez marynarek, którzy wyglądali na tak zmęczonych, jakby nie spali od trzech dni.

– Proces przebiegał następująco – zaczął wyjaśniać pierwszy. – Przygotowaliśmy mapę złożoną ze wszystkich punktów, w których telefon komórkowy Anthony’ego Brissona logował się do sieci. Poukładaliśmy jego geolokalizacje w porządku chronologicznym.

Drugi mężczyzna podłączył właśnie swój komputer i obraz wyświetlił się na dwóch ekranach w sali. Program pokazał mapę terenu, a następnie zbliżał ją tak długo, aż wyśrodkowała się na zachodnim regionie Paryża. Zaczęły się na niej pojawiać czerwone kropki, a później strzałki wskazujące kierunek przemieszczenia, tymczasem w rogu zmieniały się daty, godziny i minuty.

– Jak zauważycie, przez większość czasu trzymał się ograniczonego sektora – ciągnął pierwszy agent – krążąc między domem a różnymi klientami. Nas najbardziej interesowały odstępstwa od normy, kiedy wyprawiał się, z reguły na krótko, w miejsce położone z dala od swojej strefy komfortu. Zaobserwowaliśmy kilka takich „odchyłów”, jak je nazwaliśmy. Po pogłębieniu poszukiwań przyczyna większości wycieczek wyjaśniła się sama. Nic, co by nas zaciekało. Ale jedna wydała nam się ważna.

W tym momencie pokazała się seria linii biegnących od domu Brissona do Paryża. Czerwona kropka pulsowała w jednym miejscu przez – zgodnie z czasomierzem – godzinę, by następnie pokonać tę samą trasę w przeciwnym kierunku.

– Udał się na dworzec Saint-Lazare. Jak dotąd spokojnie możecie mi powiedzieć: „No i co z tego?”. Ale analizując jego fakturę, zauważyliśmy, że w południe tego samego dnia, czyli sześć godzin przed wyprawą, odebrał telefon z numeru na kartę prepaid, który posłużył do wykonania tylko tego jednego połączenia. Aparat znajdował się wtedy w okolicach paryskiego kanału Saint-Martin.

Na te słowa czworo śledczych obecnych w pomieszczeniu wymieniło porozumiewawcze spojrzenia. To nie mógł być przypadek. Podobnej procedury przestrzegaliby wyłącznie wielki paranoik... albo terrorysta.

– Louis i ja zdobyliśmy wszystkie nagrania z dworca Saint-Lazare z dnia, w którym zjawił się tam Anthony Brisson. Ze względów bezpieczeństwa francuskie koleje przechowują je

przez piętnaście dni, więc mieliśmy fart, że zainteresowaliśmy się sprawą tak szybko. Jeszcze trzy dni i bylibyśmy w dupie. Ale mogliśmy je przestudiować i udało nam się go wypatrzyć.

– Spotkał się z kimś? – zapytał Marc.

Informatyk przytaknął, z trudem powściągając dumę.

– Oto i on, tutaj, wysiada z pociągu.

Na ekranach wyświetlił się film utrzymany w naturalnej kolorystyce. Na peronach i w wyremontowanej hali dworca Saint-Lazare tłoczył się zwarty tłum. Obraz znieruchomiał, a kursor myszki wskazał wydłużoną sylwetkę.

Ludivine natychmiast ją rozpoznała i jej serce przyśpieszyło. Zaciśnęła pięści.

Rozpoczęło się kolejne nagranie, wykonane nieco dalej w głębi dworca, po stronie centrum handlowego wznoszącego się na trzech poziomach połączonych olbrzymią centralną studnią. Anthony Brisson pojawił się znowu, kursor zdradził jego pozycję. Kroczył wśród ludzkiej ciżby, kręcąc głową we wszystkie strony, jakby kogoś szukał, aż podszedł do niego jakiś mężczyzna, zaprowadził go do windy, a potem prosto pod arkadę jednego z butików. Nieznajomy stał zwrócony plecami do śledczych. Widzieli go pod trzema kątami, choć jedna z kamer znajdowała się za daleko, żeby na filmie mogli rozróżnić, co się dalej dzieje. Żadna nie zarejestrowała rysów mężczyzny, ponieważ podniósł kołnierz płaszcza, a czapkę z daszkiem naciągnął tak nisko na oczy, że zasłaniała całą górną część twarzy.

– Nie wysilajcie się, nic lepszego nie zobaczycie. Jego wzrost możemy oszacować na mniej więcej metr osiemdziesiąt, wagę na jakieś siedemdziesiąt kilogramów. To mężczyzna rasy kaukaskiej albo Maghrebczyk, może Azjata. Stoją tam przez dwanaście minut, potem znów się rozdzielają. Brisson wraca pociągiem do siebie, ten drugi wychodzi na ulicę, gdzie gubimy jego trop. Ale to on, szef komórki.

– Z czego wnioskuje panowie, że to dowódca? – Ludivine zastanawiała się na głos.

– Anthony Brisson wybrał się na wycieczkę specjalnie po to, by się z nim spotkać, a następnie zabił Abdelmaleka Fissouma. Ten podporządkował mu się, prawdopodobnie dlatego, że Brisson przekazał mu instrukcje pochodzące z samej góry. Brisson działał na zlecenie, w przeciwnym razie nigdy nie porwałby się na salafickiego imama. Co więcej, uprowadzenie pani było ryzykownym, a nawet beznadziejnym przedsięwzięciem, które przywodzi na myśl samobójczy atak, jakby ktoś kazał mu ze sobą skończyć. Kto mógł mieć taki wpływ na równie nietypową jednostkę, co Anthony Brisson, seryjny morderca? Człowiek stojący na czele komórki. Ten, który nią steruje, zarządza, podaje się za wysłannika przekazującego swoim mudżahedinom słowo Boże. Który może wymagać od swoich ludzi ofiary. Oni zaś niezwłocznie okazują mu posłuszeństwo.

Ludivine skinęła głową. Rozumowanie trzymało się kupy.

– Ten gość wykazuje ponadto rzadko spotykaną zręczność – podjął drugi śledczy. – Nigdy nie traci z oka kamer, z wyprzedzeniem przestudiował ich rozkład. Nie wykonuje ani

jednego zbędnego gestu, niczego nie dotyka, nie zostawia żadnego śladu i choć próbowaliśmy prześledzić jego trasę przed dotarciem na dworzec lub po opuszczeniu go, wciąż nam się wymyka. Przechodzi przez martwe punkty, wybiera ulice nieobjęte monitoringiem i założę się, że w tej torbie, którą niesie na ramieniu, znajdują się ciuchy na zmianę, żebyśmy nie rozpoznali go nigdzie indziej. Profesjonalista na takim poziomie? Prawie nigdy się ich nie widuje. Nawet w naszym fachu. Przeszedł intensywne przeszkolenie. Czy to były agent irackich służb wywiadowczych, których pełno w Daeszu? Być może, w każdym razie na pewno jest obcokrajowcem albo spędził dużo czasu w obozie szkoleniowym. To lider. To TZ.

– TZ? – powtórzyła Ludivine.

– Terrorysta Zero. Tak jak w przypadku wirusa istnieje pacjent zero, od którego wszystko się zaczyna, ognisko choroby. Eliminując TZ, uderzamy w samo serce problemu, a wtedy łatwiej dotrzeć do osób zarażonych, do jego komórki.

Marc potwierdził:

– To on. To ten szaleniec. Jakość nie jest zła, nie dalibyście rady uzyskać jego zdjęcia za pomocą algorytmu symulacyjnego?

– Nie ma żadnego kąta nadającego się do użytku, pod którym moglibyśmy próbować zrobić zbliżenie, on się ciągle chowa! A część twarzy widoczna między kołnierzem a daszkiem czapki stale kryje się w cieniu. Mamy przesrane.

– Więc żaden program rozpoznawania twarzy nic nie wskóra?

– Nic a nic. Przykro mi.

– To już i tak wielki postęp, brawo, chłopaki.

– Znamy podstawowe cechy jego wyglądu – podsumowała Ludivine – i wiemy, że przebywał w profesjonalnych obozach szkoleniowych, być może dawniej służył w wywiadzie. Jak się dogadujecie ze swoimi odpowiednikami w krajach położonych nad Zatoką?

Marc rozumiał, do czego Ludivine zmierza.

– Przekażemy te dane DGSE – powiedział – ale nie ma co marzyć, nikt nie rozpozna go na podstawie tych kilku ujęć, na których nic nie widać, a tajne służby naszych „sojuszników” znad Zatoki rzadko kiedy przyznają, że jeden z byłych kolegów im się urwał. Ale spróbujemy, to nic nie kosztuje.

– Prześlę je też do DRSD – powiadomił pierwszy z informatyków. – Oni mają kontakty tam, w terenie.

Marc wstał.

– Ludivine, wracam nadzorować przesłuchania wszystkich podejrzanych, których trzymamy na dole, dla najgrubszych ryb to ostatni dzień aresztu. Jeśli coś wiedzą, muszą puścić farbę. Ty i twoja ekipa znacie akta Laurenta Bracha lepiej niż my, chciałbym, żebyście się im przyjrzeni. Dowiedz się, jaką rolę grał, w czym dokładnie pośredniczył,

dłaczego zrobiono wszystko, żeby odciągnąć nas od jego zabójcy i skierować na fałszywy narkotykowy trop. Możesz to zrobić? Nie chcę ci rozkazywać...

Ludivine posłała mu pełen podtekstów uśmiezek.

– Korzystaj i rozkazuj, póki możesz.

Wracała do domu. Do paryskiego WŚ.

Swojego naturalnego siedliska.

Każdy przedmiot był cegiełką pociechy w profesjonalnym murze podpierającym Ludivine. Kubek z logo New York Giants, pamiątka po Alexisie, jej książki z dziedziny kryminologii, pachnąca piżmem świeca, a nawet kolekcja zabawek z jajek niespodzianek, która zgromadziła się na regale za jej plecami. To wszystko miało na nią zbawienny wpływ, zwłaszcza w tym momencie. Dość szybko dochodziła do siebie po uwięzieniu, wiedziała jednak, że częściowo zawdzięcza to adrenalinie, którą wstrzykuje jej codzienność. Gdy tylko pilne śledztwo dobiegnie końca, dni znowu nabiorą nudnej elastyczności, otwierając drogę myślom. Wówczas będzie potrzebowała wsparcia. Psycholog? Nie, to niezbyt jej się uśmiechało. Może porozmawia z Segnonem... Albo wróci w góry do Mikelisa i jego rodziny, do tego sanktuarium, gdzie ludzkie szaleństwo nie ma wstępu.

Wkraczając wczesnym popołudniem do WŚ, Ludivine zmierzyła się z najgorszym: ze spojrzeniami kolegów wyrażającymi na przemian przejęcie, dumę, zmieszanie lub współczucie. Każdy miał dla niej jakiś pocieszający gest czy przejaw uwagi, jakieś słowo, jakąś radę lub propozycję, które zamiast pomagać Ludivine, sprawiały jedynie, że na powrót pogrążała się w horrorze, stawała się coraz bardziej krucha, co ostatecznie doprowadziło do tego, że odrzuciła to wszystko nieco zbyt oschle, by pobyć chwilę w samotności, złapać oddech i zdławić łzy podchodzące do gardła. Pozbierała się, przybrała pewną siebie minę i ruszyła na spotkanie ze współpracownikami i pułkownikiem Jihanem, podczas którego przeprowadzili kompletne podsumowanie, a następnie zamknęła się z Segnonem i Guilhemem, by zrobić burzę mózgow. Działanie, musiała stale działać. Fotografie Abla Frémonta i Moussy Bakraniego wydrukowano w formacie A3 i pinezkami przyczepiono do jednej ze ścian. Trudno było znieść chłodne – a w przypadku Abla również puste – spojrzenia, tak złudna wydawała się bowiem nadzieja, że któregoś dnia uda się przemówić tym mężczyznom do rozsądku.

Wspomniawszy rolę, jaką potencjalnie mógł odegrać trup z ogrodu Anthony'ego Brissona, Ludivine chwyciła leżący na biurku telefon i zadzwoniła do Forsnota z IRCGN.

- Kapitanie, potrzebuję, żeby oświecił mnie pan w pewnej sprawie.
- Czyżby ciemności, w których błądzicie, okazały się aż tak otchłanne?
- Wszystko będzie zależało od waszych umiejętności. Mam pozbawione tożsamości zwłoki, DNA nie figuruje w bazie, a skórę i tkanki częściowo wyżarło wapno. Znalaziono kilka pęknięć kości twarzy. A ja muszę wiedzieć, kim był ten człowiek.
- No cóż... Jak tłumaczyłem wcześniej, na podstawie próbki DNA wydział biologii może

pani dostarczyć podstawowych informacji, takich jak kolor skóry i oczu, barwa i rodzaj włosów, są w stanie potwierdzić płeć, a jeśli trochę ich ponaciskamy, będę mógł pani podać przybliżony kształt nosa, podbródka i uszu.

- Nic więcej?
- Na kiedy?
- Najszybciej, jak się da.
- Dostanę ciało do dyspozycji?
- Załatwię pozwolenie od sędziego.
- W takim razie wezmę głowę i wrzucę ją do rosołu.

Wówczas Ludivine przypomniała sobie o tym niegodnym procederze, o którym jakaś część jej świadomości próbowała zapomnieć. Antropolodzy sądowi odcinali nieznanemu nieboszczykowi głowę i gotowali ją w wielkim szybkowarze, aż tkanki miękkie odpadały i całkiem odsłaniały czaszkę. Żeby po wydziale nie rozprzestrzeniał się trupi odór, do wrzątku dodawano zwykle kostki rosołowe. Ludivine odkryła istnienie tej metody pewnego ranka, kiedy składała wizytę w laboratorium w towarzystwie urzędnika, który zdumiał się przyjemnym zapachem unoszącym się w korytarzach. Wtedy dowcipny ekspert sądowy zaproponował mu, żeby podniósł pokrywkę i przekonał się, jakież to danie przyrządzają. Gość pobiegł w stronę toalet szybciej niż gepard ścigający kolację.

– To da efekty? – spytała Ludivine cicho.

– Gdy będę miał ładnie oczyszczoną czaszkę, umieszczę ją w skanerze, czymś w rodzaju wielkiej mikrofalówki, i skorzystam z programu, który bardzo szczegółowo analizuje zużycie kości w miejscach przyczepu mięśni, co pozwala z dużą dokładnością opracować wizualizację tego, jak dana osoba wyglądała za życia. Na tej podstawie stworzymy trójwymiarowy model twarzy.

– Wiarygodny?

– Tak, raczej tak. Nie uwzględniamy zbyt wyrazistych detali. Zauważyliśmy, że na precyzyjnie zarysowaną twarz reaguje mniej świadków, lepiej działa wizerunek mgliście przypominający poszukiwanego człowieka: coś nam dzwoni, więc wyteżamy mózgownicę i jeśli faktycznie go znaleźmy, klik – coś zaskoczy.

– Ten mój zarobił kilka mocnych ciosów prosto w twarz.

– Nie ma co się martwić, jeśli będzie trzeba, pobawimy się w układanie puzzli. Zlecę to wydziałowi biologii, powiem, żeby poza wynikami badań DNA dostarczyli pani dodatkowe informacje. Wyślemy wam serię kilku portretów w różnych stylizacjach. Dajcie nam tydzień z górką, maks dziesięć dni od momentu otrzymania ciała.

Rozłączyła się z dziwnym uczuciem, takim jak wtedy, gdy po ekshumacji dwóch ofiar okazało się, że ich organy płciowe leżą zagubione gdzieś wśród zapieczętowanych próbek. Czy przypadkiem nie postępować zbyt pochopnie? Czy na tym etapie trzeba było dodatkowo okaleczać tego biednego nieszczęśnika, zamiast pozwolić mu wreszcie spocząć

w pokoju?

*Ale pod jakim nazwiskiem? Czy czasem nie lepiej poświęcić część szczątków, jeśli taka jest cena za zwrócenie im tożsamości?*

Ludivine znów chwyciła telefon i wybrała numer sędziego.

Kiedy kończyła rozmowę, miała już jego zgodę. Potarła policzki, powtarzając sobie, że dobrze robi. Później wróciła do tego, co było ich priorytetem. Stwierdziła, że każdy mozolnie pracuje we własnym kącie, więc przejęła kontrolę.

– Do tej pory przyjmowaliśmy, że Laurent Brach odgrywał rolę pośrednika między Fissoumem a jego byłymi uczniami – przypomniała. – Ale być może miał do zrobienia coś jeszcze. Jaką misję mógł mu powierzyć imam?

– Zdobycie broni – zasugerował Segnon.

– Tak. Albo wyprodukowanie materiałów wybuchowych – dodał Guilhem.

– Nie miał żadnego wykształcenia naukowego.

– W dzisiejszych czasach Internet zastępuje wykształcenie, a z tego, co o nim wiemy, Brach nie był niedojdą. Majsterkowanie szło mu całkiem nieźle.

Ludivine zetknęła opuszki palców obu dłoni, tworząc klatkę. Klatkę dla swoich myśli.

– Czy podczas przeszukania znaleziono u niego rachunki za nietypowe produkty? – spytała. – Szczególnie takie w dużych ilościach?

– Nigdy nie przeszukaliśmy jego mieszkania – rzekł Guilhem.

– Żartujesz sobie?

– Nie! Poszliśmy tam, ale przypomnij sobie, nie chcieliśmy zrazić do siebie wdowy! Przeprowadziliśmy tylko nieinwazyjną kontrolę, komp, papiery. Nie przewróciliśmy wszystkiego do góry nogami i nie pamiętam, żebyśmy znaleźli jakieś rachunki, zwłaszcza jeśli były w rzeczach żony.

Ludivine westchnęła. Wszystko toczyło się zbyt szybko. Czy pilnując, by wilk był syty i owca cała, uznając, że zdobycie zaufania wdowy przyda się bardziej i ujawni więcej niż całościowe przeszukanie, istotnie podjęli słuszną decyzję?

– Tak czy siak, teraz nie da nam to nic poza spokojem sumienia – wtrącił Segnon. – Nawet jeśli coś ukrywał, to z pewnością zdążyło już zniknąć, a zresztą wątpię, żeby tak świetnie przygotowani goście pozostawili po sobie jakieś ślady.

– Jeżeli ta bomba w końcu wybuchnie w Paryżu, a media dowiedzą się, że nie przeprowadziliśmy drobiazgowego przeszukania u jednego z terrorystów – zaniepokoił się Guilhem – to wszystkich nas zlincz...

– W tamtym czasie ten człowiek był ofiarą morderstwa – ucięła Ludivine – a my okazaliśmy wdowie po nim minimum szacunku. Poza tym to nie media prowadzą dochodzenie. Poproszę Merricka, żeby wysłał kogoś, kto zajmie się przeszukaniem, lepiej późno niż wcale. Wróćmy do meritum. Brach pośredniczył dla Fissouma. Być może w sprawie broni lub materiałów wybuchowych. Co jeszcze?

– Skoro ściągnął na siebie śmierć, to pewnie wiedział za dużo – wydedukował Segnon. – Można przypuszczać, że znał tożsamość terrorystów albo lokalizację ich kryjówki. Może to nawet on ją dla nich znalazł.

– Słuszna uwaga. Trzeba przestudiować wszystkie jego podróże, pogrzebać w rozmowach telefonicznych i we wszystkich płatnościach, które potencjalnie mogą być czynszem lub kaucją. Co jeszcze? Dalej, chłopaki, wysilcie mózgownice!

– Obserwacja? – podsunął Guilhem.

Ludivine wycelowała w niego palcem.

– Równie cenna sugestia. Kiedy już zrobimy spis jego podróży, sprawdzimy, czy na trasach znajdują się jakieś interesujące cele. Wśród zapieczętowanych dowodów była jego komórka. Guilhem, udało ci się dostać do jej zawartości? Do zdjęć?

– Przejrzałem wszystko i nic mnie nie tknęło, ale sprawdzę jeszcze raz.

Ludivine wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju, co zważywszy na jego skromne rozmiary, ograniczało się do kręcenia się w kółko między biurkami.

– O czym myślisz, kiedy tak krążysz jak lwica? – spytał Segnon.

– O spójności.

– Czego?

– Ich sposobu działania.

Segnon i Guilhem wymienili krótkie spojrzenia, obaj ze zmarszczonymi czołami.

– To znaczy?

Ludivine znieruchomiała, by przeprowadzić wywód:

– To grupa terrorystyczna sterowana prawdopodobnie z zagranicy, w każdym razie zdaje się, że ich przywódca, TZ, jak go nazywa DGSI, pochodzi skądś spoza naszego terytorium. Przygotowują się od dawna, przynajmniej od roku. W międzyczasie Fissoum ściągnął sobie na głowę wywiad, ale to nie naraziło operacji, bo poszczególne elementy planu zostały ściśle odgrudzone. Każdy ma jasno określoną rolę i nic się ze sobą nie przenika. Brach został zrekrutowany, by służyć jako most łączący ich wszystkich, ale...

Ludivine myślała na głos, rozbudowując swoje teorie, w miarę jak napływały.

– Ale? – ponaglił Guilhem.

Ludivine ciągnęła z determinacją:

– Tylko jeden poziom zabezpieczający między Fissoumem, który stoi w centrum ugrupowania, a agentami w terenie!

– Jak to? Nie czaję, do czego zmierzasz...

– Robią wszystko według zasad, co do joty, stosują maksymalne środki ostrożności, zabierają się do sprawy cierpliwie, każdego pionka odseparowują od reszty. Jeden wydaje rozkazy, drugi koordynuje, inny odwala brudną robotę, kolejny pośredniczy, a na samym końcu mamy członków komórki, którzy uderzą. Ale w ostatniej chwili umieszczają tylko jednego człowieka pomiędzy Fissoumem a terrorystami? Tylko jedną służę bezpieczeństwa



między dwoma końcami łańcucha?

– Przecież nie ma ich siedemdziesięciu, nie tak łatwo znaleźć gości gotowych zdradzić swój kraj i masakrować cywilów w imię religii.

– Wśród ponad dziesięciu tysięcy osób z kartoteką S za islamizm w samej tylko Francji? Jestem pewna, że kiedy jesteś tak świetnie zorganizowany jak Fissoum i masz tyle czasu, ile on na to poświęcił, znajdziesz tylu ludzi, ilu potrzebujesz. Nie mówimy zresztą o grupie zdolnej wypełnić autobus, wystarczy góra dziesięciu, wliczając sympatyków. Jedynie trzech czy czterech poważy się na ostateczny krok – mam przynajmniej nadzieję, że nie zwerbowali ich więcej.

– Postawmy sprawę jasno, co właściwie wymyśliłaś? – Segnon ściągnął ją z powrotem do sedna sprawy.

– A jeśli misją Bracha było zrekrutowanie kolejnego pośrednika? Takiego, którego nikt nie widział w towarzystwie Fissouma, który pozostałby całkowicie niezauważony? Taki człowiek mógłby przekazać informacje członkom komórki, by ją aktywować. Druga warstwa ochronna, na wszelki wypadek. Są tak ostrożni we wszystkim, co robią, że trudno mi uwierzyć, by to Brach miał odegrać równie kluczową rolę, podczas gdy Fissoum musiał się domyślać, że DGSI ma go na oku, przynajmniej tymczasowo. To nie mógł być nikt obserwowany, nie. Z pewnością wybrali kogoś z jeszcze bardziej oddalonego kręgu. Kogoś, kto nigdy nie miał styczności z Fissoumem.

– Okej. Kogo? Brach prawie nie miał przyjaciół. Kiedy badaliśmy jego otoczenie, stwierdziliśmy, że nie widywał się z nikim poza żoną.

– Miał za to znajomych wśród wiernych ze swojego meczetu. A przynajmniej jednego – faceta, który przedstawił go Fissoumowi.

– Ale ten był zbyt mocno powiązany z nimi oboma, żeby mogło się to wydawać bezpieczne – zauważył Guilhem.

– Pudło! – wykrzyknęła Ludivine. – To tam się nawrócił. Guilhem, możesz mi załatwić listę więźniów, z którymi siedział? W celi i w bloku. Chcę wszystkich. Później zadzwoń do zakładu penitencjarnego, gdzie go umieszczono, i spytaj pracowników, którzy go znali, co o tym sądzą, z kim zadawał się na spacerunku. Z pewnością wiedzą, w którym towarzystwie się zradykalizował. W tym czasie Segnon i ja sprawdzimy każde wyszperane przez ciebie nazwisko w rejestrach i zobaczymy, co wyskoczy.

– Nie wolno wykluczyć tych, którzy jeszcze nie wyszli – zastrzegł Segnon. – Wręcz przeciwnie, bo kto lepiej nadaje się do przekazywania informacji niż osadzony przyjmujący gości w pokoju odwiedzin?

Potrzebowali niespełna trzech godzin, by z listy wyłonić dwóch mężczyzn. Dwóch współwięźniów trzymających się blisko z Laurentem Brachem, wyznawców tej samej religii, którzy mieli na niego znaczny wpływ. Obaj odsiedzieli już swoje wyroki.

– Znalazłem pierwszego – oznajmił Guilhem bez tryumfu w głosie. – Cztery miesiące

temu miał wypadek motocyklowy, poważny, doznał paraliżu poprzecznego i przebywa w ośrodku rehabilitacyjnym w Normandii, wygląda na to, że jest w kiepskim stanie.

Ludivine potrząsnęła głową.

– A drugi?

– Zdobyłem adres – rzucił Segnon, kończąc rozmowę telefoniczną i unosząc w górę karteczkę samoprzylepną.

– Co na niego mamy?

– Nic, odkąd dziesięć miesięcy temu wyszedł, nie zwrócił na siebie uwagi wymiaru sprawiedliwości. Dzwoniłem do SPIP-u i do dzielnicowego komisariatu, który wybrałem na podstawie podanego przez niego adresu, i ani jedni, ani drudzy nie mają nic do zameldowania na jego temat. Prawdę mówiąc, ledwie wiedzieli, o kogo chodzi.

– Nie ma pracy?

– Zgodnie z wymogami po zwolnieniu zgłosił się do biura pośrednictwa, ale od tamtej pory cisza. Ubiegał się o zasiłek socjalny w Kasie Świadczeń Rodzinnych, to wszystko.

– Pobiera go?

– Na to wygląda.

– Więc przynajmniej żyje.

– Wrócił do rodzinnej dzielnicy? – zapytał Guilhem.

– Nie – zaprzeczył Segnon. – Miejsce, o którym wspomniał, znajduje się dość daleko od niej.

Guilhem zrobił minę.

– Skoro nikt go tam wcześniej nie widział, to skąd wiadomo, że to on co miesiąc wypłaca kasę?

Ludivine chwyciła swoją kamizelkę kuloodporną.

– Przewietrzymy się – ogłosiła.

– Obserwacja z ukrycia w piątek pod koniec dnia? – Segnon wykrzywił twarz w grymasie. – Jesteś pewna?

– Żadna obserwacja, wielkoludzie, nie ma czasu do stracenia. To będzie raczej spotkanie. Pytanie tylko, kto otworzy nam drzwi.

Dzieci grały w piłkę w przymglonym blasku brudnych reflektorów nad boiskiem położonym wzdłuż ulicy. Naprzeciwko niewielkie osiedle otwierało rozświetlone powieki, by czuwać nad swoimi ludźmi.

Koniec dnia, koniec tygodnia, koniec energii, przechodnie wlekli się do domów z opuszczonym wzrokiem i przygarbieni, choć czasem w tłumie zdarzały się uśmiechnięte, dynamiczne anomalie.

Segnon zaparkował w ponurej szarej uliczce i troje żandarmów wysiadło, zapinając kurtki i bluzy, by ukryć włożone pod spód kamizelki kuloodporne. Dotarcie na przedmieścia Villejuif w natężonym ruchu drogowym zajęło im prawie godzinę, zapadła już noc, od ziemi bił chłód przypominający ostatnie tchnienie zdychającego zwierzęcia i przenikający do szpiku kości.

Guilhem zerknął na swojego iPhone'a, po czym wskazał prostopadłą ulicę.

– To tam, sto metrów stąd.

Stare, popękane domy wolno stojące, działki leżące odłogiem, posępne garaże, rząd nowych budynków ustawionych tam jakby przypadkiem – okolica istniała tylko miejscami, ponieważ latarnie rozmieszczono zbyt rzadko, a kilka żarówek rozbito, przez co całe jej fragmenty niknęły w nicości. A to, czego nie widać, w nowoczesnym świecie nie istnieje, taka zasada obowiązywała od czasu pojawienia się Internetu i nowego boga – telewizji: można być w świetle albo nie być wcale. I Sid Azzela mieszkał właśnie w takim współczesnym nigdzie.

Guilhem zatrzymał się przed rozchwierutaną, na wpół otwartą furtką, zza której wyzierała ścieżka porośnięta anemiczną trawą. W głębi stał dom z przekrzywionymi okiennicami, sprawiający wrażenie, jakby zaraz miał się zawalić, odsunięty od ulicy zwarty klocek zwrócony tyłem do dzielnicy, która napawała go wstydem.

– On tu mieszka? Jesteś pewien? – spytała Ludivine.

– To adres, który podałem.

Mimo panującej na zewnątrz ciemności w budynku nie paliło się żadne światło.

Żandarmi posuwali się naprzód ostrożnie, gotowi zareagować: otwarte dłonie wzdłuż boków, zmysły wyostrzone.

Lokal był opuszczony – kiedy stanęli na progu, wyzbyli się wszelkich wątpliwości. Rozpadającą się fasadę zdobiły girlandy graffiti, na piętrze połamane żaluzje zwiślały z przytrzymujących je żerdeń, wybite okna wpuszczały wiatr do wnętrza będącego niedługo

mieszczkańską rezydencją.

Ludivine bezgłośnie wspięła się po stopniach ganku i czubkiem buta pchnęła od dawna pozbawione zamka drzwi. Wyjęła z kieszeni małą latarkę i wiązka białego światła przecięła wyłożony płytami popękanego betonu korytarz o zapleśniałych ścianach. Śledcza weszła do środka, a Segnon i Guilhem, który również trzymał latarkę, podążali tuż za nią.

– Pusto – szepnął pierwszy z żandarmów.

Ludivine nie odpowiedziała i kontynuowała swoją małą ekspedycję zwiadowczą. Woń wilgoci była silna, ale przebijało w niej także coś innego...

*Stęchlizna zabarwiona... jakby zapachem żarcia!*

Postukała się palcem w nos, by wskazać towarzyszom, co zauważyła. Ktoś tu mieszkał lub niedawno zatrzymał się na jakiś czas.

Na prawo były dwa pokoje, zavalone śmieciami i gruzem, gdzie plastik strzykawek połyskiwał refleksami w świetle latarki. Podłogę zaścielały sterty podartych, do cna zużytych ubrań, wśród nich leżały puszki, butelki i poukładane w stos kartony służące za materac. Nieopodal leżało kilka rozwiniętych prezerwatyw, wylinek węża grzechu, świadków przemiany czegoś pięknego w coś ponurego.

Nikogo.

Ludivine wróciła do przedpokoju, skąd zniszczone schody prowadziły na piętro, natomiast cienkie drzwi z boku wiodły do piwnicy.

Wskazała palcem sufit i dała do zrozumienia, że wraz z Guilhemem wejdzie na górę, Segnonowi zaś poleciła, by został na miejscu, ten jednak żywo potrząsnął głową.

– Nie rozdzielamy się! – szepnął kategorycznie. – Koniec z głupotami!

Stopnie skrzypiały straszliwie przy każdym kroku śledczych, seria sarkastycznych pisków, która przeszła w szalony śmiech czarownicy, gdy Ludivine postanowiła przyśpieszyć.

*Za późno na dyskrecję.*

Górny podest rozciągał się na kilka metrów, w równych odstępach rozmieszczono pięćdziesiąt drzwi.

Ludivine czuła, jak bije jej serce, równo, choć szybciej niż zwykle. Starła się wychwycić każdy najdrobniejszy sygnał, zachować spokój: widzieć wszystko, ale nie tracić z oczu najważniejszego – bezpieczeństwa ich trójki. Nie można było dopuścić do sytuacji, w której wyskoczy na nich rozwrzeszczany ćpun, a oni stracą głowę, przekonani, że atakuje ich terrorysta.

Uświadomiła sobie, że czuje niepokój. Wspomnienie napaści we własnym ogrodzie wciąż było świeże w jej pamięci, porażenie paralizatorem, łatwość, z jaką Anthony Brisson ją sobie podporządkował... Dla niej na zawsze pozostanie nagim mężczyzną. Tym, który zmusił ją do umysłowej prostytucji w celu przetrwania. Tym, który wyciągnął ją z dziury, zamierzając zgwałcić i zabić. Śmieciem i potworem.

Nagle Segnon klepnął ją w ramię, co sprawiło, że na powrót znalazła się w korytarzu.

Kolega wskazywał dół drzwi na samym końcu, spod których wydobywał się drżący blask, prawdopodobnie rzucony przez świece.

Wszyscy jednakowym gestem położyli dłonie na rękojeściach służbowej broni, ale jej nie dobyli, i podeszli do drzwi najciszej, jak się dało. Segnon zajął miejsce po prawej stronie futryny, Ludivine po lewej, a Guilhem pomiędzy nimi. Kobieta szykowała się, by krzykiem oznajmić, kim są, gdy nagle instynkt kazał jej odepchnąć Guilhema na bok. Nikt nie powinien stać naprzeciwko wejścia. Nigdy. Na wypadek gdyby...

– Żandarmeria! Podaj swoją tożsamość i otwórz drzwi! – rozkazała jasnym, mocnym głosem.

Niespełna pięć sekund później skrzydło drzwi przebiła odpowiedź złożona z prochu i stopionego ołowiu. Powódź śmierci roztrzaskała gipsową sztukaterię, rozłupała drewniane odrzwia, rozsiewając na wszystkie strony drzazgi i pył, rozbrzmiewały jednocześnie huk wystrzałów i wiązanka wściekłych okrzyków.

Ludivine przykucnęła z głową wtuloną w ramiona, wyjęła sig sauera z kabury, starała się, mimo chaosu, w miarę możliwości utrzymać oczy otwarte. Segnon przywarł plecami do okna, pistolet uniósł na wysokość twarzy. Nigdzie nie widziała Guilhema, zdała sobie jednak sprawę, że trajektorie pocisków idealnie przecięły się z osią, na której znajdowało się jego ciało, zanim go odsunęła.

Oszołomiona, dostrzegła go wyciągniętego na podłodze ze spanikowaną miną. Zdawało się, że nie ucierpiał, odczuwał raczej strach niż ból. Dała mu znak, by się nie ruszał.

Strzały umilkły. Ludivine się zawahała. Czy powinna skorzystać z okazji i przeć naprzód, czy też wycofać się i zawiadomić GIGN? Jak opanować tego świrusa? A jeśli dotarcie na miejsce zajmie elitarniej jednostce godzinę, a strzelec wyjdzie z kałasznikowem, będzie pruć pociskami kalibru 7,62 milimetra, a te przebiją ich kamizelki kuloodporne tak, jak skalpel przecina ciało? A jeśli wysadzi się w powietrze?

Segnon wykonał ruch podbródkiem, pytając partnerkę, co chce zrobić. Wskazał drzwi.

Pokręciła głową.

*Zbyt ryzykowne.*

Czuła, że gdyby była sama, odważyłaby się wtargnąć do środka, ale nie z Segnonem i Guilhemem u boku. To szaleństwo. Tak czy inaczej, powinna przestać się zachowywać jak w gorącej wodzie kąpana. Koniec z porywcznością.

Wycofają się i otoczą teren.

Usłyszała w pomieszczeniu jakiś ruch, później rozpoznała charakterystyczne kliknięcie zapalniczki.

*On coś podpala!*

Przed oczami stanął jej obraz usypanej linii prochu. Zamierzał ich wszystkich wysadzić.

– Na zewnątrz! – ryknęła do partnerów.

Rozpierzchli się dokładnie w chwili, kiedy rozbrzmiał strzał. Pojedynczy. Ciężkie

łupnięcie. Coś upadło na podłogę.

Później cisza. Zza drzwi nikt już nie atakował.

Segnon i Ludivine spojrzeli po sobie. Myśleli o tym samym.

– O cholera... – rzuciła kobieta, po czym obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem w stronę kryjówki.

Segnon wyważył roztrzaskane skrzydło zamaszystym kopniakiem, pistolet trzymał w wyciągniętych dłoniach.

Piekło powitało ich drapieżnym oddechem, zmuszając, by cofnęli się szybko.

Płomienie lizały już lamperię na wysokości głowy dorosłego człowieka, wydzielając duszące gorąco. Ujrzeni trzy przewrócone beczki, sądząc po zapachu, zawierające wcześniej benzynę. Stojące w ogniu paliwo pożerało to, co niegdyś było kuchnią i sypialnią.

Pośrodku spoczywał trup, schwytyany już w zachłanne ramiona pożaru. Wydrążone purpurowe oczko znaczyło ranę wlotową pod jego szczęką, perliła się tam krwawa łoża. Prosto w stronę mózgu. Broń wciąż tkwiła między jego palcami.

Sid Azzela podłożył ogień, a następnie popełnił samobójstwo.

Ludivine chciała wejść do środka, spróbować chwycić go i wyciągnąć z pożogi, lecz płomienie zachowywały się niczym zazdrosna kochanka, grożąc, że wychłoszczą jej twarz. Segnon odciągnął ją do tyłu.

Nie mogli zrobić nic więcej.

Jedynie kontemplować dzieło diabła.

Migające światła wozów strażackich omiatały ulicę i zgromadzonych gapiów. Rozżarzona mieszczańska rezydencja trzeszczała, wstęgi płomieni frenetycznie wyciągały się przez każdy otwór ku niebu, jakby chciały oddać hołd dziwacznemu, zapomnianemu bóstwu.

Za późno, oznajmił prędko dowódca operacji. Jego ludzie obficie zlali dom wodą, by powstrzymać pożar, ale sam budynek, wraz z całą zawartością, został spisany na straty.

Ludivine stała na ugorze pełniącym funkcję ogrodu, nieco z tyłu, żeby nie zawadzać pracującym strażakom. Zafascynowany Segnon oglądał widowisko z rękami opartymi na biodrach. Guilhem siedział na jakimś pniaku z oszołomioną miną.

– Ocaliłaś mi skórę – powiedział cicho. – Gdybym został na wprost drzwi, zarobiłbym co najmniej pięć albo sześć kulek.

– Miałaś kamizelkę. – Ludivine próbowała dodać mu otuchy.

– Niemniej... Jedno trafienie w gardło albo tętnicę udową i byłoby po mnie.

Ludivine położyła dłoń na jego włosach.

– Więc jesteście kwita?

Guilhem uniósł na nią wzrok, ale nie zdołał się roześmiać.

– Czekaliśmy na nas – stwierdził Segnon tak cicho, że ledwie go usłyszeli.

– W każdym razie był przygotowany. Wiedział, że to się w końcu stanie.

– Miałaś rację. Laurentowi Brachowi powierzono misję rekrutowania zaufanego człowieka, który odwali najważniejszą robotę. I ten człowiek jest tam, właśnie ulatuje z dymem.

– On też wypełniał czyjś rozkaz – wtrącił Guilhem.

– Czemu tak mówisz?

– Strzały. Gdy tylko dowiedział się, że jesteśmy gliniarzami, zaczął walić jak szalony, później przewrócił beczki z benzyną i podłożył ogień, a wreszcie palnął sobie w łeb. Zdarzenia następowały szybko po sobie, bez śladu wahania, zupełnie jakby od dłuższego czasu się do tego szykował. Cierpliwie czekał, aż do niego podejmiemy, rozkaz był jasny: miał za wszelką cenę nas podpalić, jednak przede wszystkim, przede wszystkim nie mógł pozwolić, żebyśmy wzięli go żywcem. Zbyt szybko się pośpieszył.

– Amator – zrozumiał Segnon. – To prawda, że gdyby chciał, gdyby trochę lepiej to zorganizował, powystrzelałby nas jak kaczki.

– Tak. Zrobił wszystko za szybko, bo obsesyjnie pragnął dotrzeć do najważniejszego punktu programu: samobójstwa. Żebyśmy, cokolwiek się wydarzy, nie mogli zmusić go do

gadania.

Segnon głośno wypuścił powietrze, zirytowany i przygnębiony.

– No to mu się udało...

– Chcę, żeby wydobyto ciało i pobrano DNA – ogłosiła Ludivine władczym tonem. – Trzeba znaleźć krewnych Sida Azzeli i wziąć od nich próbki do analizy porównawczej, dzięki temu zyskamy pewność, że to naprawdę on się tam zabił. Przegrzebiemy całe jego życie. Prześledzimy podróże, wydatki. To on na rozkaz Bracha zmontował komórkę. To on jest ostatnim ogniwem, łącznikiem z nimi. Z uwagi na wysokość stawki zabierzemy się do tego już jutro, mniejsza z weekendem. Przykro mi ze względu na wasze rodziny.

W głębi duszy Ludivine nie robiła sobie wielkich nadziei. Wszystko zostało tak starannie przygotowane, że nie wyobrażała sobie, by gdzieś w planie tkwił błąd, należało to jednak sprawdzić. Tylko tyle mogli teraz zrobić.

Segnon skinął ponuro głową, w jego oczach odbijał się żar.

Marc zadzwonił do niej późnym wieczorem, by zapytać, jak się ma. Ludivine od dwóch godzin oglądała filmiki z salaficką propagandą, próbując lepiej zrozumieć tych ludzi, i dłużej już nie mogła, czuła się wykończona. zaproponowała agentowi, żeby wpadł. Trochę rozmawiali, zanim przeszli do sypialni, gdzie kochali się czule. Ludivine obawiała się tej chwili. Mimo że fizycznie nie została zgwałcona, intencje nagiego mężczyzny oraz fakt, że otarła się o śmierć, poskutkowały mentalną blokadą, lękała się więc, że nie znieśe czyjegós dotyku bez drzenia i płaczu. Jej obawy się nie sprawdziły. Wręcz przeciwnie, ku własnemu zaskoczeniu całkiem zapomniała się w ekstazie, jej myśli oderwały się od świata, oddała swoje ciało, a potem znów wzięła je w posiadanie, by w sekrecie przeżyć pierwszy orgazm, niczym galop próbny, a następnie drugi, z Markiem. Słodka, pełna pociechy noc, podczas której od seksualnego żaru przeszli do chłodu zimy, co skłoniło ich, by ciasno się przytulili, złączyli we śnie, wdychali się nawzajem, aż zaczynali odczuwać brak tego drugiego, jego skóry, gdy tylko się odsunął.

Nazajutrz rano Marc przygotowywał kawę w otwartej na salon kuchni, Segnon też tam był.

– Guilhem pojechał do IML nadzorować pobranie próbek DNA od nieboszczyka – oznajmił. – Myślę, że chciał go zobaczyć. Żeby przetrwać swój strach.

– Sam? – zaniepokoiła się Ludivine.

– Towarzyszy mu Magali.

– Znaleźliście coś na miejscu? – zapytał Marc.

– TK właśnie przetrząsają szczątki, Ben i Franck, koledzy z WŚ, są tam z nimi. Jeszcze dziś rano będą wiedział więcej, ale zapowiada się kiepsko, wszystko się sfajczyło.

– Zbadacie otoczenie zmarłego?

– Od tego zaczynamy. W SPIP-ie i biurze pośrednictwa pracy podał numer komórki, przyjrzymy się więc rozmowom, SMS-om i połączeniom internetowym, żeby sprawdzić, czy



coś z tego wyniknie, choć raczej nie ma co marzyć.

– Macie nazwę operatora?

– Jeszcze nie patrzyłem – odparł Segnon. – A co?

– Cóż, miejmy nadzieję, że to jeden z tych, którzy pozwalają nam badać swoje stacje bazowe w celu stwierdzenia, czy dany telefon się z nimi łączył, w ten sposób nawet jeśli gość nigdzie nie dzwonił, poznamy jego geolokalizacje z ostatnich tygodni.

Ludivine przyklasnęła temu pomysłowi, zastrzegła jednak:

– Wszyscy członkowie grupy Fissouma stosowali środki ostrożności, wątpię, żeby ten popełnił błąd.

– Nie szkolił go Fissoum, był kontaktem Bracha. Jego wczorajszy pośpiech świadczy o niezdarności. Tak czy siak, bez odrobiny szczęścia w którymś momencie śledztwa nie damy sobie rady. Zajmę się kwestią telefonu, kiedy wy będziecie w terenie.

Ludivine i Segnon zgodzili się, szybko wypili kawę i ruszyli w drogę pod ołowianym niebem. Jesień zwlekała z przyjściem, ale teraz zdawała się nadrabiać spóźnienie, przynosząc pierwsze oznaki surowej zimy.

Nieco dalej w dół ulicy rozwieszono na drzewach ozdoby świąteczne, co wywołało w Ludivine poczucie presji. Marc bał się, że komórka zaatakuje jeszcze przed Gwiazdką, kobieta uważała jednak, że to właśnie święta byłyby dla terrorystów najpomyślniejszym momentem, niezrównaną furtką do świata symboli. Uderzyć w dzień Bożego Narodzenia. Prosto w serce.

Jeszcze kawałek dalej mury pokryto plakatami wyborczymi, na większości ktoś powypisywał prowokacyjne, rasistowskie slogany.

– To się źle skończy – wymamrotała przybita Ludivine.

– Nie, Lulu, zgarniemy ich, zanim cokolwiek się stanie.

– Nie mówię o tym, tylko o kraju, o świecie.

– Co cię tak naszło?

– Nie widzisz, że można przeprowadzić analogię między dochodzącym do władzy islamizmem a państwami Zachodu zniechęconymi dotychczasową polityką? Spójrz na gości z Daeszu lub podobnych im salafitów, którzy głoszą, że kraje arabsko-muzułmańskie próbowały już wszystkiego, od kolonialnego poddaństwa przez niezależne systemy – demokratyczne, lecz zdeprawowane przez współczesne wartości – aż po reżimy dyktatorskie, i utrzymują, że nic z tego nie zadziało. Jedyne momenty w historii, kiedy ich narody prosperowały, a nawet dominowały nad sporą częścią świata, przypada na okres przestrzegania przez nie podstawowych wartości Koranu, i właśnie dlatego islamiści twierdzą, że wyłącznie ich ustawodawstwo jest wiążące. Kiedy stanowili prawa, w ciągu niespełna dwóch wieków podbili terytoria od Indii aż po Atlantyk. W niespełna dwa stulecia, w epoce, kiedy przemieszczano się konno... O tym przypominają islamscy propagandziści. Ich władza opiera się na Koranie i niczym innym. „Wróćcie do podstaw, a Bóg znów nas

poniesie”. A co w tym samym czasie dzieje się w Europie? Skrajnie prawicowe partie rosną w siłę. I w jaki sposób? Stosując dokładnie tę samą argumentację! Również twierdzą, że próbowaliśmy już wszystkiego i nic się nie sprawdziło, ani lewica, ani prawica, ani nawet centrum, i że nadeszła pora, by odważyć się na prawdziwą zmianę, porzucić lęk przed powrotem do korzeni naszych zachodnich wartości. Tylko jak daleko się w tym posunąć? Przeraza mnie to podobieństwo w braku umiaru, w obu przypadkach strach i frustracja biorą górę nad rozsądkiem. Znaleźliśmy się w miejscu zderzenia dwóch kultur i obie reagują tak samo: zamykając się w sobie. Nasze różnice zamiast wzbogacać, z każdym atakiem nas od siebie oddalają, a nikt nawet nie kiwnie palcem.

– Nieprawda, są ludzie, którzy występują, by mówić o braterstwie, inteligencji, tolerancji, miłości... Spójrz na ogromne manifestacje organizowane po zamachach! Jeżeli to nie jest zbiorowy przekaz...

– Kiedy krajem coś wstrząśnie, zapanowuje poruszenie, ale poczekaj tylko, aż kontrolę znów przejmie codzienność, zobaczysz, co się będzie działo w czasie wyborów... Mówię ci, Segnon, ten świat kompletnie traci orientację. Pada na pysk, bo się boi.

Hebanowy olbrzym pogładził ją po plecach niczym starszy brat.

– Właśnie zniszczyłaś moje morale, dzięki.

Cały dzień stanowił przedłużenie tego przygnębiającego poranka. Był ponury, ciągnął się bez końca i nie przynosił rozstrzygających rezultatów. Odnaleźli ojca Sida Azzeli – matka zmarła lata temu – i oznajmili mu swoje podejrzenie, że jego syn zginął ubiegłej nocy, co jak się zdawało, nie przytłoczyło go ponad miarę. Mężczyźni nie utrzymywali stałego kontaktu, a ojciec przypominał zwarty blok skalny nieprzepuszczający żadnych emocji. Żandarmi za pomocą patyczka do wymazów pobrali próbkę śliny z zamiarem porównania jej z DNA zwęglonych zwłok, po czym, za zgodą mężczyzny, pobieżnie rozejrzeli się po mieszkaniu. Nic nie wskazywało na to, by dzielił je z inną osobą. Następnie skontaktowali się z pozostałą przy życiu czwórką rodzeństwa Azzelów i udało im się spotkać z trojgiem z nich – ci okazali więcej emocji. Ludivine podkreśliła, że na razie tylko domyślają się śmierci ich brata, że nie otrzymali jeszcze potwierdzenia, po czym wraz z Segnonem skorzystała z okazji, by zadać kilka pytań. Żadne z rodzeństwa nie podzielało ekstremistycznych religijnych poglądów Sida, które ten przyswoił sobie podczas pobytu w więzieniu, ale jeden z braci go rozumiał. W ostatnim czasie radził sobie trochę lepiej, znów zaczął nosić ubrania inne niż dżelaba, przejawiał bardziej otwartą postawę, mimo że dla osób, które znały go od urodzenia, wątpliwości nie pozostawiał fakt, że zmagał się z jakimś problemem. Takija, pomyślała Ludivine, sztuka ukrywania się, tyle że Sid nie opanował jej wystarczająco dobrze, by zmylić bliskich. Odkąd wyszedł z więzienia, z żadnym członkiem rodziny nie utrzymywał prawdziwie zażyłych stosunków, zaglądał do nich z uprzejmości, i tyle. Kilka miesięcy temu zamknął się w sobie, źle się czuł we własnej skórze, to aż kłuło w oczy, mimo że chętnie afiszował się ze swoim zachodnim stylem. Nikt nie wiedział, co robić, jak reagować, modlili

się, żeby mu przeszło, a tymczasem sami tkwili w sidłach już i bez tego wyczerpującej codzienności.

Jedna z sióstr nalegała, by żandarmi, opuszczając mieszkanie, zabrali ze sobą zawiniątko z orientalnymi wypiekami, które dla nich przygotowała. Ludivine szykowała się, by zaraz po wyjściu z budynku wyrzucić paczkę, ale Segnon ją powstrzymał.

– No co ty, Lulu, jaja sobie robisz? Kobieta zadała sobie trud, żeby je upiec, nie możesz tego zrobić, to brak szacunku.

– Od kiedy to przyjmujemy prezenty od świadków?

– To nie prezent, lecz przejaw gościnności, jest szczodra, i tyle. Wszyscy Marokańczycy tacy są, nie wyjdiesz od nich z pustym brzuchem! – dowcipkował mężczyzna.

– A jeśli świetnie ukrywa swoje prawdziwe zamiary? Jeśli też się radykalizowała i za cel postawiła sobie zabicie gliny? Kto mi zagwarantuje, że nie zatrąła tych ciastek, zanim nam je dała?

– Wyłazi z ciebie paranoiczka. Jej dzieciaki jadły je przy nas. No już, dawaj to, umieram z głodu, przypominam ci, że nie jedliśmy obiadu.

Ludivine z węzłem w żołądku patrzyła, jak Segnon delectuje się łakociami. Dalsze śledztwo prowadzili w drażliwym milczeniu.

Sid rzadko widywał się z dawnymi przyjaciółmi z dzielnicy, tymi, z którymi trzymał przed odsiadką za handel narkotykami. Im także złożył tylko parę kurtuazyjnych wizyt, poza tym większość z nich i tak nie należała do gatunku ludzi chętnie współpracujących z siłami porządkowymi.

Zbadanie otoczenia Sida Azzeli nic śledczym nie dało.

Kiedy pod koniec dnia wrócili do koszar, pułkownik Jihan polecił im wziąć wolną niedzielę na złapanie oddechu. Kręcili się w kółko. Musieli choć trochę odsapnąć i wrócić ze świeżym spojrzeniem.

Tego wieczoru Segnon i Laëtitia zorganizowali u siebie improwizowaną kolację, naciskając, by Ludivine przyprowadziła Marca. Guilhem przyszedł z Maud i wszyscy pili, siedząc wokół kamiennej płyty elektrycznego grilla i czekając na Marca, który dołączył do nich dopiero w połowie posiłku, zmieszany. DGSi nie zanieczywało żadnego tropu – nie chciał jednak powiedzieć nic więcej.

Spokojna niedziela, rano targ w Pantin, obiad złożony ze świeżych warzyw, później relaks przed kominkiem, wśród książek, muzyki i oczekiwania, gdyż Marc w środku popołudnia otrzymał jakąś wiadomość i musiał jechać do Levallois, ale obiecał Ludivine, że będzie na bieżąco ją informował.

Wrócił wczesnym wieczorem z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Agencja musiała zwolnić ostatnich spośród podejrzanych, przeciwko którym nie znaleziono żadnych dowodów, upłynęło bowiem sześć dni aresztu dopuszczalnych w sytuacji wzmożonego zagrożenia zamachem.

– Mogę ci zadać durne pytanie? – zagadnęła Ludivine.

– Wal.

– Czy francuskie tajne służby stosują czasem tortury?

– Żartujesz? To nie film! Oczywiście, że nie. Nie mówię, że DGSI od czasu do czasu nie traktuje swoich klientów nieco szorstko, nieraz posuwamy się jeszcze dalej, żeby padł na nich blady strach, ale na tym koniec.

– Nawet gdy w grę wchodzi życie setek obywateli?

– Tak czy siak, tortury nic nie dają. Absolutnie nic. Człowiek w szponach bólu powie wszystko, co chcesz usłyszeć, w razie potrzeby posunie się do kłamstwa, byle tylko męczarnie dobiegły końca. A poza tym... żadni z nas psychopaci – dodał. – Jestem gliną, jak ty, szkolonym do tajnych zadań z zakresu obrony narodowej, ale poza tym niczym się od ciebie nie różnię. Nie musisz sobie wyobrażać całego mnóstwa ponurych scenariuszy, to wszystko domena fikcji.

Ludivine odzyskała wiarę w Marca i swój kraj. Nie chciała, by mózg podsuwał jej myśli, że być może agent chwilami staje się całkiem obcą osobą, oderwaną od swojego człowieczeństwa. Nie on.

Tymczasem nie mieli nic.

Pytanie, które unosiło się w korytarzach Levallois, prześladując pracowników, brzmiało następująco: czy powinni rozpowszechnić portrety Abła Frémonta i Moussy Bakraniego, podając sprawę do wiadomości publicznej i ryzykując, że terroryści przyśpieszą atak, jeśli poczują się przyparci do muru, czy też kontynuować dyskretne dochodzenie w nadziei, że uda się zacisnąć imadło, zanim ci się przygotują?

Postanowiono postawić na opcję z zachowaniem sekretu jeszcze przez kilka dni. Ta decyzja musiała się opłacić, w taki czy inny sposób.

Ludivine z trudem zapadła w sen. Nie potrafiła się wyłączyć. Jak tu się rozluźnić, kiedy człowiek wie, że jacyś mężczyźni szykują się, by zabijać i siać postrach, i że życie ludzi trwa w zawieszeniu, a wszystko zależy od tego, która ze stron popełni błąd?

Obudził ją telefon Marca, zerwała się gwałtownie.

DGSI.

*Czy oni tam nigdy nie śpią?* pomyślała markotnie.

Marc słuchał, po czym rozłączył się bez słowa, małomówny jak zwykle.

Ale za to wstał.

– Ubieraj się – rzucił. – Coś się stało.

Ta sama bezosobowa sala konferencyjna, ten sam zmęczony duet.

Informatyk z DGSI, podobnie jak przed dwoma dniami, podłączył komputer do ekranów na ścianach i wyświetlił na nich mapę Paryża oraz szeroko pojętej okolicy.

Odezwał się analityk, mówił schrypniętym głosem zdradzającym wyczerpanie:

– Oto dane z telefonu Sida Azzeli. Pierwszy filtr pokazuje punkty, w których znajdował się, gdy wykonywał lub odbierał połączenie, wysyłał lub dostawał SMS-a. – Gestem kazał koledze przejść dalej i na ekranie pojawiły się kropki w innym kolorze, a następnie strzałki łączące je tak, że powstały spójne trasy, całe dziesiątki, później setki. Z każdą kolejną linią na liczniku zmieniały się daty i godziny, wskazując, że program przyspiesza czas, by zanalizować wszystkie zgromadzone dane. – Tutaj mamy jego podróże. Każdy punkt to stacja bazowa operatora telefonicznego, z którą łączyła się jego komórka. To nie rozmowy, lecz ruchy aparatu. Zakładamy, ma się rozumieć, że to podejrzany nosił go przy sobie.

Słuchając takiego samego wyводу, jak w przypadku Anthony’ego Brissona, Ludivine doznała poczucia *déjà vu* i uświadomiła sobie, w jakim stopniu życie zależy od technologii. Komórka nie była już opcjonalnym, pomocnym urządzeniem, lecz kluczem do stałego dostępu do wirtualnego świata istniejącego równoległe z naszym, świata Internetu, maili, mediów społecznościowych, w niedługim czasie stała się tak niezastąpiona i naturalna jak cień rzucany przez każdego z nas. Kobieta od razu uznała, że to wymowna analogia. Czy to znaczy, że temu, czym dla życia jest światło, w rzeczywistości wirtualnej odpowiada mrok? Dziwnie było jednak zdać sobie sprawę, jak bardzo wszyscy uzależnili się od telefonów. Nawet przestępcy. Brak komórki, fakt, że ktoś nie jest stale dostępny, zdawały się niemal podejrzane, stanowiły dowód jego niecných zamiarów.

– Czy Sid zbliżył się do miejsc lub osób, które wzięliśmy pod lupę? – zapytał Marc.

– Na razie niezbyt wiemy, co robił, poza tym że dużo krążył, jak sami możecie zauważyć. Nawet bardzo dużo. Sprawdzanie tego wszystkiego to istny koszmar. Czyżby prowadził obserwację? Zamierzamy sporządzić wykaz wszystkich podróży i skorelować je z czasem spędzonym w każdym z miejsc, żeby sprawdzić, czy nie kryją się wśród nich potencjalnie interesujące cele lub kryjówki. Ale to herkulesowa praca.

Wtrącił się informatyk:

– Naszą uwagę zwróciły dwa przypadki przerwania sygnału, tu i... tutaj. W kilkudniowym odstępie, w dwóch różnych miejscach, za pierwszym razem w dziewięćdziesiątym trzecim departamencie, a za drugim niedaleko Roissy.

– Lotnisko? – spytała Ludivine.

To jej wyglądało na świetny cel dla grupy terrorystycznej.

– Blisko. Zrobiliśmy zoom i, jak zaraz zobaczycie, udało nam się ustalić, że chodzi o centrum handlowe w Aéroville.

Kolejny prawdopodobny obiekt.

– To przerwanie sygnału, co ono właściwie oznacza? – dociekała. – Że wyłączył telefon?

– Tak. W obu przypadkach straciliśmy go na nieco ponad godzinę.

– Może dwukrotnie rozładowała mu się bateria.

– Możliwe, ale naszym obowiązkiem jest upewnienie się, że nie odciął sygnału ze względów bezpieczeństwa.

– Skąd wiecie, że w tym czasie zatrzymał się tam, a nie poszedł gdzieś dalej?

– Dzięki obrazom.

Mężczyzna zastukał w klawiaturę komputera i na ekranie pojawiły się równocześnie nagrania z czterech różnych kamer. Analityk przejął pałeczkę:

– Określiliśmy promień okręgu, po którym mógł się poruszać w okresie swojej cyfrowej niewidzialności. Uzbrojeni w tę wiedzę, wysłaliśmy w teren ekipy, które miały za zadanie zlokalizować wszystkie kamery monitoringu i zdobyć nagrania. Od miasta, z banków, sklepów i tak dalej. Przeszukaliśmy je wszystkie. Skupiliśmy się na wiadomych widełkach czasowych w obu interesujących nas dniach, stopniowo je rozszerzając.

– Wiecie, co robił? Macie go na filmie? – zapytała podekscytowana Ludivine.

– Niestety nie. Prawdopodobnie udał się w z góry upatrzone miejsce niewyposażone w kamerę. Jednak spośród tej masy danych udało nam się wyłowić pewien zbieg okoliczności. A wie pani, nie lubimy tu zbiegów okoliczności.

– To znaczy?

Informatyk załadował rzeczony nagrania. Wyświetliły się widoki ulic, jak zwykle źle wykadrowane, z założenia średniej jakości – ponieważ kamery musiały przechowywać dane z setek godzin, na twardych dyskach nie mieściły się filmy w wysokiej rozdzielczości, które jak mawiali informatycy, zdecydowanie za dużo ważyły.

– Tutaj!

Wideo znieruchomiało na ujęciu małego miejskiego samochodu w kolorze szarym. Drugie nadal odtwarzało się z boku, aż w końcu także się zatrzymało, ukazując ten sam pojazd w innej scenerii, wyjeżdżający z parkingu.

– Pierwsza klatka pochodzi z sektora, w którym po raz pierwszy zgubiliśmy sygnał z telefonu Sida Azzeli, z dziewięćdziesiątego trzeciego departamentu. A druga...

– Z nagrania wykonanego kilka dni później, kiedy pojechał w stronę Roissy – zrozumiała Ludivine. – Ten sam wóz.

– Właśnie. Ale to nie on.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że osoba, która nie ma nic wspólnego z naszymi

terrorystami, krążyła w pobliżu Sida Azzeli dwa razy, w dwóch różnych rejonach?

– Jakież istnieje, ale pozostaje niewielkie.

– A sprawdziliście, czy Azzela nie znajdował się pod nadzorem policyjnym? Jeśli tak, to może śledzili go gliniarze z narkotykowego!

– Sprawdziliśmy, to nie oni.

Ludivine zatarła ręce. Jak na ironię, Sid Azzela doprowadził ich do tego, czego mieli nie oglądać, właśnie dzięki temu, że nie chciał zostawić żadnych śladów.

– Kiedy gość wyjeżdża z parkingu, nie widać jego gęby, chowa się, macie coś lepszego?

– Nie, sprytny jest, wiecznie niewidzialny.

– A czy na którymś z kadrów widać numer rejestracyjny? – zapytała, nagle zdjęta wątpliwością. Zdawało jej się, że tablice są zagraniczne.

– Nie w stu procentach, bo jest upakowany błotem. Sądzymy, że facet zrobił to celowo. Ale za pomocą odpowiednio przystosowanego programu udało nam się go powiększyć i uzupełnić część brakujących danych. Żeby była jasność: to nie działa tak jak w filmach, ale tyle wystarczyło, byśmy wyrobili sobie jakiś pogląd w tej sprawie, zakładając dość niski margines błędu. Przy najbardziej nieczytelnych fragmentach wzięliśmy pod uwagę wszystkie możliwości, co ostatecznie dało nam trzydzieści siedem potencjalnych numerów. Wrzuciliśmy wszystkie do systemu, a ten przemielił je i wypluł właściwy.

– I co? – rzucił niecierpliwie Marc.

– Należy do włoskiej wypożyczalni w Bari.

To TZ. Terrorysta Zero. Lider, ognisko. Nie mogło chodzić o nikogo innego. Bari to port w południowych Włoszech, punkt tranzytowy, port handlowy. Idealne miejsce, by wylądować po przeprawie z Turcji, Egiptu, a nawet Libii. Znaleźli szefa komórki, który przekazał ostatnie instrukcje Sidowi Azzeli, to on prowadził szare autko.

– Dobra robota, panowie – pogratulował im Marc.

– My nadzorowaliśmy operację, ale to członkowie zespołu Mickaëla nie pozwolili, by cokolwiek im umknęło. Wszyscy siedzieli tu non stop od wczorajszego ranka.

– Macie kontakty wśród tamtejszych gliniarzy? – spytała Ludivine, która nie mogła usiedzieć w miejscu.

– Wszystko już załatwione. Wiecie, dużo się narzeka na współpracę europejskich służb wywiadowczych, ale czasem działa to szybko i sprawnie. Czasem. Pracownika, który był wtedy na miejscu, jeszcze tego samego popołudnia wyciągnięto z domu, żeby odpowiedział na nasze pytania. Przesłano nam też kopię prawa jazdy użytego podczas wynajmu.

– Macie jego twarz?

Ludivine domyślała się, że równie przewidujący i ostrożny człowiek posłużył się fałszywym dokumentem, że nazwisko donikąd ich nie zaprowadzi, za to zdjęcie mogło okazać się cenną wskazówką na drodze do jego identyfikacji. Lekkim popchnięciem, którego potrzebowali.

– Pracownik próbuje pomóc w sporządzeniu portretu pamięciowego, ale prawie wszystkie szczegóły wyleciały mu z głowy, a kamera w lokalu wyraźnie na nic się nie zdała, mężczyzna zatroszczył się, by zawsze stać do niej tyłem albo poza jej zasięgiem.

– Dobra, ale co z kserokopią prawa jazdy, co nam daje?

– Należy do kobiety.

– TZ jest kobietą?

– Dokument wystawiono na jakąś laskę z Serbii, po weryfikacji okazał się fałszywy. Ale pracownik oświadczył stanowczo, że rozmawiał z mężczyzną. Mgliście przypomina sobie, że gość się śpieszył, że jego żona załatwiła sprawę zagubionej walizki i była w bardzo złym humorze, dlatego nie mogła od razu do nich dołączyć. Pracownik mimo to przygotował papiery, a ponieważ kobieta nie nadchodziła, wobec zniechęcenia klienta i braku czasu wręczył mu kluczyki.

– Kurwa... – rzuciła Ludivine, chowając twarz w dłoniach.

– Otóż to. Facet omotał go, zagrywając kartą przyciśniętego męża, męskiej solidarności i tak dalej. Dobry jest.

– To on, bez cienia wątpliwości – podsumowała Ludivine. – Ktoś tak zręczny to musi być on, TZ. Czyli nie mamy nic?

– W kwestii jego tożsamości? Nawet załączka tropu, poza tym, że na pierwszy rzut oka zeznanie świadka pasuje do ogólnego rysopisu, który już opracowaliśmy. Wzrost, inne cechy zewnętrzne. Pracownikowi wydaje się, że gość był śniady, w typie śródziemnomorskim, może bliskowschodnim.

– Za wynajem musiał zapłacić kartą, prawda?

– Tak, ale ta jest powiązana z zagranicznym kontem, w Sierra Leone. Dogrzebanie się do konkretów będzie mordęgą, a zważywszy na profesjonalizm tego dżentelmena, wszystkie dane właściciela okażą się pewnie zmyślane, lecz i tak się tym zajmujemy. Niczego nie zaniedbamy.

– A wóz, wiemy, co się z nim stało? – spytał Marc.

– Oddano go zaledwie tydzień temu, w biurze na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Kluczyki zostawiono w skrzynce bez podpisywania formularza zwrotu.

– Zeznania świadków, kamery, co tam mamy?

– Sześciu naszych ludzi właśnie dotarło na miejsce, spróbują dowiedzieć się czegoś więcej, ale dotąd facet wykazywał się ostrożnością, zakładam, że nic nie znajdą. Na pewno starannie wyczyścił wnętrze, a auto wypożyczono już kolejnej osobie.

– Trzeba sprawdzić wszystkie taksówki krążące tamtego dnia w tej strefie. Musiał jakoś wrócić.

– Już nad tym ślęczymy. A także nad monitoringiem w środkach transportu publicznego, tyle że nie bardzo wiemy, kogo szukać, ledwie widocznych typów w czapkach z daszkiem nie brakuje, poza tym powiem wam jedno: jest tak chytry, że pewnie znów zmienił ubranie.



Na każdym kroku robi nas w wała.

– A co z wynajętym samochodem w okresie, kiedy nim jeździł, dokąd może nas to zaprowadzić?

– Czekam na informację z wypożyczalni, wszystkie swoje auta wyposażają w nadajnik GPS.

– TZ go zniszczył, nie róbmy sobie złudnych nadziei.

– Sprawdzimy punkty poboru opłat drogowych – oznajmił analityk – kamery na autostradach i całą resztę, ale to niekończący się burdel na kółkach, a na razie musimy działać trochę na czuja, więc długo to potrwa. Bardzo długo.

Informatyk uzupełnił:

– Ja zaangażuję w sprawę służby celne, w związku z ekopodatkiem.

Marc zwrócił się do Ludivine, żeby wyjaśnić:

– Pamiętasz ekobramki, które zamontowano na drogach w całej Francji?

– To fiasko? Kierowcy protestowali i rząd się wycofał, prawda? Teraz te konstrukcje chyba do niczego nie służą?

– Z założenia miały automatycznie fotografować tablice rejestracyjne ciężarówek, żeby można było prześledzić ich trasę i obliczyć należną kwotę podatku. Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego większości nie rozebrano?

– Wy? – zdziwiła się kobieta.

– Prawdę mówiąc, głównie celnicy. Nadzorują ciężarówki z podejrzanym ładunkiem. Analizują pokonane odcinki, sprawdzają, czy wszystko jest na swoim miejscu. Na terenie kraju zostało około stu siedemdziesięciu bramek, wystarczyły drobne przeróbki techniczne, by zaadaptować je do nowych celów.

Informatyk podjął:

– Przekażemy im numer rejestracyjny, a oni zweryfikują, czy bramki przydybały auto gdzieś na naszych drogach. To z informatyzowany proces, będzie szybciej, niż gdybyśmy musieli przejrzeć tysiące godzin nagrań.

– Kiedy możemy liczyć na odpowiedź? – spytała Ludivine.

– Nawet my nie zdziałamy cudów o pierwszej w nocy w niedzielę. Ale szybko, to pewne.

Ludivine pomasaowała skórę głowy, z zamkniętymi oczami odchyliła się w tył na fotelu.

Zbliżali się do niego. Krok po kroku.

Deptali mu po piętach. Nareszcie – może jednak nie był aż tak nieomylny. To niemożliwe. Samotny człowiek przeciwko wszystkim środkom, jakimi dysponowało państwo. Nie mógł trzymać się wiecznie.

Jeszcze odrobina czasu i go dorwą, była o tym przekonana.

Jeszcze trochę czasu.

Najcenniejszego dobra, od którego zależało tyle ludzkich istnień.

*Sekret powodzenia tkwił w zaprowadzeniu ścisłych podziałów. Należało odseparować od siebie poszczególnych agentów, ale też miejsca.*

*Dżin dysponował swoją bazą, służami i drugą kryjówką. Służa stanowiła obowiązkowy rytuał. Zawsze. Jeżeli musiał opuścić wiejski dom, jego trasa za każdym razem wiodła przez służę. Ta przybierała zwykle postać parkingu z dwoma wjazdami. Sporządził całą ich listę uporządkowaną według stref, do których z konieczności się wyprawiał. Wjeżdżał na parking i szybko opuszczał go z przeciwnej strony, po czym zerkał, jakie auta wyjeżdżają za nim. W ten sposób upewniał się, że żadne z nich go nie śledzi. Gdyby chciał rozegrać sprawę jak należy, w każdej służbie czekałby na niego drugi wóz, co pozwoliłoby mu zmylić trop, nie miał jednak czasu na zakup kilku pojazdów bez pozostawiania śladów ani na rozmieszczanie ich po okolicy. Wiązałoby się to z ryzykiem, na jakie nie śmiał narażać siebie ani operacji, wystarczał mu więc sam wybieg. Jego ekipa postępowała podobnie. Baza i druga kryjówka.*

*Zbliżał się ostateczny termin i Dżin postanowił, że nadszedł czas, by ta kryjówka posłużyła za magazyn.*

*Toczył się przez dwie godziny, a następnie skręcił w małą uliczkę na północnym przedmieściu, gdzie miało się odbyć spotkanie. Był to czwarty i ostatni raz, kiedy się tu zjawiał. Nie podobała mu się ta powtarzalność, a jeszcze mniej – osobisty kontakt, nie miał jednak wyboru. On posiadał środki i możliwości niezbędne do wyprodukowania bomb bez zwracania na siebie uwagi, natomiast głównym zadaniem jego ludzi było nieistnienie, unikanie radarów, tak by w wybranym momencie cieszyli się swobodą działania. Tu też obowiązywał ścisły podział. Każdy odgrywał swoją rolę.*

*Musieli się jednak spotkać, by następnie przejść do etapu dostawy. Nawet nie myślał o pośredniku, zatrudnił już wystarczająco wielu, a tym razem zadanie było zbyt ważne, by powierzyć je komukolwiek innemu. Tak czy siak, Dżin ocenił, że mają obecnie tak dużą przewagę, iż wrogowie nie zdołają ich powstrzymać. Nikt nie wiedział, kim jest ani gdzie zaszyła się jego ekipa. Na wszelki wypadek zamierzał zdwoić czujność i uciec się do drastycznych środków. Wkraczał w ostatnią fazę planu, musiał się przygotować.*

*Zaparkował furgonetkę na wolnym miejscu oddalonym o niespełna dwadzieścia metrów od przesuwnej bramy dawnego warsztatu samochodowego. Mieli sporo do wyładowania, lepiej więc, by nie musieli daleko chodzić. Wiedział, że wewnątrz budynku jest już mocno zagrożone, furgonetka by się tam nie zmieściła.*

*Trzej chłopcy wyszli ze środka, gdy tylko zaanonsował swoje przybycie, byli gotowi.*

Z tyłu mocno obciążonego pojazdu znaleźli ściśnięte stosy kartonowych pudeł. Wszystkie ręcznie ponumerowano. Kolejny środek ostrożności podjęty przez Dżina: po dostawie należało je przeliczyć, by zyskać pewność, że żadne się nie zawieruszyło. Markerem wypisano na nich dobrze widoczne słowa, takie jak „kuchnia”, „sypialnia” czy „salon”, żeby usprawiedliwić to kursowanie tam i z powrotem w oczach przechodniów, którzy przypadkiem staną się świadkami tej sceny. Nie było nic zwyczajniejszego niż grupka chłopaków uwijających się przy przeprowadzce.

Zabrali się do dzieła z werwą, bez słowa, i skończyli w niespełną godzinę. Spocili się, każdy karton zawierał kilka kilogramów wybuchowej masy.

Abel zamknął długą żelazną bramę na szynach, odcinając ich od świata.

– Teraz macie tu wszystkie materiały wybuchowe, a detonatory dostarczyłem wam już wcześniej – przypomniał Dżin. – To ten estafette?

Biała furgonetka stojąca obok rdzewiejącego bmw z napędem na cztery koła zajmowała sporą część małego warsztatu.

– Tak – odparł Moussa. – Kamizelki i sprzęt do robót publicznych są w środku. Powinno nam się udać rozmieścić wszystko w ciągu czterech wypadów.

– Abu Youssef gotowy? – spytał Dżin.

– Marco? Zrobił wszystko tak, jak pan sobie życzył. Zanim go zatrudnili, minęło osiem miesięcy, ale teraz jest dobrze, harował jak wół, pokazał, co potrafi.

– Zyskał zaufanie pracodawców?

– Ogromne. Pił z nimi, żeby poczuli się przy nim swobodnie. Są na dobrej stopie, zwierzchnicy niczego się nie domyślają.

– A rekonesans?

– Wszystko w porządku, mówię panu. Zajął się tym, a my przekazaliśmy mu instrukcje, mamy wszystkie manele, dziś po południu bierzemy się do roboty. Skołowaliśmy stroje, znaki, wszystko, co trzeba, by postawić zastłonę dymną. Marco, przepraszam, Abu Youssef przekazał nam zlecenia napraw, to powinno załatwić sprawę w przypadku kontroli, chociaż normalnie się nie zdarzają, bo gliny mają co innego na głowie i nie tracą czasu na nadzorowanie robót drogowych. Przystosowaliśmy furgonetkę, w podłodze ma zamontowaną przesuwaną klapę, wystarczy, że zaparkujemy nad studzienką kanalizacyjną, wiemy, które są niezaplombowane i którędy iść. Zejdziemy, utworzymy łańcuch i założymy ładunki.

Dżin był zadowolony z dyscypliny, z jaką przyswoili sobie najdrobniejsze szczegóły planu, chciał jednak, żeby wspólnie powtórzyli każdy etap, wolał się upewnić, że nie dojdzie do żadnych przeoczeń. W tak skomplikowanej operacji wszystko miało znaczenie.

– Nie zapomnijcie zostawić na wierzchu kartonów nasączonych amoniakiem – nalegał. – Psy do wykrywania materiałów wybuchowych nie odróżnią ich woni od smrodu ścieków.

– Taaa, wiemy. Później sfajczymy furgonetkę na jakimś polu z dala od Paryża, żeby nie zostawić żadnych śladów. I na tym z naszej strony koniec. Pozostanie już tylko prosić

Allacha, żeby się udało.

– O to się nie martw. Francuzi są aż nadto przewidywalni. Zrobią dokładnie to, czego się po nich spodziewamy. Daliście Abu Youssefowi broń, żeby mógł postąpić jak należy, jeśli go przyuważą?

– Tak, załatwione, żywcem go nie wezmą.

– A wy?

– Wszyscy mamy po jednej sztuce. Ahmed zwrócił się do znajomego, a ten skombinował nam spluwy i amunicję, pochodzą z Bałkanów. To doświadczony handlarz, oferuje dobry towar.

– Kiedy wam je dostarczono?

– Pół roku temu, zgodnie z ustaleniami.

– Dobrze. Gdyby w tamtym czasie namierzyła was policja, dziś już by was tu nie było.

Abel przed zabraniem głosu podniósł rękę, jak w szkole.

– Yyy... Czy to pewne, że pójdziemy do raju? Bo wydawało mi się, że Koran zabrania samobójstwa.

– Koran nie wspomina o samobójstwie, czynią to hadisy, ale ty się nie zabijesz, tylko umrzesz dla Allacha, zabierając ze sobą wielu kuffar, zostaniesz więc szahidem, a jak wiesz, na męczenników czekają w raju siedemdziesiąt dwie dziewice. „Ktokolwiek wejdzie do raju, za żadne skarby nie zechce wrócić na ziemię, z wyjątkiem męczennika, ten bowiem zapragnie wrócić na świat i dziesięć razy zginąć za wielki honor, jakiego dostąpił”. Twoje życie tutaj to test, jedynie śmierć będzie wieczna i wspaniała – dla tych, którzy na to zasłużyli. Po co czekać i dalej grzeszyć, ryzykując, że zostanie się skazanym na piekło, podczas gdy można otworzyć sobie bramy nieskończonej rozkoszy? Zrobisz to dla siebie, dla ummy, dla braci muzułmanów, żeby ocalić nasze dzieci przed uciskiem Zachodu, który wypełnia dzieło szejtana, aby któregoś dnia prawo islamiczne zaczęło obowiązywać tak, jak trzeba, jak napisano. Zrobisz to dla Boga. Tutejsi niewierni nazwą was „terrorystami”, „radykałami”, ale w rzeczywistości jesteście ludźmi uprzywilejowanymi, dostrzeżliście bowiem, w jakim stanie znalazł się nasz świat, i okazując posłuszeństwo jednemu istniejącemu prawu, zasadom szariatu, zostaliście mudżahedinami. Bądźcie dumni z tego zaszczytu, wykorzystajcie swoją szansę, robiąc ten ostatni krok. Dzięki temu zdacie test, jakim jest wasza ziemską wędrówka, i zapewnicie sobie wieczną nagrodę u Allacha. Dowiedźcie, że podczas gdy niewierni kochają życie, my kochamy śmierć.

Abel wyglądał na uspokojonego, przytaknął energicznie, potem jednak do głowy wpadło mu kolejne pytanie:

– A... tak się zastanawiałem... gdzie pan właściwie będzie? Mam na myśli: kiedy my wyruszymy.

– Podczas gdy wy, rycerze Allacha, będziecie siać strach, który sparaliżuje ciała i umysły niewiernych, ja zabawię się w łucznika wypuszczającego strzałę prosto w serce wroga.

*Razem, bracia, powalimy ich na kolana.*

*Moussa żywiłowo pokiwał głową. Abel zdawał się nieco bardziej sceptyczny. Kilkakrotnie zacisnął wargi, pełen wahania.*

*– Myśli pan, że to zadziała? – odważył się w końcu.*

*Dżin obdarzył go swoim wężowym uśmiechem, pochlebczym i hipnotyzującym.*

*– Oczywiście, przyjacielu. Nie tylko odniesiemy bardziej spektakularny sukces niż wielu naszych poprzedników, ale też przetrzemy szlak setkom innych. To akcja na wielką skalę, jakiej trzeba, by utrwalić obecną dynamikę. Był jedenasty września, będziemy my. Wzory, źródła inspiracji, więcej: coś, co koniecznie musi się zdarzyć, by pchnąć do działania rzesze niezdecydowanych. Ta złożona, symboliczna operacja zaowocuje setkami „samotnych wilków”, jak ich nazywają, które liczebnością i powtarzalnością ataków wzbudzą nieustanny strach. Czeka nas za to wieczna chwała.*

*Chłopcy objęli się za ramiona, zelektryzowani słowami i tonem Dżina, który obserwował ich z uśmiechem w kąciку ust. Potem Moussa wskazał skraj warsztatu.*

*– Bylibyśmy dumni, mogąc się z panem pomodlić.*

*Dżin sprawdził godzinę. Spędził tu już zbyt wiele czasu jak na swój gust, ale młodzieniec nalegał. To ostatni raz, kiedy widzą się na tym świecie, więc się zgodził. Poza tym była to okazja, by podziękować Bogu za Jego miłosierdzie i przysiąc, że wkrótce wszyscy staną u Jego boku.*

*Uczczą Jego imię i Jego chwałę zgłoskami wypisanymi krwią.*

*A imię Boga jest tak piękne, że w całym kraju nie znajdzie się jej dosyć.*

Noc dręczyła Ludivine, wrywając jej z rąk nitkę snu, gdy tylko próbowała ją chwycić. Prześlizgiwała jej się między palcami i kobieta mogła jedynie pędzić w myślach, usiłując ponownie ją złapać.

Mijały godziny, aż zaczęła zauważać pierwsze, powoli zarysowujące się oznaki świtu. Czuwała całą noc.

*A noc była wyjątkowo czarna.*

Od czarnych myśli.

– Nie możesz spać? – szepnął Marc z otwartymi oczami.

– Przepraszam, za bardzo się wiercę?

Ściągnął wargi, by dać do zrozumienia, że to w ogóle nieistotne.

– Nie sędzę, żebym była w stanie wykonywać twój zawód – wyznała cicho. – Ta nieustanna presja...

– Człowiek w końcu się do niej przyzwyczaja.

– No nie wiem... To poczucie winy, gdy tylko pozwalam sobie na odpoczynek, to jak wyścig z samą sobą... Jeśli ci szaleńcy przejdą do działania i będą ofiary śmiertelne, nigdy sobie nie wybaczę.

– Tropiłaś już w swojej karierze potwory, które zabijały, podczas gdy ich szukałaś. Radziłaś sobie z tym. To nie twoja wina i choć możesz wyrzucać sobie, że nie postępowałaś wystarczająco szybko, by w porę powstrzymać tych drani, to przynajmniej ich ścigasz i któregoś dnia aresztujesz. Zdarza mi się rozmyślać o ludziach, których nie zdołałem ocalić, i w tych ponurych chwilach próbuję wyobrazić sobie wszystkich tych, których jednak uratowaliśmy. To trudne. Ale taka moja rola. Potrzeba osób takich jak ty i ja, by chroniły społeczeństwo.

Ludivine wiedziała, że Marc ma rację. Sama postrzegала siebie jako wartowniczkę, czuwającą i wypatrującą zła, podczas gdy ogół śmiertelników rozwijał motek dni, w ogóle nie dostrzegając monstrów czyhających na granicy cienia.

Przewróciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit.

– Wolę moich świrów od twoich. Lepiej ich rozumiem.

– Większość terrorystów to wcale nie wariaci, co czyni ich o wiele bardziej przerażającymi. To drobni kryminaliści, ludzie złamani, zmanipulowani, sfrustrowani, przekonani, ale nie chorzy. Mają swój sztab generalny, plan obejmujący więcej niż tylko poszczególne akcje terrorystyczne, wizję całości, strategię.

– Mówisz o tym jak o wojnie.

– Za kilka dziesięcioleci podręczniki historii będą uczyły, że trzecia wojna światowa rozpoczęła się jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku.

– Trzecia wojna światowa? Poważnie? Naprawdę tak myślisz?

– Przybrała inną formę niż te, które znamy, a jednak to wojna. Ze strefami starć zbrojnych: w Iraku, Syrii, Mali, Somalii, Jemenie... Ale też z atakami przeprowadzanymi na pozornie neutralnych terenach: we Francji, w Belgii, Hiszpanii, Stanach Zjednoczonych, Libii, Indonezji, Afganistanie, Pakistanie i tak dalej. Żyjemy w stanie permanentnego obłąkania, lecz przyzwyczailiśmy się do tego. Wojsko patroluje nasze ulice, dworce, nadzoruje szkoły, jesteśmy obszukiwani, gdy tylko chcemy się gdzieś zgromadzić, ale w naszych oczach stało się to niemal normą. Wiemy, że w każdej chwili coś może pierdyknąć, zagrożenie jest wszechobecne, myślimy o nim w metrze, podczas uroczystości publicznych, w pociągach, sklepach. Z początku towarzyszyła nam trwoga, która u większości rodziła się gdzieś w trzewiach, ale później się przystosowaliśmy, dokładnie tak jak ludzie na obszarach objętych konfliktem. Jakoś z tym żyjemy. Człowiek posiada zdumiewające zdolności adaptacyjne, zniesie wszystko. Nasze życie to życie w świecie ogarniętym wojną. Podobnie sprawa ma się z terminologią, której używamy. Nawet terroryści mówią o sobie, że są członkami ruchu oporu wobec zachodniej okupacji...

– Tak, ale żeby zaraz rozprawiać o wojnie światowej, mimo wszystko...

– Do naszych przeciwników należą w tej chwili Państwo Islamskie w Syrii i Iraku, ale też Boko Haram w środkowej Afryce czy szebabowie na Półwyspie Somalijskim, a także AQIM w Maghrebie. Są również talibowie, o których mniej się teraz słyszy, oni jednak wciąż siedzą na granicy Afganistanu z Pakistanem, jest Emirat Kaukaski koło Rosji, Grupa Abu Sajjafa w Azji i tak dalej... Utworzyły się różne islamskie państewka, to setki tysięcy uzbrojonych mężczyzn i kobiet rozsianych po niemal całym globie. Natomiast stawiająca im czoła koalicja skupia około sześćdziesięciu krajów, które walczą już od lat, a końca nie widać. Kiedyś GIA, później Al-Kaida, dziś Daesz, a jutro jeszcze coś innego, nazwy się zmieniają, lecz ideologia pozostaje. Wybacz, ale ja to nazywam światowym konfliktem, w którym używa się broni, a cywile giną po każdej ze stron. Kto wie, do czego ostatecznie nas to doprowadzi.

Ludivine kontemplowała płamę na suficie. Słuchała słów towarzysza, który mówił niskim głosem, i im usilniej wpatrywała się w płamę, tym bardziej wydawało jej się, że kolonizuje ona całe jej pole widzenia. Do momentu, aż na białym przeciw suficie nie dostrzegła już nic innego.

– Sądzisz, że się rozprzestrzenia? – spytała cicho.

– Nie wiem. Bo nawet gdyby udało nam się rozwiązać lokalny problem na drodze militarnej, co wcale nie jest takie proste, trwający konflikt już pozwolił zjednoczyć się tysiącom dżihadystów z całego świata. Nawet jeśli dojdzie do rozbicia Daeszu i jego

sprzymierzeńców, nie będzie to, rzecz jasna, oznaczało, że wszyscy ci ludzie zginą. A ocalali, z których część powróci do ojczystych krajów oficjalnie, większość po pobycie w więzieniu, część zaś potajemnie, będą stanowili poważne zagrożenie. Świat może zalać fala ekstremistów. I bez wątplenia powstanie też wówczas sieć, baza danych ewidencjonująca tę pajęczynę, to samo zrobił Bin Laden podczas wojny w Afganistanie, stworzył listę dżihadystycznych bojowników przybyłych z czterech krańców ziemi i to dzięki niej zrodziła się Al-Kaida. I znów, daleko nam do militarnego zwycięstwa w tej wojnie, lecz nawet jeśli je odniesiemy, w żadnym razie nie będzie to oznaczało końca problemów, a jedynie narodziny Al-Kaidy II albo jej ducha, być może jeszcze silniejszego, unowocześnionego, przyczajonego w ukryciu, by uderzyć w inny sposób, przebieglejszy niż dotychczas. W międzyczasie, jeżeli nic nie zrobimy, oni za pomocą dobrze naoliwionej maszyny propagandowej w dalszym ciągu będą ze swych zagranicznych twierdz organizować ataki i rekrutować, wciąż i wciąż, a przy tym się rozrastać.

– To się nigdy nie skończy...

– Na pewno nieprędko. A my musimy być silni. Bo podstawowy cel terroryzmu to, jak sama nazwa wskazuje, zasianie strachu, zachwianie nami, tak byśmy reagowali instynktownie i schwytni w szpony lęku, przestali słuchać podszeptów rozumu. Im bardziej wzrośnie liczba zamachów, tym gorliwiej musimy zwalczać w sobie ten instynkt. I tym trudniejsze się to dla nas stanie. Oni tego właśnie chcą. Żebyśmy stracili grunt pod nogami. Żebyśmy się podzielili i zmienili w łatwy łup.

Ludivine zacisnęła szczęki. Ogarnęło ją poczucie kruchości, wycieńczenia, a do oczu napłynęły jej łzy. Trauma związana z napaścią czyniła ją bardziej podatną na wewnętrzne niepokoje, tyleż nagłe, co burzliwe. Nagi męczyzna, śmierć, przemoc psychiczna, radzenie sobie z tym wszystkim niemal całkowicie wyczerpało jej zasoby obronne i w tej godzinie zwierzeń inne, bardziej rzeczywiste lęki wzięły ją z zaskoczenia.

Otarła policzki wierzchem dłoni, coś jednak wciąż tkwiło tam, głęboko w gardle, i musiało się wydostać:

– Czasem czuję ten strach, który opisujesz... Boję się, że ten konflikt zmieni nasze społeczeństwa, na gorsze. Dwudziesty pierwszy wiek zaczyna się globalnym kryzysem: gospodarczym, tożsamościowym, socjalnym, demograficznym, migracyjnym, związanym z brakiem bezpieczeństwa, zagrożone jest nawet zdrowie naszej planety. Obawiam się, że te lęki pchną nas do robienia głupot. Już w kwestii samego terroryzmu, które z zagrożonych krajów najlepiej radzą sobie z obecną sytuacją? Dyktatury. Te państwa, gdzie nikt nie zawraca sobie głowy konkretnymi dowodami, gdzie najdrobniejsza wątpliwość wystarczy, by wyeliminować zagrożenie i przeciwnika, gdzie każdą podejrzaną, potencjalnie niepokojącą osobę można uwięzić albo gorzej: gdzie obywatele i ich swobód nie chronią już żadne prawa, ale gdzie powstały natomiast przepisy broniące systemu, pozwalające na każdy rodzaj dozoru, na wszelkie nadużycia w imię bezpieczeństwa. Czy w dzisiejszych czasach,



w obliczu tych niepokojów, społeczeństwa naszych demokratycznych krajów nie stwierdzą, że w starciu z bezlitosnym wrogiem należy zaostrzyć ton, i nie będą skłonne wybrać autorytarnych władz, które bez pardonu oznajmiają, że obywatelom należy zapewnić bezpieczeństwo za wszelką cenę? Nie twierdzą, że stanie się to od razu, ale to jak z tą słynną żabą: jeśli wrzucisz ją do wrzątku, wyskoczy i ucieknie, jeżeli jednak zanurzysz ją w zimnej wodzie, którą zaczniesz stopniowo podgrzewać, to gdy zwierzę zda sobie sprawę, że wokół niego się gotuje, będzie już za późno. Rzadko kiedy najbardziej skrajne partie, zarówno prawicowe, jak i lewicowe, cieszyły się w sondażach tak dużym poparciem jak obecnie, sympatia do nich rośnie. Przestrzenie ideologiczne i gospodarcze stają się dla nich coraz bardziej gościnne... Wszystkie te działania mające na celu umocnienie pozycji służb wywiadowczych nie są w swej istocie złe, należy jednak je kontrolować, podobnie jak nadzorujemy szerzenie się idei antywolnościowych. Trzeba znaleźć złoty środek, wyważone umiarkowanie, a zacząć powinniśmy od naszych obaw, które skłaniają nas do działania na oślep.

Marc patrzył na nią. Za jednym zamachem wyrzuciła z siebie wszystko, co leżało jej na wątrobie, jakby pierwszy raz od wieków trafiła na powiernika, któremu mogła zwierzyć się ze swoich trosk. Traumatyczne przeżycia, których raz za razem doświadczała w ostatnich miesiącach, wreszcie krystalizowały się w słowa, przyjmowały postać tej szczególnej trwogi, tamy się otworzyły.

Wierzchem dłoni pogładził ją po policzku. Odebrała to jako zachętę, by wylać z siebie cały niepokój, dodała więc:

– Powinniśmy być wyedukowanym narodem, który rozumie, o jaką stawkę toczy się gra, pojmuje związane z nią trudności i każdą jej subtelność i który potrafi zerwać z patrzeniem przez pryzmat strachu. Którego członkowie myślą raczej o wspólnocie niż o sobie samych. Potrzebujemy pieniędzy na finansowanie spójnie funkcjonującego systemu edukacyjno-socjalnego, to jednak coraz bardziej skomplikowane w zrujnowanym społeczeństwie, gdy równie nieodzowną koniecznością staje się obrona. Żyjemy w przełomowym momencie historii ustrojów demokratycznych – całkiem możliwe, że czeka je implozja.

Marc nie znalazł w odpowiedzi żadnych słów. Od zarania cywilizacji każdy wiek przynosił ogromną wojnę, transformację państw, mentalności i narodów. W imię jakiej złudnej nadziei mielibyśmy wierzyć, że ten będzie inny? Ponieważ ludzie uczą się na swoich błędach?

Na to chyba trzeba liczyć – nadszedł czas, by ludzkość tego dowiodła.

Imadło się zaciskało.

Wreszcie.

Marc Tallec siedział w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze paryskiego WŚ, naprzeciwko Ludivine i jej dwóch partnerów, a także pułkownika Jihana, Magali, Francka, Bena i kapitana Merricka, dowódcy sekcji. Wszyscy słuchali go w nabożnym skupieniu, gdy wodził długopisem po przyklepionej do ściany mapie Francji.

– Ekobramki zarejestrowały wynajęty samochód w kilku miejscach, podczas gdy wjeżdżał na terytorium kraju, a później trzykrotnie na jednej i tej samej trasie, tu, na drodze krajowej numer dwa, pomiędzy Thieux a Saint-Mard, w kierunku departamentu Aisne.

– Oraz Belgii – zauważył Franck.

– Tak, tyle że nasi belgijscy odpowiednicy nie mają żadnych informacji o tym pojeździe. Ponadto sądzimy, że skoro to paryska komórka, podejrzany nie wypuściłby się tak daleko poza swoją strefę komfortu.

– Nadajnik GPS zamontowany przez wypożyczalnię nic nam nie dał? – chciała wiedzieć Ludivine.

– Nie, tak jak się obawialiśmy, udało mu się go usunąć i przyczepić do przypadkowego auta.

– Trzy razy mijają tę samą bramkę? – upewniła się Magali.

– Tak, zanim zmienił samochód. Wszystko wskazuje na to, że kryjówka mieści się w tym rejonie. Na uboczu.

Guilhem pozostał sceptyczny.

– To jakaś wiocha, w małych miasteczkach ludzie się znają, zauważyliby ich...

– Właśnie dlatego najwyższy priorytet nadaliśmy dwóm opcjom. Albo przygarnął ich jakiś niezidentyfikowany wspólnik – dlatego szczegółowo przetrząsamy nasze bazy danych i wypytujemy informatorów, żeby zlokalizować wszystkich radykałów w tym sektorze – albo zaszyli się w dziczy, w jakimś odludnym miejscu. Chata, farma, opuszczony budynek, a może nawet przyczepa kempingowa, namiot w lesie i tak dalej...

– To się często zdarza, takie krycie się w dziczy? – zaniepokoił się Merrick.

– W ostatnich momentach poprzedzających atak – owszem. Gromadzą się razem, psychicznie przygotowują się do uderzenia. – Żandarmi wymienili skonsternowane spojrzenia. Marc uniósł dłonie, by zatrzymać ich uwagę na sobie, po czym podjął: – Inna hipoteza głosi, że potrzebują bazy z prawdziwego zdarzenia, żeby w niej trenować, a także

produkować materiały wybuchowe. Każcie więc wszystkim swoim brygadam w tym obszarze popytać, czy nikt nie słyszał niepokojących strzałów.

– Na wsi, w środku sezonu polowań? – rzucił Franck sarkastycznie.

– Akurat mieszkańcy wsi bez trudu odróżnią odgłos wystrzałów ze strzelby od tych z broni automatycznej. Spytajcie też o huk eksplozji. Na pewno będzie to w ustronnym miejscu, z dala od wszystkiego. – Pułkownik Jihan skinął głową. – My z kolei pracujemy nad kwestią zaopatrzenia w składniki – ciągnął Marc. – Nie istnieje tysiąc sposobów na wytworzenie bomby, zwłaszcza od zera. Niezbędne azotany i nadtlenek wodoru można uzyskać z detergentów, środków odchwaszczających i owadobójczych, ale też z nawozów. Sprawdźcie, również za pośrednictwem waszych brygad, ewentualne kradzieże środków chemicznych ze sklepów wielkopowierzchniowych i specjalistycznych, z fabryk, laboratoriów, firm ogrodniczych, gabinetów weterynaryjnych i tak dalej. DGSi zajmie się kontrolą największych sklepów w całym regionie. Jeśli członkowie komórki są przewidujący, za każdym razem kupowali jedynie niewielkie ilości i nie będziemy w stanie ich namierzyć. Ale nigdy nie wiadomo. Dla spokoju sumienia przejrzymy też wszystkie dokumenty dostawy wystawione przez producentów nawozu, innymi słowy: tysiące formularzy zamówień.

– W życiu nie starczy nam czasu... – wściekła się Ludivine.

– Nie mamy wyboru. Liczę więc na was.

Marc okazywał powagę, która nikomu nie pozwalała wątpić, że należy działać szybko.

Mijały godziny. Trwało złowieszcze odliczanie, przy czym nikt w WŚ nie wiedział, kiedy ma ono dobiec końca.

Wykonywano liczne telefony, odbierano faksy, otwierano maile z dokumentami do wydrukowania, skatalogowania i odszyfrowania, a oczy śledczych co rusz, nie dało się bowiem przed tym powstrzymać, zsuwały się w róg ekranu komputera, by sprawdzić, ile czasu minęło.

Czy to dziś? Tego wieczoru? Jutro? W tym tygodniu? Ilu będzie rannych? Ile ofiar śmiertelnych? Ile zniszczonych żyć, umęczonych rodzin?

Pracowali z węzłami w żołądkach, świadomi tego, że wolno, zbyt wolno, zbliżają się do celu. Jaką przewagą dysponowała komórka? Czy podejrzewała, że podążają ich tropem? Z pewnością, gdyż po zamachu terrorystycznym na WŚ i samobójstwie Sida Azzeli media zaczęły wietrzyć gorący temat, szukać powiązań, snuć domysły na temat jakiejś trwającej operacji, sfuszerowanej rozbiórki. Balet kamer rozstawionych na ulicy, by filmować podziurawioną elewację koszar, ustał dopiero po dziesięciu dniach.

Późnym popołudniem zadzwonił Marc i poprosił Ludivine, by przełączyła go na głośnik.

– Mamy trzeciego – oznajmił z powagą. – Ahmed Menouyi. Dopuścił się mnóstwa przestępstw, idealnie wpisuje się w schemat furjata, który odkrył, że religia może być

środkiem pozwalającym znaleźć ukojenie lub odkupić swoje liczne winy, praktykuje ją jednak z tą samą ślepą determinacją, jaką wykazywał jako uliczny opryszek: stosując przemoc. Ma powiązania z handlem bronią, za co trafił do więzienia, mógłby pełnić funkcję logistyka grupy, człowieka ze znajomymi zdolnymi skołować AK-47 i inne wszelkiego rodzaju spluwy.

– Jak do niego dotarliście? – chciała wiedzieć Ludivine.

– Przez jedyną furtkę, jaką nam zostawili: znowu dzięki Sidowi Azzeli i jego błogosławionej komórce. Zestawiliśmy wszystkie jego podróże i długie przystanki z osobami figurującymi w spisach znanych nam radykałów, a konkretniej z adresami ich domów i siedzib pracowniczych, jeśli są gdzieś zatrudnieni. Sid trzykrotnie kręcił się po sektorze, w którym mieszkał Ahmed Menouyi. Od razu wysłaliśmy na miejsce zastęp ludzi, żeby go sprawdzili, ale zniknął przed pięcioma dniami. W zeszły czwartek nie stawiał się do pracy, nikt nie wie, gdzie się podziewa, a jego telefon nie wysyła sygnału.

– Jego też nie mieliście wcześniej na oku? – zdenerwował się Guilhem. – Kartoteka S i lista przestępstw długa jak moje ramię i taki gość żyje sobie w spokoju?

– Z naszego punktu widzenia wyglądało to tak, jakby właśnie się stabilizował. Stała praca, dziewczyna, regularnie wychodził się zabawić, palił i zdarzało mu się łyknąć alkoholu. Przestał odwiedzać tajny meczet. Okej, z perspektywy czasu można stwierdzić, że nas wykiwał, ale gdybyśmy mieli na stałe przyczepić ogon każdemu salaficie albo byłemu salaficie, potrzebowalibyśmy całej francuskiej armii, a i tak...

Ludivine, wyczuwając zaostrzający się ton dyskusji, odezwała się, by ostudzić nastroje:

– Jego dziewczyna coś wie?

– Siedzi w areszcie, ale to mało prawdopodobne. Ją też oszukał, chyba że i ona robi nas w konia. Ale na pewno jej nie zdradził, dokąd jedzie.

Wtrącił się Segnon:

– Jaka jest szansa, że magiczna komórka Sida zaprowadzi nas do ich kryjówki?

– Zerowa, jeśli chcecie znać moje zdanie. Sid był najmniej doświadczony, robił za posłańca i tyle, z pewnością stosowali ścisły podział ról, żeby nie podejmować żadnego ryzyka. Wyciągnęliśmy z niego wszystko, co się dało. A wy, jak wam idzie?

– Gromadzimy informacje spływające od naszych brygad – zaraportowała Ludivine. – Porządkujemy je według stopnia trafności, jutro Segnon i ja ruszamy w teren, by zweryfikować te najbardziej obiecujące.

– Jakież poważne tropy?

Pusty wyraz twarzy. Wahanie, czy postawić na szczerą nadzieję ustępującą miejsca trudnej prawdzie.

– Nie sądzę – przyznała w końcu kobieta. – Ale nie mamy nic lepszego, więc żadnego z nich nie zaniedbujemy.

W końcu to Guilhem odważył się zadać pytanie, którego wszyscy się obawiali:

– Zapadli się pod ziemię pięć dni temu, to znaczy, że atak nastąpi wkrótce, prawda?

Z głośnika dobiegło chrzęszczące westchnienie, zanim Marc odpowiedział:

– Przekazaliśmy zebrane przez nas materiały do ministerstwa i w kraju ogłoszono właśnie maksymalny poziom zagrożenia zamachem. Sądzymy, że uderzenie może nastąpić w każdej chwili.

Marc nie wrócił na noc do domu Ludivine, ona zaś odganiała widmo snu tak długo, jak potrafiła, w końcu jednak uległa wyczerpaniu i odpłynęła.

Nazajutrz, gdy dotarła do koszar, przygotowując się na wycieczkę do departamentów Aisne, Oise i Marna, na ekranie jej komórki znów wyświetliło się nazwisko Marca.

Gdy tylko je zobaczyła, wiedziała, że to nie telefon w sprawie prywatnej. Bezwiednie zadrżała, poczuła gęsią skórę.

Lękała się tych słów. Mało brakowało, by w ogóle nie odebrała.

Mężczyzna błyskawicznie wyrzucił z siebie wieści:

– Mamy kryjówkę. Szykuj się, zgarniemy cię po drodze, pędzimy na miejsce.

Mknęli czarnym minivanem, oznajmiając swoją obecność błyskami kogutów, żeby inne pojazdy zjechały im z drogi – niemal trzęsło nimi, gdy mijał je policyjny bolid.

Ludivine wisiała na telefonie, który wcisnęła między ramię i ucho, a teraz zwróciła się do Marca:

– Pułkownik chce wiedzieć, czy ma zmobilizować GIGN.

– Nie tym razem, GAO jest w drodze, a wsparciem posłuży im RAID.

Segnon, który w ostatniej chwili uparł się, że pojedzie z nimi, zapytał:

– Jak znaleźliście kryjówkę?

– Dzięki mrówczej pracy. Nie mamy jednak żadnej pewności. Poprosiliśmy wszystkich producentów nawozu, który zawiera składniki przydatne przy wytwarzaniu materiałów wybuchowych, żeby przekazali nam dokumenty dotyczące dostaw do tego sektora z ostatnich sześciu miesięcy, obojętne ile ich jest. A jest ich mnóstwo, za dużo, żebyśmy zdołali załatwić sprawę szybko. Wtedy przyszło nam do głowy, by zacząć od nowych klientów. Tych znalazło się znacznie mniej. Ich posesje leżą w pobliżu terenów uprawnych, zakupy wydawały się więc uzasadnione. Ale tylko trzy domy zostały niedawno wynajęte, a jeden lokator otrzymał łącznie ponad tysiąc dwieście pięćdziesiąt kilogramów towaru zakupionego u kilku dostawców i nie złożył stosownej deklaracji w merostwie. To było trzy tygodnie temu. Chciał rzekomo nawozić pola pod uprawę zboża. Podowiadaliśmy się, nawóz azotowy stosuje się zwykle pod koniec zimy, a nie na początku grudnia.

– Jak szacujesz prawdopodobieństwo, że to oni?

– Powiedziałbym... fifty-fifty. A jednak sporo elementów pasuje. Niemniej, zawsze może się okazać, że trafimy na rolnika amatora, który nie przestrzega zasad i z wyprzedzeniem magazynuje nawóz, choć to mało logiczne w zawodzie, w którym często brakuje płynności finansowej, zwłaszcza jeśli chodzi o nowicjusza.

Ostatnie kilometry dłużyły się najbardziej. Stale towarzyszyło im poczucie, że nie poruszają się dość szybko, że pominęli coś istotnego.

Opustoszała, smętna wiejska okolica rozciągała przed nimi swe ziemie w kolorze ochry oraz poblądłe łąki. Jedyne kilka kęp ogołoconych z liści drzew sterczących to tu, to tam urozmaicało ten przygnębiający krajobraz. Co jakiś czas pojawiało się gospodarstwo, stodoła, stajnia na końcu dróżki, nic ponadto. Gdy spostrzegli, że zbliżają się do małego zagajnika, minivan zwolnił, a Ludivine zauważyła jeszcze trzy podobne pojazdy zaparkowane obok szosy, wśród zarośli. Koło nich byli mężczyźni w czarnych

kombinezonach bojowych, z kominiarkami naciągniętymi na głowy i karabinami maszynowymi przewieszonymi przez ramię.

Jeden z komandosów podszedł i otworzył boczne drzwi auta, jeszcze zanim całkiem znieruchomiał.

– Farma odcięta – ogłosił bez wstępów. – Żeby się tam dostać, trzeba pokonać rozległy otwarty teren, zobaczą nas z odległości dwustu metrów. Potrzebny nam helikopter w barwach maskujących z kamerą termowizyjną i MilliCam 90, żebyśmy mogli zajrzeć do środka i sprawdzić, czego się spodziewać, w przeciwnym razie ryzykujemy powtórkę z O.K. Corral.

– Jakiś ruch? – zapytał Marc.

– Nic, odkąd tu dotarliśmy.

– Nikogo nie ma?

– Przynajmniej nikt się nie pokazał.

Marc i jego dwaj koledzy z DGSI, wysoki, postawny rudzielec zwany JB oraz Farid, trzydziestolatek o przenikliwym spojrzeniu, wysiedli z samochodu. Segnon i Ludivine poszli w ich ślady.

– Dobrze byłoby popytać w okolicy, w najbliższej miejscinie i sąsiednich gospodarstwach – zasugerowała Ludivine. – Sprawdzić, czy ludzie nie wiedzą, kto się tu wprowadził.

Z jednego z minivanów wyłoniła się kobieta, niska, nieco przysadzista brunetka nosząca okulary w szylkretowej oprawce. W rękach dzierżyła trzy telefony.

– To ich kryjówka! – zawołała. – Na sto procent.

Marc ruszył jej na spotkanie.

– Opowiadaj – zażądał.

– Właśnie rozmawiałam z dziewczyną z biura nieruchomości. Wynajęła dom wysokiemu, szykownemu facetowi, menadżerowi grupy muzycznej, która zamierzała spędzić tu pół roku, komponując nowy album.

– Zespół, który kupuje ponad dwie tony nawozu? Okej, znaleźliśmy ich. Zapomnijmy o przepytywaniu sąsiadów, nie ma na to czasu. Chcę wiedzieć, czy panuje tu taki spokój, bo się czają, czy może już wyruszyli. Tak czy siak, tkwimy po uszy w gównie.

Szef GAO potrząsnął głową.

– Nie wyślę moich chłopaków na dwustumetrowy odsłonięty odcinek, potencjalnie pod ostrzał, bez żadnego wsparcia czy pojazdów pancernych.

Marc z frustracji zacisnął zęby.

– Jeśli ściągnę helikopter i okaże się, że ich nie ma, ale zauważą go w drodze powrotnej, zwiną żagle i będziemy mieli przerąbane.

– Więc poczekajcie chociaż, aż dowiozą nam przystosowany sprzęt.

– Ile to potrwa?

– Dwie godziny. Maks trzy.

Marc skapitulował, absolutnie nie wolno im było narażać życia członków grup interwencyjnych. Odwrócił się do dziewczyny z telefonami.

– Tatiano, czy babka od nieruchomości opisała ci tego faceta?

– Dość pociągający, brunet o śródziemnomorskim typie urody, czterdzieści lat z dużym hakiem, może nawet po pięćdziesiątce, tylko dobrze się trzyma. Świetnie mówi po francusku, z obcym akcentem, choć nie potrafiła stwierdzić skąd. Próbowałam wyciągnąć z niej detale, znaki szczególne, ale nie umiała powiedzieć nic więcej. Wszystkie formalności załatwili przez telefon i drogą mailową, widziała go tylko raz, kiedy podpisywał ostatnie dokumenty i odbierał klucze.

– Nie obejrzał wcześniej lokalu?

– Najwyraźniej nie, przebywał akurat „na zagranicznym tournée”, poprosił o bardzo szczegółowe zdjęcia, a przede wszystkim o zachowanie najwyższej dyskrecji z uwagi na zespół. Dziewczyna do niczego się nie przyznała, ale jestem pewna, że hojnie jej zapłacił, żeby była miła.

Ludivine podeszła i stanęła naprzeciwko Marca.

– Co teraz robimy?

– Czekamy, nie mamy wyboru.

Kobieta zaklęła.

Zbliżyli się od południa, przekroczyli potok płynący w płytkim zagłębieniu terenu i, wyciągnięci wśród wilgotnej trawy, podawali sobie lornetkę, by przyjrzeć się domowi i przynależnej do niego stodole. Żadnych oznak życia, nawet wstążki dymu unoszącej się z komina. Co jeszcze bardziej niepokojące, nie dostrzegli też żadnych pojazdów, choć istniała możliwość, że schowano je w stodole.

W międzyczasie dotarło wyposażenie, którego zażyczyli sobie członkowie GAO, a także RAID: kilka samochodów osobowych i ciężarowych oraz cały zastęp ekspertów w robiących wrażenie kombinezonach. Marc zażądał, by szybko wycofali się do lasu i na teren leżącego niedaleko gospodarstwa, mieli przy tym unikać małych wiejskich drózek, na których byliby widoczni jak na dłoni. Bał się, że cała okolica odkryła już, co się dzieje, i że terroryści też się o tym dowiedzą, jeśli wciąż kręcą się w pobliżu. Ludivine nie miała pojęcia, jaka obowiązuje hierarchia ani jak dużą autonomią cieszą się śledczy z DGSI, zauważyła jednak, że Marc i dziewczyna w okularach dowodzą operacją.

W szklach lornetki trzymanej przez Ludivine pojawiła się pocztowa furgonetka. Podskakiwała na trakcie wiodącym do obserwowanego domu.

Posiłki czekały nieopodal, gotowe wynurzyć się z pobliskich osłoniętych stref oddalonych o jakieś dwieście i trzysta metrów.

Wokół panowało namacalne napięcie. Powietrze się przerzedziło, śpiew ptaków ucichł.



Teraz nie liczyło się nic poza żółtym pojazdem zbliżającym się do celu.

Ten zwolnił, dotarłszy na plac służący za parking przed budynkiem, i znieruchomiał w najbardziej martwym punkcie pomiędzy oknami, tak by dać przeciwnikom jak najmniejsze szanse na trafienie. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem.

Ludivine się niepokoiła. Wiedziała, że ci mężczyźni są świetnie wyszkoleni, zdolni radzić sobie w trudniejszych sytuacjach i wyjść cało z jeszcze gorszych opresji, lecz jej serce ścisnęło się ze strachu przed choćby pojedynczym strzałem.

Patrzyła, jak tylne drzwi furgonetki od strony pola otwierają się i ze środka wyskakują osiem czarnych sylwetek z bronią w rękę, wszystkie przykucnęły i stłoczyły się za osłoną, jaką stanowił samochód.

Marc chwycił swoje radio i zmienił kanał.

– Po drodze nic? – zapytał.

– Nic, martwa cisza – dobiegł czyjś głos.

Nie ustawili zapór drogowych z prawdziwego zdarzenia, żeby dodatkowo nie zwrócić na siebie uwagi, ale wszystkie sektory znajdowały się pod obserwacją, na wypadek gdyby terroryści, jeśli wcześniej wyszli, mieli wrócić do kryjówek.

W okularach lornetki ośmiu komandosów opuściło bezpieczne schronienie w dwóch czteroosobowych grupach i bezgłośnie wyłoniło się zza furgonetki, jedni okrążyli ją od przodu, drudzy od tyłu, a następnie zajęli pozycje po obu stronach wejścia do głównego budynku. Ludivine wiedziała, że czterech snajperów z RAID czuwa z boków gospodarstwa. Ponieważ nie mieli z nimi łączności radiowej, dysponowała jedynie tym, co miała przed oczyma.

Z daleka członkowie ekipy interwencyjnej przypominali współczesnych ninja. Dostrzegła, że posługują się lusterkami zamontowanymi na kijach teleskopowych, by zajrzeć do wnętrza przez okna. Porozumiewali się gestami. Druga grupa okrążyła dom, żeby tą samą metodą sprawdzić pozostałe pomieszczenia, podczas gdy pierwsza szczegółowo badała drzwi frontowe.

Upłynęła ciągnąca się w nieskończoność minuta.

– Zbliża się jakiś pojazd – wypluło z siebie radio Marca. – Od północy. Zatrzymać ich?

– Ile osób w środku?

– Dwie. Para staruszków.

– Tak – rozkazał Marc. – Nie puszczajcie ich, póki nie skończymy.

Marc założył na ucho słuchawkę połączoną z innym radiem, spoczywającym w jego kieszeni, które pozwalało na bieżąco śledzić postępy komandosów. Ludivine ruchem podbródka spytała go, co się dzieje.

– Sądzą, że na drzwiach założono pułapkę – zaraportował.

– O cholera... – westchnął Segnon wyciągnięty obok koleżanki.

Ta przez lornetkę ujrzała, jak druga drużyna wkracza z powrotem w jej pole widzenia, po

czym kieruje się w stronę stodoły, obserwując ją uważnie, z karabinami uniesionymi przed sobą. Każdy krok zdawał się trwać wieczność. Ludivine pytała się w duchu, dlaczego nie wejdą przez okno, choć przecież wszystkie te procedury były jej dobrze znane. Traciła cierpliwość, nie mogła już znieść tego lęku przed nagłym atakiem przyczajonych strzelców, których nikt w porę nie zauważył.

Po chwili drugi zespół dołączył do pierwszego przy głównym wejściu.

– Przyślijcie saperów – polecił Marc w kołnierzu swojej parki.

Na drodze pojawiła się opancerzona ciężarówka, jechała szybko. Zatrzymała się obok pocztowej furgonetki. Z jej tyłu wysiadło dwóch mężczyzn w kombinezonach ochronnych i podeszło do drzwi.

Osiągnąwszy szczyt niepokoju na myśl, że zaraz na własne oczy ujrzy, jak koledzy wylatują w powietrze, Ludivine wręczyła lornetkę Segnonowi, który wiercił się niecierpliwie.

– Nie mogę na to patrzeć – oznajmiła. – Powiedz mi, jak się skończy.

Odliczała sekundy. Przestała, gdy doszła do dwóch minut.

Rozróżniła dwie osoby ukryte wśród trawy tak jak oni, dużo dalej na prawo, przy wejściu na błotniste pole. Chowały się za ostatnimi pierzastymi liśćmi jakiegoś krzaka. Snajper i jego obserwator. Przypominali posągi, rozmazaną plamę, niemal niewidoczną w otoczeniu przyrody.

*Zdolni zadać śmierć tak, że nikt ich nawet nie dostrzeże.*

Ludivine wciąż czekała. Kilka minut.

– Wchodzą – poinformował Segnon po jakimś czasie.

Kobieta wróciła na pozycję, uniosła głowę i próbowała dojrzeć coś gołym okiem. Zobaczyła cienie znikające w domu i zaschło jej w gardle.

Teraz padną strzały.

Nie wiedziała, czy na to liczy, czy wręcz przeciwnie. Czy woli ryzyko, że sami poniosą straty, ale za to pochwyć jednego lub kilku członków komórki, czy też przedłużającą się ciszę, bez żadnej pewności.

Dwóch przedstawicieli GAO wyszło na zewnątrz, jeden z uniesioną ręką machającą w ich kierunku.

Marc wyprostował się, zatroskany.

– Pusto – rzucił tylko.

Ludivine już żałowała nieobecności dźwięków.

Wnętrze pozbawione życia.

Gospodarstwo umeblowano surowo, wyposażono wyłącznie w to, co niezbędne, żadnych szczególnych ozdób, a ponadto – żadnych oznak zamieszkania. Wszystko zostało idealnie wysprzątane, łącznie z kuchnią. W sypialni było nieskazitelnie czysto, łóżko pościelone tak, jakby nikt nigdy w nim nie spał. Ludivine często dochodziła do wniosku, że dom odzwierciedla swojego lokatora. W tym miejscu ta zasada zdawała się wymowna. Na jakiś czas osiedlił się tu duch.

Ludivine eksplorowała w towarzystwie Marca, Segnona, JB i Farida. Członkowie GAO zabezpieczali teren od zewnątrz, okolicę obserwowano w nadziei, że wróci jeden lub kilku terrorystów.

- Pojedyncza sypialnia – zauważyła Ludivine.
- Może pozostali rozłożyli się w salonie – podsunął Farid.

Wszystko wyglądało niczym zastygłe w czasie, do tego stopnia, że Ludivine z trudem mogła sobie wyobrazić, że mieszkała tu jedna osoba, a co dopiero trzy lub cztery.

- A jeśli to zmyłka? – spytała. – Pułapka zastawiona po to, żebyśmy stracili czas?
- Nie popadajmy w przesadę – odparł Marc. – Są ostrożni, świetnie zorganizowani, ale to jeszcze nie znaczy, że potrafią w najdrobniejszych szczegółach przewidzieć każdy nasz ruch. Mieli co innego na głowie, coś ważniejszego.

JB potwierdził:

– Ładunek na drzwiach założono tak, by wysadzić cały dom. Nie marnowaliby materiałów wybuchowych bez powodu.

- Nie zniszczyliście go? – zaniepokoił się Segnon.
- Nie. To bardziej ryzykowne dla saperów, jednak pozyskanie i zbadanie go może nam dostarczyć cennych wskazówek na temat jego budowy. Niektóre grupy wytwarzają tak charakterystyczne detonatory, że równie dobrze mogliby zostawić nam swój podpis. Poza tym mamy nadzieję, że znajdziemy odcisk palca albo ślady DNA.

– Nie znajdziecie – oświadczyła Ludivine po inspekcji wnętrza. – Gość jest ideałem. Nic nie zostawił, ani jednego śmiecia w koszu. W kiblu cuchnie wybielaczem, założę się, że nawet nie spał w pościeli, tylko we własnym śpiworze i na jakimś pokrowcu, żeby nie zgubić żadnego włoska. Stale nosił rękawiczki.

- Może nie aż tak – wymamrotał Farid.

Ludivine wskazała pilota do starego telewizora.

– Wokół widnieją ślady kurzu, podobnie jest z każdym innym przedmiotem, niczego albo prawie niczego tu nie dotykał. Ta buda była dla niego muszlą, schronieniem, w którym mógł wyprodukować materiały wybuchowe z nawozu. Mieszkał tu TZ, ale już nie wróci.

– Co oznacza, że wciąż nie odkryliśmy, gdzie mieści się kryjówka całej komórki – stwierdził Segnon z rozpaczą.

– A zatem facet odpowiada też za wytwarzanie bomb – podsumował Marc. – Nie wiem, gdzie się szkolił, ale nie mamy do czynienia z amatorem. To obcokrajowiec, zna wszystkie techniki ukrywania się, dysponuje siecią kontaktów, dzięki której zmontował grupę, doskonale kłamie i potrafi sprawić wrażenie serdecznego, wzbudzić zaufanie, posiada niebagatelne zasoby finansowe i umie produkować materiały wybuchowe oraz detonatory. Tajne służby. Irackie? Syryjskie? Algierskie? Kurwa, nic o nim nie wiemy!

– Jest jeszcze gorzej – oznajmiła Tatiana, wchodząc do pomieszczenia z okularami w szylkretowej oprawce w dłoni. – W stodole stoi pełno zawierających okruchy poideł dla krów... To przerażające, cuchnie tam benzyną, a wszędzie walają się puste worki po pięćdziesięciu kilogramach azotniaku. Wyprodukował co najmniej dwie tony.

Marc przesunął dłonią po twarzy.

– To dużo, nie? – rzucił Segnon z niepokojem.

– Dość, by wysadzić cały kwartał paryskich kamienic – odparł złowieszczo Farid.

Przed dom zajęchały dwa sedany. Wygramolili się z nich mężczyźni w garniturach. Bez wątpienia zwierzchnicy DGSI, pomyślała Ludivine.

Marc natychmiast wziął się w garść i wydał rozkazy JB i Faridowi:

– Rozproście się po okolicy, by zebrać jak najwięcej informacji o lokatorze. Zajrzyjcie do sąsiednich gospodarstw, do miejscowej piekarni, do banków położonych w nieco większym promieniu, znajdźcie najbliższy sklep halal albo takie, które znajdują się na trasie z Paryża, i zadawajcie ludziom pytania. Tatiana zajmie się powtórnyim przemaglowaniem dziewczyny z biura nieruchomości. Wygrzebcie mi coś na jego temat, cokolwiek, ale coś wygrzebcie!

– Mogę zlecić WŚ, żeby sprawdzili telefony w tym sektorze – zaproponowała Ludivine. – Zrobimy listę wszystkich numerów, które logowały się do sieci w tym rejonie, i porównamy ją z wykazem tych skatalogowanych od początku trwania śledztwa.

Marc skinął głową.

Był oschły, spięty. Autorytet i skuteczność, żadnych emocji.

– Wychodzimy, nie ma sensu dłużej zanieczyszczać wnętrza. Ściągnijcie tu ekspertów od ustalania tożsamości, mniejsza o zachowanie dyskrecji. Chcę, żeby zbadali każdy zakamarek tego miejsca, jeśli w szczelinie klepki parkietowej kryje się odcisk palca, chcę go dostać.

Ekipy śledcze zainstalowały się w nędznym hotelu na skraju drogi krajowej, niespełna dziesięć kilometrów od gospodarstwa. Na parkingu, pomiędzy minivanami DGSI, tkwiło

kilka pojazdów wagi ciężkiej. Drzwi do pokoi na końcu korytarza pozostawały otwarte, wszyscy krążyli między jednym a drugim z telefonami przy uchu i notesami w rękę, by wymieniać się strzępkami informacji spisywanymi następnie na laptopach spoczywających na łóżkach wśród opakowanych w celofan kanapek z kolacji.

Dzięki współpracy z żandarmerią mogli liczyć na pomoc ludzi z PSIG, którzy przez całą noc czuwali nad wiejską rezydencją – tak na wszelki wypadek. Nikt nie wierzył jednak w powrót TZ.

Panowała pełna skupienia, ale ponura atmosfera. Wszystkich przygniatał ołowiany całun. Poczucie, że cokolwiek zrobią, a i tak pozostaną o jedną długość z tyłu. Gość był zbyt cwany. Przygotowywał się od bardzo dawna i nie popełniał żadnych błędów, co doprowadzało śledczych do szaleństwa. Nikt nie jest do tego stopnia perfekcyjny. Nie w tak nieprzewidywalnych okolicznościach. To jakiś obłąd. Można by wręcz pomyśleć, że nie mierzą się z człowiekiem.

Ludivine i Segnon przez resztę dnia uczestniczyli w gromadzeniu informacji, lecz nie uzyskali nic ponad to, co zdradziła już dziewczyna z agencji nieruchomości: lokator jeździł małym szarym samochodem, prawdopodobnie peugeotem 207 lub 208, nie mieli żadnych wskazówek co do tablic rejestracyjnych. Model ten należał do najpopularniejszych we Francji.

Żandarmi na bieżąco sprawdzali ewentualne postępy kolegów z WŚ, jednak analiza danych przekazanych przez sieci komórkowe nie przyniosła nic rozstrzygającego.

Ludivine zasnęła pół godziny po północy, podczas gdy obok niej Marc klepał w klawiaturę komputera. Spędziła kiepską noc na cienkim i za krótkim posłaniu szumnie zwanym materacem.

Około piątej rano ktoś zapukał do drzwi, więc Marc poszedł otworzyć.

W obramowaniu futryny stała Tatiana ze zmęczoną twarzą, nastroszonymi włosami i oczami zaczerwienionymi od pracy. Na nogach wciąż miała buty i Ludivine domyśliła się, że w ogóle się nie kładła. Uniosła trzymany w rękach komputer, żeby pokazać go Marcowi. W korytarzu poruszało się kilka cieni. Coś się działo.

– Najbliższa stacja benzynowa – oznajmiła brunetka w okularach, wskazując obraz z kamery. – Osiem dni temu. Peugeot 208, a oto nasz człowiek.

Na ekranie pojawiła się wydłużona sylwetka w czapce z daszkiem, która dokładała starań, by zawsze trzymać się tyłem do obiektywu.

– Jesteś pewna? – zapytał Marc.

Cały ciąg dalszy będzie zależał od odpowiedzi Tatiany, pojęła Ludivine.

Brunetka z trzaskiem zamknęła laptop.

– Siedzę nad tym całą noc, niczego już nie jestem pewna. Ale udało mi się sprawdzić tablice, pojazd zarejestrowano na komis samochodowy niedaleko Soissons, nabywca nie postarał się jeszcze o przerejestrowanie, a może złożył fałszywe dokumenty, tego na razie

nie wiem. Przekazałam wieści do Levallois i właśnie dzwonił do mnie Domi: w poniedziałek rano w Saint-Denis wystawiono na to auto mandat. Mam adres.

Marc skinął głową i odwrócił się do Ludivine, która już wstawała z łóżka.

– Tym razem będziemy potrzebowali GIGN.

Kraj powoli się budził.

Coraz liczniejsze światła w oknach. Sylwetki na chodnikach, w większości kroczące w pośpiechu. Samochody wyjeżdżające z parkingów, włączające się do ruchu, który wzrastał się z minuty na minutę. Balet podmiejskich pociągów, autobusów i tramwajów nabierał intensywności. Budynki zajmowane przez firmy rozświetlały się kwadrat po kwadracie w zagadkowym tetrisie nowoczesnych szklanych elewacji. Każdy wchodził w swoją rolę, stawał się małym trybikiem w rozległej maszynierii dnia codziennego.

Na ulicy niedaleko centrum gminy Saint-Denis zjawiała się garstka mężczyzn i kobiet w najwyższym stopniu gotowości. Starali się nie sprawiać wrażenia zbyt dociekliwych, ale uważnie przeczesywali wzrokiem każdy zakamarek, wchodzili do holi budynków i zachowując możliwie największą dyskrecję, wybierali cele, którym zadawali pytania na temat okolicy i jej mieszkańców, zwłaszcza nowo przybyłych.

Potem Marc, JB, Farid, Tatiana, Ludivine i Segnon zebrali się dokładnie w miejscu, gdzie pojazd TZ ukarano mandatem.

Farid jako pierwszy zabrał głos:

– Piekarz mówi, że grupka nieco zamkniętych w sobie chłopaków osiedliła się niedawno w byłym warsztacie samochodowym, o tam.

– Potwierdził to jeden z mieszkańców – dodał Segnon.

– U mnie tak samo – rzuciła Tatiana.

Marc zwrócił się do Ludivine.

– GIGN?

– Wjeżdżają na obwodnicę.

– Każ im czekać przy bramach miejskich w trybie stand-by, dopóki nie dowiemy się więcej. Nie zamierzam zwlekać, czas nas goni, trzeba sprawdzić, czy komórka już ruszyła. Słońce wschodzi za pół godziny, pewnie właśnie się modlą, jeśli jeszcze tu są. JB, wezwij GAO, wchodzimy. Niech RAID otoczy okolicę.

Grupa Wsparcia Operacyjnego zaparkowała swoje samochody trzy ulice dalej i czekała na sygnał, RAID również pozostawał w gotowości, w nieco większym oddaleniu, żeby nie ściągać na siebie uwagi.

W niespełna kwadrans ulica została odcięta, w holu każdego budynku stał gliniarz, a dwie kolumny ubranych na czarno mężczyzn zbliżały się z obu stron do żelaznej bramy starego, pordzewiałego garażu warsztatowego, ledwie mogącego pomieścić dwa auta.

Strzelcy wyborowi zajęli stanowiska naprzeciwko, w mieszkaniach pośpiesznie objętych rekwizycją wycelowali w szary budynek lufy i teleskopy.

Ludivine, Segnon i Marc podążali w sporej odległości za komandosami, z bronią w rękę i ciężkimi kamizelkami narzuconymi na ramiona, posuwając się wzdłuż ścian. JB i Farid szli za drugą kolumną.

Kłódka leżała na ziemi, łańcuch wisiał swobodnie, nieowinięty nawet wokół wspornika bramy. Oddział interwencyjny odsunął bramę i wpadł do środka z wrzaskiem:

– POLICJA!

Promienie latarek krzyżowały się, wyloty luf karabinów szturmowych przeszukiwały każdy kąt, bez pośpiechu, kilka gestów, znaków palcami, gwałtowny zryw, później chwila, kiedy wszyscy mieli nerwy napięte do granic, ale emocje nieco opadły po końcowym obwieszczeniu:

– CZYSTO. PUSTO. WYCHODZIMY.

Wtedy ich miejsce zajęli Marc, Ludivine i Segnon, których oczom ukazało się niemal całkiem ogołoczone wnętrze. Stoły warsztatowe były w dużej mierze puste, tylko z boku walało się kilka porzuconych w nieporządku narzędzi i znaczniejszych sprzętów, szlifierka, szlifierka kątowa... Choć warsztat nie działał już od pewnego czasu, niedawno przeprowadzono tu jakieś prace przystosowawcze. JB i Farid pojawili się w wejściu. Ludivine powstrzymała pierwszego z nich.

– Nie chodź po tym – powiedziała, wskazując długi ślad opon na posadzce. – Wszystko może się przydać.

Konstrukcja przypominająca raczej drabinę niż schody prowadziła na antresolę rozciągającą się nad dwiema trzecimi powierzchni niewielkiego zakładu. Na górze Ludivine zastała Marca, który czubkiem palca badał śpiwory zwalone na stertę w jednym z rogów. Kobieta natychmiast zauważyła pięć dywaników modlitewnych ułożonych jeden obok drugiego.

– Śpiworów też masz pięć? – spytała.

– Tak.

– Więc wiemy już, ilu ich jest. Do zidentyfikowania zostało nam dwóch.

– Trzech – poprawił Marc. – TZ tu nie spał. To paranoik, ekstremalnie ostrożny, przyłączy się do nich dopiero w momencie ataku. Tych pięciu, którzy tu mieszkali, to szeregowi członkowie komórki, wyłącznie. Abel, Moussa, Ahmed i dwóch innych. TZ zamelinował się w wiejskiej rezydencji. W tej chwili przebywa pewnie w nędznym pokoju hotelowym niedaleko stąd. Już coraz bliżej...

– Trzeba zbadać ślady opon na dole, mogę szybko ściągnąć ekipę – zaproponowała Ludivine, już wyciągając telefon.

Gdy tylko się rozłączyła, zawołał ją Segnon:

– Powinnaś to zobaczyć! – Znalazła go na parterze, przykucniętego przed różnymi



porzuconymi w nieładzie narzędziami. Wskazał stojącą na stole warsztatowym prasę mechaniczną. – Niedawno wytłoczyli tablicę rejestracyjną, nie rozmontowali formy z matrycami liter i cyfr. Wiemy, jakiego numeru używają.

– Świetnie, dzwoniłam do Philippe’a Nicolasa, zjawi się tu z ekipą TK, która weźmie wszystko pod lupę.

– Znaleźliście na górze broń?

– Nie.

– Cholera. A więc to nie jest ich stała kryjówka.

– Spędzili tu przynajmniej ostatnią noc, widziałam śpiwory i dwa lub trzy opakowania po jedzeniu wraz z pustymi butelkami po wodzie.

– Żadnych gnatów, w przypadku takich gości jak oni? To oznacza, że zabrali je ze sobą.

– Albo że mają specjalną kryjówkę, choć trudno mi uwierzyć, że nie otaczają się spluwami na każdym kroku, tak na wszelki wypadek...

Tatiana krzyknęła od progu:

– Marc! Chodź no tutaj. Ruchy!

Za nią stary mężczyzna o włosach równie białych, jak ciemna była jego skóra, kołysał się, przestępując z nogi na nogę, wciśnięty w poprzecieraną marynarkę.

Marc pędem zbiegł po stromych schodkach.

– Ten pan jest sąsiadem – wyjaśniła Tatiana. – Zechce pan powtórzyć mojemu koledze to, co przed chwilą powiedział pan mnie?

Mężczyzna zwilżył wargi, po czym przemówił z silnym akcentem:

– Tutejsi lokatorzy wyjechali dziś rano. Jakies pół godziny przed waszym przybyciem. Siedziałem przy oknie, wszystko widziałem.

– Ilu ich było?

– Wydaje mi się, że pięciu.

– Rozmawiali, wspominali, dokąd się udają?

– Nie, a i tak bym nie usłyszał. Sprawiali wrażenie dość... skoncentrowanych. I chyba im się śpieszyło! Nie pozamykali za sobą, myślę, że byli wręcz zestresowani.

– Dlaczego?

– Uszkodzili swój piękny wóz, próbując zbyt szybko go wyprowadzić.

Odwrócił się i wskazał róg, gdzie ściana sąsiedniego budynku spotykała się z bramą garażu. Ziemię upstrzyło kilka odłamków szkła. Marc pstryknął palcami, by ktoś natychmiast je zabezpieczył.

– Czy potrafiłby pan opisać samochód, którym odjechali? – nalegał.

– Och, duży, piękny.

Za pomocą kilku dodatkowych pytań funkcjonariusze DGSI uzyskali opis pojazdu, który mógł być czarnym niemieckim autem z napędem na cztery koła, nie mieli jednak co do tego pewności.

Gdy tylko Tatiana oddaliła się ze świadkiem, Marc okręcił się w stronę Ludivine.

– Kurwa, ledwie trzydzieści minut.

– Opuścili to miejsce wszyscy razem, nie zostawili nikogo – podsumowała kobieta. – Od razu każę rozpowszechnić informację, że szukamy samochodu o znalezionym przed chwilą numerze rejestracyjnym. Może to zmyłka, ale nie sądzę. Byli zestresowani, nie są tak ostrożni jak TZ. To może być nasza szansa.

Marc potrząsnął głową.

– Mam złe przeczucia. Tak, bardzo złe. To dziś, Ludivine. – Jego źrenice prześlizgnęły się w jej stronę. – Właśnie po to wyruszyli – rzekł z uporem. – Wkrótce uderzą.

Śledztwa związane z terroryzmem opierały się zwykle na olbrzymiej masie danych wpływających bezpośrednio z terenu, a następnie skutecznie analizowanych. Te góry tropów gromadziły się głównie w wyniku pracy personelu DGSI, zwłaszcza z wykorzystaniem cyfrowego nadzoru – przede wszystkim Internetu i podsłuchów telefonicznych – ale również dzięki mniej lub bardziej dobrowolnie przekazanym świadectwom zaniepokojonych rodzin, pracowników placówek szkolnych, policjantów i żandarmów, sąsiadów, wtyk, imamów czujących się nieswojo z powodu zachowania niektórych wiernych, czasem dziennikarzy i oczywiście dzięki anonimowym telefonom i listom. Codzienne trudności nie wiązały się więc ze zdobywaniem informacji, lecz z dysponowaniem wystarczającymi zasobami ludzkimi i środkami, by w należyty sposób przekopać się przez wszystko, co zebrała agencja, albo przynajmniej ustalić odpowiednie priorytety.

Za to gdy śledztwo było już w toku, pozyskanie szczegółowych danych na temat objętych nim osób często okazywało się bardziej skomplikowane. Zmowa milczenia na osiedlach, strach przed mówieniem w dzielnicach robotniczych, obawa przed odwetem, kłamstwa przez pominięcie, z sympatii do podejrzanych lub rzadziej z uwagi na wyznawaną ideologię – dochodzenia prowadzone w oparciu o przesłuchania świadków postępowały mozolnie, czynnik ludzki stawał się więc niemal drugorzędny, a tymczasem prym wiodła technologia. W świecie uzależnionym od narzędzi komunikacyjnych, od różnorodnych urządzeń, ciasno splecionym ze swym wirtualnym odpowiednikiem, pełniła ona funkcję niezrównanego śledczego, wszechobecnego, niezbędnego.

Ślady opon znalezione w warsztacie, a także odłamki szkła z reflektora szybko pozwoliły zidentyfikować pojazd. Odciski, po wprowadzeniu do banku danych producentów opon, przyniosły wskazówkę co do modelu auta, jaki mógł je pozostawić. Promień skrętu i rozstaw osi, również wyliczone na podstawie śladów, w połączeniu z wynikami analizy kawałków szkła – każda firma samochodowa wytwarza bowiem własne, odmiennej jakości – pozwoliły zawęzić poszukiwania do bmw typu X5. Wszystkie służby, napędzane obawą, że nie uda się udaremnić nadchodzącego ataku, pracowały szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Nieco ponad godzina wystarczyła, by uzyskać kompletne rezultaty. Godzina, podczas której agenci w terenie nerwowo obgryzali paznokcie, dręczeni obsesyjną myślą, że tracą cenny czas.

Gdy tylko do warsztatu dotarli TK, Ludivine zażądała, by Philippe Nicolas dał jej kombinezon, aby też mogła uczestniczyć w wizji lokalnej. Trzymała się z tyłu, niczego nie

dotykała, ale w ten sposób nie miała przynajmniej wrażenia, że jest bezużyteczna. Oglądała każdy znaleziony przedmiot, brała udział w poszukiwaniach odcisków palców, a kiedy zaszła potrzeba, pomagała technikom w przenoszeniu ciężkich skrzyń. Właśnie pod jednym z tych brudnych pojemników znaleźli mały bilet na pociąg Meudon–Paris Montparnasse.

– Nie wygląda na bardzo stary – skomentował jeden z techników do spraw identyfikacji kryminalnej.

– Mogę zobaczyć? – poprosiła Ludivine, zanim świstek wylądował w zapieczętowanej torebce.

Przyjrzała mu się, nie dotykając go nawet dłońmi w rękawiczkach. Był skasowany.

– Nosi datę sprzed tygodnia.

Natychmiast wyszła z budynku i jeszcze zanim do końca zrzuciła biały kombinezon, zawołała do Marca:

– Czy któryś ze znanych nam terrorystów ma jakiegokolwiek powiązania z Meudon?

Marc zastanawiał się chwilę, zerknął w stronę Tatiany, ale ona zaprzeczyła.

– Nie.

Nie zdążył zagadnąć, skąd to pytanie, bo wszystkie radia zatrzeszczały.

Apel w sprawie poszukiwanego samochodu, który po odkryciu numeru rejestracyjnego rozpowszechniono wraz z surowym nakazem, by nikt nie próbował interweniować na własną rękę, uzupełniono następnie o markę i model pojazdu. Właśnie zarejestrowały go kamery monitoringu na paryskiej obwodnicy.

Auto jechało wewnętrzną nitką, zauważono je na wysokości la porte de Saint-Cloud.

Ludivine szybko chwyciła komórkę, by ostrzec oddziały GIGN czuwające przy la porte Dauphine, a tymczasem wszyscy rzucili się w stronę minivanów.

Wśród poruszenia Ludivine zwolniła nagle z pełną zwątpienia miną.

– Marc! – zawołała. – Możecie nas wyrzucić na dworcu w Meudon?

– Pędzimy do bmw!

– Nie my.

Trzaskanie drzwi, pisk opon i błyski kogutów, dwie trzecie floty już się zmyło.

Segnon wcisnął się za koleżanką do samochodu i zapytał:

– Czemu nie jedziemy z nimi?

– A na co się tam przydamy? I tak dowiemy się wszystkiego przez telefon. Wolę sprawdzić pewien szczegół, który nie daje mi spokoju.

– Sprezyj, żebyśmy wiedział, że nie tracimy czasu.

– Pięciu podejrzanych wyruszyło wcześniej rano, a dopiero teraz zauważono ich w południowo-zachodnim Paryżu, w drodze powrotnej ze śródmieścia. Co robili przez cały ten czas?

Kiedy kierowca ruszył gwałtownie, Segnon uczeplił się fotela przed sobą zajmowanego przez Ludivine.

– Skąd niby mam to...?

– A co, jeśli na trasie rozmieszczali kolejnych członków komórki? Pierwszego sama nie wiem gdzie, ale najwyraźniej dość daleko. Drugiego w okolicy Meudon... A jeśli bilet na pociąg to dowód, że przeprowadzili rozpoznanie terenu?

– Czy to nie jest trochę grubymi nićmi szyte?

– Znajdują się pod dużą presją, szykują się na śmierć w czasie zamachu, żaden nie jest profesjonalistą. Nawet jeśli TZ przebywa niedaleko, nie może mieć ich stale na oku, więc siłą rzeczy nie są doskonali. No bo kto jest? Na wstępie założyli, że nawet jeżeli któregoś dnia dotrzemy do tego warsztatu, nastąpi to długo po tym, jak dokonają ataku, więc co za różnica, jeśli przez nieuwagę zostawią kilka wskazówek? Nie, wręcz przeciwnie, to zatrważające, że znaleźliśmy ich tak mało. Gości jest pięciu, może się okazać, że planują pięć uderzeń w pięciu miejscach jednocześnie. A beemka właśnie rozmieszcza ich na stanowiskach, jednego po drugim.

Segnon przygryzł wargi, nie wiedząc, co o tym myśleć.

– I co właściwie twoim zdaniem mamy zrobić na podmiejskim dworcu, na peronie w stronę Paryża, w tłumie ludzi?

– Nic, po prostu będziemy mieli oczy otwarte.

– W takim razie poproś GIGN, żeby przysłali nam posiłki.

– Mają już wystarczająco dużo roboty z tą terenówką. A wpuszczenie oddziałów interwencyjnych w sam środek ciżby to gwarantowany wybuch paniki. Jeżeli nie ma żadnego zagrożenia, to ewakuacja dworca niczemu nie będzie służyć, a jeśli faktycznie czai się tam jeden z naszych terrorystów, od razu wysadzi się w powietrze albo ucieknie z całą resztą i zgubimy trop. Poza tym, jak sam powiedziałaś, to grubymi nićmi szyte, ja jednak wolę sama się o tym przekonać. Jeśli ogarną nas wątpliwości, wezwiemy kawalerię.

Ulice przemykały obok z ogromną szybkością. Kierowca włączył syrenę, żeby utorować sobie drogę przez zatłoczone miasto.

Ludivine zapięła pasy, po czym rzuciła w stronę Segnona:

– Zasuń kurtkę, żeby nie było spod niej widać kamizelki, kiedy już dotrzemy na miejsce – nigdy nie wiadomo.

Silnik czarnego porsche cayenne GTS mrucał, a tymczasem ruch uliczny stawał się coraz płynniejszy. Pojazd o całkiem zaciemnionych szybach został przechwycony w toku rozpracowywania afery narkotykowej, a następnie przydzielony GIGN. Obecnie jechało nim czterech agentów w pełnym rynsztunku bojowym.

Druga terenówka tego samego modelu siedziała mu na ogonie, a w nieco większej odległości podążały minivany wypełnione ludźmi i sprzętem.

Śledzili cel, zachowując znaczny dystans, czekając na rozkazy.

Szef grupy, zajmujący miejsce w drugim porsche, zdał kompletny raport z sytuacji i środków, jakimi dysponował. Teraz czekał na odpowiedź.

Według idealnego scenariusza należałoby zrobić wszystko, by ściągnąć bmw terrorystów z obwodnicy i zwabić do sektora, który został z wyprzedzeniem ogrodzony i opróżniony z mieszkańców, aby tam dokonać aresztowania. Ale takiego planu nie dało się wprowadzić w życie tak szybko. Obwodnicy nie zamknięto nawet na odcinku za autami jednostki specjalnej z obawy, że terroryści usłyszą o blokadzie w radiu i zrozumieją, że są śledzeni. Wszyscy lawirowali więc pomiędzy niewinnymi istotami, nieświadomymi, że w tej beczce prochu, poruszającej się, zgodnie z ograniczeniem, z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, tli się ogień.

Helikopter trzymał się z tyłu, gotowy nieść wsparcie, kiedy zostanie podjęta jakaś decyzja, jednak w tej chwili nie było mowy, żeby się zbliżył.

Rozgrywający się obecnie scenariusz należał do najgorszych z możliwych, terrorystów otaczało zdecydowanie zbyt wielu ludzi. Ale wobec braku wyboru sztab generalny GIGN opracował już plan awaryjny. Szaloną strategię. Na miarę grożącego wszystkim niebezpieczeństwa.

Teraz decyzja spoczywała w rękach człowieka, który w podobnych przypadkach znajdował się na samym szczycie hierarchii: lokatora Pałacu Elizejskiego. Prezydenta wyciągnięto z oficjalnego śniadania z przedstawicielami związków zawodowych, by dołączył do kryzysowej komórki, gdzie za jednym zamachem przekazano mu wszystkie informacje.

Niektórzy doradcy zalecali czekać, w nadziei że bmw samo oddali się od nadmiernie zatłoczonej strefy, a wówczas będzie można przeprowadzić aresztowanie w łatwiejszych i mniej niebezpiecznych warunkach. Z kolei inni kładli nacisk na dodatkowe ryzyko, jakie niechybnie pojawi się, gdy tylko podejrzani uświadomią sobie, że mają ogon, a GIGN straci

całą przewagę wynikającą z efektu zaskoczenia. Co gorsza, biorąc pod uwagę szacowaną ilość transportowanych materiałów wybuchowych, można było przypuszczać, że terenówka została przekształcona w pułapkę. Doprowadzenie do eksplozji na obwodnicy bez uprzedniego przedsięwzięcia choćby minimalnych środków ostrożności równałoby się katastrofie. Wszędzie samochody, jednoślady, ale również autobusy, w tym szkolne, krótko mówiąc: horror. Najstarsi wojskowi podkreślali znaczenie obwodnicy, prostej arterii, na której mimo wszystko dość łatwo opanować atak. Gdyby jednak bmw wjechało do Paryża, przyskrzynienie podejrzanych stałoby się dużo trudniejsze z uwagi na niemożność przewidzenia ich trasy. Podstawowy problem wiązał się z usunięciem jak największej liczby cywilów z punktu przechwyty: na drodze o trzech pasach ruchu w każdym kierunku zdawało się to prawie niemożliwe. Wszyscy uczestnicy narady stopniowo zaostrzyli ton, przedstawiali prezydentowi różne opcje, kalkulowali ryzyko, już redagowali komunikaty na wypadek porażki lub sukcesu, każda gałąź służb specjalnych proponowała własny plan, którym można by zastąpić ten wykonywany obecnie, obmyślony przez GIGN, i oferowała cały wachlarz potencjalnych reakcji. Tymczasem wszystkie niezbędne jednostki organizowały się i szykowały, by na rozkaz ruszyć do akcji, ich członkom serca waliły w piersiach.

Należało szybko podjąć decyzję. Liczyła się każda sekunda.

W drugim porsche cayenne szef grupy wysłuchał dyspozycji przekazanych przez górę. Przytaknął, a potem zwrócił się do swoich ludzi:

– Nie wolno nam stracić tej minimalnej przewagi, którą dysponujemy, wiązałoby się to ze zbyt dużym ryzykiem, dlatego padł rozkaz: uderzamy. Nie mogą wjechać do miasta.

Na te słowa mężczyzna siedzący z tyłu rozłożył na kolanach laptop i zapytał:

– Ile mam czasu?

– Rozpoczynają procedurę, masz niespełna dwa kilometry. Pozostaje nam się modlić, żeby beemka nie zjechała wcześniej z obwodnicy. – Klepnął w ramię kierowcę, a ten natychmiast przyspieszył. – Zrównaj się z nimi. Ale stopniowo, żeby nie nabrali podejrzeń. Panowie, przygotujcie się.

Dworzec w Meudon łączył w sobie imitację stylu art déco z nieciekawą, bardziej współczesną architekturą. Był pozbawionym charakteru, mocno jaskrawym budynkiem. Czyli zupełnym przeciwieństwem Ludivine, która właśnie go przemierzała, otoczona aurą autorytetu. Segnon szedł tuż za nią.

Pierwszą, widoczną jak na dłoni kamerę monitoringu dostrzegła przed wejściem, ale zanim postanowi zamknąć się w biurze, gdzie spędzi wiele godzin na oglądaniu nagrań, wolała odetchnąć tutejszą atmosferą, zaznajomić się z otoczeniem, zwłaszcza z punktami dostępu, zobaczyć, co mogłoby zainteresować przestępcę do tego stopnia, żeby zapragnął przeprowadzić masowy atak w tym miejscu. Nie wiedziała nic na temat planu terrorystów. Dlaczego Meudon? Dlaczego w kierunku dworca Montparnasse? Przeczuwała, że będzie musiała wsiąść do pociągu, by sprawdzić, co na tej trasie mogłoby stanowić atrakcyjny cel. Czyżby wiodła nieopodal komisariatu? Szkoły? Jakiegoś znaczącego miejsca kultu?

Perony mieściły się na dole, w parowie o głębokości około dziesięciu metrów, więc żandarmi zeszli po schodach prowadzących na długą, centralnie położoną wstążkę betonu oddzielającą od siebie cztery tory. Od kilku miesięcy za każdym razem, gdy Ludivine postawiła stopę na stacji kolejowej, musiała podjąć wysiłek, by nie myśleć o powracających do niej koszmarnych obrazach związanych z pierwszym dużym śledztwem, które prowadziła wraz z Segnonem i dawnym kolegą Alexisem. Tak było i dziś.

*Chwila obecna. Nic poza tym, co tu i teraz.*

Wąwóz zanikał, w miarę jak peron wysuwał swój ochrowy język w stronę horyzontu. Zamożne wille, nagie drzewa i przechodnie od czasu do czasu pojawiający się na ulicach – wszystko to przypominało żandarmom, że znaleźli się na burżuazyjnym przedmieściu. Czy to ono stanowiło cel terrorystów? Czy kierowała nimi chęć, by uderzyć wszędzie? Ludivine w to wątpiła, wietrzyła coś innego. Związanego raczej z przebiegiem trasy.

– Chcesz wsiąść do pociągu? – spytał Segnon. – Następny przyjedzie za pięć minut.

– Jeszcze nie.

Obserwowała. Rozproszony tłum podróżnych, uczniów, z których dwie trzecie czekało z komórkami w dłoniach, paru z nosem w książce, pozostali zaś rozmawiali szeptem lub stali ze wzrokiem utkwionym w próżnię.

Było chłodno, słońce otuliło się pierzyną szarych chmur, które pochłaniały część jego świetlistości.

*Czy jest tu jakiś detal, który przyciągnął waszą uwagę? Znak symboliczny w waszych*



oczach?

Ludivine szukała, krążąc wolno pomiędzy słupami, pod zgaszonymi latarniami, przyglądając się przewodom elektrycznym rozpiętym nad szynami, później wracając spojrzeniem do pasażerów, jednak nic w szczególny sposób nie zwróciło jej uwagi. W oddali scenerię dominowały tory położone na niewielkim nasypie.

*Dlaczego Meudon? Po co tak bardzo oddalać się od kryjówki? Skoro zamierzacie wrócić do Paryża, to nie ma w tym żadnej logiki...*

Chyba że ich cel znajdował się bardzo blisko stąd. Śledcza znów przyjrzała się wypiętrzonemu krajobrazowi i zdała sobie sprawę, że z pociągu musi rozciągać się dobry widok na domy i inne budynki w dole.

– Jednak przejedziemy się następnym.

– Jesteś pewna?

– Ustawisz się po prawej, a ja po lewej stronie. Szukamy czegoś, czegokolwiek, co choćby przypomina wysoce symboliczny cel. Na trasie muszą być wiadukty lub tego typu rzeczy, które pozwalają na oddanie korzystnego strzału. To miejsce musi leżeć niedaleko stąd, w przeciwnym razie nie pchaliby się aż tutaj.

– Ale strzelanie z jadącego pociągu to nie bułka z masłem...

– A kto mówi, że trzeba wykazać się taką samą precyzją, jeśli zamiast tego postanowisz wyrzucić przez okno ładunek wybuchowy? To niezbyt oczywisty, ale wykonalny pomysł, wystarczy wystawić rękę przez szparę i cisnąć.

– O cholera... Okej, stanę po prawej.

Spacerowali jeszcze trochę, nieśpiesznie, słysząc, jak wraz ze zbliżaniem się pociągu szyny wpadają w rezonans. Otaczający ich tłumek rzędł, w miarę jak przesuwali się w stronę końca peronu, większość podróżnych stłoczyła się przy krawędzi.

Skład wjechał na stację, koła – te przegrzane żyłki – zapiszczały. Kauczukowy zapach hamowania przesycił chłodne powietrze.

Ludivine dostrzegła sylwetkę przycupniętą na ostatniej ławce, na samym krańcu peronu. Mężczyzna intensywnie wpatrywał się w przód pociągu.

Śledcza odszukała ramię Segnona i najdyskretniej, jak się dało, ścisnęła je, by zaalarmować partnera.

Rozpoznałaby tę twarz wśród setki innych.

Aż do tej pory ów człowiek był jedynie fotografią w aktach. Teraz Abel Frémont siedział niespełna dwadzieścia metrów od niej.

W wyciszzonej kabinie porsche cayenne GTS członkowie GIGN nie rozmawiali, skoncentrowani na celu. Ten znajdował się dokładnie przed nimi, na najszybszym pasie ruchu.

Pierwszy z pojazdów żandarmerii wysunął się na prowadzenie, tyle, ile trzeba na wypadek sytuacji awaryjnej, gdyby bmw postanowiło na przykład zjechać z obwodnicy. Należało zatrzymać je w tym korytarzu. Odcinek zarysowujący się przed nimi leżał w płytkiej niecce, sześć pasów jezdni otaczały grube mury. Gdyby zaczęły śmigać zabłąkane kule, lepiej by one je zatrzymały niż fasady budynków.

Szef grupy polecił kierowcy:

– Zbliź się jeszcze i zjedź na prawy pas, ustawimy się równolegle do nich.

Silnik mrucał, gotowy na najmniejszy rozkaz zwiększyć obroty, lecz w tej chwili kierowca delikatnie pieścił pedał gazu. Wcisnął go lekko, by pojazd prześlizgnął się kawałek po asfalcie i wylądował na wysokości tropionego X5.

Plan zaczęto już wprowadzać w życie, zmobilizowano setki policjantów, którzy niespełna kilometr dalej blokowali wjazdy, by droga opustoszała. W nieco większej odległości postawiono zapórę, żeby wstrzymać ruch z przeciwnego kierunku. Komisarz Marc Tallec z DGSI potwierdził przez radio, że ich wozy zostały w tyle, uformowały linię i szykują się, by w odpowiednim momencie spowolnić pozostałe auta na drodze w celu odseparowania ich od terrorystów. Jedynie tych, które znajdują się przed nimi, nie uda się odgrodzić.

Wszystko szło zgodnie z harmonogramem.

Gdy tylko terroryści wjadą na ewakuowany odcinek, zrozumieją, że są otoczeni, i otworzą ogień. Służby specjalne nie mogły jednak interweniować zbyt wcześnie, przed dotarciem do bezpiecznej strefy. Całą akcję należało zgrać niemal co do sekundy, wszystko musiało odbyć się na przestrzeni zaledwie kilkuset metrów.

Za oknami migały znaki drogowe. Jednoślady beztrosko przemykały między nimi.

– I co? – zagadnął szef grupy siedzącego z tyłu informatyka.

– Nie mam jeszcze ich bluetootha.

– Szybciej.

– Robię, co mogę, ale sygnał do mnie nie dociera.

Dowódca zauważył ciężarówkę, której kierowca symulował awarię na ślimaku prowadzącym na obwodnicę, uniemożliwiając wjazd komukolwiek. Przynajmniej koledzy załatwili sprawę dyskretnie. Trzymał kciuki, żeby terroryści już teraz nie zaczęli się czegoś

domyślać.

*Jeszcze dwie minuty. Tylko dwie minuty* – prosił w duchu.

Szyby porsche były całkiem czarne, przez co z zewnątrz nie dało się dojrzeć pasażerów, zaćmiewały też jednak widok ze środka, a ponieważ okna sunącego po sąsiedzku X5 również zostały lekko przyciemnione, obserwacja okazała się trudna.

– Ruszają się – oznajmił kierowca. – Nie wiem, co kombinują, ale się tam wiercą.

– Może zauważyli, że wjazd jest zablokowany, a ruch przed nimi się przersedza. Cisco, jak ci idzie z tym bluetoothem?

– To nie takie proste, szefie, trzeba być naprawdę bliziotko.

Żadnego sposobu, aby osiągnąć lepsze wyniki bez zwrócenia na siebie uwagi podejrzanych. Pędzili bok w bok, dzieliło ich zaledwie półtora metra.

– Mam! Mam! Przygotujcie się!

Program GIGN, uzyskawszy producenckie kody dostępu do bmw, połączył się z bluetoothem w X5 terrorystów i przejął kontrolę nad elektroniką pojazdu.

– Wszedłem – poinformował Cisco. – Ale w każdej chwili mogę stracić sygnał, działajcie teraz, bo później niczego nie gwarantuję!

– Nie przed dotarciem do zabezpieczonej strefy! – zastrzegł szef z fotela pasażera.

Wybrany odcinek znajdował się za tunelem, dzięki czemu z daleka pozostawał mniej widoczny.

Wszystko opierało się na efekcie zaskoczenia. Jeżeli terroryści zorientują się, co jest grane, wystarczy, że otworzą ogień, a urzędzą rzeź, w której zabiją także wojskowych znajdujących się tuż obok.

Z tyłu nieoznakowane minivany GIGN szykowały się, by przyspieszyć i przypuścić atak. Za nimi podążały auta DGSI.

Na pasach przed maską ruch coraz bardziej się zmniejszał.

– Skapną się, że to nienormalne – stwierdził kierowca. – Nie dojedziemy do tej strefy na czas.

Przycupnięty za nim strzelec od dziesięciu minut nie wypowiedział ani słowa, kurczowo uczepiony swojego HK-MP5 z lufą wycelowaną w opony bmw. Jego okno zmodyfikowano tak, by na życzenie szyba opadła niemal w mgnieniu oka. Był jedynym bezpośrednim strzelcem w tej operacji, ulokowanym najbliżej, tym, na którym spoczywała największa odpowiedzialność za ostrzał. Ale też najoczywistszym celem w przypadku kontrataku.

Szef grupy dostrzegł tunel na wprost przed sobą. Rozwinął kominiarkę, skrywając pod nią twarz.

– Niecałe trzysta metrów – ogłosił.

W lusterku wstecznym zauważył pozostałe samochody, gotowe zająć pozycje.

Pasy z przeciwnego kierunku były teraz prawie puste.

Jeśli terroryści odpalą bombę, wszyscy w tej kabinie oberwą, pomyślał dowódca, lecz

zaraz ponownie skupił się na timingu.

Półmrok, pomarańczowe światło. Dotarli na miejsce.

– Tuż przed wylotem zainicjuj sprzężenie – rozkazał informatykowi. – Dalej jesteś połączony? – Serce biło mu szybko. Odpowiedź zbyt długo nie nadchodziła. – Masz to czy nie, do cholery?

– Tak, w porządku, w porządku, panuję nad sytuacją.

W oddali zamajaczyło szare światło dnia.

– Teraz!

Za pomocą jednego kliknięcia program wyłączył wszystkie systemy informatyczno-elektroniczne w bmw X5.

Deska rozdzielcza zrobiła się czarna, silnik zgasł, nie dało się wykonać żadnego manewru poza zmianą kierunku i hamowaniem.

Kierowca GIGN natychmiast odbił w prawo, żeby maksymalnie oddalić się od terrorystów.

Za nimi minivany utworzyły wachlarz, rozpościerając się na całą szerokość tunelu, a dalej DGSI użyło swoich aut w charakterze blokady, hamując gwałtownie, by sparaliżować ruch.

Okno strzelca opadło, a HK-MP5 wziął na cel prawe koła.

Suchy odgłos salwy, łoskot kul, wybuchające opony, kilka trafień w karoserię. Po jednym w każde z kół.

Wzięci z zaskoczenia, całkiem zdezorientowani terroryści nie mieli czasu zareagować, gdy stracili kontrolę nad terenówką, którą zarzuciło. Uderzyła w centralną barierkę i odbiwszy się od niej, gwałtownie wystrzeliła na środek jezdni.

Jadące obok porsche cayenne z całą mocą wyrwało do przodu i o włos uniknęło przytarcia, po czym zrównało się ze swoim bliźniakiem kilkadziesiąt metrów dalej.

X5 śmignęło po asfalcie i nabrawszy rozpędu, przekoziółkowało. Wykonało dwie beczki, później ślizg w strumieniu iskier, a w końcu znieruchomiło, leżąc na dachu wśród rozbitych szyb i innych szczątków.

Dwadzieścia metrów dalej oba porsche zahamowały ostro, to samo zrobiły minivany trzydzieści metrów w tyle. Ich boczne drzwi otworzyły się natychmiast, a ze środka wynurzyli się członkowie GIGN i schronili się za pojazdami lub tarczami bojowymi.

Z X5 wysunęło się ramię, później wygramolił się z niego przez okno mężczyzna, podczas gdy drugi wyłaził przez uchylone drzwi. Czegoś szukali.

Posypał się grad wezwań, żeby się nie ruszali, wycelowano w nich kilkanaście luf.

Ponieważ terenówka terrorystów nie nadawała się już do użytku, oba porsche usunęły się i ustawiły wzdłuż muru, by nie znajdować się na przedłużeniu linii ognia kolegów.

Pojawił się kałasznikow. Jeden z terrorystów uniósł go w kierunku wojskowych i zaraz rozbrzmiała ogłuszająca salwa strzałów, ścinając napastnika z nóg, tak że poleciał na plecy. Drugi, który się pokazał, trzymał w ręku pistolet i zdążył posłać dwa naboje w stronę

minivanów, zanim jego kolana eksplodowały i zwałił się na ziemię.

W kabinie X5 przemieszczał się cień, pełznąc na tył samochodu.

Żandarmi znów powtórzyli rozkaz, żeby się poddał, by się nie ruszał.

Woń prochu, wyciekającej z terenówki benzyny, która rozlewała się po asfalcie, oraz stres sprawiały, że nie dało się oddychać.

Męski głos wzniósł po arabsku okrzyk na chwałę Boga.

Później eksplozja w postaci potwornej kuli ognia wystrzeliła setki pocisków, siekąc pasażerów pojazdu na kawałeczki.

Fala uderzeniowa zmiotła wszystkie znaki drogowe, przewróciła ludzi i stłukła wszystkie szyby w pobliżu, a potem w niebo wzbił się czarny grzyb.

Czarny od nienawiści.

Abel Frémont zamknął oczy. Mruczał coś do siebie.

*Czyżby się modlił?* zastanawiała się Ludivine.

Segnon szykował się, by wskoczyć do przedziału tuż przed nim i w razie potrzeby uderzyć na alarm.

Abel wyjął z kieszeni telefon i ukradkiem rzucił okiem na ekran, pewnie po to, by sprawdzić godzinę.

*Czeka na odpowiedni moment. Nie ma wątpliwości, to skoordynowany zamach. Wszyscy zamierzają zaatakować w tym samym czasie.*

Teraz Abel nie patrzył już na pociąg, ale w zamyśleniu studiował własne stopy.

Ludivine dała Segnonowi znak, że może się wycofać. Jeszcze nie, to nie ten pociąg.

Podczas gdy wagony ruszały z miejsca, dwoje żandarmów odeszło na bok, żeby nie ściągać na siebie uwagi, i usiadło na ławce kawałek dalej. Ludivine nie była szalona, wiedziała, że lepiej pozwolić, by chłopakiem zajęła się wyspecjalizowana jednostka interwencyjna, lecz jeśli spróbuje się zbliżyć albo będzie wyglądało na to, że zamierza wsiąść do pociągu, weźmie go na muszkę. Później zdała sobie sprawę, że młodzieniec prawdopodobnie ma na sobie pas z materiałami wybuchowymi.

– Wróc do budynku dworca – poleciała cicho koledze. – Po drodze zadzwoń do Jihana i Marca, żeby natychmiast przysłali posiłki, zablokuj wejścia, by nikt więcej nie dostał się na perony, a później każ wstrzymać ruch pociągów. Tylko bez żadnych ogłoszeń! Musimy go tu unieruchomić tak, żeby niczego się nie domyślił.

– Nie zostawię cię z nim samej.

– Nie mamy wyboru! Trzeba zabezpieczyć teren, zanim zwali się tu więcej pasażerów!

Segnon zacisnął pięść.

Ich komórki rozdzwoniły się równocześnie.

– Operacja zakończona – oznajmił Marc Ludivine. – Zneutralizowaliśmy co najmniej trzech. Dwóch gdzieś wyparowało, trzeba jak najszybciej ich zidentyfikować, zanim...

– Abel Frémont siedzi jakieś piętnaście metrów ode mnie, na dworcu w Meudon.

Cisza. Później Marc podjął:

– Jeśli ma przy sobie smartfona, szybko zorientuje się w sytuacji, zaczynają się tu spełzać media. Już jedziemy, ale on nie może wsiąść do pociągu, rozumiesz? W żadnym wypadku.

– Wiem.

– Trzymaj się.

*W żadnym wypadku.* Słowa rozbrzmiewały głośno.

Segnon też się rozłączył, Guilhem właśnie przekazał mu wieści.

– Odetnę dostęp – powiedział.

Olbrzym oddalił się najszybciej, jak się dało, bez stwarzania podejrzanego wrażenia, a Ludivine rzuciła okiem na Abła Frémonta siedzącego samotnie na ławce.

Nerwowo bawił się małym metalowym przedmiotem.

*Detonator?*

Nie wysadzi się tutaj, gdy wokół nikogo nie ma, to byłoby pozbawione wszelkiego sensu. Swoją drogą, dlaczego nie ulokował się raczej pośrodku peronu, gdzie z dużą dozą prawdopodobieństwa otaczałaby go najliczniejsza grupa potencjalnych ofiar?

Nagle Ludivine rozpoznała przedmiot w jego dłoni. Klucz służący do otwierania drzwi pociągu. Czyżby chciał użyć go w czasie jazdy? Żeby zyskać większą swobodę ruchu przy ciskaniu bomby do celu? Wyglądało to na ryzykowny plan, wokół znajdzie się mnóstwo osób mogących go powstrzymać, a nawet wypchnąć na tory, jeśli zajdzie taka potrzeba! Nawet na przodzie składu nie miałby spoko...

Gdy spłynęło na nią zrozumienie, Ludivine zakryła usta dłonią.

Nie, może jednak wcale nie włożył pasa z materiałami wybuchowymi. Nie potrzebował go. Bombą jest pociąg.

Wsiądzie przodem i swoim kluczem otworzy drzwi do kabiny maszynisty. Zabije go, by przejąć kontrolę nad lokomotywą...

Ludivine wyobraziła sobie, jakich strat może narobić maksymalnie rozpędzony pociąg, wbijając się w sam środek dworca Montparnasse... Rzeź. Horror. Wszyscy pasażerowie na pokładzie, a do tego ci czekający w hali, którzy zostaną porozrywani, zmiażdżeni...

Ten typ za żadne skarby nie może wejść do wagonu. Jeżeli zdoła zamknąć się w kabinie, Ludivine nie wiedziała, czy nawet za pomocą broni udałoby jej się go z niej usunąć.

Nie powinien nawet *zbliżyć się* do następnego składu. Nie wolno podjąć najmniejszego ryzyka, że jej się wywinie.

*W żadnym wypadku.*

Ile czasu musi minąć, zanim dotrze tu jednostka interwencyjna GIGN lub RAID, albo nawet BRI? Dwadzieścia minut? Może trzydzieści?

Ludivine pochyliła się w stronę elektronicznej tablicy ogłoszeń i z rozpaczą stwierdziła, że według rozkładu najbliższy pociąg ma się zjawić za niecałe dziesięć minut. Segnon robi, co trzeba, żeby nie wjechał na stację, nie wolno im narażać dziesiątek, jeśli nie setek niewinnych pasażerów na niebezpieczeństwo.

Abel się zorientuje. To pewne.

Ludivine rozejrzała się po peronie. Jakies dwadzieścia osób. O wiele za dużo.

A z miejsca, w którym siedział, mógł też otworzyć ogień do przechodniów na ulicy.

Nie wolno dopuścić, by zauważył, że został dostrzeżony. Ludivine musiała za wszelką

cenę go unieszkodliwić.

Jej dłoń instynktownie sięgnęła ku rękojeści sig sauera.

Segnon wdrapywał się po schodach wiodących na dworzec w towarzystwie największej liczby podróżnych, jaką udało mu się ściągnąć bez robienia hałasu.

Mimo to pozostało zbyt wielu.

Nikt nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje, nawet Abel Frémont.

*Odmawia modlitwę.*

Ludivine wiedziała, że Segnon dobrze rozegra sprawę, podobnie państwowe koleje, na ekranie zaraz wyświetli się informacja o dziesięciominutowym opóźnieniu, która wytłumaczy nieobecność pociągu i pozwoli zyskać jeszcze trochę czasu. Ale jak ewakuować wszystkich cywilów?

Abel znów zerknął na telefon.

Strategia żandarmów nie podziela wystarczająco długo, żeby specjaliści zdążyli dotrzeć na miejsce. Jedno powiadomienie z serwisu informacyjnego na komórce terrorysty mogło sprawić, że wszystko się posypie, podobnie jak zwykły SMS wysłany w przypadku, gdy jego wspólnicy nie wywiążą się z ustaleń, jakkolwiek mieli plan. Nie wspominając już o piątym draniu, tym zaginionym, on też uświadomi sobie, że sprawa się rypla, i najprawdopodobniej zadzwoni do Frémonta.

Ten wyjął właśnie z kieszeni jakąś tubkę i połknął jej zawartość. Ludivine wiedziała, co robi. Czytała, że większość terrorystów postępuje w ten sposób tuż przed atakiem.

*Koktajl ze środków przeciwbólowych. Ostatnie przygotowania. Szprycuje się, by móc działać jak najdłużej, nawet jeśli zostanie ranny.*

Ogarnęło ją zdenerwowanie, noga jej podrygiwała.

Nagle Abel wstał.

Serce Ludivine jeszcze przyspieszyło.

Zawahał się, po czym ruszył w jej stronę, w kierunku dworca.

Dlaczego zmienia pozycję? Czy właśnie dowiedział się czegoś o swoich kompanach?

Jeśli minie Ludivine, znajdzie się dużo bliżej podróżnych czekających na pociąg. Nie mogła na to pozwolić. To zbyt niebezpieczne. Powstanie ryzyko, że weźmie zakładników albo zrani wiele osób. Jeśli jest uzbrojony w granaty, to może tego dokonać nawet na odległość...

*W żadnym wypadku.*

Musiała zareagować. Podjąć decyzję.

Może idzie tylko kupić butelkę wody albo oddać mocz...

*Zdecyduj się! Jeśli cię minie, wszyscy znajdą się na jego łasce!*

Ludivine jednym ruchem odpięła kurtkę, wyjęła broń i wycelowała w niego.

– ŻANDARMERIA! ABLU FRÉMONT, NIE RUSZAJ SIĘ! – Młody mężczyzna zastygł, zaskoczony, z dłońmi w kieszeniach. – POKAŻ RĘCE I UNIEŚ JE POWOLI NAD



GŁOWĘ. JUŻ! – warknęła Ludivine.

Zdawało się, że wygasłe spojrzenie chłopaka ponownie się rozświetliło, gdzieś w głębi jego czaszki na chwilę zabłysła iskierka łącząca go ze światem. Impulsy elektryczne atakowały jego synapsy ze wszystkich stron. Próbował zrozumieć.

– SZYBKO! – naciskała Ludivine, podczas gdy za jej plecami ludzie cofali się najdalej, jak się dało, pchani odruchem paniki i cudzymi krzykami.

– Skąd pani wiedziała? – spytał Abel spokojnie.

*Jeśli ma na sobie pas samobójcy, to stoi za blisko mnie... Być może właśnie go uzbraja!*

Próbowała zachować panowanie nad sobą. Przede wszystkim nie wolno jej strzelić, gdyby go zabiła, a potem wyszłoby na jaw, że nic przy sobie nie miał, nie dysponowałaby żadną wymówką, gdyby natomiast chybiła albo gdyby przeżył trafienie, mógłby odpowiedzieć, wysadzając się w powietrze... Co gorsza, jej kula mogła naruszyć ładunek wybuchowy.

*Graj na czas. Postaraj się, by napięcie opadło.*

– Dzięki biletowi na pociąg porzuconemu w waszym warsztacie – rzuciła, tym razem już bez wrzasków, za to z autorytetem w głosie. – A teraz wyciągnij ręce z kieszeni.

Abel wzruszył ramionami i Ludivine prawie nacisnęła spust, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili.

– Nie mam na sobie bomby – wyznał z niepokojącą szczerością.

*Możliwe, że kłamie!*

– Twój plan polegał na wbiciu rozpędzonego pociągu w dworzec Montparnasse, prawda? Zmarszczył brwi.

– To też pani wie?

– Wiemy wszystko – zablefowała. – Nie mieliście żadnych szans. To już koniec. Porzuć marzenia o śmierci i poddaj się. Istnieje tu przyszłość, nawet dla ciebie.

Abel powoli potrząsnął głową, odraza i nienawiść znów wybijały się na powierzchnię.

– To Allah decyduje o mojej przyszłości, nie wy.

– Chcesz tutaj umrzeć, czy tak? Nie zrobiwszy nic ze swoim życiem?

– Jestem żołnierzem Boga, to jest moje życie. Bronię mojej religii przed ciemnościami takimi jak wy, przed kuffar, którzy zasługują na śmierć. Nie ma innych praw poza boskimi.

*Świetnie, gość odpowiada, kontynuuj, przykuj jego uwagę...*

– Jeżeli cię tu zabiję, nikomu ani niczemu się nie przysłużysz. Chcesz, żeby tak właśnie mówiono o tobie tam na górze?

– Stanę się symbolem dla moich braci! Co pani sobie wyobraża? Że po nas to się skończy? To dopiero początek, słyszy mnie pani? Dopiero początek!

– Państwo Islamskie w Iraku i Syrii jest stopniowo rozbierane na kawałki. Wręcz przeciwnie, Abel, to koniec.

*Nawiąż dialog. Zyskaj na czasie.*

Właśnie dlatego zwróciła się do niego po imieniu, by zadzierzgnąć więź.

– Nic pani nie rozumie! Odbudujemy Kalifat gdzie indziej! To, co ukradliście nam tam, odbierzemy sobie tutaj. Zawsze znajdą się bracia gotowi dalej toczyć walkę. Będą szerzyli przesłanie w Internecie, żeby wszyscy muzułmanie we Francji i innych krajach zrozumieli, że ich tak zwane narody robią z nich bezbożne owieczki, ponieważ chcą ich kontrolować, a przecież istnieje tylko jedna droga, ścieżka Allacha! Szariat dla wszystkich!

Abel się pocił. Jedną rękę wyciągnął przed siebie, kreśliła łuki w powietrzu, druga była dużo bardziej niepokojąca, poruszała się bowiem pod płaszczem. Czy to oznaka nerwowości, czy może coś szykował?

Ludivine ogromnym wysiłkiem woli wyrównała oddech, żeby nie pęknąć. Nie strzelić.

– Bracia wezwą rozwścieczone przedmieścia do powstania – nalegał Abel – tak by wybuchła wojna domowa! Oto plan Daeszu! Chce, żeby rozpętał się tu chaos, żeby zapanowała nienawiść! Żeby wszyscy Francuzi zaczęli walczyć między sobą. Żeby dzięki strachowi władzę przejęły skrajnie prawicowe partie! Żeby wszyscy coraz bardziej stygmatyzowali muzułmanów. Aż w końcu wyznawcy Allacha poczują się tak znienawidzeni, że nie pozostanie im nic innego, jak tylko chwycić za broń. Wszyscy to zrobią! Wrócą na prawdziwą ścieżkę Allacha i zostaną mudzahedinami! Wojna ogarnie całą Europę! A potem cały świat i islam zatryumfuje! Oto jaka jest prawda! To dopiero początek, mówię pani! Daesz może sobie tam upaść, my wkrótce będziemy tutaj!

Biły od niego nienawiść i religijna gorączka. Prowadził ten doskonale doszlifowany wywód, zaszczepiony głęboko, jakby chciał sam siebie upewnić, nadać sens swoim szalonym czynom.

*Co on majstruje tą schowaną dłońią?*

Ludivine zaobserwowała u siebie początki paniki. Palec wskazujący coraz mocniej naciskał spust, z czego zdała sobie sprawę w ostatniej chwili, aby uniknąć nieszczęścia. Czy powinna po raz kolejny kazać mu wyjąć rękę z tej przeklętej kieszeni?

*Nie, zerwiesz więź. Dalej sprawuj kontrolę za pomocą słów, do diabła!*

Musiała odzyskać panowanie nad sytuacją.

– Islam to jedna z największych religii na świecie. A religia, która trwa od tak dawna i przyciąga tak wiele dusz, nie może równać się z obietnicą wojny.

Dyskusja była surrealistyczna, biorąc pod uwagę fakt, że z obu stron mogła w każdej chwili nadejść śmierć.

– Co pani może wiedzieć o islamie, hm?

– Wiem tyle, ile każdego dnia uczą mnie o nim liczni muzułmanie udzielający lekcji szacunku, tolerancji i miłości. Wiesz, co to dysleksja? Objawia się na przykład przedstawianiem liter, trudnościami z czytaniem. Ty i twoi przyjaciele jesteście religijnymi dyslektykami. Mylicie się co do znaczenia tekstów, które czytacie, sądząc, że postępujecie słusznie, podczas gdy w rzeczywistości zwyczajnie zwodzi was błędna percepcja. – Abel kręcił głową, odrzucając to, co słyszał, lecz Ludivine uparła się, by doprowadzić myśl do

końca: – Dysleksja to rodzaj dysfunkcji, ale można nad nią pracować, leczyć ją. Ty też możesz pokonać tę drogę. Islam jest prawdziwy, masz głęboką wiarę, ale źle ją interpretujesz, poplątałeś niektóre wątki. Obiecuję, że istnieje rozwiązanie.

– Przestań mówić o islamie, tylko go kalasz!

Nagle szarpnęła się tak gwałtownie, wciąż nie pokazując dłoni, że Ludivine po raz kolejny niemal wystosowała śmiertelną replikę. Nie mogła już dłużej tego znieść. Serce dudniło jej w skroniach.

– Możemy ci pomóc...

– Zamknij się!

– Abel...

– Stul pysk!

Pojmując, że chłopak wpada w histerię, Ludivine podniosła głos i w końcu straciła wszelką kontrolę:

– Świetnie. A teraz ręce do góry i na kolana!

– Całe życie padałem przed wszystkimi na kolana i nigdy nic mi z tego nie przyszło, żadne uznanie, żaden szacunek. Wolę zdechnąć, niż uklęknąć przed niewierną samicą, a do tego glina! Prędzej umrę!

Zapalczywym gestem wyciągnął rękę z kieszeni. Wszystko trwało zaledwie sekundę, w tym czasie Ludivine zauważyła, jak klucz z pociągu mknie ku ziemi... Palce terrorysty trzymały teraz wycelowany w nią rewolwer.

Do tej pory Ludivine powstrzymywała się przed zabiciem go i nawiązała kontakt. Kiedy ujrzała chrom broni, było już za późno.

Abel Frémont pierwszy nacisnął spust.

Ale na peronach głośnym echem odbił się huk podwójnego wystrzału.

Policzek Abła zapadł się, powstała na nim czerwona kropka, a tył jego czaszki odpadł w gejzerze krwi i materii mózgowej.

Segnon stał na drugim peronie, naprzeciwko, z dymiącym pistoletem w dłoni.

Ludivine upadła na kolana.

Kula prosto w serce.

Ludivine ledwie starczyło czasu, by zrozumieć, że to koniec.

W jednej chwili poczuła cios w pierś. Pocisk trafił ją na wysokości serca, a fala uderzeniowa rozprzestrzeniła się po całym torsie, łamiąc kilka żeber nadwerężonych już w wyniku napaści nagiego mężczyzny.

Jej płuca nagle całkiem opróżniły się z powietrza.

Odniosła wrażenie, że równocześnie stanęło serce.

Szarpnęło nią w tył, grzmotnęła w słup i osunęła się do przodu, opadła na kolana, a potem zwała się na ziemię. Wciąż jeszcze przytomna, widziała, jak peron zaczyna niknąć za czarnymi plamami przesłaniającymi jej wzrok. Świst wystrzałów przewiercał jej bębunki.

Niezdolna oddychać, ze ściśniętą klatką piersiową, zagłębiła palce w szczeliny podłóża, jakby chciała znaleźć ubytek, przez który ewakuuje to umęczone ciało. Usta miała szeroko otwarte, rękoma chwytając powietrze – a może zamierzała w ten sposób złapać własną duszę, gdyby ta próbowała z niej ulecieć.

A jednak jej serce wciąż biło, słyszała je. Tak naprawdę wcale się nie zatrzymało. Pewnie wypompuje z ciała całą krew. Z każdym uderzeniem będzie jej się robiło coraz chłodniej, aż spowije ją lodowaty całun śmierci.

Segnon pokonał tory i podciągnął się na peron obok niej, odwrócił ją twarzą do nieba. Panikował. Spojrzeniem zbadał jej ciało, by zlokalizować punkt trafienia, a gdy go spostrzegł, zbladł.

– Trzymaj się, Lulu, trzymaj się!

Pociągnął za zaczepy czegoś ciężkiego, zerwał to z niej i uwolnił ją spod przygniatającej ją warstwy.

Powietrze wróciło gwałtownie, wcisnęło się do jej płuc, a ona wygięła się w łuk, dysząc ciężko. Każdy oddech sprawiał jej ból, ale nie stanowił już problemu. Jej serce nadal biło w tym samym szybkim rytmie. Nie zauważyła, by z jakiegokolwiek miejsca na jej ciele sączyła się ciepła krew.

Segnon odrzucił kamizelkę kuloodporną, która zatrzymała pocisk, i ujął twarz partnerki w swoje wielkie dłonie. Jednocześnie śmiał się i płakał.

– Och, kurwa... To nieprawda... Jesteś tu, faktycznie tu jesteś. Już dobrze, jestem przy tobie...

Chwyliła go i uściśnęła mocno.

Piąty terrorysta szybko zrozumiał, że cały plan wziął w łeb, media w kółko pokazywały zadymioną obwodnicę i niemal w czasie rzeczywistym nadały informację o strzałach na podmiejskim dworcu niedaleko centrum. Słowo „terroryzm” widniało wszędzie, w całym Internecie i na portalach społecznościowych, niczym mrozący krew w żyłach totem nowej ery.

Spanikowany mężczyzna w pośpiechu opuścił dworzec w Maisons-Alfort-Alfortville.

W następstwie ataku na obwodnicy zdjęcia trzech znanych terrorystów rozpowszechniono w prawie wszystkich mediach, podkreślając, że jeden z nich nadal pozostaje na wolności.

DGSI i paryski WŚ w niespełną godzinę zebrały parę kluczowych zeznań od naocznych świadków. Spośród setek telefonów od ludzi, którzy twierdzili, że widzieli poszukiwanych to tu, to tam, praktycznie na całym terytorium kraju, kilka okazało się niezmiernie pomocnych.

Śledczy przypuszczali, że plan zakładał przejęcie dwóch pociągów i że drugą stację początkową wybrano tak, by masakra przyniosła jak najwięcej ofiar śmiertelnych. Bmw wracało z Meudon, gdy zostało zatrzymane, a zważywszy na ilość czasu, jaką dysponowała komórka, by rozmieścić samotnych bojowników, drugi punkt startowy mógł leżeć jedynie na wschodnim lub południowym przedmieściu Paryża.

Jako priorytetowe potraktowano świadectwa potwierdzające, że człowiek kropka w kropkę przypominający Mousse Bakraniego przebywał na dworcu Maisons-Alfort, z którego następnie uciekł. Śledczy przejęli nagrania monitoringu, szczegółowo je zbadali i wkrótce byli w stanie prześledzić trasę młodzieńca.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom udał się prosto do warsztatu w Saint-Denis. Prawdopodobnie spodziewał się, że część towarzyszy jakoś się wykaraskała, wrócił więc, by ustalić z nimi nową strategię. Nie wszyscy mogli pochwalić się ostrożnością, inteligencją i wrodzoną nieufnością TZ, ich lidera. Szczęście w końcu uśmiechnęło się do stróżów porządku, bo akurat tę kryjówkę znali. Gdyby Moussa Bakrani postanowił wrócić do ich początkowej bazy, której lokalizacji nadal nie odkryli, przemknąłby się między oczkami sieci...

Członkowie RAID czyhający nieopodal warsztatu spadli mu na kark tak szybko, że nie zdążył nawet sięgnąć po broń, po czym zabrali go do siedziby DGSI w Levallois.

W drodze wyjątku Ludivine, która leczyła połamane żebra swoją własną metodą, czyli pracując, otrzymała pozwolenie na udział w części przesłuchania. Prowadził je Marc,

w małym pomieszczeniu zawierającym jedynie stół i dwa krzesła.

– Mouso, potwierdzisz nam tożsamość swoich koleżków, którzy spłonęli w samochodzie. – Już na początku spotkania wielki twardziel zasnuował usta i nie sposób było wyciągnąć z niego choćby słówka. – Masz świadomość, że jeśli nie poznam przynajmniej ich nazwisk, zostaną pochowani jak psy, jedni na drugich w zbiorowej mogile wraz z nieznanymi? – Zdawało się, że ta myśl wybitnie nie przypadła do gustu ocalałemu, który po raz pierwszy spojrzął Marcowi w oczy. Ten wykorzystał to, by dołożyć kolejną cegielkę: – Nikt nigdy nie dowie się, kim byli. Kim byli ci chłopcy, którzy poświęcili się dla Allacha. Pozostaną bezimienni. A wiesz, jak to teraz działa, jeżeli nikt nie zna twojego nazwiska, to tak, jakbyś w ogóle nie istniał! Wyjdzie na to, że zginęli na darmo. To jednak kretynstwo, robić to wszystko tylko po to, by skończyć w jednym dole z niewiernymi, być może z Żydami i...

– Niech pan nie obraża ich pamięci, umarli w chwale i są teraz w raju.

– Tyle że nikt nigdy się o tym nie dowie, jeżeli nie zaczniesz gadać. Chcieli, żeby usłyszał o nich cały świat, żeby ludzie wiedzieli, do czego są zdolni, a ostatecznie oddali życie anonimowo. Podaj nam ich nazwiska i ofiaruj im chociaż tę przyjemność, Mouso, że zostaną wspomniani w wiadomościach. Zrób to dla ich krewnych, żeby mogli godnie ich pochować, jako muzułmanów, z nazwiskiem na nagrobku.

Marc od początku blefował. Był pewien, że do momentu całkowitego zamknięcia śledztwa uda mu się zidentyfikować wszystkich, chciał jednak zaoszczędzić na czasie, uzyskać potwierdzenie, co więcej, obsesyjnie dręczyło go pewne jasno sprecyzowane pytanie, które chował w rękawie, by wyciągnąć je w ostatniej chwili.

– No dobrze, rozegramy to inaczej. Abel czekał na dworcu w Meudon. Ty w Maisons-Alfort. Kim byli ci trzej w samochodzie? Znalazł się wśród nich Ahmed. Kto jeszcze? – Moussa wyglądał na wytrąconego z równowagi. A zatem DGSI znało ich tożsamość? Po co więc te wszystkie pytania? – No tak, widzisz, jesteśmy tylko debilnymi niewiernymi – dorzucił Marc.

Żrenice Moussy wędrowały z prawa na lewo, jakby próbował coś zrozumieć albo dostrzec niewidzialną wiadomość unoszącą się gdzieś przed jego twarzą.

Marc uznał, że nadszedł czas, by przejść do sedna problemu:

– Kto wytwarzał materiały wybuchowe? Cholernie dobra robota, beemka była nimi wypchana po sam dach, momentalnie stanęła w ogniu.

– Ahmed – wyznał Moussa, ledwie poruszając wargami.

– Słucham?

– To Ahmed wyprodukował bombę.

Marc nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Węszył podstęp.

– Jak to zrobił?

– Nie wiem, chyba z nawozu.

– A gdzie? W warsztacie?

– Nie, miał gdzieś spokojny kącik, nie wiem gdzie, taka była zasada: nic sobie nie mówimy.

Marc podejrzewał, że Ahmed Menouyi pełnił funkcję logistyka komórki, że załatwił broń dzięki kontaktom w środowisku przestępczym, do którego przez długi czas należał, lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby zajmować się również produkcją ładunków wybuchowych. Założenie trzymało się kupy, była w nim nawet pewna logika, agent zastanawiał się jednak, gdzie terrorysta się tego nauczył.

– Skąd wiedział, jak zrobić bombę? To nie jest powszechnie dostępna wiedza.

– Z Internetu, są tutoriale, wystarczy postępować zgodnie ze wskazówkami.

Marc wykrzywił twarz w grymasie. Zdawał sobie sprawę, że to możliwe, choć ryzykowne, co jednak, zważywszy na determinację grupy, nie powinno ich było powstrzymać. Postanowił zbadać szczerłość zatrzymanego:

– Jaki był cel beemki?

Moussa znów się zawahał. Namyslał się pośpiesznie. Potem, wydawszy z siebie długie westchnienie, oznajmił:

– Początkowo zamierzaliśmy wysadzić Champs Élysées wieczorem trzydziestego pierwszego grudnia.

– Za ponad trzy tygodnie? Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nie, nie, to prawda! Załatwiliśmy nawet ciężarówkę, dzięki której moglibyśmy udawać, że prowadzimy roboty drogowe, i zejść do kanałów przez studzienki. Ładunki miały być rozmieszczone co jakieś sto metrów, w sumie ponad dwie tony. Planowaliśmy rozłokować wszystko w tym tygodniu, zanim poziom ochrony wzrośnie ze względu na zbliżające się święta. Chcieliśmy poczekać i uderzyć w sylwestra. Bum! Najpiękniejsza ulica świata wylatuje w powietrze wraz z tymi wszystkimi ludźmi, którzy uważają się za lepszych.

– Dlaczego zmieniliście zdanie?

– Bo sprawa była z góry przegrana! Dwa razy prawie nas capnęli. Stale kręciły się tam tłumy, a przewrażliwieni gliniarze zaczynali przyglądać się każdemu autu, które parkowało w pobliżu dłużej niż dziesięć minut. Wtedy Ahmed zaproponował, żebyśmy zmodyfikowali plan, wypakowali X5 materiałami wybuchowymi i pojechali na jarmark bożonarodzeniowy przy końcu Pól Elizejskich.

– Zamierzaliście się tam wysadzić?

– Tak.

– Dlaczego dzisiaj?

– Bo Ahmed bał się, że ktoś na Polach przyuważył nas z tą furgonetką, nie mogliśmy dłużej zwlekać. Środa w południe, wszyscy ci turyści i dzieciaki, to symboliczne. Bum, poszło z dymem! A potem walilibyśmy z kałacha we wszystko, co się jeszcze rusza, aż przyjechaliby gliniarze mający nas unieszkodliwić. Ahmed powiedział, że przemienimy te

wasze święta we wspomnienie śmierci.

– Nie wszystkie wyprodukowane przez was materiały wybuchowe trafiły do beemki. Gdzie reszta?

Kolejne zaskoczone spojrzenie Moussy. Kolejne zawahanie.

– W furgonetce, którą sfajczyliśmy.

– Spaliliście własną bombę?

– Ostatecznie potrzebowaliśmy dużo mniej, niż pierwotnie sądziliśmy, co niby mieliśmy z tym zrobić? Całość nie zmieściłaby się w terenówce. Dwie tony!

Moussa zaczął puszczać farbę, Marc postanowił więc wyjść z najistotniejszym pytaniem:

– Kto dowodził grupą?

– Ahmed.

– Jesteś pewien?

Czarne źrenice utkwione w czarnych źrenicach. Żaden nie odwrócił wzroku.

– Zamierza pan przekształcać moje odpowiedzi w dalsze pytania?

– Czemu on?

Moussa wzruszył ramionami.

– Bo tak i już. Miał sieć kontaktów, miał gnaty, potrafił zrobić bombę, był najstarszy, najbardziej doświadczony, charyzmatyczny, i tyle.

Ahmed był TZ.

Marc zaczynał dostrzegać pełny obraz sytuacji. Abdelmalek Fissoum grał rolę ideologa, Laurent Brach to zwykły bezpiecznik mający zrekrutować pośrednika, którego nie wytropi DGSI – Sida Azzelę – Anthony Brisson zajmował się sprzątaniami, a do tego dochodziło komando złożone z Abła Frémonta, Moussy Bakraniego, Ahmeda Menouyi, lidera, terrorysty ogniska, od którego wszystko się zaczęło, i dwóch innych, dotąd niezidentyfikowanych członków.

– Skąd znasz Ahmeda? – chciał wiedzieć agent.

– Znikąd. Spotkałem go w ostatniej chwili.

Więc to faktycznie Fissoum wyselekcjonował mężczyzn tworzących komórkę.

– Od kogo przyjmował rozkazy?

– W jakim sensie?

– Ahmed wami dowodził, ale kogo sam słuchał?

– Nikogo. Ahmed był wyjątkowy... Nie należał do ludzi, którzy kogokolwiek słuchają. Pan go nie zna. Przeżył tysiąc żyć, to było widać. Wszystko umiał zrobić. Nie wiem, skąd naprawdę pochodził, nic nie mówił, ale jestem pewien, że umarł z uśmiechem na ustach, pokój i błogosławieństwo Allacha niech będą z nim.

W tej kwestii Marc musiał przyznać aresztantowi rację. Ahmed był tym, który sięgnął po kałasznikowa, by otworzyć ogień do GIGN, i wtedy poległ.

– Kim byli dwaj pozostali, którzy jechali z nim autem?



– Dlaczego mnie pan o to pyta, skoro znacie już wszystkie nazwiska?

– Pomóż mi je potwierdzić, żebyśmy złożyli odpowiednie ciała w odpowiednich grobach.

Moussa potrząsnął głową. Pojął, że DGSI nie odkryło jeszcze wszystkiego. W tym momencie komunikacja się urwała. Marc nie mógł wyciągnąć z niego nic więcej, wyszedł więc na korytarz, gdzie przy uchylonych drzwiach poczekał na Ludivine.

– Oto jaki typ faceta kryje się za słowem „terrorysta” – rzucił zblazowanym tonem.

– Taki, któremu trudno przemówić do rozsądku. Niełatwo będzie go wyleczyć z zapatrywań nabytych w wyniku indoktrynacji.

– To jeden z tych święcie przekonanych. Nie mamy żadnych szans. Z pewnością zdradził nam tylko tyle, ile chciał. Więcej się od niego nie dowiemy. A dyskusja o poglądach nie wchodzi w jego przypadku w grę.

– Może z czasem, dzięki jakiemuś imamowi, powróci do umiarkowania.

– Własną wizję religii ma na trwałe złączoną z ciałem, nie uzna żadnej innej interpretacji. Jesteśmy jak dwie cywilizacje, które siedzą naprzeciw siebie przy stole i sprzeczą się o to, czy dzieli je szóstka czy dziewiątka. Czasem niektórzy są skłonni pójść na ugodę i przyznać, że to kwestia punktu widzenia, ale nie sądzę, żeby on się do nich zaliczał.

– Dość szybko zaczął sypać – zauważyła Ludivine.

– Często tak się dzieje. Odczuwają potrzebę, by omówić fakty, skoro nie mogą podyskutować o religii. Nie jesteś zbyt rozczarowana?

– Czym?

Marc wskazał zatrzymanego przez okno.

– Nim. Zwykle nie dorastają do naszych wyobrażeń. Człowiek spodziewa się geniuszy zła o żywym spojrzeniu, z gotową odpowiedzią na wszystko, a większość z nich to jedynie zindoktrynowane rzezimieszki. Sama słyszałaś: odstąpili od swojego wielkiego planu, bo prawie dali się capnąć. Champs Élysées, bagatela! Czego oczekiwali? Że pozwolimy im w spokoju podłożyć bombę? To najlepiej strzeżona ulica w Paryżu... Elita przestępczego świata... Na szczęście zazwyczaj tak to właśnie wygląda. Dlatego ich łapiemy.

Szli teraz wolno korytarzem.

– Twierdzisz, że dotyczy to większości, czy to znaczy, że istnieją też... bystrzejsi?

– Niestety. Fanatycy, którzy starannie się przygotowują i są na tyle sprytni, że osiągają cel. Te rzadkie wyjątki, które prześlizgują się pomiędzy oczkami naszych sieci i trafiają na pierwsze strony gazet wraz z listą swoich ofiar. – Po kilku krokach dorzucił: – Jestem zawiedziony, że nie wzięliśmy TZ żywcem.

– Liderzy są najbardziej zdeterminowani, prawda? Ahmed nic by nie powiedział...

– To możliwe, ale chętnie usiadłbym naprzeciw niego. Trzeba będzie przestudiować jego przeszłość, zrozumieć, skąd się wziął, jak wyglądała jego życiowa droga, ta prawdziwa, w odróżnieniu od historyjki, którą wcisnął ludziom wokół i przedstawicielom władz. Może dzięki temu wpadniemy na nowe tropy, które pozwolą nam rozmontować inne sieci.

Ludivine położyła dłoń na ramieniu Marca.

– Najważniejsze jest to, co dzisiaj. Mamy ich. Będą inni, oczywiście, a wtedy cały cyrk zacznie się od początku i jeśli szczęście nam dopisze, znów wpadną w nasze ręce, ale na razie cieszymy się wygraną bitwą. Wojna może potrwać długo, powinniśmy więc celebrować każde zwycięstwo. – Marc skinął głową. Zdawał się jednak niezdolny do wykrzesania z siebie radości. – O czym myślisz? – spytała kobieta.

– We Francji nigdy nie przydybiemy nikogo poza agentami terenowymi. Kto finansował tych typków? Kto przez długi czas działał w cieniu, żeby pchnąć ich w stronę terroryzmu? Ludzie tacy jak Zineb Razaf, Tunezyjczyk, którego pokazałem ci któregoś wieczoru w tamtym pałacu, goście, którzy grają na dwa fronty, zonglując naszymi interesami strategicznymi i gospodarczymi, by zapewnić sobie nietykalność. Czasem któryś pada w wyniku operacji wojskowej lub misji zaplanowanej po kryjomu przez DGSE, lecz do większości nie sposób się zbliżyć. To najmożliwszy z możliwych. Trzymają się na uboczu i tam pozostaną, a my nie możemy nic z tym zrobić.

Ludivine nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zadowolili się więc dotrzymywaniem mu towarzystwa.

Miał rację, świat składał się z rozczarowań, rozwianych złudzeń i niesprawiedliwości. Wiedziała jednak, że gdzieś w głębi skrywa skarby życia, które czynią go fascynującym, niemal godnym wybaczenia.

Ona zaś wybrała swoją drogę.

Postanowiła kroczyć ścieżką nadziei.

Za wszelką cenę.

Gdy Francja poznała naturę zamachów, których właśnie uniknęła, podniosła się fala oburzenia. Atak na Champs Élysées, w którym ucierpiałyby między innymi dzieci, do tego pociągi wbijające się w dworce – te słowa wystarczyły, by sceny z najstraszniejszych filmów rozkwitły w ludzkiej wyobraźni porządnie dokarmionej już minionymi tragediami. To niemożliwe, nie do pomyślenia, nie do zaakceptowania. W wiadomościach telewizyjnych na okrągło transmitowano obrazy z obwodnicy, na której roło się od gliniarzy i gdzie na środku tkwił dymiący wrak. Francja, wciąż wstrząśnięta po niedawnych zamachach, wciąż wrażliwa, przyjęła tę udaremioną próbę niemal jako wyzwanie. W mediach społecznościowych upowszechniło się kilka ruchów solidarnościowych i wszyscy szybko zgodzili się co do konieczności dowiedzenia, że kraj potrafi się zjednoczyć, uzgodnili, że nadszedł czas, by wysłać zdecydowaną wiadomość całemu światu, poczynając od środowiska terrorystów, w którymkolwiek zakątku globu się kryło. Powiedzieć: „Nie!”. Masowo. Szaleńcy sięgali po broń, by siać nienawiść, Francja zamierzała wyjść na ulice i w odpowiedzi dać wyraz braterstwu.

Ogłoszono, że marsz wolności wyruszy z paryskiego place de la République, szczególnego miejsca zgromadzeń, którego nazwa miała potężny symboliczny wydźwięk stojący w opozycji do antywolnościowego systemu propagowanego przez fanatyków.

Ludivine zastanawiała się, czy chce wziąć udział w pochodzie. Czy mogła pogodzić to z obowiązkiem zachowania dystansu, który wynikał ze służby w wojsku? Media robiły wokół akcji tyle szumu, że zjawią się ogromne tłumy, ona zaś nie była pewna, czy ma ochotę znaleźć się w takim ścisku. Spokojna sobota we własnym domu dobry by jej zrobiła. Może dołączy do niej Marc. Taką miała nadzieję. Zaczynała snuć plany. Ich wspólna historia dopiero pączkowała, lecz ona już zaczynała się przywiązywać. Te krótkie chwile szczęścia, kiedy jego imię wyświetlało się na ekranie telefonu, te wieczory, gdy podczas przygotowań do wyjścia ogarniało ją pragnienie, by śpiewać i tańczyć, te noce, na przemian słodkie i burzliwe, które kołysały ją aż do świtu. Lubiła wszystkie te momenty. A to, że Marc zachowywał się, jakby ich relacja wypływała z konkretnego źródła, tak że w ogóle nie trzeba stawiać sobie pytania o jej przyszłość, sprawiało, że miała motyle w brzuchu za każdym razem, kiedy patrzyła, jak po przebudzeniu pije w kuchni kawę, albo gdy całował ją ze słowami: „Do wieczora”. Zakochiwała się, czuła to. Po uszy. Całym swoim ciałem, całym sercem i całą duszą.

I tym razem gotowa była dać siebie innej osobie. Zamierzała wykorzystać swoją szansę.

Odsłonić się, kosztem ryzyka, że rozprysnie się na kawałki. Ale w Marcu wreszcie odnalazła osobę, której mogła zaufać i dzięki której odzyskała wiarę w siebie. Była to rzadka zaleta u mężczyzny.

W tamtym tygodniu koledzy z WŚ stale dotrzymywali jej towarzystwa, zaniepokojeni tym, co ją spotkało, nagromadzeniem złych doświadczeń. Co ciekawe, zdawało się, że Ludivine dobrze radzi sobie także z tym najświeższym. W ramionach Segnona przeżyła poniekąd własną śmierć, ale też ponowne narodziny. Przetrwiała starcie z terroryzmem, z fanatyzmem. To najważniejsze. Pierwszej nocy śniły jej się z tego powodu koszmary, ale potem już nie. Wiedziała, że ciepła skóra Marca przylegająca do jej własnej ma z tym coś wspólnego.

W piątkowy wieczór na uroczystej kolacji u Segnona i Laëtiti zgromadzili się Guilhem z żoną, Magali, Ben i Franck, a także Ludivine i Marc, który tym razem dotarł na czas. Za dużo zjedli, pili ponad miarę, sporo się śmiali, przeklinali, z całą pewnością bluźnili i nabijali się ze wszystkiego i wszystkich, by poczuć po prostu, że żyją. Przez ten grupowy rytuał każde kultywowało własną indywidualność, swoje wyjątkowe cechy.

Nazajutrz, w sobotę, Marc musiał ostatecznie na cały dzień opuścić Ludivine. Wielki marsz wolności mobilizował wszystkie służby bezpieczeństwa: wszędzie organizowano punkty przeszukań, na rogach ulic ustawiono blokady z radiowozów, a na dachach porozmieszczano nawet snajperów. Tego typu wydarzenia rzadko kiedy doczekiwały się takiego poziomu ochrony. DGSI nie zaniedbywało swoich obowiązków i jednostki uznane za potencjalnie najniebezpieczniejsze od kilku dni znajdowały się pod stałym nadzorem. Nikomu nie mieściło się w głowie, by w tym symbolicznym dniu mogło dojść do czegoś – czegokolwiek – nieprzewidzianego, wszystko urządzono więc tak, by do tego nie dopuścić. Nawet słońce już wczesnym rankiem wprosiło się na imprezę.

Ludivine nie wyszła z tego szalonego dochodzenia bez szwanku. Słowa poszczególnych jego uczestników rozbrzmiewały czasem w jej uszach, a wtedy drżała. Wracała myślami do wszystkiego, co usłyszała, wyobrażała sobie, że islamiści, którzy zaprzestali walki tam, w Iraku czy Syrii, obrali sekretną strategię i zinfiltrowali tutejszy system. Przez wiele lat żyjąc pod przykrywką, stosując takję, by upodobnić się do zwykłych obywateli, zostali informatykami na kluczowych stanowiskach, policjantami, wojskowymi, wyspecjalizowanymi technikami i zajmowali wiele innych posad, dzięki którym w odpowiednim momencie mogli podjąć działanie. Czy jeden ze snajperów mających za zadanie chronić demonstrantów z place de la République nie zacznie nagle strzelać w ludzkie kłębowisko w imię wyznawanej ideologii? Czy któryś z informatyków z dnia na dzień nie odetnie routerów istotnych dla przepływu danych albo nie wywoła bezprecedensowej fali cyberataków, która sparaliżuje kraj? Czy specjaliści z państwowych zakładów energetycznych nie przerwą dostaw prądu, by ułatwić przeprowadzenie dużej liczby zsynchronizowanych ataków? I czy nie może się zdarzyć tak, że podczas defilady

z okazji czternastego lipca jeden z żołnierzy otworzy ogień w stronę trybuny dla oficjalnych gości? A jeśli część pracowników społecznych pracujących w trudnych dzielnicach znalazła się tam raczej po to, by podsycać ogień, niż go gasić? Aby przedmieścia zapłonęły i odegrały swą rolę w prowadzonej przez przeciwnika grze, która polegała na nastawieniu Francuzów przeciwko sobie. Na sprawieniu, by kryteria etniczne i socjalne przeważały nad ideą narodowego braterstwa. Na zrobieniu wszystkiego, byle tylko władzę przejęli ekstremiści. Żeby dodatkowo nadwerężyć ludzką mentalność, by podkreślić różnice, doprowadzić do wrzenia, dzielić, aż dojdzie do całkowitej utraty zaufania i wszelkich punktów orientacyjnych.

Ludivine posuwała się za daleko, gubiła się we własnych wyobrażeniach, nie mogła zaprzeczyć, że przez resztę życia będą ją nękały następstwa tych kilku tygodni. Nagłe przebliski podczas spacerów, niespodziewane fale stresu na olbrzymich zgromadzeniach, szalone, niepokojące myśli powracające regularnie w jej codziennej egzystencji, na ulicy, na dworcu, w butiku albo podczas nieśpiesznych, odprężających chwil w parku czy na plaży... Znów pomyślała o przemowie Marca i z goryczą skonstatowała, że wcale się nie mylił, kiedy twierdził, że ich mentalność stała się mentalnością ofiar wojny.

*Myślimy i żyjemy tak, jak w czasie długiego oblężenia przerywanego błyskawicznymi atakami, niemalże na nie przygotowani, podczas gdy nasze oddziały ruszyły w bój.*

Ten kraj i okres w historii koniecznie potrzebowały trwałego wyrazu solidarności. Silnego symbolu.

Takiego jak place de la République.

Ludzka fala kołysała się lekko na placu. Przyływ we wszystkich odcieniach bieli, brązu, czerni i żółci. Marszczący się zalew mężczyzn, kobiet i dzieci. Dumne transparenty, przesłania głoszące pokój, siłę, jedność i miłość. Solidarne poruszenie nadciągające ze wszystkich stron, zwrócone ku centrum, jakby to jeden naród celebrował święto Republiki.

Niektórzy śpiewali, inni skandowali, grupki znajomych wybuchwały śmiechem, a czasem ten czy ów ocierał łzy.

Tłum ten nie był zbiorowiskiem nieznajomych, lecz odrębnym tworem powstałym w tym miejscu, zrodzonym z dzielonej chęci zwarcia szeregów, golemem z ciał i nadziei, ulepionym, by przełamać rządy terroru, których pragnęła garstka. Stworzenie poruszało się, wykrzykiwało swój entuzjazm i determinację. Na moment spoiło w całość tysiące cząsteczek tworzących jego cielesną powłokę, która właśnie miała podjąć marsz.

Pośród tej masy stał mężczyzna z rękami w kieszeniach, trochę pod wrażeniem tego wszystkiego. Nader Ensour, jordański uchodźca, przebywający we Francji od trzech lat. Trzymał się prosto, okryty płaszczem, nieomal dumny, że przyszedł, otoczony tym życzliwym mrowiem. Czuł, że w tej jednej chwili prawie stał się Francuzem.

Jego życiowa droga nie zaliczała się ani do szczególnie chwalebnych, ani do szczególnie wstydlivych, była historią człowieka, który dorastał rozdarty pomiędzy swoimi palestyńskimi korzeniami a dziedzictwem przybranej jordańskiej rodziny, dopóki ponure rozgrywki polityczne nie zmusiły go do ucieczki, po tym jak stracił już wszystko, rodziców, braci i siostry, w następstwie licznych tragedii i uwięzień. Wylądował we Francji, sam, w niehigienicznym przytułku dla bezdomnych w porte de Clichy, gdyż wszystkie ośrodki dla uchodźców były przepełnione. Nie odebrał wykształcenia kwalifikującego go do wykonywania rzadkiego lub ważnego zawodu, nie miał też żadnych specjalnych uzdolnień artystycznych, po prostu ocalał i to się liczyło. Zadowalał się byle czym, a ponieważ z natury był dynamiczny, chętny do działania i potrafił sobie radzić, szybko znalazł zatrudnienie jako pomywacz pracujący na czarno na tyłach restauracji w Levallois-Perret. Był milczkiem, zamiast tego słuchał i w ten sposób w ciągu roku nauczył się francuskiego. Później dołożył starań, by doszlifować język, wzbogacając słownictwo za pomocą darmowych gazet, które zgarniał przy wejściach do metra. Wkrótce uzbierał dość pieniędzy, by dołączyć do grupy Libańczyków i Erytrejczyków wspólnie wynajmujących mieszkanie w Clichy. Rozstanie z widokiem na obwodnicę, jej zapachami, jej hałasem i jej nie zawsze przyjazną fauną stanowiło dla niego powód do wielkiej radości.

Nader doświadczył w życiu wielu zdrad: ze strony swoich rodaków, kobiet oraz systemu. Nie ufał nikomu, nie lubił się zwierzać, nie cenił sobie życia we wspólnocie. Dlatego też mieszkanie w Clichy szybko stało się kolejnym czyścem. Wyrwał się z niego pół roku później, skazując się na wygnanie do Gennevilliers, gdzie wreszcie mógł sobie pozwolić na własny kąt, kawalerkę w kiepskim stanie, która zdawała się jednak z nawiązką zaspokajać jego skromne potrzeby. Wynajmował ją od starego zgryźliwca, płacąc mu w gotówce co cztery miesiące, bez żadnych zobowiązań remontowych. To rozwiązanie odpowiadało Naderowi, który nie miał ani środków, ani odpowiednich dokumentów, by legalnie dzierżawić coś lepszego. Im bardziej oddalał się od Paryża i jego wyziewów, tym większe poczucie niezależności zyskiwał i miał wrażenie, że pnie się po szczeblach drabiny społecznej. Do drzwi toalety przyczepił pinezkami starą mapę Francji i zakreślił Bretanię, nie bez humoru uznając, że jeśli sprawy nadal będą postępowały w tym rytmie, to któregoś dnia tam się osiedli, blisko morza, za to z dala od Paryża, jak przystało na wybitną osobistość, którą zamierzał zostać.

Pozbawiony życia towarzyskiego, myjący naczynia dla różnych restauracji w zależności od zmieniającego się zapotrzebowania, Nader miał jedynie dwie drobne słabostki: gdy tylko nadarzała się okazja, szedł do parku nieopodal swojego mieszkania i karmił gołębie, a w piątek, jeżeli mógł, wybierał się do meczetu na modlitwę.

Niemal przez przypadek dał się porwać powszechnemu ożywieniu i w to sobotnie popołudnie trafił na marsz wolności, wiedziony raczej ciekawością niż jakimkolwiek patriotycznym impulsem.

Grupa młodzieży dmącej w trąby minęła go, kiedy tak stał na olbrzymim placu de la République, który pod zalewem tłumów zdawał się malutki, i w przelocie wzięła go w ramiona, krzycząc, że są jednością. Nader rozpląnął się w uśmiechu.

Próbował utorować sobie drogę, niemal nieśmiało, żeby nie przeszkadzać, skoro jak na dłoni widać było jego status uchodźcy. Ilu się tu zebrało? Dwadzieścia tysięcy? Dwa razy tyle? A ze wszystkich stron wciąż napływali kolejni. To robiło wrażenie.

Znalazł miejsce nieopodal zajętej ławki, a jego spojrzenie przyciągnęły gołębie przycupnięte gęsto na pobliskiej fasadzie.

Później zaczął obserwować ludzi wokół. Te rodziny uczące dzieci o wartościach Francji. Tych nastolatków dzierzących kartonowe transparenty przeciwko nienawiści. Parę całującą się tak, jakby została sama na świecie. Tatę z córeczką na ramionach. W oddali dwóch odchodzących dokądś policjantów. Trzech chłopców otwarcie narkotyzujących dwie dużo młodsze dziewczyny. Związkowców w czapkach ze swoim logo, ale też w ręcznie ozdabianych koszulkach, za pomocą których mówili „nie” terroryzmowi. Oportunistycznego sprzedawcę butelek z wodą, który z pewnością spędził wieczność w punkcie kontrolnym, gdzie sprawdzono jego towar – tak bardzo wzmożono ochronę. Samotnego mężczyznę mamrocącego coś pod nosem, o smutnym spojrzeniu i czole zroszonym potem.

Nader stał blisko niego. Mimo że ów człowiek przypominał raczej „pocziwego rodowitego Francuza”, jak ujmowano to nieraz w telewizji, mówił po arabsku. Nader od razu rozpoznał ojczysty język.

Odmawiał modlitwę.

Mierząc go dłuższym, uważniejszym spojrzeniem, Nader zdał sobie sprawę, że mężczyzna jest rozgorączkowany, drży. Strumień jego słów przyśpieszał. Coś z nim było nie tak.

Nader dostrzegł w jego dłoni telefon komórkowy.

Nieznajomy szykował się, by wcisnąć zieloną słuchawkę. Zamknął oczy, wezwał Allacha i jego chwałę, po czym zawierzył mu całą resztę.

Nader rzucił się na niego. Mężczyzna nie zauważył zbliżającego się napastnika i siła ataku zbiła go z nóg. Przetoczyli się po ziemi, a telefon wyślizgnął się z rąk powalonego. Próbował pozbyć się Nadera, uderzając go łokciem w łuk brwiowy, ten jednak trzymał go z całych sił i nie dał się unieszkodliwić. Spocony mężczyzna szalał ze złości, że tak mocno przygwożdżono go do podłoża, i zadawał przeciwnikowi ciosy pięścią w twarz, raz po raz, aż biedny Nader przestał cokolwiek widzieć, złany krwią. Ale jego dłonie nie puszczały.

Przygniatał spoconego mężczyznę, jakby chodziło o demona. Więził go, by przez jak najdłuższy czas utrzymać go jak najdalej od telefonu.

Od detonatora.

Tłum wokół już się rozproszył, rozbrzmiewały krzyki. Nader miał właśnie rozluźnić chwyt, niezdolny do dalszego zachowywania przytomności w swoim obecnym położeniu, kiedy dwaj gracze w rugby rzucili się na spoconego mężczyznę, przyciskając go do ziemi.

Nader zebrał całą swoją energię, żeby nie zemdleć, i przekręcił się na brzuch, by przecesać wzrokiem podłoże, mimo częściowo oślepiającej go krwi.

Zauważył komórkę zaledwie metr od siebie i wskazał ją palcem.

– Bomba... – oznajmił swoim starannym francuskim. – Bomba!

Natężenie krzyków się podwoiło. Nadbiegli członkowie Republikańskich Kompanii Bezpieczeństwa, ale pogłoska już rozprzestrzeniła się po całym placu i wystarczyłaby byle drobnostka, by poruszenie wśród cizby spowodowało większe straty niż wybuchający granat.

A jednak Nader Ensour miał rację.

Z telefonem połączona była bomba.

W powietrzu wisiała katastrofa.

W powietrzu wisiał strach.



Pod place de la République znaleziono prawie dwie tony materiałów wybuchowych ukrytych w ściekach, gotowych stanąć w ogniu na skutek zwykłego telefonu wykonanego z komórki terrorysty. Dwie tony, które mogły zebrać żniwo w postaci ofiar śmiertelnych liczonych co najmniej w setkach, a prawdopodobnie w tysiącach.

Moussa Bakrani zakpił sobie z Marca i DGSI. Żeby zyskać na czasie. Plan nigdy nie zakładał wysadzenia w powietrze Champs Élysées. Terrorysty faktycznie zamierzali zaatakować jarmark bożonarodzeniowy, a także wjechać w dworce pociągami i zabić jak najwięcej niewiernych w samobójczych zamachach, jednak ostateczny cel tych wszystkich akcji stanowiło wywołanie fali oburzenia, jaka zwykle przetaczała się przez Francję, gdy kraj był do tego stopnia umęczony, tak dogłębnie zraniony. Żeby – zgodnie z wszelką logiką i złowieszczymi przewidywaniami – znów zorganizowano olbrzymie zgromadzenie odbywające się, podobnie jak te poprzednie, na place de la République.

Jak na ironię, demonstracja doszła do skutku, pomimo nieudanych zamachów. O mały włos uniknięto dramatu, który przysporzyłby niezliczonych ofiar i wykrwawiłby kraj, na całe lata wprawiając go w stan wstrząsu. O mały włos, a wszystko dzięki człowiekowi nazwiskiem Nader Ensour. Chociaż był skromny, nieśmiały i za nic nie chciał się afiszować, dziennikarze zdołali ustalić jego tożsamość, a urzędowa fotografia z jego podania o azyl już od poniedziałku królowała na pierwszych stronach wszystkich gazet. Bohater narodowy.

On, nieznaczący imigrant, stał się symbolem.

Symbolem odwagi, ale również dowodem na to, że walki z terroryzmem nie wolno pozostawić wyłącznie w gestii wyspecjalizowanych służb. Żadne zwycięstwo nie byłoby możliwe bez zaangażowania każdego z nas. Kompetentnego gliniarza i zwykłego obywatela. Policja nie była w stanie dotrzeć wszędzie, robić wszystkiego. Poza tym to już nie tyle walka, ile prawdziwa wojna, dotycząca i angażująca wszystkich, z urzędu powołująca każdego do zmierzenia się ze złem.

Wszystkie media chciały wiedzieć, kim jest Nader Ensour, jak wyglądały koleje jego losu, jego życie. Człowiek uosabiający wytykanych palcami uchodźców właśnie ocalił Francję. Historia zdawała się zbyt piękna, by nie wałkować jej w kółko, i wkrótce mówiono już tylko o nim, zaś o terrorystach nie wspomniano prawie wcale.

A jednak znalazł się szósty, którego istnienia nikt się nie domyślał. Ostatnie ogniwo łańcucha. Marco Izzeni, zwany Abu Youssefem, któremu udało się uniknąć radarów wywiadu, ponieważ wiódł z pozoru banalne życie. Wychodził wieczorami, pił, odwiedzał

dziewczyny i znalazł zatrudnienie w przedsiębiorstwie kanalizacyjnym. By móc wykonywać ten zawód, dał wyraz niespotykanej determinacji. Było to jego marzeniem, jego obsesją, przez kilka miesięcy wielokrotnie próbował więc szczęścia, zanim zdobył swojego Graala. Tym samym przeprowadził infiltrację godną tajnych służb. Dostarczył współpracownikom niezbędny sprzęt oraz wiedzę potrzebną do podłożenia ładunków wybuchowych w systemie ściekowym pod placem. Ponieważ był najbardziej przezroczysty spośród członków komórki, to jemu przypadł w udziale ostateczny obowiązek wciśnięcia guzika, by wysadzić wszystko w pył.

Abu Youssef nie chciał mówić, odgrodził się od śledczych murem upartego milczenia, co silnie kontrastowało z osobowością, jaką opisywali jego koledzy z pracy, którzy nie potrafili uwierzyć, że tak wywiódł ich w pole. Nic nie mogło go skłonić, by zaczął sypać, i Marc Tallec zrozumiał, że należy do tych najbardziej zatwardziałych, których nie sposób złamać żadną techniką. Wszystko, czego się dowiedzieli, uzyskali w wyniku dochodzenia, nie od niego.

Ale Francja nic sobie z tego nie robiła. Miała swoją nową świętą figurę.

We wtorek gazeta „Le Parisien” opublikowała zdjęcie Nadera Ensoura pstryknięte ukradkiem, gdy ten szedł ulicą. Wyglądał na nieco zaniepokojonego, twarz miał spuchniętą i pokrytą plastrami. Podpis głosił: „Prawdziwe oblicze symbolu”. Wszystko zostało powiedziane. Nader stał się emblematem. Francja nie mogła sama chronić się przed wszystkimi niebezpieczeństwami, musiała zdać się na swoje „nieślubne” dzieci. Jej przeszłość spoczywała także w ich rękach.

Wszystkie programy telewizyjne i stacje radiowe były się o wywiad na wyłączność, pierwszy z nowym herosem, lecz Nader krył się najlepiej, jak potrafił, wierny swoim dyskretnym przyzwyczajeniom. Już od wielu lat próbował przemykać przez korytarz życia tak niezauważenie, jak się da, i to nie po to, by teraz nagle wystawić się na żer wszystkich kamer we Francji.

Niemniej nadeszło jedno zaproszenie, którego nie mógł odrzucić.

Nader Ensour zawsze miał silne poczucie hierarchii i szacunek dla władzy, nawet kiedy ta ścigała go w jego ojczystym kraju. A zatem, gdy Pałac Elizejski wyraził życzenie ugoszczenia go, by mu podziękować w imieniu państwa francuskiego, Nader nie widział sposobu, by się od tego wymigać.

On, mały imigrant, miał zostać przyjęty przez prezydenta we własnej osobie. Jaki zwrot, jaki zaszczyt. Jego rodzice byliby najdumniejszymi ludźmi na świecie.

Wiedział, że zjawią się tam tłumy dziennikarzy, żeby go wyczekiwać, zadreć pytania, cyknać mu portret, lecz oficjalne przesłanie płynące z tej sytuacji przeważało nad wszelkimi uciążliwościami. Nie odmawia się prezydentowi goszczącego cię kraju, gdy ten zaprasza cię do siebie.

Ogłoszenie o jego wizycie w Pałacu Elizejskim poruszyło opinię publiczną

i zelektryzowało dziennikarzy. Ten człowiek w pojedynkę doprowadzał do szaleństwa cały kraj.

Wielki dzień wypadł w czwartek.

Prezydent przyjmował wielu bohaterów jednocześnie. Tego, którego wszyscy znali i chcieli zobaczyć, oraz tych dyskretniejszych, którzy działali w celu udaremnienia zamachu, głównie dowództwo DGSI i żandarmerii, ale Marcowi Tallecowi również udało się dostać zaproszenie. Ustalono, że będzie się trzymał na uboczu, by uniknąć wszelkiego medialnego rozgłosu, niepożądanego w przypadku człowieka obracającego się w strefie cienia, jednak ciekawość nie pozwoliła mu oprzeć się pokusie bycia świadkiem tej chwili, choćby zza kulis.

Zwierzył się Ludivine żartobliwym tonem, że w ten sposób posłuży za ochroniarza dla nowego państwowego symbolu, któremu nie mogło przytrafić się nic złego. Kobieta wyśmiała jego wybujałe ego.

Gdy nadszedł D-Day, Ludivine w towarzystwie kolegów rozsiadła się w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze WŚ, by obejrzeć transmisję oficjalnej prezentacji bohatera. W duchu czuła dumę na myśl, że Marc tam jest, i miała nadzieję, że na jednej z klatek uchwyci gdzieś z boku jego ulotną obecność, zarejestrowaną tylko dla niej.

Kiedy po zahaczeniu o toaletę weszła do pomieszczenia, na długim centralnym stole ujrzała całą kolekcję zabawek z jajek niespodzianek.

– Ja chyba śnię... – Segnon, Guilhem, Magali, Ben, Franck, a nawet kapitan Merrick stali naprzeciwko niej, bijąc brawo i gwizdząc. – A więc to sprawka was wszystkich – pojęła Ludivine.

Segnon puścił farbę:

– To był pomysł Mag!

– Żeby cię odprężyć – wyznała ta spod swojej grzywki. – Chcieliśmy ci pomóc, żebyś od czasu do czasu zajęła umysł czymś innym niż tylko swoimi śledztwami. Po wszystkim, co wydarzyło się na wiosnę...

– A ja przytyłem dwa kilo, opychając się czekoladą! – poskarżył się zaczepnie Franck.

Ludivine nagrodziła wszystkich, kilkakrotnie poklepując ich po ramionach lub po brzuchach. Wreszcie uwolniła się od tej tajemnicy. Później połowa śledczych wróciła do swoich biur. Pozostali nastavili stację nieustannie nadającą wiadomości i zobaczyli ganek Pałacu Elizejskiego i jego przeszkłone drzwi, szeroko otwarte pomimo zacinającego deszczu. Odźwierni w liberiach ze złoconą lamówką szykowali się na przyjęcie niewielkiej grupy gości. Obecnie przebywali oni z prezydentem w jednym z pałacowych salonów, jak wyjaśniało dwoje dziennikarzy, by wypełnić czymś ciszę antenową.

Spojrzenie Ludivine błędziło, aż w końcu znieruchomiało na ustawionych przed nią zabawkach. To właśnie te szczeniackie, a jednak magiczne metody okazywania sobie nawzajem uwagi czyniły ich zespół tak niezwykłym. Złączeni tym, co najgorsze, złączeni

tym, co najbardziej błazeńskie. Ludivine zalała fala miłości, która nieomal wycisnęła jej łyżę z oczu.

*Jeśli teraz zaczniesz z tego powodu beczeć...* – pomyślała z udawaną autoironią.

W głębi duszy czuła dumę, że jest tak podatna na własne emocje.

Groziło jej, że niedawne lęki wyrwą się z zakamarków, w których je zamknęła, i wychyną na powierzchnię. Krzyki, odczucia związane z niewymownym kompromisem, który zawarła z samą sobą, bliskość śmierci, niedorzeczna i zarazem przerażająca kukła nagiego mężczyzny...

Wybawił ją Guilhem, który stanął w obramowaniu drzwi.

– Ludivine, telefon do ciebie, dzwoni kapitan Forsnot z IRCGN. Pyta, czy dalej interesuje cię, co wykazały „kostki rosołowe”. Nie bardzo zacząłem...

– Ach, tak, przełącz go tutaj, proszę.

Na ekranie wynikło poruszenie, goście mieli się zjawić lada moment.

*Kiepskie wyczucie czasu* – uznała marudnie Ludivine.

– I czy możesz mi też przynieść laptopa, proszę?

Przekierowano połączenie i aparat przed nią zaczął dzwonić, a tymczasem Guilhem położył na stole otwarty komputer.

– Pani porucznik, wysłałem pani owoc naszego domowego przepisu – oznajmił Forsnot, wyraźnie w dobrym humorze.

– Jesteście zadowoleni z wyniku?

– To już pozostawiam pani ocenie! My tylko wykonaliśmy nasze zadanie, ale zazwyczaj rezultat dość wiernie oddaje to, jak w rzeczywistości wyglądał obiekt.

Ludivine otworzyła służbową skrzynkę pocztową, a następnie wspomniany dokument. Teraz, kiedy poczucie pilności minęło, nie miała wielkich oczekiwań wobec tego eksperymentu, lecz możliwość zidentyfikowania zniekształconego, zżartego wapnem trupa, którego Anthony Brisson pochował w ogrodzie matki, nadal stanowiłaby znaczący atut.

W telewizji pojawiło się kilka sylwetek, w tym ta rozpoznawalna, należąca do prezydenta, całego w uśmiechach, któremu towarzyszył dość wysoki mężczyzna około pięćdziesiątki o matowej cerze i twarzy wciąż jeszcze nabrzmiałej od zainkasowanych ciosów. „Mały imigrant”, jak przezywało go wielu, miał lepszą prezencję, niż się spodziewała, mimo że uciekał spojrzeniem przed kamerami. Czuł się nieswojo, było to niemal namacalne. Obu mężczyzn otaczało grono innych osób. Ludivine próbowała rozpoznać wśród nich Marca, gdzieś z tyłu, a wtedy jej komputer wydał dźwięk sygnalizujący, że pobieranie dokumentu zostało ukończone.

Ludivine jednym kliknięciem otworzyła plik.

– Zacząłem od zaledwie trzech portretów – zaznaczył Forsnot – ale jeśli zajdzie potrzeba, mogę pokombinować z innymi fryzurami i na przykład z różnymi brodami.

Wzrok Ludivine spoczął na trzech zdjęciach opracowanych za pomocą programu do

rekonstrukcji twarzy. Na pierwszym mężczyzna miał łysą czaszkę, na drugim krótkie, a na ostatnim półdługie włosy.

Serce kobiety stanęło.

Oddech utknął jej w piersi.

Szok niemal ją sparaliżował.

To niemożliwe. Nie chciała uwierzyć w to, co miała przed oczami.

Marc Tallec pilnował, by pozostawać na uboczu.

Szef państwa podszedł się z nim przywitać i pogratulował mu, podobnie jak pozostałym obecnym członkom DGSI, ale Marc nie chciał widnieć na oficjalnych fotografiach i czujnie wypatrywał aparatów, by mieć pewność, że nie znajduje się w ich zasięgu. Cała ceremonia miała w sobie coś surrealistycznego. Wyglądało to tak, jakby Nader Ensour przebywał duchem gdzie indziej i nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co go spotyka.

Marca zaskoczyła swoboda prezydenta i jego ludzi, wszystko sprawiało wrażenie prostego i oczywistego. Uściski dłoni, dla każdego jakieś zdanie, dobry humor i obietnice, że nowy bohater dostanie wszystko, co tylko naród może mu zaoferować, na co ten uprzejmie kiwał głową. Ale najbardziej zdumiała Marca łatwość, z jaką wszedł do budynku. Gdy służby protokolarne Pałacu Elizejskiego potwierdziły jego nazwisko, prosząc o okazanie dowodu tożsamości, pozwolono mu wejść bocznymi drzwiami, bez przeszukania, nie musiał nawet minąć żadnej bramki bezpieczeństwa. Nic z tych rzeczy. Mógłby wnieść służbową broń, a nikt by się nie zorientował. W jego oczach było to nierozważne, a jednak taki zwyczaj panował powszechnie. Któż mógłby sobie wyobrazić, że każdego oficjalnego gościa naraża się na obmacywanie, że każe mu się zdjąć pasek i buty oraz opróżnić kieszenie do specjalnego pojemnika, a następnie przejść przez wykrywacz metalu? Pałac Elizejski nie funkcjonował w ten sposób. Zabraniały tego zasady etykiety. Nawet w przypadku zwykłego gościa. Nader Ensour wkroczył do środka niekontrolowany niczym podmuch wiatru. Tak samo pozostali obecni. Przeprowadzona na wstępie weryfikacja tożsamości wystarczyła, by ustalić, że osoby te nie są niebezpieczne, uznano przy tym, że każda z nich w wystarczający sposób dowiodła już swojej integralności moralnej.

Tutaj liczył się wizerunek, reputacja. To ona w pojedynkę strzegła wstępu do pałacu i jego bezpieczeństwa. Dla wszelkiej pewności życie każdego z zaproszonych zostało przed wizytą skrupulatnie prześwietlone.

Pierwsza dama krążyła po salonie z gracją kobiety będącej w swoim żywiole, choć Marc wyłapywał w jej spojrzeniu chwilowe błyski zwątpienia, znużenia. Ugrzecznona maska polityków. Ile podobnych ceremonii zaliczają w ciągu roku? Marc dał sobie chwilę na obserwację otoczenia, złocień, tapet, źródeł światła... Tyle historii i wydarzeń wiązało się z tym miejscem, tyle sekretów wyszło tu na jaw. Szampan krążył na srebrnych tacach od gościa do gościa w towarzystwie wykwintnych przekąsek. Wszyscy byli zauroczeni tym wnętrzem, tą instytucją. Dumni.

Prezydent poprosił o ciszę. Otoczony dwoma dyskretnymi doradcami, którzy trzymali się nieco z tyłu, oraz ochroniarzami stojącymi jeszcze dalej, rozpoczął z pozoru improwizowaną przemowę, tym samym ofiarowując zaproszonym wyjątkową, intymną chwilę. Podkreślił podczas niej konieczność, aby w tych ponurych czasach każdy obywatel, dla dobra narodu, na co dzień zachowywał czujność. Francja wiele dawała swoim dzieciom, jednak potrzebowała również ich dobroci, ich uwagi. Oto przesłanie na trwającą erę. Z emfazą mówił o ironii, jaką w kontekście rosnącej tendencji do odtrącania obcych niósł fakt, że to właśnie imigrant został bohaterem narodowym. Wyraził radość z tego powodu, a następnie pozdrowił Nadera Ensoura, obiecując, że kraj o nim nie zapomni. Stał się symbolem, a prezydent liczył, że uda się wyciągnąć z tej sytuacji korzyści.

Potem doradcy dali wszystkim do zrozumienia, że czas minął i pora przejść do następnego punktu programu.

Marc wraz z pozostałymi ruszył w stronę wyjścia z pałacu, do holu, z którego przez wielkie wykuszowe okna otwierał się widok na dziedziniec, i po raz kolejny postarał się, by zostać nieco z tyłu, nie tracił jednak z oczu prezydenta ani Nadera – w końcu udział w tym wydarzeniu stanowił dla niego osobistą rekompensatę za cały trud. Połowę przestronnej sali zajmował tłum fotografów, kamerzystów i dziennikarzy, stało tam też mnóstwo mikrofonów. Na zewnątrz lało jak z cebra. Odźwierni ustawiali grupę, pilnując, by prezydent i Nader znaleźli się na oficjalnych zdjęciach dokładnie pośrodku. Marc uznał ten rytuał, podczas którego wszystkich ulokowano zgodnie z ich ważnością, za nieco chaotyczny i żenujący. Niektórzy rozpychali się łokciami, byle tylko znaleźć się bliżej centrum. Robiąc krok w bok, Marc całkiem usunął się z kadru i stał się raczej świadkiem niż aktorem w tej medialnej maskaradzie.

Naprzeciwko szykowała się armia obiektywów, czekając na oficjalny sygnał do rozpoczęcia polowania na idealne ujęcie. Niektórzy reporterzy wyglądali na zblazowanych, czujnych, byle niczego nie przegapić. Szczególnie jeden bez przerwy majstrował przy kamerze, jednocześnie przesuwając się, by zająć miejsce na odpowiedniej osi. Niecierpliwość rosła, powstrzymywano ją jednak z przyzwyczajenia, z szacunku.

Zapaliły się oślepiające reflektory.

Marc odwrócił głowę, zamierzając odczekać, aż przyzwyczają mu się oczy.

Obok niego stał pewnie na nogach odziany w garnitur ochroniarz. Marc jako uważny profesjonalista dostrzegł wybrzuszenie na wysokości talii, pod plecami marynarki, które zdradzało obecność broni palnej.

W głębi pomieszczenia zaczęły traskać flesze.

Oto nastąpiła wielka, uroczysta chwila.

Telefon komórkowy Marca zaczął wibrować.

Dyskretnie wyjął go z kieszeni, by sprawdzić, kto dzwoni.

Ludivine.

Czy to aby na pewno dobry moment? Zawahał się, lecz w końcu odebrał, niemalże rozbawiony.

– Wiesz, gdzie jestem? – zapytał szeptem, ukrywając uśmiech.

Ton głosu kobiety natychmiast go zaalarmował.

– To on! Marc! To on jest TZ!

– Co? O kim ty mówisz?

– O Naderze Ensourze! To TZ! To jego twarz!

– Co?

Mimo że Marc nie dysponował wszystkimi informacjami, jego lotny umysł zrozumiał dość, by połączyć fakty.

Pałac Elizejski. Prezydent. Chmara dziennikarzy. Obrazy rozesłane na cały świat. Zachowane dla potomności. Na wieczność.

Brak kontroli bezpieczeństwa przy wejściu dla oficjalnych gości.

Odwrócił głowę i ujrzał, że w kamerach jedna po drugiej zapalają się czerwone lampki.

Wszystkie transmitowały na żywo.

*Dobry moment, żeby wysadzić coś w powietrze.*

To szaleństwo. Działać pod wpływem impulsu. Pod wpływem jednego telefonu. W wyniku zrzędzenia losu.

Wyłącznie na podstawie domysłu.

Reakcja w tej chwili to szaleństwo. Nie, nie mógł tego zrobić. Nie *powinien* tego robić.

*To dobry moment, żeby wysadzić coś w powietrze* – powtórzył w myślach, słowa huczały w jego czaszce. Między uszami wył alarm. Wszystkie włoski na jego ciele stanęły dęba. Drżał.

Czerwone diody kamer wpatrywały się w niego niczym świadkowie. Oczy, które go osądzały. Ostatecznie.

Alarm w jego głowie już nie rozbrzmiewał, ogłuszył go, sprawił mu ból.

Marc upuścił telefon i szybko zbliżył się do stojącego obok ochroniarza. Precyzyjnym ruchem sięgnął pod jego marynarkę, by chwycić broń. Drugą ręką przyłożył mężczyźnie z łokcia, żeby go odepchnąć.

Krzyk na trwogę.

Lufa uniosła się w powietrze, celując w stronę prezydenta.

Wszędzie wokół paniczne ruchy.

Marc poprawił trajektorię.

Przesunął pistolet o tyle, ile było trzeba, by wziąć na muszkę Nadera Ensoura.

Ten właśnie wsunął dłoń do kieszeni. Mamrotał coś przez zęby.

Zamierzał wcisnąć guzik przy pasie z materiałami wybuchowymi.

W tej samej chwili padł strzał.

Skroń Nadera Ensoura eksplodowała podczas transmisji na żywo. Prezydent został



obryzany krwią francuskiego symbolu.

Zewsząd wynurzyli się mężczyźni. Osłonili głowę państwa, rozkładając walizeczkę, z której nagle powstała tarcza kuloodporna. Umieścili ją przed prezydentem, a tymczasem dwa kolejne strzały ugodziły Marca prosto w tors.

Agent DGSI kurczowo chwycił się popiersia Marianny, a potem runął na ułożone w szachownicę płytki, na których w chwili jego upadku roztrzaskała się marmurowa rzeźba.

Krew wypływała z niego wolno i widział, jak miesza się z tą uchodzącą z Nadera Ensoura, który choć pogrążył się już w nicości, zdawał się przeszywać go spojrzeniem.

Marc walczył jeszcze kilka sekund, przeciwstawiając się dławiącej sile, która ciągnęła go do środka, zamrugał, łykając powietrze na tyle, na ile wciąż potrafił, lecz to coś w nim wsysało go nieuchronnie i po paru chwilach próżnego oporu pozwolił, by pochłonęły go jego własne ciemności.

Dodający otuchy mrok. Ciepło. Pełnia osiągnięta przez rozpad świadomości. Wewnętrzna podróż o dwóch możliwych zakończeniach: rozwianie się jaźni lub szybki powrót do bazy, do powłoki.

Później elektroniczne pikanie, odległy szum respiratora.

Dłoń na jego nadgarstku.

Pocałunek w czoło.

Ta obecność, ta pociecha nie mogła okazać się przelotna.

Marc uczeplił się jej tak, jak rozbitek trzyma się boi, zagubiony wśród wysokich fal oceanu. Ta obecność, niczym obsesyjny wir, wciągała go w siebie.

I wynurzył się z powrotem na powierzchnię.

Jasne swawolne loki, buzia łobuzicy, zaniepokojone szafirowe oczy, urok dwóch odrobinę nierównych kłów widocznych spod słodkich warg.

Ludivine.

Marc znów popadł w otępienie, lecz tym razem było ono dużo płytsze i wkrótce otrząsnął się z niego, już bardziej zdolny do wyrażania myśli.

– Prezydent? – zapytał.

– Wyszedł z tego nietknięty. W każdym razie w sensie fizycznym.

– A ja?

W ogóle nie czuł jeszcze integralności swojego ciała, część kończyn wydawała mu się odległa, jakby wypchana watą, i zaczął obawiać się paraliżu.

– Lekarze twierdzą, że dobrze sobie radzisz, pomimo przebitego płuca i kuli, która utkwiała w wątrobie. Ochroniarzom trochę zajęło, zanim zrozumieli, że nie atakujesz, tylko bronisz. Miałeś szczęście, że żaden nie celował w głowę.

– A on? Nader?

– To nie był prawdziwy Nader Ensour. Ale obaj nie żyją. Ten autentyczny zginął przed kilkoma tygodniami, prawdopodobnie z ręki Anthony’ego Brissona na rozkaz Fissouma, a ten drugi – w wyniku twojego strzału. Pamiętasz, że imam szukał kogoś szczególnego, że chciał w tym celu zatrudnić „łowcę”? Nie chodziło o wywęśnienie zdrajcy, jak sądziliśmy. Zamierzał znaleźć sobowtóra. Kogoś podobnego do TZ, samotnego mężczyznę, outsidera, żeby nikt nie zauważył jego zniknięcia. Wybrali Nadera Ensoura, który idealnie pasował do profilu i mógł się pochwalić pokrzepiającą życiową historią. Przez niego pragnęli dotrzeć do prezydenta.

– TZ przewidział, że zostanie zaproszony do Pałacu Elizejskiego?

– Tak, to on przeprowadził akcję na place de la République, to wszystko było częścią planu. Bomby nie miały wybuchnąć, TZ wiedział, gdzie znajduje się Marco i jego detonator, nie mam tylko pojęcia, czy rzeczony Marco spodziewał się, co się zaraz stanie, ale bójka wyglądała realistycznie, a on skoncentrował ciosy na twarzy TZ, więc można przypuszczać, że tak. Spuchnięte, zsiniałe rysy posłużyły do zamaskowania różnic między TZ a Naderem Ensourem, dzięki czemu ich podobieństwo okazało się wystarczające.

– Był uzbrojony?

– Włożył pas z materiałami wybuchowymi. Musiał przeprowadzić rozeznanie, wiedział, że prestiżowych gości nie obszukuje się przed wpuszczeniem do pałacu. Kiedy interweniowałeś, szykował się właśnie, by wszystko wysadzić, na nagraniu wyraźnie to widać.

Marc na chwilę opuścił powieki, żeby w pełni uświadomić sobie, co zaszło.

Misterna organizacja wprowadzająca w życie makiaweliczny plan. Francuski symbol zabija prezydenta podczas telewizyjnej transmisji na żywo. Całe potężne ideologiczne przesłanie rozpadłoby się w pył. Czy kraj podniósłby się po tak potwornej operacji?

– Kim on jest, ten TZ? – spytał Marc.

– Nie wiemy, na razie wygląda na to, że nigdzie nie ma kartoteki. DGSE podejrzewa, że to były członek Hezbollahu, który zwrócił się przeciwko swoim, ale trzeba dopiero pogrzebać, a nie można powiedzieć, żeby tamci palili się do współpracy. Bardzo prawdopodobne, że nigdy nie poznamy jego nazwiska. Ale następnego dnia redakcje wszystkich dużych gazet otrzymały list. Zaledwie kilka słów.

– Co w nim było?

– „Odpowiadamy na wezwanie Boga. To dopiero początek”. Podpisano: „Dzin”.

Moussa Bakrani całkiem wywiódł ich w pole. Ahmed nigdy nie był liderem. Gdy wyczuł, że DGSI niewiele na nich ma, Bakrani kupił współnikom trochę czasu, zmyślając na poczekaniu i zwalając winę na nieżyjących. Chłopak nieprędko wyjdzie z więzienia.

– Tym razem to koniec – podsumowała Ludivine, składając pocałunek na czole Marca.

A on prawie natychmiast ponownie wpadł w objęcia Morfeusza.

Śnił dobre sny i kilka koszmarów.

W tym najuciążliwszym biegl przez pustynię ścigany przez zmiennokształtną istotę, która przybierała kolejno formę burzy piaskowej, ogromnego płomienia i ciepłego podmuchu. Jej ryki rozchodziły się we wszystkie strony świata, gdy podążała jego tropem, nie po to, by go pożreć, lecz by go odmienić, upodobnić do samej siebie.

Na szczęście ani razu go nie dopadła.

Cmentarz był spokojny, niemal wyludniony.

Tu i tam rosła kępka wiotkich drzew, ich korzenie chowały się głęboko, w bliskim sąsiedztwie ciał, i Ludivine zastanawiała się, czy są tak węzlaste i niepokojące, ponieważ żywią się ludzkimi sokami.

Stała z tyłu, obserwując niewielką ceremonię, na której zgromadziło się zaledwie pół tuzina osób. Uparła się, że weźmie udział w ponownym złożeniu do grobu zarówno Hélène Trissot, jak i Georgiany Nistor, których drugi pochówek przypadał właśnie dziś. Kwestia szacunku. Kierowana intuicją, kazała wydobyć dziewczyny z miejsca ostatniego spoczynku i po raz kolejny je pokroić, niepotrzebnie. Jej dzisiejsza obecność tutaj była sposobem, by złożyć przeprosiny.

Towarzyszył jej Marc. Trzymał ją przy sobie, obejmował za ramiona. Każdy ruch zajmował mu więcej czasu niż zwykle i kosztował go kilka grymasów, ale wyszedł ze szpitala, co stanowiło dla niego największy powód do dumy.

Po mowie złożonej z kilku religijnych słów żałobnicy rzucili do dołu garście ziemi i jedni po drugich zaczęli się oddalać, pozostawiając Georgianę Nistor wiecznej samotności własnego grobu.

Ludivine lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, co przeżyła ta biedna kobieta. Zadrzała na myśl o tym, przerażona. Marc przycisnął ją do siebie, by dodać jej otuchy.

Ludivine roztarła łzę, zanim ta zdążyła spłynąć jej po policzku. Stawała się wrażliwsza niż kiedykolwiek dotąd, otwierała się na emocje i odrzucała zbroję, która przez tak długi czas ją opancerzała. Ale radości, które dostawała w zamian, zdecydowanie były warte tych codziennych cierpień.

Ona i Marc zaczęli przechadzać się między nagrobkami.

Była w ponurym nastroju. By skończyć papierkową robotę związaną ze śledztwem, musiała po raz kolejny zagłębić się we wszystkie szczegóły, między innymi przestudiować osobowości terrorystów, w większości młodych ludzi. Jak powiedział Marc, każdy miał swoje powody, by popaść w fanatyzm, drobni kryminaliści, ludzie złamani, sfrustrowani, zmanipulowani naiwniacy, osoby oszalałe pod wpływem wiary i tak dalej. Ale niektórzy zdawali się całkiem zrównoważeni, raczej inteligentni, dokonali świadomego wyboru. Odczuwali taką nienawiść wobec obowiązującego systemu, że dobrowolnie zбочyli w stronę wojny totalnej. Ideologia była niemalże pretekstem. Dla nich islamizm reprezentował sobą chwalebny drogę wyjścia, zemstę, odpowiedź, środek wymierzania kary.

Te wszystkie wyjaśnienia nie tłumaczyły jednak ich całkowitego pogodzenia się ze śmiercią. Chcieli się poświęcić. Zanegować wszystko, czym byli uprzednio. Całą nadzieję.

Postanowiła zwierzyć się ze swoich przemyśleń Marcowi, który prowadził ją w stronę niewielkiego wzgórza dominującego nad cmentarzem.

– Co wspólnego mają ze sobą ci wszyscy chłopcy – zagadnęła – że do tego stopnia gotowi są umrzeć?

– Przekonało ich to, co im mówiono, pewna interpretacja słów tego, który czeka na nich na górze.

– Tak, tyle wiem, ale poza tym gdzieś głęboko w nich musi tkwić coś, co sprawia, że *chcą* słuchać takiej wykładni, że z ochotą ją przyjmują.

Marc poprowadził ją na szczyt, między krzakami, aż do kamiennego murka stanowiącego zwieńczenie imponującego mauzoleum, które tkwiło przyklejone do zbocza.

– Wdrap się na niego – polecił. Ludivine zawahała się, ponieważ znalazłaby się wówczas na skraju ponaddziesięciometrowej przepaści. – No dalej – nalegał Marc.

Zbierając się na odwagę, podciągnęła się z pomocą towarzysza, połamane żebra bolały jak diabli, po czym wzdrygnęła się, bliska zawrotów głowy.

– Jak się czujesz?

– Niezbyt fajnie. Jaki jest tego cel?

– Czy kiedy idziesz brzegiem chodnika, boisz się, że spadniesz?

– Oczywiście, że nie, bo jeśli spadnę z dwudziestu centymetrów, nic mi nie grozi, ale tutaj...

– Jesteś dużą dziewczynką, doskonale potrafisz zachować równowagę. Masz tu mnóstwo miejsca, by stawiać stopy, dlaczego nagle nie umiesz utrzymać się w pionie?

– Ze strachu przed upadkiem?

– Od dziesięcioleci całymi dniami chodzisz prosto, dlaczego teraz miałabyś się wywrócić? Kiedy normalnie się przemieszczasz, nigdy się nie boisz.

– No to już nie wiem, ale to nieprzyjemne. Do czego zmieszasz?

– To zdolność stania na dwóch nogach czyni nas ludźmi, idealnie kontrolujemy naszą wewnętrzną równowagę i prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiamy, to dla nas oczywiste, naturalne. Powiem ci coś, co wiele mówi o naszym gatunku, a jeszcze więcej o naszym systemie działania. Słuchasz?

– Tak...

– Kiedy stajemy na dachu budynku albo nad urwiskiem, to nie lęk przed tym, że zostaniemy wessani, nas przeraża, ponieważ w głębi duszy dobrze wiemy, że utrzymamy równowagę, to wrodzone, proste. Nie, to co sprawia, że czujemy się nieswojo w zetknięciu z próżnią, to fakt, że jedyne, co nas hamuje, to dogłębne pragnienie pozostania przy życiu. W tej chwili masz pietra, bo twoja podświadomość wie, że jej istnienie zależy od tego, czy postanowisz zrobić jeszcze jeden mały krok w stronę otchłani, czy nie. Jeżeli nie

odczuwasz żadnego lęku, to znaczy, że nie nosisz w sobie autodestrukcyjnego bakcyła. Ale jeśli doświadczasz choć odrobiny niepokoju, to siedzi w tobie wątpliwość, gdzieś tam ukryta, i szepcze do ciebie. Prawda wygląda tak, że nie boisz się próżni, nie, boisz się samej siebie.

– Wcale nie mam ochoty umierać, a jednak czuję się nieswojo.

– Większość z nas tak ma. Od chwili narodzin nosimy w sobie iskierkę życia, ale zamieszkuje nas też oddech śmierci. Może to reminiscencja pierwotnych instynktów, naturalny atawizm służący naszemu gatunkowi, który zdominował planetę, za łatwo dostępny wyłącznik bezpieczeństwa, kto wie? Ale tak już jest. To, co czujesz tam na górze, to otchłań podszeptująca twoim gadzim zmysłom, że wszystko może skończyć się w tej sekundzie. – Marc chwycił ją za ramię, by pomóc jej zejść. – To właśnie usłyszał każdy z tych chłopaków i wszyscy dali się uwieść temu wołaniu, oto co mieli ze sobą wspólnego. Zew nicości.

Ludivine oddychała, by pozbyć się nieprzyjemnego uczucia – rozwiało się po kilku krokach. Trzymała się za obolałe boki, rozmyślając o tym, co przed chwilą powiedział Marc, i o wszystkim, co przeżyła w ciągu ostatniego miesiąca.

Wiedziała, że zjawią się tacy, którzy posłuchają podszeptów śmierci, owego zewu nicości. Niełatwo będzie ich złapać. Całą ludzkość czekała monumentalna praca u podstaw, jeżeli chciała powstrzymać dalsze szerzenie się zła.

Pierwsze płatki śniegu zaczęły spadać w zwolnionym tempie.

Ludivine przystanęła wśród grobów, by rozłożyć ramiona i spróbować, jak smakują. Smakowały życiem.

Marc obserwował ją z rozbawieniem. Spozrzegła to i uśmiechnęła się do niego.

– A gdzie w tym wszystkim my? – spytała.

Objął ją swoim najczulszym i najbardziej przenikliwym spojrzeniem.

– Nie jestem łatwym facetem.

– A ja jestem skomplikowaną dziewczyną.

– Będziemy się ranić, włączyć sobie na ambicję.

– Ale może gra jest warta świeczki, co?

Uśmiezek. Łagodność w oczach. Rodzące się wspólność. Oplatały ich niewidzialne więzy miłości.

Marc postanowił całkiem się odsłonić i powiedział:

– Świat staje się bardziej znośny, kiedy jesteśmy razem, prawda?

Wyciągnął do niej rękę.

# Napisy końcowe:

## *The Sound of Silence*

Simon & Garfunkel, w wykonaniu zespołu Disturbed

Hello, darkness my old friend  
I've come to talk with you again  
Because a vision softly creeping  
Left its seeds while I was sleeping  
And the vision that was planted in my brain  
Still remains  
Within the sound of silence

In restless dreams I walked alone  
Narrow streets of cobblestone  
'Neath the halo of a street lamp  
I turned my collar to the cold and damp  
When my eyes were stabbed by the flash of a neon light  
That split the night  
And touched the sound of silence

And in the naked light I saw  
Ten thousand people, maybe more  
People talking without speaking  
People hearing without listening  
People writing songs that voices never share  
And no one dared  
Disturb the sound of silence.

Fools, said I, you do not know  
Silence like a cancer grows  
Hear my words that I might teach you,  
Take my arms that I might reach you  
But my words like silent raindrops fell,  
And echoed in the wells of silence

And the people bowed and prayed  
To the neon god they made  
And the sign flashed out its warning  
In the words that it was forming  
And the signs said the words of the prophets  
Are written on the subway walls  
And tenement halls  
And whispered in the sound of silence.



# Słowniczek skrótów

- BLAT (*Bureau de la lutte antiterroriste de la Gendarmerie nationale*) – Biuro Żandarmerii Narodowej do Walki z Terroryzmem.
- BRI (*Brigade Rapide d'Intervention*) – Brygada Szybkiego Reagowania.
- CIC (*Cellule en identification criminelle*) – Komórka do spraw Identyfikacji Kryminalnej, eksperci działający w ramach żandarmerii.
- DGGN (*Direction générale de la Gendarmerie nationale*) – Dyrekcja Generalna Żandarmerii Narodowej.
- DGSE (*Direction générale de la Sécurité extérieure*) – Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Zewnętrznego, francuskie tajne służby zorientowane na zagranicę.
- DGSI (*Direction générale de la Sécurité intérieure*) – Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jedna z gałęzi francuskich tajnych służb.
- DRSD (*Direction du renseignement et de la sécurité de la Défense*) – Dyrekcja Wywiadu i Bezpieczeństwa Sił Zbrojnych.
- FAED (*Fichier automatisé des empreintes digitales*) – Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej.
- FNAEG (*Fichier national automatisé des empreintes génétiques*) – Automatyczny Narodowy System Identyfikacji Genetycznej.
- FNOS (*Fichier national des objectifs en matière de stupéfiants*) – Narodowy Rejestr Inicjatyw w sprawach Środków Odurzających, system wspólny dla żandarmerii, służby celnej oraz policji, pozwalający na koordynację działań poszczególnych sił na podstawie listy osób, przeciwko którym prowadzi się dochodzenie w związku z substancjami odurzającymi.
- GAO (*Groupe d'appui opérationnel*) – Grupa Wsparcia Operacyjnego, zależna od DGSI.
- IML (*Institut médico-légal*) – Instytut Medycyny Sądowej.
- IRCGN ([\*Institut de Recherches Criminelles de la Gendarmerie Nationale\*](#)) – Instytut Analiz Kryminalnych Żandarmerii Narodowej.
- PJGN (*Pôle judiciaire de la Gendarmerie nationale*) – Ośrodek Nauk Sądowych Żandarmerii Narodowej.
- PSIG (*Pelotons de surveillance et d'intervention de la Gendarmerie*) – Oddziały Nadzorująco-Interwencyjne Żandarmerii.
- RAID (*Recherche, Assistance, Intervention, Dissuasion*) – Poszukiwanie, Wsparcie, Interwencja, Działania Odstrasżające, specjalistyczny oddział francuskiej policji.

SALVAC (*Système d'analyse des liens de la violence associée aux crimes*) – System Analizy Analogii Przemocy Towarzyszącej Zbrodniom, francuski odpowiednik amerykańskiego systemu VICAP. Pozwala powiązać ze sobą poszczególne zbrodnie przy wykorzystaniu bazy danych, w której odnotowuje się brutalne przestępstwa i sprawy uznane za podejrzone.

SDAT (*Sous-direction antiterroriste*) – Poddyrekcja Antyterrorystyczna, służby policji sądowej.

SPIP (*Service pénitentiaire d'insertion et de probation*) – Więzienna Służba Reintegracji i Zwolnień Warunkowych.

TAJ (*Traitement d'antécédents judiciaires*) – Spis Uprzednich Wykroczeń, rodzaj rejestru karnego, baza danych wspólna dla policji i żandarmerii, zawierająca wszelkie informacje o osobach uznanych za winne popełnienia przestępstw lub poważnych wykroczeń albo o nie podejrzanych.

TK – Technicy kryminalistyki.

# Posłowie i podziękowania

Ta powieść zrodziła się kilka lat temu podczas podróży do Libanu. Jak można badać tak drogie mi pojęcie zła, nie poruszając kwestii terroryzmu, zważywszy na to, co dzieje się na świecie? Sporządziłem dwie wersje tej historii, których nigdy nie przeczytacie. Pierwszą porzuciłem w styczniu 2015 roku, po zamachach, które rozpoczęły się atakiem na „Charlie Hebdo”. Drugą – w listopadzie tego samego roku po dramacie w sali Bataclan. W obu przypadkach moja opowieść nazbyt przypominała wydarzenia, których doświadczyliśmy, przez co nie byłem w stanie jej kontynuować. Pisanie powinno sprawiać przyjemność – nawet jeśli człowiekowi towarzyszy poczucie, że ma do przekazania coś ważnego i znaczącego – ja zaś nie odczuwałem już żadnej.

Musiało minąć trochę czasu, zanim wróciłem do tego projektu i odważyłem się na nowo w niego zaangażować. Koniecznie chciałem to z siebie wyrzucić, wracałem więc kilkakrotnie. Za każdym razem zaczynałem prawie od zera, co wynikało z potrzeby wystartowania od czystej kartki, ponownego nabrania rozpędu, aż w końcu otrzymałem dobrą wersję, tę, którą trzymacie w rękach. Z pisaniem tak już jest: jeśli mieszka w tobie jakaś historia, zawsze znajdzie sposób, by się wydostać, a towarzyszące jej przesłanie samo się w nią wpisze, jakkolwiek formę ostatecznie przybierze.

Czytelnicy i czytelniczki od dawna zaznajomieni z moją twórczością zdziwią się może, iż moje zazwyczaj mroczne pisarstwo cechuje tym razem większa łagodność, a moi bohaterowie tryumfalnie odpierają każdy atak. Początkowo nie tak miała potoczyć się ta opowieść, podczas jej powstawania okazało się jednak, że nie jestem w stanie przyznać choćby najdrobniejszego zwycięstwa terrorystom, nawet na papierze – wydawało mi się to niemożliwe, nieprzyzwoite. Chciałem, by czytelnik mógł zrozumieć Dżina, ujrzeć jego otwarte rany, które wiele spraw tłumaczą, pragnąłem pokazać, że nawet potwory są przede wszystkim rozsypującymi się istotami ludzkimi, opowiedzieć o tym rozpadzie, nie mogłem jednak posunąć się do tego, by przyznać mu rację, nawet w niewielkim stopniu.

Cała historia pochodzi z mojej wyobraźni, opiera się jednak na szczegółowej dokumentacji. Przeplatają się w niej rzeczywistość i fikcja. Opisuję miejsca i technologie, które w dużej mierze istnieją, wymieniam nazwy miast lub dzielnic, a czasem także krajów, by uwiarygodnić opowieść, jednakże pozostaje ona fikcją. Również wszystkie postaci zostały przeze mnie wymyślane, dlatego poglądy wygłaszane przez bohaterów na kartach tej książki nie odzwierciedlają poglądów wspomnianych instytucji ani w żaden sposób do nich nie nawiązują. To tylko powieść. Jak podsumowuje znana formuła: wszelkie podobieństwo

do prawdziwych osób lub zdarzeń jest przypadkowe.

W pierwszej kolejności chciałbym wyrazić niezmierną wdzięczność mojej rodzinie, mojej żonie Faustine za obecność i wsparcie, które pobudza mnie do życia. Jej wpływ na mnie jako człowieka, tak często szukającego schronienia w pisarstwie, uwidacznia się w postaci Ludivine. Dziękuję także dzieciom, które często przeszkadzają mi, gdy tworzę, ale przy tym sprawiają, że te wymuszone przerwy zdają się wspanialsze niż dziesięć ukończonych stron, co więcej – inspirują mnie do napisania kolejnych dwudziestu. Kocham was.

Dziękuję Ollivierowi, który posiada zdolność unicestwiania całych arkuszy mojej intrygi za pomocą jednego słowa – w imię wiarygodności pracy dochodzeniowej – ale ma też dar do wynajdowania rozwiązań i zwykle robi z niego użytek. Przyjacielu, wiem, że czasem pozwalam sobie na odrobinę swobody, zwłaszcza jeśli chodzi o tempo postępowania śledztwa, ale to dla dobra książki! Dziękuję, że zawsze jesteś przy mnie, wiernie trwający na posterunku i diabelnie skuteczny, ale przestań śnić: *Eagles sucks!!!*

Dziękuję Żandarmerii Narodowej oraz SIRPA za okazane zaufanie i za to, że z hojnością otworzyły przede mną swoje drzwi. Większość postaci wymyśliłem, ale garść z nich zrodziła się pod wpływem moich spotkań z wojskowymi, które odbywały się w wielu różnych miejscach.

Dziękuję François za cały poświęcony mi czas i wszystkie udzielone wyjaśnienia. Anegdota o rosole w kostkach wciąż mnie prześladowa!

Jeżeli w książce znajdą się jakiegokolwiek błędy techniczne lub niefortunne uproszczenia, wina za nie spada wyłącznie na mnie – zechciejcie mi wybaczyć.

Dziękuję osobom, których nazwisk nie mogę wymienić, ale które zgodziły się posłużyć mi za przewodników, bym lepiej zrozumiał tajniki działania służb wywiadowczych.

Dziękuję wszystkim pracownikom wydawnictwa Albin Michel za ich wiele znaczący wkład. Gdyby nie oni, moja książka wciąż by istniała, nie trafiłaby jednak w wasze ręce w swym obecnym kształcie. Szmuglerzy słów, wiem, ile wam zawdzięczam. Jest was wielu, w waszych szeregach działają między innymi Richard, mój falochron na nieraz wzburzonym morzu pisarstwa, i Stéfanie, samolot zwiadowczy, któremu zawsze udaje się mnie znaleźć, gdziekolwiek trafię, zagubiony wśród fal. Dziękuję wam za czujne oko, zaufanie i słowa zachęty.

Drogi Czytelniku, pozostajmy w kontakcie dzięki mediom społecznościowym (postarajmy się jednak w nich nie zatracić...):

Twitter: @ChattamMaxime lub Facebook: Maxime Chattam Officiel

Na dłuższą metę najskuteczniejszą bronią przeciwko terroryzmowi są oczywiście edukacja i kultura. Wiele dzieci na świecie cierpi, ponieważ nie ma do nich dostępu. Naszym

moralnym obowiązkiem jest działanie zmierzające do tego, by wszystkie dzieci na naszej planecie mogły otrzymać choćby minimalne wykształcenie, dzięki czemu zyskają narzędzia, by lepiej rozumieć życie i otaczający je świat i móc dokonywać jak najlepszych wyborów. Własnych wyborów. Mimo że nie wszyscy możemy udzielać się bezpośrednio w terenie, możemy przynajmniej pomóc tym, którzy to robią.

Wspieram w tej inicjatywie UNICEF (Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci), ponieważ znam wartość zaangażowania tej organizacji, charakter jej działań oraz wyniki, jakie potrafi osiągać.

Wy również możecie to zrobić i zapewnić jej dodatkowe środki, przekazując datek, choćby niewielki.

Ta instytucja tego potrzebuje.

Dzieci tego potrzebują.

Nasz świat i nasza przyszłość tego potrzebują.

Wystarczy, że dziś podarujecie jakiś drobiazg od siebie, a kto wie, jaki las może wyrosnąć z tego nasionka.

Maxime Chattam

Bejrut–Edgecombe listopad 2011–14 lipca 2017

- 
- <sup>1</sup> Zobacz: *Plugawy spiszek* oraz *Cierpliwość diabła* tego samego autora, opublikowane nakładem Wydawnictwa Sonia Draga.
  - <sup>2</sup> Zobacz: *Cierpliwość diabła* tego samego autora, opublikowana nakładem Wydawnictwa Sonia Draga.
  - <sup>3</sup> Wyjaśnienia skrótów zamieszczono na końcu książki.
  - <sup>4</sup> Kartoteki zakładane osobom, które potencjalnie stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Nie są podstawą do aresztowania, służbom specjalnym pozwala się jednak na obserwację podejrzanego. Litera „S” nawiązuje do terminu oznaczającego „bezpieczeństwo państwa” (przyp. tłum.).